

JAMES COBB

Mistrz gatunku *military thriller*,
autor bestsellera *Siewcy śmierci*


AMBER



Operacja „Burzowy Smok”

COBB JAMES

Operacja Burzowy Smok

JAMES COBB

Przekład

Andrzej Leszczyński

Piotr Beluch

Książkę tę dedykuję trzem „dziadkom” Amandy: szefowi kadry podoficerskiej, Marshallowi R. Havemannowi, i pierwszemu matowi maszynowni, Jamesowi Vincentowi Cobbowi z marynarki wojennej USA oraz porucznikowi Woodrow Carlsonowi z Gwardii Narodowej stanu Idaho.

Pragnę szczególnie podziękować Sherillowi Hendrickowi, Laurelowi Leonardowi i Kathryn Cobb za pomoc w przeprowadzeniu wspaniałego okrętu „Cunningham” przez rozmaite sztormy szalejące na morzach codzienności.

Rozdział 1

Nad cieśniną Formosa

15 lipca 2006, godz. 2.45 czasu lokalnego

„Księżycowy Pies 505”, niezwykle obiekt przypominający krzyżówkę rekina i groźnej rai, sunął powoli na wysokości sześciu tysięcy metrów ponad zwartą, szarawą powłoką chmur rozjaśnionych blaskiem gwiazd. W kabinie wielkiego F/A-22 „Sea Raptor” zarówno pilot jak i operator urządzeń pokładowych siedzieli na swoich stanowiskach w dość niedbałych pozach. Był to rutynowy nocny patrol, nie wymagający od nich szczególnego skupienia, bez przeszkód mogli więc nawiązać do sporu toczącego się między nimi już od jakiegoś czasu.

–Do diabła! Jesteś przecież kobietą. Powinnaś zaproponować mi jakieś rozsądne wyjście z tej sytuacji.

–Owszem, jestem kobietą, ale zaliczam się do ludzi trzeźwych i poważnych. Natomiast twoją żonę określiłabym jako kwalifikowaną wiedźmę, odznaczającą się w dodatku złośliwym usposobieniem pięciolatka.

–Z tym to już chyba trochę przesadziłaś, skarbie.

–Na pewno? W końcu to nie ja zamieniam ci życie w piekło. Za dziesięć sekund dojdziemy do markera Echo. Na mój znak skręć w lewo i wejdź na kurs zero jeden

zero... Trzy... Dwa... Jeden... Teraz!

–Potwierdzam osiągnięcie koordynat markera Echo i skręcam na kurs zero jeden zero w kierunku markera Fokstrot. Problem polega na tym, że ona twierdzi, iż nie ma nic przeciwko temu, abym przedłużył kontrakt.

Porucznik Alan Graves, przez kolegów zwany Kretem, był złotowłosym chłopakiem z Georgii toczącym beznadziejną walkę o uratowanie rozpadającego się małżeństwa. Jego pierwszy oficer, porucznik Beverly Zellerman, ochrzczona mianem Pyzy, pulchna brunetka rodem z Oregonu, toczyła z kolei heroiczny bój o utrzymanie się w granicach wzrostu i wagi określonych dla oficerów przez regulamin marynarki wojennej. Latali razem prawie od dwóch lat, czyli wystarczająco długo, by przez kolejne fazy zawodowych i osobistych współzależności dojść do stadium zgranej, rozumiejącej się bez słów załogi.

Raz nawet, podczas dość przygnębiającego i suto zakrapianego alkoholem wspólnego urlopu w Singapurze, poszli razem do łóżka. Ale później przyznali się przed sobą nawzajem, iż żadne z nich nie może tego zaliczyć do nazbyt frapujących doświadczeń, i z wyraźną ulgą powrócili do wcześniejszych, mniej zażyłych stosunków. Jedynym trwałym efektem owej przygody okazała się pobłażliwość, z jaką każde z nich traktowało słabostki drugiej osoby.

–Może mówić, co jej się żywnie podoba, Krecie, musisz jednak pamiętać, że za każdym razem, gdy poruszysz newralgiczny temat, przez cały następny tydzień będzie ci bez przerwy ciosała kołki na głowie.

–Więc właściwie czego, do cholery, chce ode mnie?

–Żebyś zrezygnował ze służby w marynarce i na dodatek wziął całą winę na siebie. Za pięć lat, jeśli zaczniesz narzekać i użalać się nad sobą, powie ci z chytrym uśmieszkiem: „Przecież sam podjąłeś taką decyzję”.

Graves westchnął ciężko.

–Masz rację. Jak ją znam, jest to bardzo prawdopodobne.

Zmniejszył nieco nacisk na drążek sterowy i zaczął stopniowo wychodzić z zakrętu i wyrównywać lot. Wychylił się z fotela i spojrzał przez ramię w głąb samolotu, wypatrując przez oszkloną tylną część osłony kabiny ciemnej sylwetki podążającego ewentualnie ich śladem myśliwca.

W gruncie rzeczy nie spodziewał się go ujrzeć na niebie. Przyrządy pokładowe nie wskazywały na obecność w pobliżu jakichkolwiek innych maszyn, a „Sea Raptor” był najnowszą konstrukcją w swojej klasie, w zasadzie niewykrywalną przez urządzenia naziemnych stacji powietrznej ochrony granic. Ale nawet podczas rutynowego

patrolu „sprawdzanie szóstej” powinno być obowiązkiem każdego pilota, zwłaszcza jeśli w dole pod nimi w każdej chwili mogła wybuchnąć wojna.

Zdumiewało to, że w obecnej dobie łączności satelitarnej pojawia się tak niewiele informacji o narastającym konflikcie, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę jego skalę oraz liczbę możliwych ofiar, gdyż pod tym względem mogła to być jedna z największych wojen w historii ludzkości.

W światowych sieciach informacyjnych krążyły tylko ogólnikowe wzmianki na ten temat. W ogóle brakowało materiałów przekazywanych z terenu na żywo przez odważnych reporterów. W codziennej prasie publikowano zaledwie lakoniczne notatki, natomiast w fachowych wydawnictwach ukazywały się przede wszystkim analizy dotyczące możliwego wpływu konfliktu na rozwój tradycyjnej taktyki wojskowej czy światową politykę.

Historycy nawet nie potrafili znaleźć żadnych analogii do zaistniałej sytuacji, dlatego możliwy rozwój wydarzeń rozpatrywali wyłącznie teoretycznie. Na dobrą sprawę panowała zgodność co do jednej tylko rzeczy: wszystko zaczęło się od masakry na placu Tienanmen.

Bunt społeczeństwa narastał powoli, wręcz niezauważalnie, a obserwatorzy zdali sobie z niego sprawę dopiero wtedy, gdy władze Chińskiej Republiki Ludowej poczęły zamykać granice niektórych prowincji dla obcokrajowców, tłumacząc to koniecznością dokonania gruntownych reform cywilnych.

Dopiero po pewnym czasie w komunikatach napływających z Pekinu zaczęły się bardzo ostrożnie pojawiać takie określenia, jak „ugrupowania bandyckie” czy „kontrrewolucjoniści”.

Ale wtedy już satelity szpiegowskie pomogły ujawnić prawdę. Obiektywy urządzeń należących do globalnej sieci obserwacyjnej, zawieszonych na orbitach geostacjonarnych wysoko ponad terytorium Azji, wychwytywały liczne pożary trawiące po nocach wioski i kończące się licznymi ofiarami śmiertelnymi, zamieszki na ulicach miast. Latem 2006 roku stało się już oczywiste, że ostatnie na świecie komunistyczne imperium chwieje się w posadach.

Nic jednak nie wróżyło rychłego upadku. Starcy wydający rozkazy zza murów Zakazanego Miasta uważnie obserwowali rozpad Układu Warszawskiego oraz Związku Radzieckiego i wiele się nauczyli. Zmobilizowali wszelkie podległe im siły i byli gotowi bronić swojej twierdzy do ostatka. Wszystko wskazywało na to, że wojna domowa w Chinach może przynieść znacznie więcej ofiar niż druga wojna światowa. Fachowcy nie kryli opinii, że zapewne już do tej pory liczba zabitych była przerażająco duża.

Zadaniem „Księżycowego Psa 505” było przeniknięcie owej gigantycznej kurtyny i zebranie na użytek zachodnich wojskowych i polityków maksymalnie wielu informacji.

Lotniskowiec „Enterprise”, z którego pokładu Kret i Pyza wystartowali godzinę wcześniej, dryfował pięćset mil dalej na południowy wschód. Po dotarciu do lądu na wysokości portu Szantu pilot skierował maszynę na północny wschód, wzdłuż cieśniny Formosa oddzielającej kontynentalną część Chin od Tajwanu.

Zgodnie z rozkazami posuwali się wzdłuż linii brzegowej, dwadzieścia mil w kierunku otwartego morza, rejestrując wszelkie przechwytywane informacje. Samolot miał na pokładzie rozmaite urządzenia wywiadu elektronicznego i sygnałowego, na dolnej powierzchni skrzydeł stłoczono mnóstwo anten. To wyposażenie pozwalało na wykonywanie różnych zadań, począwszy od lokalizacji oraz identyfikacji naziemnych źródeł emisji fal radiowych czy radarowych, aż po mierzenie natężenia rozmów w tradycyjnych sieciach telefonicznych bądź wielkości produkcji energii w elektrowniach.

Po zakończeniu rekonesansu zgromadzone dane miały zostać przekazane kilku odrębnym instytucjom, na przykład Dowództwu Wywiadu Marynarki Wojennej, Dowództwu Wywiadu Wojskowego i CIA, gdzie analizowano je i porównywano z informacjami napływającymi z innych źródeł, usiłując z maleńkich kawałeczków ułożyć ten gigantyczny chiński puzzle.

–Więc co powinienem z tym zrobić, Pyzo?

–Chyba przyznać się wreszcie przed sobą, że straciłeś panowanie nad sytuacją, i czym prędzej wyskoczyć z pędzącego pociągu, zanim na horyzoncie pojawi się dziecko i dodatkowo skomplikuje ci życie.

–Szlag by to trafił!

–Dokładnie tak.

Przez chwilę w głuchym milczeniu Graves wpatrywał się w ciemność przed dziobem samolotu.

–Ale problem polega na tym, że ja chyba wciąż ją uwielbiam.

–Ja też mogę powiedzieć, że chyba uwielbiam niedzielne wieczory przy butelce szkockiej, tyle że nie dopuszczam, aby to uczucie zawładnęło całym moim życiem – odparła Pyza, po czym dodała ciszej: – Zrozum, że w twoim małżeństwie ten mechanizm uczuciowy już przestał funkcjonować.

Zellerman chciała szerzej rozwinąć tę myśl, lecz zamiast tego gwałtownie pochyliła

się do przodu i popatrzyła na jeden z ekranów. Graves zauważył ten ruch w lusterku.

–Masz coś? – zapytał, zerkając przez ramię.

–Jeszcze nie wiem.

Pospiesznie wcisnęła parę klawiszy komputera, przywołując na monitorze obraz przekazywany przez FLIS, przedni szperacz termolokacyjny.

–Chyba przecięliśmy właśnie strugę gazów wylotowych pocisku raketowego.

–Jesteś pewna?

–Raczej tak. Złapałam trzy dość wyraźne odczyty... Wygląda mi to na niewielkie obiekty z napędem turbodrzutowym lecące tuż ponad falami z szybkością około sześciuset węzłów... Cholera! Są następne! Tym razem cztery. Poruszają się ze wschodu na zachód, śladem trzech poprzednich.

–Tylko kto strzela do kogo? – mruknął Graves.

–Tego nie wiem. Prawdopodobnie Chińczycy, ale trudno ocenić którzy. Nie mam pojęcia, dlaczego rebelianci bądź czerwoni mieliby odpalać rakiety w tym kierunku i z tej pozycji. O rety! Pojawiły się i myśliwce!

–Gdzie? – Graves odruchowo wyjrzał przez boczną szybę, a zrobił to tak energicznie, że mimowolnie pociągnął za drążek i lekko położył maszynę na skrzydło.

–Też nisko nad falami. Widzę dwie luźne formacje, każda składa się z czterech dwusilnikowych maszyn. Nie potrafię określić ich typu. Lecą na zachód z szybkością pięciuset pięćdziesięciu węzłów. To mi wygląda na typową grupę szturmową, Krecie!

–Kto to może być? Nawet nie podejrzewałem, że Chińczycy dysponują myśliwcami przystosowanymi do nocnych ataków.

–A jednak! – Zellerman zaczęła błyskawicznie przebierać palcami po klawiaturze, próbując uporządkować coraz intensywniejszy strumień danych wychwytywanych przez anteny i czujniki. – Oho! Błyskawicznie rośnie liczba odczytów urządzeń termolokacyjnych. Źródła rozsiane wzdłuż linii brzegowej, to zarówno silniki rakiet klasy ziemia-powietrze, jak i salwy artylerii przeciwlotniczej!

–Czyżby nas namierzyli?

–Nic podobnego! Przyrzędy ostrzegawcze milczą. Jeszcze coś! Cała grupa wielkich maszyn ciągnących na wschód... Cztery... pięć... To prawdziwe kolosy!

Na głównej konsoli pilota zamigotała czerwona lampka i rozległ się sygnał

alarmowy.

–Teraz już z pewnością nas mają! – zawołał Kret.

–Uspokój się, to nie jest sygnał namiernika. Poza tym i tak nie ma jeszcze podstaw do ogłaszania alarmu. Wygląda na to, że zostaliśmy zauważeni przez aparaturę jakiegoś samolotu wczesnego ostrzegania, ale musi się znajdować bardzo daleko na wschodzie. Sądząc po widmie sygnału, mógłby to być E2D, wątpię jednak, aby tamten rejon patrolowali nasi.

–A co się dzieje na wybrzeżu?

–Boczny szperacz termolokacyjny wychwytuje olbrzymie skupiska płomieni w rejonie Siamen, a monitor sygnałowy informuje o znacznym zagęszczeniu meldunków jednostek obrony w tamtym rejonie, nadawanych według standardu, EGM stosowanego przez NATO. Można by sądzić, że miasto jest bombardowane. Do diabła! Na wodach cieśniny pojawiła się masa okrętów! Chciałabym choć na chwilę włączyć radar.

–Rozum ci odjęło? – warknął Graves. – Tam, w dole, chyba ktoś wywołuje właśnie trzecią wojnę światową. Gdybyśmy się teraz ujawnili, usmażono by nas jak hamburgera. Najwyższa pora się stąd wynosić.

–Zaczekaj chwilę! – wykrzyknęła Zellerman. – Jeszcze nie wiemy, co się tam dzieje.

–I wcale nie musimy tego wiedzieć. Przede wszystkim powinniśmy wracać na lotniskowiec, żeby powiadomić dowództwo.

–Dobra. Ale przynajmniej daj mi się lepiej przyjrzeć tej eskadrze okrętów. Krecie, tu się naprawdę kroi coś na wielką skalę!

–No to przyglądaj im się szybciotko i spadamy.

Graves zmniejszył gaz i wypuścił klapy, dziób maszyny z wolna zanurzył się w chmurach. Tymczasem Pyza nakierowała obiektywy kamer podczerwonych i uzyskała na ekranie klarowny, powiększony obraz.

–To olbrzymi konwój... Pośrodku płyną równolegle dwie kolumny okrętów... Każda składa się z trzech jednostek średniej wielkości i czwartej naprawdę gigantycznej... Są osłaniane przez cztery... wróc, przez sześć grup mniejszych okrętów, wśród których także wyróżniają się jednostki średniej wielkości.

–Gotowe – oznajmił Graves, uzbroiwszy wyrzutnie flar i ładunków zakłócających odczyty radarowe. – Przyrządy ostrzegawcze nie sygnalizują żadnego bezpośredniego zagrożenia. Potwierdzasz?

–Tak. Cele naziemne i nawodne wydają się całkowicie nieświadome naszej obecności.

–Zrobimy tak. Wyjdziemy z chmur sześć mil od obiektu, na wysokości sześciuset metrów. Skręcimy na wschód i przejdziemy równoległe do kursu tej formacji okrętów, a później zawrócimy i podejmiemy do niej od południa. Rejestruj wszystko, co się da, bo nie będziesz miała drugiej podobnej okazji.

–Tak jest! Sprzęgłam obiektywy kamer podczerwonych z komputerem szperacza termolokacyjnego. Włączam rejestrację na wszystkich zakresach.

–No to do dzieła.

Kiedy tylko wynurzyli się z chmur, sterowane automatycznie kamery podczerwone przekazały tak czysty obraz, iż można było rozróżnić szczegóły.

Pod nimi rzeczywiście płynął konwój. Flotylla szybkich kutrów torpedowych osłaniała na skrzydłach kilka dużych okrętów desantowych, za nimi posuwały się dwa olbrzymie transportowce klasy Seagoing Barge. A na czele tejże eskadry paradowała jednostka, którą bez trudu zidentyfikowali jako szybką fregatę klasy Oliver Hazard Perry.

Obrzuciwszy widoczny na ekranie konwój jednym spojrzeniem, zaskoczony Graves jął się zastanawiać, z jakiego powodu Stany Zjednoczone miałyby wysłać tę inwazyjną flotyllę przeciwko Chinom. Dopiero po pewnym czasie dotarło do niego, że nie tylko marynarka amerykańska pływa po tych wodach i nie tylko ona dysponuje rzadko spotykanymi fregatami typu Perry.

–Matko Boska! Szkoda, że Czang Kaj-szek tego nie dożył – mruknął z podziwem, zapomniawszy nagle, że jeszcze parę minut temu chciał jak najszybciej odlecieć z tego rejonu. – W końcu się zdecydowali! Aż mi się nie chce wierzyć, że jednak zdobyli się na odwagę!

–O czym ty mówisz? – zdziwiła się Zellerman.

–Przecież to część floty inwazyjnej, Pyzo! Tajwańczycy włączają się do akcji. Po sześćdziesięciu latach chińscy nacjonałiści postanowili wreszcie powrócić do swych domów!

Rozdział 2

Plaże Czinciang

15 lipca 2006, godz. 3.31 czasu lokalnego

Nad chińskimi plażami eksplozje zlewały się w nieustający grzmot, z nieba spływały potoki ognia. Wojska Kuomintangu poustawiały samobieżne wyrzutnie raketowe na pokładach okrętów desantowych i odpalały salwami ładunki zapalające w kierunku pozycji jednostek obrony wybrzeża.

W tych warunkach, przy niemal zerowej widoczności z powodu siąpiącego deszczu, w ogóle nie można było mówić o celnym ogniu. Biorąc jednak pod uwagę, że eksplozje głowic wyładowanych fosforem szerzyły ogień w promieniu kilkuset metrów, wysoka precyzja naprowadzania nawet nie była potrzebna.

Po twarzy pułkownika Juana Kai z Ludowej Armii Wyzwoleńczej spływały łzy rozpacz i bezradności. Wyglądając przez szczelinę obserwacyjną swego bunkra dowodzenia, stojącego kilometr od plaży, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że oto urzeczywistnia się najgorszy z prześladowających go od dawna koszmarów.

Wielokrotnie ostrzegał swoich przełożonych, wysyłał do sztabu meldunki, w których uzasadniał, że wściekłe psy Kuomintangu są ciągle najpoważniejszym wrogiem chińskiej rewolucji. Ale generałowie byli zanadto pochłonięci uganianiem się za bandyckimi grupami działającymi na południu kraju. Zredukowali siły obrony wybrzeża i ogołocili je z ciężkiego sprzętu, pozbawiając jego żołnierzy możliwości skutecznego działania. A nacjoniści z Tajwanu uważnie to obserwowali i tylko czekali na dogodną chwilę.

Wreszcie te wściekłe psy zdecydowały się skoczyć chińskim obrońcom do gardła.

–Poruczniku! – ryknął Kai przez ramię. – Macie wreszcie to połączenie z Okręgowym Dowództwem Obrony?!

–Nie, towarzyszu pułkowniku. Chyba kable telefoniczne zostały przerwane.

Jego adiutant, wysoki i chudy, zawsze śmiertelnie poważny młody oficer w polowym mundurze maskującym, stał w drugim końcu bunkra i z uwagą obserwował gorączkowe poczynania dwóch radiooperatorów usiłujących nawiązać łączność ze sztabem.

–A co z radiem?!

–Bardzo silne zakłócenia, towarzyszu pułkowniku. Wszystkie kanały są

zablokowane.

–Do diabła! Próbuje dalej! Muszę złożyć meldunek!

Mruczając pod nosem przekleństwa, Kai ponownie wyrzucił przez szczelinę. Po chwili uniósł do oczu lornetkę noktowizyjną i z wolna powiódł nią wzdłuż odcinka bronionego przez jego pułk, próbując zyskać dokładniejsze rozeznanie w rozmiarach nadciągającej katastrofy.

Atak nastąpił bez uprzedzenia. Nocną ciszę niespodziewanie rozdarł huk eksplozji, a odpalone chyba z samolotów rakiety doszczętnie zniszczyły podległą mu stację radarową oraz stanowiska obrony przeciwlotniczej. W ten sposób już po pierwszym nalocie droga dla wojsk desantowych niemalże stanęła otworem.

A kiedy jego żołnierze zaczęli się wysypywać z baraków i zajmować wyznaczone pozycje wzdłuż plaży, z nieba runęła na nich lawina bomb odłamkowych i ładunków napalmu. Teraz zaś te nieliczne pododdziały, którym udało się znaleźć wątpliwe schronienie w przybrzeżnych umocnieniach i bunkrach, zostały zasypane raketowymi pociskami zapalającymi.

Ale w nocnym mroku musiały też działać i inne siły.

W pewnym momencie ziemia silnie zadrżała. Wzdłuż plaży, tuż przed linią przyboju, w powietrze wystrzeliły fontanny wody – dokładnie tam, gdzie pod jej powierzchnią znajdowały się zapory przeciwdesantowe. Bez wątplenia w linii stalowo-betonowych umocnień przegradzających drogę barkom desantowym powstały szerokie wyłomy. Nie ulegało też wątpliwości, że ta saperska robota jest dziełem płetwonurków.

Lada moment na plaży powinny więc wylądować oddziały desantowe.

–Poruczniku! Uzyskaliście w końcu to połączenie?!

–Nie, towarzyszu pułkowniku – odparł cicho adiutant. – Nadal nie można się skontaktować z dowództwem.

–No to wyślijcie łącznika! Niech weźmie któryś ze sztabowych łazików, jeśli choć jeden ocalał. Trzeba jak najszybciej dostarczyć meldunek do Okręgowego Dowództwa Obrony. Niech łącznik przekaże, iż trwają przygotowania do wysadzenia desantu w sektorze dwunastym. Natychmiast potrzebujemy wsparcia! Sytuacja jest krytyczna!

Adiutant bez słowa skinął głową. Pobiegł do wyjścia, w pośpiechu skreślił parę zdań, wyrwał kartkę z notatnika i wydał rozkazy dwóm wartownikom stojącym przy schodach. Żołnierze, chyląc się ku ziemi, wyskoczyli z bunkra i pognali przez plac apelowy koszar.

Niespodziewanie umilkł przeciągły ryk ostrzału raketowego i nastąpiła cisza, nie mniej przerażająca niż wcześniejsze zmasowane bombardowanie. Kai skupił całą uwagę na tonącej w ciemnościach plaży.

Po chwili dostrzegł niewyraźne kanciaste zarysy nadciągających barek desantowych. Flotylla zbliżających się do plaży amfibii przypominała gromadę rozwścieczonych wygłodniałych krokodyli.

Zaterkotał pojedynczy karabin maszynowy, zapewne ustawiony w piwnicznym oknie któregoś z koszarowych budynków. Od strony morza odpowiedział mu stłumiony huk małokalibrowego działka. W drugiej linii sił desantowych zamajaczył większy cień jeszcze innego okrętu zbliżającego się do plaży. Musiała to być jedna z osławionych fregat Tajwańczyków. I jeśli rakiety odpalane salwami z pokładów transportowców można było uznać za odpowiednik artylerii polowej, to pięciocalowe działka eskortowej fregaty były niczym karabiny snajperów, mających za zadanie likwidację ostatnich punktów oporu sił obrony wybrzeża.

Niech szlag trafi całe dowództwo okręgu! – pomyślał Kai. Gdzie się podziała osłona powietrzna, przewidziana na wypadek lądowania wojsk inwazyjnych? Gdzie była artyleria? Gdzie kutry torpedowe?

Pierwszy szereg amfibii desantowych zatrzymał się na linii przyboju. Po chwili znad burt łodzi odpalono rakiety, ale nie niosły one zwykłych ładunków ciężkie pociski ciągnęły za sobą grube czarne kable. Kai szybko się domyślił stosowanej przez wroga taktyki. Nie były to kable lecz węże, napętniające się szybko płynnym materiałem wybuchowym. Miały na celu zdetonowanie min przeciwpiechotnych ukrytych w piasku i oczyszczenie drogi w głąb lądu.

Saperzy odpalili ładunki i na plaży zatańczyły błękitnawe ognie, którym towarzyszyły drobne, prawie niewidoczne detonacje min. W ten sposób ostatnia linia zabezpieczeń przeciwdesantowych przestała istnieć.

Zaraz też należące do tajwańskich nacjonalistów amtraki, masywne amerykańskie pojazdy znane również jako LVTP-7, ruszyły dalej. Kiedy gąsienice amfibii zetknęły się z piaskiem, mechanicy błyskawicznie przełączyli napęd ze śrub na koła.

W głębi duszy Kai uporczywie ponawiał prośbę, aby niebo rozjaśnił teraz ogień silników raket odpalanych przez jego żołnierzy i by wrogie pojazdy zatrzymały się na linii fal, ogarnięte pożogą eksplozji.

Ale nic takiego się nie stało. Z morza wyłonił się drugi szereg wozów desantowych, potem trzeci.

Wojska nieprzyjacielskie posuwały się pod osłoną ognia z działek fregaty, której wieżyczki obracano powoli, kierując jeden pocisk za drugim na przybrzeżne

umocnienia obronne. Widząc to, pułkownik w myślach podziękował opatrności, że jego żołnierze mogli się rozproszyć i zająć wybrane pozycje w dość rozległym kompleksie fortyfikacji. W ten sposób łajdacy Czanga musieli poświęcić mnóstwo czasu i amunicji na zdobywanie nie obsadzonych stanowisk i bunkrów.

Nagle jednak Kai spostrzegł w przerażeniu, że ogień z fregaty jest kierowany jedynie na wybrane punkty umocnień. Serce w nim zamarło. Kanonierzy, jakby kierowani przez jakiś tajemniczy system naprowadzania, celowali wyłącznie w te miejsca, gdzie powinny się znajdować pododdziały obrońców.

W żaden sposób nie mógł to być zbieg okoliczności.

–Zdrada! – szepnął Kai.

Wściekłe nacjonalistyczne psy musiały znać plan rozlokowania jego pułku, a mogły go uzyskać jedynie od któregoś z podległych mu oficerów.

–Zdrada! – powtórzył głośniejszym gardłowym głosem.

–Słucham, towarzyszu pułkowniku?

Kai z całej siły huknął pięścią w krawędź szczeliny obserwacyjnej.

–Ci przekłeci nacjonaści zdołali przeniknąć w nasze szeregi, poruczniku! Tylko w ten sposób mogli poznać rozmieszczenie i organizację obrony! W naszym pułku musi być jakiś zawszony zdrajca, który nas sprzedał wrogowi!

–Niemożliwe, towarzyszu pułkowniku – odparł cicho adiutant. – W naszym pułku nie ma żadnych zdrajców.

–Mylisz się, fakty świadczą same za siebie! Oni dokładnie znają najsłabsze punkty naszej obrony, usytuowanie zapór przeciwdesantowych, a nawet plan rozmieszczenia poszczególnych oddziałów! Na pewno jest wśród nas zdrajca, poruczniku!

W zapadłej nagle ciszy złowieszczo rozbrzmiał szcęk przeładowywanej broni.

Kai odwrócił się błyskawicznie, sięgając jednocześnie do kabury. Nie zdążył jednak dobyć broni. Potężne uderzenie w piersi cisnęło go na betonową ścianę bunkra i zważyło z podwyższenia przed szczeliną obserwacyjną. W ostatnim przeblasku świadomości pułkownik odczuł tylko falę przenikliwego bólu i ujrzał swego adiutanta stojącego w wejściu bunkra i kurczowo zaciskającego palce na kolbie pistoletu automatycznego.

Kiedy martwy Kai zwał się na ziemię, porucznik wykonał szybki zwrot, przycisnął

broń do biodra i ponownie nacisnął spust. Dwaj łącznościowcy zdążyli się tylko poderwać z miejsc. Pierwszy sięgał właśnie po swój pistolet, drugi unosił ręce nad głowę.

Kiedy i ci padli zabici, adiutant uniósł nieco broń i resztę pocisków kalibru 7,62 mm wpakował w konsolę łączności. Następnie odrzucił pusty magazynek, pospiesznie załadował kolejny, cofnął się o dwa kroki i ostrożnie wyjrzał zza rogu w głąb korytarza.

Nikogo tam nie było. Panujący na zewnątrz chaos skutecznie zamaskował popełnione w bunkrze morderstwo. Porucznik odetchnął w spokoju i obejrzał się na leżącego pod ścianą dowódcę.

–To ty się myliłeś, pułkowniku – mruknął, jakby chciał się usprawiedliwić przed zbryzganymi krwią betonowymi murami. – Nie ma wśród nas żadnego zdrajcy, jest tylko patriota.

Po chwili porucznik ruszył w stronę wyjścia i chyląc nisko głowę wybiegł z bunkra. Wypełnił swoje zadanie. Pamiętał jednak, że należało jeszcze unieszkodliwić oficera politycznego oraz szefa sztabu pułku, którzy powinni teraz przebywać na rezerwowym stanowisku dowodzenia.

Rozdział 3

Okręt USS "Cunningham", DDG-79

15 lipca 2006, godz. 13.32 czasu lokalnego

Komandor Amanda Lee Garrett ciekawie zerknęła przez ramię głównego mechanika na przesuwające się po ekranie komputera czerwone i żółte prostokąty. Każdy z nich oznaczał takie czy inne uszkodzenia. Wyglądało na to, że wrogi pocisk narobił dość poważnych szkód na okręcie.

–No i jak, McKelsie? Co z naszymi systemami maskującymi?

–Nic nie działa poza wyrzutniami ładunków antyradarowych. Wybuch zniszczył oba transformatory zasilające i główny blok komputera sterowania.

Szczupły, oschły oficer nadzorujący działanie systemów naprowadzających siedział w rozpiętej koszuli mundurowej. Klimatyzacja nie działała, a wentylatory trzeba było wyłączyć, gdyż tylko wpychały do pomieszczenia kłęby dymu błyskawicznie wypełniającego wszelkie zamknięte przestrzenie okrętu. W Bojowym Centrum Informacyjnym panowała temperatura jak w tropikalnej dżungli. Trzeba było zapomnieć o regulaminowych strojach, żeby w ogóle dało się tu wytrzymać. McKelsie przeciągnął dłonią po wilgotnych, dość wyraźnie już przerzedzonych rudych włosach, i kontynuował swój złowieszczy monolog:

–Nie tylko poleciały wszystkie zabezpieczenia, ale w dodatku pożar stwarza groźbę, że niedługo reszta elektroniki usmaży się jak na rożnie. W każdym razie obecnie może nas wykryć nawet najprymitywniejszy sprzęt lokacyjny.

–Niech to cholera! Dix, co się dzieje wokół nas?

Porucznik Dixon Lovejoy Beltrain, główny oficer taktyczny „Księcia”, także siedział przy swojej konsoli rozebrany do pasa. Po jego muskularnym torsie spływały strużki potu.

–Myśliwce zostały zniszczone, pozostałe odpalone przez nie rakiety chybiły celu. W tej chwili panuje spokój.

Jakimś cudem wielkie talerze systemu radarowego Aegis SPY-2A wciąż się obracały, dzięki czemu na głównym ekranie, zajmującym całą tylną ścianę centrum, nadal widoczny był radarowy obraz najbliższego otoczenia niszczyciela.

–Dobre choć to – mruknęła Amanda. W głębi ducha żywiła nadzieję, że skoro zyskali trochę czasu, może uda się naprawić uszkodzenia i odpłynąć z zagrożonego rejonu.

–Krucze gniazdo! Macie już jakieś podejrzenia co do typu nieprzyjacielskiego pocisku?

Mianem „Kruczego gniazda” określano sekcję wywiadu elektronicznego, której dowództwo mieściło się w jednej z czterech dużych wnęk ośmiokątnego centrum informacyjnego. Po chwili w przejściu do tej sekcji stanęła drobna, odznaczająca się chłopięcą figurą porucznik Christine Rendino.

–Tak. To był Ototat Mark trzeci, szefowo. Uzbrojony tylko w jedną głowicę i odpalony z myśliwca.

Mieli więc trochę szczęścia w nieszczęściu. Włoskie Ototaty były napędzane tradycyjnymi silnikami odrzutowymi, toteż ich eksplozja powodowała błyskawiczne spalanie lotniczej benzyny, nie pozostawiały żadne resztki mającego wysoką temperaturę paliwa, które mogłyby wzniecać kolejne pożary i mnożyć zniszczenia spowodowane wybuchem.

Christine podeszła bliżej i zapytała:

–Jakie ponieśliśmy straty?

Jej także dawał się we znaki tropikalny żar. Podwinęła sobie końce bluzy mundurowej pod stanik, odsłaniając brzuch, a na czoło naciągnęła szeroką opaskę, zgarnąwszy do tyłu krótkie słomkowoblond włosy.

–Dość poważne. Rakieta zniszczyła trzecią maszynownię, wysiadło całe sterowanie napędem. I wciąż nie można opanować ognia.

Amandzie również pot spływał po czole, niecierpliwym ruchem zgarnęła go z brwi wierzchem dłoni. Duchota dokuczała jej tak samo, jak wszystkim podwładnym, ale duma kapitana okrętu nie pozwalała jej uczynić nic więcej, niż tylko podwinąć rękawy bluzy i zebrać kasztanowe włosy w mały kucyk za pomocą gumki, którą znalazła w szufladzie stołu mapowego.

–Kapitanie! – rozległ się okrzyk od strony stanowiska dowodzenia. – Utraciliśmy też automatyczną kontrolę nad sterem i turbinami. Stoimy w dryfie, okręt w ogóle nie reaguje na polecenia z mostka.

–Jasna cholera!

Amanda podbiegła do stanowiska sterowego. Główny mechanik sprawdzał na komputerze stan poszczególnych urządzeń kontrolnych. Na szczęście zwalisty porucznik Thomson nie miał służby i nie było go w sterówce maszynowni, kiedy zostali trafieni.

–Oho, mamy uszkodzenia w dwóch głównych ciągach kabli. Wybuch głowicy uszkodził pancierz prawej burty, a późniejszy pożar spowodował liczne zwarcia w drugim ciągu na niższym pokładzie. Nawet automaty halonowe nie zdołały temu zapobiec. Ogień nadal się rozprzestrzenia, ponieważ została naruszona hermetyczność sekcji.

A to oznaczało, że uszkodzeniu uległ także elektryczny rdzeń kręgowy „Cunninghama”.

–W jakim stanie jest główny hangar?

–Bezpośrednio nie ucierpiał, ale tuż pod nim szaleje pożar. Niewykluczone, że zagrożone są już zbiorniki paliwa lotniczego, jak również zbrojownia helikopterów. W każdym razie trzeba pilnować, żeby nie zrobiło się tam za gorąco.

–Czy pompy w tych przedziałach są sprawne?

–Na razie tak.

–Proszę uzbroić system zatapiania i czekać na rozkaz.

–Tak jest, kapitanie.

Tylne drzwi mostku otworzyły się z hukiem, wraz z kłębem białego duszącego dymu do środka wpadł marynarz w masce przeciwgazowej. Amanda pospiesznie zatrzęsnęła za nim włącznik i opuściła lewar zamka.

–Meldunek z DC Alfa Delta – wycedził marynarz, z trudem łapiąc oddech. – Wszyscy oficerowie wachtowi w maszynowni zginęli bądź nie można ich odnaleźć, pani kapitan... To znaczy ci, którzy przebywali w chwili trafienia w trzeciej maszynowni i w sterówce. Porucznik Nelson kazał powiadomić, że ogień został zatrzymany na granicy sekcji dziewiętnastej, ale nie da się go na razie stłumić.

–Jakie są uszkodzenia pancierza?

–Mamy dziurę w prawej burcie, w sekcji dwudziestej, pani kapitan... Mniej więcej dwa na półtora metra, tuż nad linią zanurzenia.

–Są jakieś postępy w gaszeniu pożaru od strony rufy?

–Nie mamy łączności z Delta Fox. Wiemy na pewno, że walczą z ogniem, ale nic więcej nie umiem powiedzieć.

Amanda z trudem przełknęła mocniejsze przekleństwo. Nie działał interkom, szalejące płomienie uniemożliwiały wykorzystanie tuby, toteż w centrum więcej było

wiadomo o tym, co się dzieje dwieście mil dalej na oceanie, niż na rufie uszkodzonego okrętu.

–Kapitanie! – zawołał Thomson ze stanowiska sterowego. – Pojawiło się ostrzeżenie o zbyt wysokiej temperaturze w zbrojowni helikopterów.

–Zatopić sekcję!

–Ale dodatkowe obciążenie sprawi, że dziura w burcie znajdzie się poniżej linii zanurzenia, kapitanie. Istnieje ryzyko, że wskutek naruszenia hermetyczności będziemy mieli niekontrolowany przeciek w całej części rufowej.

–Liczę się z tym. Trochę wody nam nie zaszkodzi, poruczniku, na pewno mniej niż ogień.

–Kapitanie – odezwał się stojący przy niej marynarz. – Za grodzia rufową wciąż krążą drużyny rozesłane przez porucznika Nelsona na poszukiwanie rannych.

–Wstrzymać zatapianie! – Amanda dźgnęła palcem w pierś marynarza. – Wracaj na dół i przekaz Nelsonowi, że ma... – Zastanowiła się przez chwilę, ile mogą wytrzymać głowice bojowe w magazynie silnie nagrzewanym przez rozprzestrzeniający się dookoła pożar. Trzy minuty? – ...ma dwie minuty na ściągnięcie swoich ludzi za grodz i odcięcie całej sekcji. A potem górnym pokładem pędź na rufę i powiadom dowódcę Delta Fox, że musimy zatopić zbrojownię helikopterów. Jasne? Ruszaj!

–Tak jest!

Marynarz błyskawicznie naciągnął z powrotem maskę na twarz i śmiało skoczył w przypominające litą ścianę kłęby dymu za wyjściem z centrum informacyjnego.

Atmosfera w pomieszczeniu robiła się nieznośna. Amanda przez chwilę rozważała, czy nie wydać rozkazu włożenia masek przeciwgazowych, zaraz jednak zapomniała o gryzącym w gardle dymie i ponownie skierowała uwagę na ekran komputera kontrolnego.

Przede wszystkim należało przywrócić okrętowi zdolność poruszania się. Dzięki Bogu nie było to szczególnie skomplikowane zadanie. „Cunningham”, podobnie jak inne niszczyciele tej klasy, dysponował zintegrowanym napędem elektrycznym. Jego główne silniki rozmieszczone były po obu stronach kadłuba w wysuniętych na wspornikach gondolach, do złudzenia przypominających konstrukcje stosowane w sterowcach. Nie było żadnych wałów napędowych, których łożyska wiecznie podciekały wodą, ani mogących wybuchnąć kotłów parowych. Teraz pozostawało jedynie doprowadzić do nich awaryjne zasilanie.

Wskazując odpowiednie miejsca na wyświetlanym schemacie, Amanda powiedziała:

–Musimy zrobić prowizoryczne doprowadzenie mocy od transformatorów z drugiej sekcji generatorów do skrzynki rozdzielczej zasilania napędu przy wrędze dwudziestej drugiej. Stamtąd będzie można przeciągnąć drugi komplet kabli do sterówki i w ten sposób odzyskać kontrolę nad silnikami oraz sterem.

–Z tym nie powinno być żadnych kłopotów – odparł Thomson. – Boję się tylko o tę skrzynkę rozdzielczą. Jest przytwierdzona bezpośrednio do grodzi, za którą szaleje ogień. Lada moment będzie tam woda. Bóg jeden raczy wiedzieć, czy to wszystko wytrzyma. Chyba powinienem tam pójść i osobiście sprawdzić jej stan.

–Ja się tym zajmę, szefie – zakomunikowała Amanda. – Powiadom komandora Hiro na mostku, że przejmuje dowodzenie.

–Proszę wybaczyć, pani kapitan, ale nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

–Szefie, jesteś jedynym oficerem mechanikiem, jaki nam pozostał. Teraz tu jest twoje miejsce, a to znaczy, że powinnam iść ja. Pomagałam przy projektowaniu układu napędowego „Księcia”, toteż ocena uszkodzeń nie sprawi mi większych trudności. Poza tym chcę się rozejrzeć po okręcie i przekonać, na ile rzeczywiście groźna jest nasza sytuacja.

–Według rozkazu, kapitanie.

–Przyślę łącznika z wiadomością o tym, co się dzieje pod pokładem. Zajmij się zatapianiem zbrojowni i spróbuj jakoś uruchomić interkom. Idę na rufę.

Ze stojaka przy wyjściu zdjęła swoją maskę przeciwgazową, wyciągnęła plastikowe zatyczki z wlotów filtrów i włożyła ją na głowę. Wzięła także latarkę, otworzyła właz i śmiało zanurkowała w wypełniony białym dymem korytarz.

Wśród oficerów wypełniających zadania w centrum informacyjnym było także dwóch, którzy nie krzżeli się gorączkowo przy swoich pulpitych. Pierwszy z nich nosił stopień komandora-porucznika, drugi kapitana. Do tej pory stali obaj przy grodzi, w milczeniu obserwując wytężoną pracę kolegów i koleżanek z dyżurującej wachty. Teraz porozumieli się wzrokiem, starszy z nich zdjął maskę ze stojaka, po czym ruszył za dowódcą.

Latarka okazała się mało pomocna w zadymionych wnętrzach, strumień światła grzał w odległości pół metra. Ale dla Amandy nie miało to większego znaczenia, gdyż znała rozkład korytarzy „Księcia” na pamięć.

Z zewsząd dolatywał warkot pił spalinowych i walenie młotkami, brygady remontowe ustawiały drewniane podpory i stemple. Amanda zawahała się na chwilę w rozwidleniu korytarza, po czym ruszyła w stronę drabinki prowadzącej na wyższy pokład.

Mesa oficerska „Cunninghama” została przekształcona w tymczasowy punkt sanitarny. Na niewielkiej przestrzeni stały jedno przy drugim nosze, wokół nich walały się opakowania materiałów opatrunkowych i fiolki po zastrzykach. Wśród jęczących poranionych marynarzy krążyła pokładowa sanitariuszka, Bonnie Robinson, ale do jej głównych zajęć należało tylko zbieranie informacji o rodzaju obrażeń.

Najważniejszy w tym prowizorycznym szpitalu był komandor-porucznik Daniel „Doc” Golden, najmłodszy stażem członek załogi „Księcia”. Dyplomowani lekarze marynarki wyjątkowo dostawali przydział na pokład liniowego niszczyciela. Normalnie dowódcy okrętów musieli się zadowolić obecnością sanitariuszy i liczyć na to, że ciężiej chorych bądź rannych uda się odesłać na ląd śmigłowcem lub szalupą.

Ale „Cunningham” był jednostką przeznaczoną do samodzielnych zadań, a nieustępliwa komandor Garrett umiała to wykorzystać. Podczas ostatniego rejsu z powodu nieobecności lekarza na pokładzie straciła człowieka, toteż wywalczyła przydział Goldena do swojej załogi tłumacząc, że nie można dopuścić, aby taka sytuacja się powtórzyła.

–Ilu mamy rannych, Doc? – spytała, zdjawszy maskę.

–Nawet niezbyt wielu – odparł Golden, rozrywając kolejne opakowanie bandaża. – Ale w przejściu do maszynowni leżą poukładane zwłoki poległych w akcji.

Pracował ze zwykłą dla siebie młodzieńczą werwą, chociaż pokaźna łysina bardzo utrudniała określenie jego wieku. Wobec niespodziewanego wyzwania ten notoryczny flegmatyk działał z precyzją wytrawnego profesjonalisty.

–W jakim stanie są ci, którymi się zaopiekowałeś?

–Typowe urazy w tej sytuacji, głównie oparzenia i podrażnienia układu oddechowego. Coraz więcej marynarzy zatrzuwa się dymem.

Jakby na dowód tego twierdzenia otworzyły się drzwi i wraz z kłębem dymu do mesy weszło dwóch marynarzy prowadzących między sobą ślaniającą się na nogach kobietę.

–Zatrucie?

–Tak, doktorze. Miała nieszczelną maskę.

–Posadźcie ją tam w rogu i włóżcie jej maskę tlenową. Robinson! Mamy kolejnego klienta!

–Tak jest.

Golden obrócił się z powrotem do dowódcy.

–Skoro już o tym mowa, pani kapitan, tutejsza atmosfera zaczyna mi przypominać hotel „Ramada Inn” w Miami Beach, który kiedyś nieopatrznie odwiedziłem. Klimatyzacja nie działa, a bulajów nie da się otworzyć. Proszę o zgodę na rozpoczęcie ewakuacji rannych na główny pokład. Tym ludziom przede wszystkim potrzeba świeżego powietrza.

Amanda zamyśliła się na chwilę.

–Odmawiam. Znajdujemy się nadal w strefie bezpośredniego zagrożenia. Niewykluczone, że znów będziemy musieli podjąć walkę. Nie chcę mieć na pokładzie nikogo zbędnego.

–Kapitanie...

–Postarajcie się tu wytrzymać tak długo, jak tylko się da. Powiadomcie mnie, jeśli ewakuacja okaże się absolutnie konieczna. To wszystko, doktorze.

–Rozkaz, kapitanie.

Amanda z powrotem naciągnęła maskę i wyszła z mesy. Oficer, który w tajemnicy podążał za nią i z oddali przysłuchiwał się rozmowie z lekarzem, także ruszył dalej.

Garrett zbiegła z powrotem na niższy pokład i skierowała się w stronę rufy, z nadzwyczajną swobodą przemierzając zapełnione gęstym dymem korytarze. Nie mogąc niczego dostrzec, instynktownie przestępowała nad wijącymi się węzami oraz pękami kabli i omijała pootwierane klapy przedziałów technicznych, gdyż w jej pamięci właśnie w danym miejscu powinny się one znajdować.

Minąwszy kolejną śluzę wyczuła, że otwiera się przed nią rozleglejsza przestrzeń, pojęła więc natychmiast, że dotarła do hangaru śmigłowców. Pospiesznie skręciła w lewo i wodząc palcami po grodzi odmierzyła dziesięć kroków w stronę sterburty. Była niemal pewna, że gdzieś tu powinna się natknąć na szukanego człowieka.

–Arkady? – zawołała po chwili.

–Tutaj, kapitanie!

Dopiero teraz wyłowiła z kłębow dymu niewyraźny zarys postaci, domyślała się jednak, że pilot jak zawsze jest ubrany w szary jednoczęściowy kombinezon lotniczy. Miał sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, był niewiele wyższy od niej, kiedy więc podeszła bliżej i popatrzyła mu w twarz, ujrzała za szklami maski jak zwykle bystre i żywe, niebieskie oczy. Krótko mówiąc, porucznika Vince’a Arkadego знаła tak samo dobrze, jak swój okręt.

–Jaka jest sytuacja w hangarze?

–Całkiem dosłownie gorąca, kapitanie. Nie stwierdziliśmy żadnych przecieków, ale pod nami szaleje ogień, musimy ciągle polewać wodą pokład.

–Zamierzamy przeciągnąć prowizoryczne połączenia, które umożliwiłyby odzyskanie kontroli nad silnikami i położeniem steru. Trwają jeszcze przygotowania, ale bądź gotów odesłać swoich ludzi do pomocy drużynie elektryków.

–Jasne.

–I koniecznie trzeba przewietrzyć te pomieszczenia. Spróbujcie opuścić nieco windę towarową, żeby dym miał którądy wylatywać.

–Już o tym myśleliśmy, kapitanie, ale nie ma zasilania. Próbujemy teraz jakoś podłączyć zasilanie awaryjne.

–To zbyt pracochłonne, windę trzeba opuścić jak najszybciej. Powybijajcie sworznie zabezpieczające i zmniejszcie ciśnienie w zbiornikach hydraulicznych, a wtedy pomost dźwigowy powinien choć trochę opaść pod własnym ciężarem. Jeśli i to nie poskutkuje, znajdźcie jakieś łomy i odchylcie go na siłę.

–Tak jest. – Położył jej dłoń na ramieniu i ścisnął lekko, zaraz jednak odwrócił się i pobiegł w głąb hangaru, wykrzykując rozkazy niewidocznej w kłębach dymu załodze.

Amanda poszła dalej wzdłuż grodzi. Minęła obło zakończony dziób „Pazia zero jeden”, jednego z dwóch śmigłowców typu SAH-66 Sea Comanche będących na wyposażeniu sekcji lotniczej „Cunninghama”. Po chwili zamajaczył przed nią żółtawy owal śluzy, za którą znajdowała się prawa rufowa studnia wentylacyjna. Wypełniało ją czyste, klarowne powietrze.

Ściągnawszy z głowy maskę, pozwoliła sobie na luksus zaczerpnięcia kilku głębszych oddechów. Morska bryza w zetknięciu z wilgotną, przepoconą bluzą mundurową przyniosła jej radosne orzeźwienie. Lecz Amanda nie mogła się zbyt długo cieszyć tym wrażeniem. Całkowicie ignorując zasępionego mężczyznę, który wyłonił się za jej plecami z zadymionego hangaru, poszła dalej. Okrążyła podstawę rufowej wieżyczki działowej i zbiegła na niższy pokład.

Tutaj, w części sterowej, powietrze było znacznie czystsze, lecz jak zwykle panował typowy dla dolnych pokładów półmrok. Mimo to bez większych trudności znalazła trzy poziomy niższe stanowisko dowódcy ekip technicznych.

–Jesteśmy prawie gotowi, pani kapitan – zameldował oficer pracujący przy blasku latarki. – Grodz sekcji dwudziestej trzeciej trzyma, nie znaleźliśmy żadnych nieszczelności. Silnik steru jest w porządku, moi ludzie sprawdzają obecnie szyby

prowadzące do obu gondoli silników napędowych. Do tej pory nie wykryli żadnego uszkodzenia. Potrzeba nam tylko mocy i wszystko będzie w najlepszym porządku.

–Dostaniecie ją. Zaraz powinni się zjawić elektrycy ciągnący dodatkowe kable zasilania.

–Wspaniale! Hej, Wheeler! Otwieraj główną skrzynkę rozdzielczą! Reichsbower, szykuj zewnętrzne podłączenie zasilania do napędu steru! Reszta niech się zajmie sprawdzaniem bezpieczników i gniazd połączeniowych kontroli i sterowania. Ruszać się!

–Hej, szefie! – wrzasnął z korytarza marynarz, któremu dowódca rozkazał otworzyć skrzynkę rozdzielczą. – Niech pan tu przyjdzie! Szybko!

Dowódca ruszył w tamtą stronę, Amanda pospieszyła za nim.

Wheeler klęczał na pokładzie przy wpuszczonej w ściankę skrzynce rozdzielczej. Światło latarki kierował na szeregi styków oklejonych na krzyż szeroką niebieską taśmą samoprzylepną.

–Jasna cholera! – warknął oficer. – Skrzynka uszkodzona przez wodę.

Amanda w zamyśleniu pokiwała głową.

–Pęknięta grodzień albo przeciek spod poszycia. Powinam się domyślić, że to nie będzie takie proste. Dobra, zmieniamy plan działania. Przeciągniemy kable zasilające od generatorów maszynowni pierwszej. Doprowadzimy z nich prąd do silnika sterburty, a na bakburtę damy zasilanie z maszynowni drugiej, zwierając na krótko styki w skrzynce u wylotu szybu technicznego. Pracą silników będziemy sterować bezpośrednio, poprzez regulację mocy wyjściowej generatorów.

Obróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku schodów.

–Muszę przekazać nowe rozkazy drużynie elektryków – rzuciła przez ramię. – A wy przygotujcie się do zrobienia prowizorycznych podłączeń w skrzynkach rozdzielczych u wylotu szybów obu silników.

–Proszę zaczekać, kapitanie Garrett. Chyba szkoda marnować czas – zawołał milczący dotąd oficer, wkraczając w wąski krąg światła jej latarki. – Moim zdaniem możemy już zakończyć ten etap.

Amanda zaczerpnęła głęboko powietrza.

–Tak jest!

Pospiesznie skierowała się do najbliższego panelu „uszkodzonego” interkomu i wcisnęła klawisz.

–Mostek?

–Słucham, mostek – popłynął z głośnika czysty, lekko tylko zniekształcony głos jej zastępcy, komandora-porucznika Kennetha Hiro.

–Mówi kapitan. Już po wszystkim, Ken. Odwołaj alarm pożarowy. Doskonale się spisaliście.

Chwilę później głośny trzask oznajmił włączenie megafonów.

–Uwaga, wszystkie drużyny! Alarm pożarowy odwołany. Powtarzam: alarm pożarowy odwołany. Główna sterownia, włączyć zasilanie obwodów. Brygady remontowe, wyłączyć generatory dymu i pompy. Przystąpić do porządkowania sekcji i przewietrzyć cały okręt. Pierwsza dama dziękuje wszystkim za wzorowe wykonanie zadania.

Po kilku sekundach zajaśniały szeregi jarzeniówek pod sufitem, ich blask aż zakłuł w nawykłe do półmroku oczy ludzi. Zahuczały wentylatory, z szybów wentylacyjnych popłynęło czyste orzeźwiające powietrze. Smugi gęstego białego dymu poczęły szybko znikać, odsłaniając coraz dalsze partie metalowych ścian korytarza.

–Mam nadzieję, że nie kazałam przedwcześnie podziękować ludziom za dobrą robotę, kapitanie Johansson – powiedziała Amanda, odwracając się od panelu interkomu.

–W żadnej mierze – odparł oficer inspekcyjny. – Oczywiście, będziemy jeszcze musieli formalnie skontrolować działania poszczególnych zespołów, ale ponieważ dzisiejszy sprawdzian obejmował z grubsza te same zadania, które pani załoga wykonywała przez cały ubiegły tydzień, nie sądzę, aby ktoś z grupy inspekcyjnej zgłosił jakieś zastrzeżenia. – Wyciągnąwszy rękę, dodał: – Gratuluję, kapitanie. Naprawdę spisaliście się na piątkę. Według mnie jesteście gotowi do wyjścia w morze.

W grupie stojących nieopodal marynarzy rozległ się stłumiony pomruk zadowolenia. Wiadomo było, że w ciągu paru minut wieść o pomyślnym zakończeniu ćwiczeń rozejdzie się po wszystkich pokładach, od dziobu po rufę.

Amanda ruszyła z powrotem na górę. Mijała drużyny zdejmujące maski przeciwgazowe i odkładające na miejsce sprzęt ratowniczy. Tym razem nie musiała się spieszyć, wyszła więc na górny pokład, żeby głęboko odetchnąć wilgotnym powietrzem, które lekka bryza niosła znad otwartego Pacyfiku.

„Cunningham” stał na kotwicy we wschodnim basenie portu w Pearl Harbor, gdzie przez ubiegły tydzień cała załoga zaciekle walczyła o uzyskanie najwyższych not w marynarce wojennej. Olbrzymi niszczyciel rakietowy wyszedł niedawno ze stoczni remontowej, do której musiał zawinąć po krótkich acz intensywnych starciach na południowym Atlantyku, kiedy to pełnił rolę jedyne amerykańskiego okrętu zaangażowanego bezpośrednio w militarny konflikt z Argentyną.

Mimo że na załogę „Cunninghama” po zakończeniu owej antarktycznej kampanii spłynęło sporo zaszczytów, włącznie ze specjalnym listem dziękczynnym samego prezydenta, to jednak teraz podczas rutynowej inspekcji „Księżę” musiał udowodnić, że znów jest gotów do wyjścia w morze.

Przez miesiąc Amanda i jej ludzie zaangażowani byli w rozmaite, zazwyczaj nudne ćwiczenia, obejmujące różne dziedziny, od strzelania do celu bądź obsługi i naprawy silników, po zwiad powietrzny czy zwalczanie łodzi podwodnych. Ostatni tydzień poświęcony był szkoleniu w zakresie gaszenia pożarów i usuwania zniszczeń. Kiedy dobiegło ono końca, niszczyciel mógł wreszcie wyruszyć w swój kolejny rejs patrolowy, tym razem na zachodni Pacyfik.

Kapitan Garrett obróciła się w stronę dziobu. Zgodnie z jej rozkazami pokrywa luku windowego helikopterów została uchylona. Wydobywający się spod niej biały, jakby smolisty, ale całkowicie nieszkodliwy dla ludzi dym z ćwiczebnych generatorów upodabniał ją do buchającego parą krateru wygasłego wulkanu.

Nieco dalej, już pod samą tylną ścianą głównej nadbudówki, strzelał w niebo maszt antenowy, który przypominał lekko pochyloną, oksydowaną klingę gigantycznego sztyletu. Jego koniec wskutek delikatnego kołysania się okrętu na falach zataczał na tle błękitnego hawajskiego nieba wydłużoną elipsę.

Tu i ówdzie z luków zaczęli się wysypywać na pokład spoceni i zmęczeni, ale uśmiechnięci marynarze. Pierwszą liczniejszą grupę stanowili niedawni „pacjenci” Doca Goldena. Wszyscy uczciwie zasłużyli sobie na odpoczynek w mieście, ale na razie, dopóki na niszczycielu nie zapanował jeszcze wzorowy ład i porządek, musieli się zadowolić jedynie krótkim pobytem na świeżym powietrzu.

W wejściu na lądowisko helikopterów pojawił się Vince Arkady. Na widok Amandy uśmiechnął się od ucha do ucha, powoli ruszył w jej kierunku, a po chwili wyrzucił obie ręce nad głowę i jął zabawnie podskakiwać, naśladując taniec boksera fetującego zwycięstwo pośrodku ringu.

Amanda zaśmiała się w głos i odpowiedziała podobnym, nieco tylko stonowanym gestem. Sięgnęła na tył głowy i ściągnęła gumkę, opasującą jej niedbały koński ogon. Podeszła do relingu, wychyliła się nieco i potrząsnawszy głową rozrzuciła włosy.

Rozdział 4

Biały Dom, Waszyngton, USA

15 lipca 2006, godz. 20.32 czasu lokalnego

W stolicy nastąpiła najprzyjemniejsza pora dnia, kiedy to wraz z zachodem słońca zniknął parny upał jak w przegrzanej saunie, ustępując miejsca przedwieczornemu orzeźwiającaemu chładowi. Sekretarz stanu, Harrison Van Lynden, nie miał jednak czasu, żeby się tym nacieszyć. Siedział w swoim służbowym samochodzie. Kierowca minął właśnie wartę przy bramie i długą, biegnącą półkoliście alejką podjechał przed południowy portal Białego Domu.

Tuż przed nimi zabłysły światła stopu innego auta, którym przybywał kolejny członek sztabu kryzysowego. Po chwili wysiadła z niego kobieta. Van Lynden od razu rozpoznał Lane Ashley, dyrektor Krajowej Agencji Bezpieczeństwa, która obejrzała się w jego stronę i przełożywszy aktówkę do lewej ręki, zaczęła na niego przy schodach.

–Życzę powodzenia – pożegnał go kierowca ze służby bezpieczeństwa. – Pewnie będzie potrzebne, chociaż zupełnie nie mam pojęcia, o co tym razem chodzi.

–Oglądaj dziennik CNN, Frank. Zapewne reporterzy wiedzą już znacznie więcej ode mnie.

–Gdzie cię złapali dzisiaj rano? – zapytała Ashley, kiedy pospiesznie ruszyli wyłożonym grubą wykładziną korytarzem w kierunku skrzydła zajmowanego przez prezydenta.

–W trakcie przygotowań do bardzo męczącego spotkania z premierem Belgii. Ten człowiek powinien się znaleźć na liście dziesięciu najnudniejszych polityków Europy.

–I tak miałeś szczęście. – Lekko siwiejąca, postawna blondynka głośno westchnęła.
– Ja z Brianem szykowałam się już do odlotu na zachodnie wybrzeże na ślub syna.

–Dzisiaj nikt z nas nie miał szczęścia, Lane. Otwarto w końcu tę puszkę Pandory.

Zamilkli oboje, podchodząc do wartowników trzymających straż przed drzwiami windy. Mimo że już wielokrotnie pokonywali tę drogę w czasie obecnej kadencji prezydenckiej, oficer służby bezpieczeństwa starannie porównał typowe jankeskie rysy Van Lyndena z fotografią przyklejoną na jego identyfikatorze. Następnie z zawodową podejrzliwością przeciągnął czytnikiem po umieszczonym pod zdjęciem pasku magnetycznym.

Cichy wibrujący sygnał komputera potwierdził, że sekretarz stanu jest tym człowiekiem, za którego się podaje. Tej samej procedurze identyfikacyjnej została poddana dyrektor agencji, po czym wpuszczono ich oboje do windy, zjeżdżającej na jeszcze pilniej strzeżone podziemne piętro Białego Domu.

–Zdołałeś z tych fragmentarycznych informacji poskładać jakąś sensowną całość? – zapytała Ashley, kiedy winda ruszyła.

–Mniej więcej. Nie sądzę jednak, żeby starego choć trochę uradowały nowiny.

Ciemnoskóry Benton Childress, barczysty i potężnie zbudowany, odznaczał się wyraźną skłonnością do tycia. Z upodobaniem nosił niemodne tweedowe garnitury i okulary w pozłacanej drucianej oprawce, upodabniając się tym samym do stereotypowego nauczyciela historii. Zresztą był nim w przeszłości. Później jednak ukończył akademię Rhodesa, zdobył stopień podpułkownika w formacjach przeciwlotniczych Gwardii Narodowej stanu Missouri i został wybrany na stanowisko burmistrza jednego z wielkich miast Środkowego Zachodu. Obecnie zaś był czterdziestym czwartym prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Teraz także popatrzył znad krawędzi okularów na swój trzyosobowy sztab kryzysowy takim wzrokiem, jakby miał przed sobą gromadkę niezbyt pilnych uczniów.

–Panno Lane, panowie – zaczął. – Jak to możliwe, do diabła, że o niczym wcześniej nie wiedzieliśmy?

Podobnie jak inny oficer Gwardii Narodowej z Missouri, który wcześniej zasiadał w Ovalnym Gabinetce, Childress uwielbiał mówić krótko i zwięźle prostym, niemal żołnierskim językiem.

–Mieliśmy za dużo zadań do wykonania i zbyt skąpe siły – odparła Ashley, śmiało patrząc prezydentowi prosto w oczy. W drodze do najwyższych szczytów musiała pokonać całą starą gwardię kierownictwa CIA, więc i ona zdążyła się nauczyć mówić krótko, najprostszymi zdaniem. – Większość naszych obserwatorów z rejonu zachodniego Pacyfiku koncentrowała się na wydarzeniach zachodzących na kontynencie, w Chinach. Nikt nie zwrócił uwagi na to, co za naszymi plecami szykują Tajwańczycy.

Po ostatnich przeróbkach prezydencki gabinet zyskał wystrój z naturalnego drewna czereśniowego; dotyczyło to zarówno boazerii, jak też olbrzymiego stołu konferencyjnego i krzeseł. W połączeniu z ciepłym niebieskim odcieniem dywanu stwarzało to atmosferę starej, edwardiańskiej elegancji, którą mącił jedynie stojący w rogu rozbudowany system komputerowy i pozawieszane na trzech ścianach monitory o płaskim ekranie. Doskonale wyregulowany klimatyzator w najmniejszym

stopniu nie pozwalał odczuć, że sala znajduje się ponad sześć metrów pod ziemią.

– Jest jeszcze jeden ważny element, panie prezydencie – wtrącił Van Lynden. – Kiedy wojna domowa w Chinach nabierała rozmachu, władze Tajwanu ogłosiły stan podwyższonej gotowości wojska. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy podobno mnożyły się rozmaite prowokacje ze strony komunistów. Zakłócano łączność radiową, wywoływano alarmy radarowych systemów wczesnego ostrzegania, dochodziło nawet do sporadycznych ostrzałów prowadzonych z kutrów torpedowych bądź samolotów. W efekcie na Tajwanie zmobilizowano rezerwistów i kilkakrotnie organizowano pokazowe manewry. Ale z uwagi na sytuację w Chinach uważaliśmy te kroki za całkowicie uzasadnione. Teraz jednak nie ulega wątpliwości, że pod pozorem przeprowadzania ćwiczeń poczyniono wszelkie przygotowania do inwazji.

– Niektórym ta sytuacja była bardzo na rękę. – Prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa, Sam Hanson, z siwymi włosami przyciętymi na jeża, noszący się prosto jak struna, mógł nadal uchodzić za czynnego oficera marines, gdzie służył przez trzydzieści lat. Już w pierwszych dniach kadencji Childressa został przeniesiony ze stanowiska przewodniczącego połączonych szefostw sztabów do gabinetu w Białym Domu. – Może warto by dokładnie przeanalizować niektóre z owych... akcji prowokacyjnych.

– Nie sądzę, aby to cokolwiek zmieniło, Sam – odparła Ashley. – Wiemy, że liczni oficerowie chińskiej Ludowej Armii Wyzwoleńczej nie tylko sympatyzują z rebeliantami, ale też ściśle z nimi współpracują. Zapewne bez większego trudu można było z zewnątrz zainicjować takie prowokacje.

– Trudno też wykluczyć, że chodziło o autentyczne działania zaczepne – wtrącił Van Lynden. – Ostatecznie przez wiele lat chińscy komuniści wciąż prowokowali władze tajwańskie. Być może chcieli w ten sposób odstraszyć nacjonalistów przed angażowaniem się w konflikt, lecz wywołali całkowicie odmienną reakcję. Tak czy inaczej, moim zdaniem teraz to już nie ma większego znaczenia.

– Masz rację, Harry – przyznał Childress. – Ja również uważam, że dokonywanie w poniedziałek rano analizy wydarzeń z ubiegłego tygodnia w niczym nam nie pomoże. Lepiej się przekonajmy, jaki będzie rozwój wydarzeń, i spróbujmy zdecydować, co powinniśmy uczynić. Mam nadzieję, że dyrektor Ashley przygotowała dla nas krótki przegląd sytuacji.

– Oczywiście, panie prezydencie. – Lane obejrzała się na technika siedzącego w kącie sali. – Poproszę pierwszą mapę.

Światła pod sufitem przygasły.

Na wielkim ekranie przed członkami sztabu wyświetliła się komputerowa mapa Chin

i krajów ościennych.

Od południowego wybrzeża, na odcinku od Szantou aż po granicę wietnamską, w głąb lądu do prowincji Syczuan obszar był zaznaczony na żółto. Mandżuria i północna część centralnych Chin oraz Hainan, wielka wyspa na południu, odcinały się jaskrawą czerwienią. Natomiast zachodnia część kraju stanowiła pstrokatą mozaikę obu kolorów.

–Według naszych informacji tak się przedstawiają granice stref kontrolowanych przez oba przeciwstawne obozy. Rebelianci, którzy nazywają siebie Zjednoczonym Frontem Demokratycznym, opanowali głównie południowo-wschodnie Chiny, a ich najważniejsze bazy znajdują się w rejonie Kantonu i Hongkongu. Komuniści zachowali władzę w Pekinie i północno-wschodniej części kraju.

–W przybliżeniu zgadza się to z prastarym podziałem kulturowym – wtrącił Van Lynden. – Głównym pożywieniem na północy jest pszenica, na południu ryż.

–To prawda – przyznała Ashley. – W zachodnich prowincjach sytuacja jest niezmiernie skomplikowana. Na wschodzie toczyła się mniej czy bardziej otwarta wojna domowa, ale w głębi kraju przerodziła się ona w szereg lokalnych konfliktów i starć pomiędzy różnorodnymi ugrupowaniami etnicznymi, frakcjami politycznymi czy potomkami dawnych władców plemiennych i feudałów. Większość tamtejszych oddziałów zbrojnych opowiada się albo za rządem z Pekinu, albo za rebeliantami, ale zarazem wszystkie walczą o jakieś własne interesy. Naszym zdaniem nawet oficjalne chińskie władze nie wiedzą dokładnie, jak wygląda sytuacja. W rejonie transgobijskim całkowicie przerwana została łączność niektórych prowincji ze stolicą. A ponieważ dotyczy to obszaru o powierzchni setek tysięcy kilometrów kwadratowych, łączność tych ziem ze światem może zostać odtworzona dopiero za kilka lat, przy czym istnieje obawa, że wówczas będziemy mieć do czynienia z całkowicie niezależnymi, nowymi państwami.

–Na razie przysparzają dość kłopotu te, które już istnieją – mruknął prezydent. – Proszę mówić dalej, panno Ashley.

–Pierwsze masowe protesty ludności cywilnej w okolicach Kantonu i Hongkongu mniej więcej dwa lata temu przerodziły się w otwartą wojnę domową. Bezpośrednim pretekstem buntu stała się wielka fala zastępowania przedstawicieli lokalnych władz Chińczykami z północy i astronomiczny wzrost podatków ściąganych przez rząd w Pekinie z dochodów licznych specjalnych stref ekonomicznych wokół Kantonu. Kiedy tamtejsze jednostki komunistycznej armii dostały rozkaz szybkiego i bezwzględnie stłumienia zamieszek, spotkał się on z powszechnym sprzeciwem, co doprowadziło do tak zwanego buntu pułkowników, którzy przeszli z podległymi im formacjami na stronę rebeliantów. Przywódcy powstałego Chińskiego Zjednoczonego Frontu Demokratycznego pośpiesznie utworzyli rząd w celu

administrowania obszarami objętymi powstaniem. Po pierwszych sukcesach rebelianckiej armii nastąpił w przybliżeniu półroczny okres spokoju i ustabilizowała się linia frontu, gdyż olbrzymia liczebność wojsk powstańczych została zneutralizowana większą siłą ognia i mobilnością Ludowej Armii Wyzwoleńczej. Dopiero ostatniej nocy owa patowa sytuacja uległa zmianie. Proszę o drugą mapę.

Na ekranie monitora pojawił się trzeci element. Wzdłuż wybrzeża, na wysokości Tajwanu, wyświetlone pomarańczowe strzałki wgrzyzały się w jaskrawoczerwony obszar niczym płomienie gwałtownej pożogi.

–Sądzę, że szczegóły tej operacji militarnej lepiej przedstawi pan Hanson.

Doradca skinął głową i wyjął z teczki kilkustronicowe sprawozdanie.

–Inwazja rozpoczęła się nad ranem od zmasowanych uderzeń lotnictwa i ostrzału raketowego. Posłużono się klasyczną strategią, w pierwszej kolejności atakując lotniska, stanowiska obrony przeciwlotniczej, punkty dowodzenia oraz instalacje łączności. Pokażę państwu na przykładzie, jak przebiegało to pierwsze uderzenie. Proszę o zdjęcie rekonesansowe.

Na drugim ekranie pojawił się niezwykle klarowny widok lekko pofałdowanych pól uprawnych. Można było odnieść wrażenie, że zdjęcie wykonano z samolotu lecącego na wysokości kilkuset metrów. Van Lynden natychmiast się zorientował, że ma przed sobą typowy obraz żyznych, nadmorskich terenów wschodniej Azji.

–Jak zrobiliście takie zdjęcie, Sam? – zapytał.

–Pochodzi z aparatury mikrofalowej jednej z naszych strategicznych maszyn rekonesansowych typu Aurora. Trzymamy eskadrę tych samolotów w bazie w Tonopa, bo dzięki ich lotom zwiadowczym możemy poznać szczegóły obrazów przekazywanych przez sieć satelitów. To zdjęcie przedstawia okolice miasta Fuczou w prowincji Fucien, a w jego środkowej części widać dużą bazę lotniczą, którą zaraz zobaczymy z bliska.

Wywołany przez komputer szereg przybliżeń spowodował taki efekt, jakby obserwatorzy siedzieli w samolocie nurkującym prosto na cel. Hanson wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki laserowy wskaźnik. Kiedy obraz w końcu się zatrzymał, przecięty szeroką wstęgą pasa startowego, na ekranie zabłysnął czerwony ogień wskaźnika i doradca zaczął omawiać kolejne zniszczenia.

–Proszę zwrócić uwagę na te skośne, nieco jaśniejsze smugi przecinające pas startowy i alejki dojazdowe, przypominające teren zryty krecimi korytarzami. Bez wątplenia to efekt zrzuconych z samolotów bomb z opóźnionym zapłonem, specjalnie przystosowanych do niszczenia betonowych umocnień. Mógłbym się założyć, że przy okazji zrzucono też sporo min przeciwpiechotnych... Tutaj, obok

pasa startowego, widać olbrzymi krater; sądząc po rozrzuconych dookoła szczątkach można ocenić, że znajdowało się tam główne stanowisko obrony przeciwlotniczej. Tu stały hangary... tu była wieża kontrolna, obok budynki koszarowe... Widoczne tutaj obwałowania stanowisk w ogóle nie spełniły swojej roli. Już podczas tego pierwszego uderzenia zniszczone zostały na ziemi całe eskadry myśliwców F-8 Finback. Prawdopodobnie przynajmniej część pocisków odpalonych z powietrza naprowadzano laserowo.

–Zatem nie mogły tego dokonać pozostające zawsze w gotowości tajwańskie myśliwce starego typu, które już na pierwszy rzut oka nie były w ogóle zdolne wznieść się w powietrze.

–Zgadza się, panie prezydencie. Według tego, co zdołaliśmy dotąd ustalić, całe lotnictwo Ludowej Armii Wyzwoleńczej tego sektora zostało unieszkodliwione, zanim jeszcze wojska desantowe zbliżyły się do plaży. Zapewne olbrzymią rolę odegrali sabotażyści, a na podstawie informacji wywiadu sporządzono precyzyjny plan uderzenia.

Prezentacja zdjęć dobiegła końca, na ekranie pojawiła się komputerowa mapa omawianego wycinka terytorium Chin.

–W każdym razie – ciągnął doradca – jeszcze przed wschodem słońca wojska tajwańskie zyskały taktyczną przewagę w powietrzu, i to nad całą prowincją Fucien. Po atakach lotnictwa tutaj, w pobliżu Czienciang, nastąpił zrzut dywizji desantowej wzmocnionej kilkoma zmechanizowanymi batalionami spadochronowymi oraz formacjami oddziałów specjalnych, które wylądowały na tyłach pierwszej linii obrony Ludowej Armii Wyzwoleńczej. Na opanowanym odcinku wybrzeża do tej pory lądują następne dywizje i zaraz włączają się do walk. Główne uderzenie jest skierowane na południowy zachód. Moim zdaniem nacjonałiści chcą przede wszystkim zdobyć port wojenny w Anhai.

–Jakie działania podjęli w tym czasie komuniści?

–Na razie chyba nie mogą się otrząsnąć z zaskoczenia. Widocznie uważali prowincję Fucien za obszar całkowicie bezpieczny, pozostający pod ich kontrolą.

Childress ze zmarszczonymi brwiami popatrzył na mapę.

–A co z oddziałami rebeliantów? – zapytał szybko. – Włączyły się do działań zbrojnych?

–Nie ulega wątpliwości, że Zjednoczony Front Demokratyczny i nacjonałiści wspólnie zorganizowali tę akcję – odparła Lane Ashley. – Równocześnie z lądowaniem zanotowaliśmy wzmożoną działalność sabotażową i ataki ugrupowań partyzanckich w całej prowincji. Mamy potwierdzone informacje o przejściu kilku

garnizonów na stronę rebeliantów. Ponadto lądowanie wojsk desantowych było skoordynowane ze zmasowanym natarciem wojsk powstańczych w prowincji Hunan. Można stąd wnioskować, że plany wspólnego działania układano już od dłuższego czasu.

Van Lynden nie spodziewał się takiego obrotu narady. Childress popatrzył na niego groźnie i zapytał:

–Co ty na to, Harry? W żadnym z raportów sekretariatu stanu, jakie znalazły się na moim biurku, nie było nawet wzmianki o tak ścisłej współpracy Tajwańczyków z rebeliantami. Co więcej, według waszej opinii powstańcy odnosili się do nacjonalistów prawie z taką samą nieufnością, jak komuniści, a władze Tajwanu miały się jakoby nie interesować sytuacją na kontynencie. Co się zatem stało?

–Zostaliśmy wprowadzeni w błąd, panie prezydencie. Wygląda na to, że Front Demokratyczny w ścisłej tajemnicy nawiązał bliskie kontakty z nacjonalistami i wspólnie powołano zespół planowania taktycznego, którego istnienia nawet nie podejrzewaliśmy. Nie ulega wątpliwości, że wypracowano jakieś wspólne stanowisko polityczne i zawieszono koalicję. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za to uchybienie w opiniach mojego resortu. Nie potrafię tego inaczej wytłumaczyć, jak poprzez fakt, że tajwańscy nacjonaści musieli tworzyć tę potajemną strukturę kawałek po kawałeczku już od pięćdziesięciu lat i jak widać, spisali się znakomicie. Sam wykazał, że wspólna akcja została świetnie zorganizowana.

Childress smutno pokiwał głową i zdjął okulary. Wyciągnął z kieszeni marynarki starannie złożoną białą chusteczkę i zaczął z namaszczeniem przecierać nią szkła. Wszyscy członkowie sztabu kryzysowego doskonale znali ów sposób na zebranie myśli. Po chwili prezydent energicznym ruchem nałożył okulary z powrotem.

–No cóż, stało się – oznajmił. – Przytarli nam nosa i muszę przyznać, że dość dotkliwie. Nie znaczy to, iż moim zdaniem należy szukać winnych, bo to i tak teraz nic nie da. Powinniśmy się skupić na tym, jak sytuacja w Chinach może się dalej rozwinąć i jak my powinniśmy się zachować. Macie gotowe uwagi?

–Przewidzieć da się wyłącznie znaczną destabilizację sytuacji. – Lane Ashley westchnęła ciężko. – Przekonaliśmy się, że wojska nacjonalistów są nie tylko świetnie wyszkolone, ale także dysponują najnowocześniejszym sprzętem. Liczebnie ustępują zarówno armii komunistów, jak i oddziałom Frontu Demokratycznego, zapewniają jednak rebeliantom wsparcie w postaci formacji zmechanizowanych, lotnictwa i marynarki, czego do tej pory im brakowało. Nie wolno też zapominać o roli doświadczonych tajwańskich strategów i specjalistycznym sprzęcie. Ośmielę się zauważyć, że w sumie może to przechylić szalę zwycięstwa na korzyść powstańców.

–Nie sądzę, aby ktokolwiek przy tym stole chciał wylewać łzy z tego powodu – rzekł

cierpko prezydent.

Sam Hanson poruszył się niespokojnie na krześle.

–Powstaje zatem pytanie, jakie kroki podejmą obecnie czerwoni, żeby przywrócić zachwianą równowagę sił.

–Masz własną opinię w tej sprawie?

–Pomijając kwestię pomocy jakichś prokomunistycznych sił z zewnątrz – odparł Hanson – co jest równie mało prawdopodobne, jak spontaniczna radość wśród zesłanych do piekła, pozostaje tylko jedno: użycie broni jądrowej.

W sali zapadła grobowa cisza, można było odnieść wrażenie, że powiał nagle lodowaty wiatr. W tym gronie z wyjątkową powagą traktowano ewentualność wykorzystania broni atomowej.

–Generale Hanson – zaczął oficjalnym tonem Childress, kładąc akcent na tytułarny już stopień wojskowy doradcy. – Znanych mi jest kilka prac teoretycznych, pochodzących jeszcze z okresu rozpadu Związku Radzieckiego, w których rozpatrywano możliwość wykorzystania pocisków nuklearnych w wojnie domowej. Mówiąc szczerze, już wtedy nie przywiązywałem do nich większej wagi. Po prostu nie umiałem sobie wyobrazić, aby którykolwiek przywódca państwa zdecydował się rzucić bombę atomową na własny kraj.

–Ale w tym wypadku mamy do czynienia z kulturą azjatycką, panie prezydencie. Wiem doskonale, że opieranie jakichkolwiek osądów politycznych na przesłankach kulturowych jest dziś uważane za niewłaściwe. Chciałbym jednak przypomnieć pewną historię z czasów wojny koreańskiej, kiedyś przeze mnie zasłyszana. Otóż niektórzy członkowie władz Chińskiej Partii Komunistycznej żywili wówczas uzasadnione obawy, że przeciwko nim także możemy użyć broni jądrowej. Kiedy sprawa ta wypłynęła na naradzie naczelnego dowództwa Ludowej Armii Wyzwoleńczej, podobno jeden z generałów tylko wzruszył ramionami i rzekł: „No to najwyżej stracimy parę milionów ludzi. I co z tego?” Obawiam się, że ten sposób myślenia może być żywy do dziś.

–Do diabła, przecież tylko zamieniliby żyzne ziemie uprawne w radioaktywną pustynię! Cóż mogliby na tym zyskać?

–Nie wolno tego problemu rozpatrywać w kategorii ewentualnych zysków, panie prezydencie – wtrącił Van Lynden. – Chodziłoby o zminimalizowanie strat. Jedną z podstawowych zasad znanych w polityce międzynarodowej od roku tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego brzmi: nigdy nie należy dać się zapędzić z bronią jądrową w taki zaułek, z którego nie ma wyjścia.

–Czy mógłbyś to wyjaśnić, Harry?

–W każdej wojnie domowej ma się wszystko do stracenia i nic do zyskania. Chińscy przywódcy muszą doskonale zdawać sobie sprawę, że jeśli rebelia jeszcze bardziej przybierze na sile, od widma procesu przed trybunałem stanu uwolni ich najwyżej ucieczka z kraju. A w takiej sytuacji nie będą mieli żadnych wątpliwości, że lepiej jest rządzić połową państwa niż utracić władzę.

–Niech to szlag!

Tym razem Childress już nie zdjął okularów, tylko przygryzł wargi i pogrążył się w zadumie.

–Należy jednak zakładać – podjął po chwili – że tajwańscy nacjonaści także doszli do podobnego wniosku. A mimo tak wielkiego ryzyka odważyli się przystąpić do działań zbrojnych. Czyżby miało to oznaczać, że są przygotowani i na taką ewentualność? Co o tym myślicie?

–Być może dysponują jeszcze jakimiś atutami – podsunął Hanson.

–W takiej rozgrywce jedynym atutem byłaby przewaga militarna, megatony przeciwko megatonom – rzekł Van Lynden. – Krótko mówiąc, groźba wzajemnego wyniszczenia.

Childress popatrzył na dyrektora Krajowej Agencji Bezpieczeństwa.

–Co pani o tym sądzi, panno Ashley? Czy to możliwe, by Tajwańczycy bądź powstańcy dysponowali bronią jądrową?

–Kwestia dostępu każdej ze stron konfliktu do broni atomowej pozostaje dla nas zagadką, panie prezydencie – odparła z namysłem. – Oczywiście, Chińska Republika Ludowa dysponowała taką bronią na długo przed wybuchem wojny domowej. Nie wiemy jednak, jaka część tego arsenału pozostaje pod kontrolą władz z Pekinu, nie wiemy też, w jakim jest stanie. Na przykład wszystkie trzy okręty podwodne klasy Sia, przystosowane do odpalania rakiet balistycznych, rok temu zostały sprowadzone do stoczni remontowej, ale z braku funduszy stoją tam do dzisiaj. Wiemy też, że co najmniej dwukrotnie wojska powstańcze przypuściły zmasowany szturm na bazy, w których przetrzymywano głowice jądrowe. Wokół strategicznych instalacji w Tangdao i Luoning toczono zacięte bitwy.

–Z jakim rezultatem?

–Nie mamy pełnej orientacji. Na pewno Ludowa Armia Wyzwoleńcza wycofała się z obu baz, wysadzając je w powietrze, istniejące tam wyrzutnie nie dadzą się więc wykorzystać. Jeśli ugrupowaniom Zjednoczonego Frontu Demokratycznego udało

się cokolwiek zdobyć, według licznych opinii może to być najwyżej broń taktyczna o ograniczonej sile rażenia: pociski artyleryjskie, miny, bomby czy głowice bojowe do rakiet typu Frog i Scud. Z pewnością nie jest to broń strategiczna, choć i tak jej użycie może narobić wiele złego.

–A co z trzecim uczestnikiem działań, tajwańskimi nacjonalistami?

Troje specjalistów siedzących naprzeciwko Childressa wymieniło szybkie spojrzenia.

–To jeszcze trudniejsze pytanie, panie prezydencie – powiedziała Ashley. – Już od dłuższego czasu usiłujemy znaleźć na nie odpowiedź.

–Przestańcie mnie raczyć tego rodzaju nieudomówieniami, dobrze?

–Nie potrafimy udzielić konkretnej odpowiedzi – dodał Van Lynden. – Kwestia dostępu armii tajwańskiej do broni jądrowej pozostaje dla wojskowych analityków zagadką co najmniej od końca lat siedemdziesiątych.

–Zgadza się – wtrącił Hanson. – Wykorzystują reaktory, dysponują odpowiednimi technologiami, a Bóg jeden wie, że mają również poważną motywację. Nawiązali pozornie mało istotne, lecz bardzo aktywne programy wymiany naukowo-technicznej z Izraelem i Republiką Południowej Afryki, a oba te kraje dysponują potencjałem nuklearnym. Na przykład mamy potwierdzone informacje, że armia tajwańska otrzymała własne modele rakiet klasy Jerycho, wzorowane na izraelskich pociskach SRBM oraz Masada, które mogą być użyte do przenoszenia głowic jądrowych.

–A przecież Tajwan podpisał pakt o nierozprzestrzenianiu broni atomowej. Dyplomaci wielokrotnie powtarzali, zarówno nam, jak i na forum ONZ, że ich kraj nie produkuje broni jądrowej. Waszym zdaniem cały czas kłamali?

–Sądzę, że może to być kwestia przemysłnej polityki międzynarodowej odparł Van Lynden. – Izraelczycy również uparcie twierdzili, że nie dysponują bronią atomową, i od strony czysto technicznej było to prawdą. Magazynowano bowiem jedynie gotowe elementy, z których można zmontować głowice bojowe w ciągu paru godzin. W tym wypadku możemy mieć do czynienia z podobną sytuacją.

–Dobry Boże... – szepnął Childress. – Tak więc trzy różne palce spoczywają na trzech różnych guzikach odpalania broni masowej zagłady i do tego panuje stan skrajnej desperacji. A wszyscy nasi fachowcy sądzili, że po kryzysie kubańskim nic gorszego nie może się nam już przytrafić.

–I to jest właśnie sedno sprawy, panie prezydencie. Przyszłość całych Chin, inaczej mówiąc los czwartej części ludzkości co najmniej na przyszłe stulecie, rozstrzygnie się w ciągu kilku najbliższych miesięcy. Powinniśmy zatem zdecydować, jaką rolę

Stany Zjednoczone mogą i powinny odegrać przy podejmowaniu tej decyzji.

–Oszczędziłeś mi formułowania wprost rzeczy całkiem oczywistej, Harry. Słucham więc. Czy macie jakieś propozycje co do tej roli, którą powinniśmy odegrać?

Van Lynden przytaknął ruchem głowy.

–Tak, panie prezydencie, mamy. Należy przejąć kontrolę nad sytuacją. – Sekretarz stanu sięgnął po swą aktówkę, oparł ją na brzegu stołu, otworzył i wyjął cienką teczkę z dokumentami, którą położył przed Childressem. – Oto zarys programu działania. Proponujemy, aby niezwłocznie rozpocząć serię indywidualnych spotkań z przedstawicielami każdej ze stron konfliktu, mogących doprowadzić do zorganizowania konferencji pokojowej na jakimś neutralnym terenie. Sugerujemy ponadto, by do akcji mediacyjnej wciągnąć reprezentantów krajów ościennych, na przykład Japonii, Filipin czy Korei, to znaczy tych, które mogą odczuć skutki ewentualnej wojny atomowej w Chinach. Należałoby skłonić te państwa do wywarcia wszelkich możliwych nacisków dyplomatycznych na ścierające się ugrupowania.

–Jeśli mnie pamięć nie myli – odrzekł Childress – zarówno władze z Pekinu, jak i Zjednoczony Front Demokratyczny, stanowczo sprzeciwiły się jakimkolwiek próbom ingerencji w ich wewnętrzny konflikt. Jedna i druga strona oświadczyła, że toczące się walki są wyłączną sprawą Chińczyków. Co skłania was do przypuszczeń, że przedstawiciele tajwańskich nacjonalistów zareagują inaczej, bądź też ich dotychczasowa postawa uległa zmianie?

–Chociażby to, że gwałtownie narasta potencjał militarny mogący doprowadzić do wojny atomowej. Nawiązując do relacji Sama, z satysfakcją mogę dodać, że perspektywa wojny nuklearnej nadal budzi powszechne przerażenie. Może właśnie ów lęk pozwoli nam utworzyć szczelinę, w którą da się wsunąć koniec łomu, żeby wyważyć te zamknięte na głucho drzwi. Gdyby tylko udało się nakłonić walczące strony do rozmów...

Van Lynden znacząco zawiesił głos. Po chwili prezydent przeniósł wzrok na dyrektor Krajowej Agencji Bezpieczeństwa.

–Panno Ashley?

Lane obok dokumentów sekretarza stanu położyła na stole własną teczkę z dokumentami.

–Zachowanie pełnej kontroli nad sytuacją będzie wymagało od nas zaangażowania wielkich sił i środków, podlegających zarówno wywiadowi wojskowemu, jak i cywilnemu. Przede wszystkim chciałabym uzyskać pomoc sekretariatu stanu w zdobyciu zgody na rozmieszczenie w Korei, Singapurze i na Filipinach naszych maszyn zwiadowczych typu TR-2, Darkstar oraz RC-10. Dobrze byłoby je mieć

również w bazach na Tajwanie, obawiam się jednak, że w zaistniałej sytuacji mogłoby to zostać potraktowane opacznie. W uzupełnieniu chciałabym zwrócić się do dowództwa siódmej floty o przetransportowanie na Morze Południowo- i Wschodniochińskie wszystkich nadających się do wykorzystania platform Raven.

–A co z naszymi wojskami?

–Na razie proponuję wstrzymać się od jakichkolwiek działań – odparł Hanson, kładąc przed prezydentem trzecią teczkę. – Powinniśmy ogłosić stan podwyższonej gotowości we wszystkich naszych bazach w rejonie zachodniego Pacyfiku i wzmocnić siódmą flotę wszelkimi jednostkami, które są zdolne do wyjścia z Pearl Harbor. Ponadto proponuję zlecić dowództwu trzysta sześćdziesiątego szóstego skrzydła lotnictwa przygotowania do ewentualnej akcji na Dalekim Wschodzie oraz przestawić CENTCOM na fronty chińskiej wojny domowej jako główny rejon naszego zainteresowania,

Childress pokiwał głową na znak aprobaty.

–Jeszcze jedno, panie prezydencie – ciągnął generał. – Zalecałbym także wzmocnienie naszych raketowych sił szybkiego reagowania. Bynajmniej nie chodzi mi o zmianę obecnego statusu DEFCON-u, lecz o wprowadzenie alarmowych procedur przygotowawczych i obsługowych, mających na celu zmaksymalizowanie operatywności wyrzutni rakiet typu Minuteman oraz Trident w ciągu kilku najbliższych miesięcy. Ponadto można rozkazać dowództwu wojsk lotniczych przeprowadzenie serii ćwiczebnych lotów bombowców strategicznych i symulacji zrzutów ładunków nuklearnych.

–Jest pan pewien, generale, że to konieczne?

–Mam nadzieję, iż skończy się tylko na ćwiczeniach, panie prezydencie. Z drugiej jednak strony brzydzę się na samą myśl o tym, że moglibyśmy usłuźnie podsunąć nóż któremuś ze zwaśnionych, szykujących się do bitki na pięści.

Childress pokiwał głową.

–W pełni to popieram. Bardzo dziękuję państwu za przygotowane materiały i szybką reakcję na nieoczekiwany obrót wydarzeń. Mam nadzieję, że na tej podstawie niezwłocznie opracujemy plan konkretnych działań. Ale jest jeszcze jedna rzecz, w której moglibyście mi pomóc. – Zamilkł na chwilę, po czym wskazał leżące przed nim tecki i dodał: – Kiedy już zacznę wcielać ten plan w życie, będę musiał zaprosić do Ovalnego Gabinetu paru gorących zwolenników izolacjonizmu w Kongresie i wyjaśnić im, z jakich powodów angażujemy się w wewnętrzne konflikty innego państwa, w dodatku leżącego na drugiej półkuli. Co według was powinienem im powiedzieć?

Przez kilka sekund wokół stołu panowała cisza. Wreszcie odezwał się Van Lynden.

–Może powinien im pan wyjaśnić wprost, że jeśli w chińskiej wojnie domowej dojdzie do użycia broni jądrowej, niewykluczone, że kilkadziesiąt bomb atomowych starego typu, o dużej sile rażenia, zostanie w krótkim czasie zdetonowanych w atmosferze, a wówczas skutki pozornie lokalnego konfliktu dotkną całą ludzkość.

Rozdział 5

Pearl Harbor, Hawaje

15 lipca 2006, godz. 19.30 czasu lokalnego

Na wielkim okręcie zapanowała cisza. Pokłady opustoszały, wypuszczona na przepustki załoga mogła się cieszyć urokami nocnego życia w Honolulu.

Po odwołaniu alarmu pożarowego „Cunningham” zacumował z powrotem przy nabrzeżu bazy morskiej w Pearl Harbor. Testy i ćwiczenia kwalifikacyjne dobiegły końca, nazajutrz miały się rozpocząć przygotowania do wypłynięcia w rejon zachodniego Pacyfiku. Dlatego też na ten wieczór Amanda Garrett postanowiła zostawić na okręcie tylko niezbędną liczebnie wachtę.

Przeszła w drugi koniec swej niewielkiej kajuty i obejrzała się w małym lustrze zawieszonym pod bulajem. Jej tutejsza ulubiona krawcowa, emigrantka z Hongkongu, miała rację: lazurowy egipski jedwab doskonale harmonizował ze złotopiwym odcieniem jej oczu.

Ukośnie wycięta bluzka bez rękawów, skrojona w stylu azjatyckim, leżała na niej wprost idealnie, a niewysoka stójka zamiast kołnierza zdawała się podkreślać autorytet należny kapitanowi okrętu wojennego. Amanda uśmiechnęła się do swego odbicia i lekko pochyliła głowę, sprawdzając, czy dobrze się prezentują kolczyki.

Przeszła do służbowej części kajuty. Sprawdziła stan baterii w aparacie komórkowym, po czym wsunęła go do bocznej kieszeni torebki i zarzuciła ją sobie na ramię. Podniosła spakowaną wcześniej walizeczkę i skierowała się do wyjścia.

Mesę oficerską „Cunninghama” zdobiły cztery odznaczenia. Pierwsze, umocowane na grodzi czołowej – a więc w miejscu, gdzie od razu musiał je dostrzec każdy wchodzący do pomieszczenia – przedstawiało wysoką prawie na pół metra, białą emaliowaną literę E, symbolizującą najwyższy stopień we flocie Pacyfiku, „Excellent”, jaki niszczyciel zdobył rok wcześniej. Oznaczało to, że pod względem osiągniętych wyników załoga uplasowała się w pierwszej dziesiątce jednostek floty.

Poniżej wisiała duża trójkolorowa wstęga symbolizująca wyróżnienie w działaniach zbrojnych – lodowaty błękit, biel śniegów i oceaniczna szarość natychmiast przywoływały wspomnienia z okresu antarktycznej blokady. Było to wyjątkowe odznaczenie, mogła się nim poszczycić jedynie załoga „Cunninghama”.

Na statkach handlowych dowody jakichkolwiek osiągnięć zazwyczaj umieszczano na honorowym miejscu, na tylnej ścianie mostku. Ale na okręcie wojennym klasy „Księcia” obecność jakichkolwiek dodatkowych elementów na stalowej grodzi

mogłaby wpływać na wskazania radarów. Dlatego też wielki olejny obraz przedstawiający sylwetkę „Cunninghama” wisiał na prawo od wejścia do mesy, po stronie sterburty, na ciemnoorzechowych listwach boazerii. Był to dar dla załogi od ojca Amandy, kontradmirała Wilsona Garretta, który po przejściu w stan spoczynku stał się zapalonym i uznanym marynistą.

I wreszcie naprzeciwko, po bakburcie, wisiało „metafizyczne serce” niszczyciela: podniszczona skrzydlata odznaka lotnictwa morskiego umieszczona w płaskiej oszklonej gablotce. To również był dar, innego kontradmirała, Randy’ego „Księcia” Cunninghama, pierwszego asa myśliwców odrzutowych w marynarce wojennej okresu wojny wietnamskiej, którego imieniem został nazwany okręt.

Tego wieczoru w mesie zebrało się trzech oficerów. Doc Golden i Dix Beltrain byli w białych mundurach, bez wątplenia zamierzali zejść na ląd. Za to Ken Hiro wciąż miał na sobie roboczy uniform. Siedział samotnie przy największym stole, bez reszty pochłonięty uzupełnianiem obszernej dokumentacji niszczyciela. Kiedy Amanda weszła do mesy, rozmowa urwała się nagle i trzech mężczyzn – zwyczajem starszym od wszelkich wojskowych regulaminów – wstali z miejsc, żeby okazać szacunek dowódcy.

–Dobry wieczór, panowie. Macie już jakieś konkretne plany?

–Owszem, kapitanie – odparł wesoło Beltrain. – Doc i ja zamierzamy dzisiaj zedrzyć obcasy w mieście. To jego pierwsza wyprawa na hawajską plażę.

–Naprawdę nigdy wcześniej nie byłeś w Honolulu, Doc? – zdziwiła się Amanda.

–Byłem raz, na krótkim urlopie z moją byłą żoną, Marilyn. Ale wtedy zdążyłem jedynie zwiedzić wszystkie butik i sklepy z pamiątkami dla turystów, nic poza tym.

–To musiało być smutne doświadczenie.

–Można je i tak nazwać. – Doc uniósł rękę i delikatnie pogładził palcami swoje wysokie czoło. – Wtedy też straciłem sporo włosów na głowie, kiedy któremuś ze wspaniałych ponoć tancerzy w Don Ho pochodnia wysunęła się z dłoni.

Z zadziwiającą godnością zniósł krótki wybuch gromkiego śmiechu. Odzyskawszy powagę, Beltrain smętnie pokiwał głową i rzekł:

–Coś mi się zdaje, Doc, że nad tobą trzeba będzie solidnie popracować.

–Ale nie dam się więcej zaciągnąć na luau. Wiem, ile można się najeść wstydu, jeśli człowiek nie da rady spałaszować całego pieczonego prosięcia.

Amanda znów zachichotała. Postawiła walizeczkę na krześle i zwróciła się do swego

zastępcy.

–A co ty, Ken, ciągle jeszcze robisz na okręcie?

–Zajmuję się tym co zwykle, kapitanie – mruknął Hiro, zerknąwszy na nią znad papierów. – Jeśli wolno mi zauważyć, wspaniale pani dziś wygląda.

–Dziękuję. – Uśmiechnęła się. – Ja zaś ośmielę się ci przypomnieć, że od tygodnia ani razu nie byłeś w domu. Najdalej za miesiąc wypływamy na zachodni Pacyfik. Jeśli przed rejssem nie poświęcisz trochę czasu, żeby posiedzieć na plaży z żoną i dziećmi, Misa dosypie mi trucizny do yakitori, gdy następnym razem zaprosicie mnie na obiad. Ta robota może poczekać. Zbieraj się.

Hiro uśmiechnął się niepewnie.

–W porządku, kapitanie. Potrzebuję jeszcze tylko pół godziny na sprawdzenie rozkładu wacht, później pojedę do domu.

–Zgoda. Ale najwyżej pół godziny, trzymam cię za słowo. Rozkażę wartownikom przy trapie, żeby za trzydzieści pięć minut sprowadzili cię pod broń na ląd.

–Potraktuję to jak poważne ostrzeżenie, madam.

–Nie inaczej, Ken. Gdyby cokolwiek się wydarzyło, powiadomcie mnie przez telefon komórkowy. Dobranoc, panowie. Życzę miłej zabawy. Nie chciałabym jednak ujrzeć was rano w gipsie albo wyciągać z aresztu. Czekają nas sporo pracy.

Amanda nie była świadoma, że jej wyjściu z mesy towarzyszyły pełne podziwu spojrzenia trzech mężczyzn. Dłuższe milczenie przerwał Doc Golden, który zauważył z żalem w głosie:

–Nigdy bym nie przypuszczał, że dowództwo marynarki może wyznaczyć na kapitana okrętu kogoś o takiej prezencji.

–Masz rację – przyznał Dix. – Szkoda, że nie mamy częściej okazji podziwiać pierwszej damy w takim stroju. Trzeba sobie dobrze utrwalić w pamięci ten widok.

–Nie zapominajcie jednak, panowie, że chodzi tu o naszego kapitana – odezwał się Hiro. Z powrotem sięgnął po długopis, ale zawahał się i dodał: – Niemniej muszę przyznać, że dziś wieczorem na Oahu znajdzie się jakiś cholerny szczęściarz.

Niebo na zachodzie przypominało kałużę roztopionego złota ponad skupiskiem pomarańczowoczerwonych płomieni. Na terenie bazy marynarki wojennej stopniowo zapalały się latarnie, zwiastując szybkie nadejście tropikalnego zmierzchu.

Samochody, przejeżdżające pojedynczo wewnątrznymi uliczkami, zlewały się w szeroką rzekę pojazdów zmierzających ku punktowi kontrolnemu przy bramie Nimitza. Ten sam strumień pracowników cywilnych wracających do domów po zakończeniu dnia pracy i wojskowych udających się na przepustki miał się pojawić z rana po przeciwnej stronie wartowni. Przypominało to spowolnione wdechy i wydechy żywego, militarnego monstrum.

Po zejściu z trapu Amanda obejrzała się jeszcze na swój okręt, którego smukłym kształtom nigdy nie mogła się nadziwić.

Ze względu na odstające daleko od kadłuba gondole kryjące silniki oraz nietypowe kolory pokrywające główną nadbudówkę, do maskowania niszczyciela raketowego trzeba było używać siatek zwanych śródziemnomorskim wrzosowiskiem. „Książę” zajmował niemal całą przestrzeń między dwoma pirsami, sterburtą wyłożoną specjalną poduszką powietrzną przylegał ściśle do bali falochronu, a opadający pochyło składany trap łączył pokład z nabrzeżem. W miejscu utrzymywała go gęsta pajęczyna sprężystych cum, a ściągnięty na krótko łańcuch kotwiczny sprawiał, że okręt jakby z dumą mierzył dziobem wprost w otwarte morze.

W kapitanacie urzędnicy dostawali białej gorączki na samo wspomnienie o konieczności użycia śródziemnomorskiego wrzosowiska, gdyż z powodu siatek maskujących „Cunningham”, mający zaledwie osiem tysięcy ton wyporności, zajmował dwa razy więcej miejsca przy nabrzeżu niż inne, podobnej wielkości jednostki. Tak samo nienawidzili owych siatek marynarze, ponieważ ich prawidłowe rozciągnięcie zajmowało mnóstwo czasu.

Nawet niezbyt doświadczony szyper od razu wytknąłby niedociągnięcia w ułożeniu maskowania, lecz tym razem wyjątkowo Garrett postanowiła darować swoim podkomendnym ewidentny pośpiech.

Przed szerokim masztem radarowym, podobnym w kształcie do płetwy rekina, rozciągał się aż do dziobu otwarty pokład, zajmujący niemal połowę długości okrętu, natomiast stojąca za nim główna nadbudówka była niska, wręcz aerodynamiczna, przez co niszczyciel sprawiał takie wrażenie, jakby zaprojektował go uznany konstruktor szybkich jachtów, a nie twórca współczesnych okrętów wojennych. O jego rzeczywistym przeznaczeniu świadczyły tylko dwie małe wieżyczki działowe typu Oto Melara, umieszczone prawie symetrycznie na dziobie i rufie smukłej jednostki.

Nietypowa sylwetka „Cunninghama” była jednak efektem zastosowania najnowszych technologii w dziedzinie maskowania. Ten pierwszy niszczyciel w utworzonej niedawno przez marynarkę wojenną formacji „niewidzialnych” jednostek strategicznych należał bowiem do klasy Stealth, gdyż jego obecności na morzu nie mogły wykryć żadne standardowe instalacje radarowe potencjalnego przeciwnika.

Owo ściśle uzależnienie kształtów i barw pokrycia od konkretnych zapotrzebowań w porcie, na tle innych okrętów, było widoczne gołym okiem. Jedyny element kolorystyczny odcinający się od monotonnej, smutnej szarzysty stanowił gwiaździsty sztandar amerykańskiej marynarki, powiewający leniwie na maszcie rufowym w rytmie ruchów ogona najedzonego kota.

Odcień szarej farby pokrywającej kadłub i nadbudówkę odróżniał niszczyciela od pozostałych okrętów wojennych, był bowiem bardzo ciemny, głęboki i matowy, podobny do tego, którym odznaczały się najnowsze myśliwce ponaddzwiękowe. Nawet wymalowana na rufie nazwa i oznakowanie taktyczne na spiczastym, wysuniętym daleko ku przodowi dziobie wykonane zostały z cieniowanych, widocznych tylko pod pewnym kątem liter i cyfr.

Tygrysie maskowanie tworzyły jeszcze ciemniejsze, jakby tłuste, lekko faliste pasy, zbiegające pionowo po burtach i ciągnące się poziomo wzdłuż elementów nadbudówki. Była to komputerowa odmiana kamuflażu powszechnie stosowanego od czasów pierwszej wojny światowej i przede wszystkim miała na celu zmylenie elektrooptycznych systemów naprowadzania, gdyż dzięki owym pasom sylwetka „Księcia” w szklach celowników rozmywała się na tle fal.

Nawet teraz, zacumowany do nabrzeża, „Cunningham” dziwnie zlewał się z głębokimi cieniami licznie zapełniającymi port o tej porze dnia, jak gdyby patrzyło się na upiora stopniowo zanikającego w nadchodzącym mroku.

Podobnie zamierzała postąpić Amanda.

Uśmiechnęła się do własnych myśli i otworzyła drzwi wynajętego samochodu. Z jego wnętrza natychmiast buchnęło silnie rozgrzane powietrze. Odczekawszy chwilę, Garrett usiadła za kierownicą i kilka minut później włączyła się w sznur pojazdów zdążających ku głównej bramie bazy marynarki wojennej.

Skierowała się na wschód autostradą Nimitza, później pojechała dalej prosto Kalakua Avenue aż do centrum Honolulu. Następnie skręciła wzdłuż wybrzeża zatoki Mamala i minęła obleżone przez turystów Waikiki, zmierzając w stronę Sans Souci i innych znacznie spokojniejszych plaż bliżej przylądka Diamond Head. Musiała pokonać dosyć długą drogę z Pearl Harbor, ale była to i tak stosunkowo niska cena za odrobinę upragnionej intymności.

Skręciła w podjazd przed niewielką, stojącą tuż nad oceanem restauracją, w której ogródku stoliki rozmieszczono w cieniu rozłożystego drzewa hau o olbrzymich liściach. Od razu zauważyła na parkingu sportowego pontiaka banshee, jego właściciel w oczekiwaniu na nią stał oparty o błotnik. Parę sekund później utonęła w objęciach Vince'a Arkady'ego.

Podczas wspólnej próby ogniowej w rejonie antarktycznym ich znajomość mocno się zacieśniła. To, że wcześniej czy później zostaną kochankami, stało się dla obojga oczywiste na długo przedtem, nim nadarzyła się pierwsza sposobność spędzenia wspólnie nocy.

Od tamtej pory Amanda nieraz sobie tłumaczyła, że angażowanie się w romans z podległym jej młodszym oficerem jest zapewne najgłupszą rzeczą, jaką zrobiła w swojej dotychczasowej karierze. Ale za każdym razem udzielała sobie takiej samej odpowiedzi: że prawdopodobnie jeszcze większą głupotą byłoby unikanie wszelkich zażyłych kontaktów z mężczyznami.

Rozdział 6

Honolulu, Hawaje

15 lipca 2006, godz. 21.20 czasu lokalnego

„Hau Tree Lanai” było restauracją nie tylko doskonałą, ale na szczęście także nie docenianą przez turystów. Serwowano tu wyśmienite, typowo amerykańskie steki, jak również rozmaite dania z owoców morza, a posiłki uprzyjemniała rześka bryza oraz wspaniały widok na całą zatokę Mamala i najslynniejsze plaże Honolulu. Szczególnie przyjemnie było tu właśnie w takie ciepłe wieczory, kiedy to przy schłodzonych drinkach obserwowało się panoramę rzęście oświetlonej metropolii. A zwłaszcza w dobrym towarzystwie.

Amanda upiła niewielki łyk sherry z wodą sodową i lekko ścisnęła palce Vince’a, pod osłoną stolika przesuwaną się z wolna po jej udzie.

–Moje gratulacje – rzekł Arkady.

–Z jakiego powodu?

–Chłopaki mówią, że śpiewająco przeszliśmy dzisiejsze ćwiczenia. Utrzymamy nasze „E”.

–Jeszcze długo trzeba będzie czekać na oficjalne wyniki... Myślę jednak, że faktycznie spisaliśmy się świetnie. – Garrett pozwoliła sobie na szeroki uśmiech zadowolenia.

–Ani przez chwilę w to nie wątpię.

Vince także uśmiechnął się szeroko. Był zniewalająco przystojny, a z rozwichrzoną czupryną czarnych włosów, jak zwykle o nieregularnej długości, tego wieczoru bardziej przypominał dawnego pirata niż współczesnego pilota wojskowych śmigłowców. Wrażenie to podkreślała wzorzysta koszula z krótkimi rękawami, której póły, z pozoru niedbale, wetknął za pasek jasnych letnich spodni.

–Nie jestem zwolenniczką zbytnej pewności siebie – odparła. – Nie toleruję jej ani u siebie, ani u nikogo innego. Właśnie w tej sprawie mam ci coś do powiedzenia.

–Słucham, dziecinko.

Amanda odstawiła kieliszek i głośno westchnęła.

–To nic ważnego, ale dzisiaj na okręcie się nie popisałeś.

–Naprawdę? – Zmarszczył brwi. – Były jakieś zastrzeżenia do sekcji lotniczej?

–Och, nie. – Amanda energicznie pokręciła głową. – Wypadliście doskonale, nie mam żadnych uwag. Chodzi mi tylko o to, że gdy rozmawialiśmy w głównym hangarze, pozwoliłeś sobie na odrobinę poufałości, poklepałeś mnie po ramieniu. Powtarzam, że to nic wielkiego. Mnie samej takie gesty nie przeszkadzają, ale dzisiaj byliśmy obserwowani przez oficera inspekcyjnego. Nie chciałabym, żeby coś takiego zauważył.

–Świetnie o tym wiem, kochana. Nie zapominaj, że staliśmy w gęstym dymie. Nikt nie mógł nas widzieć. Jestem tego pewien.

–Obyś miał rację. Mimo wszystko powinniśmy unikać podobnych sytuacji, zwłaszcza na okręcie. Chyba nie muszę ci mówić, jak dowództwo marynarki patrzy na intymne związki oficerów, szczególnie zależnych od siebie służbowo. Mógłbyś mieć z tego powodu mnóstwo kłopotów...

Umilkła, speszona jego nagłym wybuchem śmiechu. Natomiast Arkady szybko pochylił się nad stolikiem, jakby chciał zamaskować swoją niepohamowaną wesołość.

–Bardzo się cieszę, że perspektywa zrujnowania własnej kariery wydaje ci się tak bardzo zabawna – dodała ironicznie Amanda.

–Kochanie, wcale nie z tego się śmiałem. Bawi mnie, że w różnych okolicznościach jestem w stanie dokładnie przewidzieć twoją reakcję.

Popatrzyła na niego z ukosa.

–Już to słyszałam przy kilku okazjach. Co konkretnie masz na myśli?

Pilot podniósł jej rękę i delikatnie zacisnął palce w dłoniach.

–Po pierwsze uświadomiłem sobie, że przecież nie zostałem uwiedziony, a o ile dobrze pamiętam, to ja cię poderwałem na plaży w Rio i to ja później nalegałem na zacieśnienie znajomości. Po drugie zaś dowództwo marynarki winą za taki romans obarcza przede wszystkim oficera starszego rangą, więc to raczej ty kładziesz głowę pod topór, wciąż spotykając się ze mną. Mimo wszystko podświadomie czujesz się winna, że narażasz mnie na wyimaginowane ryzyko. Na miłość boską, kobieto! Czy nie potrafisz zwyczajnie cieszyć się tym, co nas łączy, zapomniawszy choć na krótko o spoczywających na twoich barkach losach całego świata?

Amanda ledwie zauważalnie pokręciła głową.

–Nie, nie potrafię.

Wielką radość sprawiło jej to, że tym razem zaśmiali się oboje. Przy każdej sposobności do chwili zadumy zastanawiała się, jaką naprawdę rolę w jej życiu odgrywa Arkady. I nieodmiennie dochodziła do wniosku, iż co najmniej taką, że stanowi element łączący ją ze zwykłym życiem, nie określonym ściśle przez regulaminy marynarki.

Ale oprócz tego liczyło się dla niej jeszcze wiele innych rzeczy. Pogrążona w rozmyślaniach, przyciągnęła jego dłoń do swojej twarzy i lekko potarła o nią policzkiem. Dziwnie oddziaływał na nią dotyk męskich palców, czasem delikatnych, kiedy indziej silnych, nieco szorstkich od fizycznej pracy.

–Czy mogę cię spytać o coś, co od dłuższego czasu nie daje mi spokoju?

–O co?

–Z jakiego powodu wybrałaś karierę oficerską w marynarce wojennej?

Amanda wyprostowała się, uniosła szklaneczkę i w zamyśleniu pociągnęła łyk trunku.

–Chyba sama nie wiem dokładnie – odparła. – Nie przypominam sobie, abym szczególnie deliberowała nad podjęciem decyzji. Zawsze kochałam morze ponad wszystko, a w domu rodzinnym marynarka wojenna była tematem numer jeden.

–Masz na myśli swojego ojca, kontradmirała?

–Owszem. – Amanda pokiwała głową. – Służył przez trzydzieści lat, walczył w Zatoce Perskiej podczas Wojny ze Zbiornikowcami i Pustynnej Burzy. Poza tym mój dziadek, Marshall, także był w marynarce, służył chyba na wszystkich typach jednostek pływających, od chińskich rzecznych kutrów patrolowych po „Missouri”. Żałuję, że nie zdążyłam go lepiej poznać, Vince. Dziadek brał udział w licznych rejsach patrolowych po Atlantyku przed wybuchem drugiej wojny światowej, uczestniczył w walkach o Aleuty, Wyspy Salomona i Filipiny, należał do weteranów wojny koreańskiej. Kiedy byłam mała, uważałam go za kogoś stojącego tylko o szczebel niżej od samego Boga. Uwielbiałam się przysłuchiwać, gdy razem z tatą godzinami wspominali swoje przeżycia. Nawet nie wiem, jak i kiedy zapragnęłam upodobnić się do nich, pójść w ich ślady. A później pojawiły się marzenia o tym, by zostać dowódcą własnego okrętu.

Spojrzała na widoczną z ogródka restauracji plażę, po której przetaczały się niewysokie fale oceanu.

–Podejrzewam – dodała ciszej po chwili zastanowienia – iż ojciec przeżył naprawdę głęboki szok, kiedy się dowiedział, że jego ukochana dziewczynka chce pływać po morzach, tak jak on.

Arkady uśmiechnął się leciutko, samymi kącikami ust.

–Nie byłbym tego wcale pewien. Sprawiał wrażenie piekielnie dumnego z tej ukochanej dziewczynki, kiedy przypinał jej do munduru krzyż marynarki wojennej podczas promocji w Norfolk.

–Pewnie masz rację. – Ona również uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

Niespodziewanie miłą atmosferę zakłóciło elektroniczne popiskiwanie telefonu komórkowego. Amanda sięgnęła szybko do torebki. Zdążyła błyskawicznie wrócić do rzeczywistości, zanim jeszcze włączyła aparat.

–Słucham, Garrett.

–Tu Chris, szefowo. Przepraszam, że przeszkadzam, ale wygląda na to, że mamy nietypową sytuację.

–Co się stało, Chris? – Amanda zmarszczyła brwi, usiłując zidentyfikować dziwne hałasy rozbrzmiewające w słuchawce.

–Czy ma pani włączony koder?

Garrett zerknęła na służbowy telefon i sprawdziła, że świeci się dioda szyfratora.

–Tak. Możesz mówić otwarcie.

–W porządku. Otóż w rejonie działania siódmej floty musiało zajść coś ważnego, związanego z bezpieczeństwem narodowym. Cała flota i oddziały specjalne marynarki zostały postawione w stan gotowości, w każdej chwili można się spodziewać, że i „Księżę” dostanie rozkaz wyjścia z portu.

Zagadkowy rumor i szumy w tle jeszcze przybrały na sile.

–Skąd dzwonisz, Chris? Z okrętu?

–Ach, nie. Zamknęłam się w damskiej toalecie baru „Haloe Joe’s Sports”.

Amanda na tyle dobrze знаła Christine Rendino, że nie miała wątpliwości, iż tamta – miewająca czasami dziwne pomysły – pod żadnym pozorem nie zakłócałyby jej spokoju błahostkami. Nigdy też nie upijała się za dużo. Musiał więc istnieć uzasadniony powód tego niespotykanego wezwania.

–Jest tu mnóstwo ludzi z bazy, oglądają transmisję meczu w telewizji. Jeśli to panią interesuje, spotkanie jest bardzo wyrównane i teraz, w siódmej rundzie, marynarze zaczynają już obgryzać paznokcie ze zdenerwowania...

–Nie, to mnie nie interesuje. Dlaczego dzwonisz, Chris?

–Otóż jakieś trzy kwadranse temu zaczęły nagminnie dzwonić telefony różnych osób, pojawiło się paru kurierów z pisemnymi rozkazami. Czterech ludzi z centrum operacyjnego siódmej floty, kilku przystojniaków z NAVSPEC-u, a nawet dwóch cywilnych analityków z ONI wypadło z baru niczym rozwścieczone kocury szykowane do zabiegu sterylizacyjnego. Powiedzmy, że wzbudziło to moje podejrzenia, dlatego zamknęłam się w toalecie i zaczęłam kolejno wydzwaniać do paru znajomych. No i szybko stało się dla mnie jasne, że nie chodzi tu o żaden lokalny fenomen. Na całej wyspie ściąga się z przepustek oficerów, przede wszystkim personel dowodzenia i łączności.

Słuchając tej relacji, Amanda pospiesznie dała ręką znak Vince'owi, żeby przysunął się bliżej i także posłuchał. Arkady szybko wstał z krzesła, kucnął obok niej i pochylił głowę do aparatu.

–Wreszcie skontaktowałam się z kumplem, który ma teraz wachtę na „Yellowstone” – ciągnęła Christine. – Ze sterówki jego okrętu widać zarówno centrum operacyjne siódmej floty, jak i kwaterę dowodzenia NAVSPEC-u. Powiedział, że oba budynki są oświetlone jak dyskoteki w sobotni wieczór, a na parkingach nawet przez chwilę nie ustaje wzmożony ruch. Jasne jak cholera, że coś się dzieje.

Garrett w zamyśleniu pokiwała głową.

–Czy to możliwe, żeby zarządzono przygotowania do jakichś alarmowych manewrów? – spytała.

–Nie – odparła stanowczo Rendino. – Nie wierzę w to, szefowo. Czuję w kościach, że dzieje się coś o wiele gorszego.

Amanda znowu przytaknęła ruchem głowy. Wszelkie przeczucia Christine traktowała nadzwyczaj poważnie. Uważała ją nie tylko za bliską przyjaciółkę, lecz także za wschodzącą gwiazdę w swojej dziedzinie. Starannie wystudiowana poza lekkomyślnego specjalisty informatyka skrywała bowiem nadzwyczaj przenikliwy i bystry intelekt. Według zapisów w aktach personalnych Rendino odznaczała się najwyższym współczynnikiem inteligencji spośród całej załogi „Cunninghama”, wyższym nawet – co Amanda przyjmowała z pewną dozą zazdrości – od kapitana okrętu.

–Nie domyślasz się przyczyn tej niezwyklej sytuacji?

–Nie muszę się domyślać, znam je dobrze. W przerwie po szóstej rozgrywce uprosiłam chłopaków, żeby na chwilę przełączyli telewizor na kanał CNN. I od razu się dowiedziałam, że tajwańscy nacjonaści postanowili się włączyć do chińskiej wojny domowej. Wyszadzili desant na wschodnim wybrzeżu kraju.

–Żartujesz?!

–Ani trochę. Dziś nad ranem wylądowali na plaży. Jasne jak cholera, że rozpęta się z tego niezłe piekło.

–I myślisz, że nasze dowództwo zamierza przyłożyć do tego rękę?

–Panowie i władcy NAVSPEC-u już to zrobili, z pewnością ogłosili alarm. My zaś jesteśmy obecnie jedynym tej klasy okrętem na Pacyfiku, a w dodatku przeszliśmy pomyślnie ostatnią inspekcję i zaliczyliśmy ćwiczenia. Wystarczy dodać dwa do dwóch, szefowo.

–Rozumiem.

–Dlatego też postanowiłam jak najszybciej panią o wszystkim powiadomić. Chce pani, żebym spróbowała zdobyć więcej informacji w tej sprawie?

Amanda powiodła niewidzącym spojrzeniem po ogródku restauracji. Nie mogła niczego zarzucić logice wywodów Christine. Jeśli rzeczywiście powstało zarzewie groźnego konfliktu nad Pacyfikiem, „Cunningham” jako jeden z najcenniejszych okrętów amerykańskiej marynarki wojennej bez wątplenia musiał zostać wysłany w rejon walk. Za parę godzin, najpóźniej nazajutrz wieczorem, należało się spodziewać rozkazu wyjścia z portu. Trzeba więc było pomyśleć, jak najlepiej wykorzystać ten czas.

–Nie trzeba, Chris. Wracaj do transmisji meczu. Ja się wszystkim zajmę.

–Jak pani sobie życzy, kapitanie – odparła szybko Rendino. – Mam tylko nadzieję, że nie przeszkodziłam pani w jakimś krytycznym momencie.

–Nie. – Garrett zerknęła na kucającego obok Vince’a, jakby dopiero teraz przypomniała sobie o jego obecności. – Niezupełnie...

Wyłączyła aparat. Arkady westchnął głośno, zakolysał się lekko na piętach i zapytał z przekorą w głosie:

–I jakie rozkazy, kapitanie?

–Żadnych. Poczekamy w spokoju na rozwój wydarzeń – odparła w zamyśleniu, a dostrzegłszy jego zmarszczone brwi, dodała pospiesznie: – Nawet gdybyśmy zaczęli teraz w popłochu ściągać załogę, i tak nie zdołalibyśmy zebrać wszystkich do rana. Jeśli zaś „Księżę” faktycznie będzie musiał wypłynąć w najbliższym czasie, zdecydowanie lepiej dać jeszcze marynarzom wolne na tę noc. Nie wiadomo, kiedy znów trafi im się taka okazja.

–To brzmi logicznie – przytaknął Arkady.

–No właśnie. – Amanda ze złością ścisnęła telefon w garści i wepchnęła go z powrotem do torebki. – Jasna cholera! I tak miałam zarządzić przygotowania do wyjścia w morze, ale teraz wszelkie plany biorą w łeb. Przepraszam, Vince, ale będzie lepiej, jeśli już teraz wrócę na okręt, żeby osobiście nad wszystkim czuwać.

–Jak sobie życzysz, kochana. Ale zanim odjedziesz, zrób mi jedną drobną przysługę.

–Oczywiście. Jaką?

Spojrzała na niego z zaciekawieniem. Arkady wciąż bujał się lekko na piętach i wbijał w nią te zniewalające błękitne oczy, a w kącikach jego ust błąkał się tajemniczy uśmieszek.

–Proszę, żebyś powtórzyła swoje ostatnie zdanie, dotyczące przepustek jeszcze na tę jedną noc. Bądź tylko łaskawa, przynajmniej dla żartu, zamiast słowa „marynarze” użyć nazwiska Garrett. Strasznie chciałbym usłyszeć, jak to zabrzmii.

Amanda otworzyła już usta, żeby spełnić prośbę, kiedy nagle uświadomiła sobie, jakie się za nią kryją intencje. Mimowolnie zachichotała, odchyliła się na oparcie krzesła, wyciągnęła rękę i w półmroku delikatnie musnęła policzek pilota.

–Wiesz co, Vince? Jesteś jednym wielkim chodzącym grzechem. Moim grzechem.

–Sama powiedziałaś, kochanie, że nie wiadomo, kiedy znów nadarzy się sposobność zejścia na ląd.

–I nie kłamałam.

Rozdział 7

Honolulu, Hawaje

16 lipca 2006, godz. 7.45 czasu lokalnego

Do świadomości Vince'a znów dotarło natarczywe popiskiwanie telefonu komórkowego Amandy, które tym razem wyrwało go ze snu. Wyciągnął rękę do tyłu i przesunął dłonią po miękkim jedwabiu wciąż jeszcze nagrzanego pościeli, z żalem zdając sobie sprawę, że nie odczuwa już ciepłego dotyku kobiecego ciała na swoich plecach.

Jeszcze zanim zdążył się obrócić i otworzyć oczy, Amanda wbiegła do sypialni i włączyła aparat.

–Słucham, Garrett.

Późnym wieczorem, przed zaśnięciem, rozsunęła zasłony i otworzyła na oścież przeszklone drzwi balkonowe, żeby wpuścić do hotelowego pokoju chłodne morskie powietrze oraz poświatę księżycy. Teraz ukazała mu się więc na tle jasnego błękitu porannego nieba, całkiem nieświadoma własnej nagości, w pełni zaabsorbowana rozmową przez telefon. Arkady zyskał wyjątkową okazję, by nasycić oczy piękną sylwetką obiektu swego pożądanego.

Stała do niego bokiem, z lewą dłonią opartą na biodrze, wsparta na jednej nodze, z drugą odsuniętą nieco w bok i lekko ugiętą w kolanie. Jej kasztanowe włosy opadały kaskadami na opalone ramiona, uwypuklając białawą bliznę na lewej łopatkę. Wcześniej nawet nie zwrócił na nią uwagi. Zaczął się zastanawiać, po czym to może być ślad. Zaraz jednak przyszło mu na myśl, że nawet nie będzie miał teraz okazji, by o to zapytać.

Dopiero po paru sekundach zwrócił uwagę na skupiony wyraz twarzy Amandy.

–Rozumiem, Ken. Czy podali już dokładny czas wyjścia z portu?... A co z celem rejsu?

Przez chwilę nasłuchiwała, kiwając z lekka głową.

–W porządku. Coś jeszcze?... O dziesiątej?! Do diabła, a która jest teraz?

Rozejrzała się w poszukiwaniu zegarka. Zapewne nie pamiętała, że razem z kolczykami i rajstopami cisnęła go na dywan po przeciwnej stronie łóżka. Arkady szybko podniósł go z podłogi i wyciągnął w jej kierunku, za co podziękowała mu ledwie zauważalnym uśmiechem. Kiedy odwróciła się, ustawiając tarczę do światła,

wstał i delikatnie przeciągnął dłonią po jej nagich plecach. Pospiesznie cmoknęła go w policzek.

–Dobrze, Ken – powiedziała do słuchawki. – Jest piętnaście po ósmej. Zrobimy więc tak. Zarządź odprawę dowódców wszystkich sekcji na... trzynastą. Do tej pory powinnam już wrócić z admiralicji. Natychmiast zapoznam was z rozkazami. Tymczasem ogłoś stan gotowości. Ściągnij całą załogę z lądu i poinformuj ludzi, że niedługo wypływamy, ale... nie znasz jeszcze szczegółów. Każ rozpocząć alarmowe przygotowania i zamów uzupełnienie zapasów, nie zapominając o częściach zamiennych. Sporządź też listę najważniejszych czynności obsługowych, jakich okręt wymaga przed wyjściem w morze. Zakładam, że wszyscy oficerowie zostali już powiadomieni... Porucznik Arkady? Nigdzie go nie znalazłeś? – Amanda zerknęła przez ramię. – Na razie nie ma się czym martwić. Chyba wiem, gdzie można go znaleźć – oznajmiła rzeczowo, przywierając plecami do obejmującego ją Vince'a. – Czy Chris już wróciła?... Rozumiem. Jak tylko się zjawi, każ jej błyskawicznie przygotować szczegółowy raport na temat bieżącej sytuacji w Chinach. Wolałabym zawczasu wiedzieć, czego powinniśmy się tam spodziewać... Doskonale. Zjawię się na pokładzie, jak tylko MacIntyre wypuści mnie ze swego gabinetu.

Amanda wyłączyła aparat i zapatrzwszy się na przeciwległą ścianę powiedziała cicho:

–Chris miała rację. Chodzi o wojnę domową w Chinach. Jak szybko sekcja lotnicza może być gotowa do załadunku?

–Kiedy tylko pani sobie zażyczy, kapitanie. Trwają jeszcze przeglądy techniczne obu maszyn, a na dzisiejsze popołudnie mam zaplanowane kalibrowanie systemów naprowadzania pocisków RAM na strzelnicy w Schofield. Potem będziemy gotowi do akcji.

Nastąpiło niemal natychmiastowe przeistoczenie. Chociaż oboje byli wciąż nadzy i mieli świeżo w pamięci uniesienia miłosne z ostatniej nocy, to jednak łączące ich więzy osobiste szybko ustępowały miejsca suchej zależności służbowej. Na pokładzie „Cunninghama” mieli znów stać się tylko kapitanem i porucznikiem. Świadomie akceptowali ten stan rzeczy, jaki obojgu narzucały wymogi służby wojskowej, lecz zarazem oboje w głębi ducha żalowali, że tak musi być.

–Pora się zbierać – mruknęła Amanda. – Powinnam się zameldować w bazie za niespełna dwie godziny.

–Mam nadzieję, że zdążysz w biegu zjeść jakieś śniadanie, bo raczej nieprędko wejdiesz znów na pokład okrętu.

–Ja też mam taką nadzieję.

Przysiedli na krawędzi łóżka. Amanda oparła mu głowę na ramieniu. Żadne z nich nie chciało jeszcze przez parę minut myśleć o konieczności powrotu na „Cunninghama”.

–Dzięki, Vince s- zepnęła Garrett.

Uniósł dłoń, zanurzył palce w jej włosach, a po chwili delikatnie pocałował ją w skroń.

–To ja dziękuję. Do następnej okazji, kochanie.

–Masz rację. Do następnej okazji.

W dowództwie NAVSPEC-u unosił się przykry zapach świeżej farby. Ten najmłodszy twór w całym kompleksie bazy Pearl Harbor odziedziczył najstarszą część zabudowań administracyjnych, rozrośniętą na podobieństwo labiryntu sieć parterowych budynków, pochodzących jeszcze z okresu gigantycznej rozbudowy bazy na początku wojny wietnamskiej. Ich renowacja nie dobiegła jeszcze końca, toteż po korytarzach i pokojach kręcili się cywilni robotnicy, a w wielu miejscach prowadzono niezbyt spieszne malowanie.

NAVSPEC był w marynarce nowością pod paroma względami. Powołany w miejsce dawnego dowództwa oddziałów do zadań specjalnych, stanowił próbę objęcia wspólnym nadzorem różnych rozproszonych formacji floty, obejmujących głównie jednostki wywiadowcze oraz dysponujące nietypowymi rodzajami uzbrojenia. Stąd też pod wspólnym dowództwem znalazły się zarówno Morskie Oddziały Zwiadowcze FOKI bądź kompanie desantowe o różnym przeznaczeniu, jak też szturmowe łodzie podwodne, specjalistyczne jednostki pływające oraz eskadry lotnictwa i ratownictwa marynarki czy flotylla kutrów patrolowych.

Tylko dzięki nieustępliwości i sprytniej polityce kontradmirała Elliota MacIntyre’a w skład sił specjalnych marynarki wojennej weszły także najnowsze niewykrywalne okręty klasy Stealth, a między nimi również „Cunningham”.

Tak głęboka reorganizacja nadal wywoływała wiele sprzeciwów, i to zarówno z zewnątrz, ze strony sztabów poszczególnych flot, gdzie utyskiwano na ograniczenie liczebności okrętów i osłabienie siły uderzeniowej, jak też od wewnątrz, ze strony oficerów nowej formacji, którym odebrano stosunkowo dużą niezależność.

Amanda traktowała owe zmiany ambiwalentnie. Jako wychowance najbardziej konserwatywnego środowiska z Annapolis nie podobało jej się włączenie do grona wąskich specjalistów, w dodatku reprezentujących przysłowiowe kręgi miłośników płaszcza i szpady. Ale z drugiej strony dla ambitnej reprezentantki młodego pokolenia dowódców marynarki zaliczenie jej okrętu w poczet jednostek specjalnych, otwierające nadzwyczaj szerokie możliwości działania, było szczególnie intrygującym

wyzwaniem.

–Dzień dobry, kapitanie – odezwała się śpiewnym głosem Rendino, która niemalże wyrosła spod ziemi u jej boku i natychmiast podjęła ten sam sprężysty krok na korytarzu.

–Dzień dobry, Chris. Co ty tu robisz?

Podobnie jak ona, Rendino miała na sobie biały letni strój oficerski, ale pewne nieuchwytne szczegóły i nieco swobodniejsza postawa sprawiały, że leżał na niej bardziej jak zwykły kobiecy ubiór niż mundur wojskowy. Z drugiej strony wokół dowódcy sekcji wywiadowczej „Księcia” unosiła się jakaś ulotna, trudna do zdefiniowania aura, która powodowała, iż zwykli marynarze zazwyczaj czuli się nieswojo w towarzystwie Christine. Dość powszechne było wrażenie, że uświęcone tradycje i obyczaje marynarki wojennej w zetknięciu z ową aurą zaczynają przypominać śmieszne obrzędowe rytuały.

–Zostałam wezwana na odprawę w związku z całkiem nowym typem zabawek, z którymi będziemy mieli do czynienia – odparła Rendino...

–To znaczy?

–Chodzi o sieć zdalnie sterowanych czujników do rozmieszczania w rejonach przybrzeżnych.

–System boi hydrofonicznych? – spytała zdziwiona Amanda; niedawno czytała jakiś artykuł na ten temat.

–Dokładnie tak. Nowoczesna, szybka bariera typu SOSUS, wzorowana na zmysłach równowagi małych rybek. Podobno jako pierwsi mamy sprawdzić jej działanie w praktyce. Wspominali też o innym sprzęcie doświadczalnym.

–Jest coś, o czym powinnam zawczasu wiedzieć?

–Chyba nie... Czuję jednak, że będziemy musiały obie podjąć bardzo bliską współpracę, i to w tajemnicy.

Punktualnie o dziesiątej adiutant wprowadził Amandę do gabinetu admirała.

Już od kilku miesięcy była podkomendną kontradmirała Elliotta MacIntyre’a, nazywanego „Eddiem Makiem”. Znalazła się pod jego dowództwem, kiedy „Cunninghama” nieoczekiwanie włączono do floty atlantyckiej i skierowano do działań w kampanii antarktycznej. Od tamtego czasu kilkakrotnie rozmawiała z głównodowodzącym NAVSPEC-u, czy to na pokładzie okrętu, czy też na gruncie neutralnym, ale zawsze były to spotkania oficjalne.

Nigdy jednak nie była jeszcze w jego gabinecie. Pokonując kilka metrów przestrzeni dzielącej drzwi od biurka admirała, ukradkiem rozejrzała się pospiesznie, pragnąc na podstawie wystroju pomieszczenia dowiedzieć się czegoś bliższego o swoim przełożonym.

Na bocznej ścianie wisiał duży abstrakcyjny obraz marynistyczny, otoczony sporą kolekcją akwarel przedstawiających amerykańskie okręty wojenne. Możliwe, że były to podobizny jednostek, na których admirał kiedyś służył.

W kącie, na stojaku, piętrzył się rozbudowany zestaw muzyczny, nad którym wisiało wypchane jakieś egzotyczne zwierzę, prawdopodobnie kangur nadrzewny. Półki stojaka były zastawione kompaktami i kasetami, głównie z nagraniami muzyki klasycznej. Obok nich stało nawet kilka analogowych krążków w powycieranych kopertach.

Sąsiedni regał zapełniały książki. Na dolnej półce stał drewniany model arabskiego jednomasztowego statku handlowego, okaz wspaniałego kunsztu skutniczego, jaki rzadko już można było spotkać na Morzu Czerwonym.

Na rogu obszernego biurka znajdowało się kilka fotografii w ramach. Przedstawiały dwóch chłopców w wieku licealnym, młodszą dziewczynę oraz piękną kobietę o kruczoczarnych włosach.

Elliott MacIntyre był mężczyzną dość wysokim, muskularnym, szerokim w barach i potężnie zbudowanym. Ciemnoblonde włosy miał gęsto przetykane siwizną, skórę twarzy od wiatrów i słońca pociętą drobnymi zmarszczkami. Poruszał się sprężystym, energicznym krokiem, a w jego ciemnych oczach wciąż połyskiwały młodzieńcze skry.

–Kapitan Garrett melduje się na rozkaz, panie admirale – powiedziała, regulaminowo unosząc dłoń do skraju brwi.

–Dzień dobry, kapitanie. – MacIntyre także zasalutował. – Proszę siadać. Napije się pani kawy?

Głos miał głęboki i dźwięczny, bez śladu chrypki.

–Chętnie, panie admirale. Dziękuję – odparła, siadając na krześle stojącym naprzeciwko biurka.

MacIntyre lekko skinął głową adiutantowi, po czym usiadł na swoim miejscu i popatrzył jej prosto w oczy.

–Przede wszystkim, kapitanie – rzekł – powinna pani wiedzieć, że dziś rano otrzymałem wyniki inspekcji klasyfikacyjnej na pani okręcie.

Amanda wyprostowała się na krześle.

–Dowódca grupy obserwacyjnej przekazał mi już wcześniej, że jest zadowolony z naszego działania. Mam nadzieję, że te wyniki zadowolily także pana, admirale.

MacIntyre przytaknął ruchem głowy.

–Nie wdając się w szczegóły, kapitanie, „Cunningham” zachowa dotychczasową klasę „E”. Rezultaty wszystkich sekcji jednostki mieszczą się w górnych dziesięciu procentach, a ściślej rzecz biorąc w większości wypadków nie wykraczają poza dwa procent. To naprawdę doskonały wynik. I muszę przyznać, że nie spodziewałem się niczego innego po „Księżu”.

Amanda poczuła, że się rumieni.

–Bardzo dziękuję, panie admirale.

–Niestety, nie będzie pani miała za co dziękować po zakończeniu tej odprawy. Jak szybko okręt może być gotowy do wyjścia z portu?

Boże! A więc jednak – przemknęło jej przez myśl. Dowództwo oczekiwało jak najszybszego odtworzenia stanu pełnej gotowości „Księcia” po zakończeniu ćwiczeń inspekcyjnych. Coś się za tym kryło. Trzeba było zatem natychmiast wykonać niezbędne czynności obsługowe. A ci marynarze, którzy mieli rodziny na Hawajach, powinni dostać dodatkowe przepustki...

Teraz jednak musiała udzielić konkretnej odpowiedzi.

–Jeśli otrzymamy wszelką niezbędną pomoc w załadunku amunicji i zapasów, panie admirale, będziemy gotowi do podniesienia kotwicy o szesnastej.

MacIntyre uśmiechnął się i z uznaniem pokiwał głową. Amanda pomyślała, że tą odpowiedzią zdobyła jeszcze jeden plus do formularzy kwalifikacyjnych.

–Doskonale, kapitanie, ale sprawy nie przedstawiają się aż tak źle. Mogę dać pani załodze prawie czterdzieści osiem godzin. Wystarczy, jeśli „Księżę” zamelduje gotowość do wyjścia z bazy pojutrze o... szóstej rano.

Garrett z trudem powstrzymała głośne westchnienie ulgi.

–Na pewno będziemy gotowi, panie admirale.

–To świetnie. Oto pani rozkazy. Popłyniecie na Morze Wschodniochińskie w charakterze niezależnej ruchomej bazy do gromadzenia danych wywiadowczych. Po osiągnięciu wyznaczonej pozycji zajmiecie się zbieraniem informacji dotyczących

wojny domowej w Chinach, tak za pośrednictwem dotychczasowego wyposażenia okrętu, jak też nowego typu sieci czujników, która zostanie dostarczona na „Księcia”. Szczegóły wykonywanego zadania będziemy ustalali na bieżąco, w zależności od rozwoju wydarzeń, we współpracy z Agencją Wywiadowczą Sił Obrony.

Admirał zamilkł, gdyż do gabinetu ponownie wszedł adiutant. Niósł tacę z dwiema parującymi filiżankami, cukiernicą oraz dzbanuszką śmietanki, którą z namaszczeniem postawił na bocznej składanej dostawce blatu biurka.

–Dziękuję, Simons – odezwał się MacIntyre. – Życzy pani sobie ze śmietanką i cukrem, kapitanie?

–Tak, bardzo proszę, panie admirale.

Wrzucił dwie kostki cukru do kawy, nalał trochę śmietanki i przysunął jej filiżankę. Amanda zwróciła uwagę, że MacIntyre odznacza się rzadko spotykaną szarmancją wobec kobiet. Świadczyło o tym również jego nagłe poderwanie się z miejsca po jej wejściu do gabinetu. Przyjmowała te dowody szacunku z pewną dumą.

Admirał usiadł z powrotem, odchylił się na oparcie i założył nogę na nogę.

–Podstawowy cel waszej misji jest dość prosty – ciągnął, upiwszy łyk kawy. – Chyba najtrudniejszym elementem będzie właściwe rozmieszczenie czujników sieci. „Księżę” musi wejść na chińskie wody terytorialne i maksymalnie zbliżyć się do wybrzeża, a jak bardzo, to zostawiam do pani uznania, w zależności od rozwoju wydarzeń. Muszę jednak zaznaczyć, że konstruktorzy tej niezwyklej i piekielnie kosztownej zabawki twierdzą, że im bliżej brzegu rozstawi się czujniki, tym lepiej. Dokładne współrzędne pracy sieci zostały wyszczególnione w rozkazach, jakie otrzymał dowódca sekcji wywiadowczej. – MacIntyre odstawił filiżankę na brzeg biurka i dodał: – Zadanie będzie prawdopodobnie wymagało także zorganizowania przez pani sekcję lotniczą paru rekonesansowych lotów śmigłowców. Ta część misji jest powiązana ze sprawami naszego bezpieczeństwa narodowego, a z jej szczegółami również zapozna panią dowódca sekcji wywiadowczej „Księcia”.

Amanda zupełnie zapomniała, że jej kawa stygnie. Ze zmarszczonymi brwiami przyjmowała te pierwsze, ogólnikowe informacje o czekającej ją misji.

–Kiedy już zajmę wyznaczoną pozycję, komu będę bezpośrednio podlegała w rejonie działań? – spytała...

–Formalnie „Cunningham” zostanie wcielony do siódmego ugrupowania specjalnego. Z dowództwa tamtejszej floty będziecie otrzymywali zapasy, a gdyby doszło do otwartego konfliktu, znajdziecie się pod jego rozkazami taktycznymi. Ale pomijając tę ostateczną sytuację, uzyskuje pani niezależność w zakresie akcji rekonesansowych, kapitanie.

Niezależność! Dla Amandy oznaczało to, że znów stawała się pierwsza po Bogu i mogła kierować niszczycielem według własnego rozeznania.

–Chodzi również o to – ciągnął MacIntyre swobodnym tonem – żeby wypracowała sobie pani poprawne stosunki służbowe z admirałem Tallmanem. Dobrze znam Jake’a, to sympatyczny gaduła. Ale zdaję sobie też sprawę, że podobnie jak ja w pewnych okolicznościach może być szorstki wobec obcych, według niego panoszących się po jego podwórku. Powtarzam więc, że tylko formalnie będzie pani pod jego rozkazami, nie ulega natomiast wątpliwości, iż wskazana jest harmonijna i zgodna współpraca.

–Rozumiem, panie admirale. – Amanda pokiwała głową. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

–W to nie wątpię, kapitanie. Gdybym nie miał do pani zaufania, nie puszczałbym tak młodego oficera na głębokie wody. Jestem jednak całkowicie przekonany, że stawiam na właściwą osobę.

Nie musiał dodawać, że owa decyzja może mieć również wpływ na jego karierę oraz przyszłość całej formacji, którą dowodził. Amanda świetnie zdawała sobie sprawę, iż powołanie NAVSPEC-u przysporzyło admirałowi niejednego przeciwnika. Z pewnością wielu oficerów z admiralicji tylko czekało na jakiegokolwiek niepowodzenie, choćby najdrobniejsze uchybienie w przebiegu tejże misji.

–„Cunningham” pana nie zawiedzie, panie admirale.

–Nawet nie dopuszczam do siebie takiej myśli, kapitanie.

–Czy ta misja ma już jakiś kryptonim?

MacIntyre przytaknął ruchem głowy.

–Owszem, sam go wybrałem. Będzie to Operacja „Uriasz”. Pamięta pani Biblię?

Uśmiechnęła się lekko.

–Przyznaję, że to bardzo adekwatna nazwa, panie admirale. Uriasz Chetyta został celowo wysłany w rejon najsilniejszych walk.

Christine Rendino czekała na nią przed wyjściem z gmachu. Kiedy wsiadały do samochodu, Amanda uprzytomniła sobie, że przed wypłynięciem w morze będzie musiała jeszcze zwrócić to auto firmie leasingowej. Powinna o tym pamiętać.

No cóż, miała na wszystko niecałe czterdzieści osiem, a ściślej mówiąc czterdzieści dwie godziny. W przybliżeniu miesięczne przygotowania do rejsu trzeba było

zakończyć w ciągu dwóch dni. Wierzyła jednak, że jej załoga i z tym się upora.

–Jak minęła noc?

–Dzięki, Chris, spędziłam ją bardzo przyjemnie. Kto mógł przypuszczać, że akurat teraz Tajwańczycy zdecydują się porwać z motyką na słońce?

–Oho, zabrzmiało to jak zarzut, a nie retoryczne pytanie. Prawie jak: czy nie mogli...?

–Powiedziałałam już, Chris, że było bardzo przyjemnie. – Amanda starała się nie podnosić głosu. – Poszłam na wystawny obiad.

–Jakoś nie potrafię w to uwierzyć. – Christine obróciła się i uważnie zajrzała jej w oczy. – Słyszałam, że wczoraj wieczorem miałaś na sobie tę lazurową chińską bluzkę. Widywałam ją wcześniej, szefowo, i wiem dobrze, że nie jest to strój na taki sobie... wystawny obiad.

Przyjaciółka wbijała w nią nieruchome spojrzenie błękitnych oczu z taką samą intensywnością, z jaką podchodziła do najbardziej zawitych spraw wywiadowczych.

–O co ci chodzi, Chris?

–O nic. Powinnaś się już do tej pory przekonać, że jestem niepoprawnym wścibskim szpiclem. A jak ci się zdaje, dlaczego wybrałam taką specjalność? No, zdradź wreszcie. Kto był tym szczęściarzem?

Amanda, skupiona na prowadzeniu auta, nie była nawet w stanie posłać jej piorunującego spojrzenia.

–Ty też powinnaś mnie już poznać do tej pory, Chris. Moje prywatne sprawy zawsze pozostaną tajemnicą.

Nie było to całkiem prawdą. Przez lata wspólnej służby niejednokrotnie zwierzały się sobie nawzajem z przebiegu różnych przygodnych znajomości w rozmaitych portach. Ale w tej sytuacji Amanda nawet wobec przyjaciółki musiała zachować milczenie.

–Poza tym, poruczniku – dodała – mamy w tej chwili znacznie ważniejsze sprawy na głowie.

Oficjalny ton i użycie stopnia wojskowego nie było najlepszym wyjściem w rozmowie z Chris, lecz Garrett nie umiała znaleźć innego sposobu na zmianę kłopotliwego tematu.

–Tak jest, kapitanie – odparła szybko Rendino, usadawiając się prosto w fotelu. Na

jej wargi jednak wypłynął tajemniczy, niemal ironiczny uśmiezek.

Kiedy tylko wjechały na teren bazy, Amanda natychmiast zapomniała o komplikacjach swego życia osobistego. Trwał już załadunek zapasów na „Księcia”, u stóp szerokiego taśmociągu z aluminiowych płyt stał szereg dwuipółtonowych ciężarówek marynarki wojennej. Cywilni robotnicy portowi ładowali na niego skrzynie, marynarze zdejmowali je na pokładzie i przez otwarte główne wrota wnosili do hangaru.

W toku było także napełnianie zbiorników paliwa. Gruby wąż prowadził od zaworu na nabrzeżu do kłapy w pokładzie, przez wewnętrzny system tankowania niszczyciela płynął strumień oczyszczonej ropy.

Kiedy tylko Amanda i Christine wyszły z parkingu na zalane słońcem betonowe nabrzeże, zwróciły uwagę na niewielką grupkę osób u stóp trapu. Troje z nich, oficer wachtowy oraz dwoje wartowników, należało do załogi „Cunninghama”. Pozostali dwaj marynarze byli w mundurach wyjściowych, na ziemi obok nich leżały wypchane żołnierskie worki.

Wszyscy zasalutowali regulaminowo na jej widok.

–Dzień dobry, Selkirk – odezwała się Garrett, oddawszy honory. – Co tu się dzieje?

–Dwie pary nowych rąk zgłosiły się do służby, proszę pani – wyjaśnił oficer.

–Doskonale. – Amanda powiodła uważnym spojrzeniem po plakietkach z nazwiskami przyczepionych do kieszonek na piersiach jej nowych podkomendnych, jakby w myślach otwierała już dwie nowe teczki akt personalnych. – Marynarzu Kirby, marynarzu Langdon, nazywam się kapitan Garrett i jestem waszym nowym dowódcą. Zgłosiliście się w chwili, kiedy otrzymaliśmy rozkaz podjęcia alarmowych przygotowań do wyjścia w morze, toteż wszyscy będziemy przez jakiś czas mieli pełne ręce roboty. Zgłóście się do mojego zastępcy, komandora Hiro, on was przydzieli do odpowiednich sekcji i wyznaczy miejsca w kajutach. Dopiero gdy wyjdziemy z portu i nastanie trochę spokoju, będziemy mogli porozmawiać. Na razie, panowie, witam na pokładzie „Księcia”.

Odwróciła się i ruszyła energicznie po trapie. Rendino i Selkirk poszli za nią. Dwóch nowych marynarzy odprowadziło całą trójkę oczyma okrągłymi ze zdumienia. Po chwili spojrzeli na siebie z niedowierzaniem, po czym jeden z nich mruknął:

–Niech mnie gęś kopnie. Jeszcze nigdy nie pływałem pod rozkazami kapitana w spódnicy. Jak tu jest, w tym waszym kramiku?

–Pierwsza dama to babka na medal – odparła z uśmiechem wartowniczką. – Trzymaj się z załogą i możesz się po niej spodziewać wszystkiego najlepszego, dopóki

będziesz sumiennie wywiązywał się ze swoich obowiązków.

–A jak nie – dodał jej kolega groźnym basem – jak coś schrzaniś i zawiedziesz resztę załogi, to nasza dama poda ci twojego własnego kutasa z keczupem w bułeczce do hot doga.

Rozdział 8

Reda portu Pearl Harbor

18 lipca 2006, godz. 5.45 czasu lokalnego

Amanda, ubrana w roboczy kombinezon, z ozdobioną nazwą „Cunninghama” baseballową czapeczką na upiętych włosach, usadowiła się wygodnie w stojącym na mostku fotelu kapitańskim i oparła czubek buta o poręcz obok stanowiska sterowego. Okręt znajdował się u wylotu Pearl Channel i wpływał powoli na głębsze wody Zatoki Mamala. Nawet gołym okiem można było zauważyć lekką zmianę zabarwienia toni. Odczuwało się też pierwsze delikatne kołysania fal nadciągających z otwartego oceanu.

–Wszystkie maszyny pół naprzód, do prędkości dwudziestu węzłów.

–Rozkaz – odparł oficer zasiadający przy centralnej konsoli.

Szybko sięgnął do dźwigni urządzenia umieszczonego na podwyższeniu od strony stanowiska sterowego i przesunął je nieco do przodu. Nasilił się stłumiony huk potężnych turbogeneratorów. Wszyscy odczuli, że okręt wyraźnie przyspieszył, poszerzyły się białe grzywy piany na odkosach powstających z fal rozcinanych dziobem niszczyciela.

–Są wszystkie maszyny pół naprzód, na dwadzieścia węzłów – zameldował oficer.

Amanda uśmiechnęła się leciutko, gdyż po raz kolejny ogarnęło ją takie uczucie, jakiego w jej przeświadczeniu musiał doznawać wytrawny jeździec wprowadzający pełnokrwistego ogiera w galop.

Po prawej burcie wyłonił się jeden z dużych statków wycieczkowych z Honolulu, na którym mimo wczesnej pory tłoczyli się turyści. Płynął w żółwym tempie przy wtórze głośniego terkotu dieslowskiego silnika. Nad jego relingiem pojawiło się nagle mnóstwo aparatów fotograficznych, kamer wideo i lornetek wycelowanych w olbrzymiego niszczyciela. Szyper oddał im honory, spuszczać do połowy masztu flagę narodową.

–Oficer sygnałowy, proszę odpowiedzieć dwiema syrenami.

Niemal natychmiast odezwała się syrena „Księcia”, jej dźwięk poniósł się echem po wodzie.

Kiedy statek wycieczkowy odbił w prawo, Amanda przeniosła uwagę na ekrany monitorów rozmieszczonych rzędem ponad przednią szybą mostka. Szybko wyłowiała

obraz radaru nawigacyjnego i porównała jego wskazania z parametrami wyznaczonego kursu.

Na razie wszystko szło jak po maśle.

–Nawikom, proszę o meldunek.

–Jesteśmy w punkcie wyjściowym, kapitanie – odparł ze swego stanowiska łącznościowiec. – Wskazania SINS i GPU sprawdzone i zweryfikowane. Wszystko się zgadza. Parametry kursu obliczone. Łączność bez zakłóceń.

Na sąsiednim monitorze, przedstawiającym dotąd jedynie komputerową mapę fragmentu wybrzeża Oahu, teraz zajaśniała linia kursu, którym mieli płynąć, od ostatniej radiolatarni bazy morskiej odchylająca się na zachód.

–Doskonale. Sternik, włączyć autopilota i sprzężyć go z komputerem Nawikomu.

Oficer pośpiesznie sięgnął do klawiatury na pulpicie. Po chwili słońce, którego rąbek wyłaniał się nad relingiem bakburty, poczęło się przesuwac ku rufie. Automatyczne urządzenia okrętu wprowadzały go na zaprogramowaną trasę.

–Jest kurs dwieście sześćdziesiąt pięć stopni, kapitanie – zameldował po minucie sternik. – Autopilot sygnalizuje zakończenie manewru.

–Świetnie. Powiadomić wszystkie sekcje o wyjściu z fazy Zebra. Zarządzam tryb rejsowy. Przystąpić do zajęć zgodnie z rozkładem dnia.

Na mostku zapanowała nagle swobodna atmosfera. Bez przygód opuścili strefę portową, a więc załoga „Cunninghama” mogła się czuć niezależna przez najbliższych dziesięć dni, czyli do czasu osiągnięcia wyznaczonej pozycji w rejonie działania siódmej floty, u wybrzeży Chin.

Amanda wstała z fotela i obciągnęła mundur.

–Panie Freeman, okręt należy do pana – zwróciła się do oficera wachtowego. – Życzę miłej zabawy tego pięknego, słonecznego poranka.

Przeszła do wnęki w tyle sterówki, wsypała sobie do szklanki ulubionej herbaty earl grey i zalała ją wrzątkiem. Po chwili, jakby chcąc zrobić na złość otaczającym ją purystom, wsypała pełną łyżeczkę śmietanki w proszku i dorzuciła parę kostek cukru. Upiwszy kilka łyków, wróciła na mostek i wyszła na pomost sterburtowy.

Nie odstawiając szklanki, oparła się łokciami o reling tuż obok Kena Hiro i przyjęła taką samą jak on pozycję, zwaną żartobliwie przez marynarzy klasycznym przechyłem oficerskim. Już wcześniej zwróciła uwagę, że jej zastępca niemal od

chwili odbicia od nabrzeża sterczy tu prawie bez ruchu.

–Nie widziałam dziś rano w bazie Misy i dzieciaków – odezwała się cicho. –
Wszystko w porządku?

Ken wyprostował się nagle, jak gdyby przyłapany na gorącym uczynku. Zazwyczaj nie przejawiał aż tyle stoicyzmu, przypisywanego stereotypowo wszystkim jego ziomkom. Widocznie stał pogrążony w zadumie i pojawienie się Amandy całkowicie go zaskoczyło.

–Tak, oczywiście, kapitanie. Wszystko w porządku. Moja rodzina nigdy mnie nie odprowadza o tak wczesnej porze. Zdążyliśmy wypracować pewien schemat postępowania. Żegnaj się ze wszystkimi wieczorem, a rano wychodzę na palcach z domu, żeby nie budzić dzieci. Nastawiam tylko żonie budzik. Ona ściąga dzieci z łóżek i jadą razem na platformę widokową na przylądku Keahi. – Ruchem głowy wskazał widoczny w oddali skalisty cypel. – Mają stamtąd znakomity widok. To nam musi wystarczyć zamiast serdecznego pożegnania.

–Dość sympatyczny zwyczaj – przyznała Amanda, kiwając z uznaniem głową.

Zerknąwszy ponad jego ramieniem w stronę rufy spostrzegła, że Ken nie jest jedyny, który w ten sposób żegna się ze stałym lądem. Wzdłuż relingu na głównym pokładzie stało w grupkach wielu marynarzy, odprowadzających wzrokiem zarys wyspy Oahu malejący stopniowo na horyzoncie. Nawet w marynarce wojennej nie był to wcale rzadki widok. Średnia wieku załóg wciąż się zwiększała, a to oznaczało nieuchronnie, że służbę pełni coraz więcej osób pozostawiających na lądzie kogoś bliskiego. Taka była cena pełniejszego i gruntowniejszego specjalistycznego wykształcenia marynarzy.

Amanda świetnie rozumiała ich odczucia, mimo że w najmniejszej mierze ich nie podzielała. Dla niej – niezależnie od tego, czy płynęła ośmiometrowym jachtem, czy okrętem wojennym o wyporności ośmiu tysięcy ton – każde wyjście z portu było jak oczyszczenie, oprócz szansy sprostania kolejnym wyzwaniom podsuwało możliwość oswobodzenia się od kurzu stałego lądu.

Zdawała sobie też sprawę, iż jej punkt widzenia w znacznej mierze wynikał stąd, że nie zostawiała w porcie nikogo i niczego, co miałyby dla niej szczególne znaczenie. Już na samym początku swojej kariery wbiła sobie do głowy, że jeśli naprawdę zamierza dobrze kierować swoim okrętem, musi żeglować bez żadnych obciążeń psychicznych.

Dlatego też tak zorganizowała swoje życie, aby osobisty majątek zmieścił się w dwóch walizkach i dał błyskawicznie rozłożyć na półkach szafy. Świadomie także unikała wszelkich głębszych związków emocjonalnych. I dobrze się czuła w tym

stanie całkowitej niezależności. Niekiedy ową skrajną izolację przyjmowała z wielkim zadowoleniem, niczym odgradzony od świata żółw samotnik.

Dopiero ostatnimi czasy coraz częściej zaczynała mieć wątpliwości, czy nie posunęła się za daleko z tą niemal perfekcyjną organizacją własnego życia. Najczęściej po prostu odpychała od siebie podobne myśli, uznając je za nieuchronne kobiece symptomy wieku średniego, ale ilekroć miewała do czynienia z rodziną Kena, jak bumerang powracał jej do głowy wniosek, że chyba nie byłoby tak źle mieć jednak kogoś na stałe, do kogo warto by wracać z każdego rejsu.

–Kapitanie! – zawołał z mostku oficer wachtowy. – Pазie zero jeden i zero dwa wchodzą na kurs zbieżny i szykują się do lądowania.

To Vince Arkady i jego zmienniczka, Nancy Delany, wracali wreszcie do gniazda.

–Doskonale, panie Freeman – odparła głośno Amanda, nie odwracając nawet głowy.
– Proszę nawiązać bezpośrednią łączność i sprowadzić oba śmigłowce według standardowej procedury.

–Tak jest.

Po chwili dał się słyszeć przybierający na sile terkot i od strony dziobu podeszły obie należące do sekcji lotniczej „Cunninghama” maszyny SAH-66 Sea Comanche. Z oddali sprawiały nieco dziwne wrażenie, jak gdyby lekko garbatych stworów o wydłużonych ogonach, lecz i aerodynamiczne właściwości helikopterów musiały być podporządkowane regułom niewykrywalności przez radary. Komańcze używane w lotnictwie morskim i tak różniły się trochę od swoich pierwowzorów produkowanych dla jednostek zwiadowczych lotnictwa, ponieważ musiały być wykrywalne dla urządzeń macierzystego okrętu.

Oba śmigłowce w ścisłej formacji podchodziły do lądowiska „Księcia” od sterburty, nie wyżej niż dwadzieścia metrów ponad falami. Manewrując tak, jakby łączyły je niewidzialne sztywne więzy, szybko wytraciły prędkość i zawisły nad pokładem, niewiele wyżej od pomostu sterówki.

Garrett popatrzyła przez przyciemnione szkło kabiny na szeroki, wręcz łobuzerski uśmiech Vince’a siedzącego za sterami Pазia zero jeden. Mimo ciemnych okularów i obszernego lotniczego hełmu miała wrażenie, że pilot patrzy prosto na nią, pomachała mu więc ręką. Odpowiedział ledwie zauważalnym skinieniem głowy. Po chwili obie maszyny w zgodnym rytmie pochyliły lekko dzioby, przesunęły się wzdłuż nadbudówki w stronę rufy i wykręciły nad lądowisko. Garrett i Hiro przyglądali się uważnie, jak zajmują pozycje ponad swoimi stanowiskami i zaczynają powoli opadać na pokład „Cunninghama”.

Wreszcie Amanda odwróciła głowę, pociągnęła łyk herbaty i z powrotem oparła się

łokciami o reling. Pomyślała, że mimo wszelkich rzeczowych argumentów dobrze jest jednak podczas rejsu mieć u swego boku kogoś bliskiego.

Rozdział 9

Szanghaj, Chiny

17 lipca 2006, godz. 23.20 czasu lokalnego

Eskadra kutrów pościgowych trzymała się środka szerokiego koryta rzeki Huangpu. Pomalowane na szaro jednostki, płynące z uniesionymi hydroplątami i popychane jedynie siłą wyrzucanej z tyłu wody, musiały być niewidoczne z brzegu. Zdradzić je mógł najwyżej cichy rumor pracujących na wolnych obrotach wysokoprężnych silników. Nocne powietrze wypełniała mieszanina zapachów typowa dla okolic Szanghaju: kwaskowa woń gnijących wodorostów, charakterystyczna dla całej delty Jangcy, słodkawy odór wyziewów z pobliskiej wielkiej rafinerii Żongsing i ostry, duszący zapach dymu z zasilanych drewnem palenisk w okolicznych zabudowaniach.

Widoczna na zachodzie metropolia przypominała widmowe skupisko rozmaitych brył, wśród których po zmierzchu niepodzielne rządy obejmowała ciemność.

Najbliżej nich, ledwie parę kilometrów w górę rzeki, na miejscu dawnej kolonialnej faktorii, wyróżniało się skupisko starych drapaczy chmur zbudowanych jeszcze w latach trzydziestych. Teraz ich czarne sylwetki na tle mrocznego nieba przypominały gigantyczne odstrasające ruiny, jakby przeniesione do teraźniejszości z czasów drugiej wojny światowej. W całej olbrzymiej metropolii, zamieszkałej przez miliony ludzi, można było dostrzec tylko pojedyncze, słabe źródła światła. Głęboki kryzys ekonomiczny zmusił władze do ograniczenia zużycia prądu, nie marnotrawiono go na oświetlanie ulic, zresztą nawet zwykła żarówka stała się ostatnio skarbem niemal na wagę złota.

Porucznik Żu Szan pamiętał jednak łunę na niebie, widoczną ponad tętniącym życiem Szanghajem nawet z odległości czterdziestu mil od lądu. A było to zaledwie parę lat temu, gdy jako kadet zdobywał szlify na pełnym morzu. Teraz zaś wielokrotnie musiał się zastanawiać, czy kiedykolwiek jeszcze uda się odegnać mroki nocy w samym centrum miasta.

Jego łódź, oznaczona numerem pięćset dziewiętnaście, płynęła jako druga w kolumnie, a sternik kurczowo trzymał się kursu wyznaczanego przez dwie strugi białej piany pozostające za rufą prowadzącego kutra. Nie dysponowali żadnym sprzętem do nocnej nawigacji, jaki spotykało się tylko na większych i nowocześniejszych jednostkach floty. A i zwykły radar okazywał się całkiem bezużyteczny na tych zdradzieckich wodach.

Pięćset dziewiętnaście była nieco już zdezelowaną kopią jeszcze starszego modelu, okrytego niegdyś sławą pościgowego kutra torpedowego klasy Huszuan. Do obrony mieli jednak tylko dwie pary sprzężonych karabinów maszynowych kalibru 14 mm,

rozieszczonych na dziobie i rufie. Pozbawiono ich także wszelkich pocisków samonaprowadzających, pozostawiając wyłącznie dwie ciężkie torpedy typu 53VA, spoczywające w wyrzutniach dziobowych. Nie mieli ani żadnych specjalistycznych czujników, ani choćby systemu zakłócania fal radarowych. W gruncie rzeczy nie dawano im większych szans na przeżycie w starciu z ewentualnym, dobrze wyposażonym przeciwnikiem.

Żu nie przejmował się zanadto stanem podległej mu jednostki. Zdążył się już nauczyć, że służba w Ludowej Armii Wyzwoleńczej polega przede wszystkim na wykonywaniu swoich obowiązków w zakresie niezbędnego minimum. Martwiło go jednak, że nawet owo minimum może się okazać niewykonalne. Teraz, stojąc na swoim stanowisku w sterówce, czuł pod palcami łuszczącą się farbę relingu, wyczuwał chropowate gruzły szybko narastającej rdzy i bez trudu wyławiał nieregularności w rytmie pracy ledwie sprawnego silnika kutra.

Wszelkie zapasy i części zamienne, których w normalnych warunkach nigdy nie brakowało, przez ostatnich kilka miesięcy wręcz zniknęły bez śladu. Co gorsza, od samego początku wojny domowej ich eskadra tkwiła beczynnie w macierzystej bazie w Czangszando, stopniowo zżerana przez rdzę, podczas gdy bandyci i kontrrewolucjoniści wdzierali się do samego serca Chińskiej Republiki Ludowej.

Kiedy w końcu nadszedł rozkaz popłynięcia na południe, Żu zyskał nadzieję, że wreszcie zostaną skierowani do walki. Liczył na to, że będzie miał okazję zetrzeć się z niedobitkami Kuomintangu, które po latach odważyły się wypełznąć ze swej wyspiarskiej nory i zaatakować ojczyznę.

Ale eskadra, z niewyjaśnionych powodów, zajęła się patrolowaniem okolic Szanghaju.

Za jego plecami rozległ się brzęk ciężkiego klucza o pokład, a po chwili bosman Hung zaklął głośno ze swoim charakterystycznym mandżurskim akcentem. Wraz z dwoma marynarzami usiłował poluzować zabezpieczone i zardzewiałe śruby mocowania głównego masztu radarowego kutra. Jednocześnie Szan uprzytomnił sobie, że nie uzyskał żadnego wyjaśnienia, z jakich powodów mieli się przygotować do złożenia obu masztów, zarówno antenowego jak i radarowego.

Ponownie skupił się na ciemnej wstędze rzeki przed nimi. Zdążył zaledwie pomyśleć, że muszą się już znajdować w pobliżu głównego rozgałęzienia płynącej dalej dwoma korytami Huangpu, kiedy niespodziewanie z ciemności w przodzie wyłonił się mroczny zarys prowadzącego kutra.

–Maszyny stop! – zawołał do sternika.

Poprzez szum przełączanego napędu wyłowił głos nawołującego go kapitana Li.

Dowódca eskadry stał przy relingu na rufie swojej łodzi, częściowo zwróconej dziobem w kierunku bocznej odnogi. Obok niego marynarz czerwonym światłem latarki pokazywał drogę innym, mijającym ich kutrom.

–Wszystko w porządku Szan? Znasz dalszą drogę?

–Tak jest, towarzyszu kapitanie. Trafię bez trudu.

–Świetnie. To już niedaleko. Eskadra zostanie rozproszona po rozlewiskach i zatoczkach wzdłuż wschodniego brzegu rzeki. Ty popłyn dalej nurtem aż do nabrzeży stoczni, tam zwróć uwagę na sygnały świetlne z lewego brzegu. Dla twojego kutra będą trzy błyski, krótki, długi i krótki. Skręcisz w kierunku światła, dalej poprowadzi cię przewodnik. Jesteście gotowi do złożenia masztów?

Żu obejrzał się w stronę rufy.

–Za chwilę zdejmujemy te śruby, poruczniku – warknął klęczący na pokładzie Hung.

–Tak jest, towarzyszu kapitanie. Jesteśmy gotowi.

–Doskonale. No to ruszaj, Szan.

Sfrustrowany Żu nie wytrzymał i zawołał za odchodzącym Li:

–Towarzyszu kapitanie! Czy może pan powiedzieć, jaką misję będziemy mieli do spełnienia na terenie stoczni?

–Taką samą jak zawsze, towarzyszu poruczniku – odparł kapitan z wyraźną irytacją w głosie. – Bez przerwy służymy naszemu krajowi.

To ucinało możliwość jakiegokolwiek dalszej rozmowy. Rozwścieczony Żu rozkazał sternikowi dać małą naprzód, ominąć z lewej kuter dowódcy i płynąć dalej głównym korytem.

Wkrótce minęli zakręt rzeki. Po sterburcie wyłoniły się zabudowania przemysłowej dzielnicy Fusing Dao. Na przeciwnym brzegu wyrosła przed nimi Państwowa Stocznia Hudong. Żu nie spuszczał z oczu bakburtowego nabrzeża i po paru minutach dostrzegł błyski latarki sygnałowej. Chciał już wydać sternikowi rozkaz skierowania kutra w tamtą stronę, kiedy nagle uświadomił sobie, że wcale nie jest to sygnał przeznaczony dla niego.

Dopiero gdy podpłynęli bliżej zauważył, że przed nimi kołysze się na wodzie potężny dok pływający. Jego rufowa otwarta część została przesłonięta pozszywanymi płachtami brezentu, a krawędź materiału, kołysząc się nieco na wietrze, rytmicznie odsłaniała snopy iskier strzelających spod pracującej wewnątrz spawarki.

Zaintrygowany Żu sięgnął po lornetkę noktowizyjną i powiódł spojrzeniem po tonącej z pozoru w ciemnościach stoczni. Natychmiast stało się dla niego jasne, że w wielu miejscach wre tu gorączkowa praca, co w pierwszej chwili trudno było zauważyć. Po odległym nabrzeżu przesuwają się ciężarówki z wyłączonymi światłami, pod ścianami gigantycznych hal przemykali jacyś ludzie. W licznych szczelnie zasłoniętych oknach budynków administracyjnych i hal montażowych paliły się niezauważalne gołym okiem światła.

Szan wiedział doskonale, że z powodu wojny domowej niemal cały ciężki przemysł Chin przestał pracować, a dotyczyło to również stoczni. Zatem tutaj musiało się dziać coś niezwykłego, o szczególnym znaczeniu.

Owo nasilenie potajemnej działalności zaintrygowało go do tego stopnia, że omal nie przeoczył sygnałów świetlnych.

–Ster w lewo – rozkazał półgłosem.

Kuter pięćset dziewiętnaście skręcił ku ledwie widocznemu pomostowi. Szan sądził początkowo, że będą musieli przy nim zacumować, ale gdy podpłynęli bliżej, przewodnik zaczął dawać latarką znaki, iż muszą wpłynąć pod niego.

–Hung! Złożyć maszty!

–Rozkaz, poruczniku.

Żu z zainteresowaniem popatrzył na usunięte deski osłony i powycinane pale, dzięki czemu w betonowym nabrzeżu portu powstało obszerne kryte schronienie dla łodzi. Zatęchłe powietrze wewnątrz przesycone było odorem ropy. Burta kutra zgrzytnęła o zderzaki prowizorycznie zamocowane na palach u wejścia do kryjówki. Coraz bardziej zdumiony Szan wyszedł ze sterówki na pomost. Uniósł rękę i musnął palcami wilgotną płachtę brezentu osłony, teraz podwiniętą ku górze.

Nagle wszystko stało się dla niego jasne. Armia chińska utraciła już wszystkie satelity szpiegowskie, a możliwości techniczne wrogów ojczyzny pozostawały tajemnicą. Owa kryjówka w nabrzeżu portowym miała zasłonić kuter przed wzrokiem ewentualnych szpiegów, natomiast płachty wilgotnego brezentu powinny skutecznie zamaskować źródło ciepła, jakim był silnik łodzi.

Kilka sekund później zasłona została opuszczona, umilkł dieslowski motor ścigacza torpedowego. Jak zawsze niezastąpiony Hung przy świetle słabej latarni zaczął kierować cumowaniem łodzi.

Zamyślony Żu wrócił do sterówki. Wyczuwał przez skórę, że dzieje się tu coś niezwykle ważnego, w co nieświadomie został zaangażowany wraz z załogą.

Mógł się wreszcie pocieszyć myślą, że w końcu i on odegra jakąś rolę w toczącej się wojnie.

Rozdział 10

Hotel „Manila „, Filipiny

6 sierpnia 2006, godz. 8.00 czasu lokalnego

–Już ósma, panie sekretarzu.

Przez chwilę Harrison Van Lynden nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się znajduje, co zdarzało mu się już niejednokrotnie w trakcie licznych podróży po świecie. Zaraz jednak pamięć powróciła.

Tego dnia w Manili miały się rozpocząć rozmowy pokojowe.

–Dziękuję, Frank. Już wstaję – odparł, siadając w łóżku.

–Podać panu śniadanie? – zapytał ochroniarz stojący w drzwiach sypialni.

–Tak, poproszę. To co zwykle, za piętnaście minut.

–Będzie gotowe, panie sekretarzu. Pani Sagada zapowiedziała już swoją wizytę, chce pana zapoznać z bieżącą sytuacją.

–Dziękuję.

Drzwi się zamknęły. Van Lynden spuścił nogi z łóżka i potarł oczy, chcąc zwalczyć resztki zmęczenia wywołanego długą podróżą samolotem. Wstał, podszedł do okna balkonowego i energicznym ruchem rozsunał ciężkie zasłony ze złotego brokatu, wpuszczając do pokoju promienie słońca odbijające się od stal owo szarych wód Zatoki Manilskiej.

Ze względów bezpieczeństwa władze Filipin postanowiły umieścić wszystkie delegacje w jednym hotelu, gdzie zarazem miały być prowadzone pertraktacje dotyczące uregulowania napiętej sytuacji w Chinach. Trudno było ocenić, czy to ze względów historycznych, czy na skutek zwykłej ironii losu, wybór padł na hotel „Manila”.

Szesnastopiętrowa „Wielka Dama” Filipin w przeszłości pełniła bowiem bardzo różne role. Tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej swoją kwaterę założył tu Douglas MacArthur, który bezskutecznie usiłował przygotować rozmaitych członków Wspólnoty Brytyjskiej na zbliżającą się zawieruchę. Później w hotelu mieściło się naczelne dowództwo inwazyjnych sił japońskich, a z jego balkonów przyjmowano defilady grabieżców tego dumnego miasta. Przetrwawszy okupację, słynny hotel stał się świadkiem wkroczenia do Manili kolejnych wojsk, tym razem wyzwolńczych, ale

jego mury do dzisiaj nosiły ślady po pociskach amerykańskich myśliwców szturmowych.

Spoglądając teraz na zapchane samochodami nadmorskie bulwary, Van Lynden zaczął się zastanawiać, jakież to nowy rozdział w historii świata zostanie otwarty w tymże budynku: zakończenie groźnego konfliktu zbrojnego, czy może początek gigantycznej zagłady.

Jajka na bekonie okazały się wyśmienite, tym bardziej, że towarzyszyły im niecodzienne, dodające egzotyki przystawki: zapiekany ryż, owoce gwajawy i drzewa chlebowego. Ale humor popsuło mu nieco to, że przy śniadaniu musiał dzielić swą uwagę między posiłek a relację młodej kobiety siedzącej na kanapie naprzeciwko stolika.

Lucena Sagada, łącznik ambasady amerykańskiej, odznaczała się typową filipińską urodą: miodowozłotą cerą i oczami oraz włosami w kolorze hebanu. Lecz jej jasny letni kostium miał klasyczny zachodni krój. Po zakończeniu podyplomowego stażu w waszyngtońskim departamencie stanu Sagada wróciła do ojczyzny swoich rodziców, gdzie mogła w pełni wykorzystać znajomość tutejszego języka i obyczajów.

–Otrzymałmśmy wreszcie kompletne listy uczestników poszczególnych delegacji, panie sekretarzu – powiedziała, zerkając na rozłożony na kolanach laptop.

–Wiem już, że ze strony Filipin w rokowaniach weźmie udział pan Apayo, z Japonii Keo Moroboshi, a z Korei Czung Pak. Mamy jakieś wiadomości od Rosjan i Wietnamczyków?

–Hanoi w ogóle nie odpowiedziało na nasze zaproszenie. Moim zdaniem Wietnamczyków można swobodnie skreślić z listy. Natomiast Rosjanie przysłali oficjalną notę, w której zawiadamiają, że nie wezmą udziału w rozmowach, domagają się jednak, by upoważniony pracownik ich tutejszej ambasady mógł uczestniczyć w konferencji jako obserwator.

–Nie mam nic przeciwko temu – odparł Van Lynden. – W ten sposób nie będą nam w niczym mieszaali, a zarazem nie poczują się pominięci w tak ważnym wydarzeniu. To świetny kompromis. – Wbił widelec w ostatni kawałek owocu drzewa chlebowego i włożył go do ust. – Przejdźmy więc do głównych aktorów tego przedstawienia. Kto przyleciał z Chin?

–Obie delegacje przybyły wczoraj wieczorem, mniej więcej w odstępie godziny.

Sagada wyjęła z pudełka płytę kompaktową i wsunęła ją w szczelinę czytnika komputera. Wstała z kanapy, ustawiła laptop na stoliku do kawy i przysunęła go do stołu, przy którym siedział Van Lynden.

–Dowódca komórki CIA przy ambasadzie rozkazał sfilmować przyłot obu delegacji – powiedziała, wciskając parę klawiszy. – Oto wspólna reprezentacja tajwańskich nacjonalistów i Zjednoczonego Frontu Demokratycznego, która przybyła samolotem z Tajpej.

Sekretarz zapatrzył się na niewielki ekran; obraz przedstawiał dwóch mężczyzn schodzących po schodkach od wyjścia niewielkiego, kilkumiejscowego odrzutowca.

–Tego pierwszego rozpoznaję. To Duan Sing Ho z ministerstwa spraw zagranicznych. Kilka razy miałem okazję z nim współpracować za pośrednictwem tajwańskiego Instytutu Amerykańskiego. To człowiek o otwartym umyśle, jeden z najlepszych w chińskiej służbie dyplomatycznej. Ale tego drugiego nigdy wcześniej nie widziałem. – Wskazał drobnego, siwowłosego mężczyznę idącego za Duangiem.

–Według informacji personalnych Krajowej Agencji Bezpieczeństwa o głównych postaciach Zjednoczonego Frontu Demokratycznego to profesor Dzin Ji, były wykładowca historii i nauk politycznych na Uniwersytecie Ludowym w Kantonie. Wygląda na to, że obecnie pełni rolę ambasadora Frontu w kontaktach zagranicznych.

–Mamy coś więcej na jego temat?

–Niewiele, panie sekretarzu. Jest kawalerem, pochodzi z prowincji Kuangtung. Podobno był znakomitym wykładowcą, a w młodości gorącym zwolennikiem komunizmu i członkiem partii. Nie uchroniło go to jednak przed prześladowaniami, kiedy w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku doszła do władzy Czerwona Gwardia. W czasach rewolucji kulturalnej wraz ze swoim bratem wylądował w jednym z obozów reedukacyjnych. Przez półtora roku przebywał w więzieniu. W tym czasie jego brat zmarł, zapewne z głodu lub na skutek tortur.

–Podejrzewam, że w takich okolicznościach każdy zmieniłby światopogląd.

Na ekranie ukazało się przybliżenie sylwetki profesora Dżina o pomarszczonej, udręczonej życiem twarzy, nieco usztywnionego, lekko utykającego na jedną nogę, obrzucającego jednak zaciekawionym spojrzeniem lotnisko w Manili. Van Lynden pomyślał, że politycy z Pekinu sami zrobili sobie z tego starszego człowieka bardzo groźnego przeciwnika.

Zapis wideo dobiegł końca. Sagada ponownie nacisnęła kilka klawiszy, przywołując inny obraz.

–A oto delegacja władz komunistycznych.

Na tych samych schodkach ukazali się dwaj inni mężczyźni wysiadający z samolotu. Pierwszy, niski i barczysty, miał na sobie tradycyjną maoistowską bluzę mundurową.

No proszę, przez jakiś czas w ogóle się nie pokazywałeś publicznie, pomyślał sekretarz stanu. A cóż to mogło oznaczać? Albo powrót tego człowieka do ścisłego kierownictwa partii, albo też zmianę oficjalnego kursu polityki.

Za nim, sprężystym krokiem, szedł postawny mężczyzna, w którym na pierwszy rzut oka można było rozpoznać wojskowego, nawet gdyby nie był ubrany w generalski mundur Ludowej Armii Wyzwoleńczej.

–Władze Chińskiej Republiki Ludowej reprezentować będzie wicepremier Czang Hui An oraz generał Ho Czunwa.

–Ciężki kaliber. Reputacja Czanga jest mi dobrze znana. To człowiek bezkompromisowy. Odnoszę jednak wrażenie, że nigdy dotąd nie odbywał żadnych podróży zagranicznych. Nie wątpię jednak, że jest przedstawicielem najbardziej nieprzejednanego ugrupowania w kierownictwie partii. A co do generała Ho – ciągnął Van Lynden – kiedyś poznałem go osobiście, ale było to jeszcze przed wydarzeniami na placu Tienanmen. Jest bardzo bystry i surowy w osądach, ale kieruje się zdrowym rozsądkiem. Można liczyć na to, że wysłucha wszelkich rzeczowych argumentów. Kto jest przewodniczącym tej delegacji?

–To... nie zostało jeszcze ostatecznie wyjaśnione, panie sekretarzu. Wygląda na to, że obu reprezentantów powinniśmy traktować na równi.

A to bardzo interesujące, pomyślał Van Lynden. Przedstawiciele władz komunistycznych rezygnują ze ścisłej hierarchii służbowej tylko wówczas, gdy między poszczególnymi frakcjami rządzącej partii istnieje jakiś poważny konflikt. Czyżby zatem miało to świadczyć o rozbieżnościach między komitetem centralnym a dowództwem armii? Czyżby jedna ze stron się bała, że druga może dążyć do ugody i zawieszenia broni? Tak, to rzeczywiście bardzo interesujące...

Sagada wyłączyła komputer.

–To już wszystko, co udało nam się zgromadzić na temat uczestników konferencji, panie sekretarzu. Mam jeszcze dla pana schematyczny plan przebiegu rozmów pokojowych oraz prośbę dziennikarzy o przedstawienie oficjalnego stanowiska co do roli Stanów Zjednoczonych w konferencji.

–Wolałbym nie ogłaszać żadnego komunikatu do czasu, aż ta rola stanie się oczywista dla mnie samego. – Van Lynden zdjął serwetkę spod brody i położył ją obok talerza. – Jakie są ostatnie doniesienia na temat działań zbrojnych w Chinach? Tylko proszę krótko.

–Sytuacja nie uległa zmianie, chociaż obserwujemy koncentrację oddziałów po obu stronach frontu. Na plaży pod Amoi lądują kolejne dywizje tajwańskie, podczas gdy komuniści szykują wzmocnioną linię obrony na północ i zachód od miasta. Wszystko

wskazuje na to, że zamierzają zorganizować silny kontratak i zepchnąć nacjonalistów z powrotem na morze, zanim wojska Frontu Demokratycznego z południa zdążą im przyjść z odsieczą. – Młoda łączniczka ambasady energicznie pokręciła głową. – Nasz attache wojskowy twierdzi, że w każdej chwili można się spodziewać wybuchu zaciętych walk.

–Wynik tego starcia może mieć także olbrzymi wpływ na przebieg naszej konferencji. – Van Lynden wstał od stołu. – Czy mamy już zainstalowaną w hotelu kodowaną linię telefoniczną?

–Jeszcze nie, panie sekretarzu. Sala łączności przeznaczona specjalnie dla uczestników rozmów ma być gotowa dopiero dziś po południu.

–W takim razie muszę na krótko wyjechać do ambasady. Jeśli dobrze pamiętam, pierwsze wstępne spotkanie konferencji ma się rozpocząć dopiero jutro o dziesiątej, zgadza się?

–Tak.

–Doskonale. A więc do tego czasu, począwszy od dzisiejszego południa, proszę nam zorganizować tak wiele indywidualnych spotkań z uczestnikami konferencji, ile tylko się da. Możliwe, iż żadna z zainteresowanych stron nie wyrazi ochoty na prywatne rozmowy, ale w każdym razie będziemy mieli sposobność poznać wstępnie ich nastawienie.

–Mnie również ma pan na myśli? – spytała z wyraźnym zainteresowaniem Sagada.

Van Lynden na chwilę zastygł bez ruchu, wkładając marynarkę.

–Jest pani łączniczką ambasady, prawda? A zatem do pani podstawowych obowiązków należy informowanie na bieżąco ambasadora Dickensona o rozwoju wydarzeń. W moim pojęciu najlepszym sposobem ułatwienia tej pracy będzie bezpośrednio włączenie pani do zespołu negocjacyjnego. Czy to pani odpowiada?

Pryśła nagle profesjonalna obojętność. Sagada uśmiechnęła się lekko.

–Oczywiście. Zaraz przystąpię do uzgadniania terminów spotkań. Poza tym muszę jeszcze porozmawiać z kilkoma osobami.

Van Lynden ruszył w stronę wyjścia. Ludzie z obstawy na korytarzu otoczyli go z taką gorliwością, jakby odtwarzali główne role w starej japońskiej sztuce rycerskiej kabuki.

Sekretarz stanu powoli gubił się już w natłoku informacji, którymi był zasypywany od samego rana, a wiadomości przedstawione przez Lucenę jedynie go powiększyły.

Postanowił więc w sprawach dotyczących chińskiego kryzysu zdać się na dyplomatyczny instynkt oraz intuicję.

Przez lata pracy w administracji państwowej zdołał wyrobić sobie cały arsenał metod klasyfikowania informacji, dzięki czemu w najtrudniejszych sytuacjach, w jakich może się znaleźć dyplomata, zawsze potrafił zachować klarowność myśli. Jednym z podstawowych sposobów było dobrze znane szufladkowanie wiadomości wzbogacone o przypisywanie poszczególnym delegacjom biorącym udział w rokowaniach jakichś prostych, łatwych do zapamiętania, a jednocześnie wymownych symboli. Oglądając przy śniadaniu zdjęcia z przybycia obu grup Chińczyków, bez trudu znalazł takie właśnie symbole – stanowiły je samoloty, którymi przyleciały delegacje.

Wspólna reprezentacja tajwańskich nacjonalistów i Zjednoczonego Frontu Demokratycznego wysiadła z błyszczącego, nowiutkiego odrzutowca wojskowego typu Dassault 9000. Ta niewielka, szybka i zwinna maszyna, często wykorzystywana jako samolot służbowy osobistości świata biznesu, bardziej przypominała model wykonany z pietyzmem przez jakiegoś zapaleńca awiacji niż autentyczny środek lokomocji.

Natomiast przedstawiciele władz z Pekinu przylecieli starym boeingiem 727, o farbie łuszczącej się od niesprzyjających warunków atmosferycznych i części ogonowej silnie osmalonej od stosowania niskiej jakości paliwa lotniczego. Zdecydowanie różniący się odcieniem płat steru kierunkowego oraz drzwi kabiny świadczyły jednoznacznie o tym, że obie te części pochodziły z innej, zapewne złomowanej już maszyny.

Rozdźwięk między tymi dwoma symbolami był wyraźny. Przejaw troski o przyszłość w świecie zdominowanym przez wolny handel oraz niekontrolowaną dystrybucję zdobyczy technologicznych jawnie kontrastował z przeżytkiem zmęczonego giganta, ciągnącego ostatkiem sił, lecz wciąż jeszcze ratowanego przed ostateczną ruiną.

Rozdział 11

Chińskie wody terytorialne, ćwierć mili od wejścia do zatoki Meizu Wan

8 sierpnia 2006, godz. 1.34 czasu lokalnego

–Zbliżamy się do wyznaczonej pozycji, kapitanie... Trzy... dwa... jeden... Teraz.

–Doskonale. Ster na zawietrzną, oba silniki stop. Nawigator, uruchomić komputerowy program zachowywania stałej pozycji.

–Rozkaz.

Na mostku porozumiewano się półgłosem. Nie zachodziła realna obawa, że ktoś może ich usłyszeć z brzegu, wszyscy jednak instynktownie wyczuwali bliską obecność przeciwnika, a widoczne na horyzoncie, otaczające ich z trzech stron mroczne helmiaste wzgórza jedynie nasilały to wrażenie.

Amanda miała przesiąkniętą potem całą bieliznę pod grubą kuloodporną kamizelką ratunkową, a ciężki hełmofon uwierał ją ze wszystkich stron. Starła się jednak zapomnieć o tych niedogodnościach, czujnym wzrokiem wodząc po twarzach obecnych na mostku oficerów, ekranach monitorów, mrugających kontrolkach detektorów promieniowania radarowego i fal radiowych. Panował spokój.

–Grupa instalacyjna – przemówiła cicho do mikrofonu – jesteśmy na wyznaczonej pozycji. Spuścić obiekt do wody.

Wstała z kapitańskiego fotela, podeszła do drzwi, otworzyła je ostrożnie i wyszła na sterburtowy pomost. Poniżej, na dziobie, marynarze pracowali niemal w całkowitych ciemnościach. Dźwig do wyciągania pocisków ze zbrojowni został zmontowany i obrócony w kierunku burty, a na jego linie kołysał się teraz cylindryczny przedmiot wielkości dziesięciolitrowego pojemnika na wodę.

Silnik dźwigu został szczelnie osłonięty derkami, toteż rozlegał się jedynie cichy pomruk towarzyszący jego pracy. Tajemniczy obiekt uniósł się nad pokład, przesunął nad relingiem i po chwili zniknął za burtą. Kilka sekund później zniknęło naprężenie liny, co świadczyło, że ładunek osiadł na niewysokich, jak gdyby oleistych falach. Szczerknął mechanizm zamka. Boja jeszcze przez pewien czas kołysała się u boku niszczyciela, lecz w miarę zapełniania jej komór balastowych zanurzała się coraz głębiej i wkrótce zniknęła pod powierzchnią oceanu.

–Mostek, boja umieszczona zgodnie z rozkazem.

–Oczyścić pokład.

Amanda zawróciła na mostek i poleciła:

–Sternik, cofnij nas jakieś pięćdziesiąt metrów od pozycji czujnika, ale bez uruchamiania silników, na samych pompach.

–Rozkaz. Wykonują zwrot przez sterburtę.

Z niecierpliwością czekała, aż okręt obróci się lewą burtą do lądu. Wreszcie oficer zameldował:

–Zwrot zakończony, kapitanie.

–Dziękuję. Ponownie uruchomić automatyczne utrzymywanie pozycji. Sonar, tu kapitan. Umieściliśmy boję, przystępujcie do testów kontrolnych. Sekcja wywiadowcza, pozostać w pogotowiu.

Generatory sonarowe „Cunninghama” wyemitowały w głąb oceanu zwartą wiązkę dźwiękową niewielkiej mocy, będącą ciągiem zakodowanych binarnie rozkazów dla specjalistycznego urządzenia. Niemal natychmiast aparat spoczywający w dennym mule, czterdzieści metrów pod powierzchnią u wylotu zatoki, zareagował na odebrany sygnał.

Morska boja rekonesansowa automatycznie odłączyła się od urządzenia zatapiającego i ciągnąc za sobą cienką wiązkę kabli, niczym pajak połączony elastyczną nicią z pajęczyną, popłynęła z wolna ku powierzchni. Zatrzymała się tuż poniżej fal i wysunęła na zewnątrz antenę radionadajnika.

–Mostek, tu Krucze gniazdo. Odebraliśmy przekaz kontrolny. Wszystkie mechanizmy boi działają prawidłowo, nie znaleźliśmy żadnej niesprawności.

–Doskonale, Krucze gniazdo. Włączcie boję do sieci nasłuchowej.

Jeszcze przez sekundę trwała wymiana automatycznych przekazów radiowych między „Cunninghamem” a boją, po czym wiotka antena zniknęła znad powierzchni oceanu i urządzenie zostało ściągnięte bliżej dna.

Od strony technicznej boja nasłuchowa była spokrewniona z ciśnieniową miną morską, tyle że jej obudowę znaczyły czułe mikrofony systemu hydrofonicznego zamiast wysięgników detonatora. Ukryta pod powierzchnią oceanu i sterowana przez komputerowe urządzenie zatapiające, miała za zadanie na podstawie odgłosów zbierać informacje o wszelkich przepływających w pobliżu jednostkach. Dane te, gromadzone w pamięci nawet przez kilka tygodni, mogły być następnie przekazywane drogą radiową do głównego komputera.

Od czasu wpłynięcia na chińskie wody terytorialne „Książę” systematycznie

rozmieszczał takie boje wzdłuż wybrzeża, od Szanghaju po Amoi, tworząc w ten sposób wyjątkową siatkę wywiadowczą. Ta boja była już ostatnia. Pomyślne zakończenie testu kontrolnego świadczyło jednocześnie, że potajemna nocna misja „Cunninghama” dobiegła końca. Ale najbardziej ryzykowną część zadania wciąż jeszcze mieli przed sobą.

Amanda podeszła wolno do centralnej konsoli sterówki. Wszyscy oficerowie obecni na tonącym w półmroku mostku czekali w napięciu.

–Centrum informacyjne, tu mostek. Czy Krucze gniazdo nie wyłowiło z eteru żadnych niepokojących sygnałów?

Mogła odczytać interesujące ją dane z ekranu najbliższego monitora, ale w takiej sytuacji bardzo chciała usłyszeć ludzki głos.

–Wszystko w porządku, kapitanie – odpowiedział Ken Hiro. – Krucze gniazdo melduje o całkowitej ciszy w eterze, na wszystkich częstotliwościach.

Według niepisanej umowy w sytuacjach bojowych Amanda i Ken zawsze dzielili się obowiązkami. Kiedy jedno z nich przebywało na mostku, drugie pełniło służbę w centrali informacyjnej. W ten sposób wykluczali możliwość, że w wypadku jakiegoś trafienia okręt zostanie całkowicie pozbawiony dowodzenia.

–Ale musimy jeszcze poczekać co najmniej kwadrans na powrót zwiadu – dodał Hiro.

–Tak, rozumiem.

Garrett ponownie zaczęła niecierpliwie krążyć po mostku, niczym matka zaniepokojona losem przebywających poza domem dzieci.

Tymczasem dwadzieścia mil w głąb łądu Vince doszedł do wniosku, że chyba zaczyna się starzeć w ekspresowym tempie. Coraz silniej bolały go mięśnie karku od ciężkiego noktowizora zamocowanego na wierzchu i tak uciskającego w głowę hełmu pilota. Ponadto zmęczenie objawiało się tym, że wskaźniki śmigłowca, na których od dłuższego czasu skupiał wytężoną uwagę, zaczynały mu tańczyć przed oczyma. Paż zero jeden musiał bowiem zachować pełną gotowość bojową. W dodatku wcześniej zdemontowano płyty ogonowe ze względu na konieczność zwiększenia niewykrywalności śmigłowca przez radary, a dość znaczna utrata siły ciągu maszyny zmuszała do maksymalnego wysiłku.

Przez ostatnie pół godziny prowadził helikopter krętą doliną wijącą się między wzgórzami. To podrywał maszynę, to znów obniżał lot, lawirując między zboczami pagórków, ponieważ chciał dać swojej pasażerce jak najwięcej okazji do wypełnienia misji. Ale teraz zmęczenie mocno dawało mu się we znaki.

–Hej, siostrzyczko – mruknął w końcu – chyba nie chcesz, żebyśmy poświęcili na tę zabawę całą noc?

–Cierpliwości. Jeszcze trochę – odparła Chris Rendino przez interfon. – Dobrze wiem, czego wypatrywać, lecz w tym terenie to wcale nie takie proste zadanie.

Siedziała w tylnej części kabiny śmigłowca i sterując kamerą podczerwoną za pomocą joysticka, pilnie wpatrywała się w obraz termograficzny najbliższego sąsiedztwa drogi prowadzącej dnem doliny. Nie mogli jednak lecieć bezpośrednio ponad drogą, toteż interesujący ją teren to wyłaniał się, to znów znikał za grzbietami wzgórz ocieniających dolinę od zachodu.

Znawali się ponad rejonem, który po raz pierwszy został wykarczowany i przeznaczony pod uprawy zapewne bardzo długo przed narodzeniem Chrystusa. Od tamtej pory już niezliczoną ilość razy kolejne pokolenia wieśniaków zbierały plony z tutejszych pól. Nawet najniższe partie zboczy zostały przekształcone w tarasy, żeby maksymalnie zwiększyć powierzchnię upraw. Przy świetle dnia aż po horyzont nie dostrzegłoby się tu nawet skrawka dzikiej przyrody. Wymęczoną, wyjałowioną glebę przecinały tylko niskie murki ułożone z polnych kamieni.

Nawet dotychczasowe, bezowocne i żmudne poszukiwania przyniosły jakieś rezultaty. Nietrudno było zauważyć, że znaczna część tarasów porośla zielskiem, a cała dolina, leżąca między liniami obsadzonymi przez wojska przeciwstawnych ugrupowań, sprawia wrażenie wyludnionej. Chińscy wieśniacy, kierując się odwiecznym instynktem przetrwania, już jakiś czas temu wynieśli się stąd na dobre, dopóki jeszcze mieli ku temu sposobność. Tylko pojedyncze światła w rozrzuconych zabudowaniach znaczyły te gospodarstwa, których mieszkańcy byli zbyt starzy, by uciekać przed wojną, czy też zbyt zmęczeni życiem, aby w ogóle rozważać taką ewentualność.

Od góry pojawiła się na ekranie ciemna, szeroka, niezbyt regularna smuga, wyraźnie jednak odcinająca się od pstrokatego, jaśniejszego tła.

–Już mam! To tu, Arkady! Na godzinie drugiej!

–Widzę, siostrzyczko. Czujniki nie wykryły żadnych zagrożeń. Wygląda na to, jakby... nikogo tu nie było.

Paź zero jeden przeskoczył nad pobliskim wzgórzem i bokiem zaczął się zsuwać w kierunku dna doliny.

Ciemniejszy teren na obrazie termograficznym był pozostałością po niewielkim zagajniku, przed laty wyciętym do cna, po którym zostały tylko skupiska niskich gęstych zarośli. Prowadząca do niego brukowana droga w obiektywie kamery podczerwonej była upstrzona licznymi oleistymi plamami, co świadczyło, że kiedyś

panował tu dość intensywny ruch. Teraz jednak poryty koleinami bruk przetykały jedynie błotniste kałuże.

Zresztą sama droga nie była ich głównym obiektem zainteresowania, wykorzystali ją tylko jako element orientacyjny. Interesowała ich magistrala telefoniczna, której kabel biegł pod ziemią wzdłuż wąskiej szosy i przecinał skupisko krzaków.

Nasilone działania militarne wymagają szybkiej i skutecznej łączności, nieodzownej w każdych warunkach, lecz zarazem stwarzającej olbrzymie ryzyko. Wszelkie komunikaty radiowe, niezależnie od częstotliwości fal, także emitowane w postaci skupionych wiązek mikrofalowych, mogą być bez trudu przechwycone przez przeciwnika. Jeśli nawet będą to wiadomości zaszyfrowane, specjaliści z wywiadu wojskowego zdołają wyciągnąć wiele wniosków choćby na podstawie namiarów położenia nadajników oraz nasilenia transmisji.

A wzorem swoich kolegów z innych krajów także chińscy dowódcy armii komunistycznej zakładali, że w obecnej dobie najbezpieczniejszym środkiem stałej łączności są naziemne linie telefoniczne.

Christine i Arkady zamierzali właśnie udowodnić, że owo rozumowanie jest błędne.

Paź zero jeden łagodnie osiadł na poboczu drogi, powietrze wyrzucane spod rotorów przygięło zarośla do ziemi. Arkady jeszcze raz obrzucił uważnym spojrzeniem zielonkawe ekrany, wypatrując jakiegokolwiek poruszenia czy choćby śladu ukrytego obserwatora. Słuchawki hełmu miał na stałe sprzężone z sygnalizatorem układu wyszukiwania zagrożeń, wsłuchiwał się więc także w napięciu, gotów w każdej chwili poderwać maszynę.

–Gotów do otwarcia luku bagażowego? – zapytała Christine.

–Tak. Musimy to jednak zrobić jak najszybciej.

Otwarcie pokrywy przedziału uzbrojenia oznaczało także rozsunięcie odbijającej-promieniowanie osłony zewnętrznej śmigłowca, zatem przez parę sekund maszyna musiała się stać widoczna dla radarów.

Christine kucnęła tuż za fotelem pilota i ułożyła sobie na kolanach niewielki sterownik, połączony grubym kablem z przystawką sprzężoną z jej komputerem. Kiedy tylko pokrywa w spodzie kadłuba opadła w dół, czujniki wychwyciły nagłą zmianę w otoczeniu. Na ekranie zamigotał jaśniejszy punkcik, a w słuchawkach pojawił się przerywany sygnał ostrzegawczy.

–Czujniki wyłapały ciepło naszego silnika odbite od ziemi – wyjaśnił Arkady.

Rendino pośpiesznie uruchomiła sterownik i wcisnęła kolejno kilka klawiszy na jego

obudowie.

Pod brzuchem helikoptera wysunęła się rura wyrzutni, na podobieństwo olbrzymiego ryjka jakiegoś owadożernego zwierzęcia skierowana pionowo ku ziemi. Odpalił ładunek wybuchowy i cylindryczny obiekt długości oraz średnicy męskiego ramienia wbił się w grunt między zaroślami, zanurzył się w ziemi do trzech czwartych swojej długości. Po chwili odskoczyła półkolistą osłona i w górę powędrowała cienka wiotka antena. Na panelu kontrolnym sprzężonym z nadajnikiem urządzenia zapaliła się zielona dioda sygnalizacyjna.

Jeszcze do niedawna odnalezienie głównej magistrali telefonicznej byłoby zadaniem wielce pracochłonnym i ryzykownym, wymagającym zaangażowania żołnierzy z oddziałów specjalnych. Ta metoda zakładania podsłuchu była nie tylko szybsza, ale w dodatku mogło ją wykonać jedynie dwóch zwiadowców przy znacznie mniejszym ryzyku. Umieszczony właśnie w ziemi aparat za pośrednictwem uzwojeń indukcyjnych olbrzymiej czułości służył do rejestracji bardzo słabych zmian pola elektromagnetycznego, wywoływanych przez prądy płynące w kablach telefonicznych. Przechwycone sygnały mogły być zapisywane w elektronicznej pamięci, a następnie przesyłane drogą radiową do znajdującego się na orbicie satelity szpiegowskiego.

Zatem do wyczerpania się baterii – bądź też do chwili pojawienia się w najbliższym sąsiedztwie stworzenia wielkości człowieka, co uruchomiłoby automatycznie obwody samodestrukcji – aparat ten pełnił rolę urządzenia podsłuchowego dołączonego do linii telefonicznej wykorzystywanej przez chińską Ludową Armię Wyzwoleńczą.

–Szpieg zainstalowany! Zwiewamy!

Vince nacisnął dźwignię i kłapa przedziału została zamknięta.

Paź zero jeden poderwał się w powietrze i z dziobem pochylonym ku ziemi, nabierając prędkości, wykręcił ponad dnem doliny i skierował się z powrotem na wschód.

–To wcale nie było takie trudne, prawda?

–Odpowiem ci na to pytanie, kiedy już wrócimy na pokład „Księcia”, dobrze, siostrzyczko?

–Jak stoimy z czasem?

–W normie. Jeśli prawa Murphy’ego nie obrócą się przeciwko nam, zmieścimy się w wyznaczonym limicie.

Arkady skierował śmigłowiec w stronę łagodnego siodła w sąsiednim paśmie

helmiastych wzgórz. Niemal całkowity brak drzew i linii wysokiego napięcia w tym rejonie znacznie ułatwiało mu wykonanie nocnej misji. Na tle pogodnego, rozgwieżdżonego nieba radar nie wykazywał żadnych wrogich maszyn latających. Gdyby tak wznieść się jeszcze trochę i polecieć w linii prostej...

Helikopter minął szczyt wzniesienia nie wyżej niż osiem metrów ponad ziemią.

–Cholera! – syknął Vince.

Z takim impetem wcisnął stopą pedał steru kierunkowego, że omal nie wyłamał całej dźwigni. Paź zero jeden skoczył w bok niczym przerażona kuropatwa, olbrzymie przeciążenie wcisnęło ich oboje w fotele, zapierając dech w piersiach. Muskając płozami wierzchołki trzciny porastających dno siodła, pomknęli z powrotem w dół, za zbawienną osłonę najbliższego wzgórza.

–Jezu... Arkady... Co się stało? – wyjąkała Christine.

–Wygląda na to, siostrzyczko, że prawa Murphy'ego sprzysięgły się jednak przeciwko nam.

Kiedy osiedli w zaroślach, żeby umieścić w ziemi aparat podsłuchowy, na drodze biegnącej dnem doliny pojawiła się długa kolumna pojazdów.

Vince skierował maszynę prosto na południe, kryjąc się za pasmem wzgórz, i dopiero po kilkunastu sekundach wyhamował i ostrożnie poderwał Pazia zero jeden do pułapu umożliwiającego obserwację.

–Skąd oni się tu wzięli, do jasnej cholery, i to akurat teraz? – mruknął.

–Prawdopodobnie z koszar pod Fuczou – odparła Christine posępnym tonem. – Jasne jak słońce, że ciągnie tu co najmniej jedna dywizja zmechanizowana.

Na ekranie noktowizyjnym ukazał się szereg pojazdów wojskowych, zajmujących drogę mniej więcej na długości dwóch kilometrów. Grupy czołgów i transporterów opancerzonych rozdzielały ciężarówki oraz cysterny z paliwem. Dywizja posuwała się w szyku bojowym, o czym świadczyły obrócone pod kątem do kierunku jazdy lufy transporterów, zabezpieczających całą szerokość doliny. Nawet czołgi jechały o własnym napędzie, a nie na platformach.

Christine pospiesznie zaprogramowała rejestrację odbieranego obrazu. Natychmiast zwróciła uwagę, że podstawowym wyposażeniem tej dywizji są kanciaste chińskie czołgi starego typu, oznaczonego numerem 85. Niemniej w kolumnie dały się również zauważyć jeszcze starsze modele, o charakterystycznych wieżyczkach przypominających spłaszczony imbryk, znane jako typ 69. W pewnym momencie odniosła nawet wrażenie, że rozpoznaje niezgrabną sylwetkę wręcz prehistorycznego

rosyjskiego T-55 o długiej lufie.

Doszła do wniosku, że ta przedziwna mieszanina uzbrojenia dywizji jest efektem wyciągnięcia z magazynów armii wszystkiego, co mogłoby jeszcze zostać wykorzystane w walkach. Powoli przesuwiała obiektywem kamery wzdłuż kolumny, sprawdzwszy, że trwa rejestracja obrazu.

Arkady ponownie opuścił śmigłowiec za szczyt wzgórza.

–No to jesteście załatwieni – oznajmił. – Będziemy musieli okrążyć szerokim łukiem całą tę dolinę, a w ten sposób na pewno nie zmieścimy się w wyznaczonym czasie.

–Nie mamy szans prześliznąć się nad nimi?

–Żadnych. Ostatnio lotnictwo tajwańskie dawało się tym żołnierzom mocno we znaki, należy więc zakładać, że każdy karabin maszynowy lub działko przeciwlotnicze w kolumnie jest wycelowane w niebo. Mimo naszych zabezpieczeń wystawilibyśmy się jak kaczka na odstrzał. Musimy wracać inną drogą.

–No i co z tego? Boisz się, że na nas nakrzczą po wylądowaniu, czy co?

Arkady skierował maszynę za osłonę następnej linii wzgórz.

–Mam nadzieję, że na wyznaczonej pozycji jeszcze będzie czekał ktoś, kto mógłby na nas nakrzyczeć.

–Kapitanie, tu Krucze gniazdo. – Amanda rozpoznała po głosie porucznika Randy'ego Selkirka, zastępcę szefa sekcji wywiadowczej. – Chyba mamy coś niepokojącego.

Garrett poczuła ucisk w dołku, błyskawicznie obrzuciła spojrzeniem ekrany monitorów. Obraz podczerwony... Komputerowa mapa taktyczna... Sygnalizacja promieniowania radarowego... Czujniki zagrożenia...

–Niczego tu nie widzę, panie Selkirk.

–Łapiemy słabe echo zmian pola elektromagnetycznego, pani kapitan. Na tyle słabe, że obwody dyskryminacyjne systemu Aegis nie pozwalają komputerowi odróżnić go od tła. Nawet przy ustawionym na maksimum wzmocnieniu sygnału nie jesteśmy w stanie precyzyjnie zidentyfikować tego echa. Nie ulega jednak wątpliwości, że coś nadciąga od strony oceanu.

–Co to może być, pańskim zdaniem?

–Zdaje się, że rejestrujemy pojedyncze wylądowania i dość wyraźny wzrost

natężenia pola elektrostatycznego. Sądząc po sile sygnału, jest to obiekt bardzo mały bądź skutecznie zamaskowany osłoną Faradaya. – Selkirk umilkł na chwilę, po czym dodał dziwnie spiętym tonem: – Niewykluczone też, że zza horyzontu zbliża się silna i nieprzyjemna burza. Proszę wybaczyć, pani kapitan, lecz na razie nie mogę powiedzieć niczego konkretniejszego.

Młody oficer bardzo się starał, ale brakowało mu tej wręcz nadprzyrodzonej zdolności Christine do błyskawicznego kojarzenia danych i wyciągania wniosków.

–Rozumiem, poruczniku. Proszę obserwować uważnie to echo i informować mnie na bieżąco.

Amanda spojrzała na połyskujące zielono cyfry zegara, widoczne w lewym dolnym rogu każdego ekranu. Do czasu planowanego powrotu zwiadu pozostało tylko sześć i pół minuty.

Arkady, Chris! Gdzie się podziewacie?! – zawołała w myślach.

Coś musiało im się przytrafić. Vince miał zwyczaj ściśle trzymać się wyznaczonych limitów, jeśli tylko wszystko szło zgodnie z planem. Garrett znów wyszła na sterburtowy pomost i zapatrzyła się w rozgwieżdżone niebo.

Przyszło jej na myśl, że mimo wszystko postąpiła jak idiotka, znajdując sobie kochanka pośród załogi. Widocznie życie niczego jej dotąd nie nauczyło. Mogła przecież pójść śladem wielu innych oficerów, zachowujących zdrowy dystans i powstrzymujących się od emocjonalnych związków ze swymi podwładnymi.

„Najlepszymi oficerami zostają zawsze ci, którzy choć trochę interesują się losem kolegów”, jak stwierdził kiedyś Arkady, co wryło jej się głęboko w pamięć.

No więc ona interesowała się jego losem, nawet bardzo, chociaż nie powinna tego robić. Niemniej w chwili obecnej mogła cokolwiek zmienić, podejmując jedynie decyzję w kwestii ostatecznej długości oczekiwania na powrót zwiadu.

Trzeba się jednak było liczyć także z najgorszym scenariuszem, awarią czy rozbiciem śmigłowca bądź jego zestrzeleniem przez Chińczyków.

Zaczęła się zastanawiać, czy załoga miała jakieś szansę wyjść z życiem z katastrofy. A jeśli tak, to czy Chińczycy wzięliby ich do niewoli. Niech to szlag! – ofuknęła się w myślach. Dosyć tego! Przede wszystkim trzeba się wywiązać z wyznaczonego zadania!

Bo przecież gdyby wrak helikoptera obejrzał ktoś, kto zna tę morską odmianę Komancza i dobrze wie jaki jest zasięg maszyny, od razu podałyby rejon, w którym należy szukać macierzystego okrętu. Ile zatem chińskie dowództwo potrzebowałoby

czasu, żeby ogłosić alarm i zarządzić polowanie na nieprzyjacielski niszczyciel? I jakim oddziałom mogłoby powierzyć tę misję?

–Kapitanie! – Spięty głos oficera sprawił, że w kilku susach znalazła się z powrotem na mostku. – Mamy kontakt powierzchniowy na kursie zero pięć zero, od dziobu po sterburcie!

Natychmiast pochyliła się nad ekranem radaru. Jasna plamka na szarawym obrazie świadczyła jednoznacznie, że jakaś spora jednostka, zapewne wojenna, wyłoniła się od północy zza cypla osłaniającego wejście do zatoki i płynąc jakąś milę od brzegu wzięła kurs w ich stronę.

Kilka sekund później na ekranie pojawiła się druga plamka, podążająca za poprzednią, Wreszcie, nieco bardziej wysunięta w morze, ukazała się trzecia. Idąc kursem w głąb zatoki, cała eskadra musiała niedługo przeciąć jedyną drogę odwrotu „Cunninghama”.

Cichy jęk siłowników hydraulicznych przeciął atmosferę oszołomienia, jaka nagle zapanowała na mostku. Lufa działka dziobowego zaczęła się obracać w kierunku nadciągających jednostek. Jeszcze bliżej dziobu otworzyły się trzy pokrywy wyrzutni rakietowych, odsłaniając mroczne czeluście silosów.

To Dix Beltrain pełniący służbę w centrum informacyjnym przystąpił do działania.

–Wszystkie sekcje, pełna gotowość – rzekła cicho Amanda do mikrofonu, starając się zachować spokojny, opanowany ton, żeby nawet ślad napięcia nie rozgrzał niepotrzebnie atmosfery i nie wywołał jakiejś niepożądanego reakcji. – Sternik, przygotujmy się na spotkanie. Proszę pozostawić włączony automat utrzymywania pozycji, tylko obrócić nas dziobem w kierunku wylotu zatoki.

–Rozkaz.

Niemal natychmiast nasiliły się strumienie wody wyrzucanej przez pompy i niszczyciel zaczął się z wolna obracać w miejscu. Zaraz lufa działka kalibru 76 mm obróciła się w przeciwnym kierunku i pozostała wymierzona w to samo miejsce co poprzednio.

–Kapitanie – rozbrzmiał w słuchawkach głos Kena Hiro. – Rozpoznaliśmy jednostki nieprzyjacielskie. To dwa niszczyciele rakietowe typu Block 1B Luda i osłaniająca je fregata klasy Czianghu.

–Potwierdzam to rozpoznanie, Ken.

Amanda już od jakiegoś czasu wbijała wzrok w powiększony obraz przekazywany przez kamerę podczerwoną zainstalowaną wysoko na głównym maszcie radarowym.

Żaden obserwator nieuzbrojonym okiem nie dostrzegłby jeszcze niczego na nocnym horyzoncie. Ale dla sterowanych elektronicznie systemów termolokacyjnych panujące wokół ciemności nie miały żadnego znaczenia.

Ludy były naprawdę pięknymi okrętami. Ich sylwetki, wzorowane na wcześniejszych radzieckich konstrukcjach klasy Kotlin, odznaczały się smukłością i zgrabnością nie spotykaną już od czasu wyjścia z użycia napędów parowych. Lecz dla Amandy najważniejsze było to, że oba okręty szły w szyku podróznym, z lufami dział zablokowanymi wzdłuż podłużnej osi niszczyciela. Podobnie w pozycjach spoczynkowych znajdowały się groźne wyrzutnie przeciwpancernych pocisków raketowych typu C-801.

Szybki rzut oka na sąsiedni ekran upewnił ją ponadto, że Chińczycy mieli włączone jedynie radary nawigacyjne. Dreszcz emocji, który jeszcze przed sekundą przenikał jej ciało, zniknął błyskawicznie. Nie obchodziło jej, czy tamci płyną do nowo wyznaczonej bazy, czy wykonują rejs patrolowy, zyskała bowiem pewność, że nie szukają obcej jednostki na tych wodach.

– Chyba nic nam nie grozi, Ken – powiedziała cicho do mikrofonu. – Moim zdaniem ich obecność w tym rejonie to zbieg okoliczności. A ponieważ mamy przed sobą raczej reprezentacyjną eskadrę komunistycznej marynarki chińskiej, należy zakładać, że nikt przy zdrowych zmysłach nie wysłałby jej przeciwko nam.

– Zgadza się – przyznał Hiro także zdecydowanie mniej spiętym głosem. – Ciekaw tylko jestem, dokąd płyną.

– Trudno ocenić. Może to zwykły patrol, a może dostali rozkaz ostrzelania jakichś pozycji. Nie zapominaj, że Ludy mają po dwa działa kalibru 130 mm. Być może chcą zaatakować jakiś konwój Tajwańczyków albo przynajmniej popsuć im nieco szyki podczas ciągłego wysadzania desantu. Niezależnie od tego, powinniśmy chyba zostać na miejscu i przeczekać, aż się oddalą.

Dziób „Cunninghama” ponownie zaczął się obracać, tym razem na sterburtę i bardzo powoli, przez co był cały czas zwrócony ku przepływającym wrogim okrętom. Tygrysi kamuflaż na ciemnoszarym kadłubie niszczyciela skutecznie ukrywał go na tle pobliskiego brzegu. Dawało to szansę, że przestarzałe urządzenia optyczne ukażą pełniącym wachtę Chińczykom jedynie krótką wyrwę w ledwie widocznych białych grzywach fal przyboju.

Amanda, jeszcze parę sekund wcześniej modląc się w duchu o jak najszybszy powrót Arkady’ego, teraz nagle zaczęła go w myślach błagać, aby zaczekał z lądowaniem choćby parę minut, do czasu, gdy nieprzyjacielska eskadra zniknie za południowym cyplem ograniczającym wejście do zatoki. Może właśnie dlatego głos pilota, który niespodziewanie rozbrzmiał w jej słuchawkach, odebrała niczym

eksplozję ładunku wybuchowego.

–Szara dama, Szara dama, tu Paź zero jeden. Czy mnie słyszysz?

Naprawdę go kochała i martwiła się o niego, ale w takim momencie była niemal gotowa go zabić gołymi rękoma.

–Paź zero jeden – burknęła spiętym głosem, przełączywszy się na częstotliwość odbiornika śmigłowca. – Mamy wrogie jednostki w naszym rejonie!

System łączności z helikopterem był dobrze zabezpieczony, nie dało się jednak całkowicie wykluczyć możliwości przechwycenia komunikatów przez Chińczyków.

–Jest tego chyba więcej niż myślicie, Szara damo – odparł ze śmiertelnym spokojem Vince, jakby nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa. – Przeskoczyliśmy właśnie ostatnie pasmo wzgórz jakieś trzy stopnie na południe od waszej pozycji. Oprócz widocznej jak na dłoni eskadry czerwonych namierzyliśmy ukryte w zatoczce kilka mil od was trzy kolejne jednostki. Chris twierdzi, że to tajwańskie kutry rakietowe klasy Hai U. Wygląda na to, że wkrótce może tu być gorąco.

–Przyjęłam, Paź zero jeden. Pozostań w kontakcie.

Amanda błyskawicznie połączyła się znowu z centrum informacyjnym.

–Poruczniku Selkirk, mówi kapitan. Czy mijająca nas chińska eskadra mogła być tym słabym echem, o którym pan wcześniej informował?

–Wykluczone, pani kapitan – odparł pewnie oficer wywiadu. – Od tych trzech jednostek bije tyle ciepła, że wskazówka namiernika termograficznego wychyla się prawie do końca skali. Tamten pierwszy kontakt był ledwie namierzalny.

Amanda pokiwała głową, przygryzła wargi i dała sobie pięć sekund do namysłu. Nie potrzebowała jednak aż tyle na obmyślenie planu działania.

–Sternik, uruchomić główne silniki. Niewykluczone, że będziemy musieli się szybko ruszyć z miejsca. – Przełączyła się na ogólny interkom i powiedziała: – Uwaga, wszystkie sekcje, tu mostek. Sytuacja jest następująca. Eskadra czerwonych płynie prosto w zasadzkę. Prawdopodobnie kilka dobrze zamaskowanych tajwańskich kutrów torpedowych posuwa się za nimi, podczas gdy trzy inne czekają w ukryciu przy brzegu, dalej na południe. Podejrzewam, że gdy tylko niszczyciele znajdą się w zasięgu strzału, nacjonałiści wyskoczą na nie z całą dostępną siłą ognia. Zamierzam wycofać okręt na pełne morze pod osłoną tych fajerwerków. Sekcja antynamiarowa?

–Zgłaszam się, pani kapitan.

–Spróbujemy przemknąć niezauważeni tylko pod osłoną środków pasywnych, panie McKelsey. Proszę jednak trzymać w pogotowiu wszelkie urządzenia zagłuszające i wyrzutnie celów pozornych.

–Rozkaz.

–Oficer taktyczny?

–Słucham, pani kapitan.

–Dix, uzbrój parę rakiet w standardowe systemy naprowadzania typu HARM. Gdyby mimo wszystko ktoś nas wyłapał na radarze, chciałabym posłać pociski prosto w źródło promieniowania.

–Dotyczy to zarówno czerwonych, jak i Tajwańczyków?

–Nie, tylko czerwonych. Chyba nie musimy się w takiej sytuacji zachowywać całkowicie bezstronnie.

–Zrozumiałem.

–Maszynownia?

–Słucham.

–Masz już wszystko, szefie?

–A czego mógłbym więcej potrzebować? – W głosie komandora Thomsona zabrzmiało zdumienie.

–Sekcja lotnicza?

–Zgłasza się sekcja lotnicza – odezwała się szybko porucznik Nancy Delany, zastępująca obecnie Arkady'ego w centrum dowodzenia sekcji zajmującym rufową część głównej nadbudówki.

–Musimy przyjąć waszego szefa na pokład w trybie awaryjnym. Niech cała obsługa pozostanie w pełnej gotowości. Chciałabym, aby śmigłowiec znalazł się pod pokładem tak szybko, jak tylko to możliwe.

–Będziemy gotowi, pani kapitan.

Amanda przełączyła się z powrotem na radiowy kanał łączności.

–Szara dama do Pazia. Pozostań na obecnym kursie i obserwuj ukryte kutry tajwańskie. Zamelduj, kiedy otworzą ogień, po czym skręć na północ wzdłuż linii

brzegowej i wracaj na okręt. Wyjdziemy pełną mocą z zatoki i skierujemy się na północny wschód. Powtarzam, na północny wschód. Leć naszym śladem i jak najszybciej siadaj na lądowisku. Obsługa będzie czekała na wasze lądowanie w trybie awaryjnym.

–Zrozumiałem – odpowiedział lakonicznie Vince. – Przystępuję do wykonania.

Amanda podeszła do stanowiska sternika. Pełniący wachtę oficer zdążył już bez jej polecenia przywołać na ekran monitora nawigacyjnego komputerową mapę wejścia do zatoki, na której płycizny były obrzeżone połyskliwymi jasnoniebieskimi liniami. Lewą dłoń trzymał na dźwigniach regulacji mocy pomp napędowych, natomiast prawą miał opartą przy manetce ustawiania steru.

Jego pomocnik stał nieco dalej, oparty o centralny postument stanowiska, tak samo gotów do błyskawicznego uruchomienia głównych turbin i przeniesienia ich napędu na śruby. Dźwignie sterowania generatorami były już ustawione w pozycji wyjściowej, świecące zielonkawo paski na pulpicie kontrolnym tańczyły niecierpliwie wokół optymalnych punktów, czemu towarzyszył dobiegający spod pokładów stłumiony pomruk potężnych turbin gazowych rolls-royce'a.

Amanda położyła dłoń na ramieniu sternika i powiedziała cicho:

–W porządku. Zapewne nie będzie czasu na wydawanie rozkazów, więc zostawiam w pańskich rękach zadanie wyprowadzenia nas z zatoki. Proszę uważać na mielizny i trzymać się środka kanału żeglownego. Po wyjściu na otwarte morze skręcimy na północny wschód. Powiem panu, kiedy zmienić kurs.

–Tak jest, pani kapitan – odparł nieco spiętym głosem młody oficer.

Rozpoczęło się oczekiwanie. W napięciu minęła minuta, potem druga...

Nagle niebo na południu się rozjaśniło, jakby między wzgórzami strzeliła błyskawica.

–Zaczęli! – krzyknął przez radio Arkady. – Nacjonaści otworzyli ogień!

–Ruszamy! – rozkazała Amanda. – Wszystkie silniki cała naprzód!

Podwójne, pracujące w przeciwnej fazie śruby umieszczone na końcach gondol napędowych, zaczęły się obracać. Pod rufą „Księcia” powstał wir, jakby woda nagle zawrzała. Spod dziobu uniosły się narastające grzywy odkosów, kiedy niszczyciel skoczył do przodu jak gdyby zwolniony z uwięzi.

Na południowym niebie pojawił się gigantyczny grzyb pomarańczowych płomieni, po ułamku sekundy powietrzem wstrząsnął huk eksplozji. Jednoczesna salwa z kilku kutrów sprawiła, że szybka i zwrotna fregata klasy Czianghu, która osłaniała chińskie

niszczyciele, niemal całkowicie zniknęła w kłębach ognia. Chwilę później eksplodowały pociski i okręt po prostu przestał istnieć.

Pierwszy z niszczycieli także został trafiony. Długie języki płomieni zaczęły lizać jego pokład rufowy, a lufy dział uszkodzonej głównej wieżyczki na dziobie bezsilnie uniosły się ku niebu.

Ale stosunkowo niewielkie tajwańskie pociski typu Hsiung Feng nie zdołały przebić grubego pancerza Ludy, toteż zarówno trafiony okręt, jak i jego pełnosprawny towarzysz, błyskawicznie skierowały się przeciwko napastnikom. Z ciężkich dział bluznęły strugi ognia, naprowadzane radarowo automatyczne działka poczęły wypluwać w stronę brzegu serie pocisków.

Kutry torpedowe z opróżnionymi wyrzutniami, zmuszone do przejścia do obrony, ruszyły w pośpiechu na południe, szukając naturalnych kryjówek w linii brzegowej. Z ich strony nic nie groziło „Cunninghamowi”. Lecz niszczyciele mogły im jeszcze przysporzyć kłopotów, gdyż było dość prawdopodobne, że zawrócą na północ i posterują w tym kierunku. A ślad termiczny, jaki za sobą zostawiali, mógł przyciągnąć uwagę Chińczyków.

Dlatego też Amanda wbijała spojrzenie we wskazówkę logu, jakby chciała tym sposobem przyspieszyć jej wędrówkę po skali. Dwadzieścia jeden węzłów... dwadzieścia dwa... dwadzieścia trzy...

„Księżę” wyszedł wreszcie na głębsze wody, z każdym obrotem śrub nabierając prędkości. Garrett wcisnęła klawisz, wywołała na ekranie monitora mapę nawigacyjną i zaczęła odczytywać głębokości na wyznaczonym wcześniej kursie.

–Ster lewo na burt, kurs zero cztery pięć – rozkazała po chwili.

–Jest ster lewo na burt.

–Panie McKelsey, czy nie zostaliśmy jeszcze... zdemaskowani?

–Nic na to nie wskazuje, pani kapitan. Czujniki niczego nie sygnalizują.

Dwadzieścia pięć węzłów... dwadzieścia sześć... dwadzieścia siedem...

–Kapitanie, mamy kontakt ze śmigłowcem. Podchodzi od rufy, kursem jeden osiem zero.

Nawet na obrazie termograficznym było już widać zbliżającego się do okrętu Pazia zero jeden. Podszedł pod ostrym kątem od sterburty, nie wyżej niż trzy metry nad głównym pokładem, aż strumienie powietrza wyrzucanego spod wirnika rozbiły na drobniutką zawiesinę bryzgi wody rozcinanej dziobem niszczyciela. Tym razem

Arkady ani trochę nie dbał o regulaminowe podejście do lądowania i nie sprawdzał kierunku oraz siły wiatru, chcąc zgodnie z rozkazem posadzić maszynę jak najszybciej.

Śmigłowiec błyskawicznie wyskoczył łukiem w górę i zawisł nad lądowiskiem, jeszcze zanim podwozie wysunęło się do końca. Mimo że niszczyciel wciąż nabierał prędkości, Vince prowadził helikopter pewną ręką i każdy manewr płynnie przechodził w następny. Maszyna powoli zniżyła lot i po paru sekundach osiadła dokładnie pośrodku opuszczanej płyty windowej.

Amanda przyglądała się jeszcze, jak wirnik stopniowo wyhamowuje, a obsługa sekcji lotniczej pospiesznie przymocowuje podwozie śmigłowca do płyty lądowiska. Chwilę później otworzyły się drzwi kabiny, ledwie widoczna w ciemnościach postać pilota zeskoczyła na pokład i w charakterystycznym dla siebie geście, jakby specjalnie na jej użytek prosto do kamery podczerwonej, klasnęła w dłonie ponad głową, sygnalizując pomyślne zakończenie misji zwiadowczej.

Amanda z powrotem przeniosła wzrok na wskazówkę logu. Trzydzieści sześć węzłów... trzydzieści siedem...

Udało im się. Żaden niszczyciel klasy Luda nie był w stanie rozwinąć takiej prędkości, nawet gdyby w jego kotłach palił sam diabeł do spółki z duchem przewodniczącego Mao.

Tymczasem na południu strzelanina ustała. Na tle mrocznego nieba płonęły tylko jasno dwa zarzewia ognia: trafiony torpedami niszczyciel oraz wielka plama oleju napędowego, jaka pozostała po zatopionej fregacie.

Szybki rzut oka na ekran monitora pozwolił Amandzie się upewnić, że w całym rejonie nie działają żadne kierunkowe źródła promieniowania radarowego. Widocznie na opustoszałym polu walki nikt już nie szukał przeciwnika.

Poczuła ogromną ulgę, a jednocześnie przyływ dumy. Wykiwałam was wszystkich, łobuzy! – pomyślała. Spróbujcie mnie teraz dogonić!

Ze spokojem wyszła z mostku na sterburtowy pomost. Tutaj, z dala od wszelkich elektronicznych systemów namiarowych, noc na morzu była tylko zwykłą nocą. Nad głową, tak samo jak od wieków, ciągnęła się rozmyta wstęga Drogi Mlecznej, jaskrawo płonęły ogniki nieprzeliczonego mrowia gwiazd. Pozostawiony za rufą mroczny zarys chińskiego wybrzeża powoli wtapiał się w linię horyzontu.

Amanda pospiesznie zdjęła ciężką kamizelkę ratunkową oraz hełm i rzuciła je na pokład. Z przyjemnością wystawiła twarz na uderzenia chłodnego powietrza, wywołane pędem okrętu. Tylko przez krótką chwilę zastanawiała się, czy cichy okrzyk radości kapitana nie wpłynie negatywnie na morale załogi „Cunninghama”.

Ze swego stanowiska w fotelu kapitańskim zerknęła przez ramię na wchodzących na mostek uczestników zwiadu. Arkady szybko zbliżył się do niej i zameldował:

–Kapitanie, proszę wybaczyć, że nie zdołaliśmy wrócić na pokład w umówionym czasie. Zaskoczyło nas pojawienie się na drodze długiej kolumny chińskich pojazdów wojskowych, przez co musieliśmy znacznie nadrobić drogi.

Amanda pokiwała głową.

–Wszystko dobre, co się dobrze kończy, poruczniku. My także natknęliśmy się dzisiaj wieczoru na niespodziankę. Jakim wynikiem zakończyliście misję?

–Szpieg został umieszczony w zaplanowanym miejscu – odezwała się z drugiej strony Christine. – Testy wykazały, że działa prawidłowo.

–Zatem mamy z głowy rozmieszczanie urządzeń podsłuchowych, przynajmniej do czasu, aż któreś z nich odmówi posłuszeństwa bądź ulegnie zniszczeniu. Zgodnie z rozkazami jutro po południu nawiążemy łączność z dowództwem floty i popłyniemy dalej na północ, w kierunku Szanghaju, żeby rozpocząć drugie przejście rekonesansowe wzdłuż wybrzeża.

–Doskonale – wyrwało się żywiłowej Rendino. – Proszę wybaczyć, szefowo... Kiedy będę mogła otrzymać pozwolenie na wysłanie komunikatu radiowego? Zarejestrowaliśmy w dolinie obraz, który moim zdaniem trzeba jak najszybciej przekazać do centrali.

–No cóż, minęliśmy już granicę dwunastomilowej strefy chińskich wód terytorialnych, lecz wołałabym jeszcze z pół godziny pozostać pod pełną osłoną urządzeń maskujących. Radio przygotowuje już szczegółowy meldunek o tej bitwie morskiej, której byliśmy świadkami. Jeśli chcesz, możesz dołączyć swój materiał do tego przekazu.

–Tak też zrobię.

Amanda przez chwilę spoglądała w twarze obojga stojących nad nią oficerów, kręcąc głową to w lewo, to w prawo.

–No, powiedzcie wreszcie, jak tam było.

Arkady obojętnie wzruszył ramionami.

–Musieliśmy tylko nadłożyć drogi powrotnej, nic więcej.

–Zgadza się – przyznała Christine. – Nie była to romantyczna noc przy blasku gwiazd u boku wspaniałego asa przestworzy. Powinna pani kiedyś sama tego

spróbować, szefowo.

W głosie przyjaciółki dawało się wyczuć lekką ironię, lecz zanim Amanda zdążyła zareagować, Rendino zasalutowała i pospiesznie oddaliła się w kierunku rufy.

Arkady jednak pozostał. Nieco pochylony nad kapitańskim fotelem w wystudiowanej nonszalanckiej pozie zapatrzył się w ciemność wiszącą za szybą sterówki. Dopiero po paru minutach Amanda odezwała się ponownie, lecz tym razem tak cicho, by nie usłyszał jej nikt z pozostałych osób pełniących wachtę na mostku:

–No więc jak było naprawdę?

–Naprawdę niewiele więcej ponad drugi stopień napięcia nerwowego. Na pewno nie weszliśmy na trzeci.

–To mniej więcej tak samo, jak tutaj.

Wykorzystując jego bliskość i osłonę poręczy fotela, niby mimowolnie opuściła rękę i na krótko czule ścisnęła w dłoni jego palce. Odpowiedział takim samym gestem, bez przerwy wbijając wzrok w niebo z wolna jaśniejące na wschodzie.

Rozdział 12

Hotel „Manila „, Filipiny

8 sierpnia 2006, godz. 8.41 czasu lokalnego

Lucena Sagada była leworęczna, dzięki czemu mogła bez trudu korzystać z tego samego notatnika co Van Lynden, specjalnie ułożonego pomiędzy nimi, na środku stolika wyznaczonego dla delegacji Stanów Zjednoczonych. Zachowywała kamienny wyraz twarzy, lecz mimo to jej długopis niemal bez przerwy przesuwiał się po żółtawych kartkach.

Świetnie rozumiem konieczność dostosowania się do protokołu dyplomacji azjatyckiej, uważam jednak, że ktoś powinien przynajmniej ogólnikowo zapoznać nas z tym, czego oni naprawdę chcą.

Sekretarz stanu pozwolił sobie na ledwie zauważalny, ironiczny uśmiech, po czym napisał pod spodem:

W chwili obecnej główni aktorzy tego przedstawienia mają wszystko, czego chcą.

?

Możliwość sondowania gruntu.

???

Tego ranka jako pierwszy przemawiał Czang, wicepremier Ludowej Republiki Chin. Mówił już od pół godziny cichym, matowym, wręcz bezbarwnym tonem. Tłumacz, którego równie stłumiony głos rozbrzmiewał w słuchawkach, bez większego trudu powtarzał wypowiedane przez niego hasła z dobrze znanej komunistycznej frazeologii: „walka wyzwolenicza ludu”, „agresja kapitalistyczna”, „zachodni imperializm”.

Ale w przemówieniu, prócz bardzo ogólnikowego akcentowania krzywd doznawanych przez obecne władze chińskie, nie przewijało się nic konkretnego, z ubogiego w treści zlepku słów nie wypływały żadne wnioski. Podobnie zresztą brzmiały przemówienia innych delegatów, wygłoszone poprzedniego dnia.

I wyglądało na to, iż żadnej z zainteresowanych stron to nie przeszkadza. Reprezentanci krajów sąsiednich, Japonii, Filipin czy Korei, a nawet przedstawiciele pozostałych frakcji chińskich zaangażowanych w wojnę, jak mogłoby się zdawać, dążyli wyłącznie do uprzejmego wyrażenia własnej obojętności. A podczas kolejnych przemówień rozmieszczone w dość dużej odległości od siebie delegacje słuchały

padających słów z wystudiowanym znudzeniem.

Panująca w sali atmosfera na niejednego zachodniego dyplomatę podziałałaby zniechęcająco. Lecz Van Lynden bywał już w podobnych sytuacjach.

Napisał na kartce:

Nikt jeszcze nie powiedział niczego konkretnego, bo nikt jeszcze niczego konkretnego nie ma dopowiedzenia. Na razie trwa tylko wzajemne ostrożne badanie poszczególnych stanowisk i szukanie metod porozumienia. Wszyscy czekają na jakieś wydarzenie, które stanie się sygnałem do rozpoczęcia właściwego przedstawienia.

Na przykład na wybuch zaciętych walk w Chinach? – napisała Lucena.

Owszem. Moim zdaniem to by zmieniło sytuację.

Ich uwagę przykuła nagła zmiana w intonacji przemawiającego. W słuchawkach nadal rozbrzmiewał monotony głos tłumacza, lecz w tonie wicepremiera Czanga po raz pierwszy dało się wyczuć ślad jakichkolwiek emocji.

–...Pragnę przypomnieć uczestnikom tej konferencji, a zarazem całemu światu, o wielkich sukcesach i tragediach Chińskiej Republiki Ludowej. Zaryzykowaliśmy wszystko, przezwyciężyliśmy wszelkie kłopoty i doprowadziliśmy do zwycięstwa! Kiedy inne kraje socjalistyczne straciły serce do tej ciężkiej walki, my wytrwaliśmy. I nadal zamierzamy walczyć...

Van Lynden obrzucił uważnym spojrzeniem twarze ludzi skupionych wokół stołu, zwracając szczególną uwagę na ich miny. Natychmiast dostrzegł, że w oczach wspólnej delegacji Tajwanu i Zjednoczonego Frontu Demokratycznego czają się lodowate błyski pogardy.

Lepiej weźcie się w garść, towarzysze, pomyślał. Tworzą się coraz szersze pęknięcia w waszych nieprzeniknionych maskach, a spoza nich wзира nienawiść do wszystkich obecnych w tej sali. Nie możecie się już doczekać chwili, kiedy zyskacie sposobność ją okazać.

–...Nawet teraz, w obliczu ślepej rebelii, wobec bandy złodziei i nacjonalistycznych gangsterów, w świetle jawnej obcej ingerencji w wewnętrzne sprawy Chin, oświadczam, że wytrwamy!

Zakończywszy przemowę, Czang odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem wrócił na swoje miejsce. Siedzący obok niego generał Ho wciąż wpatrywał się w dal z kamienną miną. Na surowym, jakby wyciosanym z drewna żołnierskim obliczu nie malował się nawet najdrobniejszy ślad uczuć. Generał do tej pory nawet nie zamienił

z nikim paru słów na osobności.

Sagada ponownie sięgnęła do notatnika i zapisała:

Przynajmniej wiemy wreszcie, kto będzie miał decydujący głos w delegacji komunistycznej.

Nieprawda! – odpisał Van Lynden – Czang tylko przygotowuje grunt, kluczową postacią jest Ho. Kiedy on w końcu zechce zabrać głos, będziemy musieli go uważnie wysłuchać.

Jorge Apayo, filipiński minister spraw zagranicznych i przewodniczący konferencji, uprzejmie podziękował premierowi Czangowi za wystąpienie i zapowiedział, że teraz głos zabierze przedstawiciel Stanów Zjednoczonych.

–Na mnie kolej – mruknął Van Lynden do swojej asystentki. Wyjął z ucha miniaturową słuchawkę, podniósł się z krzesła i ruszył w kierunku mównicy.

Otworzył teczkę z dokumentami, wyciągnął przygotowany tekst wstępnego przemówienia i zaczerpnął już powietrza, kiedy zauważył, że przy jego stanowisku dzieje się coś dziwnego. Sagada, która miała drugą słuchawkę i utrzymywała stałą łączność ze zorganizowanym w tym samym hotelu centrum informacyjnym, teraz pochylała głowę w prawo i dociskała tę słuchawkę do ucha, odbierając widocznie jakiś ważny komunikat. Zaraz sięgnęła po gruby czarny marker, pospiesznie napisała na drugiej kartce parę wielkich liter, po czym uniosła notatnik i obróciła go w kierunku mównicy.

ZACZĘŁO SIĘ!

Sekretarz stanu odpowiedział ledwie zauważalnym skinieniem głowy. Powiódł wzrokiem po sali, a chwilę później złożył z powrotem papiery i zamknął teczkę. Oparł się obiema dłońmi o krawędź mównicy i powiedział wprost:

–Szanowni państwo! Niepotrzebnie giną ludzie. Najwyższa pora przystąpić do omawiania spraw zasadniczych...

Rozdział 13

1,5 km na północ od głównych pozycji obrony armii tajwańskiej w prowincji Fucien

8 sierpnia 2006, godz. 8.41 czasu lokalnego

Młody oficer wojsk inwazyjnych leżał rozciągnięty na gołej, cuchnącej kurzem ziemi i przyciskał do ucha słuchawkę aparatu krótkofalowego. Dobiegający z niej stłumiony ciągły sygnał tym razem nie wydawał mu się tak denerwujący jak w innych okolicznościach, świadczył bowiem o istnieniu stałej łączności nie tylko z wozami podległego mu plutonu, lecz również z dowództwem dywizji.

A już za parę minut jego życie miało zależeć od tejże łączności.

Ledwie zdążył przed świtem rozmieścić swoje załogi wzdłuż linii rzadkich krzewów rozdzielających dwa pola ryżowe, zgodnie z rozkazami przygotowując nieco prowizoryczną zasadzkę. Z konieczności zajęli nie najlepiej zamaskowane pozycje, musieli się jednak spieszyć i wykorzystać krótki okres spokoju między wycofaniem nocnych patroli Ludowej Armii Wyzwoleńczej a przewidzianą godziną rozpoczęcia natarcia. Dlatego też mogli polegać wyłącznie na wątpliwej skuteczności siatek maskujących i ostatnich pasmach wiszącej nad ziemią porannej mgły.

Leżał tuż pod szczytem spłaszczonego wzniesienia, trochę w bok, lecz nie dalej niż dwa metry przed swoim wozem dowodzenia. Była to kopia wojskowej toyoty z napędem na cztery koła, uzbrojona w tajwańską wersję skonstruowanej w Izraelu wyrzutni pocisków przeciwpancernych typu Mapats. Celowniczy jego załogi siedział już na tylnym siedzeniu pojazdu i pochylał się nad obiektywem celownika laserowego wyrzutni. Kierowca, a zarazem ładowniczy, kucnął obok auta, przed otwartą skrzynią mieszczącą drugi pocisk.

Porucznik na chwilę odłożył słuchawkę, zsunął hełm na tył głowy i przyłożył ucho do ziemi. Wyraźnie było słychać basowe dudnienie niosące się po gruncie.

Podniósł głowę, poprawił hełm i cicho rzucił do mikrofonu:

–Uwaga! Nadjeżdżają!

Niemal w tej samej chwili z mgły wyłoniły się pierwsze pojazdy. Między wozami pancernymi widać było pojedyncze czołgi, a cała dywizja zmechanizowana sunęła w, kierunku tajwańskich linii obrony w formacji typowej dla starej komunistycznej doktryny wojennej, zwanej „ruchomą ścianą stali”.

Porucznik wydał komendę przez krótkofalówkę:

–Cel!

Już wcześniej przydzielił poszczególnym celowniczym wybrane odcinki w znajdującej się teraz około kilometra przed nimi pancerner tyralierze. Nie wypuszczając z dłoni aparatu, drugą ręką podniósł do oczu lornetkę.

Jego podwładni dokładnie wypełnili rozkazy, nie byli nowicjuszami. Ale należało jeszcze poczekać, aż nieprzyjaciel znajdzie się bliżej. Oczyma wyobraźni widział, jak lufy wyrzutni unoszą się z wolna w powietrze, mierząc ponad linię horyzontu, a w celownikach optycznych pojawiają się sylwetki celów.

–Ognia!

Na pancerzach czterech transporterów pojawiły się nagle cztery czerwone ogniki naprowadzaczy laserowych. Chwilę później pomknęły w tamtą stronę cztery przeciwpancerne rakiety, zostawiając za sobą jaskrawo-pomarańczowe jęzory płomieni i smugi dymu. Trzy z nich dosięgnęły celu.

Smukłe, ostronose mapaty bez trudu przebiły czołowe pancerze pojazdów i eksplodowały wewnątrz nich. Oderwane pokrywy luków wyleciały w powietrze, uwalniając straszliwe kłębowiska płomieni, ludzkich szczątków i odłamków metalu. W wozie, który porucznik obserwował przez lornetkę, eksplodowała amunicja, a urwana wieżyczka działowa zsunęła się po bocznym pancerzu na ziemię, otwierając tym samym kolejne ujście dla szalejącego w środku ognia.

Tylko przez ułamek sekundy się wahał, czy warto ryzykować następną salwę.

–Ładuj!

Głuchy łoskot skrzyni za jego plecami oznajmił, że druga rakiet znalazła się w łożu wyrzutni. Wielokrotnie ćwiczili ten element, toteż dokładnie wiedział, ile czasu potrzeba ładowniczym.

Zaskoczeni komuniści dopiero teraz zareagowali na niespodziewany atak. Tyraliera wozów stanęła, drzwi przedziałów piechoty zaczęły się otwierać, pierwsi żołnierze zeskakiwali na ziemię. Obróciły się też wieżyczki czołgów, których lufy przypominały

groźne żmije poszukujące przeciwnika.

–Ognia!

Nad polami przemknęły cztery następne rakiety. Tym razem wszystkie trafiły do celu. Porucznik znów miał okazję oglądać przez lornetkę skutki trafienia rakieta wozu pancernego typu YW 534. W otwartych drzwiach pojazdu nie zdążył się jeszcze pojawić pierwszy żołnierz, kiedy buchnęła przez nie oślepiająca kula ognia.

Na nic więcej nie miał już czasu. Wydał ostatnią komendę:

–Wycofujemy się!

Miał nadzieję, że na wspólnym kanale łączności zostanie to odebrane w dowództwie jako lakoniczny meldunek.

Wyłączył aparat, odczołgał się i pospiesznie zajął miejsce na tylnym siedzeniu samochodu. Kierowca błyskawicznie uruchomił silnik i zawrócił niemal w miejscu, nie czekając, aż ładowniczy zrzuci z wyrzutni siatkę maskującą.

W powietrzu zaświstały pociski kalibru 81 mm, zgodnie z planem działania moździerze poczęły zasypywać nadciągające wojska komunistyczne granatami odłamkowymi i zapalającymi. Na szczęście zamieszanie, jakie wywołały już te pierwsze eksplozje, stwarzało im szansę bezpiecznego odwrotu.

Zaraz jednak owa nadzieja okazała się płonna.

Huknęło czołgowe działo i najdalej na wschód wysunięty samochód plutonu wyleciał w powietrze jak kopnięta na ulicy puszcza po piwie. Kierowca i celowniczy osunęli się martwi na ziemię.

Ale pozostałe wozy szybko przedarły się przez linię rzadkich zarośli, ginąc tym samym przeciwnikowi z pola widzenia. Do złowieszczonego świstu granatów z moździerzy dołączyło teraz głośniejsze wycie pocisków z haubic. To wkroczyły do akcji działa kalibru 155 mm.

Kiedy trzy ocalałe auta plutonu ustawiły się w kolumnę przed wjazdem na wąską dróżkę pozostawioną w polu minowym, wiodącą z powrotem ku linii obrony wojsk tajwańskich, młody porucznik zaczął szacować efekty stoczonych przed kilkoma minutami potyczki.

Miał powody do dumy, stracił bowiem tylko jedną wyrzutnię, za to zniszczył siedem wozów pancernych wroga. A co ważniejsze, zdołał zatrzymać w miejscu nacierające oddziały komunistów, przez co umożliwił artylerii wykonanie dalszego wyłomu w tyralierze dywizji zmechanizowanej. Tak, rzeczywiście mógł być zadowolony z

takiego rezultatu.

Pozostawało mieć nadzieję, że rodziny zabitych przyjmą to w podobny sposób.

Różne warianty takich zasadzek zorganizowano w wielu miejscach ciągnącego się na długości prawie czterdziestu kilometrów frontu. Władze z Pekinu rzuciły bowiem przeciwko tajwańskim siłom desantowym aż pięćdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy i osiem tysięcy pojazdów opancerzonych.

Wojna rozgorzała na wszystkich arenach. Czołgi meły gąsienicami pylisty grunt w przedziwnym śmiertelnym tańcu, zza wzgórz, oraz skalnych grani wyłaniały się nagle śmigłowce i wypluwały strugi pocisków w stronę celów naziemnych, na średnich wysokościach toczyły zacięte walki eskadry myśliwców, podczas gdy pociski ciężkiej artylerii i rakiety wylatywały aż do stratosfery, by opadając łagodnym, balistycznym torem również siać śmierć i zniszczenie.

W tym rejonie trzeba było wznieść się aż do granic kosmicznej próżni, żeby znaleźć całkowity spokój. I tam właśnie krążyli bierni obserwatorzy pola bitwy.

Na wysokości dwudziestu trzech tysięcy metrów leniwie orbitował bodaj najdziwniejszy obiekt skonstruowany przez człowieka, opisywany często jako „skorupa wielkiego małża przyklejona pośrodku kija od szczotki”. Satelita obserwacyjny Darkstar nie nosił na swoim pancerzu żadnych znaków rozpoznawczych, nie licząc grubej warstwy stalowoszarej farby pochłaniającej promieniowanie radarowe. Był prawie całkowicie niewykrywalny dla wszelkich naziemnych systemów ostrzegawczych, tymczasem jego kamery z bezpiecznej odległości rejestrowały zaczynającą się w dole rzeź.

Sześćset mil dalej na wschód, nad wodami Morza Wschodniochińskiego, krążył samolot sterujący pracą Darkstara. Załoga przerobionego tankowca typu KC-10, napakowanego urządzeniami elektronicznymi, nie tylko kontrolowała lot satelity i nadzorowała pracę jego różnorodnych czujników, lecz także zapewniała stały przepływ informacji zbieranych z orbity do naziemnego ośrodka przetwarzania danych.

Stamtąd informacje były rozsyłane aż do kilkunastu różnych odbiorców, i to zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i po przeciwnej stronie Pacyfiku. Bardzo wiele instytucji było bowiem żywo zainteresowanych przebiegiem wojny.

–W porządku, majorze. Więc co się tam teraz dzieje?

Sam Hanson i Lane Ashley siedzieli w niewielkiej sali odpraw Pentagonu. Prezydencki doradca i dyrektor Krajowej Agencji Bezpieczeństwa z niecierpliwością czekali na aktualny meldunek z rejonu walk. W sali panował półmrok, stojący naprzeciwko nich oficer był ledwie widoczny, jasno świecił tylko ekran komputera, na

którym widniała schematyczna mapa chińskiej prowincji Fucien.

–W chwili obecnej, proszę pana, główny trzon ofensywy sił komunistycznych stanowi Trzecia Gwardyjska Armia Pancerna. Jest to zarazem najlepiej wyszkolona formacja Ludowej Armii Wyzwoleńczej, jak też największa jednostka pospiesznie zmobilizowanych rezerw. Zaatakowała ona przyczółek wojsk tajwańskich z północy i z zachodu na trzech głównych kierunkach natarcia. – Zaczął wskazywać omawiane miejsca na mapie, a jego ręka na tle jaśniejącego ekranu wydawała się całkiem czarna. – Tutaj, z rejonu miasta Fuczou, tu, od strony Nanping, i tutaj, z okolic Szensian. Podstawową siłę uderzeniową na każdym z tych kierunków tworzy jedna dywizja pancerna bądź zmechanizowana. Cel ofensywy jest oczywisty, chodzi o zniszczenie przyczółka i zepchnięcie wojsk nacjonalistów z powrotem do morza, zanim formacje Zjednoczonego Frontu Demokratycznego zdążą się przebić na północ i wesprzeć tajwańskie jednostki desantowe.

–Jakie są szanse na zakończenie tej operacji sukcesem? – spytała Lane Ashley.

–Czerwoni zwyczajnie wystawiają swoje tyłki na odstrzał... Proszę mi wybaczyć to słownictwo, madam.

–Wygląda na to, że jest pan całkiem pewien takiego obrotu spraw, majorze.

–Nie mamy co do tego żadnych wątpliwości. Widocznie komuniści wciąż łudzą się nadzieją, że nie tylko uda im się zdusić coraz groźniejszą rebelię Frontu Demokratycznego, ale także odeprzeć wojska nacjonalistów, zanim mieszkańcy kolejnych prowincji przyłączą się do buntu. Nie rozumieją jednak, że w tej walce muszą przegrać.

–Czyżby ugrupowania Frontu były już gotowe do natarcia?

–Oczywiście, proszę pani. Jeśli wierzyć doniesieniom naszego wywiadu, szykowano je na tę chwilę od dawna. Zdaniem specjalistów czekały jedynie na zmasowaną ofensywę czerwonych. Teraz, kiedy rzeczywiście do niej doszło, zgromadzone wojska prawdopodobnie ruszą w tym kierunku, przeprawią się przez rzekę Szatau. Sądzymy, że nastąpi to w ciągu najbliższej doby.

Hanson pokiwał głową.

–To bardzo prawdopodobne, Lane. Czerwoni zostaną oskrzydleni. Rzucili główne siły na przyczółek nacjonalistów, więc nie będą się mieli jak obronić przed ofensywą wojsk Frontu Demokratycznego.

–A jaki los czeka tajwański desant?

–Komuniści najwyżej odzyskają tu i tam po parę kilometrów terenu, nie wierzę

jednak, by zdołali tak skoncentrować uderzenie, aby całkowicie zlikwidować przyczółek. Zresztą znajdą się w najgorszej sytuacji, jaką tylko można sobie wyobrazić.

–Ma pan całkowitą rację – przytaknął major. – Naszym zdaniem Gwardyjska Armia Pancerna bardzo szybko zostanie zdziesiątkowana i ofensywa straci impet, a tymczasem po zorganizowaniu bezpiecznej przeprawy przez Szatau, najdalej za tydzień, rebelianci powinni ruszyć ze zmasowanym uderzeniem na północ. Jeśli jeszcze choć część rezerwistów przejdzie na ich stronę, czerwoni nie zdołają już powstrzymać ofensywy.

Zapaliły się światła pod sufitem. Oficer zamrugał szybko, po czym sprężystym krokiem przeszedł do zawieszanej obok wielkiej mapy Chin. Blask jarzeniówek odbił się od jego wypolerowanej do połysku odznaki członka Szefostwa Połączonych Sztabów.

–Według naszych prognoz załamanie się obrony Ludowej Armii Wyzwoleńczej doprowadzi do przejścia przez rebeliantów całej prowincji Fucien. Możemy przypuszczać, że nowa linia frontu ustali się nie bliżej niż w rejonie miasta Wenczou, na rzece Da.

–A co potem? – zapytała szybko Ashley.

–Tego nikt nie jest w stanie przewidzieć, proszę pani. Zespoły symulacyjne RAND-u nawet nie próbowały jeszcze robić dalszych prognoz.

–Więc proszę przedstawić własne, choćby najbardziej ogólnikowe wnioski, majorze. Jakie konsekwencje może mieć, według pana, tak znacząca porażka wojsk komunistycznych?

–Bardzo poważne. To krytyczna bitwa, punkt zwrotny całej wojny domowej. Coś jak Gettysburg albo Stalingrad. Jeśli czerwoni ją przegrają, a wszystko na to wskazuje, moim zdaniem nie będą już w stanie się pozbierać.

–To całkiem uzasadniona opinia – przyznał Sam Hanson. – Ja także uważam, że jesteśmy obecnie świadkami początku końca.

–Bardzo nie lubię tego określenia – odparła ponuro Ashley. – Mam jeszcze jedno pytanie, majorze. Co z komunistycznym arsenałem nuklearnym? Nie nastąpiły żadne zmiany w stosunku do opisywanej wcześniej sytuacji?

–Na ten temat nie mamy żadnych nowych informacji, proszę pani.

Rozdział 14

Morze Wschodniochińskie,

110 mil na północ od tajwańskiego portu Cilung

8 sierpnia 2006, godz. 22.21 czasu lokalnego

–Odnoszę wrażenie, że więcej byśmy się dowiedzieli, obserwując morze przez lornetkę.

–To prawda. Kutry rybackie normalnie wychodzą na połów, a my nawet nie jesteśmy w stanie zarejestrować pracy ich silników. Nie wolno jednak zapominać, że chińscy rybacy coraz częściej muszą używać napędu wiosłowego lub żagli.

–Czyżby należało stąd wnioskować, że władze komunistyczne jeszcze bardziej obniżyły przydziały paliwa?

–Na to wygląda, Jer, chociaż bez konkretnych informacji bałabym się wyciągać tak daleko idące wnioski. Może być i tak, że rozpoczął się okres sprzyjających wiatrów w rejonie przybrzeżnym, wobec czego władze lokalne wprowadziły jakiś program oszczędnościowy. Jutro spróbuję przejrzeć dane z kilku ubiegłych tygodni, może na tej podstawie uda nam się sformułować ściślejsze wnioski.

Siedzieli oboje w Kruczym gnieździe już od pięciu godzin. Porucznik Gerald Selkirk miał oczy tak zaczerwienione, jakby je przetał papierem ściernym, a pod czaszką odzywał mu się coraz dokuczliwszy ból głowy. Niczego jednak po sobie nie okazywał, gdyż jego przełożona znosiła ten wysiłek nadzwyczaj dzielnie. Jedynym świadectwem długości trwania na posterunku była sterta opakowań po wafelkach i batonikach rosnąca na skraju konsoli po jej stronie.

Poza tym Rendino siedziała z okularami zsuniętymi na czubek głowy, co również nie zdarzało się często. W ogóle wkładała je tylko wtedy, gdy miała przed sobą dużo papierkowej roboty, a już takie ich zsunięcie na włosy było jawnym dowodem wyęźzonej pracy umysłowej.

–Zostawmy to, Jerry. Co mamy jeszcze w rozkładzie?

Selkirk zajrzał do leżącego przed nim wydruku. Nic nie wskazywało na to, żeby Chris zamierzała skończyć na dzisiaj robotę. A on, mimo zmęczenia, czuł się doskonale w jej towarzystwie. Niewiele sobie robił z żartów, że służy w sekcji, której dowódca przypomina jego młodszą siostrę, ponieważ dla niego obserwowanie Rendino podczas pracy było fascynującym i wyzywającym zajęciem.

–Dowództwo wywiadu floty prosi o informacje na temat płynącego wzdłuż wybrzeża konwoju. Zdaje się, że całkiem stracili jego trop.

–Ktoś zgubił parę zdjęć satelitarnych i nie może odtworzyć sekwencji? O jaki konwój chodzi?

–Pięć statków. Cztery transportowce, jeden sześćsetpięćdziesięcotonowy, dwa trzystutonowe i jeden o wyporności dwustu ton, eskortowane przez samotny kuter patrolowy klasy Szanghaj cztery.

–Co przewożą?

–Konwój sformowano w Cingtao i tam też załadowano go wojskowymi skrzyniami, prawdopodobnie z racjami żywnościowymi, oraz smarami i różnymi częściami zamiennymi. Statki wyszły z portu nocą drugiego sierpnia i skierowały się na południe...

Rendino szybko odwróciła się do komputera i zaczęła uderzać w klawisze. Przywołała na ekran schematyczną mapę wschodniego wybrzeża Chin oraz dane nawigacyjne dla tego rejonu.

–Na zdjęciach satelitarnych zidentyfikowano tenże konwój cumujący za dnia kolejno w portach Sziciusuo, Lienjunkang oraz Szejang odpowiednio trzeciego, czwartego i piątego sierpnia. Statki jedynie stały przy nabrzeżu, nie stwierdzono, żeby je rozładowywano.

Używając myszki, Chris zaznaczyła na ekranie wymienione miasta portowe.

–Raz namierzono też konwój nocą, na wysokości przylądka Andongwei, między Sziciusuo a Lienjunkang. Statki zaobserwował na ekranie radaru jeden z naszych samolotów zwiadowczych P3E, wykonujący loty z Seulu. Konwój wciąż płynął na południe, utrzymując szybkość od ośmiu do dziesięciu węzłów.

–Do tej pory wszystko jasne – zauważyła Rendino. – Posuwali się skokami wzdłuż wybrzeża w stronę przyczółka nacjonalistów. Za dnia stali w portach na kotwicy, a nocą przemieszczali się do następnego miasta. Co dalej?

–Ślad urwał się w okolicach Szanghaju. Według najświeższych danych prawdopodobnie dwa średniej wielkości transportowce, jakie zauważono u wejścia do zatoki Hangczau Wan, pierwotnie znajdowały się w tymże konwoju. Dlatego też dowództwo floty się zainteresowało, jaki los spotkał pozostałe jednostki i przewożone przez nie ładunki. Zwrócili się do nas, byśmy dokładnie przeanalizowali dane zebrane przez system hydrofoniczny i sprawdzili, czy nie ma wśród nich śladów przejścia konwoju.

–Może coś być, Jer. Pierwszą boję umieściliśmy na północ od delty Jangcy, a więc w tym rejonie, gdzie urwał się ślad po transportowcach. Znajdź ostatnie zapisy odebrane z tej boi. Przyjrzymy im się dokładniej.

Selkirk odjechał z krzesłem pół metra od swego pulpitu, bo tylko na tyle pozwalało mu wąskie przejście między stołami z aparaturą zgromadzoną w Kruczym gnieździe, obrócił się i otworzył pudełko z zapisami komputerowymi. Szybko odnalazł właściwy kompakt, przysunął się na poprzednie miejsce, otworzył kieszeń czytnika i włożył płytę do środka.

–Już mam – oznajmił po chwili, wybrawszy z katalogu interesujący ich plik.

–Dobra. Wywołaj odtwarzanie zapisu dźwiękowego z wczesnych godzin rannych szóstego sierpnia... Nie, lepiej ustaw automatyczne przeszukiwanie okresu... od drugiej w nocy do piątej nad ranem. Jako szukaną sekwencję zaprogramuj echo przejścia czterech jednośrubowych statków napędzanych silnikami diesla średniej mocy i jednego wielośrubowego kutra, też z silnikiem wysokoprężnym, ale dużej mocy.

–Już szukamy.

Nie minęło nawet parę sekund, gdy komputer zasygnalizował dużą zgodność zapisu z wprowadzonymi danymi. Na ekranie ukazało się oddzielne okno ukazujące fragment zarejestrowanego przez mikrofony boi widma sonicznego. Wyróżniało się na nim pięć wyraźnych pików o wysokościach sięgających niemal do samej góry okna, odpowiadających dźwiękom, jakie towarzyszyły przechodzeniu w rejonie boi pięciu kolejnych statków.

Rendino pospiesznie uruchomiła odtwarzanie tego wycinka zapisu i przekręciła gałkę potencjometru do oporu.

Z głośnika doleciały charakterystyczne odgłosy: terkot obracających się śrub, basowe dudnienie silników spalinowych, a nawet cichy plusk fal o burty przepływających jednostek. Bez dokonywania komputerowej analizy wprawne ucho oficera wywiadu pozwalało wyłowić szczegóły charakterystyczne dla kolejnych statków: podzwanianie obluzowanej kłapy luku, monotonne skrzypienie lekko wygiętej osi którejś śruby czy też rytmiczne łomotanie źle zabezpieczonych skrzyń w ładowni, towarzyszące każdemu przechyłowi statku.

Zamknawszy oczy, Chris wyobraziła sobie cały konwój płynący powoli na południe wzdłuż wybrzeża.

–Zgadza się – rzekł Selkirk. – Na podstawie szybkości obrotów śrub komputer oszacował prędkość statków na osiem do dziesięciu węzłów. Nie ma też żadnych zmian w natężeniu dźwięku, więc nawet nie kluczyli. Minęli naszą boję dokładnie o

trzeciej dziesiąt.

–To także pasuje. – Christine przytaknęła ruchem głowy. – Przy tej szybkości musieli dotrzeć do ujścia Jangcy o pierwszym brzasku. Z pewnością konwój zawiął do Szanghaju, a o zmroku popłynął dalej. Jakim sposobem fachowcy go przeoczyli?

–Nie mam pojęcia.

–Wywołaj dane satelitarne dla Szanghaju. Sprawdź wszelką aktywność w porcie z szóstego sierpnia. Powinniśmy odnaleźć na zdjęciach ten konwój.

–Tak jest.

Selkirk zaczął wpisywać informacje do komputera, rytmicznie zerkając na wiersze odpowiedzi ukazujących się kolejno na ekranie. Kilka razy robił zdziwioną minę, wreszcie po jakichś pięciu minutach rzekł:

–Niczego nie znalazłem. W danych satelitarnych rzeczywiście nie ma śladu konwoju. Nie zanotowano w porcie nawet żadnego statku, który mógłby pierwotnie płynąć razem z pozostałymi. W ogóle w Szanghaju panował dziwnie mały ruch.

–Cholera! Więc gdzie nasi chłopcy mogli się podziać? – Rendino zmarszczyła brwi, spoglądając na ekran.

–Może popłynęli w górę rzeki? Jangcy jest żeglowna co najmniej na długości tysiąca mil od ujścia.

–Niewykluczone, lecz wolałabym mieć na to jakiś dowód. Znajdź zapisy z drugiej boi, zakotwiczonej na południe od ujścia rzeki. Gdyby konwój uszedł naszej uwadze i popłynął dalej na południe, ta boja musiałaby zarejestrować echo jego przejścia.

Zmiana płyty w odtwarzaczu komputera zajęła ledwie parę sekund.

–Gotowe.

–Dobra, Jeny. Zaprogramuj poszukiwanie tej samej sekwencji w zapisach z szóstego sierpnia, między dwudziestą pierwszą a północą.

Niemal natychmiast na ekranie pojawił się wynik działania.

–Nie znalazł. W pliku nie ma takiej sekwencji.

–Jasna cholera! Poszerz granice, niech program przeszuka cały zapis z szóstego, od północy do północy.

Tym razem trwało to nieco dłużej, lecz po kilkunastu sekundach wyświetliło się

okno ze znanym już, niemal identycznym wycinkiem widma sonicznego o pięciu pikach, tu jednak wyraźnie bardziej rozmytych.

–Są! – zawołał podniecony Selkirk. – Przepłynęli obok naszej boi o siódmej trzydzieści jeden.

–Co? – Christine energicznie odepchnęła się z krzesłem od swego pulpitu i obróciła w stronę ekranu. – A więc poszli dalej! Złamali dotychczasowe zasady, ominęli Szanghaj i popłynęli wzdłuż wybrzeża w ciągu dnia!

–Widocznie coś ich zmusiło do rezygnacji z zawinięcia do portu.

–Na to wygląda. Ale biorąc pod uwagę pozycję konwoju, statki zostały wystawione na spore ryzyko... I coś mi się zdaje, że go nie uniknęły.

Selkirk ustawił kursor na początku wycinka zapisu i uruchomił program analizujący. Szybko wyjaśnił się powód wystąpienia rozmytych garbków i nierówności na opadających zboczach pików.

–Oho, mamy wzrost szybkości obrotowej śrub i zmiany charakterystyki częstotliwościowej pasma. Statki przyspieszyły i zaczęły kluczyć.

–Można się było tego domyślać. Zaczyna być ciekawie.

Przez długie trzy minuty wpatrywali się w pionową linię sunącą powoli przez ekran po nierównych, stopniowo zanikających wykresach fal, które odpowiadały natężeniom rejestrowanych dźwięków. Nagle przy prawej krawędzi okna pojawił się nowy element, kolejny pik, wyraźnie piłokształtny. Program analizujący wyeksponował go jaskrawozielonym kolorem.

–Zatrzymaj analizę – rzuciła Christine. – Cofnij o pół minuty i puść z powrotem, ale z odtwarzaniem zapisu przez głośnik.

Zasłuchali się w monotonny szum, jaki towarzyszył odpływającemu konwojowi. Nagle rozległ się głuchy, stłumiony łoskot, jakby ktoś walnął pięścią w pustą blaszaną beczkę. Zaraz też z mieszanki dźwięków zniknęły najwyższe tony, pochodzące od śrub napędowych osłaniającego transportowce kutra patrolowego. Ledwie zdążyły przycichnąć echa pierwszego wybuchu, dał się słyszeć drugi, nieco słabszy, a później wyraźny zgrzyt rozdieranego metalu poszycia. Bez wątplenia był to odgłos statku pękającego na dwie części.

–No to zaczynamy zgadywanekę. Jak myślisz, co to było?

–Odgłos trafienia pociskiem w burtę kutra patrolowego, zapewne tuż ponad linią zanurzenia – odparł Selkirk spiętym głosem, jakby zdawał egzamin z tego tematu. –

Musiał to być pocisk średniej mocy, jednogłowicowy, prawdopodobnie Samonaprowadzający bądź sterowany drogą radiową, być może przeciwpancerny. A ponieważ mikrofony boi nie wyłapały żadnych innych odgłosów, ani obcego okrętu, ani łodzi podwodnej, można przypuszczać, że eksplodowała rakietą odpalona z samolotu.

–Bardzo dobrze. Kiedy już samotny kuter obstawy konwoju został unieszkodliwiony, napastnik nie musiał się spieszyć. – Rendino popatrzyła na faliste linie i po chwili wskazała jedną z nich. – Ten będzie następny.

Jakby w odpowiedzi zza prawej krawędzi okna wyłonił się kolejny piłokształtny pik, właśnie na wybranej przez nią linii. Kilka sekund później z głośnika doleciał odgłos drugiej eksplozji.

–I w ten sposób załatwili największy transportowiec. – Christine poruszyła się nerwowo na krześle. – Chryste. Obserwowanie efektów działania profesjonalisty zawsze mnie diabelnie podnieca. – Jeszcze raz pochyliła się nad pulpitem i niczym wyrocznia wskazała palcem następną linię na wykresie. – Teraz będzie ten. Mniej więcej za minutę.

Po upływie pięćdziesięciu sekund najpierw wyłoniły się większe nierówności widma, później z głośnika doleciał cichszy, nieprzyjemny dźwięk, przypominający odgłos rozrywanego grubego płótna.

–To także potrafisz zidentyfikować, Jer?

Selkirk przygryzł wargi i pokręcił głową.

–To serie wpadających do wody pocisków z działek lotniczych – wyjaśniła. – Myśliwce zaatakowały najmniejszy statek.

Przez pewien czas w milczeniu wsłuchiwali się w kaskady dźwięków towarzyszących rozszarpywaniu bezbronnej ofiary przez zaciekle atakujące samoloty. W odgłosie pracy śruby statku pojawiły się nieregularności, później wyraźne przerwy, jakby serce transportowca stopniowo zamierało. Wreszcie ucichło na dobre.

W zarejestrowanym paśmie sonicznym pozostał jedynie szum oddalających się dwóch ocalałych chińskich jednostek.

Rendino wyłączyła odtwarzanie.

–Jak opisałbyś to zdarzenie, gdybyś miał sporządzić raport dla dowództwa wywiadu floty, Jer? – spytała.

Selkirk westchnął, zamyślił się na chwilę, po czym głęboko zaczerpnął powietrza.

–Komunistyczny konwój został zaatakowany na południe od delty Jangcy przez tajwańską eskadrę myśliwców przystosowanych do zwalczania celów nawodnych. Biorąc pod uwagę miejsce zdarzenia i czas trwania ataku, były to zapewne dwa myśliwce bombardujące typu Czing Kuo, prawdopodobnie z bazy lotniczej w Cilung na północnym wybrzeżu Tajwanu. Świadczy o tym zarówno sposób przeprowadzenia ataku, jak i efekty starcia. Samoloty Czing Kuo są bowiem uzbrojone w jedną samonaprowadzającą raketę przeciwpancerną typu Hsiung Feng, nie licząc ładunków do zrzucania w locie nurkowym. W zarejestrowanym widmie sonicznym zidentyfikowaliśmy dwie silniejsze eksplozje ładunków raketowych oraz późniejszy ostrzał konwoju z działek pokładowych. W wyniku ataku zatopione zostały trzy jednostki, kuter osłony oraz dwa transportowce, sześćsetpięćdziesięcotonowy i dwustutonowy. Dwa pozostałe statki popłynęły dalej na południe i rzuciły kotwice u wejścia do zatoki Hangczau Wan.

Rendino z uznaniem pokiwała głową.

–Nieźle. Pominąłeś jednak trzy detale, które dla wywiadu floty mogą się okazać istotne. Po pierwsze, tajwańskie samoloty musiały tankować w powietrzu. To prawda, że myśliwce Czing Kuo mogłyby dotrzeć na miejsce zdarzenia z bazy w Cilung, lecz znalazłyby się na granicy maksymalnego zasięgu. Tymczasem, sądząc po odgłosach, ci chłopcy krążyli przez dłuższy czas na niewielkiej wysokości, a stąd wynika, że nie musieli się troszczyć o zapasy paliwa. Po drugie – wyliczała, zaginając palce – w ataku uczestniczyła pełna eskadra złożona z czterech maszyn, a nie tylko dwa myśliwce. Zwróć uwagę, że piloci krążyli nad statkami, jakby niczego nie musieli się obawiać, a przecież w pobliżu znajduje się duża baza lotnictwa czerwonych. Dlatego też podejrzewam, że dwa samoloty wzięły na siebie rolę osłony i czekały na większej wysokości, gotowe włączyć się do akcji w wypadku nieprzewidzianych kłopotów.

–Tak, teraz to i dla mnie jasne – mruknął Selkirk, a w myślach dodał: czemu, do diabła, nie skojarzyłem wcześniej tak oczywistych faktów? Na głos zaś spytał: – A jaki jest ten trzeci element?

–Na czele tej wścieklej sfory musiał stać nie byle kto. Najpewniej zaczął od systematycznego, dokładnego rozpoznania sytuacji taktycznej, po czym pierwszym strzałem unieszkodliwił jedyny okręt, który mógł w jakiś sposób zagrozić samolotom. Później wydał takie rozkazy, żeby przy minimalnym zużyciu amunicji poczynić jak największe spustoszenia. Stąd wnioskuję, że atak poprowadził doświadczony dowódca eskadry albo nawet sam dowódca dywizjonu.

Zawstydzony Selkirk z niedowierzaniem pokręcił głową.

–No i po co miałbym próbować swych sił? Jesteś niedościgniona.

Rendino uśmiechnęła się szeroko i wzruszyła ramionami.

–A cóż ja ci mogę na to odpowiedzieć? Chyba najważniejsze w tej robocie jest pełne opanowanie i koncentracja. Musisz to mieć zakodowane w genach. Weź sobie do serca, poruczniku, że jeśli zamierzasz wiązać swą karierę w marynarce z pracą wywiadowczą, powinieneś zawsze pamiętać o jednej rzeczy. Nie wystarczy obserwować i czerpać nauki z poczynąń innych, trzeba jeszcze umieć zaadaptować ich sposób myślenia i starać się na własną rękę wyciągać takie same wnioski, bo inaczej nigdy do niczego nie dojdiesz. – Zmarszczyła nagle brwi i zamyśliła się na krótko. – No i masz kolejny przykład. Jak sądzisz, dlaczego dowódcy chińskich transportowców zdecydowali się nagle zmienić tryb postępowania, przez co dalszy rejs stał się samobójstwem dla konwoju?

–Chcesz wiedzieć, dlaczego postanowili płynąć dalej w biały dzień?

–Właśnie. To prawda, że ciemność nocy nie jest już tak dobrą zasłoną jak kiedyś, lecz nadal stanowi poważne utrudnienie dla przeciwnika. Przecież konwój przepływał na wysokości Szanghaju, bodaj najsilniej bronionego portu wojennego komunistów. Czemu więc transportowce nie rzuciły kotwicy przy nabrzeżu i nie czekały w porcie do zmierzchu, jak czyniły to wcześniej?

–Może nie mieli już czasu i musieli zdążyć z dostawą sprzętu.

Christine skrzywiła się i pokręciła głową.

–Nie. Gdyby chcieli zyskać na czasie, to płynęliby w ciągu dnia zaraz po sformowaniu konwoju, na północy, dalej od baz lotnictwa tajwańskiego. Widocznie dostali rozkaz, żeby z jakiegoś powodu nie zawijać do Szanghaju, a musiał to być niezwykle istotny powód, skoro dowództwo czerwonych postanowiło zaryzykować los całego konwoju i transportowanych zapasów wojskowych. Powstaje zatem pytanie, co takiego dzieje się w Szanghaju, co mogłoby usprawiedliwiać aż tak ryzykowną decyzję?

Selkirk nie odpowiedział. Podejrzewał zresztą, że ona wcale tego po nim nie oczekuje.

Tymczasem Rendino sięgnęła do szarej papierowej torby stojącej na podłodze obok jej stanowiska i wyciągnęła kolejny batonik milky way. Szybko rozerwała opakowanie, oparła się łokciami o brzeg pulpitu i w zamyśleniu odgryzła kawałek polewanej czekoladą pianki. Widocznie dla zachowania klarowności myśli zamiast kofeiny potrzebna jej była odpowiednia dawka cukru.

Z taką intensywnością zapatrzyła się w schematyczną mapę okolic Szanghaju widoczną na ekranie komputera, jakby nagle przeistoczyła się w kocura czyhającego u wylotu mysiej nory.

Rozdział 15

200 mil na północ od wyspy Miyako Shima

9 sierpnia 2006, godz. 10.41 czasu lokalnego

Amanda musiała przyznać, że widok z pokładu helikoptera jest rzeczywiście imponujący. Jeśli „Cunningham” stanowił szpicę amerykańskiej marynarki obecnej na Morzu Wschodniochińskim, to teraz miała przed sobą całe jej groźne ostrze w postaci siódmej floty.

Na wprost, aż po horyzont, płynęły dokładnie w dziesięciostopniowych odstępach niszczyciele do zwalczania okrętów podwodnych. Z powietrza wyglądały jak czarne kreski pchające przed sobą białe grzywy rozcinanych dziobami fal. Na skrzydłach tej kolumny ciągnęły dwa krążowniki klasy Aegis zapewniające pozostałym jednostkom osłonę przeciwlotniczą, zarówno pod względem mocy radarowych urządzeń ostrzegawczych, jak i siły ognia samonaprowadzających pocisków rakietowych.

Amanda obejrzała się w kierunku wysmukłego ogona śmigłowca i dostrzegła swój okręt, płynący u boku wielkiego transportowca „Sacramento”. „Książę” trzymał się tak blisko okrętu zaopatrzeniowego, że pozostające za nimi smugi spienionej wody zlewały się we wspólną szeroką wstęgę. Amanda wiedziała doskonale, że dzielącą obie jednostki pięćdziesięciometrową przestrzeń przecinają węże paliwowe i tunele przeładunkowe, trwało bowiem uzupełnianie zapasów niszczyciela.

A ukoronowaniem tego wspaniałego widoku pod nimi była gigantyczna, kanciasta sylwetka wysuniętego do przodu lotniskowca, odznaczającego się charakterystycznymi sześciennymi bryłami nadbudówek, co w założeniu miało wspomagać wydajność radarowego systemu ostrzegawczego, ten jednak w rzeczywistości nigdy nie spisywał się najlepiej. Tymże okrętem, czasowo przydzielonym do siódmej floty, była słynna „wielka dama” floty, USS „Enterprise”, na której pokładzie stały szeregi przykrytych brezentem myśliwców.

–To jest dopiero przepiękny widok – rzekł Arkady przez interfon, głową wskazując płynący przodem lotniskowiec.

–Owszem. Niestety, to ostatni rejs „damy” po Pacyfiku. Jeden z jej reaktorów już wygaszono z powodu zatrucia neutronowego. Kiedy tym razem okręt zawinie do portu, zostanie pocięty na złom.

–Szkoda. – Pilot smętnie pokiwał głową. – Powiem ci coś w zaufaniu, skarbie. Tego dnia, kiedy na wielkim E bandera zostanie zdjęta z masztu, wezmę przepustkę i upiję się do tego stopnia, żeby się nie wstydzić łez.

–Będziemy mogli to zrobić razem, Vince, bo ja chyba też się wówczas popłaczę.

Arkady sięgnął do przełącznika radiostacji.

–Kontrola siedem jeden alfa, zgłasza się Paź zero jeden w przelocie z USS „Cunningham” na okręt flagowy. Proszę o dane podejścia i zezwolenie na lądowanie.

–Paź zero jeden, za parę minut będziemy przyjmowali zwiad powietrzny. Trzymaj się obecnej pozycji, z dala od sterburtowego korytarza podejścia, i bądź na nasłuchu. Wylądujesz w drugiej kolejności.

–Zrozumiałem.

Amanda wyciągnęła szyję i popatrzyła w niebo po prawej stronie śmigłowca. Natychmiast zauważyła podchodzący do lądowania samotny myśliwiec F/A-18 Super Hornet, sprowadzany na pokład lotniskowca niewidzialnym strumieniem światła lampy Fresnela. Opadał powoli, z wysuniętym podwoziem i hakiem hamowniczym oraz wypuszczonymi do końca klapami, jakby nie chciał się poddać woli pilota i z ociąganiem rezygnował z całkowitej swobody w powietrzu na rzecz twardej płyty lądowiska. Dopiero gdy znalazł się nad pokładem, musiał ustąpić i reszta lotu potoczyła się błyskawicznie. Samolot nagle przyspieszył i opadł gwałtownie, a dwa niewielkie obłoczki białego dymu zaznaczyły miejsce zetknięcia się kół z antypoślizgową nawierzchnią płyty lądowiskowej.

–Paź zero jeden, tu kontrola siedem jeden alfa. Możesz podchodzić do lądowania. Siadaj na kole numer trzy, uważaj na znaki kontrolera lądowiska.

–Zrozumiałem. Dowódca USS „Cunningham” wkracza na okręt flagowy.

Śmigłowiec pochylił się nieco w bok i pomknął ku odległemu o jakiś kilometr okrętowi. Arkady przełączył się z powrotem na interfon i zapytał:

–Jaki masz plan gry, dziecińco?

–O co ci chodzi?

–Czeka cię pierwsze spotkanie w cztery oczy z admirałem Tallmanem. O ile cię znam, przygotowałaś jakiś wstępny plan rozmowy.

–Nic szczególnego. Moim podstawowym zadaniem będzie przekonać go, żeby nie deptał nam po odciskach, to i my oszczędzimy mu kłopotów.

–Uważaj na siebie, ślicznotko. Wmówienie admirałowi, że zna się swoją robotę lepiej od niego, to dość ryzykowne zadanie.

–Nie zamierzam rezygnować bez walki. Znasz mnie, kochany. Nie cierpię, kiedy zmusza się mnie do działania ze związanymi rękami.

Już od momentu startu z „Księcia” oboje z wyraźną satysfakcją dawali sobie nawzajem dowody łączącego ich uczucia, wykorzystując tę rzadką chwilę przebywania na osobności, z dala od reszty załogi.

–Naprawdę? Będę się musiał o tym przekonać osobiście.

Tylko po intonacji głosu Amanda wyczuła, że Vince uśmiecha się szeroko. Wychyliła się z fotela i wymierzyła mu tęgiego kuksańca w ramię.

Helikopter zawisł nad pokładem, gęsto upstrzonym różnymi białymi znakami przeznaczonymi dla pilotów, powoli obniżył lot i wreszcie osiadł łagodnie na wyznaczonym miejscu, kołyszając się z lekka na sprężystym podwoziu.

Jeden z techników obsługi lotniczej poprowadził Amandę przez lądowisko w kierunku wejścia do kanciastej nadbudówki. W otwartym luku czekał na nią adiutant.

–Kapitan Garrett? – zawołał, przekrzykując głośny terkot wirnika śmigłowca. – Admirał Tallman wita na pokładzie. Prosił, abym zaprowadził panią do jego kajuty.

–Świetnie. Dziękuję! – odkrzyknęła, rozpinając kombinezon lotniczy. – Zatem chodźmy.

Kiedy wkroczyli do długiego korytarza nadbudówki, Amanda mimochodem wyciągnęła dłoń i ostrożnie, z pełnym szacunkiem, w powitalnym geście musnęła palcami wysłużone blachy konstrukcji. Przyszło jej do głowy, że zwykli ludzie mają przyjaciół, krewnych i kochanków, ale marynarze mają jeszcze swoje statki. Kilka lat wcześniej zwiedzała słynny lotniskowiec, toteż teraz witała się z nim z pewnym rozrzewnieniem.

–Przepraszam, kapralu. Zanim wejdziemy do admiralskiej kajuty, chciałabym się nieco odświeżyć. Czy nadal jest na tym poziomie damska toaleta?

–Oczywiście, proszę pani. Proszę skręcić tam, w stronę rufy. Drugie drzwi po prawej.

Kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi łazienki, pospiesznie uwolniła się od kombinezonu lotniczego. Pod spodem miała letni mundur, ale nie ten, w którym zwykle schodziła na ląd, lecz nowy, niedawno uszyty na miarę, starannie wyprasowany i dotąd wiszący w szafie. Przed odlotem zastanawiała się, czy nie włożyć galowego białego munduru, doszła jednak do wniosku, że byłaby to przesada. Ten zaś miał jeszcze tę przewagę, że nad kieszonką na piersi był przyszyty nowy zestaw baretek.

Stwierdziła, że gdy się wkracza do jaskini Iwa, należy być uzbrojonym we wszelkie dostępne typy oręża. Chodziło tu o rzecz dla niej szczególnie cenną zademonstrowanie, iż w tym gronie tylko jedna osoba nosi Krzyż Komandorski, a nie jest nią żaden z tutejszych oficerów.

Wystarczyło jej pół minuty na szybkie poprawienie makijażu i uczesanie włosów potarganych przed pęd powietrza wyrzucanego przez wirnik śmigłowca. Obciągnęła jeszcze mundur i wyszła na korytarz.

Kwatery flagowe lotniskowca „Enterprise” stanowiły przedziwne połączenie zbytku i oszczędności miejsca, jakiego nie spotykało się na innych jednostkach. Ściany wyłożone złotawą dębową boazerią i miękkie granatowe wykładziny na podłodze silnie kontrastowały z grubymi pękami kabli biegnącymi pod gołym, metalowym sufitem. Kajutę admiralską, będącą skrzyżowaniem obszernego gabinetu z salonikiem, wypełniono prostymi ciężkimi meblami, ale wygodna sofa i krzesła były obite prawdziwą skórą zabarwioną na wiśniowo. Dwaj oczekujący wewnątrz oficerowie poderwali się z miejsc na jej widok.

–Kapitan Amanda Lee Garrett melduje się na rozkaz, panie admirale.

–Spocznij, kapitanie. Witam panią na pokładzie okrętu flagowego.

Admirał Tallman był muskularny i wysportowany, odznaczał się sylwetką typową dla mężczyzn w średnim wieku. Przerzedzone czarne włosy tworzyły nad czołem spore zakola, a w wąskich piwnych oczach igrały skry świadczące o doskonałym poczuciu humoru i wysokiej inteligencji. Kiedy tylko odpowiedział regulaminowym salutem, wyciągnął rękę na powitanie, po czym skłonił się i delikatnie musnął wargami jej dłoń, co przywiodło Amandzie na myśl przedstawicieli starych szlacheckich rodów z ojczystej Georgii. Usta admirała wygięły się w ledwie zauważalnym, pobłażliwym uśmiechu – widocznie Tallman musiał natychmiast rozpoznać ukryte znaczenie szeregów błyszczących baretek na jej mundurze i w ten zawoalowany sposób dawał jej znać, że przyjmuje do wiadomości tę akcentowaną przez nią drobną przewagę.

–Kapitanie Garrett, przedstawiam szefa mojego sztabu, komandora Nolana Walkera.

Ten z kolei był człowiekiem dziwnie bezbarwnym, wodniste szare oczy i blada cera stapały się z jasnosłomkowym odcieniem jego włosów. Kiedy Amanda podała mu dłoń na powitanie, odniosła wrażenie, że między ich palcami strzeliły iskry różnoimiennych ładunków elektrycznych. Nie potrafiła jednak ocenić, czy powodem łatwo wyczuwalnej rezerwy Walkera jest to, że ma przed sobą kobietę, czy może to, że ona dowodzi własnym okrętem, a on nie. Ostatecznie wskutek licznych redukcji w marynarce młodzi samodzielni dowódcy jednostek należeli do rzadkości, bardzo wielu natomiast było oficerów, którzy czuli się niedowartościowani i z żalem zaczęli myśleć o swoich zaprzepaszczonych karierach.

–Bardzo miło mi pana poznać, komandorze Walker – powiedziała uprzejmie.

Tallman wskazał jej krzesło, sam zajął miejsce na sofie. Walker wolał stać oparty biodrem o krawędź biurka.

–Cieszę się, że wreszcie mam okazję poznać panią osobiście, kapitanie – zaczął dowódca floty. – Wiele słyszałem o pani i całej załodze „Księcia”.

–Mam nadzieję, że były to same superlatywy, panie admirale.

–Przede wszystkim mówię o informacjach pochodzących z mojej sekcji wywiadowczej. Podobno „Cunningham” wykonał kawałek dobrej roboty. Ustawiona przez was sieć boi nasłuchowych sprawuje się doskonale.

Amanda przytaknęła ruchem głowy.

–Owszem, dopisało nam trochę szczęścia. A dane zbierane z tej sieci, w połączeniu z wynikami pracy naszych pokładowych urzędzeń elektronicznych, dostarczają wiele interesującego materiału. Wyrazy uznania należą się głównie porucznik Rendino i jej podwładnym z sekcji wywiadowczej „Księcia”. Tylko dzięki nim to wszystko było możliwe.

Tallman wzruszył ramionami.

–Tak czy inaczej, mówimy o pani załodze, kapitanie. Niepokoi mnie jednak to, że działacie aż tak blisko chińskiego wybrzeża. Ostatniej nocy można by nawet odnieść wrażenie, że wylądowaliście na plaży.

Amanda pokiwała głową.

–Zmusiły nas do tego okoliczności. Nie sposób całkowicie zlikwidować radarowego echa okrętu wielkości „Cunninghama”, tak duży obiekt zawsze będzie dawał choćby szczątkowe odczyty. Trzymanie się otwartych wód zwiększa jeszcze ryzyko, że ktoś zwróci na to uwagę. Natomiast tuż przy linii brzegowej to osłabione echo ma duże szansę zaginąć wśród sygnałów odbitych od skał.

–Dotyczy to także dużych, lądowych stacji radarowych? – spytał szybko Walker.

Amanda rozłożyła ręce.

–W każdej sytuacji groźniejsze są radary obiektów ruchomych. Zresztą pozostaje jeszcze nadzieja, że Chińczycy wezmą nas za kuter rybacki.

Tallman zmarszczył brwi i odchrząknął.

–Chciałbym wiedzieć, ile razy jeszcze będziecie musieli wkraczać na chińskie wody

terytorialne.

Amanda, która dopiero teraz zrozumiała właściwy powód niepokoju admirała, poruszyła się nerwowo na krześle.

–Trudno powiedzieć. Na razie się spisuje bez zarzutu. Nie wymaga też żadnej obsługi poza wymianą zniszczonych bądź popsutych boi. Z drugiej strony nie da się wykluczyć konieczności jakiejś reakcji na... nieprzewidziane zdarzenia. Tak więc wszystko zależy od rozwoju sytuacji.

–Otrzymaliśmy właśnie pani raport, kapitanie, dotyczący okoliczności, jakie towarzyszyły umieszczeniu ostatniej boi – wtrącił Walker. – I mówiąc szczerze, piekielnie nas zaniepokoiły pewne aspekty tego incydentu. Naprawdę mało brakowało, abyście przypadkiem znaleźli się w samym sercu stoczony tam bitwy morskiej.

–To prawda, ale zdołaliśmy się bezpiecznie wycofać ze strefy walk. To zresztą, jak dotąd, jedyny groźny wypadek, z jakim się zetknęliśmy podczas wykonywania misji.

–Jak dotąd, kapitanie. A co się może zdarzyć następnym razem?

–Chińczycy nawet nie wykryli naszej obecności, komandorze.

–Niemniej jesteśmy zaniepokojeni, kapitanie – odezwał się Tallman. – Działamy na granicy terytorium ogarniętego potencjalnie bardzo groźną wojną. Naprawdę niewiele trzeba, abyśmy zostali w nią wciągnięci.

–Jestem tego w pełni świadoma, panie admirale – odparła Amanda. Niczym samotna klacz zamknięta ze stadem ogierów zaczynała węszyć wokół siebie niebezpieczeństwo. Dlatego też postanowiła się szybko zabezpieczyć. – I jestem przekonana, że mój dowódca, admirał MacIntyre, również doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Zauważyła, że Tallman i Walker wymienili szybkie spojrzenia. Natychmiast przyszło jej do głowy, że postanowili się z nią zabawić w dobrych i złych policjantów. Można więc było oczekiwać, że naszykowali jakąś pułapkę, toteż powinna już teraz zacząć jej wypatrywać.

–Problem polega na tym, że „Cunningham” nie jest jedynym amerykańskim okrętem działającym w tym rejonie – rzekł ostro Walker – a nie wierzę, by Chińczyków specjalnie interesowało, kto komu podlega w naszej flocie. Nie można więc wykluczyć, że jeśli uruchomi pani ich system alarmowy, w odwecie ucierpi któraś z naszych jednostek.

–Ma pan rację, komandorze – odparła ostrożnie Garrett. – Cóż zatem pan proponuje

w celu uniknięcia wspomnianego niebezpieczeństwa?

Dobrzy gliniarze mogli się na razie czuć usatysfakcjonowani.

–Nasza propozycja jest bardzo ogólnikowa, kapitanie – rzekł Tallman, przejmując nagle pałeczkę. – Doskonale rozumiemy, że Operacja „Uriasz” jest wyłącznym dzieckiem NAVSPEC-u, ale ponieważ działamy wspólnie na tym samym terytorium i w tych samych warunkach, chcielibyśmy ustalić warunki ścisłej współpracy. Nasze komórki wywiadowcze pozostają ze sobą w stałym kontakcie, co przynosi znakomite efekty. Powinniśmy uczynić to samo na szczeblu operacyjnym. Krótko mówiąc, chodzi wyłącznie o to, żeby wiedziała prawica, co robi lewica.

Wreszcie wyłożyli kawę na ławę, pomyślała Amanda. Zostało to powiedziane bardzo oględnie, ale w gruncie rzeczy admirał dawał do zrozumienia, że znajdują się w jego piaskownicy i jeśli ona miała zamiar dłużej tu pozostać, powinna się dostosować do jego reguł zabawy.

Uśmiechnęła się wyrozumiale.

–To w pełni uzasadniona propozycja, panie admirale. Obawiam się jednak, że nie w mojej gestii leży wyjawianie szczegółów wykonywanej przez nas misji wywiadowczej. Moim zdaniem powinien pan to zaproponować naczelnemu dowództwu NAVSPEC-u i z nim ustalić owe warunki współdziałania.

Tę odpowiedź należało rozumieć następująco: Odpieprz się! Nie jesteś moim przełożonym i nie mam zamiaru wykonywać twoich poleceń.

Wyraźnie rozzłoszczony Walker wyprostował się na swoim stanowisku przy biurku, lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Tallman ostrzegł go ledwie zauważalnym ruchem głowy.

–Ma pani rację, kapitanie Garrett – odrzekł cicho. – To istotnie najważniejszy sposób załatwienia tej sprawy. Weźmiemy go pod rozwagę. – Wstał i wyciągnął rękę. – Wydaje mi się, że chciałaby pani jak najszybciej wrócić na swój okręt. Było mi bardzo przyjemnie panią poznać.

Amanda również wstała i uścisnęła mu dłoń.

–Cała przyjemność po mojej stronie, panie admirale. Bardzo wysoko cenię możliwość bliższego poznania ludzi, z którymi wykonuję wspólne zadania.

–Cieszę się, że pani to rozumie, kapitanie.

Po wyjściu Amandy Tallman i szef sztabu floty przystąpili do wypracowanego przed laty rytuału. Walker napełnił dwa kubki czarną jak smoła kawą i postawił je na skraju

biurka, podczas gdy admirał wrócił na swoje miejsce i z najniższej szuflady wyciągnął już piątą butelkę z większej partii przemyconego na pokład burbona z Kentucky, po czym starannie odmierzył do obu kubków po sporej porcji alkoholu. Zakręcił butelkę, schował ją na miejsce i spojrzał w twarz komandora.

–I co o tym sądzisz?

–Moim zdaniem ta zarozumiała karierowiczka jeszcze nam przysporzy mnóstwa kłopotów.

Tallman zaśmiał się krótko.

–Przestań zalewać, Nolan. Powiedz, co naprawdę o niej myślisz.

–Mówiłem poważnie, admirale. Garrett to nie przestrelane działo, na domiar złego wymierzone w bardzo ważny obiekt. Uważam, że w panującej sytuacji jest ona tu całkowicie niepożądana.

–Powiedzmy, że zgadzam się z pierwszym twoim zdaniem. Nie sądzę jednak, by z naszego punktu widzenia stanowiła jakiegokolwiek zagrożenie. – Admirał ostrożnie, jakby na próbę pociągnął niewielki łyk kawy. – Nie zapominaj, że Garrett dowodzi niszczycielem, a dowódcy niszczycieli w znacznym stopniu przypominają pilotów myśliwców. Nie byłoby zbyt wiele warci, gdyby nie odznaczali się wrodzoną zadziornością.

–Ona jednak lekkomyślnie podejmuje wielkie ryzyko.

–To wchodzi w zakres jej obowiązków, o ile tylko jest to ryzyko dobrze skalkulowane. Powiedzmy sobie szczerze, że nawet jeśli nie jest nam w smak jej obecność na naszym podwórku, to przecież dzięki niej zbieramy tak wyśmienity materiał wywiadowczy, jakiego nie ma nikt inny zainteresowany tą częścią świata. – Tallman usadowił się wygodnie na krześle. – Eddie MacIntyre wyraża się o niej tak, jakbyśmy mieli do czynienia z największym wynalazkiem ludzkości od czasu skonstruowania śruby napędowej, a na nim naprawdę nie jest łatwo zrobić ogromne wrażenie. Więc może będzie lepiej, jeśli zostawimy tę sprawę w jego rękach.

–Nie mamy jednak żadnego wpływu na poczynania tej kobiety, admirale!

–Tego również nie zaliczam do rzeczy, które by mi spędzały sen z powiek. Jeśli Garrett coś spieprzy, umyjemy ręce, bo przecież działa w ramach tajnej operacji NAVSPEC-u. W tym świetle może nam być tylko pomocny brak jakichkolwiek powiązań na szczeblu operacyjnym. Jeśli zaś wszystko ułoży się pomyślnie, to i na nas spłynie część chwały, bo w końcu „Cunningham” został czasowo przydzielony do naszej floty.

Walker zmarszczył brwi i w zamyśleniu sięgnął po swój kubek z kawą.

–I tak mi się to nie podoba, admirale.

–Więc ujmijmy to jeszcze inaczej, chłopcze. Właśnie daliśmy tej damulce odpowiednio długi kawałek liny i przestańmy się zamartwiać, czy ona się na niej powiesi, czy też wróci ze związanym nią jeńcem.

Rozdział 16

Park Rizal, Manila

9 sierpnia 2006, godz. 20.22 czasu lokalnego

Nadmorski park był rzeczywiście najlepszym miejscem w Manili na wieczorny spacer. Wielu mieszkańców szukało tu wytchnienia od parnego żaru, a śmiechy i krzyki dzieci oraz dźwięki muzyki płynącej z niezliczonych przenośnych radioodbiorników i magnetofonów skutecznie tłumiły odgłosy zatłoczonych ulic. W dodatku słonawa bryza znad oceanu i feeria zapachów kwitnących kwiatów pozwalały odpocząć od niezbyt przyjemnych woni wypełniających rojną, tropikalną metropolię.

Harrison Van Lynden, z marynarką przerzuconą przez ramię i poluzowanym o kilka centymetrów krawatem, siedł bez pośpiechu wysypaną żwirem alejką. Już od pierwszego dnia konferencji ochoczo korzystał z tego, że reprezentacyjny hotel stoi w bezpośrednim sąsiedztwie parku, i po obiedzie wyruszał na samotne spacer, z olbrzymią przyjemnością odbierając tę miłą odmianę w wypełnionym obowiązками życia sekretarza stanu. Dzięki tym przechadzkom nie tylko mógł rozładować napięcie psychiczne, lecz również podsumować w myślach wydarzenia minionego dnia i opracować dalszą strategię postępowania.

Pogrążony w zadumie nie zwrócił uwagi na mężczyznę, który energicznym krokiem ruszył przez trawnik w jego kierunku.

–Bardzo miły wieczór, prawda, panie sekretarzu? – zagadnął tamten obco brzmiącym głosem.

Van Lynden uniósł wzrok i napotkał twarz człowieka, któremu od pewnego czasu przyglądał się codziennie.

–Owszem, bardzo przyjemny, generale. I tak trochę tu za ciepło dla człowieka wychowanego na wschodnim wybrzeżu Ameryki, ale zdążyłem już przywyknąć do upału.

Generał Ho Czunwa był wyjątkowo w cywilnym ubraniu, miał na sobie czarne spodnie i białą koszulę z krótkimi rękawami. Tylko sprężysty krok i typowo wojskowe maniere przypominały o zajmowanym przez niego wysokim stanowisku w Ludowej Armii Wyzwoleńczej. Nie pozwalało o tym zapomnieć również paru Chińczyków o kamiennych twarzach i czujnych, rozbieganych spojrzeniach, którzy kręcili się w stosownej odległości.

Ale do tego Van Lynden także zdążył się już przyzwyczaić. Jego własna obstawa

zachowywała się podobnie i utrzymywała kordon bezpieczeństwa na dystansie zapewniającym przynajmniej namiastkę odosobnienia. W tej sytuacji agenci z obu krajów musieli wejść sobie w paradę, chociaż z pozoru nawet się nawzajem nie dostrzegali.

–Od dwóch dni obserwuję, jak wyrusza pan samotnie na te wieczorne spacerunki – ciągnął generał Ho. – Ja również lubię pooddychać świeżym powietrzem o tej porze dnia. Pomyślałem więc, że chyba nie będzie pan miał nic przeciwko temu, abyśmy przeszli się razem.

Van Lynden wyczuł w głosie Chińczyka pewien, chyba celowo niezbyt dobrze ukryty nacisk, toteż postanowił przyjąć zasady gry.

–Ależ skąd, będzie mi bardzo miło.

–Cieszę się. Proponuję, byśmy poszli w tamtym kierunku. Odkryłem interesujący punkt widokowy, który powinien się panu spodobać.

Wybrany przez generała punkt znajdował się w zachodnim końcu parku, na skraju rozległego trawiastego pola, skąd faktycznie roztaczał się ładny widok na leżącą w dole Zatokę Manilską. W dodatku stała tu imponująca fontanna, a jej szerokie obmurowanie zapewniało miejsce do siedzenia. Obaj mężczyźni rozsiedli się na spękany betonowy murku.

–Tutaj – rzekł z wyraźną satysfakcją Ho – możemy swobodnie porozmawiać.

–Wydawało mi się, że stary numer z szumem płynącej wody już się przeżył – mruknął Van Lynden, oglądając się przez ramię na bijący w górę strumień fontanny. – Programy komputerowe umożliwiają tak precyzyjne dobranie filtrów częstotliwości, że ludzki głos można wyodrębnić niemal z każdego rodzaju nagrania.

–Tajemnica polega na tym, żeby szum wody oddzielał mówiącego od ewentualnych mikrofonów kierunkowych. Te warunki, czyli głośny szum fontanny za plecami i rozległa otwarta przestrzeń z przodu, zapewniają nam stosunkowo duży stopień bezpieczeństwa.

–Będę musiał to zapamiętać. O czym chciał pan ze mną rozmawiać, generale?

–Zależy mi na pańskiej opinii, panie sekretarzu. Przy czym nie chcę znać oficjalnego, dyplomatycznego stanowiska, lecz pańskie prywatne odczucia.

–Na jaki temat?

–Przebiegu negocjacji. Szczególnie zależy mi na wiadomości, czy można oczekiwać choć odrobiny elastyczności stanowiska wspólnej delegacji nacjonalistów i Frontu

Demokratycznego. Ciekaw jestem, czy znane są panu jakiegokolwiek aspekty, które nie zostały jeszcze ujawnione w trakcie oficjalnych rozmów.

–Chyba nie spodziewa się pan, generale, że ujawnię treść moich prywatnych rozmów z przedstawicielami innych delegacji?

–Oczywiście, że nie, panie sekretarzu. Chciałbym jedynie wiedzieć, czy możemy na coś liczyć.

–No cóż, jeśli mam być całkiem szczery, to zgodnie ze starym powiedzeniem karty zostały już wyłożone na stół. Trzy strony zaangażowane w konflikt, a więc pańska, nacjonaści i Zjednoczony Front Demokratyczny, wydają się czynić podobne... *mise en demeure*. Wszyscy hołdujecie maksymie: zwycięstwo albo śmierć.

–To prawda.

–Co więcej, demokraci świetnie zdają sobie sprawę, że to oni rozdają karty i nadal będą musieli to robić. Brutalnie mówiąc, doskonale wiedzą, że nie mogą oczekiwać nawet cienia sympatii ze strony władz z Pekinu w wypadku porażki. Nacjonaści z Tajwanu są w zdecydowanie korzystniejszym położeniu. Niemniej zakładają, iż dla nich to najlepsza okazja do odzyskania wpływów na kontynencie. Natomiast wy z pewnością nawet na chwilę nie zapomieciecie, jak wiele macie do stracenia.

–Zatem nie dostrzega pan żadnych szans na osiągnięcie rozejmu?

–Zawsze istnieją pewne szanse, generale. Tyle że na razie żadna ze stron nie chce dać drugiej nawet najmniejszego pola manewru. – Van Lynden uzmysłowił sobie nagle, że zyskuje niezwykłą okazję do wykonania własnego manewru, toteż dodał: – Zastanawiam się poważnie nad tym, czy nie zrezygnować z udziału w konferencji i nie przekazać kierownictwa delegacji amerykańskiej tutejszemu ambasadorowi. Czekam na sporo pilnych zajęć w Waszyngtonie, dlatego też szkoda mi czasu na tego rodzaju jałowe dyskusje.

Nie było w tym ani krzty prawdy. Van Lynden zorganizował ową konferencję, gdyż dyplomatyczny instynkt podpowiadał mu, że chińska wojna domowa może się przerodzić w najpoważniejszy konflikt na świecie. Wykluczało to jego rezygnację z uczestnictwa w rozmowach, dopóki istniała choćby nikła szansa na zakończenie ich sukcesem. Pytanie generała wzbudziło jednak jego ciekawość, dlatego też zaryzykował takie stwierdzenie, chcąc poznać reakcję Ho.

I ta nastąpiła błyskawicznie.

–Niemożliwe! – Chińczyk pochylił się, oparł łokciami o kolana i popatrzył na niego spod przymrużonych powiek. – Bezwzględnie musi pan zostać, panie sekretarzu.

–Dlaczego? – zapytał cicho Van Lynden.

–Ponieważ... Pewnych faktów nie wolno mi jeszcze teraz wyjawić. Mogę jedynie powiedzieć, że w ciągu najbliższych dni przebieg naszych rozmów powinien ulec radykalnej zmianie. Kiedy tak się stanie, pańska obecność będzie absolutnie konieczna. Nawet tych kilka godzin, jakie zająłby panu powrót z Waszyngtonu, mogłoby mieć decydujące znaczenie.

–Czy pan nie przesadza, generale? Czemu moja obecność miałaby być aż tak ważna.

–Otóż zapewne już wkrótce będę musiał zabrać głos na konferencji, panie sekretarzu. A kiedy się rozpęta burza, przy stole obrad powinien siedzieć ktoś, kto potrafi zachować dystans do spraw dzielących moich rodaków, a zarazem ma pewien wpływ na postawę wspólnej delegacji nacjonalistów i demokratów. Powinien być ktoś, kto zmusi ich do wysłuchania moich słów!

–A co z losem Chińskiej Republiki Ludowej?

–Jej przyszłość spoczywa teraz w rękach innych, panie sekretarzu. I to oni muszą wysłuchać naszych racji, bo my nie zamierzamy uginać się pod żadną presją!

Tymczasem w parku Rizal znajdowała się jeszcze trzecia grupa agentów. O jej obecności nie wiedział ani amerykański sekretarz stanu, ani pekiński generał, mimo że służby bezpieczeństwa obu krajów liczyły się z taką możliwością.

Byli to wywiadowcy zwerbowani spośród chińskiej społeczności Filipin na długo przed rozpoczęciem konferencji. Ich podstawowym zadaniem stało się śledzenie wszelkich poczynąń uczestników rozmów, toteż nie uszło ich uwagi także prywatne spotkanie Ho z Van Lyndenem.

Agenci trzymali się w sporej odległości od kordonów obstawy obu dyplomatów i pozbawieni specjalistycznego sprzętu nie byli w stanie złowić ani jednego słowa z wymiany zdań pod fontanną. Niemniej natychmiast powiadomiono łącznika, że doszło do tak niezwykłego spotkania. Ze względów bezpieczeństwa stosowny raport mógł dotrzeć do wspólnej delegacji tajwańskich nacjonalistów i przedstawicieli Zjednoczonego Frontu Demokratycznego dopiero kilka godzin później.

Kiedy zaś do tego doszło, uczestnicy rozmów bardzo się ucieszyli.

Rozdział 17

54 mile na wschód od Siengszan

10 sierpnia 2006, godz. 12.01 czasu lokalnego

Dla każdej baletnicy muzyka Borodina jest szczególnie piękna, mimo że stawia przed nią bardzo duże wymagania. Kiedy rozbrzmiewały ostatnie akordy „Tańców połowieckich”, Amanda zakończyła opracowany przez siebie układ choreograficzny przyklęnięciem na jedno kolano i odrzuceniem głowy do tyłu w symbolicznym geście poświęcenia i oddania.

Nie została nagrodzona owacjami. Świadcami jej tańca mogło być tylko paru marynarzy z załogi, którzy w drugim końcu sali wyciskali z siebie pot na sprzęcie do ćwiczeń siłowych.

Jeszcze do niedawna wstydziła się tańczyć w miejscu, gdzie ktoś mógł ją zobaczyć. I to wcale nie dlatego, że szło jej nie najlepiej, bo w głębi ducha uważała siebie za całkiem niezłą baletnicę jak na amatorkę.

Wychodziła jednak z założenia, że zainteresowanie klasycznym baletem nie pasuje do kapitana okrętu, który poważnie traktuje swoją karierę w marynarce wojennej. Ale po zakończeniu misji w Cieśninie Drake’a zmieniło się jej podejście do własnej pasji. Wytłumaczyła sobie, że osobista pochwała prezydenta i odznaczenie Krzyżem Komandorskim są wystarczającym potwierdzeniem jej zawodowych umiejętności, toteż bez wstydu zaczęła odwiedzać salę gimnastyczną i ćwiczyć nowe elementy tańca.

Wyłączyła przenośny odtwarzacz kompaktowy i ciężko oparła się plecami o chłodną grodzień.

–Brakowało mi ciebie w finale – mruknęła do leżącej na macie, ubranej w pstrokaty jednoczęściowy kostium gimnastyczny Christine Rendino.

–A to dlatego, że znów się poddałam w tym miejscu, gdzie według twojego układu powinnam sobie zawiązać lewą nogę w węzeł gordyjski – warknęła tamta ze złością. – To nie dla mnie. Jestem od ciebie o siedem lat młodsza, ale brak mi twoich umiejętności człowieka-gumy i układu krwionośnego przypominającego gąszcz kanałów w dolinie Clydesdale.

–Bo moje życie nie ogranicza się do ekranów komputerowych i skrzyń z batonikami milky way – odparła złośliwie Amanda.

–No jasne! Na drugi raz, jak będę chciała wysłuchać paru złośliwych uwag, zgłoszę

się na lekcję baletu do McKelsie'ego – jęknęła specjalistka wywiadu, obracając się na wznak. – Przesiaduję w Kruczym gnieździe po dwadzieścia pięć godzin dziennie, próbując odgadnąć nastroje i zapatrywania miliarda Chińczyków, a ty jeszcze masz do mnie o to pretensje. Nikt mnie nie szanuje. Chyba powinnam od razu pójść i się zakopać.

–Mogę pożyczyć łopatę. – Amanda wstała i zaczęła sobie masować obolałe mięśnie nóg. – Nie bój się, wszyscy doceniamy twoje starania, Chris. Według admirała Tallmana dowództwo wywiadu floty jest bardzo zadowolone z dotychczasowych rezultatów Operacji „Uriasz”. Ja także jestem z nich zadowolona, więc spokojnie możesz sobie przyznać tytuł Dziewczyny na Medal.

–Wolałabym raczej co innego.

–A mianowicie?

Chris ponownie obróciła się na brzuch i oparła brodę na splecionych dłoniach.

–Kup mi cały Szanghaj na urodziny, mamusku.

Coś w jej głosie podpowiedziało Amandzie, że wcale nie jest to zawoalowany, aluzyjny dowcip. Spojrzała na przyjaciółkę z ukosa.

–Jak mam to rozumieć?

–Chciałabym z bliska obejrzeć to miasto, a nawet nie tylko obejrzeć, lecz przypatrzeć mu się dokładnie.

–Odkryłaś coś podejrzanego?

–Nie chodzi o to, co odkryłam, a czego nie – mruknęła Christine i w zamyśleniu przygryzła wargi. Po chwili dodała: – Już od kilku tygodni coś dziwnego dzieje się w rejonie Szanghaju. Czy możesz mi poświęcić parę minut na osobności?

–Jasne.

Amanda sięgnęła po swój ręcznik i zarzuciła go na ramiona. Wyszła z sali gimnastycznej, oddaliła się kilkanaście metrów korytarzem i stanęła przy bocznym przejściu wiodącym do szybu technicznego drugiego dziobowego silosu raketowego.

–Słucham. O co chodzi?

Christine rozejrzała się pospiesznie po korytarzu, jakby naszła ją obawa, że są śledzone.

–Pewnie przypominasz sobie, kapitanie, jak w starych filmach podróżniczych mawiają niepokonani bohaterowie – zaczęła pełnym napięcia szeptem. – Dokoła jest jakoś podejrzenie cicho. No więc i ja dochodzę do wniosku, że w rejonie Szanghaju trwa zagadkowy spokój.

–Możesz wyrażać się jaśniej?

–To największy port morski, pasażerski i przeładunkowy, jaki pozostał komunistom na wschodzie kraju – odparła śmieiej, oparłszy się ramieniem o grodz. – Mają tam wszystko, doki, warsztaty remontowe, magazyny wojskowe. Urządzenia portowe są w dobrym stanie, bo wojna domowa w ogóle tam nie dotarła, i do tej pory były intensywnie wykorzystywane. Obecnie jednak zarówno przemieszczanie oddziałów lądowych, jak i transportów morskich, prowadzone jest z pominięciem Szanghaju. Ponadto Chińczycy mają tam największą bazę lotniczą na południe od Szenjang, ale od czasu naszego przybycia w ten rejon Pacyfiku nie wystartował z niej ani jeden samolot. Poza tym tak wielka metropolia powinna być wykorzystywana jako naturalne centrum dowodzenia w kampanii przeciwko inwazyjnym wojskom tajwańskim, tymczasem według naszych namiarów natężenie łączności radiowej w okolicach Szanghaju utrzymuje się na niewspółmiernie niskim poziomie. Krótko mówiąc, nie dzieje się tam prawie nic z tego, czego należałoby oczekiwać. Ze strategicznego punktu widzenia mamy wręcz do czynienia z pustynią.

–Może specjalnie zarządzili ciszę w całym rejonie, żeby nie prowokować nacjonalistów do zmasowanych ataków?

–Nie wierzę, szefowo. Szanghaj to również jeden z najważniejszych punktów komunistycznej obrony. Lotnictwo tajwańskie zapewne w ogóle nie bierze pod uwagę możliwości naruszenia przestrzeni powietrznej nad miastem.

Amanda oparła się łokciem o poręcz biegnącą wzdłuż grodzi i zamyśliła na krótko.

–Więc co, twoim zdaniem, tam się dzieje? – spytała zaintrygowana.

–Sądzę, że władze komunistyczne popadły w przesadę. Coś szykują w Szanghaju i starają się za wszelką cenę nie przyciągnąć niczyjej uwagi.

–A jak myślisz, co mogą tam szykować?

–Nie mam zielonego pojęcia. W każdym razie musi to być coś cholernie groźnego, skoro zdecydowali się niemalże odciąć od świata całe olbrzymie miasto. I właśnie dlatego chciałabym się bliżej przyjrzeć temu rejonowi.

–Co to znaczy, że chciałabyś się bliżej przyjrzeć?

–Dobrze byłoby znaleźć się na kilka godzin gdzieś na skraju zapór minowych w

delcie Jangcy, na tyle długo, aby zgromadzić wystarczający materiał do analizy wywiadowczych danych elektronicznych łączności taktycznej w tamtym rejonie. Chciałabym ponadto sprawdzić, czy nie da się umieścić sondy podsłuchowej gdzieś nad główną magistralą telefoniczną. No a gdybyśmy już tam byli, można by przy okazji spróbować zrobić nieco dokładniejsze mapy rozmieszczenia sieci zaporowych i min w delcie rzeki.

–Obawiam się, Chris, że dowództwo Ludowej Armii Wyzwoleńczej uznałoby naszą obecność przed pierwszymi liniami obrony co najmniej za prowokującą.

–Niewykluczone. – Rendino pokiwała głową. – Lecz takie niebezpieczeństwo pojawiłoby się dopiero wtedy, gdyby odkryli naszą obecność. Rozmawiałam już z sekcją meteorologiczną floty. Od południa wzdłuż wybrzeża nadciąga niewielki front burzowy, który dotrze do Szanghaju mniej więcej za dobę. To powinno nam ułatwić zadanie. W dodatku jutro wieczorem nastąpi okresowa luka w pokryciu tego rejonu przez kamery naszych satelitów szpiegowskich. Czerwoni muszą o tym wiedzieć i jeśli faktycznie szykują coś w tajemnicy, będą chcieli wykorzystać tę sposobność i podczas gdy Szanghaj znajdzie się na parę godzin poza zasięgiem satelitów, odwalić jakąś część swojej brudnej roboty. Gdybyśmy właśnie w tym czasie zdołali przytknąć oko do dziurki od klucza...

–Tak, rozumiem, do czego zmierzasz. Czy uzgadniałaś już swoje plany z dowództwem sekcji wywiadowczej floty?

–Wysłałam wstępny raport, w którym szczegółowo opisałam moje podejrzenia. Dowódca sekcji przyznał oględnie, że faktycznie zachowanie Chińczyków należy uznać za nietypowe, ale do jakiegokolwiek oceny sytuacji niezbędne są dokładniejsze dane. Uznałam, że na swój sposób dają nam wolną rękę. Chciałabym to wykorzystać i postarać się o owe dane.

Amanda przygryzła wargi i zatopiła się w myślach. Nie miała żadnych wątpliwości, że skoro Chris zwraca się do niej z tą sprawą, ma z pewnością głęboko uzasadnione podejrzenia. Należało się jednak zastanowić, czy owe podejrzenia są na tyle ważne, aby w celu ich sprawdzenia ryzykować los okrętu i jego załogi, a w dodatku stwarzać ryzyko zaognienia kryzysowej sytuacji.

Tenże dylemat można było rozwiązać w najprostszy sposób – opisać w raporcie niepokojące dane i wraz z propozycją misji wywiadowczej przesłać go do dowództwa NAVSPEC-u, żeby tam podjęto decyzję. Ale w tym wypadku istniało niebezpieczeństwo, że nawet mimo usilnych próśb Amandy żaden z młodych specjalistów wywiadu nie zechce wziąć na siebie odpowiedzialności.

Zatem lepiej było podjąć decyzję we własnym zakresie. Ostatecznie dostała od dowództwa sporą niezależność w podejmowaniu akcji według swego uznania.

Nietrudno było przecież wtłoczyć proponowane przez Rendino zadanie w ramy wykonywanej misji. I gdyby wówczas coś poszło nie tak, nikt nie musiałby się poczuwać do winy, tylko na niej spoczywałaby całkowita odpowiedzialność za porażkę.

Do diabła z wahaniem, pomyślała. Skoro do tej pory „Cunningham” ani razu nie został wykryty na wodach terytorialnych, to można zaryzykować jeszcze raz.

–Dobra, Chris. Popłyniemy tam. Zrób mi szczegółowy wykaz niezbędnego sprzętu, jak również dokładny plan misji wraz z oczekiwanymi rezultatami. Jeszcze dziś wieczorem prześlemy papiery do dowództwa grupy operacyjnej.

–Bomba! – Rendino z zapalem uniosła w górę zaciśnięte pięści.

Amanda uśmiechnęła się, spojrzała na odtwarzacz kompaktowy i dodała:

–Ale nie ma nic za darmo, Chris. W zamian wrócisz ze mną na salę gimnastyczną i poświęcisz jeszcze pół godziny na swoją supernowoczesną improwizację klasycznego baletu.

–Tylko nie to! – jęknęła Rendino, przygarbiła się i spuściła głowę na piersi. – A nie mówiłam, że nikt mnie tu nie szanuje?

Rozdział 18

Hotel „Manila „, Filipiny

10 sierpnia 2006, godz. 19.19 czasu lokalnego

Profesor Dżin Ji ostrożnie zdjął z tacy delikatną porcelanową filiżankę z zieloną herbatą. Jak zwykle w takich chwilach poczuł dotkliwy ból w dłoni, którą kiedyś jeden z maoistowskich oprawców zmiażdżył mu żelaznym prętem. Ale zaraz też pomyślał z wdzięcznością, że mimo bólu powinien jednak dziękować losowi za to, iż wciąż może władać tą ręką.

Skinieniem głowy podziękował służącemu, obrócił się do sekretarza Duana z tajwańskiego ministerstwa spraw zagranicznych i upił niewielki łyk gorącego napoju.

–Wszystko idzie po naszej myśli – odezwał się tamten po chwili. – Raporty z całej linii frontu donoszą o kolejnych sukcesach. Nasze wojska wciąż utrzymują przyczółek na wybrzeżu, a wasze bez przeszkód kontynuują marsz na północ.

–Można rzec, iż odcinamy następny kawałek smoczego ogona – odparł Dżin i odstawił filiżankę na stolik do kawy.

Siedzieli w saloniku zajmowanego przez wspólną delegację hotelowego apartamentu, który pieczołowicie przekształcono w całkowicie bezpieczną kwaterę przedstawicieli rebeliantów. Wszystkie pomieszczenia systematycznie sprawdzano na obecność urządzeń podsłuchowych, a w każdym kącie saloniku dzień i noc pracowały generatory białego szumu. Grubych zasłon w ogóle nie rozsuwano, a przyklejone do szyb okiennych elektroniczne wibratory wykluczały także możliwość rejestrowania prowadzonych tu rozmów za pomocą urządzeń laserowych bądź radarowych.

–To adekwatne określenie – przyznał Duan. – Ale otrzymaliśmy także niepokojące wieści od naszych ludzi w Pekinie. Komuniści szykują to, czego się najbardziej obawialiśmy. Już zarządzili przeprowadzenie operacji specjalnej.

–Rozumiem – mruknął Dżin, sięgając znów po filiżankę. – Przestraszyli się, że nie mają przed sobą żadnej przyszłości.

–Mówiąc szczerze, profesorze, ja również się tego boję.

–Wiedzieliśmy, że wcześniej czy później przyjdzie nam się zmierzyć z taką ewentualnością. Komuniści tylko realizują swój plan. Ale i my mamy swój. Być może uda nam się zablokować ich poczynania.

–Boję się, że taka możliwość istnieje tylko w teorii. – Tajwański dyplomata skrzywił się boleśnie i odstawił parującą herbatę. – Muszę przyznać, że nadal mam sporo obaw co do powodzenia tego planu. Zdecydowanie bardziej wolałbym wystosować jawne ostrzeżenie do Stanów Zjednoczonych i innych państw znaną Pacyfiku.

–Nie możemy tego zrobić. Podobne ostrzeżenie wzbudziłoby jedynie skrajną nieufność wobec nas. Musimy liczyć na to, że zainteresowane strony na własną rękę odkryją prawdę. W każdym innym wypadku przekroczylibyśmy granicę dopuszczalnego ryzyka.

–A co będzie, jeśli przeoczą trwające już przygotowania? Pozostanie nam bardzo mało czasu, gdy komuniści zainicjują operację.

–Jestem przekonany, że technologia wojskowa Amerykanów pozwoli im w porę dostrzec zagrożenie. A co się tyczy czasu, on również powinien działać na naszą korzyść. W końcu chcemy, żeby Amerykanie przystąpili do działania, a nie tylko się dalej biernie przyglądali.

–To wszystko jest jednak oparte na kruchych podstawach i niepewnych założeniach – mruknął Duan, nerwowo poprawiając się na krześle. – Toczmy bardzo niebezpieczną grę, groźną zarówno dla pańskich ludzi, jak i dla mojego narodu.

–Niebezpieczną dla całych Chin – odparł cicho były wykładowca z Kantonu. Powoli odstawił filiżankę i wbił spojrzenie w szklany blat stolika. Z wolna jego wargi rozchyliły się w zagadkowym uśmiechu. Splótł palce i dodał: – No cóż, nikt przecież nie twierdzi, że ścieżka wiodąca do wolności musi być całkowicie bezpieczna.

Rozdział 19

75 mil na północny wschód od Szanghaju

11 sierpnia 2006, godz. 18.54 czasu lokalnego

–Kto tam?

–Porucznik Arkady, pani kapitan.

–Wejść, proszę.

Vince otworzył drzwi i rozejrzył się po kajucie, ale w części służbowej nikogo nie było. Tylko zza zasłonki oddzielającej sypialnię dolatywały jakieś stłumione hałasy.

–Zaraz wyjdę – zawołała stamtąd Amanda. – Usiądź.

Ściągnął z siebie uprząż pilota i razem z hełmem położył na podłodze. Samotne krzesło stojące pośrodku odsunął najdalej jak tylko pozwalała wąska przestrzeń kajuty, rozsiadł się na nim wygodnie i oparł jedną stopę o krawędź biurka. Od czasu zjawienia się na pokładzie „Księcia” spędzał wiele godzin w takiej właśnie, ulubionej pozycji. Jak miał to już w zwyczaju, omiótł uważnym spojrzeniem kapitańską kajutę, poszukując wszelkich nowych elementów związanych ze sprawowaniem przez Amandę zaszczytnej funkcji.

Na grodzi za biurkiem, poniżej olejnego obrazu przedstawiającego jacht Garrettów, zacumowany obecnie na przystani w Cape Cod, był przyklejony cały szereg zapisanych kartek z notatnika. Na widok znanego mu już malowidła Vince uśmiechnął się lekko, gdyż przywoływał mu on z pamięci liczne wspomnienia pochodzące z pewnego żarliwego wieczoru podczas ostatniego postoju okrętu w Norfolk, który spędzili we dwoje właśnie na pokładzie owego jachtu.

Chyba dopiero przed wyjściem w ten rejs obok pierwszego obrazu pojawił się drugi, prosty szkic akwarelowy, ukazujący holownik amerykańskiej floty pacyficznej. Musiał to być kolejny prezent od ojca Amandy, emerytowanego admirała i domorosłego marynisty, gdyż to właśnie przedstawiony „Piegan” był pierwszym okrętem, którym ona dowodziła.

Na skraju biurka leżało kilka książek. Zaciekawiony Arkady pochylił się na krześle i obrócił je grzbietami do siebie, po czym przekrzywił głowę i odczytał tytuły. Dwie pierwsze pozycje znał, pierwszą była praca Tuchmana Stillewell i amerykańskie doświadczenia w Chinach, drugą angielski przekład Czerwonej książeczki Mao Tse-tunga.

Trzeciej nigdy przedtem nie widział. Spory tom w zielonej obwolutie nosił tytuł Czy armia chińska może wygrać następną wojnę? Wyciągnął książkę spod spodu i zerknął na kartę tytułową – było to tłumaczenie z chińskiego, wydane do użytku służbowego przez Instytut Morski.

Przerzucił właśnie pierwszy rozdział, kiedy zasłonka się odsunęła i w przejściu do sypialni stanęła Amanda. Jej zwykły marsowy wyraz twarzy na krótko ustąpił miejsca szerokiemu, przyjaznemu uśmiechowi.

–Witaj w domu. Jak wypadł rekonesans?

–Nie napotkaliśmy żadnych kłopotów. Kto to jest ten... Liu Huacing? – zapytał, odczytawszy nazwisko autora książki.

–Nazywano go chińskim Mahanem – odparła Garrett, zajmując miejsce za biurkiem. Po krótkim namyśle usadowiła się bokiem i przyjęła wygodną, podobną do jego pozycję. – W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych admirał Liu był głównym orędownikiem głębokich zmian i modernizacji komunistycznych sił zbrojnych. Między innymi to właśnie on pierwszy wezwał dowództwo marynarki wojennej do porzucenia tradycyjnej strategii zwanej... cinhaifangju z pewnym trudem przesylabizowała chińskie wyrazy.

–Mnie to się kojarzy przede wszystkim ze znanym, wulgarnym określeniem.

Amanda zachichotała.

–Cinhaifangju oznacza obronę przybrzeżną. Z powodu uwarunkowań historycznych chińska marynarka zawsze ograniczała się do niewielkich jednostek operujących w strefie brzegowej. Do dziś nie mają żadnych tradycji w prowadzeniu operacji wojskowych na otwartym morzu. Otóż Liu uzasadniał, że jeśli Chiny marzą o wejściu do grona światowych potęg morskich, muszą bezwarunkowo zarzucić ową tradycję i opracować własną doktrynę działań z dala od lądu. Na szczęście dla nas wydarzenia w kraju na tyle zmieniły bieg rzeczy, iż nikt nawet nie próbował poważnie rozpatrywać sugestii admirała.

–Ciekawe. Czy mogę pożyczyć tę książkę?

–Proszę bardzo. Musimy zawsze pamiętać, że w wypadku Chińczyków mamy do czynienia z całkowicie odmienną kulturą. Niezależnie od tego, czy traktujemy ich jak sprzymierzeńców, czy jak wrogów, powinniśmy robić wszystko, aby możliwie najpełniej poznać ich sposób myślenia i światopoglądy. Powiedz wreszcie, co ciekawego tam znaleźliście.

–Rzeczywiście panuje wyjątkowy spokój.

–Skłaniający do podejrzeń?

–Trudno ocenić, skarbie. Trzymaliśmy się około trzydziestu mil od lądu, czterokrotnie wychylając się na krótko ponad radarowy horyzont. Przystrojony niczego nie wyłapał, ani okrętów patrolowych, ani zwykłych jednostek towarowych, ani nawet kutrów rybackich.

–A pod powierzchnią?

–Żadna łódź nie wynurzyła kiosku czy choćby peryskopu w czasie, gdy włączałem skaning radarowy. W trakcie misji zrzuciliśmy kilka pasywnych boi sonicznych i zebraliśmy odczyty. Nic nie wskazuje na to, by w delcie rzeki jakaś jednostka czaiła się na dnie.

–W powietrzu także nic?

–No więc wygląda na to, że owe słabutkie sygnały, które wyłapywał nasz system Aegis, pochodziły właśnie od komunikatów lotniczych. Ale wzdłuż wybrzeża nie namierzyliśmy żadnego silniejszego źródła emisji. Można odnieść wrażenie, że Chińczycy nie prowadzą stałej obserwacji ani przestrzeni powietrznej nad miastem, ani też powierzchni morza. Trzeba pamiętać, że czerwoni dysponują bardzo rozbudowaną siecią obrony przeciwlotniczej w rejonie Szanghaju, lecz podczas wychylania się ponad horyzont układy śmigłowca tylko raz zasygnalizowały obecność wiązki radarowej, w dodatku niewielkiej mocy i pochodzącej gdzieś z drugiego brzegu rzeki.

Amanda w zamyśleniu pokiwała głową.

–Dobra. Wiem już, co wskazują przystroje elektroniczne. Powiedz mi teraz, jakie są twoje odczucia.

Arkady skrzywił się boleśnie.

–Chcesz wiedzieć, co mi podpowiada instynkt? Proszę bardzo. Otóż zmuszony jestem zapomnieć o rozumowych przesłankach i przyznać, że nasza mała Chris ma rację. W tej okolicy dzieje się coś dziwnego.

Garrett westchnęła ciężko i zaczęła powoli rozczesywać włosy z tyłu głowy.

–Miałam nadzieję, że uznasz, iż my, głupie kobiety, odznaczamy się tylko nazbyt bujną wyobraźnią.

–Nie ma tak dobrze.

–Czy twój instynkt mówi ci również, że planowany na dzisiejszą noc rekonesans

wart jest podjęcia ryzyka?

–Jeśli czerwoni naprawdę coś tu szykują, warto wykorzystać okazję i spróbować się dowiedzieć, o co im chodzi.

–A jeżeli są zabezpieczeni tak dobrze, że nawet próba zbliżenia się do delty rzeki będzie przypominała włożenie palca do gniazda szerszeni? – spytała ze zmarszczonymi brwiami.

Pilot natychmiast rozpoznał charakterystyczne objawy. Garrett rzadko deliberowała nad podjęciem jakiejś decyzji, zdarzało jej się jednak, że musiała w głębi ducha rozważyć różne aspekty, a przede wszystkim pogodzić pragnienia ze zdrowym rozsądkiem. Rendino wielokrotnie instruowała go, jak ma się zachować w podobnej sytuacji – cierpliwie czekać, wysłuchując nerwowego mamrotania Amandy. Ale on wolał na własną rękę wzbogacić ten swoisty protokół i zachęcić kapitana do aktu odwagi.

–Pewien słynny filozof i mędrzec powiedział kiedyś: „Ten, kto chce policzyć zęby smoka, musi podjąć związane z tym ryzyko”.

Spojrzała na niego z ukosa.

–Czyja to myśl?

–Moja. Przecież oprócz nas nie ma tu nikogo.

Uśmiechnęła się szeroko i lekko pokręciła głową.

–Gdybym sama pragnęła policzyć smokowi zęby, nie wahałabym się przez chwilę. Ale muszę was wszystkich ciągnąć ze sobą, a to oznacza spore utrudnienie, wymagające szczególnej rozważności.

–Taka już dola kapitana. W przeciwnym razie nikt by się nie godził na podróżowanie z nim w spartańskich warunkach, których najlepszym przykładem jest ta kajuta, na ciągle oddawanie im honorów... Nawiasem mówiąc, czy wiesz, skąd się wzięło salutowanie?

–Skąd?

–Pewien żołnierz w szeregu nie wytrzymał i otarł pot z czoła, kiedy jego dowódca zbyt długo zastanawiał się nad trudną decyzją. Poskutkowało.

Amanda uśmiechnęła się jeszcze szerzej i odparła:

–Czy ty naprawdę nigdy nie potrafisz zachować powagi?

–Jestem poważny jak diabli wtedy, kiedy trzeba, kochanie. Dziś wieczorem, gdy podpłyniemy bliżej brzegu, wszyscy będziemy poważni jak cholera. A zwłaszcza ja, biorąc pod uwagę, że wypada na mnie służba oficera wachtowego. I z tego samego powodu nie zamierzam trwać w śmiertelnej powadze ani sekundy dłużej, niż to absolutnie konieczne.

–To całkiem niezła maksyma.

–Też tak uważam. Jadłaś już obiad?

Energicznie pokręciła głową.

–Nie. Dzisiaj w mesie serwują hamburgery. Wieczorem i tak będę latała jak kot z pęcherzem z powodu tej ryzykownej misji, więc wolałabym uniknąć dodatkowych sensacji, wywołanych zmielonymi i zamrożonymi ochłapami z rządowych magazynów.

–W takim razie dokąd wybierzemy się na obiad?

Amanda otworzyła już usta, żeby odpowiedzieć, kiedy nagle pojęła, że ze strony Vince'a to jedynie zaproszenie do zabawy, którą kiedyś już umilali sobie czas. Uśmiechnęła się znowu.

–Muszę pomyśleć... Zjadłabym coś specjalnego, niecodziennego... – odparła, mrugając do niego zawadiacko.

Tego typu rozmowy uprzyjemniały im monotonne życie na morzu, gdyż mimo że łączyło ich gorące uczucie, przebywali na pokładzie „Cunninghama”, czyli w warunkach, gdzie nawet najprostsze dowody miłości, takie jak dotknięcie czy pocałunek, wydawały się całkowicie nieestosowne, a w świetle ich zależności służbowej wręcz niebezpieczne. Dlatego też oboje uznawali wyższą konieczność i od czasu do czasu urządzali sobie podobną zabawę w randkę.

–Może być pieczony kurczak?

–Owszem.

–Doskonale. Proponuję zatem „Kaczy Klub” w hotelu „Monterey Plaża”. Wokół rozciąga się malowniczy teren okręgu Steinbeck, a łatwo tam dojechać z Cannery Row. Wszyscy chłopcy z Monterey zabierają tam na randki swoje dziewczyny, jeśli chcą zrobić na nich wrażenie.

–Zapowiada się interesująco. Jak tam jest?

–Jak w renomowanych lokalach San Francisco. Okna sali restauracyjnej wychodzą

na zatokę. Oglądane stamtąd zachody słońca głęboko zapadają w pamięć, pewnie dlatego na każdym stoliku leży przygotowana lornetka. Można przez nią dostrzec nawet morskie wydry uwijające się w kępach morskich.

–Niesamowite! Jak powinnam się ubrać na tę okazję?

Arkady zmierzył ją spojrzeniem znanego dyktatora mody.

–Chyba warto by odsłonić trochę ciała tu i tam... I musi być czerwień. Koniecznie.

Amanda zachichotała i pokręciła głową.

–Nic z tego, kochany. Nigdy nie noszę czerwonych sukni.

–Kiedyś trzeba zacząć. Coś mi się zdaje, że przestrozę: „rudowłose nigdy nie powinny się ubierać na czerwono” wymyśliła jakaś brunetka, której zależało na zabłyśnięciu w towarzystwie rudej koleżanki. Każda piękna kobieta powinna mieć co najmniej jedną czerwoną wizytową suknię i do tego parę czerwonych pantofli na wysokich obcasach, bo w takim stroju każda musi wyglądać wspaniale.

–Zobaczymy.

–Udowodnię, że mam rację. Przyjadę po ciebie godzinę wcześniej i najpierw odwiedzimy jakiś szikowny salon mody...

Rozdział 20

U wejścia do delty Jangcy

11 sierpnia 2006, godz. 23.31 czasu lokalnego

Ta jedna z największych rzek świata bierze początek wśród smaganych wiatrami himalajskich płaskowyżów i wije się przez równiny środkowej Azji, by dokonać żywota w Morzu Wschodniochińskim.

W całym swoim biegu gromadzi to wszystko, co stanowi esencję życia w potężnych Chinach. Wody pochodzące ze stopniałych lodów odwiecznych lodowców mieszają się z opadami dziesiątków tysięcy burz, pyłem wyjałowionych pól uprawnych oraz łzami, potem i odchodami czwartej części ludzkości. Powstaje wyjątkowa mieszanka, niewiele mająca sobie podobnych na świecie, która przynajmniej na krótko może odmienić oblicze ziemskich oceanów. Jeszcze sto mil od brzegu fale Pacyfiku mają żółtawe grzywy, a słonawa bryza miesza się z egzotycznymi zapachami Azji.

–Procedury maskujące uaktywnione. Systemy ostrzegawcze pracują we wszystkich zakresach. Źródła promieniowania radiowego i radarowego zabezpieczone. Osłona Faradaya działa pełną mocą.

–Dziękuję, panie Hiro. Oficer nawigacyjny, proszę skontrolować systemy ustalania i utrzymywania stałej pozycji.

–Odczyty GPU oraz SINS zweryfikowane w granicach dziesięciometrowego błędu. Według nich wyspa Ciantan powinna się znajdować na kursie zero pięć zero w odległości dziewięciu tysięcy metrów.

Amanda zerknęła pobieżnie na linie wyświetlające się na ekranie monitora nawigacyjnego. „Książę” podchodził do delty od północnego wschodu. Za kilka minut mieli skręcić bardziej na południe i ominąć ujście Jangcy usiane piaszczystymi wysepkami, tworzącymi zarazem pierwszą linię chińskich zapór minowych i sieci przeciw okrętom podwodnym, rozciągniętych przez wojska komunistyczne już na początku wojny domowej.

Po panoramicznej szybie mostka spływały drobniutkie kropelki deszczu, ledwie widoczne w panujących dokoła ciemnościach. Wewnątrz wszystkie monitory przyciemniono do niezbędnego minimum, toteż Amanda bardziej wyczuwała niż dostrzegała otaczających ją ludzi. Naelektryzowana atmosfera stawała się jeszcze bardziej napięta w miarę podchodzenia okrętu do chińskiego wybrzeża.

–Mostek wzywa centrum informacyjne.

–Zgłasza się centrum.

–Jak masz zamiar to rozegrać, Chris?

–Chciałabym zrobić jedno powolne przejście wzdłuż skraju pół minowych, żeby dokładnie poznać rozmieszczenie szlaków wejściowych i wyjściowych delty. Jednocześnie będziemy mieli okazję zarejestrować w pełnym spektrum aktywność tutejszej sieci łączności.

–W porządku. Pamiętaj tylko, iż pod żadnym pozorem nie zgodzę się przekroczyć granicy trzymilowej strefy. A to oznacza, że będziemy musieli skręcić na północny wschód, gdy z powrotem dotrzemy do archipelagu Maan Liedao.

–To jasne, szefowo. Do tego czasu powinniśmy już mieć rozeznanie, czy tutejsi chłopcy rzeczywiście knują coś paskudnego.

Połączenie zostało przerwane. Amanda obróciła się na kapitańskim fotelu i spojrzała na niewyraźną sylwetkę swojego pierwszego oficera.

–Ken, chciałabym dzisiaj zostać na mostku. Przekazuję ci więc dowodzenie centrum informacyjnym.

–Rozkaz.

–I jeszcze jedno. Utrzymuj stały kontakt z Kruczym gniazdem. Niewykluczone, że Chris będzie potrzebowała pomocy znawcy języków wschodniej Azji.

–Przecież ja ledwie potrafię wykrztusić po parę słów japońskich czy chińskich, kapitanie. Nie będzie ze mnie większego pożytku w tym zakresie.

–Nie mamy nikogo lepszego. Powodzenia, Ken.

–I ja życzę pani powodzenia, kapitanie.

Hiro odwrócił się na pięcie i zniknął w śluzie prowadzącej w kierunku rufy.

Oczy Garrett skierowały się na kolejną mroczną sylwetkę człowieka pełniącego wachtę na stanowisku sterowym, trzymającego dłonie na drążkach i manetce gazu głównych silników.

–Oficer wachtowy. Jak idzie?

–Na razie bez przeszkód, pani kapitan. Tylko trochę zaczynają mnie łąpać kurcze w tej niewygodnej pozycji.

–Poradzi pan sobie, poruczniku Arkady. Każdy pilot powinien od czasu do czasu

pełnić służbę oficera wachtowego, choćby tylko po to, żeby nie zapomniał, iż służy w marynarce.

–Ja nigdy o tym nie zapominam, pani kapitan.

–Tym lepiej. Proszę skrócić w lewo, na kurs jeden osiem trzy, utrzymywać prędkość dziesięciu węzłów i na podstawie odczytów GPU pilnować kursu równoległego do granicy trzymilowej strefy przybrzeżnej, o sto metrów od niej.

–Rozkaz.

Amanda wstała z fotela i ostrożnie wyszła na pomost sterburtowy. Domyślała się, że w świetle dnia doskonale byłoby stąd widać pasma wzgórz otaczających Szanghaj, ale teraz, nawet po oswojeniu wzroku z ciemnością, przed oczami miała jedynie rozmazane, niewyraźne pasma deszczu.

Nie trzeba jej było tłumaczyć, że po powrocie na mostek będzie mogła obejrzeć nadmorski krajobraz za pośrednictwem kamer pracujących w podczerwieni, ale nie chciała uciekać się do pomocy jakichkolwiek urządzeń elektronicznych. Dlatego też oparła łokcie o reling i jeszcze bardziej wyteżywszy wzrok, spróbowała intuicyjnie wyczuć niebezpieczeństwo czające się w tym rejonie.

Przypomniała sobie, że jej dziadek miał kiedyś okazję żeglować po tych wodach, gdy pełnił służbę w jednostce organizującej patrole po rzece Jangcy. Teraz, ocierając z twarzy ciepłe krople deszczu, miała straszną ochotę zwrócić się o radę do jego ducha.

Mniej więcej osiem mil na południe od „Cunninghama” kuter pięćset dziewiętnaście kołysał się leniwie na małych falach, obciążony nie sięgającą dna kotwicą. Zajmował najdalej na południe wysunięte stanowisko z eskadry rozmieszczonej na całej szerokości ujścia Jangcy wzdłuż linii sieci zaporowych i pól minowych. Ze zgaszonymi silnikami i wyłączonymi wszystkimi systemami elektronicznymi tkwił na posterunku już od dwóch godzin, toteż wszyscy obecni na pokładzie byli przemoczeni do suchej nitki.

Porucznik Żu Szan już chyba po raz setny przetarł szkła lornetek kawałkiem bawełnianej szmatki.

–Nie potrafię zrozumieć, co moglibyśmy tu wypatrzeć tej paskudnej nocy – mruknął.
– Bez pomocy radaru nie zdołamy dostrzec nawet olbrzymiego tankowca.

–Pewnie do końca niczego nie zobaczymy, poruczniku – mruknął filozoficznym tonem bosman Hung. – Nie zmienia to faktu, że dostaliśmy rozkaz zajęcia tej pozycji w patrolu.

W centrum informacyjnym „Cunninghama” komandor Ken Hiro usadowił się w fotelu kapitańskim, stojącym przed najważniejszymi stanowiskami techników wywiadu elektronicznego. Nieco po prawej, przy konsoli oficera operacyjnego, zasiadał Dix Beltrain. Obejrzał się przez ramię na zastępcę dowódcy okrętu i rzekł:

–Według wskazań GPU zbliżamy się do skraju zapory minowej, komandorze. Moim zdaniem byłoby wskazane uruchomienie trzydziestki dwójki.

–Masz rację. Wydaj odpowiednie rozkazy.

Beltrain obrócił się z fotelem w kierunku stanowisk rozmieszczonych wzdłuż tylnej grodzi.

–De Vega, opuść czaszę i uruchom czujniki. Ustaw przemieszczanie na kąt dziewięćdziesiąt stopni, od dziobu do prostopadłej do sterburty.

Jeszcze na długo przed rozpoczęciem budowy „Cunninghama” specjaliści doszli do wniosku, że okręt tej klasy musi być przygotowany do działania w nietypowych warunkach, także w strefie przybrzeżnej. Zakładano przy tym, że może chodzić o wybrzeże ewentualnego przeciwnika w trzeciej wojnie światowej. Z tego też powodu, w uzupełnieniu przeznaczonego do wykrywania łodzi podwodnych silnego sonaru typu SQQ-89, „Książę” został wyposażony także w urządzenie SQQ-32, odznaczające się mniejszą mocą, ale bardzo skuteczne przy wykrywaniu zapór minowych.

–Trzydziestka dwójka opuszczona i włączona. Uruchamiam program wykrywania min – zameldował technik.

Hiro i Beltrain równocześnie obrócili się w stronę monitora sonaru. Po kilku sekundach na ekranie ukazała się jakby trójwymiarowa, mroczna i zamglona przestrzeń, będąca symulowanym przez komputer obrazem odpowiadającym intensywności echa powracających impulsów dźwiękowych.

–Jest pierwszy kontakt, na kursie zero osiem pięć, w odległości ośmiuset metrów – oznajmił marynarz. – Odległość stała, obiekt przesuwają się ku rufie. Według rozpoznania komputerowego to tradycyjna mina stykowa chińskiej produkcji.

Stary rogaty diabeł, pomyślał Hiro. Tego typu mina, po raz pierwszy skonstruowana ponad sto lat temu, wciąż stanowiła postrach wszystkich jednostek pływających po morzach.

Jej największym atutem była prostota konstrukcji i siła ładunku wybuchowego zamkniętego w blaszanej obudowie. W przeciwieństwie do nowszych, bardziej skomplikowanych min, tej nie dało się ani oszukać, ani zdetonować na odległość. Kołysała się na falach, zakotwiczona długim łańcuchem do dna, gotowa eksplodować

przy najłżejszym muśnięciu kadłuba o któryś z długich, przypominających anteny czujników. Rozbrojenie takiej miny było możliwe jedynie poprzez zastosowanie prymitywnych i niebezpiecznych urządzeń mechanicznych, niemal tak samo wiekowych, jak pływający obiekt, albo poprzez żmudne i jeszcze bardziej ryzykowne ich detonowanie, którego mogli dokonać wyłącznie pletwonurkowie bądź zdalnie sterowane roboty.

Na widok jaśniejącego na ciemnym ekranie echa oficer operacyjny cicho gwizdnął przez zęby.

–Wypada się cieszyć, że to draństwo już nie jest u nas produkowane.

–Dokładnie tak. Trzeba znać swoje miejsce we współczesnym świecie, panie Beltrain. – Hiro przełączył się na interfon i rzekł do mikrofonu: – Mostek, mamy pierwszy kontakt z chińską barierą minową.

–Widzę, Ken – odparła szybko Garrett. – Odbieram obraz sonaru na monitorze. Postaram się nadal trzymać w takiej odległości od granicy pola minowego. Nie wahaj się jednak bezpośrednio wydać rozkazu sternikowi, gdybym coś przeoczyła.

Tymczasem deszcz zaczął przybierać na sile. Podobnie jak reszta wachty, Amanda miała na sobie hełm i kuloodporną kamizelkę ratunkową. Po raz kolejny wychyliła się na pomost, lecz zaraz wróciła i wolno poszła wzdłuż mostka, obrzucając uważnym spojrzeniem rozjaśnione ekrany monitorów.

–Kapitanie – odezwał się za jej plecami jeden z techników. – Obraz podczerwony jest już całkiem nieczytelny. Kamery nie są w stanie przeniknąć nasilającego się deszczu.

–To przełączcie się na FLIR.

Wszystkie podległe systemy zostały pospiesznie przestawione na odczyty głównego układu termograficznego.

Czołowy skaner okrętu, analizujący natężenie promieniowania cieplnego zamiast światła widzialnego, w zwykłych warunkach bez trudu pozwalał rozpoznać niewidoczne obiekty znajdujące się na drodze „Cunninghama”. Ale tej nocy wystąpiło dość specyficzne zjawisko atmosferyczne. Drobne jednostajne opady sprawiły, że rozgrzane powietrze bardzo szybko nasyciło się parą wodną, która silnie pochłania promieniowanie podczerwone. W dodatku mający niemal temperaturę ludzkiego ciała deszcz przy bezwietrznej pogodzie spowodował, że na gładkiej jak stół powierzchni oceanu powstała cienka warstewka silnie nagrzanej wody, przez co gradient temperatury między morzem a parnym powietrzem spadł prawie do zera.

W takich warunkach, gdy wystąpiła równowaga między przeciwstawnymi procesami

skraplania się pary wodnej z powietrza i parowania wody z powierzchni oceanu, bardzo obniżyła się wydajność urządzeń elektronicznych okrętu. Efekt ten nie był jednak widoczny, gdyż przed dziobem „Księcia” nie znajdowały się żadne obiekty emitujące ciepło. Zatem ekrany monitorów jak zwykle emitowały jednostajną, ledwie widoczną poświatę, natomiast ludzie nie zdawali sobie sprawy, że niszczyciel płynie prawie całkiem na ślepo.

–Masz coś, Tina?

–Nie, pani porucznik. Jeśli wojsko w tym rejonie pozostaje w stałej łączności, to musi chyba używać gołębi pocztowych.

Rendino spojrzała ponad ramieniem operatorki skanera na ekran. Przesuwające się po nim jednostajnie pionowe linie świadczyły, że trwa przeszukiwanie całego spektrum promieniowania elektromagnetycznego.

–Zupełnie nic?

–No nie, wyłapuję policyjne meldunki na falach UKF i kilka radiostacji na falach długich, nadających głównie muzykę ludową, pewnie w celu zabicia tęsknot za kapitalistyczną swobodą. Jedynym przykładem łączności wojskowej są ograniczone do minimum komunikaty jakiejś wieży kontroli lotów. Można by sądzić, że Chińczycy zarządzili w tym rejonie absolutną ciszę radiową.

–Dobra. Szukaj dalej.

Posuwali się w poprzek ujścia Jangcy już od dwudziestu minut i dotychczasowy rezultat rekonesansu, a raczej jego brak, budził coraz silniejszy niepokój Christine. Odbierała tę sytuację jako nienormalną. Wyczuwała silne wibracje wszystkich nerwów w swoim ciele, które – napięte jak struny skrzypiec – odpowiadały rezonansom na jej przeczucia i podejrzenia.

Nie była już w stanie dłużej tego znieść. Wyszła z przedziału sekcji wywiadowczej do głównej sali centrum informacyjnego. Obrzuciła szybkim spojrzeniem wszystkie stanowiska i stanęła za Beltrainem siedzącym przed wielkim ekranem Alfa.

Boczny skaner soniczny wyłapywał kolejne miny tworzące czoło zapory blokującej wejście do delty rzeki, a komputer na podstawie odczytów GPU ustalał ich pozycje i gromadził wszelkie parametry w bazie danych. No, przynajmniej ta część misji zostanie wykonana, pomyślała Rendino.

Zawróciła nagle i wkroczyła do sekcji urządzeń kamuflujących.

W normalnych okolicznościach było to dla niej wrogie terytorium, lecz zawsze na czas trwania niebezpiecznej operacji następowało zawieszenie broni w jej ciągłej

wojnie z Frankiem McKelsie'em.

–Czy nie wychwytyjecie przypadkiem czegoś, co mogłoby ujść naszej uwagi w Kruczym gnieździe?

Tak samo jak ona, szef tutejszej sekcji bez przerwy krążył między stanowiskami techników, zerkając im przez ramię. Nawet teraz odpowiedział, nie spuszczając wzroku z ekranu któregoś oscyloskopu.

–Niczego nadzwyczajnego, Rendino. Zarejestrowaliśmy kilka wiązek radarowych obrony przeciwlotniczej i jedną przeczesującą morze, emitowaną z południowego krańca wyspy Ciutuan Sza. Sądząc po charakterystyce wiązki, musi się tam znajdować pomocnicza stacja nawigacyjna.

–Istnieje jakieś ryzyko, że zostaliśmy wykryci?

–Daj spokój, Rendino – odparł drwiąco McKelsie. – Oni tu używają jeszcze urządzeń lampowych. Pewnie szybciej mogliby nas namierzyć, gdyby rozstawili wzdłuż plaży ludzi z latarkami.

Na ostatnim stanowisku od sterburty w głównym ciągu urządzeń centrum informacyjnego technik obsługujący system Aegis prowadził metodyczne odczyty wskazań głównych czujników radarowych „Cunninghama”. Okręt płynął w pełnej osłonie kamuflażowej, toteż umieszczone na głównym maszcie silne nadajniki kierunkowe radaru SPY-2A musiały być wyłączone, niemniej aktywne czujniki promieniowania mogły dostarczyć dodatkowych danych, gromadzonych przez sekcję wywiadowczą.

Technik zaprogramował właśnie po raz kolejny przemiatanie widma radarowego, kiedy nagle jego uwagę przykuło dziwne zjawisko. Większą część ekranu zajmowało okno z liczbowymi parametrami pracy urządzenia, lecz wokół niego na przyciemnionym obrazie pojawił się na ułamek sekundy widmowy zarys odbieranego echa radaru. Technik zmarszczył brwi, gdyż coś takiego nie mogło się wydarzyć, skoro nadajniki okrętu były wyłączone. Po chwili zastanowienia uruchomił procedurę sprawdzającą pracę systemu.

Nie skojarzył, że w trakcie przemiatania widma częstotliwość pracy czujników musiała się na chwilę zgrać z częstotliwością emitującego z lądu nadajnika chińskiej stacji nawigacyjnej. W przeciwnym razie natychmiast powiadomiłby dowódcę sekcji o swoim odkryciu, tym bardziej, że znane mu było zjawisko przechwycenia promieniowania odbitego, pochodzącego z obcego nadajnika.

Od rozpoczęcia rekonesansowego przejścia minęło trzydzieści pięć minut.

–Krucze gniazdo, tu mostek. Jak idzie, Chris?

–Mapowanie pola minowego przebiega bez zakłóceń – odparła bez entuzjazmu Rendino – lecz rejestracja natężenia łączności radiowej do tej pory nie przyniosła rezultatów. Wciąż pracujemy.

–Oby tylko nie zeszła wam na tym cała noc, poruczniku. Nie możemy się tu kręcić w nieskończoność.

Deszcz całkowicie już przesłaniał widok za przednią szybą mostku, mimo że wycieraczki pracowicie zgarniały z niej wodę, a dmuchawy nie pozwalały osadzać się od wewnątrz parze wodnej. Nawet urządzenia klimatyzacyjne stopniowo przegrywały walkę z parnym powietrzem, przypominającym jako żywo wnętrze sauny.

Amanda, która bez przerwy krążyła nerwowo po mostku, podeszła w końcu do bocznego wyjścia, przesunęła rygiel i gwałtownym ruchem odsunęła pokrywę okna. Kilkakrotnie zaczerpnęła głęboko powietrza, coraz bardziej tęskniąc za orzeźwiająca morską bryzą zamiast tej łaźni parowej.

Stojący na kotwicy kuter pięćset piętnaście z chińskiej eskadry łodzi pościgowych zakołysał się nagle. Jego dowódca wyszedł ze sterówki i zmarszczył brwi. Odniósł wrażenie, że na płaskim jak stół morzu dotarły do nich fale kilwateru przepływającej obok jednostki. Przez kilka minut wyęczał wzrok, usiłując przebić zalegające za burta ciemności. Wreszcie wzruszył obojętnie ramionami i wrócił na stanowisko.

W wejściu do Kruczego gniazda stanął porucznik Charles Foster.

–Hej, poruczniku Rendino. Mogłaby pani na chwilę zajrzeć do Alejki sonarowej? Chyba mamy coś, co was zainteresuje.

–Już idę.

Christine ruszyła pospiesznie za młodszym kolegą.

Alejką sonarową określano powszechnie jedną z czterech sekcji, jakie zajmowały obszerne wnętrza Bojowego Centrum Informacyjnego. Ta mieściła się od dziobu po bakburcie, czyli prawie na wprost analogicznej przestrzeni zajmowanej przez sekcję wywiadowczą.

–O co chodzi, Chuck? Naprawdę coś wyłapaliście?

Tamten nerwowym ruchem poprawił okulary na nosie. Ostrzyżony króciutko, najeża, przypominał zakłopotanego ucznia z ostatniej klasy podstawówki. Miał pełnić służbę na łodzi podwodnej, na razie jednak odbywał praktykę podyplomową i w ramach międzywydziałowej wymiany oficerów trafił na „Cunninghama”, gdzie objął tymczasowe dowództwo sekcji sonarowej.

–Nie jesteśmy jeszcze pewni, co to może być, pani porucznik – odparł. – Złapaliśmy kontakt na urządzeniach pasywnych i zapewne mamy do czynienia ze zróżnicowaną grupą odgłosów, dolatujących z górnej części delty. Wygląda mi to na efekt formowania konwoju okrętów. Prosiła pani o natychmiastowe powiadomienie, gdyby mikrofony wychwyciły coś niezwykłego. Doszedłem do wniosku, że warto odnotować ten kontakt.

–Zobaczymy. Dajcie posłuchać.

Foster wskazał jej odpowiednie stanowisko. Christine odpięła od pasa słuchawki i wsunęła wtyczkę w gniazdko aparatu nasłuchowego. On także wziął słuchawki od technika i oboje przez chwilę wsłuchiwali się w napływające odgłosy.

–Słyszysz pani? – spytał Foster.

–Owszem. Jak by je pan zinterpretował?

–Płynie kilka jedno- i dwuśrubowych jednostek średniej wielkości. Mogą to być stawiacze min lub małe transportowce. Ale oprócz tego wyławiam echo trzech lub czterech dużych, ciężkich okrętów.

–Zrobiliście już szacunek prędkości obrotowej śrub? Próbowaliście zidentyfikować szum pracy silników?

Foster pokręcił głową.

–Jeszcze nie. Sygnał jest za słaby, zniekształcony, czasami zanika. Moim zdaniem ten konwój płynie boczną odnogą, prowadzącą bezpośrednio do stoczni w Szanghaju. Jeśli dobrze pamiętam, nazywa się Huangpu. Spróbujemy przeprowadzić pełniejszą analizę odgłosów, kiedy jednostki znajdą się już w głównym nurcie Jangcy.

–Masz rację, Chuck. W każdym razie warto pilnować tego echa.

–Sądzi pani, że może mieć ono jakieś znaczenie?

–Zobaczymy.

Na pokładzie kutra pięćset dziewiętnaście bosman Hung wytknął głowę spod płachty brezentu, pod którą zrobił sobie prowizoryczne schronienie, popatrzył na dowódcę i mruknął:

–Chyba przelatuje nad nami deszczowy smok, poruczniku.

Na mostku „Cunninghama” Amandę przeniknął dziwny dreszcz. Intuicja

podpowiadała jej, że najwyższa pora się stąd wynosić, bo ryzyko wykrycia staje się coraz większe.

Sięgnęła do przełącznika łączności.

–Krucze gniazdo, tu mostek. Czekam na bieżący meldunek, Chris. Macie już coś?

–Nic takiego, o czym warto by napisać w raporcie, szefowo – odparła z wyraźnym ociąganiem Rendino. – Chciałabym mieć jeszcze trochę czasu.

–Wykluczone. Za żadną cenę nie zamierzam dłużej narażać okrętu. Wycofujemy się.

Popatrzyła na ledwie widoczną sylwetkę Arkady'ego stojącego na stanowisku sternika.

–Oficer wachtowy, przygotować się do wykonania zwrotu na lewą burtę i wzięcia kursu na pełne morze.

–Rozkaz, kapitanie. Jesteśmy gotowi do przeprowadzenia manewru.

Garrett podeszła do monitora nawigacyjnego i zaczęła wybierać najlepszą drogę powrotu na oceaniczne głębiny. Trwało to zaledwie parę sekund. Sformułowała w myślach pełną komendę i już otwierała usta, aby ją wydać, kiedy niespodziewanie w słuchawkach rozległ się okrzyk Rendino:

–Kapitanie! Proszę zaczekać! Mamy kontakt!

Deszcz zaczął wyraźnie słabnąć, przechodził z powrotem w nieprzyjemną mżawkę. Porucznik Żu Szan uniósł nagle czujnie głowę. Równocześnie bosman Hung uczynił to samo. On również wychwycił zagadkowy dźwięk.

Dopiero teraz, gdy przycichło miarowe bębnienie kropeł o powierzchnię oceanu, załogę kutra pięćset dziewiętnaście zaalarmował ledwie uchwytny jednostajny szum. Bez wątpienia był to odgłos pracy turbiny gazowej napędzającej śrubę jakiegoś okrętu.

–Proszę się nie rozłączać, kapitanie! – zawołała błagalnym tonem Rendino, biegnąc przez główną salę centrum informacyjnego do Alejki sonarowej.

–Szybko, Foster. Co się dzieje?

Porucznik wyprostował się błyskawicznie. Na jego twarzy malowało się źle skrywane podniecenie.

–Ten konwój, którego echo wcześniej odbieraliśmy, wypłynął do głównego koryta Jangcy. Sygnał stał się na tyle silny, że zdołaliśmy przeprowadzić komputerową

analizę. Nadciągają trzy wielkie cele, a każdy z nich jest napędzany pojedynczą, dużą, siedmioskrzydłową śrubą!

–Jesteś pewien?!

–Całkowicie! Komputer jeszcze przeszukuje bazę danych w celu identyfikacji rodzaju jednostek, lecz gdy konwój wypływał z Huangpu i nabierał prędkości, mógłbym przysiąc na Boga, że słyszałem na własne uszy charakterystyczny bulgot chińskich jednostek atomowych!

–Och, Foster! Kocham cię i chcę mieć z tobą dzieci!

Christine rzuciła się na szyję osłupiałego porucznika i energicznie pocałowała go w usta, po czym w kilku susach wypadła z powrotem do głównej sali centrum.

–Kapitanie! Potrzebna mi zgoda na chwilowe zdjęcie zasłony kamuflażowej!

–Co takiego?!

–Tylko na sekundę! Chce wykorzystać nadajniki systemu SPY-2A do jednorazowego przeczesania delty rzeki, nic więcej. Jeżeli czerwoni kontrolują ten obszar i przechwycą wiązkę, odbiorą ją jako chwilowe zakłócenie pracy przyrządów, wywołane na przykład spadkiem napięcia w sieci. Nie mam czasu wszystkiego wyjaśniać, kapitanie! Mamy wreszcie to, po co przyплыliśmy!

W sali zapadła martwa cisza. Wszyscy obecni tu ludzie, którzy słyszeli wykrzykiwane do mikrofonu słowa Christine, wpatrywali się teraz w nią, z napięciem oczekując na odpowiedź z mostku. Ktoś musiał przełączyć interfon na rozmieszczone pod sufitem głośniki, gdyż głos Amandy Garrett zadudnił w całym pomieszczeniu:

–Dobrze. Zgadza się. Panie Hiro, proszę wykonać jednorazowe przeczesanie delty rzeki wiązką systemu Aegis przy minimalnym czasie emisji i pełnej mocy urządzenia.

Na pokładzie kutra pięćset dziewiętnaście słychać już było nie tylko przybierający na sile szum turbin, lecz nawet plusk wody rozcinanej dziobem okrętu. Zagadkowe odgłosy stawały się wręcz nieznośnie denerwujące.

–Hung – odezwał się cicho porucznik Szan. – Idź na dziób i podnieś kotwicę. Sternik, przygotować się do uruchomienia silników. Radiooperator, połącz mnie z kutrem flagowym eskadry...

–Skan zakończony, pani porucznik – zameldował technik obsługujący urządzenia systemu Aegis. – Wyłączam główne nadajniki.

–Zapis wprowadzony do komputera?

–Oczywiście.

–Miałam rację!

–Porucznik Rendino? Co się dzieje? – zapytał ze stanowiska dowodzenia Ken Hiro.

–Zbliża się jakieś gówno strasznie ciężkiego kalibru, komandorze – wyrzuciła z siebie jednym tchem Christine, która zdążyła już opanować pierwsze emocje i zaczynała na chłodno analizować wagę dokonanego odkrycia. Po chwili dodała: – Dużo cięższego kalibru, niż moglibyśmy się spodziewać.

Na pokładzie kutra pięćset dziewiętnaście Żu podniósł do ust mikrofon radiostacji.

W centrum informacyjnym „Cunninghama” wszyscy aż podskoczyli na swoich miejscach, kiedy z głośników włączonego aparatu nasłuchowego w sekcji wywiadowczej popłynęło wyraźne, głośne staccato składanego po chińsku meldunku. Tylko Ken Hiro zrozumiał znaczenie słów.

–Pięćset dziewiętnaście do dowódcy eskadry. Melduję uchwycenie kontaktu...

Niemal równocześnie w głośnikach na mostku dał się słyszeć krzyk podekscytowanej Rendino:

–Mostek, tu Krucze gniazdo! Ktoś uruchomił radiostację w naszym najbliższym otoczeniu!

–W jakiej odległości? – spytała rzeczowo Garrett.

–Za blisko, żeby przeprowadzić radiolokację!

Podobnie jak reszta wachty, Amanda odruchowo popatrzyła przez przednią szybę mostku.

–Powtarzam. Pięćset dziewiętnaście do dowódcy eskadry. Melduję...

Słowa uwięzły w gardle porucznika Szana, kiedy nagle dostrzegł za burtą niewyraźny zarys białych grzyw fali wypływającej spod stewy okrętu. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Po chwili z mroku nocy wyłonił się cały dziób widmowej jednostki, niezwykle ostry, wznoszący się stromo, górujący nad łodzią pościgową. Zbliżał się nieuchronnie.

Porucznikowi przemknęło przez myśl, że jest dowódcą kutra i powinien zrobić wszystko, by ratować powierzony sprzęt i podległych mu ludzi. Tyle że nie miał mocy czynienia cudów.

Vince przeniósł spojrzenie na ekran monitora FLIR dokładnie w chwili, kiedy mglisty zarys obcej łodzi zniknął pod zarysowaną jasną linią krawędzią dziobu „Cunninghama”. Natychmiast zrozumiał, że nie ma czasu ani na zmianę kursu, ani na jakiegokolwiek inne działania.

–Uwaga! – krzyknął.

Zaparł się z całej siły o poręcz, przedtem zdążywszy jedynie ściągnąć w dół manetkę gazu głównych turbin i przestawić dźwignię przeniesienia napędu w położenie neutralne.

Dziobnica „Księcia” wbiła się w prawą burtę kutra pięćset dziewiętnaście niemal dokładnie w połowie jego długości.

Pod dziobem niszczyciela buchnęły płomienie. Okrętem szarpnęło, wszyscy na mostku polecili do przodu. Ale był to efekt nie tyle samego zderzenia, ile gwałtownego zatrzymania turbin i wytracenia prędkości.

–Wszystkie maszyny stop! – zawołała Amanda, zrywając się na nogi.

–Są wszystkie maszyny stop, kapitanie! – odparł Arkady, przyjmując z powrotem pozycję na stanowisku sterowym.

–Mostek! – wrzasnął Hiro przez głośnik interfonu. – Co się tam dzieje?

–Właśnie staranowaliśmy kuter patrolowy czerwonych – rzekł spokojnie pilot do mikrofonu. – Bez odbioru.

Amanda w paru susach znalazła się na bakburtowym pomoście i wyjrzała za burtę. Chińska jednostka została niemal jak nożem przecięta na pół. Jej część dziobowa dryfowała właśnie wzdłuż „Cunninghama”, z nieprzyjemnym zgrzytem ocierając się o poszycie tuż nad linią zanurzenia. Pośród łomotania blach i brzęku objających się o resztki wraka pustych kanistrów dały się także rozróżnić przeraźliwe krzyki ludzi.

Garrett bez namysłu wychyliła się za poręcz i szarpnięciem odchyliła klapę zakrywającą mechanizm wyrzutni rufowej tratwy ratunkowej. Zacisnęła palce na dźwigni, obróciła ją i pociągnęła do dołu. Otworzyła się pokrywa w bocznej ścianie nadbudówki i jaskrawożółta, dwunastoosobowa, samonadmuchująca się tratwa wyleciała za burtę.

„Księżę” posuwał się jeszcze siłą rozpędu, toteż tratwa, kołysząc się lekko na fali, podryfowała w stronę rufy, w ślad za tonącą z wolna dziobową częścią rozerwanego kutra.

Oby tylko wrak nie zniszczył nam gondoli silnikowej, pomyślała, bo z każdym innym

uszkodzeniem jakoś sobie poradzimy.

–Maszynownia! – syknęła ze złością do mikrofonu.

–Zgłasza się maszynownia – rozległ się w słuchawkach głos Thomsona.

–Przeprowadzić kompletny test sprawności i geometrii obu gondoli napędowych.
Natychmiast!

–Rozkaz. Myślę jednak, że nic się nie stało, kapitanie. W porę zdążyliście odłączyć napęd.

–Czekam na meldunek o ewentualnych uszkodzeniach!

–Wszystkie kontrolki świecą się na zielono, kapitanie. Wstępny raport zespołu Alfa Alfa mówi o braku jakichkolwiek przecieków, a nawet poważniejszych wgnieceń w dziobowej części okrętu.

Wyglądało na to, że z konfrontacji wzmocnionej dziobnicy „Księcia” z burtą chińskiego kutra patrolowego ta pierwsza wyszła bez szwanku.

–Maszynownia do kapitana.

–Słucham, szefie.

–Kompletny test sprawności i geometrii zakończony. Obie gondole w pełni sprawne. Jesteśmy gotowi odpowiedzieć na dzwonki.

Dzięki Bogu, pomyślała Garrett. Zatem trzeba się było jak najszybciej stąd wynosić, pod warunkiem, że czerwoni na to pozwolą.

Tymczasem w sekcji urządzeń kamuflażowych Frank McKelsie i jego ludzie patrzyli z osłupieniem, jak zapalają się kolejno lampki poszczególnych czujników ostrzegawczych. Nie tylko radary posterunków ochrony wybrzeża, ale także urządzenia naprowadzające baterii obrony zaczynały systematycznie przeczesywać całą deltę rzeki. Nie było wątpliwości, że tej nocy poddane zostaną także próbie wszelkiego rodzaju radary samobieżne i specjalistyczne aparaty skaningowe. W dodatku wyłapywali też wiązki znacznie słabszych, lecz znajdujących się o wiele bliżej promienników jednostek pływających, które nadciągały z północy w ich kierunku.

–Jesteśmy załatwieni – szepnął z przejęciem jeden z techników.

–Jak cholera! – warknął McKelsie. – Jesteśmy nie tylko załatwieni, ale rozpakowani, ułożeni na tacy i gotowi do podania na stół. Przygotować wszelkie urządzenia

zakłócające i wyrzutnie celów pozornych. Na pewno będziemy ich potrzebować.

Ludziom przebywającym w głównej sali centrum informacyjnego objawił się nagle jeszcze inny rodzaj zagrożenia. Z głośników urządzeń nasłuchowych ustawionych na częstotliwość łączności chińskiej eskadry patrolowej popłynęły czyjeś ostre, szczekliwe słowa. I w tym wypadku jedynie Ken Hiro zdołał zrozumieć treść komunikatu.

–Kuter pięćset dziewiętnaście, odezwij się! Dowódca eskadry wzywa łódź pięćset dziewiętnaście! Słyszycie mnie?! O jakim kontakcie meldowaliście?!

Komandor błyskawicznie poderwał się z kapitańskiego fotela i wbiegł do sekcji wywiadowczej.

–Przestawcie nadajnik na tę częstotliwość – rozkazał, sięgając po mikrofon.

Technik szybko strzelił kilkoma przełącznikami i pokręcił gałką strojenia.

–Gotowe, komandorze.

Po krótkim zastanowieniu Hiro rzekł do mikrofonu po chińsku:

–Pięćset dziewiętnaście do dowódcy eskadry. Niezidentyfikowana jednostka przeszła właśnie obok naszego stanowiska. Prowadzimy dalej obserwację.

Zwolniwszy przycisk nadawania, wrzasnął przez ramię:

–Na miłość boską, niech ktoś za mnie przekaże kapitanowi, żeby natychmiast skierować okręt na wschód!

Z głośników na mostku doleciał głos zdenerwowanego Beltraina:

–Kapitanie, komandor Hiro twierdzi, że powinniśmy natychmiast odpłynąć na wschód. Siedzi przy radiostacji i utrzymuje łączność z Chińczykami. Nie jestem pewien, ale chyba próbuje ich wyprowadzić w pole.

Amanda zawahała się na chwilę. Nawet przy włączonych wszystkich urządzeniach kamuflażowych idący pełną mocą silników „Cunningham” musiał dać jakiś sygnał na ekranach radarowych posterunków ochrony wybrzeża, zwłaszcza że wojskowe urządzenia naprowadzające odznaczały się dużą mocą i znacznym skupieniem wiązki, a znajdowały się zapewne w niewielkiej odległości. Co gorsza, w tej chwili Chińczycy koncentrowali wszystkie wysiłki na uchwyceniu takiego echa. Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że będzie ono bardzo słabe, nie większe niż wywołane przez zatopiony kuter pościgowy.

W dodatku na ekranach mogło się pojawić tylko jedno echo, co tym bardziej powinno przekonać Chińczyków, że mają do czynienia z sygnałem własnej łodzi patrolowej.

W duchu pobłogosławiła Hiro za szybką reakcję. Podziękowała także sobie za to, że nigdy nie lekceważyła sądów podległych jej oficerów.

–Oficer wachtowy, ster lewo na burt, kurs zero dziewięć zero – rozkazała. – Wszystkie silniki cała naprzód, docelowa prędkość: trzydzieści węzłów.

Kurczowo zaciskając w dłoni mikrofon, Ken Hiro pochylił się nad konsolą łączności, z przejściem wbijając wzrok w kratkę zakrywającą głośnik radiostacji. W centrum informacyjnym nastąpiło błyskawiczne rozdzielenie funkcji. Dix Beltrain, pełniący służbę oficera operacyjnego, dodatkowo wziął na siebie obowiązki dowódcy centrum, natomiast Christine Rendino zajęła stanowisko u boku komandora, by w razie konieczności dostarczyć mu niezbędnych informacji lub przekazać dalej jego meldunek.

–Dowódca eskadry do wszystkich patroli. Rozpocząć przeszukiwanie powierzchni morza na wschód od swoich pozycji. Dowódca eskadry do pięćset dziewiętnaście. Nie widzimy na swoim radarze żadnej niezidentyfikowanej jednostki. Czy możecie dokładniej opisać ten kontakt?

Hiro zaczął gorączkowo dobierać w myślach słowa.

–Pięćset dziewiętnaście do dowódcy eskadry. Naszym zdaniem ten kontakt to amerykański... – Matko Boska, jak po chińsku może się nazywać klasa Stealth, pomyślał. – ...okręt wojenny o niskiej wykrywalności. Straciliśmy już kontakt wzrokowy z celem. Płyniemy na wschód, żeby go odzyskać.

–Co się dzieje, komandorze? – zapytała szeptem Rendino.

–Czerwoni zachodzą w głowę, dlaczego nie wyłapują żadnego echa na ekranach radarów. Wyjaśniłem im właśnie, że ruszamy na wschód w pościg za amerykańskim niszczycielem klasy „Cunninghama”.

–Jezus Maria! W ten sposób możemy się sami zapędzić w kozi róg!

„Księżę” zaczął się szybko oddalać od wejścia do delty Jangcy, lecz łańcuszek chińskich kutrów pościgowych ruszył za nim z tą samą prędkością. Był jak słoń, który wykorzystując przewagę technologiczną, dotrzymuje kroku grupie gazeli.

Arkady w pełnym skupieniu trwał na stanowisku sterowym. Tylko na krótko pozwolił sobie zerknąć w bok, na Amandę, ledwie widoczną w słabej poświacie ekranów urządzeń taktycznych, w które wpatrywała się intensywnie.

–Mostek, tu centrum informacyjne. Komandor Hiro przekazuje, że czerwoni dostali rozkaz włączenia napędów odrzutowych i zwiększenia prędkości do trzydziestu pięciu węzłów.

–Zrozumiałam. – Garrett szybko rozłączyła się z siecią interfonu. – Panie Arkady, proszę zwiększyć obroty do prędkości trzydziestu pięciu węzłów. Sekcja kamuflażowa, uruchomić wzmacniacze sygnałowe. Odpowiednio poszerzyć nasz przekrój radarowy i nasilić odbicie o pięćdziesiąt procent.

Arkady pospiesznie przekazał nowe parametry marynarzowi nadzorującemu moc silników. Zrozumiał, że uruchomienie wzmacniaczy odbitego sygnału ma na celu dopasowanie mocy radarowego echa do tego samego poziomu, jaki musiały dawać ścigające ich kutry po włączeniu dodatkowego napędu. Amanda zamierzała więc dalej bawić się z Chińczykami w ciuciubabkę.

Zszedł ze stanowiska i stanął obok Garrett, nie spuszczał z oczu obrazów wyświetlanych na szeregu monitorów taktycznych. Niby mimochodem musnął palcami jej dłoń.

–Spieprzyłam sprawę, Vince – szepnęła. – Schrzałam tak, że bardziej już nie można.

–Trzymaj się, dziecino. Jeszcze nie wszystko stracone.

–Pięćset dziewiętnaście, posterunki lądowe wykryły słaby sygnał radiowy emitowany z waszej pierwotnej pozycji. Czy możecie to jakoś wyjaśnić?

–Pytają o sygnał transpondera – przekazał Hiro. – Pewnie chodzi o sygnał namiarowy zrzuconej przez nas tratwy ratunkowej.

–Proszę udawać, że o niczym nie wiemy – podsunęła Christine.

–Pięćset dziewiętnaście do dowódcy eskadry. Nic nam na ten temat nie wiadomo.

–Pięćset dziewiętnaście, czy odzyskaliście już kontakt wzrokowy z celem?

–Pięćset dziewiętnaście do dowódcy eskadry. Nadal nie mamy kontaktu. Kontynuujemy pościg na wschód.

Mimo zniekształconej przez nadajnik barwy głosu rozmówcy pierwszy oficer „Księcia” bez trudu wyczuwał jego narastającą podejrzliwość.

–Pięćset dziewiętnaście, czy na pewno się nie pomyliliście z identyfikacją celu?

–Nie. Potwierdzam wcześniejszy meldunek. – Wyłączywszy nadawanie, Hiro

przekazał szeptem Rendino: – Wydaje mi się, że zaczynają coś podejrzewać.

–Niewykluczone, że zaraz przystąpią do sprawdzania tożsamości rozmówcy, na przykład pytając o nazwiska Chińczyków z dowództwa dywizji czy floty.

–Pięćset dziewiętnaście, dajcie do mikrofonu porucznika Kanga.

Jasna cholera!

–Porucznik jest w tej chwili na dziobie kutra i nie może podejść do radiostacji.

Głośny trzask zasygnalizował przerwanie łączności.

–Straciliśmy kontakt, panie komandorze – powiedział technik. – Czerwoni przeszli na łączność szyfrowaną cyklicznymi zmianami pasma.

–To koniec – mruknął Hiro, odkładając mikrofon. – Zostaliśmy zdemaskowani.

–Trzask i po wszystkim, kapitanie – zameldowała Rendino przez interfon. – Czerwoni przekonali się właśnie, że wpuszczamy ich w maliny.

–Zrozumiałam. Wyłączyć wzmacniacze sygnału, powracamy do kamuflażu.

Amanda z powrotem przeniosła wzrok na ekrany monitorów taktycznych. Środkowy, przekazujący ten sam obraz, który widniał na wielkim ekranie Alfa w centrum informacyjnym, ukazywał sytuację w najbliższym otoczeniu niszczyciela. Nadajniki radarowe „Księcia” zostały wyłączone, lecz wychwytywacze wiązek pracowały bez przerwy, a dzięki zbieranym przez nie sygnałom komputer wyliczał pozycję i odległość dzielącą ich od każdego działającego źródła promieniowania w tym rejonie.

Powstały w ten sposób obraz nie zostawiał żadnych wątpliwości. Eskadra chińskich kutrów pościgowych szła w rozsypkę i skręcała właśnie na południe, ruszając śladem uciekającego intruza.

–Oficer pachtowy, ster prawo na burt, kurs jeden trzy pięć. Wszystkie silniki cała naprzód.

–Są wszystkie silniki cała naprzód, pani kapitan. Skręcamy na kurs jeden trzy pięć.

Niewiele było jednostek na świecie zdolnych dogonić umykającego pełną mocą „Cunninghama”. Jak na złość, wyposażone w hydroplaty kutry pościgowe klasy Huszuan były w stanie go nawet prześcignąć. A co gorsza, z jeszcze większą łatwością mogły tego dokonać wielkie torpedy typu 53, w jakie owe kutry były uzbrojone.

Amanda rozkazała skręcić na południowy wschód, mając nadzieję, że zwiększy w ten sposób dystans do ścigających jednostek. Ale patrząc na ekran monitora przekonała się szybko, że i chińskie kutry torpedowe powtórzyły ten manewr. Nadal podążały ich śladem, przybliżając się stopniowo.

Pospiesznie przełączyła monitor na inny obraz i ten potwierdził jej podejrzenia. Radarowe echo „Cunninghama” było zdecydowanie za słabe, aby wyłowiły je prymitywne, powszechnie określane mianem „łysielców” urządzenia eskadry pościgowej. Zatem kutry musiały być naprowadzane z dysponującego silniejszym radarem posterunku ochrony wybrzeża. Komputerowy obraz rysowany na podstawie wskazań czujników wiązek radarowych nie zostawiał żadnej wątpliwości co do tego, która z przybrzeżnych stacji prowadzi namiary uciekającego niszczyciela.

Ona zaś niewiele mogła w tej sytuacji zrobić.

Ograniczały ją sztywno sformułowane przepisy regulaminu działań zbrojnych, a w szczególności paragraf mówiący, że nie wolno im otwierać ognia, dopóki okręt nie znalazł się pod ostrzałem.

Naruszając ten punkt regulaminu, niechybnie zapewniłaby sobie miejsce przed sądem wojennym. Przyszło jej do głowy, że w końcu nie kładła na szali aż tak imponującej kariery, skoro przed paroma minutami sprowokowała poważny międzynarodowy incydent zbrojny. Pozostała jej więc tylko troska o los „Księcia” i jego załogi.

Uśmiechnęła się ironicznie do swoich myśli, przełączyła na interfon i powiedziała do mikrofonu:

–Oficer taktyczny, przygotować wyrzutnie pocisków HARM. Musimy unieszkodliwić jedną z chińskich stacji radarowych.

W centrum informacyjnym Dix Beltrain pospiesznie wydał stosowne komendy. Rozkazał uaktywnić wybrane silosy i przystąpić do rozgrzewania silników rakiet. Z uwagą obserwował zapalanie się kontrolki sygnalizujących otwarcie pokryw kolejnych wyrzutni i słuchał meldunków techników donoszących o uruchomieniu poszczególnych systemów. Jednocześnie przygotowywał się psychicznie na tę chwilę, która chyba na zawsze miała dla niego pozostać silnie stresująca.

Ledwie się pozbierał po pierwszym odpaleniu rakiety z głowicą bojową, w jakim przyszło mu uczestniczyć. Omal nie zżarło go połączenie myśliwskiej tremy i strachu. Od tego czasu jednak zdołał wypracować własną metodę trzymania nerwów na wodzy.

Stosował tę samą technikę treningu psychicznego, której się nauczył podczas występów w drużynie piłkarskiej Alabama’s Crimson Tide. Wtedy też musiał

pokonywać jednocześnie strach przed odniesieniem groźnej kontuzji, lęk przed sprawieniem zawodu kolegom i obawę o losy meczu. Wystarczyło dokładnie przeanalizować każdą z przyczyn zdenerwowania, po czym zepchnąć ją na dno pamięci, zamknąć w najdalszym zakątku umysłu i za żadną cenę stamtąd nie wypuszczać, dopóki nie straci na aktualności.

W jego wypadku ta metoda okazała się skuteczna.

Zaledwie zdążył teraz skontrolować gotowość wyrzutni, kiedy na konsoli zapaliła się lampka ostrzegająca przed groźbą ataku.

–Radar stacji nadbrzeżnej został przełączony z poszukiwania celu w tryb naprowadzania! – zawołał ze swego stanowiska Frank McKelsie. – Zostaliśmy namierzeni! Bateria pocisków HY-2 szykuje się do odpalenia!

Beltrain aż zaklął pod nosem. Skąd, do cholery, pierwsza dama mogła wiedzieć, że czerwoni szykują się właśnie do otwarcia ognia? – pomyślał.

Z głośników popłynął spokojny, zrównoważony głos Amandy Garrett:

–Widzimy to, centrum. Ogłaszam alarm bojowy! Wyłączyć układy kamuflażowe! Uruchomić radary naprowadzające. Wszystkie systemy obronne ustawić w tryb Armagedonu! Powtarzam: wszystkie systemy obronne, tryb Armagedonu!

Niech mnie kule biją, ta kobieta ma nerwy ze stali, pomyślał Beltrain. Właśnie teraz, kiedy może dojść do ostateczności, odzyskała całkowity spokój!

Na mokrej od deszczu chińskiej plaży buchnęły nagle jężory pomarańczowych płomieni. Pocisk HY-2, przeznaczony do zwalczania celów pływających, wystrzelił wzdłuż prowadnic samobieżnej wyrzutni i napędzany potężną rakieta na paliwo stałe wzniósł się pod ostrym kątem w mroczne niebo.

Na szczęście HY-2, bardziej znany jako „Silkworm”, gdyż tak go przed laty ochrzcili specjaliści NATO, był również bronią przestarzałą. Chińczycy dysponowali własnym odpowiednikiem groźnych radzieckich SSN-2 „Styks”, bodaj najskuteczniejszych pocisków raketowych w walce z okrętami przeciwnika. Były to wręcz niewielkie samoloty bezzałogowe o deltoidalnych skrzydłach, napędzane silnikami turboodrzutowymi, naprowadzane własnym radarem zrobotyzowane kamikadze, które wbijały się głęboko pod blachy poszycia i eksplodowały dopiero wewnątrz okrętu, siejąc straszliwe spustoszenia.

Ale mimo swej prymitywnej budowy dźwigająca półtonową głowicę rakiet HY-2 także mogła poczynić wiele szkód, gdyby zdołała dotrzeć do celu.

„Cunningham” samoczynnie odpowiedział na zagrożenie. Kiedy tylko radar

planarny systemu SPY-2A wyłowił lecący pocisk, do komputera z szybkością światła pomknęły impulsy, które uruchomiły i zaprogramowały układy sterowania uzbrojeniem systemu Aegis. Sprzężenie tych dwóch modułów dawało w rezultacie coś, co można by już określić mianem sztucznej inteligencji, gdyż rozbudowane programy komputerowe były w stanie w ciągu ułamków sekundy rozpoznać zagrożenie i przeanalizować dostępne opcje. A skoro systemy obronne zostały przestawione na tryb pracy zwany po prostu Armagedonem, komputer zyskiwał ponadto całkowitą swobodę w wyborze środków przeciwdziałania zagrożeniu i nie musiał czekać na interwencję człowieka.

Porównanie siły rażenia nadlatującego pocisku z dostępnym arsenałem środków obronnych „Księcia” zajęło więc ledwie parę mikrosekund. Komputer wybrał niewielką rakietę typu „Sea Sparrow”, do odpalania których przeznaczony był tylko jeden, umieszczony najdalej na dziobie silos.

Automatycznie zwały się odpowiednie styczniki. Ładunek sprężonego gazu obojętnego wyrzucił smukły, czterometrowy pocisk nad pokład. Dopiero tu włączył się silnik odrzutowy i rakietę wystrzeliła w niebo. Skupiona wiązka radarowa systemu sterowania uzbrojeniem niszczyciela bez przerwy śledziła lot wrogiego pocisku i na tej podstawie komputer drogą radiową skierował „Sea Sparrow” w jego kierunku.

Oba pociski zderzyły się w powietrzu dwie mile od brzegu. HY-2 ledwie osiągnęła wierzchołek toru swego lotu, kiedy dopadła ją naprowadzana potrójnym systemem sonicznym antyrakieta „Księcia”. Na nocnym niebie eksplodowała kula niebieskawych płomieni, która czerwieniejąc zaczęła szybko opadać do morza.

–Wampir zestrzelony! Wampir zestrzelony! Program przechwytywania systemów obronnych zakończył się sukcesem. Pocisk HY-2 już nam nie zagraża!

–Doskonale, ale nie mam ochoty dać im drugiej szansy, Dix – oznajmiła stanowczo Amanda. – Odpalić pocisk HARM w kierunku chińskiej radarowej stacji naprowadzającej.

Znów pochyliła się nad ekranem monitora taktycznego, szacując odległości i potencjalne zagrożenia ze strony ścigającego ich przeciwnika. Idący przodem kuter pościgowy znajdował się już tylko trzy mile od „Cunninghama”, zatem na tyle blisko, by złapać wyraźne echo radarowe niszczyciela i wypuścić torpedę.

–Drugi cel. Odpalić „Standard” w stronę pierwszego kutra ścigającego nas eskadry.

–Rozkaz, kapitanie.

Niemal w tej samej chwili rozległ się stłumiony huk odpalanego silnika zimnego startu i ponad kłapą pionowej wyrzutni ukazał się mroczny kształt smukłego pocisku pięciometrowej długości. Jak gdyby na ułamek sekundy zawisł on nad pokładem,

zaraz jednak z dyszy wylotowych strzeliły długie jęzory płomieni i z wolna nabierając szybkości rakieta pomknęła w stronę brzegu. Mogło się zdawać, że między okrętem a powierzchnią morza na krótko zapalił się łuk elektryczny. Jego blask nie zdążył jeszcze przygasnąć w oddali, kiedy w powietrze wyleciała druga rakieta. Ale ta pomknęła wzdłuż ciasnego łuku w kierunku ścigającej niszczyciel chińskiej łodzi.

Pociski SM-2 „Standard” rozpoczęły swój żywot jeszcze pod koniec lat sześćdziesiątych jako przeciwlotnicza broń raketowa średniego zasięgu. Szybko jednak zmodernizowano ich napęd tak, by nadawały się do zwalczania celów naziemnych i nawodnych, stały się więc podstawą do skonstruowania systemu HARM, czyli samonaprowadzających się pocisków antyemisyjnych. Elektroniczne układy tych rakiet namierzały wybrane źródło promieniowania radiowego bądź radarowego i prowadziły pocisk wzdłuż emitowanej wiązki jak po sznurku. Oględnie mówiąc, działanie tej broni przypominało wetknięcia palca w oko przeciwnika.

Dowódcy chińskiej artylerii raketowej doskonale zdawali sobie sprawę z możliwości systemów naprowadzania typu HARM, toteż gdy tylko ich urządzenia zasygnalizowały odpalenie pocisku z „Cunninghama”, padł odpowiedni rozkaz i operatorzy radarów natychmiast wyłączyli swoje urządzenia.

Ale było już za późno. Układy naprowadzające rakiet „Standard” wyposażono także w elektroniczną pamięć.

Pocisk, kierowany na ostatnio zarejestrowaną pozycję nadajnika, przemknął nad plażą, a po zwarcu obwodów zbliżeniowych ponad stukilogramowa głowica odłamkowa eksplodowała w powietrzu. Setki szrapneli ze stali wolframowej posiekały całą chińską baterię artylerii raketowej, niemal doszczętnie zniszczyły samobieżny radar naprowadzający oraz jego wielką składaną antenę.

Na szczęście dla żołnierzy nie był to stacjonarny radarowy posterunek ochrony wybrzeża, a dowódca jednostki samobieżnej okazał się wystarczająco zapobiegliwy i rozkazał, by samochód z urządzeniami naprowadzającymi zajął pozycję w pewnej odległości od reszty baterii, gdyż ich działaniem można było sterować zdalnie. W efekcie nikt nie zginął i skończyło się na kilku niegroźnych ranach żołnierzy działonu.

Całkiem odmienny los spotkał załogę kutra pościgowego. Drugi pocisk eksplodował bezpośrednio nad łodzią, w ułamku sekundy uśmiercając wszystkich przebywających na pokładzie i w sterówce. Pozbawiony sternika kuter jął zataczać coraz ciaśniejsze kręgi, zanim w końcu jeden z dwóch ocalałych i tylko ogłuszonych mechaników znajdujących się w maszynowni zrozumiał grozę sytuacji i wyłączył silniki.

–Mostek. Czerwoni wyłączyli wszystkie radary. Nie jesteśmy już namierzani – zameldował przez interfon porucznik McKelsie z sekcji kamuflażowej.

–Doskonale, panie McKelsie. Wyrzucić pełny zestaw celów pozornych. Centrum, wyłączyć wszystkie radary. Powracamy do trybu kamuflażowego. Oficer wachtowy, ster lewo na burt, kurs zero cztery pięć.

Kiedy tylko „Cunningham” zaczął wykręcać na wschód, z pomocniczych wyrzutni na dziobie i w tylnej części nadbudówki w niebo wystrzeliły granaty napędzane małymi silnikami raketowymi. Po rozprzestrzenieniu się na dość dużym obszarze niczym nie świecące fajerwerki wystrzeliły z nich na wszystkie strony szerokie wstęgi silnie odbijającej promieniowanie radarowe folii metalowej.

Gdyby w ciągu najbliższych paru minut chińskie baterie ponownie uruchomiły radary naprowadzające, ich operatorzy mieliby olbrzymi kłopot z wybraniem spośród masy odbić echa uciekającego celu.

Amanda w żadnym stopniu nie zamierzała ułatwiać przeciwnikowi życia. W drodze na południowy wschód ścigające „Księcia” kutry torpedowe rozciągnęły się w długą linię, toteż teraz, po wykręceniu o ponad dziewięćdziesiąt stopni, chińska eskadra znalazła się między lądem a niszczycielem, przez co stała się o wiele łatwiejszym łupem dla samonaprowadzających pocisków artyleryjskich.

–Panie McKelsie, czy radary czerwonych są wciąż wyłączone?

–Tak, kapitanie. Chyba nieźle im napędziliśmy strachu.

–Miejmy nadzieję. Oficer operacyjny, jeśli tylko urządzenia ostrzegawcze wyłapią wiązkę naprowadzającą przeciwnika, pošlijcie im kolejną raketę. Nie czekaj na moje rozkazy, Dix.

–Będę trzymał palec na spuście, pani kapitan.

Upłynęły dwie minuty, potem trzy. Burza oddalała się na północ, niebo na horyzoncie przed „Cunninghamem” z rzadka rozjaśniały błyskawice. Deszcz niemal zupełnie ustał, toteż marynarz pełniący wachtę na mostku wyłączył dmuchawy i wycieraczki. Ale zapadła nagle cisza zdawała się jeszcze bardziej elektryzować atmosferę.

Minęły cztery minuty. Okręt systematycznie oddalał się od brzegu. Amanda poczuła nagle silne ukłucie w piersi i dopiero po chwili zrozumiała, że z wrażenia wstrzymała oddech. Znacznej poprawie uległ obraz przekazywany przez kamery podczerwone i na głównym ekranie skanera termograficznego zamajaczyła sylwetka pierwszej ze ścigających ich chińskich łodzi, płynącej pełną mocą silników na południowy wschód. Wyglądało na to, że „Książę” wyszedł już z opresji.

–Na lądzie uaktywnił się kolejny radar naprowadzający! – zameldował przez interfon McKelsie, a jego głos wdarł się przez głośniki na mostek niczym eksplodująca

bomba. – Wyłapujemy wiązkę przeczesującą... Przełączył się na tryb naprowadzania! Czerwoni szykują się do następnego odpalenia!

–Mam na niego namiar! – wtrącił szybko Dix Beltrain. – Wprowadzam parametry celu... HARM odpalona!

Ponownie za przednią szybą wystrzelił słup niebieskawych płomieni, rozświetlając widmowym blaskiem całą przestrzeń mostka.

–Nadlatuje wampir! Mamy aktywną wiązkę naprowadzającą rakiety HY-2!

–Włączyć wszystkie radary! – rzuciła Amanda do mikrofonu. – Uruchomić systemy obronne i zainicjować program zwalczania w pełnym spektrum radarowym.

–Proszę zaczekać, kapitanie! – zawołał McKelsie. – To nie my jesteśmy celem!

–Cofam rozkazy! Pozostawić tryb maskowania. Jesteś tego pewien, McKelsie?

–Całkowicie! Łapiemy tylko odbicie wiązki naprowadzającej. Nie my jesteśmy celem. Nie musimy się niczego obawiać.

–W takim razie do kogo strzelają?

–Nie mam pojęcia, kapitanie, ale na pewno nie do nas... Zaraz... Wiązka naprowadzająca rakiety HY-2 przed chwilą została wyłączona. Chyba zneutralizowali pocisk.

Przez chwilę panowała napięta cisza. Wreszcie jeden z techników zameldował:

–Rozbłysk po bakburcie, na kierunku względnym dwa dwa zero. To wygląda na detonację na powierzchni morza, kapitanie. Wychwytujemy bardzo silny sygnał termograficzny.

–Moim zdaniem czerwoni sprowokowali tak zwany wypadek przy pracy, kapitanie – odezwał się Arkady ze stanowiska sterowego. – Chyba właśnie wyekspediowali na tamten świat załogę własnego kutra pościgowego.

–Nie wątpię jednak, że w doniesieniach prasowych podadzą coś zupełnie innego.

Amanda poczuła, że dłużej już nie wytrzyma w ciężkim hełmie. Kropelki potu spływały jej z brwi do oczu. Energicznym ruchem otarła czoło wierzchem dłoni.

–Ster prawo na burt, kurs zero dziewięć zero, Arkady. Wszystkie silniki cała naprzód. Boże, wynośmy się stąd jak najprędzej...

Jaskrawożółta tratwa ratunkowa powoli dryfowała po morzu, ciągnąc za sobą na

lince moduł sygnalizacyjny złożony z migającej rytmicznie lampki i wodoszczelnego nadajnika radiowego. Bosman Hung dostrzegł światło migacza zaraz po tym, jak wyciągnął nieprzytomnego Żu na powierzchnię. Energicznie wymachując jedną ręką, popłynął w tamtym kierunku.

Przerzucił prawą nogę przez krawędź wielkiego pontonu i postępując z wysiłku, wciągnął za sobą do środka ogłuszonego porucznika. Ułożył go na dnie najlepiej jak potrafił i zaczął przeszukiwać komorę ze sprzętem ratunkowym znajdującą się na drugim końcu tratwy.

Znalazł sygnalizator fosforescencyjny, który szybko zgiął, przełamując znajdującą się wewnątrz szklaną rurkę, przez co pobudził go do świecenia. W zielonkawej poświacie sygnalizatora uważnie obejrzał rannego dowódcę. Tamten oddychał jednak rytmicznie, a z płytkiego rozcięcia na czole wysączyło się zaledwie parę kropeł krwi. Poza tym chyba nic poważniejszego mu się nie stało.

W drugiej komorze znalazł koce. Wyciągnął dwa, jednym starannie opatulił Szana, drugi narzucił sobie na ramiona. Miał już zamiar usadowić się wygodnie przy burcie, kiedy Żu szarpnął się raz i drugi, po czym głośno jęknął.

–Wyszliśmy z tego cało, poruczniku – rzekł.

–Hung? Co się stało? – wymamrotał tamten, usiłując się dźwignąć na łokciu.

–Proszę leżeć spokojnie, nie mamy tu nic do roboty. Nasz kuter zatonął, dryfujemy na tratwie ratunkowej.

–Na tratwie?

–Tak, poruczniku. Wyrzucili ją z tego okrętu, który nas staranował. Moim zdaniem to byli Jankesi. – Bosman zrobił znaczący ruch ręką w stronę ciemnego horyzontu na wschodzie. – Później stamtąd dolatywały odgłosy walki. Słyszałem świst pocisków rakietowych, a potem, gdy już dopływałem do tratwy, po wodzie rozniósł się huk eksplozji. Nie umiem powiedzieć, kto kogo trafił.

–Co z załogą? Gdzie reszta ludzi?

–Zginęli – odparł posępnym tonem Hung, rozrywając opakowanie racji żywnościowej. – Kuter przełamał się na pół, część rufowa od razu poszła na dno. Mechanicy Czang i Waiu oraz celowniczy Żong pewnie nawet nie zdążyli otworzyć pokrywy luku. Sternik Szi, radiooperator Feng i działonowy Liau znajdowali się w sterówce, która podczas zderzenia została doszczętnie zmiażdżona. Strzelec Gang był ze mną na dziobie, ale ten głupek wbrew rozkazom zdjął kamizelkę ratunkową. – Ostrożnie odwinął papier z czekoladowego batonika. – Pewnie utonął.

–Cała załoga zginęła – szepnął z przejęciem Szan. – Jak to możliwe, że my dwaj wyszliśmy z tego cało?

–Pewnie jeszcze nie przyszedł na nas czas, poruczniku – odparł filozoficznie bosman, przeżuwając duży kęs czekolady.

Przez dłuższy czas na pokładzie „Cunninghama” nie odwoływano jeszcze alarmu bojowego, mimo że okręt spokojnie kontynuował ucieczkę na wschód, zwolniwszy do normalnej prędkości rejsowej. Minęli granicę dwunastomilowej chińskiej strefy przybrzeżnej, a na pulpitach systemów ostrzegawczych nadal paliły się zielone światełka. Udało im się wyjść cało z opresji. Ale gdy tylko opadła bitewna gorączka, do głosu doszły obawy o konsekwencje niedawnego konfliktu zbrojnego.

Vince Arkady raz i drugi zerknął na Amandę siedzącą w kapitańskim fotelu. Tkwiła bez ruchu, zamyślona, tępo wpatrując się w mrok za szybą, oświetlona zielonkawą poświatą monitorów.

Zdawał sobie sprawę, że w trakcie tego rejsu przyjdzie mu nieraz walczyć z pokusami, chociaż brał głównie pod uwagę czysto fizyczne pożądanie. Nie podejrzewał, że sytuacja stresowa obudzi w nim głębsze odczucia. Teraz jednak niczego tak nie pragnął, jak tego, by nie bacząc na ludzi pełniących służbę na mostku, podejść do Amandy, utulić ją w ramionach i szepnąć na ucho, że wszystko zakończy się pomyślnie.

W napiętą ciszę brutalnie wdarł się trzask z rozmieszczonych pod sufitem głośników.

–Kapitanie, tu Krucze gniazdo – odezwała się Christine Rendino swobodnym, niemal radosnym tonem. Chyba tylko ona nie odczuwała ciężaru troski o wspólną przyszłość, podniecenie zdawało się ją rozpierać. – Jak będzie pani miała chwilę czasu, proszę tu przyjść. Musi to pani zobaczyć na własne oczy!

Rozdział 21

Pearl Harbor, Hawaje

13 sierpnia 2006, godz. 7.52 czasu lokalnego

Jaskrawe promienie słońca zalewały niewielkie pomieszczenie, będące połączeniem kuchni z jadalnią w służbowym mieszkaniu Elliotta MacIntyre'a.

–Ależ tato...!

Admirał ironicznym uśmiechem przyjął ten typowy dla amerykańskiej nastolatki okrzyk buntu. Odnosił wrażenie, że będzie go musiał słuchać już do końca życia.

–Posłuchaj, Judy – zaczął mentorskim tonem. – Doskonale wiem, że z całą paczką wybieracie się na plażę nudystów w Waimanalo. Wiem też, że jesteś na tyle duża, iż potrafiłabyś się odpowiednio zachować. Ale ja jednak do tego nie dorosłem. Dlatego też żadnym sposobem nie wydebisz ode mnie zgody.

Jego piętnastoletnia córka, coraz bardziej upodabniająca się do matki, kruczowłosej piękności, westchnęła teatralnie i odwróciła się w stronę kuchni. MacIntyre uśmiechnął się jeszcze szerzej i powrócił do przerwanej lektury gazety.

Podobnie jak większość ludzi pełniących odpowiedzialne stanowiska w dowództwie marynarki bardzo rzadko widywał się z rodziną, czego wielokrotnie głęboko żałował. Zwłaszcza że najmłodsza Judy była już ostatnim dzieckiem, które nadal mieszkało w domu rodzinnym, a więc w kontaktach z nią mógłby się jeszcze choć trochę nacieszyć rolą ojca.

Według niepisanych reguł na czas śniadania ustawały wszelkie spory i kłótnie, aby choć w ten sposób mogli nadrobić zaległości wielomiesięcznej rozłąki. Dlatego też admirał nie za bardzo przejmował się nastrojem córki, wychodził bowiem z założenia, że przynajmniej tę godzinę dziennie mogą spędzić w ciszy i spokoju, jak każda przykładowa rodzina.

–To czy mogę przynajmniej pójść dziś wieczorem do Kima? – zapytała Judy, przekrzykując skwierczenie bekonu na patelni.

–A tam wszyscy będą kompletnie ubrani?

–Tato!

–Nie wolno zapytać?

Zadzwoił telefon.

–Odbiorę – rzucił MacIntyre, odsuwając się z krzesłem od stołu.

–Jak ci przyrządzić te jajka? Wolisz jajecznicę czy sadzone?

–Poproszę jajecznicę z dwóch jaj.

Przeszedł do saloniku wykończonego boazerią z bambusa i umeblowanego lekkimi acz wygodnymi sprzętami. Aparat stał na małym stoliku do kawy, w kącie obok sofy.

–MacIntyre – rzucił oschle do słuchawki.

–Dzień dobry, admirale. Tu komandor Doyle z wydziału operacyjnego. – Dowódca NAVSPEC-u od razu rozpoznał głos oficera dyżurnego, lecz zarazem zwrócił uwagę na niezwykle napięcie wyczuwalne w jego głosie. – Mam dla pana wiadomość, którą mogę przekazać jedynie po zaszyfrowaniu połączenia.

MacIntyre pośpiesznie włączył urządzenie zabezpieczające przed podsłuchem. Z niecierpliwością czekał, aż na obudowie aparatu zapali się zielona lampka.

–Szyfrator włączony. Co się stało, komandorze?

–Mamy kłopoty z Operacją „Uriasz”, admirale. – Głos oficera dyżurnego był teraz nieco przytłumiony przez delikatny szum, jaki wytwarzało urządzenie zabezpieczające. – „Cunningham” stał się przyczyną konfliktu zbrojnego, jaki miał miejsce u wybrzeży Chin.

Admirałowi serce podeszło do gardła. Ze złości aż zgrzytnął zębami.

–A dokładniej?

–Doszło do wymiany ognia między okrętem a baterią rakietową obrony wybrzeża. Chińczycy zaangażowali ponadto eskadrę kutrów pościgowych. Dwie, może nawet trzy jednostki, które włączyły się do walki, zostały zatopione.

–A co z „Księciem”? Odniósł jakieś uszkodzenia?

–Nie. Nikt także nie został ranny. Kapitan Garrett umiejętnie wycofała się z zagrożonego rejonu i teraz płynie w stronę otwartego oceanu. Domaga się rozmowy z panem, admirale.

–Rozumiem. Proszę powiadomić o wszystkim sekcję wywiadu strefy Pacyfiku i dowództwo siódmej floty. Będę na miejscu za pięć minut.

Odłożył słuchawkę i pośpiesznie sięgnął po marynarkę munduru oraz czapkę.

Judy, która słyszała ostatnie zdanie ojca, błyskawicznie wsunęła plaster gorącego bekonu między dwie kromki tostowego pieczywa, zawinęła tę prowizoryczną kanapkę w kawałek papieru i wybiegła za admirałem. Ten otwierał już garaż. Podziękował jej, wsunął kanapkę do kieszeni i cmoknął córkę w czoło.

–Przepraszam, kochanie. Muszę lecieć.

–Rozumiem.

Nawet specjalnie jej to nie dziwiło, przyzwyczaiła się już do marynarskiego trybu życia ojca.

Tego dnia MacIntyre pobił chyba rekord trasy, gdyż wstawiał swego porschego na parking przed budynkiem administracyjnym dokładnie cztery minuty po odebraniu telefonicznego wezwania. Z wściekłości coraz głośniejsze zgrzytał zębami. W kilku susach minął wartowników w głównym holu, zapomniawszy zupełnie, że wydał stanowczy rozkaz legitymowania wszystkich wchodzących do dowództwa NAVSPEC-u, nie wyłączając jego samego.

Minutę później wbiegł do centrum operacyjnego. W niezbyt dużym, zatłoczonym pomieszczeniu – będącym pierwotnie oficerską stołówką – gdzie niemal na siłę wtłoczono dwa rzędy stanowisk komputerowych, światła były przygaszone. Na trzech ścianach wisiały olbrzymie rozjaśnione ekrany ukazujące bieżącą sytuację taktyczną.

Oficer dyżurny podniósł się z miejsca na jego widok.

–Cieszę się, że pan już jest, admirale. Obserwujemy dość dużą aktywność w tamtym rejonie.

MacIntyre stanął obok Doyle'a i popatrzył na schematyczną mapę wschodniego wybrzeża Chin, widniejącą na głównym ekranie.

–Co się ostatnio wydarzyło? – zapytał.

–Krajowa Agencja Bezpieczeństwa donosi o znacznym nasileniu komunikatów w pasmach łączności chińskiego naczelnego dowództwa. Ochrona wybrzeża została postawiona w stan pełnej gotowości bojowej. Zarówno sekcja wywiadu siódmej floty, jak i patrole wczesnego ostrzegania naszego lotnictwa meldują o startach licznych samolotów z baz położonych w okolicach Szanghaju. Cech ich lotów nie jest znany.

–Czy admirał Tallman wie już, co się stało?

–Tak. Siódma flota pozostaje w starym kontakcie z naczelnym dowództwem marynarki. Brak jednak meldunków o dalszej wymianie ognia.

–Dobrze... A gdzie jest teraz „Cunningham”?

Oficer dyżurny pokazał jaśniejący punkt na ekranie.

–Tutaj, około dwudziestu mil od brzegu. Płynie wciąż na wschód. Nie został jeszcze wykryty. Czerwoni wciąż nie mogą namierzyć okrętu.

MacIntyre pozwolił sobie na głośne westchnienie ulgi. Przynajmniej przez pewien czas jego ludziom nic nie zagrażało. Nie było żadnej pewności, do czego jeszcze może dojść, ale przynajmniej zyskali trochę czasu na obmyślenie jakiegoś planu działania.

–Proszę mnie połączyć z kapitanem Garrett. I wywołajcie mi na ekranie rozkazy, jakie otrzymała w związku z prowadzoną operacją.

–Tak jest.

W przyległej centrali łączności czekała już na niego przygotowana para słuchawek, a po kilku sekundach na ekranie monitora wyświetliły się żądane informacje.

–Połączenie satelitarne zrealizowane, panie admirale. „Cunningham” na linii.

–Łączcie – rzucił ostro dowódca NAVSPEC-u.

Błyskawicznie przebiegł wzrokiem krótki tekst, odświeżając w pamięci zadania, jakie sam wyznaczył „Księżciu” przed wysłaniem go na zachodni Pacyfik.

–Można mówić, panie admirale.

–Dzięki synu. – Wziął mikrofon z ręki łącznościowca. – Kapitan Garrett? Tu Elliott MacIntyre. Proszę meldować o wyniku swojej misji.

–Jesteśmy świadkami błyskawicznego rozwoju sytuacji strategicznej, panie admirale.

Mimo drobnych zakłóceń w głosie Amandy wyczuwało się silne zmęczenie oraz skrajne zdenerwowanie.

–To chyba jakieś nieporozumienie, kapitanie. Wygląda na to, że dokopaliście niewinnym ludziom. Obserwujemy wzmożoną aktywność chińskich jednostek ochrony wybrzeża, a wy znajdujecie się zaledwie dwadzieścia pięć mil od lądu. Czy jest pani całkowicie przekonana o bezpieczeństwie okrętu? Nie zachodzi obawa, że Chińczycy mogą namierzyć pozycję nadajnika satelitarnego?

–Nie miałam wyboru, panie admirale. Musiałam natychmiast przekazać raport z misji i poprosić o dalsze rozkazy. Potwierdziły się podejrzenia mojej sekcji wywiadowczej

na temat Szanghaju.

MacIntyre szybko przeniósł wzrok na ekran komputera.

–Rzeczywiście czerwoni szykują jakąś większą operację?

–Tak, panie admirale. Przystąpiliśmy już do przesyłania na drugim kanale szczegółowych informacji.

Drukarka stojąca w przeciwległym końcu pokoju nagle ożyła, zaczęła się z niej wysuwać wstęga zadrukowanego papieru. MacIntyre wskazał ją operatorowi i strzelił palcami. Ten poderwał się z miejsca i po chwili podał mu przesłany meldunek.

–Przykro mi z powodu tego zamieszania, panie admirale – ciągnęła Amanda. – Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za wydarzenia u wejścia do delty Jangcy. Obawiam się, że zawiodłam pańskie zaufanie.

–Co się tyczy odpowiedzialności, kapitanie, to wykonywała pani moje rozkazy. Natomiast w kwestii zaufania wolałbym jeszcze o niczym nie przesądzać. Proszę chwilę poczekać.

Zaczął uważnie czytać czterostronicowy raport najeżony specjalistycznym wojskowym słownictwem. Skrzywił się boleśnie, doszedłszy do wniosku, że najistotniejsze informacje można było zawrzeć w paru zdaniach.

–Kapitanie?

–Słucham, panie admirale.

–Proszę płynąć dalej na wschód. Kiedy tylko wyjdziecie z zagrożonej strefy, niech pani wsiada do śmigłowca i leci na „Enterprise”, by osobiście złożyć raport admirałowi Tallmanowi. Podejrzewam, że będziecie oboje mieli sobie bardzo dużo do powiedzenia.

Rozdział 22

Nad Morzem Wschodniochińskim

12 sierpnia 2006, godz. 4.36 czasu lokalnego

Niebo na horyzoncie przybrało barwę stopionego złota. Amanda bez większego zainteresowania obserwowała pierwszy brzask z kabiny Pazia zero jeden, siedziała z głową odchyloną do tyłu na oparciu fotela. Na okręcie próbowała choć na krótko zasnąć, ale po pół godzinie przewracania się na koi doszła do wniosku, że jest to tylko strata czasu.

Byli w powietrzu już od godziny, a czekała ich jeszcze druga godzina podróży do spotkania z lotniskowcem. Pod kadłubem śmigłowca trzeba było podwiesić dodatkowe zbiorniki paliwa. Vince leciał nisko, tuż ponad falami. Łowiąc kątem oka odblaski światła na jego połyskliwym czarnym hełmie, mogła prześledzić rutynowe działania pilota: spojrzenie na horyzont, kontrola wskazań przyrządów pokładowych, znów spojrzenie na horyzont...

Arkady uparł się, że dostarczy ją na „Enterprise” osobiście, i zażył całą garść tabletek kofeinowych w celu zwalczania senności. Od chwili startu z „Cunninghama” prawie się nie odzywał, ale w tej sytuacji Amanda była mu za to nawet wdzięczna. Ponadto miała okazję zyskać pewność, że on nie boi się długich okresów milczenia.

Zaraz jednak musiała dojść do wniosku, że albo Vince odznacza się zdolnościami telepatycznymi, albo czuje na sobie jej spojrzenie, gdyż odezwał się cicho przez interfon:

–Dam centa za twoje myśli, dzieciно.

–Nie wiem, czy są warte nawet tyle.

–W takim razie udostępnił je za darmo.

Amanda westchnęła ciężko.

–No cóż, myślałam o tym, że w drodze powrotnej pewnie zabierzesz na „Księcia” nowego dowódcę.

Nie odpowiadał przez parę sekund, wreszcie energicznie pokręcił głową.

–Chyba się mylisz. Raczej przekażą dowództwo komandorowi Hiro.

–Sądziś, że powinnam się pocieszać tą myślą?

–W każdym razie nie musisz się zamartwiać. Hiro doskonale zna okręt i załogę, a ty nauczyłaś go różnych sposobów wykorzystywania urządzeń kamuflażowych „Księcia”. Na pewno załódze byłoby lepiej pod jego rozkazami niż pod dowództwem jakiegoś sztabowego bubka przywiezionego w aktówce.

Amandę samą zaskoczyło, że mimo stresujących wydarzeń, jakie zaszły w ciągu ostatnich dwunastu godzin, i niepokojących przeczuć na temat najbliższej przyszłości, stać ją jeszcze na uśmiech.

–Chyba niezupełnie się rozumiemy, Vince.

Pilot znowu pokręcił głową.

–Na pewno? Nie zapominaj, że zdążyłem cię już trochę poznać, kochana, i nie sądzę, abyś w takiej chwili chciała wysłuchiwać pustych słów pocieszenia. Nie mamy żadnego wpływu na decyzje, które nasi przełożeni podejmą w zaistniałych okolicznościach. Nic już nie możemy poradzić. Nie zmienia to faktu, że wczoraj wieczorem, kiedy wydawałaś rozkazy dotyczące fatalnego rekonesansu, robiłaś to z pełną wiarą we własne racje. Zgadza się?

Amanda popatrzyła na wschodzące słońce.

–Tak mi się wtedy wydawało.

–A czy gdybyś wówczas wiedziała to wszystko, co wiesz teraz, znała wszystkie plusy i minusy naszej sytuacji, zdecydowałabyś inaczej?

Uśmiechnęła się, gdyż odpowiedź na to pytanie była oczywista.

–Nie.

–Sama widzisz.

Admirał Tallman z całej siły huknął pięścią w biurko.

–Kapitanie Garrett! – wycedził przez zęby. – Przez panią musiałem całą siódmą flotę postawić w stan gotowości bojowej! Szykujemy się do walki! Siedemdziesiąt pięć mil na zachód stąd moje myśliwce próbują zagrozić drogę eskadrze chińskich bombowców Q-6 przygotowanych do zmasowanego uderzenia. Dlatego też bardzo chciałbym się dowiedzieć, z jakiego powodu, do ciężkiej cholery, musiało dojść aż do tego.

Atmosfera w kabinie dowódcy floty była tak napięta, że wręcz zapierało dech w piersi. Amanda wciąż stała na baczność przed biurkiem, podczas gdy szef sztabu niecierpliwie chodził z kąta w kąt za jej plecami. Nad głowami raz po raz rozlegały się

hałas startujących samolotów.

–Najistotniejsze szczegóły zawarłam w swoim wstępnym raporcie – odparła spokojnie Garrett. – Wykonywaliśmy przejście rekonesansowe w poprzek delty Jangcy, wzdłuż wybrzeży szanghajskiego okręgu wojskowego, szukając potwierdzenia teorii dowódcy sekcji wywiadowczej. Porucznik Rendino doszła bowiem do wniosku, że niezwykle niskie natężenie meldunków w tamtejszej sieci łączności jest próbą odciążenia uwagi przeciwnika od tegoż rejonu, co mogłoby świadczyć, że armia komunistyczna prowadzi tam jakieś potajemne przygotowania...

–Znamy pani raport przesłany do naszej sekcji wywiadowczej – przerwał jej komandor Walker. – Na podstawie wcześniejszych obserwacji trudno jest wyciągnąć wniosek co do wspomnianych potajemnych przygotowań. Z mojego punktu widzenia, kapitanie, cała ta wasza misja była prowadzona w ciemno, bez żadnych umotywowanych podstaw.

–Czasami warto polegać na przeczuciach, komandorze – odpowiedziała cicho Amanda. – W każdym razie podczas wykonywania misji zetknęliśmy się z niewyjaśnionymi dotąd zakłóceniami w pracy urządzeń termograficznych. Nie potrafimy określić ich przyczyn, mimo że cały system był sprawdzany już czterokrotnie, zarówno przed wypadkiem, jak i później. Zakłócenia te stały się powodem kolizji niszczyciela z kutrem torpedowym chińskiej ochrony wybrzeża, należącym, jak się później okazało, do eskadry, która patrolowała obrzeża zapory minowej strzegącej wejścia do delty rzeki. Zmuszeni byliśmy wycofać się stamtąd w warunkach wymiany ognia, ostrzelawszy pociskami „Standard” zarówno samobieżną sekcję naprowadzania artylerii rakietowej, jak też drugi ze ścigających nas kutrów patrolu. Udało nam się bez strat opuścić zagrożoną strefę i pod osłoną systemów kamuflażowych wypłynąć na otwarte morze.

–Pozwolę sobie coś pani wyjaśnić, kapitanie Garrett – syknął ze złością Walker. – Sknocila pani sprawę, i to na całej linii. Czerwoni kanałami dyplomatycznymi zaczęli już informować świat, że okręt marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych naruszył granicę chińskich wód terytorialnych. Podobno mają na to niezbite dowody. Podejrzewam, że nie ma pani najmniejszego pojęcia, jakiego rodzaju mogą być te dowody?

–Zapewne chodzi o tratwę ratunkową, którą zrzuciliśmy rozbitkom ze staranowanego kutra.

–Co takiego?! – wybuchnął komandor. – A może pani wyjaśnić, co panią do tego skłoniło?

Amanda odwróciła głowę i zmierzyła szefa sztabu floty surowym spojrzeniem.

–Chciałam ratować tonących ludzi, komandorze!

–Dość tego! – uciął Tallman. – Sądzę, że znamy już przebieg wydarzeń. Pragnąłbym jeszcze wiedzieć, czy rezultaty misji były rzeczywiście warte całego tego zamieszania. Admirał MacIntyre przekazał mi, że zdobyła pani materiały, którym należy się uważnie przyjrzeć.

–Tak, panie admirale. Tuż przed kolizją nasz pasywny sonar wychwycił odgłosy, które uznaliśmy za szum silników konwoju zbliżającego się do ujścia Jangcy. Na wniosek dowódcy sekcji wywiadowczej, porucznik Rendino, wyraziłam zgodę na wykonanie jednorazowego szybkiego skanu radarowego za pomocą silnego nadajnika SPY-2A systemu Aegis. – Amanda oparła aktówkę na brzegu biurka i z trzaskiem otworzyła zamki. – Jak panu zapewne wiadomo, admirale, program analizujący SPY-2A przy uzyskaniu echa z bliskiej odległości potrafi wykreślić sylwetkę namierzonego obiektu. Wykonany przez nas skan rejonu ujścia rzeki pozwolił uzyskać dane wystarczające do całkowicie pewnej identyfikacji zbliżających się jednostek.

Wyjęła z aktówki grubą plastikową teczkę i po chwili rozpostarła na biurku pierwszy arkusz komputerowego wydruku. Tallman i Walker ciekawie zaglądali jej przez ramię, zaintrygowani charakterem zdobytych informacji.

–Oto graficzna interpretacja fragmentu zeskanowanego echa radarowego – ciągnęła – obrobiona komputerowo w celu poprawy jakości obrazu.

Przez całą długość arkusza ciągnęła się gruba, czarna, nieco poszarpana linia przedstawiająca powierzchnię ujścia rzeki. W dwóch miejscach widniały na niej kanciaste wypukłości, które tworzyły niezbyt wyraźne, ale w pełni rozpoznawalne obrysy sylwetek dwóch niedużych okrętów.

–Pierwsza jednostka to prawdopodobnie holownik pilotujący z portu w Szanghaju. Drugą jest bez wątplenia stawiacz min klasy Lienjun. Teraz proszę spojrzeć na dalszą część wydruku, o wiele bardziej interesującą.

Rozpostarła drugi arkusz, na którym linia odchyłała się także w dwóch miejscach, tworząc prawie regularne prostokąty, drugi nieco niższy i znacznie węższy od pierwszego. Ten obraz nie wymagał komentarza. Obaj oficerowie natychmiast rozpoznali zarysy szerokiego kiosku i wąskiego stabilizatora pionowego łodzi podwodnej.

–Ten i dalsze arkusze wydruku ukazują, że w konwoju płynęły trzy okręty – ciągnęła Amanda. – Dokonując pomiarów długości nadbudówki i odległości do płetwy ogonowej zidentyfikowaliśmy dwa pierwsze echa jako szturmowe łodzie podwodne klasy Han. Natomiast za nimi ciągnął uzbrojony w wyrzutnie pocisków balistycznych

okręt typu Blok dwa Sia.

Obaj oficerowie zareagowali tak samo jak ona, kiedy po raz pierwszy poznała owe rewelacje: osłupieli. Przez dłuższy czas w kajucie panowała martwa cisza. Obaj zapewne dokonywali też w myślach znanych jej już dobrze obliczeń chiński okręt podwodny klasy Blok dwa Sia miał na pokładzie szesnaście balistycznych rakiet średniego zasięgu typu Ciu Lang, a szesnaście głowic bojowych tychże rakiet mieściło ładunki termojądrowe o łącznej mocy trzydziestu dwóch megaton.

–Z informacji naszego wywiadu wynikało, że Chińczycy już od roku z górami nawet nie konserwują swojego arsenału nuklearnego – mruknął niepewnym głosem Walker. – Cała flota atomowa stała na kotwicach, gdyż podobno brakowało środków na utrzymanie jej w gotowości bojowej. Czy to możliwe, by postanowili zrobić demonstrację siły i wyposażyli zwykle okręty w makiety?

Amanda energicznie pokręciła głową.

–Nie. – Wyjęła z aktówki płytę kompaktową i położyła ją na wydrukach. – Oto zapis odgłosów wychwyconych przez nasz sonar. Nawet pobieżna ich analiza wskazuje, że wszystkie trzy okręty manewrowały niezależnie od siebie, napędzane reaktorami atomowymi. – Odsunęła się na krok od biurka i przyjęła swobodniejszą postawę. – Według danych, jakimi dysponuje moja sekcja wywiadowcza, w Szanghaju cumowało kilka różnych okrętów podwodnych. Chińskie dowództwo musiało poczynić niemal nadludzkie wysiłki, żeby te trzy jednostki doprowadzić do stanu używalności. Na utworzenie konwoju specjalnie wybrano okres, kiedy rejon delty Jangcy na kilka godzin zniknie z obiektywów kamer naszych satelitów. Dwie łodzie szturmowe zapewne mają wziąć na siebie rolę eskorty, a kuter torpedowy, z którym się zderzyliśmy, stanowił część eskadry tworzącej ubezpieczenie wyjścia konwoju na pełne morze.

–Ciekaw jestem, czy spowodowane przez was zamieszanie nie zmusiło ich do powrotu do portu.

–Wątpię, panie admirale. Komuniści doskonale zdają sobie sprawę, że gdy tylko rozejdzie się wieść o uruchomieniu przez nich atomowych łodzi podwodnych, Tajwańczycy rzucają przeciwko nim wszelkie dostępne środki. Moim zdaniem zrealizowali do końca swój plan i cała ta sfera znajduje się obecnie na morzu.

Admirał Tallman skrzywił się boleśnie. Odsunął na bok płytę kompaktową i jął się wpatrywać w arkusze wydruków z taką intensywnością, jakby chciał w nich znaleźć wyjaśnienie wszelkich tajemnic wszechświata.

–Nolan, ogłoś alarm na mostku – rozkazał wreszcie. – Niech kapitan przekaże pozostałym okrętom, że skręcamy całą flotą na północ. Następnie wezwij dowództwo

operacyjne naszego lotnictwa i każ podjąć intensywne poszukiwania chińskich łodzi podwodnych w promieniu, powiedzmy... stu pięćdziesięciu mil od ujścia Jangcy. Poza tym mam przecucie, że Chińczycy staną się teraz szczególnie wrażliwi na ewentualną obecność w tym rejonie łodzi podwodnych, przekaż zatem, żeby oddelegowano eskadrę myśliwców do osłony naszych Vikingów. Niech przygotowują Bombcatsy, Hummery, cysterny do tankowania w powietrzu, jednym słowem wszystko, co będzie im potrzebne do tego zadania.

–Zrozumiałem, admirale.

–Poinformuj kapitana Williamsa i dowódcę lotnictwa, że chcę ich obu widzieć za pół godziny podczas odprawy na mostku. Tymczasem sekcja wywiadowcza niech przygotuje wszelkie dostępne informacje dotyczące chińskich atomowych łodzi podwodnych oraz warunków do ich zwalczania w interesującym nas rejonie.

–Rozkaz.

Walker ruszył szybko do interfonu znajdującego się na tylnej grodzi. Tallman popatrzył na Amandę spod nachmurzonych brwi.

–Podejrzewam, że nie jadła pani jeszcze śniadania, kapitanie.

Garrett zaprzeczyła ruchem głowy.

–Nie miałam kiedy, panie admirale.

–W takim razie proszę pójść do mesy i zamówić sobie gorący posiłek. A później proszę się zjawić na odprawie na mostku. Chciałbym, żeby wysłuchała pani wszystkiego, co zostanie tam powiedziane.

–Jak pan sobie życzy, admirale. – Amanda spuściła głowę, żeby w jej spojrzeniu nie dało się wyczytać bezgranicznej ulgi.

–Przypominam, że w pani rozkazach znalazł się punkt mówiący, iż „Cunningham” przechodzi pod moją komendę w razie powstania sytuacji konfliktowej w rejonie działania floty. Otóż w zaistniałych okolicznościach, kapitanie, chcę skorzystać z przyznanych mi tym sposobem uprawnień. „Książę” jest obecnie jedynym amerykańskim okrętem znajdującym się tak blisko obszaru poszukiwań. Dlatego rozkazuję, by po powrocie na okręt kazała pani zawrócić i odszukać stracony kontakt z chińską łodzią podwodną. Gdyby ją pani namierzyła, proszę się jej ucześcić do czasu, aż w Waszyngtonie zapadnie decyzja, co dalej robić z tym fantem.

–Rozkaz, panie admirale.

Tallman przez kilka sekund intensywnie wpatrywał jej się prosto w oczy. Ale tym

razem Amanda odniosła wrażenie, że już nie traktuje jej jak wielką niewiadomą, a tylko podległego dowódcę okrętu.

–Muszę przyznać, kapitanie Garrett, że moim zdaniem spełniła pani wszystkie wymagania stawiane przez Napoleona kandydatom do stopnia marszałka armii francuskiej.

Po raz pierwszy uśmiechnęła się szeroko.

–Rozumiem, panie admirale.

Arkady czekał na nią niedaleko admiralskiej kajuty, ukryty przed wścibskimi spojrzeciami marynarzy trzymających wartę przed drzwiami. Oderwał się od ściany, kiedy tylko Amanda wyszła zza zakrętu korytarza, próbując wyczytać z jej miny efekty burzliwej rozmowy.

–Być może stracę „Księcia”, Vince – oznajmiła posępnym tonem. Urwała na chwilę, trzymając go w niepewności, lecz zaraz uśmiechnęła się szeroko i dodała: – Ale jeszcze nie dzisiaj.

Pilot z radości głośno strzelił palcami.

–Znakomicie. Mam rozumieć, że wracamy do wykonywania pierwotnej misji?

–Niestety, tak – odparła, rozglądając się za schodkami wiodącymi na niższy pokład.
– Na razie mamy iść do mesy na śniadanie. Dopiero teraz sobie uświadomiłam, że konam z głodu.

–Ja także. Matko Boska, co za noc!

–Co gorsza, mam przeczucie, że to dopiero początek przygody.

Amanda wyszła z kajuty admiralskiej, kiedy Walker kończył już dyktować rozkazy przez interfon.

–Co pan mówił na temat wymagań Napoleona, admirale? – zapytał, powróciwszy na środek pomieszczenia. – Umknął mi ostatni fragment waszej rozmowy.

Tallman uśmiechnął się i splótł palce na skraju biurka.

–Nawiązałem do starej anegdoty, pochodzącej jeszcze z czasu wypraw napoleońskich. Otóż pewnego razu cesarz musiał awansować któregoś z generałów do stopnia marszałka. Kiedy członkowie sztabu zaczęli wychwalać przed imperatorem zalety swojego kandydata, opisywać szczegółowo jego osiągnięcia, wymieniać bitewne sukcesy i cytować liczne fragmenty opinii kolegów wybrańca,

zniecierpliwiony Napoleon przerwał im nagle i oznajmił: „Przestańcie mi tłumaczyć, że jest to człowiek godny awansu. Ja chcę wiedzieć, czy dopisuje mu szczęście!”

Rozdział 23

Waszyngton, USA

13 sierpnia 2006, godz. 14.12 czasu lokalnego

Kawalkada pojazdów wyglądała tak jak zawsze. Przodem jechał wóz patrolowy stołecznej policji, błyskami migaczy i wyciem syreny torując drogę na zatłoczonej o tej porze New York Avenue. Za nim podążały trzy identyczne czarne limuzyny, przy czym w dwóch, wybranych losowo, podróżowali jedynie członkowie prezydenckiej ochrony. Tyły zamykała brązowa opancerzona furgonetka, wioząca silnie uzbrojony pluton oddziałów specjalnych, oraz drugi wóz policyjny.

Zajmujący miejsce na przednim siedzeniu prezydenckiego auta rzecznik prasowy niemal niedostrzegalnie pokręcił głową.

–Związek zawodowy nauczycieli nie przyjmie z entuzjazmem tego przemówienia, panie prezydencie.

–No cóż, wszyscy musimy się pogodzić z wymogami rzeczywistości, Brian – odparł Childress, unosząc głowę znad swoich notatek. – A jednym z nich jest konieczność zaakceptowania ograniczeń budżetowych, dotkliwych dla wszystkich, niezależnie od ich statusu i pozycji społecznej. Rząd przystępuje właśnie do stopniowego zaostrzania rygorystycznej polityki finansowej państwa, a ja nie zamierzam w najmniejszym stopniu w nią ingerować. Lepiej by było, gdyby ludzie zawczasu do tego przywykli.

–Wolałbym, żeby niektórych spraw nie stawiał pan aż tak ostro, panie prezydencie.

Niespodziewanie zadzwonił jeden z umieszczonych w samochodzie telefonów. Dowódca ochrony pospiesznie sięgnął po słuchawkę. Przez chwilę słuchał w milczeniu, po czym wyciągając ją w stronę Childressa, powiedział:

–Dzwoni doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, panie prezydencie. Z Pentagonu.

Childress przejął od niego aparat.

–Słucham.

–Powinien się pan jak najszybciej zjawić w centrum dowodzenia, panie prezydencie – oznajmił Sam Hanson spokojnym, wyważonym tonem, świadczącym wymownie o wielkim doświadczeniu polityka od trzydziestu lat pełniącego służbę w dyplomacji.

Childress nie miał nawet odwagi o cokolwiek zapytać.

–Już tam jadę. – Oddał słuchawkę dowódcy ochrony i rzekł: – Zawracamy do Pentagonu. Natychmiast.

Towarzyszący mu ludzie również dobrze wiedzieli, że nie należy o nic pytać. Dowódca ochrony pośpiesznie przekazał polecenia przez krótkofalówkę. Syrena jadącego przodem wozu patrolowego zawyła ze zdwojoną mocą. Na najbliższym skrzyżowaniu sznur pojazdów skręcił na południe, a następnie zawrócił w stronę mostu arlingtonskiego.

Pentagon, oddany do użytku w 1942 roku, był pierwotnie największym kompleksem administracyjnym świata. Już wtedy pojawiały się liczne głosy, że po zakończeniu drugiej wojny światowej jego utrzymanie stanie się tylko zbędnym wydatkiem, gdyż w czasach pokoju nikt nie będzie potrzebował tak gigantycznej budowli na użytek wojska.

Ale w rzeczywistości Pentagon stał się za ciasny już po pięciu latach od ostatecznego zakończenia budowy w 1945 roku. Administracja wojskowa potrzebowała dalszych pomieszczeń, a te można było uzyskać jedynie poprzez rozszerzanie podziemnych kondygnacji.

Od tamtej pory aż siedmiokrotnie dokonywano rozbudowy, po czym stopniowo przenoszono ośrodki dowodzenia, działy łączności i centra operacyjne na coraz niższe poziomy. Stąd też obecne główne centrum dowodzenia mieściło się w sali będącej poprzednio podziemnym garażem. Teraz najczęściej można tu było spotkać członków połączonych szefostw sztabów. I właśnie tutaj zapadały najważniejsze militarne decyzje.

Prezydent Childress wielokrotnie bywał w centrum dowodzenia, lecz tego dnia w olbrzymiej sali panowała tak naelektryzowana atmosfera, jakby za chwilę miała nadciągnąć letnia burza z piorunami. Już od wejścia na przeszkloną galerię było widać, że niemal na wszystkich stanowiskach operacyjnych wre intensywna praca. Także w komunikatach padających z rzadka przez interkom wyczuwało się takie napięcie, że prezydent jeszcze bardziej przyspieszył kroku.

W głównej sali odpraw czekali już na niego Sam Hanson oraz barczysty, siwiejący dowódca lotnictwa, generał Morrell Landry, będący zarazem przewodniczącym połączonych szefostw sztabów. Ten drugi pochylał się nad konsolą łączności, mówiąc coś cicho do słuchawki.

Doradca szybko ruszył w kierunku wchodzącego naczelnego dowódcy sił zbrojnych.

–Przepraszam, że zakłóciłem panu porządek dnia, panie prezydencie, ale wygląda

na to, że sytuacja w Chinach zaczęła się błyskawicznie komplikować.

–Czyżby nasilały się walki?

–Ich eskalacja trwa w postępie geometrycznym. Co gorsza, ktoś właśnie postanowił rzucić na rozgrzaną patelnię śmierdzące gówno.

–Co się stało?

–Jeden z naszych zakamuflowanych niszczycieli w trakcie rejsu zwiadowczego u wejścia do delty Jangcy zebrał dowody na to, że komuniści rozpoczęli ściśle tajną operację morską. Nawiasem mówiąc, doszło nawet do groźnej wymiany ognia. Do tej pory jednak nie mamy żadnych meldunków o jakichkolwiek stratach z naszej strony. Przygotowywany jest już dla pana pełny raport o tym incydencie. Ale wracając do spraw najważniejszych, zyskaliście niezbite potwierdzenie, że czerwoni zdołali wyszykować i wysłać na morze niewielką flotę atomowych łodzi podwodnych uzbrojonych w pociski balistyczne. Na razie ich cel nie jest znany.

–I mielibyśmy zakładać, że kryje się za tym coś niezwykłego?

Hanson pokiwał głową.

–Owszem. To od wielu lat pierwsze wyjście w morze tak groźnej chińskiej jednostki. Ponadto przygotowania do tej operacji prowadzone były w najściślejszej tajemnicy. A biorąc pod uwagę obecną sytuację w Chinach, trudno przypuszczać, że to zwykły zbieg okoliczności.

Childress nabrał głęboko powietrza i wypuścił je ze świstem przez zaciśnięte zęby. Po chwili opadł ciężko na jeden z głębokich foteli.

–Rozumiem – mruknął. – Czy są jakiegokolwiek szansę na to, że niepotrzebnie przywiązujemy zbyt wielką wagę do tego zdarzenia? Czy nie może to być zwykły rejs ćwiczebny?

–Wszystkie nasze ośrodki, a więc CIA, DIA, NSA, RAND, niezależnie od siebie usiłują przewidzieć możliwy rozwój wydarzeń w Chinach. I wszyscy są zgodni co do tego, że komuniści stanęli wobec perspektywy przegranej wojny domowej. Zostali przyparci do muru, a w tych warunkach mogli dojść do przekonania, że jedyną szansą ratunku jest wykorzystanie arsenału nuklearnego... w najbliższym czasie.

–Matko Boska... – Zabrzmiało to niemalże jak początek modlitwy.

Mimo to doradca postanowił jeszcze ostrzej sformułować wnioski.

–Reaktywowanie przez komunistyczne władze Chin arsenału nuklearnego w obecnej

sytuacji może mieć tylko jeden cel, panie prezydencie.

Childress zdążył już jednak odzyskać nieco zimnej krwi.

–Gdzie jest sekretarz obrony? – zapytał.

–Jeszcze nie wrócił z Saint Louis, z przesłuchań kandydatów do naczelnego sztabu lotnictwa. Zarówno jemu, jak i wiceprezydentowi wysłałem już stosowne raporty. Życzy pan sobie, żeby ich tu ściągnąć?

Childress w zamyśleniu pokiwał głową. Siedział z dłońmi splecionymi na brzuchu i nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w ścianę, jakby chciał z niej odczytać przyszłość.

–Tak. Sekretarza obrony wezwij natychmiast. Ale wiceprezydent nie będzie nam potrzebny. Nawet lepiej, jeśli Stan zostanie na razie w Utah. Czy w bazie lotniczej Hill stacjonuje maszyna E-4B?

–Tak, panie prezydencie.

–To dobrze. Zorganizujcie więc specjalną sekcję łączności utrzymującą stały kontakt z jego domkiem letniskowym. To chyba niezły pomysł, żebyśmy przez pewien czas pozostawali w różnych miejscach.

–Zgadza się, panie prezydencie – przyznał Hanson. Z uwagą obserwował reakcje swego rozmówcy, który wobec narastającego kryzysu zachowywał się podobnie, jak kiedyś na pokładzie starego samolotu C-130, kiedy poważna usterka zmusiła ich do awaryjnego lądowania.

–A co z sekretarzem stanu? – zapytał po chwili Childress. – Powiadomiliście go już o wszystkim?

–Rozmawiałem telefonicznie z sekretarzem Van Lyndenem zaledwie kilka minut temu. Nawet nie okazał zdziwienia. Wyznał, że pewne aluzje dotyczące szykowanej przez Chińczyków niespodzianki docierały do niego już od początku konferencji. Harry także zgadza się z naszymi opiniami i potwierdza, że wbrew pozorom chińska broń nuklearna wciąż może okazać się groźna. Obiecał zaczekać przy aparacie na wypadek, gdyby chciał pan z nim rozmawiać.

–Doskonale. Porozmawiam za parę minut. Teraz chciałbym wiedzieć, jak się przedstawia militarny aspekt takiego obrotu spraw.

–Generał Landry również oczekuje rozmowy, panie prezydencie.

Najstarszy z pełniących jeszcze służbę generałów poderwał się na baczność na

widok wchodzącego do sali Childressa. Grupa oficerów i doradców, z którymi dyskutował, pospiesznie się rozproszyła, z szacunkiem kłaniając się przybyłemu.

–Panie prezydencie.

–Tylko krótko, Morrell. Jak się przedstawia sytuacja?

Przewodniczący połączonych szefostw sztabów odwrócił się do monitora na swoim stanowisku; na ekranie widniała schematyczna komputerowa mapa interesującego ich rejonu.

–Pański doradca na pewno zrelacjonował już panu najważniejsze wydarzenia. Otóż około ósmej naszego czasu czerwoni wyekspediowali z Szanghaju konwój trzech okrętów podwodnych, dwóch jednostek szturmowych klasy Han oraz najnowszego modelu Sia z wyrzutniami pocisków balistycznych. Niszczyciel NAVSPEC-u, który zarejestrował wyjście konwoju z portu, zdołał także zidentyfikować typy wszystkich okrętów. Niestety, został namierzony i musiał się wycofać pod ostrzałem, przez co stracił kontakt z konwojem. – Generał wskazał jaśniejący na ekranie półokrąg odcinający część Morza Wschodniochińskiego, w którego centrum znajdował się Szanghaj. – Biorąc pod uwagę parametry techniczne chińskich łodzi podwodnych, wyznaczyliśmy granicę obszaru, gdzie nadal powinny się one znajdować. Na nieszczęście wielkość tej strefy rośnie z godziny na godzinę.

–Jakie środki zaradcze podjęliście? – zapytał szybko Childress.

–Admirał Tallman, dowodzący siódmą flotą, wydał już rozkaz intensywnych poszukiwań atomowych łodzi podwodnych. Dowództwo operacyjne lotnictwa nadało temu zadaniu najwyższy priorytet i wydało odpowiednie polecenia eskadrom naszych Orionów stacjonujących na Okinawie i w Korei. Problem polega na tym, że Chińczycy będą zapewne wszelkimi dostępnymi metodami utrudniać nam akcję w swojej strefie przybrzeżnej. Już teraz lotnictwo czerwonych próbuje odstraszać myśliwce siódmej floty. – Landry umilkł na chwilę, po czym dodał: – Wykorzystując swoje uprawnienia, panie prezydencie, rozkazałem ponadto przygotować Lupę jeden.

Lupa jeden, powszechnie określana też jako Anioł śmierci, była powietrznym centrum dowodzenia amerykańskimi siłami szybkiego reagowania oraz przeciwuderzeniowym arsenałem nuklearnym. Człowiek wydający komendy z pokładu tego samolotu miał do dyspozycji wystarczająco duży potencjał, by w ciągu paru sekund obrócić cały waszyngtoński dystrykt stołeczny w jedną wielką chmurę kipiącej plazmy.

Powoli, niemal z namaszczeniem, Childress zdjął okulary, z kieszeni marynarki wyjął chusteczkę i zaczął metodycznie przecierać szkła. Jak wiele razy przedtem ją się zastanawiać, z jakich powodów ktoś decyduje się objąć stanowisko prezydenta

kraju, dowódcy jednostki wojskowej czy choćby zwykłego nauczyciela – w każdym razie takie, które wymaga od niego decydowania o losie innych ludzi.

Westchnąwszy ciężko, szybkim ruchem nałożył z powrotem okulary.

–Rozumiem, generale. Akceptuję te wszystkie posunięcia. Proszę teraz powiedzieć, co powinniśmy jeszcze zrobić, pańskim zdaniem.

–Naczelne dowództwo marynarki chce przesunąć na Morze Wschodniochińskie drugi lotniskowiec, wysłać w tamten rejon więcej łodzi podwodnych oraz wzmocnić stacjonujące w bazach nad Pacyfikiem jednostki lotnicze przystosowane do zwalczania celów podwodnych. Popieram wszystkie te trzy kroki. Według mnie w chwili obecnej absolutnie najważniejszym zadaniem jest odnalezienie chińskiej jednostki atomowej. W dodatku proponuję utworzenie tymczasowego trzysta trzydziestego szóstego skrzydła powietrznego z myśliwców stacjonujących na Okinawie i w Korei. W obu tych bazach ogłoszono już stan podwyższonej gotowości, podejrzewam więc, że za kilka godzin będą mogły wystartować pierwsze w pełni uzbrojone eskadry.

–To może oznaczać dalszą eskalację konfliktu, generale.

–Tak, w pełni to rozumiem, panie prezydencie. Powiedziałbym, że normalnym ludziom odpowiedź na pogróżki wystarczy przesłać listem poleconym. Skoro jednak mamy do czynienia z kimś, kto nie waha się wyciągnąć z lamusa zdezelowanych głowic jądrowych, to chyba powinniśmy ze wszelkich miar unaocznic i jemu, i całemu światu, że tego rodzaju zagrożenie traktujemy ze śmiertelną powagą.

–To wszystko?

Generał Landry i Sam Hanson wymienili znaczące spojrzenia.

–Na razie nie mamy innych propozycji, panie prezydencie.

–W porządku. Proszę przystąpić do wykonywania przedstawionego planu.

Rozdział 24

Nad Morzem Wschodniochińskim

12 sierpnia 2006, godz. 9.01 czasu lokalnego

–Co o tym sądzisz, Vince?

–O czym?

–O polowaniu na łodzie podwodne.

–*Mucho divertimento*. To nadzwyczaj interesujące zajęcie, pod warunkiem, że zdołamy namierzyć zwierzynę.

Lecieli z powrotem na „Cunninghama”. Rotor przemykającego tuż nad falami śmigłowca podrywał w górę kropelki wody, dzięki czemu zostawiali za sobą opalizującą tęczowo mgiełkę, przez którą widać było mieniące się wszystkimi kolorami grzywy piany. Nie chcąc przyciągać niczyjej uwagi, Arkady prowadził maszynę w pełnej zasłonie kamuflażowej, tym bardziej że na bezchmurnym, błękitnym niebie nad nimi raz po raz rysowały się białe smugi kondensacyjne nie zidentyfikowanych samolotów.

–Co sądzisz o poziomie technologicznym jednostek, z którymi przyjdzie nam się zmierzyć? – spytała Amanda.

Sama dysponowała bogatą wiedzą na ten temat, ale Vince był specjalistą w zakresie parametrów technicznych ewentualnych celów dla zwiadowczego śmigłowca, toteż wolała uważnie wysłuchać jego opinii. Pilot zamyślił się na krótko i odparł:

–Na pewno nie są to okręty pierwszej generacji. Czerwoni dopracowali się pancerzy ze stopów albatowych, ale pozostali przy napędzie jednośrubowym. Rzekłbym, że okręty klasy Han to w przybliżeniu odpowiedniki naszych wczesnych łodzi klasy Mark czy też rozbudowanych rosyjskich Wiktorów. Z grubsza rzecz biorąc, jest to konstrukcja z początku lat siedemdziesiątych, z kilkoma tylko usprawnieniami zapożyczonymi z rozwiązań zachodnich.

–A łódź klasy Sia?

–Mniej więcej to samo, tyle że jest znacznie większa. Widziałaś kiedykolwiek zdjęcie Sia płynącego po powierzchni? Nad klapami wyrzutni rakiet balistycznych ma rozsuwany ażurowy pomost. Podejrzewam, że gdy to draństwo wykonuje jakiegokolwiek manewry pod wodą, rozchodzi się odgłos podobny do spuszczenia wody w kiblu.

–Zakładasz więc, że odnalezienie konwoju nie powinno stanowić większego problemu?

Arkady wykręcił się w fotelu na tyle, na ile mu pozwalały pasy bezpieczeństwa, i zmierzył siedzącą z tyłu Garrett uważnym spojrzeniem.

–Namierzenie łodzi podwodnej zawsze stwarza olbrzymie problemy. Twierdzą tylko, że w tym wypadku zadanie będzie odrobinę łatwiejsze. Ale bardziej mnie martwi to, co będziemy musieli zrobić, kiedy już odnajdziemy owe okręty.

–Na szczęście te sprawy spoczywają w gestii ludzi mądrzejszych od nas.

Arkady wydał z siebie nieartykułowany pomruk.

–Jeśli chcesz znać moją opinię, to na podstawie własnych doświadczeń mogę powiedzieć, że zwalczanie łodzi podwodnych przypomina próbę zabicia grzechotnika łopata. Jeśli już uda ci się stanąć oko w oko z gadem, masz najwyżej dwie sekundy na to, żeby się z nim rozprawić. Później grzechotnik albo zniknie ci z oczu, albo się schowa w jamie, albo cię zaatakuje.

To barwne porównanie dość dobrze oddawało charakter czekającej ich misji.

W słuchawkach rozległ się stłumiony trzask i po chwili kontroler lotów z „Cunninghama” zaczął im dyktować dane dotyczące aktualnej pozycji okrętu. Arkady potwierdził odbiór komunikatu, przedyktował własną pozycję ustaloną na podstawie wskazań GPU i podał orientacyjny czas dotarcia do celu.

Amanda nie miała już dłużej siły walczyć z wszechogarniającym znużeniem, z którym łączyła się chęć odsunięcia od siebie myśli o trudach wyznaczonego zadania. Sierpniowe słońce dość mocno prażyło odsłonięte fragmenty jej skóry nawet poprzez szyby kabiny śmigłowca. Przesunęła się więc bardziej do tyłu, w cień zabudowanej części maszyny, usadowiła wygodnie i zamknęła oczy.

Rozdział 25

Hotel „Manila”

12 sierpnia 2006, godz. 15.23 czasu lokalnego

Wicepremier Czang Hui An kończył właśnie kolejną, nudną i napuszoną przemowę, kiedy Harrison Van Lynden wrócił na swoje miejsce przy stole.

–Straciłem coś interesującego? – zapytał półgłosem.

–Mieliśmy następny etap dość gorących acz całkowicie banalnych utyskiwań na politykę państw zachodnich – szepnęła w odpowiedzi Sagada. – Odnoszę wrażenie, że jego wyświechtane sformułowania do nikogo już nie trafiają. Pozostałe delegacje, jak zwykle, „w milczeniu popierają wyrażone stanowisko”.

Sekretarz stanu znacząco pokiwał głową, a następnie pokręcił gałką regulacji głośności dźwięku przekazywanego z kabiny tłumacza.

–Dostałem właśnie od prezydenta wytyczne związane z incydentem w rejonie Szanghaju. Czang odnosił się do tego w jakikolwiek sposób?

–Owszem, ale tylko ogólnikowo. Chyba wcale nie zamierzają zrobić z tego wielkiej afery, jak się obawialiśmy. Wygląda na to, że są całkowicie pochłonięci czymś zupełnie innym.

–To prawda. Co mamy dalej w programie?

–Nastąpiła zmiana, panie sekretarzu. Generał Ho Czunwa po raz pierwszy poprosił o udzielenie mu głosu w trybie nadzwyczajnym.

Van Lynden wyprostował się nagle na krześle, kiedy tylko padło nazwisko chińskiego sztabowca.

–Powinniśmy wysłuchać go uważnie – przekazał szeptem asystentce. – Moim zdaniem może to być punkt zwrotny całej konferencji.

Generał stanął na mównicy.

Zachowywał kamienny wyraz twarzy, tylko jego spojrzenie nerwowo przeskakiwało po ludziach zasiadających wokół olbrzymiego stołu konferencyjnego.

Nieco dłużej zatrzymało się na Van Lyndenie, zaraz jednak Chińczyk wyjął z kieszeni pojedynczą kartkę i zaczął odczytywać tekst.

–W ostatnich dniach sytuacja w Chińskiej Republice Ludowej uległa dalszemu zaostrzeniu na skutek nie przemyślanych działań pewnych ugrupowań funkcjonujących w naszym społeczeństwie oraz karygodnych akcji podejmowanych przez inne kraje. Dlatego też rząd Ludowej Republiki Chin musiał podjąć energiczne kroki w celu opanowania rozszerzającego się kryzysu. Polecono mi właśnie przedstawić wszystkim stronom tego wewnętrznego konfliktu następujące propozycje. Domagamy się zawieszenia broni. Żądamy wycofania wojsk nacjonalistycznych z obszaru Chin i zaprzestania wszelkich prób obcej ingerencji w sprawę Republiki Ludowej. Wzywamy też ugrupowania kierujące rebelią do złożenia broni i normalizacji stosunków między przywódcami zbuntowanych prowincji oraz rządem centralnym Republiki Ludowej. W zamian nasz rząd godzi się na uznanie pełnej niepodległości mieszkańców Tajwanu i wybranych przez nich nacjonalistycznych przywódców kraju. Proponujemy nawiązanie stosunków dyplomatycznych i handlowych oraz podpisanie paktu o nieagresji. Rebeliantom z tak zwanego Zjednoczonego Frontu Demokratycznego możemy przyrzec zwiększenie ich ekonomicznej i politycznej reprezentacji w stolicy oraz weryfikację polityki wewnętrznej w zakresie objętym prawami człowieka, jak również zagwarantować brak jakichkolwiek represji wobec ludności zbuntowanych prowincji.

Ho umilkł na chwilę, po jego twarzy przemknął ledwie zauważalny grymas.

–Niech nikt jednak nie traktuje owych propozycji jako wyrazu słabości rządu Republiki Ludowej, gdyż powodem ich przedstawienia jest wyłącznie troska władz o względy humanitarne oraz chęć przywrócenia spokoju na całym obszarze Ludowej Republiki Chin. Naszych wrogów muszę ostrzec, że jeśli przedstawione propozycje zostaną odrzucone, władze Republiki Ludowej mogą uznać za konieczne zastosowanie nadzwyczajnych środków w celu szybkiego zakończenia konfliktu oraz przywrócenia ładu i porządku na terenie kraju.

Sagada szybko przysunęła sobie notatnik i zapisała pytanie:

Czy on ma na myśli to samo, co ja?

W odpowiedzi Van Lynden pospiesznie naszkicował grzyb eksplozji atomowej i podkreślił go trzema liniami.

W sali konferencyjnej zapadła grobowa cisza. Generał Ho schował kartkę do kieszeni i powrócił na swoje miejsce.

Niespodziewany odgłos drugiego odsuwanego krzesła natychmiast przykuł uwagę wszystkich obecnych.

Przewodniczący delegacji tajwańskiej, Duan Sing Ho, podniósł się i nie zadając sobie trudu podejścia do mikrofonu, z palcami kurczowo zaciśniętymi na krawędzi

stołu, przemówił cicho, ale naruszenie protokołu rozmów pokojowych sprawiło, że jego słowa zostały odebrane prawie jak gniewne okrzyki.

–Kiedy tylko naród chiński zaczął dążyć do wolności, byliśmy w pełni świadomi brutalnych i represyjnych metod, do jakich może się posunąć pekiński reżim. Dlatego pragnę teraz zapewnić, że odpowiednio się przygotowaliśmy na taką chwilę. Oświadczam, że jeśli wspomniane nadzwyczajne środki zostaną zastosowane wobec wojsk bądź cywilnych obywateli Tajwanu czy też terenów wyzwolonych przez Chiński Zjednoczony Front Demokratyczny, również i my będziemy musieli sięgnąć do takich samych nadzwyczajnych środków.

–Dobry Boże! – szepnął Van Lynden. – A więc i oni mają broń atomową!

Rozdział 26

Wąwóz Tamka, Formoza

13 sierpnia 2006, godz. 8.45 czasu lokalnego

Wschodni, wysoki i skalisty brzeg Formozy rozcina głęboki wąwóz przypominający olbrzymią szramę w gigantycznej bryle litego granitu. Strumień, który go uformował, do dzisiaj płynie jego dnem, spadając kaskadami spienionej białej wody, silnie kontrastującej z ciemnoszarą powierzchnią skał oraz zielonkawymi plamami pokrywających je mchów i porostów.

Nawet w tym dzikim zakątku człowiek odcisnął swoje piętno. Południowym skrajem kanionu wije się szeroka autostrada, a wzdłuż północnych grani skalnymi półkami od jednego tunelu do drugiego biegnie linia kolejowa.

Poza tym jest tam jeszcze ciężka stalowa brama zamykająca wylot jaskini i znikające pod nią tory boczniczy kolejowej. Tworzące ją prostokątne płyty z dwucentymetrowej grubości pancernych blach pokrywa gruba warstwa rdzy, a betonowe słupy, w które wpuszczono zawiasy, tak bardzo pociemniały, że trudno już odróżnić je od sąsiednich granitowych skał.

Jest to wylot mającego ponad pięćset metrów długości tunelu, wykutego jeszcze w latach pięćdziesiątych z przeznaczeniem na skład amunicji. Na całej wyspie utworzono setki podobnych magazynów, szykując się do ostatecznej i, jak się wówczas zdawało, nieuchronnej rozgrywki z siłami przejmującymi władzę w Chinach. Do inwazji jednak nie doszło i zapasy broni ukrywane przez dziesięciolecia w głębi sztolni okazały się nikomu niepotrzebne.

I oto nagle dwa lata temu postanowiono zmienić przeznaczenie tunelu.

Teraz zaś niespodziewanie ciszę wąwozu zakłóciło głośnie zawrozczenie syreny. Popychana siłownikami hydraulicznymi stalowa brama rozsunała się powoli ze zgrzytem i z wnętrza tunelu doleciał głośny warkot silnika wysokoprężnego. Chwilę później na torach pojawiła się niewielka drewniana i sunąc z prędkością piechura leniwie wtoczyła się na główny tor szlaku kolejowego.

Ciągnęła skład złożony z trzech wagonów. Pośrodku ustawiono opancerzone, pozbawione okien centrum dowodzenia i łączności. Przed nim i z tyłu znajdowały się dwie długie platformy z zamocowanymi wyrzutniami, na których spoczywały masywne, lecz smukłe i obłe cygara pocisków rakietowych. Były pomalowane na biało, a każdy miał umieszczoną na końcu jajowatą główką bojową.

Żołnierze obsługi i ochrony wyrzutni maszerowali wzdłuż torów. Różnili się tylko

tym, że pierwsi omal nie spuszczaali z oczu ciężkich platform, natomiast drudzy z bronią naszykowaną do strzału rozglądali się uważnie po ścianach wąwozu.

Po kilku minutach cały skład się zatrzymał, przycichł ustawiony na wolne obroty silnik dreżyny. Ochrona pospiesznie zajęła wyznaczone wcześniej stanowiska, przyklękając na jedno kolano, obsługa zaś, niczym na defiladzie, ustawiła się wzdłuż obu wyrzutni, w skupieniu czekając na rozkazy dowódców.

Przyszło im tak czekać bez ruchu aż kwadrans, kiedy to ponownie zahuczała syrena. Głośniejsz zadudnił dieslowski silnik i krótki skład, niczym krab pustelnik powracający do swojej skorupy, zaczął się wycofywać tyłem do wykutego w skałach tunelu.

Kiedy tylko ostatni żołnierz ochrony zniknął w jego mroku, stalowa brama zatrasnęła się z łoskotem. W ten sposób dobiegła końca pierwsza misja tajwańskich nuklearnych jednostek obrony kraju.

Rozdział 27

Park Rizal, Manila

13 sierpnia 2006, godz. 17.28 czasu lokalnego

–Zatem ostrzeżenia nacjonalistów nie były gołosłowne – rzekł z namysłem generał Ho. – Rzeczywiście dysponują bronią atomową.

–Owszem. Zostałem też upoważniony do tego, by ujawnić panu niektóre szczegóły – odparł Van Lynden. – Tajwańskie rakiety są wymierzone w kilkanaście waszych największych miast i kompleksów zbrojeniowych. W dodatku samobieżne wyrzutnie zostały tak ukryte i zabezpieczone, że nie ulegną zniszczeniu podczas pierwszego ataku raketowego Republiki Ludowej.

Komunistyczny generał wbijał nieruchome spojrzenie w rozciągającą się przed nimi Zatokę Manilską. Siedzieli bowiem na tej samej obmurówce fontanny, gdzie po raz pierwszy na osobności zamienili po kilka zdań. Teraz to Van Lynden poprosił Chińczyka o parę minut rozmowy przed rozpoczęciem kolejnej rundy rokowań pokojowych.

–To czyste szaleństwo – wycedził w końcu Ho.

–Zgadza się.

–Czy nacjonałiści sądzą, że sam fakt posiadania przez nich broni jądrowej powstrzyma nas od użycia własnych rakiet?

–A powstrzyma, generale?

–Nie wiem. – Ho na chwilę ukrył twarz w dłoniach. – Mówię całkowicie szczerze, że nie wiem, panie sekretarzu. Kiedy wojna domowa w Chinach zaczęła przybierać na sile, nasz rząd zdecydował się przygotować część arsenału nuklearnego, traktując go jako ostateczny i jedyny środek mogący zapewnić nasze przetrwanie. – Znów urwał na krótko, lecz zaraz się wyprostował i ułożywszy dłonie na kolanach, dodał: – Nie potrafię jednak powiedzieć, jak rząd zareaguje, kiedy faktycznie znajdzie się w sytuacji bez wyjścia.

–Otóż to, kwestia przetrwania jest kluczem do sprawy, generale – podchwycił Van Lynden. – Tyle że nie wolno nam już mówić o przetrwaniu jakiegoś rządu czy ustroju politycznego. Sytuacja zaostrzyła się do tego stopnia, że musimy myśleć o przetrwaniu całego pańskiego narodu. Rysuje się przed nami najgorszy i najtragiczniejszy z możliwych scenariuszy działań: całkowitego wzajemnego unicestwienia! Jakoś nie mogę uwierzyć, by któraś ze stron konfliktu właśnie tego

pragnęła!

Ho nie odpowiedział, toteż Van Lynden postanowił nacisnąć jeszcze mocniej.

–Czyż nie mamy w tym wypadku do czynienia z ustaloną równowagą sił, generale? Czy zdrowy rozsądek nie nakazuje, by obie strony konfliktu zaczęły wreszcie szukać wszelkich możliwości osiągnięcia kompromisu?

Chińczyk energicznie pokręcił głową.

–Jakikolwiek kompromis oznacza dla nas taką samą zagładę, jak bomby atomowe nacjonalistów, panie sekretarzu. Z dnia na dzień rebelia przybiera na sile, nasza władza topnieje jak garść piasku wymywanego przez płynącą wodę. A pluralizm jest całkowicie nie do przyjęcia dla przywódców mojego rządu. Gdybyśmy uznali nacjonalistów i buntowników za równych nam, moglibyśmy od razu złożyć im poddańcze hołdy.

–Cóż, miałem nadzieję, iż rzeczowe argumenty trafią do pana, generale.

Ho milczał przez parę sekund, wreszcie przytaknął ruchem głowy.

–Nie neguję ich wymowy, panie sekretarzu. Ale to nie ja będę podejmował ostateczną decyzję i na pewno nikt nie zapyta mnie o zdanie. Jestem tylko żołnierzem i rozumiem wedle reguł prowadzenia walki. Moim naczelnym zadaniem jest obrona terytorium kraju i realizacja woli polityków. Ale w tej sytuacji przestają obowiązywać jakiegokolwiek prawa wojenne. Wkraczamy szybko na obszar, w którym rządzi nienawiść, chęć odwetu i desperacja, przestają natomiast obowiązywać zasady logiki, nie działa instynkt samozachowawczy. Nacjoniści i buntownicy muszą to zrozumieć. Jak powiedziałem panu wcześniej, to oni muszą teraz wysłuchać naszych racji.

–A jeśli oni patrzą na te sprawy z innego punktu widzenia, generale?

–W takim razie proszę lepiej uciekać stąd pierwszym samolotem i zarządzić natychmiastową ewakuację personelu ambasady, panie sekretarzu. Prawdopodobnie opad radioaktywny na Filipinach będzie bardzo groźny.

Rozdział 28

Biały Dom, Waszyngton

15 sierpnia 2006, godz. 11.01 czasu lokalnego

–Namierzyliśmy łącznie sześć identycznych baterii – mówiła Lane Ashley. – Każda dysponuje dwiema wyrzutniami, mają więc razem dwanaście pocisków.

–I nie ma żadnych wątpliwości, że to broń jądrowa? – zapytał posępnym tonem Childress.

–Nasz wywiad jest o tym przekonany. Zresztą wygląda na to, że Tajwańczycy specjalnie dla nas urządzili to przedstawienie. Wyprowadzili z ukrycia wyrzutnie dokładnie wtedy, kiedy nad wyspą znajdował się jeden z naszych satelitów rozpoznawczych.

–Zapewne chodziło im o to, byśmy potwierdzili w rozmowach z komunistami, że faktycznie dysponują arsenałem nuklearnym – dodał Van Lynden.

Sekretarz stanu uczestniczył w tym zwołanym naprędce posiedzeniu sztabu kryzysowego za pośrednictwem łączy telekomunikacyjnych. Widać go było na jednym z dużych ekranów wiszących na ścianie sali konferencyjnej.

Prezydent przez chwilę masował sobie palcami skronie.

–W porządku. Przyjmijmy to na razie za pewnik. Czy mamy jakiegokolwiek szacunki wartości bojowej tych rakiet? Jaki jest ich zasięg i siła rażenia?

–Na podstawie wykonanych zdjęć fachowcy uznali, że są to wyrzutnie wzorowane na izraelskim systemie rakietowym typu Shavit, który dostosowano do wymogów także pochodzących pierwotnie z Izraela pocisków balistycznych Jerycho dwa, z tym że tajwańskie pociski wyprodukowano gdzie indziej. W każdym razie chodzi o rakiety zdolne wynieść na orbitę osiemdziesięciokilogramowy ładunek, natomiast do celów militarnych mogą być uzbrojone w półtonową głowicę. Fachowcy z naszego centrum badań atomowych w bazie Sandia twierdzą, że sfotografowane głowice mają w przybliżeniu moc bomby zrzuconej na Hiroszimę, czyli od dziesięciu do dwudziestu kiloton. Zatem nie jest to jeszcze formalnie broń strategiczna, ale zrzucona na dowolne miasto z pewnością wyrządzi nieopisane szkody.

–Jaka jest ich celność i zasięg?

–Celność, jak już powiedziałem, wystarczająca do obrócenia miasta w ruinę. A co się tyczy zasięgu, zdaniem specjalistów należy zakładać, że z wyrzutni na Tajwanie

nacjonaliści mogą razić każdy cel na terytorium komunistycznych Chin.

–Jasna cholera! – syknął prezydent, uderzając otwartą dłonią o stół. – Niech to szlag! O czym myśleli ci z Izraela, którzy wyrazili zgodę na sprzedaż do Tajwanu tego rodzaju wyrzutni pocisków balistycznych?!

–Zdążyliśmy to już sprawdzić, panie prezydencie – wtrącił Van Lynden. – Tajwańczycy kupili dwie prototypowe wyrzutnie typu Shavit wraz z prawami licencyjnymi oraz kompletną dokumentacją techniczną za kadencji pańskiego poprzednika. Specjaliści z departamentu stanu, jak również inspektorzy ONZ, nie zgłaszali zastrzeżeń do tej transakcji, gdyż Shavit jest w założeniu przeznaczony do wystrzeliwania na orbitę satelitów i do tego celu wykorzystuje się go w wielu krajach trzeciego świata.

–Na nasze nieszczęście jest to typowy system wielozadaniowy – dodała Lane Ashley. – Tak jak każda wytwórnia insektycydów może być szybko przekształcona w fabrykę bojowych gazów paraliżujących, tak i wiele instalacji przeznaczonych do wystrzeliwania satelitów da się łatwo przerobić na wyrzutnie pocisków jądrowych. Musimy się z tym pogodzić.

–To jest oczywiste. Zastanawia mnie tylko, Lane, jakim sposobem zdołali skonstruować te wyrzutnie bez naszej wiedzy.

Dyrektor Krajowej Agencji Bezpieczeństwa nieznacznie wzruszyła ramionami.

–Jakieś dziewięćdziesiąt procent niezbędnych elementów prawdopodobnie zeszło z normalnych linii produkcyjnych na Tajwanie. Podejrzewam, że zaksięgowane zostały jako braki. Same wyrzutnie i platformy kolejowe zapewne przetransportowano w częściach i złożono dopiero w podziemnych bunkrach. Dopóki nie wyciągnięto ich na powierzchnię, nie mieliśmy nawet szans domyślania się czegokolwiek. Proszę zwrócić uwagę, że to kolejny dowód, iż cała akcja nacjonalistów została starannie zaplanowana o wiele wcześniej.

Sam Hanson pospiesznie przyznał jej rację i dodał:

–Jakieś półtora roku temu, kiedy Tajwańczycy rozpoczęli pierwsze próby wykorzystania systemu Shavit, kilkakrotnie donosili o nieudanych startach rakiet i zniszczeniu satelitów. Teraz możemy przypuszczać, że dokonywali testów swoich rakiet balistycznych i sprawdzali ich zasięg.

–Jasne. Zatem nie tylko dysponują nuklearną bronią raketową, ale w dodatku zademonstrowali ją całemu światu. – Childress wyszedł zza biurka i zaczął się nerwowo przechadzać z kąta w kąt. Nagle przystanął i obrócił się w stronę kamery wideotelefonu. – Harry, czy jest jakaś szansa, że ta demonstracja siły nakłoni komunistów do ściągnięcia cugli?

Van Lynden, znajdujący się prawie dwadzieścia tysięcy kilometrów od Waszyngtonu, pokręcił głową.

–Wolałbym na to nie liczyć, panie prezydencie. Rozmawiałem na osobności z jednym z przywódców delegacji czerwonych. Dał mi niedwuznacznie do zrozumienia, że komuniści prędeż pójdą na wymianę ciosów atomowych niż pogodzą się z widmem całkowitej klęski.

–A wzięwszy pod uwagę wyjście w morze atomowej łodzi podwodnej – wtrącił Sam Hanson – możemy to raczej przyjąć za pewnik, panie prezydencie. Oni naprawdę zamierzają odpalić rakiety. Trzeba powiedzieć sobie otwarcie, że w ciągu najbliższych dwudziestu ośmiu dni może wybuchnąć wojna atomowa.

Widoczny na monitorze sekretarz stanu zmarszczył brwi.

–Skąd się wzięło owych dwadzieścia osiem dni?

–Z maksymalnej długości zanurzenia, Harry – odparł doradca, usadowiając się wygodniej w fotelu i krzyżując ręce na piersi. – Nasze łodzie klasy Ohio mogą pozostawać pod wodą sześćdziesiąt dni, a po drobnych przeróbkach, gdyby zachodziła taka konieczność, nawet sto dwadzieścia. Rosyjskie Tajfuny czy Deltę mogą pozostawać w zanurzeniu miesiąc, najwyżej czterdzieści pięć dni. Dla okrętu klasy Sia granica ta wynosi trzydzieści dni, a łódź wypłynęła z Szanghaju przedwczoraj. Ponadto wszystkie bazy morskie komunistycznych Chin są w zasięgu tajwańskich rakiet. Czerwoni doskonale zdają sobie sprawę, że nacjonaści skierują przeciwko tej łodzi wszelkie dostępne środki, kiedy tylko ją namierzą. Zatem okręt ma odciętą drogę powrotną do portu, w gruncie rzeczy wyruszył z misją samobójczą. Nie trzeba komputera, aby dojść do wniosku, że wynurzy się dopiero wtedy, gdy będzie musiał lub otrzyma rozkaz do ataku.

–Już teraz obserwujemy przegrupowanie tajwańskiej marynarki – wpadła mu w słowo Lane Ashley. – Wszystkie okręty podwodne i większość nawodnych zostało skierowanych na Morze Wschodniochińskie. Niewątpliwie zainicjowano szeroko zakrojoną akcję polowania na tę łódź. Zatem już teraz można powiedzieć, że nacjonaści rzucają przeciwko niej wszelkie dostępne siły. Chcę zresztą dodać, panie prezydencie, że gdyby ją namierzyli, rozwiązałyby to równocześnie kilka problemów.

–Jakich? – zainteresował się Childress.

–Przeprowadziliśmy szereg komputerowych symulacji możliwego rozwoju wydarzeń, biorąc pod uwagę to pierwsze uderzenie jądrowe wojsk komunistycznych. I w każdym wypadku wychodziło nam, że pociski raketowe znajdujące się na łodzi podwodnej mają kluczowe znaczenie dla osiągnięcia przez władze z Pekinu zamierzonego efektu. Wyeliminowanie z gry tego okrętu w zasadzie przekreśla

wszystkie plany Chińczyków.

–Nie zapominaj, Lane, że czerwoni dysponują jeszcze innymi rodzajami broni atomowej – odezwał się szybko Van Lynden.

–To prawda, Harry, ale jest tego niewiele, a w dodatku w wątpliwym stanie technicznym. W powietrzu Tajwańczycy niepodzielnie panują nad swoim terytorium, dlatego też bardzo wątpię, aby czerwonym udało się skutecznie zrzucić z samolotu bombę na jakikolwiek znaczący cel. Poza tym nacjonałiści dysponują dobrze już sprawdzonymi wyrzutniami pocisków przeciwrakietowych typu Patriot i Arrow. To z kolei znacznie ogranicza skuteczność użycia przez komunistów jądrowej artylerii rakietowej niewielkiego zasięgu w rodzaju naszych Scudów. Stąd też odpalane z łodzi podwodnej rakiety balistyczne, uzbrojone w potężne, megatonowe głowice, mają pierwszorzędne znaczenie w każdego typu operacji, jaką komuniści chcieliby podjąć przeciwko Tajwanowi. Bez tych rakiet czerwoni stoją na straconej pozycji. Jakakolwiek inna próba wykorzystania arsenału nuklearnego równałaby się atomowemu samobójstwu.

–Ten wywód wcale nie jest dla mnie taki oczywisty, Lane – orzekł stanowczo sekretarz stanu.

–Jeśli nawet jest dyskusyjny, Harry – odparł cicho Childress – to nie ulega jednak wątpliwości, że po wyeliminowaniu megatonowych głowic komuniści zabiorą ze sobą do grobu znacznie mniej ludzi.

Wszyscy członkowie sztabu kryzysowego popatrzyli uważnie na prezydenta, który zdjął okulary i zaczął z namysłem przecierać szkła. Trwało to co najmniej minutę. Wreszcie prezydent włożył z powrotem okulary i zwrócił się do swego doradcy od spraw bezpieczeństwa:

–Sam, skontaktuj się z naczelnym dowództwem marynarki. Niech nasze jednostki także podejmą na szeroką skalę akcję poszukiwania tej łodzi na zachodnim Pacyfiku. Gdyby udało się ją namierzyć, należy ją bezwarunkowo zniszczyć.

–Rozumiem, panie prezydencie.

–W tym zakresie będą obowiązywać prawa stanu wojennego, a więc wszelkie podpisane przeze mnie rozkazy automatycznie nabierają mocy. Chcę jednak, żeby ta operacja została otoczona ścisłą tajemnicą. Żadnych oficjalnych komentarzy, żadnych wystąpień przed kamerami. Nie wolno nam dopuścić, by czerwoni się dowiedzieli, że przystępujemy do działania.

–Wykluczone są przede wszystkim jakiekolwiek przecieki w prasie – dodał Hanson – bo to równałoby się wyrażeniu oficjalnego stanowiska.

Prezydent odwrócił się w stronę dyrektora Krajowej Agencji Bezpieczeństwa.

–Panno Ashley, od tej chwili żadna z amerykańskich instytucji wywiadowczych nie ma ważniejszego zadania niż wytopienie chińskiej atomowej łodzi podwodnej! Za wszelką cenę musimy ją namierzyć!

–Rozumiem, panie prezydencie.

Childress ponownie odwrócił się do ekranu.

–Harry, potrzebuję od ciebie dwóch rzeczy niezbędnych przed rozpoczęciem planowania tej operacji. Po pierwsze, chciałbym uzyskać zapewnienie, że wyczerpaliśmy wszelkie możliwości dyplomatycznego rozwiązania konfliktu. A po drugie, liczę na zgodę i wsparcie pozostałych zainteresowanych państw z nad Pacyfiku.

Sekretarz stanu w zamyśleniu pokiwał głową.

–Moim zdaniem już teraz mogę odpowiedzieć twierdząco w obu kwestiach. Co więcej, znam chyba sposób na to, aby zakończenie jałowych dyplomatycznych sporów automatycznie zapewniło nam zgodę i poparcie państw trzecich.

Rozdział 29

Hotel „Manila”

17 sierpnia 2006, godz. 20.34 czasu lokalnego

Harrison Van Lynden wstał z fotela na widok dwóch gości wprowadzanych do jego apartamentu przez agenta służb specjalnych.

–Panie ministrze Duan, profesorze Dzin, bardzo panom dziękuję za przybycie tu dzisiaj wieczoru.

–Cała przyjemność po naszej stronie, panie sekretarzu – odparł uprzejmie Tajwańczyk. – W czym możemy być panu pomocni?

–Mam nadzieję, że zdołamy sobie wzajemnie pomóc. Proszę usiąść.

Wskazał im miejsca na kanapie, przed którą stał niski stolik. Służący postawił na nim zastawę z herbatą. Był to nie tyle wyraz kurtuazyjnej gościnności, ile chęć nawiązania do chińskich tradycji prowadzenia negocjacji, Van Lynden miał bowiem nadzieję, że w ten sposób zaskarbi sobie przychylność gości.

Po zajęciu miejsc trzej mężczyźni sięgnęli po filiżanki i upili po małym łyku parującego napoju, co oznaczało możliwość przystąpienia do zasadniczej rozmowy.

–Chciałbym poruszyć sprawę obecnego stadium, w jakim znalazły się negocjacje pokojowe – zaczął Amerykanin. – Zaprosiłem panów na to odbiegające od dyplomatycznego protokołu zebranie, ponieważ uważam, że w pewnych sytuacjach jest to najlepszy sposób na znalezienie wyjścia z impasu. Moim zdaniem bowiem rozmowy utknęły w martwym punkcie, co jest bardzo niebezpieczne.

–Czasami do kryzysu doprowadza bezgraniczne oddanie swojej sprawie, panie sekretarzu – odparł Dzin. – Obawiam się, że i tu mamy do czynienia z podobną sytuacją.

–W pełni to rozumiem, profesorze. Obawiam się jednak, że poświęcenie dla własnych idei obu stron, które panowie reprezentują, może doprowadzić do pierwszej światowej wojny atomowej. Zdaję sobie sprawę, że tego nie chciałby ani Zjednoczony Front Demokratyczny, ani rząd Tajwanu, ani także władze komunistycznych Chin. Musi istnieć jakieś rozwiązanie waszego konfliktu, które nie będzie wymagało śmierci milionów niewinnych ludzi.

–Owszem, jest – odparł uprzejmie Dzin. – Takim rozwiązaniem byłoby przyznanie się komunistów do porażki.

–Do tego żaden rząd nie zechce się przyznać. Niewykluczone jednak, że wspólnie zdołalibyśmy przekonać komunistów, iż nadeszła pora dokonania gruntownych zmian w ich polityce. Jutro zamierzam oficjalnie przedstawić taką propozycję. Postawię wniosek o zawieszenie broni, wycofanie oddziałów Frontu Demokratycznego oraz Armii Ludowej z zajmowanych pozycji i utworzenie w Chinach specjalnej misji pokojowej ONZ, która miałaby nadzorować przestrzeganie rozejmu.

–Ale to niczego nie zmieni, panie sekretarzu.

–Pozwoli odegnać widmo wojny atomowej! Ponadto stworzy wam szansę podjęcia bezpośrednich negocjacji z komunistami. Tak czy inaczej oni muszą się pogodzić z obecnością Zjednoczonego Frontu Demokratycznego w życiu politycznym Chin. Może udałoby się nam znaleźć jakiś sposób rozdziału władzy.

–A jaką rolę w tym podziale władzy miałyby odegrać partia nacjonalistyczna? – zapytał minister Duan.

–Ugrupowania wspierającego Front Demokratyczny. Ale mówiąc szczerze, podejrzewam, że jednym z podstawowych warunków osiągnięcia rozejmu z komunistami byłoby zapewne wycofanie waszych oddziałów z terenu Chińskiej Republiki Ludowej.

–Ten warunek jest nie do przyjęcia, panie sekretarzu – oświadczył spokojnie Duan.

–Nawet jeśli ceną utrzymania przez was przyczółka będzie przekształcenie Tajpej w morze radioaktywnych płomieni?

–Owszem. – Minister sięgnął po filiżankę i z namaszczeniem pociągnął łyk herbaty. – Od pół wieku odmawia nam się prawa do własnej ojczyzny i jej dziedzictwa kulturowego. Jesteśmy ludźmi cierpliwymi, ale i nasza cierpliwość ma swoje granice. Wracamy do ojczyzny, panie sekretarzu, nawet jeśli wiodąca do niej droga będzie usłana niebezpieczeństwami.

–My, w kraju, również bardzo długo czekaliśmy na tę chwilę – wtrącił szybko profesor Dzin, podejmując ton swojego przedmówcy. – Czekaliśmy na możliwość uwolnienia się od tyranii, wyzwolenia z nędzy, ucieczki od wszechobecnej śmierci. – Uniósł w górę krzywo zrosniętą dłoń. – Już teraz umieramy. Każdy dzień z tych pięćdziesięciu lat komunistycznych rządów był powolnym konaniem narodu. Dlaczego mielibyśmy się teraz przestraszyć ich bomb atomowych, skoro mogą nam zesłać jedynie szybszą i łagodniejszą śmierć?

Duan przytaknął ruchem głowy.

–Od dawna szykowaliśmy plany na taką sposobność, panie sekretarzu. I może minąć jeszcze wiele lat, zanim analogiczna sytuacja się powtórzy. Dlatego nie

możemy się zgodzić na żadne półśrodki i nie pozwolimy, by połowa naszych rodaków nadal żyła w oszukańczym systemie komunistycznym! My także mamy broń atomową. Wierzymy w skuteczność jej odstraszającego działania i mamy nadzieję, że przywódcy z Pekinu nie okażą się na tyle głupi, aby dopuścić do ostatecznego unicestwienia.

–Ryzyko jest ogromne – wycedził powoli Van Lynden.

–Wiedzieliśmy o tym jeszcze zanim przystąpiliśmy do walki.

Minister Duan podniósł filiżankę i bez pośpiechu wysączył jej zawartość. Profesor Dzin poszedł w jego ślady. Oznaczało to, że negocjacje dobiegły końca, zostało powiedziane ostatnie słowo.

–Rozumiem – mruknął Van Lynden, pozostawiając na stoliku resztkę herbaty.

Pożegnał się z dwoma Chińczykami, życząc im dobrej nocy. Kiedy tylko drzwi się za nimi zamknęły, przeszedł szybko przez salonik i wkroczył do sypialni.

Lucena Sagada wciąż siedziała przy wzmacniaczu, do którego był podłączony mikrofon. Na stłoczonych pod ścianą krzesłach siedzieli sztywno reprezentanci Japonii, Korei oraz Filipin. Na widok wchodzącego sekretarza stanu wyjęli z uszu miniaturowe słuchawki.

–Panowie – zaczął Van Lynden – najpierw muszę was serdecznie przeprosić za ten niekonwencjonalny sposób załatwiania spraw dyplomatycznych. Znalazłem się jednak w sytuacji bez wyjścia, ponieważ chciałem, byście przed podjęciem niezwykle istotnej decyzji mogli osobiście wysłuchać ostatniego słowa naszych chińskich przyjaciół.

Ambasador Moroboshi uśmiechnął się lekko.

–Ośmielę się zauważyć, panie sekretarzu, że to z pewnością nie pierwsza sprawa wagi międzynarodowej, która znajduje rozwiązanie w sypialni.

–Ale chyba pierwsza tej wagi – wtrącił Czung Pak. W przeciwieństwie do Japończyka korpulentny Koreańczyk zachowywał śmiertelną powagę.

–Ci głupcy naprawdę mają zamiar to zrobić, prawda? – zapytał cicho Jorge Apayo, przedstawiciel Filipin. – Chcą zaostrzyć konflikt do tego stopnia, że użycie broni jądrowej stanie się dla nich koniecznością?

–Na to wygląda – odparł Czung. – Sekcja analityczna naszego sztabu generalnego uważnie sprawdziła prognozy wykonane w Stanach Zjednoczonych. Co prawda nie dysponujemy takim potencjałem, jak amerykańskie zespoły RAND, lecz również

zdaniem koreańskich fachowców wojna atomowa jest prawie pewna.

–Nasze ministerstwo obrony uznało tę ewentualność za prawdopodobną – wtrącił japoński ambasador.

Van Lynden przysiadł na skraju łóżka.

–Wiem też, że wasi specjaliści dokonali oceny ewentualnych skutków wojny atomowej w Chinach.

–Będą tragiczne – odparł szybko Moroboshi – dla wszystkich naszych krajów, nie wyłączając Stanów Zjednoczonych. W przybliżeniu tysiąckrotnie groźniejsze od skutków awarii w Czernobylu. – Sięgnął po swój przenośny komputer i po chwili zaczął odczytywać z ekranu. – Spodziewamy się od trzydziestu do czterdziestu eksplozji jądrowych i termojądrowych małej i średniej mocy w ciągu jednej doby. Przy takim założeniu należy oczekiwać stosunkowo silnego opadu radioaktywnego w całej strefie Pacyfiku. Najgroźniejsze mogą być rozległe zniszczenia warstwy ozonowej w atmosferze i kontaminacja rozkładającego się bardzo powoli „strontu dziewięćdziesiąt” w wodzie oraz glebie. Gorący opad plutonu sprawi, że tysiące kilometrów kwadratowych ziemi nie będą się nadawały do zamieszkania. Trzeba będzie przeznaczyć wiele miliardów dolarów na dekontaminację oraz pomoc lekarską dla napromieniowanych ludzi. Skutki takiej wojny mogą się okazać katastrofalne dla ekonomii państw leżących nad Pacyfikiem.

–A co z ofiarami w ludziach? – zapytała cicho Lucena Sagada.

–W krajach leżących w bezpośrednim sąsiedztwie Chin pojawią się setki tysięcy przypadków lekkich poparzeń radiacyjnych. Ale na całej półkuli północnej należy oczekiwać znaczącego wzrostu zachorowań na raka, odczuwalnego przez najbliższych pięćdziesiąt lat. Według szacunków ten wzrost wyniesie od dwudziestu do dwudziestu pięciu procent. Rzecz jasna, mówimy tu wyłącznie o wtórnych skutkach wojny, dotyczących naszych państw. – W głosie Moroboshiego pojawiła się nuta ironii. – Sytuacja w samych Chinach będzie... o wiele bardziej skomplikowana.

W pokoju przez chwilę panowała grobowa cisza.

–Panowie – odezwał się w końcu Van Lynden. – Wyrażę chyba wspólną opinię nas wszystkich, mówiąc, że nie możemy do tego dopuścić. Dzisiaj rano przywódcy waszych krajów otrzymali oficjalną notę od prezydenta Stanów Zjednoczonych. Proponujemy czynne zaangażowanie się w wewnętrzny konflikt Chin, skoro nie istnieje żadne inne rozwiązanie. Przynajmniej na razie chcemy jednak nasze działania ograniczyć do akcji wytopienia i zniszczenia komunistycznej łodzi podwodnej uzbrojonej w rakiety balistyczne, która wyszła w morze. Zyskaliśmy już chyba dowód na to, że nie istnieje inne wyjście z powstałego impasu. Dlatego też chciałbym teraz

wiedzieć, jakich odpowiedzi możemy oczekiwać od rządów waszych państw.

Ambasador Czung wzruszył ramionami.

–My znajdujemy się najbliżej przyszłej pożogi. Nie mamy wyboru. Jeśli Stany Zjednoczone wyrażają wolę pokierowania działaniami, Republika Korei zapewni im wszelkie możliwe wsparcie, zarówno wojskowe, jak i dyplomatyczne.

–To samo dotyczy Filipin – dodał minister Apayo. – Niewiele naszych jednostek wojskowych jest przystosowanych do prowadzenia tego typu operacji, możemy jednak udostępnić bazy morskie i powietrzne, jak też zapewnić wsparcie logistyczne.

Uwaga wszystkich uczestników narady skupiła się teraz na ambasadorze Moroboshim, który miał przedstawić stanowisko Japonii. Ten jednak zabrał głos dopiero po dłuższym milczeniu.

–Mój kraj przed laty całkowicie wykluczył z zakresu polityki międzynarodowej możliwość prowadzenia ofensywnych działań zbrojnych. Tylko nadzwyczaj ważne powody mogłyby skłonić nasz rząd do uczynienia wyjątku w tej doktrynie. Jednakże wizja nuklearnej dewastacji wybrzeży Japonii, moim zdaniem, skłania do zrobienia takiego wyjątku. Pragnę więc wyrazić przekonanie, że Stany Zjednoczone będą mogły liczyć na pełne poparcie mojego narodu w planowanej operacji.

Van Lynden przytaknął ruchem głowy.

–Panowie, gorąco wam dziękuję w imieniu Stanów Zjednoczonych. Oby nasza decyzja okazała się słuszna. Sądzę, że teraz wszyscy powinniśmy się skomunikować z przywódcami naszych krajów.

–Jeszcze jedno, panie sekretarzu – wtrącił przedstawiciel Filipin. – Jak pan widzi rolę Tajwańczyków? O ile mi wiadomo, ich okręty już przystąpiły do tropienia chińskich łodzi podwodnych. Czy operacja wojskowa, o której przed chwilą mówiliśmy, będzie koordynowana z ich działaniami?

–To chyba logiczne, że powinniśmy nawiązać bliższą współpracę, panie Apayo.

–I nie obawia się pan, że władze komunistyczne potraktują to jako oficjalne poparcie dla nacjonalistów w wewnętrznym chińskim konflikcie?

–Ma pan rację, panie ministrze. Sądzę jednak, że w zaistniałych okolicznościach nie możemy dłużej pozostawać neutralni.

Rozdział 30

Szanghaj, Chiny

18 sierpnia 2006, godz. 7.44 czasu lokalnego

Tajna operacja dobiegła końca. Kutry torpedowe wyszły ze swych kryjówek i cała eskadra, a raczej jej resztki, cumowała teraz przy osłonecznionym nabrzeżu portowym.

Porucznik Żu Szan stał oparty o reling i w myślach oceniał zadania, jakie czekały go na nowym stanowisku. Pod jego dowództwo przekazano łódź pięćset szesnaście, której kapitanem był poprzednio zastępca dowódcy eskadry. Kuter znajdował się w kiepskim stanie. Wierzchnie poszycie hydroplatu zostało rozszarpane i podziurawione przez szrapnele. Cywilni robotnicy portowi nawet nie dali rady zmyć licznych plam krwi z pokrytych grubą warstwą rdzy pokładów.

Bosman Hung uwijał się jak w ukropie, jednocześnie nadzorując prowizoryczne prace remontowe i próbując zaprowadzić jakiś ład wśród grupy całkiem zielonych poborowych, z których naprędce sformowano nową załogę kutra. Sądząc po głośności i rodzaju siarczystych przekleństw, jakie dolatywały od strony rufy, żadne z tych zadań nie było łatwe.

Żu jednak borykał się ze znacznie poważniejszymi dylematami. Kapitan Li i oficer polityczny eskadry zginęli na kutrze flagowym, omyłkowo zatopionym przez rakietę artylerii ochrony wybrzeża. Pierwszy oficer eskadry także zginął wraz z całą swoją załogą. Ci ludzie przynajmniej ponieśli śmierć z ręki wroga.

W ten sposób Żu, który wciąż uważał siebie za niedoświadczonego, młodego oficera, nieoczekiwanie został nowym dowódcą eskadry. Nie dawało mu jednak spokoju, że dowództwo marynarki tutejszego okręgu wojskowego nie zadało sobie nawet trudu, by poszukać kogoś odpowiedniejszego na to stanowisko. W dodatku po zakończeniu operacji, gdy łodzie podwodne wyszły już bezpiecznie w morze, nie postawiono nawet żadnych nowych zadań przed eskadrą kutrów pościgowych.

Zostawiono ich wręcz samym sobie, co do tej pory nie zdarzało się chyba w żadnej formacji Ludowej Armii Wyzwoleńczej, a więc tym bardziej dawało do myślenia. Ale Żu wiedział już, czym powinni się zająć. Przede wszystkim należało odbudować w marynarzach żołnierskiego ducha, wyrwać ich ze stanu przygnębienia po stracie kolegów i na nowo przygotować do walki. A w tym celu trzeba było znaleźć dla eskadry jakieś ważne zadanie.

Mimowolnie z jego pamięci wypłynął niezapomniany obraz: widok wyłaniającej się z mgły, wzmocnionej, wznoszącej się pod ostrym kątem dziobnicy nieprzyjacielskiego

okreću...

Rozdział 31

Rejon działania siódmej floty

18 sierpnia 2006, godz. 9.00 czasu lokalnego

**** ŚCIŚLE TAJNE ŚCIŚLE TAJNE ŚCIŚLE TAJNE ŚCIŚLE TAJNE ****

**** KOD BEZPIECZEŃSTWA; STINGRAY-BRAVO-SZEŚĆ-SZEŚĆ-ZERO ****

**** WŁĄCZYĆ SZYFRATOR ***** KONTROLA – WERYFIKACJA****

**** OGŁOSZENIE ALARMU**

BOJOWEGO **

OD: CINC-7

DO: WSZYSTKICH ZGRUPOWAŃ LĄDOWYCH POWIETRZNYCH I MORSKICH SIÓDMEJ FLOTY

Z POLECENIA NACZELNEGO DOWÓDZTWA SIŁ ZBROJNYCH USA WPROWADZA SIĘ NASTĘPUJĄCE MODYFIKACJE DO ZAKRESU DZIAŁAŃ OPERACYJNYCH FLOTY POCZĄWSZY OD GODZ. 12.00 CZASU LOK. DNIA 18 SIERPNI 2006.

1. BEZWZGLĘDNY PRIORYTET UZYSKUJE MISJA ZLOKALIZOWANIA ORAZ IDENTYFIKACJI JAKICHKOLWIEK CHIŃSKICH ATOMOWYCH ŁODZI PODWODNYCH KLASY HAN I SIA PŁYWAJĄCYCH W PRZYBRZEŻNEJ STREFIE AZJI ORAZ NA OTWARTYM PACYFIKU.

2. PO ZLOKALIZOWANIU I POTWIERDZENIU IDENTYFIKACJI NALEŻY WYMIENIONE CHIŃSKIE OKRĘTY ZAATAKOWAĆ I ZATOPIĆ ZA WSZELKĄ CENĘ.

Rozdział 32

Morze Wschodniochińskie, 55 mil na zachód od wyspy Karne Shima

19 sierpnia 2006, godz. 12.47 czasu lokalnego

–List od byłej żony, Doc? – zapytała Amanda z tajemniczym uśmiechem.

–Lepiej – odparł Golden, westchnąwszy teatralnie. – Od jej adwokata. Być może uda się skończyć te przepychanki, chociaż żądaniom końca nie widać.

Steward roznosił lunch. Większość oficerów „Księcia” była w dobrym nastroju, wyjątek stanowił Ken Hiro, który – po postawieniu okrętu w stan pełnej gotowości bojowej – miał przed sobą perspektywę pełnienia jednej wachty za drugą w Bojowym Centrum Informacyjnym. W przeciwieństwie do niego Amanda tryskała humorem, chociaż dla nikogo na mostku nie było tajemnicą, że w znacznym stopniu jest to tylko odreagowanie ciągłego napięcia.

Lekarz pokładowy ostentacyjnie złożył z powrotem list i wsunął do kieszeni.

–Kapitanie, może być pani bardzo wdzięczna Marilyn.

Garrett zmarszczyła brwi i odstawiła filiżankę z kawą.

–A to dlaczego, doktorze?

–Ponieważ to przez nią jestem jeszcze w pani załodze. Gdybym zrezygnował ze służby i otworzył własną praktykę, mogłaby mnie łatwiej skubać. Z drugiej strony na morzu rzadko można znaleźć utęskniony spokój i ciszę. Cóż, nie ma rozwiązań idealnych!

Odpowiedziały mu pojedyncze śmiechy.

–Nie przesadzaj, Doc – odezwał się Arkady. – Na pewno nie jest aż tak źle. W końcu ożeniłeś się z kobietą.

–Posłuchaj, skowronku. – Golden zaczął umiejętnie naśladować żydowski akcent. – Kiedy po raz pierwszy zamieszkaliśmy razem z moją byłą żoną, musiała się pozbyć swego kota, bo jestem uczulony na sierść. Ale gdybym wtedy wiedział tyle, ile wiem teraz, prędzej zostawiłbym sobie tego cholernego kota, a pozbył się Marilyn! Alergię można jakoś przetrzymać, biorąc odpowiednie leki!

Tym razem wszyscy przy stole wybuchnęli śmiechem. Wiadomo było jednak, że ten beztroski nastrój nie utrzyma się długo.

–Kapitanie, czy wiadomo coś nowego w sprawie polowania na tę łódź podwodną? – zapytał wyjątkowo poważny Thomson.

–Od wczorajszego wieczoru nic się nie zmieniło – odparła Amanda, odkrawając spory kawałek kanapki z pieczonym indykiem. – Flota ma przede wszystkim nie dopuścić, żeby okręt przedostał się na otwarty Pacyfik. – Nawet ją samą zdziwiło, z jaką łatwością powróciła do rzeczowego tonu rozmowy, przyciągając uwagę swoich podwładnych. – Trwa ustawianie blokad na wszelkich głębszych przejściach wiodących z Morza Wschodniochińskiego na ocean. Powołuje się specjalne międzynarodowe grupy operacyjne do wykonania tego zadania. Marynarka koreańska obstawiła wszystkie cieśniny wokół półwyspu, Tajwańczycy patrolują

dojścia do Formozy, japońskie jednostki ochrony wybrzeża zajęły pozycje na północ od wysp Ryukyu, a nasza siódma flota kontroluje obszar na południe od archipelagu. Po odcięciu całego tego obszaru podjęta zostanie zintensyfikowana operacja poszukiwania chińskiej łodzi na tutejszych wodach. Jeśli ją odnajdziemy, mamy podać innym namiary i przystąpić do ataku, zgodnie z regułami zwalczania tego rodzaju jednostek.

–A czy ktokolwiek ma jakieś pojęcie, gdzie te łobuzy mogą teraz być? – zapytał Frank McKelsie.

–Zajrzyj pod swoje krzesło – wtrąciła szybko Christine Rendino. – Najprawdopodobniej czerwoni postanowili się przyczaić gdzieś w głębinach na zachód od Ryukyu i poczekać na dogodną okazję do wyruszenia którymś z oceanicznych kanałów.

–W takim razie co my tu jeszcze robimy? Dlaczego nie włączono nas do którejś grupy?

–Włączono – odparła Garrett. – Tworzymy drugą, wewnętrzną linię zaporową rozstawioną wzdłuż archipelagu Ryukyu od strony kontynentu. Naszym celem jest odstraszenie chińskiego konwoju i zepchnięcie go z powrotem na płytsze wody przybrzeżne. W skład tej grupy wchodzi różne jednostki, głównie z japońskiej ochrony wybrzeża i marynarki tajwańskiej. Znajdowaliśmy się zbyt daleko od głównych sił naszej floty i nie mogliśmy podjąć razem z nimi polowania, dlatego też admirał Tallman uznał, że uczyni z nas symboliczny amerykański wkład w tworzenie tej międzynarodowej grupy. – Urwała na chwilę i pociągnęła łyk kawy. – A przynajmniej mnie przedstawił sprawę w ten sposób.

–Jasne.

Wszyscy na mostku zajęli się jedzeniem, jakby chcieli odegnąć ponurą wizję przyszłości, która dodatkowo zaostriła napiętą atmosferę. Zdawali sobie sprawę, że atomowa łódź podwodna przypomina groźnego morskiego drapieżnika, największego wroga wszelkich okrętów nawodnych. Polowanie na nią w tych głębokich wodach było więc podobne do żmudnej pracy saperskiej, nakłuwającego szpikulcem zaminowane pole. W takim wypadku pomyślnie zakończenie łowów równie dobrze mogło dla nich oznaczać gwałtowną, nieoczekiwaną eksplozję tuż pod linią zanurzenia „Księcia”.

Chyba z tego samego powodu nikt się za bardzo nie spieszył z lunchem. Steward rozkładał właśnie deser do misek, kiedy z głośników popłynął komunikat:

–Mostek, tu centrum informacyjne.

Amanda, która nawet na moment nie rozstawała się ze swoimi słuchawkami,

podniosła je teraz szybko ze stołu i wcisnęła na głowę.

–Tu mostek. Co się dzieje, Ken?

–Na południowy wschód od nas ktoś przed chwilą uaktywnił silny sonar. Trudno określić odległość, lecz źródło znajduje się na pewno za horyzontem. Moim zdaniem może to być następny statek z naszej grupy.

–Nadszedł jakiś meldunek?

–Jeszcze nie, ale... Zaraz, właśnie go odbieramy... Z tajwańskiej fregaty „Po Jang” donoszą, że prawdopodobnie namierzyli łódź podwodną. Ruszają jej tropem, domagając się podania kodu.

Wszyscy przy stole popatrzyli na Amandę w oczekiwaniu na jej decyzję.

–Chris, co wiesz o tej „Po Jang”? – spytała szeptem Garrett, zakrywając dłonią mikrofon.

–To nasz okręt klasy Knox, sprzedany w dziewięćdziesiątym piątym. Tajwańczycy sami go wyremontowali i unowocześnili wyposażenie. Na dziobie ma wyrzutnię pocisków do zwalczania łodzi podwodnych, na śródokręciu dwie baterie po trzy wyrzutnie torped. Na głównym pokładzie znajduje się małe lądowisko dla jednego śmigłowca typu Kaman Super Sprite. – Rendino przytaczała te fakty w takim tempie, jakby odczytywała dane z ekranu komputera. – Z urządzeń namiarowych mają sonar SQS-26 i radar kierunkowy SQR-18, oba sterowane przez całkiem niezłe programy komputerowe.

Amanda przeniosła wzrok na oficera taktycznego.

–Dix, jakie są szanse Knoxa przeciwko Han lub Sia? Kto ma przewagę?

Tamten wzruszył ramionami.

–W sytuacji sam na sam ten będzie miał większe szansę, kto pierwszy zyska sposobność oddania celnego strzału. Ale w tym rejonie można się spodziewać, że tajwańska fregata szybko znajdzie sobie jakichś sprzymierzeńców.

Arkady odsunął się z krzesłem od stołu.

–Kapitanie, lepiej wyruszę na rekonesans i przyjrzę się wszystkiemu z bliska.

Garrett energicznie pokręciła głową.

–Nie, zaczekamy. Wolałabym najpierw uzyskać potwierdzenie złapanego kontaktu.

Wszyscy jakby nagle zapomnieli o lunchu. W milczeniu popijali herbatę lub kawę, nerwowo obracali w palcach serwetki. Równie podenerwowany steward zaczął pospiesznie zbierać naczynia ze stołu. Oczekiwanie nie trwało jednak długo. Ponownie rozległ się trzask w głośnikach.

–Mostek. Nasz sonar przed chwilą wyłapał echo podwodnej eksplozji.

–Nasz pocisk czy ich? – zapytał ktoś półgłosem.

Jakby w odpowiedzi, Ken Hiro podał przez interfon:

–Kapitanie, odebraliśmy sygnał SOS z „Po Jang”. Zostali trafieni torpedą. Znajdują się dwadzieścia dwie mile na południe-południowy-wschód stąd.

**–Przyjęłam! Ken, ogłosz alarm bojowy. Idziemy „Po Jang” na ratunek. Maszynownia, cała naprzód! – Urwała na chwilę, gdyż rozdzwoniły się dzwonki alarmowe, lecz zaraz kontynuowała wydawanie rozkazów: – Radio, wyślij komunikat do „Po Jang”:
„Trzymajcie się. Pełną szybkością idziemy wam na odsiecz”. Później połącz się z dowództwem siódmej floty. Powtórz meldunek o złapaniu kontaktu z łodzią podwodną i przekaż, że włączamy się do akcji. Zapytaj, czy możemy liczyć na jakieś wsparcie w zagrożonym rejonie.**

–Rozkaz, kapitanie!

Oficerowie wachtowi stali już przy stole, oczekując komendy.

–Panie Arkady, proszę zostać przy mnie na sekundę. Reszta na stanowiska!

Ruszyli biegiem do swoich sekcji. Pilot zatrzymał się obok niej, także gotów przystąpić do działania.

–Vince, biorąc pod uwagę prędkość, jaką zamierzam rozwinąć, podejrzewam, iż szum własnych silników całkowicie ogłuszy sonary. Będziemy się posuwali na ślepo. Dlatego poderwij w powietrze drugi śmigłowiec, dokonaj z góry oceny sytuacji i oczyść nam przedpole. A przede wszystkim znajdź tę cholerną łódź podwodną!

–Rozkaz!

Pospiesznie skinął głową, zrobił zwrot na pięcie i ruszył w stronę luku prowadzącego do lądowiska na rufie.

–Kapitanie, zgłasza się radio. Z „Po Jang” zakomunikowali właśnie, że zostali trafieni drugą torpedą. Kapitan wydał rozkaz opuszczenia okrętu. Odbieramy już sygnały nadajników tratw ratunkowych.

–Zrozumiałam. Zaraz będę na dole.

Winda towarowa w hangarze śmigłowców zatrzymała się z sykiem siłowników hydraulicznych. Migotały czerwone światła ostrzegawcze.

–Dalej, dalej! Ruszać się! Nie oszczędzajcie sił!

I bez tych ponagleń obsługa pospiesznie holowała helikopter ze stanowiska postojowego na platformę windy.

Komandz przechoził pełną międzyrejsową kontrolę sprawności, toteż obok niego szli jeszcze technicy, dokonując ostatnich przeglądów bądź zamykając klapy przedziałów technicznych.

–Gus! Gdzie jesteś?! – krzyknął Arkady, wypadając z wylotu korytarza.

–Tutaj, poruczniku! – Gregory „Gus” Grestovitch, drugi członek jego załogi, specjalista obsługi urządzeń lokacyjnych, w pośpiechu zapinał już uprząż kombinezonu lotniczego.

–Co mamy pod brzuchem?

–Niczego nie zmienialiśmy. Jest pełne uzbrojenie i wyrzutnia boi sonicznych z połową boi aktywnych i połową pasywnych.

–Dobra. Każ to uzupełnić o torpedę Mark pięćdziesiąt i pneumatyczną tratwę ratunkową. Biegiem!

–Rozkaz!

Tykowaty Grestovitch cisnął trzymany hełm na podłogę śmigłowca i pognął biegiem, żeby przekazać obsłudze polecenia. Arkady pospiesznie zapiął szelki uprząży i wcisnął hełm na głowę. Jeszcze zanim winda ruszyła w górę, usiadł za sterami i przystąpił do kontroli urządzeń pokładowych.

Dobrze wiedział, że technicy obsługi pracują w najwyższym pośpiechu, odczuwał jednak niecierpliwość, gdyż pierwsza dama bardzo na niego liczyła. Nie dokończywszy jeszcze procedur przedstartowych, wychylił się z fotela, żeby popatrzeć, czy niewielka Barracuda, torpeda przeznaczona do zwalczania celów podwodnych, jest prawidłowo mocowana pod stabilizatorem maszyny. Niemal w tej samej chwili winda powoli ruszyła ku górze.

Niebo było czyste, silnie pobielale od palącego słońca. Tylko daleko nad północnym horyzontem wisiał samotny cumulus. Zdawało się, że ma ten sam czysto śnieżny odcień, co pojedyncze białe grzywy fal i długie smugi spienionej wody, które

„Cunningham” zostawiał za sobą.

Okręt cały czas nabierał prędkości. Ponad burtami na wysokości otworów wydechowych falowało silnie rozgrzane powietrze. Amanda dobywała z maszyn rezerw mocy, pragnąc jak najszybciej dotrzeć do storpedowanej tajwańskiej fregaty.

Oznaczało to zarazem, że musiała zrezygnować z niektórych elementów kamuflażu i narazić „Księcia” na pewne ryzyko.

Cholera! – pomyślał, przecież powinienem już być w powietrzu i osłaniać okręt!

–No już! Ruszać się! Muszę poderwać tego ptaszka w górę!

Ale dopiero zakończono rozkładanie i mocowanie płatów wirnika, technicy odskakiwali na bezpieczną odległość.

Grestovitch wskoczył do kabiny i z hukiem zasunął drzwi.

–Gus, jaka jest obecna pozycja Pazia zero dwa w wyznaczonym kwadracie poszukiwań?

–Delany odleciała dalej na północny wschód, poruczniku. Parę sekund temu kontroler kazał jej zawrócić i zdążać do rejonu, gdzie złapano kontakt.

–Szlag by to trafił! Przygotować się do rozruchu silnika!

–Gotów. Czy to prawda, że udało się namierzyć jedną z chińskich łodzi podwodnych, poruczniku?

–Prawda.

–Słyszałem też, że już zdążyła zatopić jakąś łajbę.

–Zgadza się. – Arkady włączył zasilanie, podniósł osłonę i położył palec na przycisku rozrusznika. – Jazda!

–Baczność! Kapitan w centrum!

–Dziękuję, Ken. Przejmuję dowodzenie.

–Kapitan przejmuje dowodzenie!

Amanda zajęła miejsce w kapitańskim fotelu i przysunęła się bliżej głównego ekranu Alfa.

–Proszę meldować o statusie okrętu.

–Jesteśmy w pełnej gotowości bojowej – rzekł szybko Hiro stojący tuż za jej plecami. – Idziemy całą naprzód kursem jeden dziewięć zero. Obecna prędkość: trzydzieści siedem węzłów.

–Oficer taktyczny, jaki jest status uzbrojenia?

Na znajdującym się zaraz na prawo od niej stanowisku Dix Beltrain podniósł głowę znad pulpitu.

–Obie wyrzutnie torped przygotowane, kapitanie. Wygrzewamy silniki pocisków w silosach pionowego startu. Jedyne kłopot polega na tym, że nie znamy celu.

O sytuację taktyczną Garrett nie musiała pytać, wszystko było widać na wielkim ekranie systemu Aegis. Przed nimi, dokładnie na tym samym kursie, jaśniał białą punkt oznaczający miejsce zatopienia tajwańskiej fregaty. Wokół niego czerwoną linią był zarysowany spory okrąg, oznaczający rejon skutecznego zasięgu chińskich torped typu 53. Gdzieś wewnątrz tego obszaru okręt, który storpedował „Po Jang”, prawdopodobnie czaił się pod powierzchnią, gotów do przeprowadzenia kolejnego ataku. „Cunningham” już niedługo miał się znaleźć w granicach niebezpiecznej strefy.

W tym samym kierunku przesuwał się po ekranie symbol w kształcie odwróconej litery Y, oznaczający ich własny helikopter. Znajdował się jednak dość daleko i niewiele mógł wyprzedzić macierzysty okręt w drodze do celu.

–A co ze śmigłowcem z tajwańskiej fregaty, Dix?

–Prawdopodobnie został na pokładzie, kapitanie. Nie zdążył wystartować.

–Jaki jest status Pazia zero jeden?

–Kontrola meldowała przed chwilą, że zabiera dodatkowe uzbrojenie. Za kilka minut powinien się znaleźć w powietrzu.

–Czy są w rejonie inne okręty do pomocy?

–Z obszaru zgrupowania siódmej floty wyruszył na południe japoński Orion. W dodatku chcą tu skierować jednego Vikinga, kiedy tylko skończą go tankować. Ale obie jednostki znajdują się w pobliżu nie wcześniej niż za trzy kwadransy.

–Do diabła, będzie już za późno – syknęła Amanda, przebijając nerwowo palcami po poręczy fotela. – Ken, zanim pójdziesz na mostek, powiedz mi, co sądzisz o tej sytuacji. Chciałabym też znać twoją opinię, Dix. Czy czerwoni zamierzają kręcić się w pobliżu i czekać na sposobność do przypuszczenia ataku na nas?

Hiro wzruszył ramionami.

–Całemu chińskiemu konwojowi powinno przede wszystkim zależeć na tym, by przemknąć się niepostrzeżenie. Gdy napotkali na swej drodze tajwańską fregatę, zatopili ją, lecz teraz chyba znów zaczną szukać dogodnej kryjówki. Podejrzewam, że zejda bliżej dna i zachowując maksymalną ciszę, spróbują przejść głębinami w bezpieczniejszy dla nich rejon.

–To wydaje się logiczne, pani kapitan – dodał Beltrain. – Ale nie można też wykluczyć, że zostawią za sobą tylną straż. Jeden z dwóch okrętów szturmowych może wyjść z szyku i zaczekać pod powierzchnią na jednostki idące Tajwańczykom na ratunek, zabezpieczając jednocześnie odwrót pozostałych łodzi atomowych.

Amanda zmarszczyła brwi i przygryzła wargi.

–Dziękuję za te uwagi, panowie.

–Kapitanie! – zawołał operator systemu Aegis. – Właśnie straciliśmy całkowicie kontakt z tajwańską fregatą. Poszła na dno.

Odruchowo wszyscy popatrzyli na główny ekran systemu wizyjnego. Widać już na nim było czarną smugę gęstego dymu wiszącego nad południowym horyzontem.

–Centrum, tu kontrola lotów. Startuje Paż zero jeden.

Dolatuujące z górnego pokładu wibracje nagle przycichły, a w obiektywach kamer ukazał się startujący śmigłowiec. Z dziobem opuszczonym ku falom zaczął błyskawicznie nabierać szybkości i oddalać się w kierunku chmury dymu nad horyzontem.

–Powiedz coś wreszcie, Gus. Co masz na ekranach?

–Wiele statycznych kontaktów na powierzchni, poruczniku. To muszą być odbicia od osłon radarowych tratw ratunkowych. Nie wyłapuję jednak żadnego celu ruchomego, niczego, co można by uznać za echo peryskopu. Ale odbieram już sygnał Pazia zero dwa, jest mniej więcej na godzinie dziewiątej.

Vince szybko spojrzał na lewo. Dostrzegł nad horyzontem połyskujący w słońcu punkcik, będący bliźniaczym śmigłowcem z „Cunninghama”. Szybko sięgnął do przełącznika nadawania.

–Zero dwa, tu zero jeden. Właśnie wystartowaliśmy i podchodzimy do celu. Jak mnie słyszysz, Nancy?

–Doskonale, poruczniku – odparła przez radio Delany. – Jak pan chce to rozegrać?

Mimo otrzymanego niedawno awansu drugi pilot „Księcia” wciąż nie potrafił zwracać się do swego dowódcy po imieniu.

–Zrzućmy cztery boje wokół rejonu zatopienia, za którego środek wyznaczam pozycję ostatniego zarejestrowanego kontaktu z fregatą. Rozmieścimy je w promieniu dwóch mil od tego miejsca, w odległości czterech mil od siebie. Kolejno, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, nadaję bojom nazwy: Alfa, Bravo, Charley i Delta. Podejmiemy pasywny nasłuch i zaczekamy na rezultaty.

Czekając, aż Nancy powtórzy wyznaczone parametry działania, zapatrzył się przed siebie. Mógł już dostrzec odcinającą się od oceanicznego błękitu rozległą czarną plamę ropy na powierzchni, usianą żółtymi punkcikami tratw ratunkowych.

–W porządku, zero dwa. Wyznaczam rejon, zrzucając boję Delta, po czym zajmuję się oceną stanu rozbitków. Ty leć dalej wzdłuż granicy i zrzuć boję Alfa, Bravo i Charley. Na pewno masz zainstalowany odbiornik sieci sonicznej?

–Potwierdzam, zero jeden. Zaraz skontroluję jego działanie.

–Dobra. Kiedy już rozstawisz boje pasywne, odejź dwie mile na południe, zrzuć boję aktywną i rozpocznij intensywne przeszukiwanie głębin. Chciałbym tego sukinsyna wygonić z kryjówek.

–Zrozumiałam.

–Proszę wejść na kurs dwa zero zero do miejsca zrzucenia boi Delta, poruczniku – odezwał się znad ekranu radarowego siedzący z tyłu Grestovitch.

–Robi się, Gus.

Boje soniczne pełniły dla nich taką samą rolę, jak dla wędkarza przeszklone dno łodzi – umożliwiały niejako zajrzenie w głąb oceanu. Niewielkie, zrucane z powietrza urządzenia po opadnięciu w fale automatycznie wysuwały w dół wodoszczelną głowicę uzbrojoną w czułe mikrofony, ku górze zaś antenę zapewniającą łączność radiową z macierzystym okrętem bądź helikopterem, gdyż tą właśnie drogą rejestrowane podwodne odgłosy przekazywane były do komputerowych urządzeń analizujących.

–Alfa na morzu, Delta również. Odbieram fale nośne obu nadajników.

–Doskonale, Gus. Włącz nasłuch w pełnym paśmie. Ja zobaczę, co z rozbitkami.

Arkady wielokrotnie brał wcześniej udział w różnego rodzaju akcjach ratunkowych, lecz jeszcze nigdy dotąd nie miał okazji przelatywać nad miejscem zatopienia dużego okrętu wojennego.

Gigantyczną plamę rozlanej ropy, przypominającą kałużę krwi pozostałą po zamordowanej fregacie, w paru miejscach znaczyły gejzery wydobywającego się z głębin powietrza. Nawet w kabinie helikoptera czuć było ostry swąd paliwa. Wszędzie dryfowały różnorodne szczątki, między nimi pływali ludzie. Niektóre sylwetki nieruchomo unosiły się na falach. Największe skupiska marynarzy tworzyły się wokół pneumatycznych tratw ratunkowych. Ci, którzy już zdołali się na nie wciągnąć, teraz podskakiwali i energicznie wymachiwali rękami w kierunku helikoptera, niczym uciekinierzy z piekła na widok nadlatującego anioła.

Vince wybrał najliczniejszą grupę marynarzy pozostających w wodzie, skupionych wokół kilku pływających skrzyń, i zrzucił między nich tratwę, którą kazał dodatkowo zainstalować w przedziale pod brzuchem maszyny. Na razie nie mógł udzielić rozbitkom większej pomocy. Wąski i wysmukły Komańcz, w którym znajdowały się tylko cztery fotele, nie nadawał się do prowadzenia akcji ratunkowej na większą skalę.

–Szara dama, tu Paź zero jeden. Jestem nad miejscem katastrofy. Szacuję, że w wodzie przebywa około stu pięćdziesięciu marynarzy. Duża część z nich jest rannych.

–Zrozumiałam, zero jeden – odparła Garrett. – Będziemy na miejscu za dziesięć minut.

Arkady popatrzył na północ.

Ciemnoszara kamuflująca powłoka „Cunninghama” nie pozwalała go jeszcze wyłowić z atmosferycznej mgiełki rozmazującej linię horyzontu, ale było już widać białe grzywy odkosów na falach rozcinanych dziobem idącego pełną szybkością niszczyciela.

Siedzący przy pulpicie aparatury Grestovitch wbijał wzrok w ekran i dociskał palcami słuchawki przekazujące odgłosy z rozstawionych boi sonicznych. Mimo sporego doświadczenia nadal uważał, że polowanie na łodzie podwodne graniczy z czarną magią. Przełączał monitor to na obraz radarowy, to na kolumny liczb reprezentujących wyniki sonicznego skanowania leżącego pod nimi obszaru, ale wciąż nie mógł znaleźć potwierdzonego kontaktu, chociaż sercem i duszą wyczuwał bliską obecność nieprzyjacielskiego okrętu.

W tych warunkach mógł liczyć przede wszystkim na szczęście. Pływające szczątki i tratwy ratunkowe dawały liczne odbicia na radarze, a wśród odgłosów wyłapywanych przez mikrofony boi dominował bulgot powietrza oraz jęki i trzaski pękających i zderzających się elementów opadającej na dno fregaty. Nadal dawał się rozróżnić syk, którego źródłem było szybkie stygnięcie rozgrzanych części okrętu w zetknięciu z zimną wodą głębin.

Przyszło mu na myśl, że wewnątrz tonącej jednostki mogą się jeszcze znajdować żywi ludzie, którzy nie zdążyli opuścić swoich stanowisk nim fale zalały pokłady i których ostatnie sekundy życia miały teraz upłynąć w zamkniętych pomieszczeniach, w całkowitych ciemnościach, wewnątrz kurczącego się szybko bąbla uwięzionego powietrza.

Grestovitch zamknął oczy i pokręcił głową, chcąc się uwolnić od ponurych rozważań. Nie wolno mu teraz było dopuścić do siebie podobnych myśli. Ponownie skupił się na wskazaniach przyrządów, po raz kolejny przełączwszy obraz wyświetlany na ekranie. Nagle coś dziwnego przykuło jego uwagę. Raz i drugi powiódł spojrzeniem po wskazówkach drugorzędnych urządzeń namiarowych.

–Hej, poruczniku!

Arkady obejrzał się przez ramię.

–O co chodzi, Gus?

–Głębokość oceanu wynosi w tym miejscu co najmniej tysiąc metrów, zgadza się?

–Owszem.

–Więc jak to możliwe, że wrak fregaty wciąż utrzymuje się blisko powierzchni?

–Dlaczego tak sądzisz?

–Proszę popatrzeć na detektor anomalii magnetycznych. Wygląda na to, że dokładnie pod nami pływa olbrzymia kupa żelastwa.

Vince przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, jaki kod przywołuje na główny ekran wskazania rzadko wykorzystywanego detektora. Wreszcie uzyskał żądane informacje i szczeka mu opadła.

–Cholera! Szara dama! Tu zero jeden! Łódź czerwonych zajęła pozycję do ataku pod gromadą rozbitków! To pułapka!

–Sternik! Zwrot o sto osiemdziesiąt stopni! – krzyknęła Amanda do mikrofonu. – Bojowa rezerwa mocy silników!

Oficer pełniący wachtę na mostku błyskawicznie przestawił dźwignie i do oporu pchnął manetkę mocy turbin. Wycie silników przybrało na sile. Zatrzeszczały spojenia kadłuba okrętu położonego w ciasny zakręt. Pochylenie pokładów oznaczało, że „Książę” błyskawicznie rzuca się do ucieczki.

–Sonar! Jakim sposobem przeoczyliście tych łobuzów? – wrzasnął Dix Beltrain znad

konsoli sterowania uzbrojeniem.

–Szum jego reaktora musiał utonąć w kakofonii odgłosów tonącej fregaty – odparł pewnie Foster. – Przystawiamy urządzenia kierunkowe na wskazaną pozycję... Łapiemy szum! Wygląda na to, że zalewają wyrzutnie torped!

–Do diabła! Szykują się do strzału! Kapitanie, mamy stabilny namiar naprowadzający! Jesteśmy gotowi do odpalenia rakiety!

–Nie! Wstrzymać ogień! – Amanda energicznie pokręciła głową. – Ukrył się pod rozbitkami. Gdybyśmy posłali mu torpedę, zabilibyśmy tych ludzi.

–To co robimy, kapitanie?

–Uciekamy stąd!

–Ryba w wodzie! – krzyknął nieco piskliwym tonem Foster. – Kapitanie, mamy torpedy idące naszym śladem!

Dwa pokłady niżej, w pomieszczeniach kontrolnych głównej maszynowni, zazwyczaj dominowały dwa elementy – wszechobecne, monotonne zawrodozenie turbogeneratorów i ledwie wyczuwalne, lecz nie mniej dokuczliwe wibracje przenoszone przez dźwigary mocowania bocznych gondoli, kryjących potężne elektryczne silniki napędowe.

Teraz jednak wycie generatorów było wręcz nie do zniesienia, a drgania tak silne, że na konsolach podskakiwały kubeczki z kawą.

Główny mechanik, Carl Thomson, chodził nerwowo wzdłuż stanowisk operatorów maszynowni. Pokonywał dziesięć metrów przestrzeni do sterburty, a następnie drugie dziesięć do bakburty, wodząc wzrokiem po wskazaniach przyrządów kontrolnych.

–Maszynownia, tu centrum!

Thomson przystanął w pół kroku, docisnął słuchawkę do ucha i osłonił dłonią mikrofon przy ustach.

–Zgłasza się maszynownia.

–Szefie, tu kapitan. Mamy wrogie torpedy za rufą, chciałabym im uciec. Potrzebna nam cała moc, jaką dacie radę wycisnąć z maszyn. I to już!

–Zrobi się, kapitanie.

W tej sytuacji nie można było udzielić innej odpowiedzi.

–Uwaga! – zawołał Thomson na cały głos. – Dwie ryby w wodzie, ciągną za nami! Przygotować dodatkowego kopniaka silnikom!

–Szefie, prawie wszystkie wskaźniki mamy już na czerwonych polach, idziemy pełną mocą – zaprotestował jeden z techników, zerkając trwożliwie przez ramię. – Chyba nic więcej nie damy już rady wycisnąć!

–Widocznie mało jeszcze znacie najnowsze generatory stosowane w marynarce – odparł Thomson, pochylając się nad pulpitem między dwoma podkomendnymi. – Jakiś kretyn namaluje czerwoną kreskę na wskaźniku, a wam się zdaje, że to nieprzekraczalna granica. Smith, wyłącz program zabezpieczeń termicznych i przestaw regulację kąta piór wszystkich śrub na sterowanie ręczne. Swensen, daj na ekran wykresy wielkości przepływów. Zaraz zobaczymy, w którym miejscu da się jeszcze wycisnąć trochę soku.

–Ryba w wodzie! Poruczniku, odpalili torpedy w kierunku „Księcia”... Skurwysyny!

Grestovitch kurczowo zacisnął palce na poręczy, gdyż właśnie w tej chwili Komańcz zanurkował ku falom. Terkot wirnika przybrał na sile. Przeciążenie coraz bardziej wciskało ludzi w fotele.

–Poruczniku! Co pan wyrabia, do diabła?!

–Wracam na posterunek! – odparł grobowym głosem Arkady.

–Dix, co z naszymi torpedami? Nie dałoby się przechwycić tamtych barracudami?

Beltrain popatrzył zdziwionym wzrokiem na dowódcę. Amanda siedziała sztywno w kapitańskim fotelu, nieruchomy wzrok wbijała prosto przed siebie.

–Nie da rady, kapitanie. Trzeba by przestawić barracudy na sterowanie przewodowe, oparte na odczytach głównego sonaru. A w tym celu musielibyśmy zwolnić i zwrócić się dziobem do ścigających nas torped. Nie mamy czasu na wykonanie takiego manewru.

Ekran Alfa bezlitośnie pokazywał narastające zagrożenie. Sonary „Cunninghama” były całkowicie ogłuszone hałasem jego własnych silników pracujących pełną mocą. System ostrzegawczy Aegis rejestrował zmieniającą się sytuację taktyczną wyłącznie na podstawie odczytów z wyrzuconych wcześniej boi sonicznych.

Kwadracik oznaczający „Księcia” przesuwał się z wolna na północny wschód. Dokładnie jego śladem podążały dwa symbole złożone z przeciętej krzyżykiem jasnej plamki, świecącej na czerwono, które przedstawiały ścigające okręt chińskie torpedy. Już na pierwszy rzut oka było widać, że dystans między wyświetlanymi na ekranie punktami stopniowo się zmniejsza.

–W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak uciekać do czasu, aż torpedom się skończy paliwo – oznajmiła stanowczo Garrett.

Beltrain nie odpowiedział. Ze zmarszczonymi brwiami popatrzył na swój ekran, po czym wywołał na nim szereg danych liczbowych: dokładny czas odpalenia torped, ich prawdopodobny zasięg oraz parametry pochodzące z biblioteki informacji wywiadowczych. Wykonał pospiesznie kilka obliczeń i jęknął głośno:

–Matko Boska!

–Co się stało, Dix?!

–Nie zdążymy wyjść poza ich skuteczny zasięg. Dogonią nas, kapitanie! Cztery minuty do trafienia!

Osiem metrów ponad oceanem Paź zero jeden pędził śladem uciekającego „Cunninghama”.

Z pamięci Arkady’ego wypłynęła opowieść o pewnym japońskim pilocie z czasów drugiej wojny światowej, który skierował swój myśliwiec przeciw nadpływającym torpedom, żeby ocalić w ten sposób macierzysty okręt i jego załogę.

Mimo woli zaczął się rozglądać, wypatrując między grzbietami fal złowieszczych kształtów torped. Niczego jednak nie zauważył. Pociski starszego typu zostawiałyby za sobą lekko spieniony ślad gazów wylotowych, lecz najnowsze torpedy poruszały się niczym atakujące rekiny.

Biorąc w dodatku pod uwagę swoją odpowiedzialność za życie Gusa, musiał wykluczyć możliwość pójścia w ślady owego legendarnego japońskiego pilota. Niewidoczne torpedy z każdą chwilą zbliżały się do „Księcia”, tymczasem on w żaden sposób nie mógł zapobiec nieuchronnej katastrofie!

–Zaprogramować grzechotki na dziesięciosekundowe opóźnienie i przygotować do odpalenia!

–Grzechotki gotowe, kapitanie!

–Odpalić! Sternik, dziesięć stopni prawo na burt!

Znad sterburty w spieniony kilwater wystrzeliły pozorne cele akustyczne, zwane powszechnie grzechotkami. Były to aparaty markujące odgłosy okrętu, które niejako przywabiały urządzenia naprowadzające torped w taki sam sposób, jakby wołały głośno: „Tutaj! To ja jestem prawdziwym niszczycielem!” Ludziom pozostawała tylko nadzieja, że te generatory hałasów okażą się skuteczne, gdyż w bogatym arsenale „Cunninghama” były to już ostatnie środki mogące uratować okręt.

–Módlmy się, żeby spełniły swoje zadanie – Beltrain głośno wyraził to, o czym myśleli wszyscy.

–Jeśli nawet nie oszukają torped, i tak mamy spore szansę wyjścia cało z opresji – zauważyła Christine Rendino, która niepostrzeżenie wyszła z sekcji wywiadowczej i teraz stała tuż za plecami przygarbionego oficera operacyjnego. Nieświadomie zaciskając palce na jego ramieniu, z uwagą wpatrywała się w liczby widoczne na ekranie stanowiska Beltraina.

–Co masz na myśli, Chris...?

Stłumiony huk niedalekiej eksplozji zabrzmiał jak odpowiedź na pytanie Amandy. Na ekranie przekazującym obraz z kamery wycelowanej ku rufie ukazała się wysoka fontanna wody, która wystrzeliła w powietrze nie dalej niż pół mili za okrętem.

–Jedną mamy z głowy! – zawołał Foster z sekcji sonicznej. – Wiodąca torpeda unieszkodliwiła naszą grzechotkę. Zbliża się druga... Cholera! Skręciła za nami! To nie koniec zagrożenia, kapitanie!

–Bez paniki! Przygotować drugi ładunek grzechotek! – Garrett obejrzała się szybko na dowódcę sekcji wywiadu. – Co chciałaś wcześniej powiedzieć, Chris?

–Druga ryba już nas nie dosięgnie. – Rendino energicznie dźgnęła palcem w odpowiedni punkt na ekranie Alfa. – Mijamy właśnie granicę skutecznego zasięgu torped typu pięćdziesiąt trzy.

–Może i tak, ale ta wciąż płynie za nami – odparł szybko Beltrain.

–Już niedługo, Dix. Nie zapominaj, że nasza baza danych wciąż jest korygowana na podstawie informacji wywiadowczych. Poza tym program ostrzegawczy też nie został ułożony przez idiotów. Zawsze lepiej jest przecenić możliwości nieprzyjacielskich pocisków, niż ich nie docenić.

–Ale trudno uzależniać od tego los okrętu, Chris – rzuciła ze złością Amanda. – Odpalić drugi zestaw grzechotek! Tym razem bez opóźnienia! Sternik, dziesięć stopni lewo na burt!

Złowieszczy jaskrawoczerwony krzyżyk na ekranie wciąż zbliżał się do „Księcia” niczym pająk podkradający się do zdobyczy schwytanej w sieci.

Za białym kwadracikiem oznaczającym niszczyciel pojawił się drugi, niebieski symbol akustycznego celu pozornego, odgradzający go od śmiercionośnego drapieznika. Nie była to jednak szczelna bariera. Wszyscy w centrum informacyjnym wstrzymali oddech, czekając na rezultaty działania grzechotek.

Na ekranie czerwony znaczek pokrył się z niebieskim... i powędrował dalej, jakby prześliznąwszy się przez kwadracik.

**–Kapitanie, torpeda przeszła obok grzechotek! Nadal ciągnie naszym śladem!
Dziewięćdziesiąt sekund do trafienia!**

–Niech to cholera!

–Niemożliwe! – syknęła Rendino, kładąc dłoń na ramieniu Amandy. – Skuteczny zasięg dla chińskich torped typu pięćdziesiąt trzy wyznaczono na podstawie osiągnięć jeszcze starszych rosyjskich konstrukcji, na których te są wzorowane! Ścigająca nas torpeda to egzemplarz tańszego, eksportowego wyrobu, tak zwanej małej kopii. Nie może mieć takich samych osiągnięć jak jej pierwowzór! Nie dogoni nas!

–Obyś miała rację. – Garrett włączyła mikrofon. – Tu kapitan. Ogłaszam alarm torpedowy! Zarządzić ewakuację dolnych pokładów! Pozamykać wszystkie grodzie! Przygotować się na eksplozję poniżej linii zanurzenia!

–Jazda! – wykrzyknął Thomson. – Zostawić wszystko i biegiem na górny pokład! Już!

Temperatura w maszynowni rosła z sekundy na sekundę, powietrze cuchnęło ozonem i nadpaloną izolacją. W celu zaoszczędzenia każdego wata energii jakiś czas temu wyłączono klimatyzację. Tymczasem na pulpitych kontrolnych zapalały się kolejne żółte i czerwone lampki ostrzegające o przeciążeniach. Niektóre układy odmawiały już posłuszeństwa.

Technicy obsługi rzucili słuchawki na pulpity i popędzili w kierunku drabinki prowadzącej ku oświetlonemu słońcem, oferującemu względne bezpieczeństwo otwartemu pokładowi. Ostatni z wybiegających przystanął u wylotu śluzy i spojrzał przez ramię na Thomsona, który pochylał się jeszcze nad klawiaturą przy głównym pulpicie kontroli silników.

–A pan, szefie?!

–Zjeżdżaj, synu. Zaraz do was dołączę.

Obaj jednak wiedzieli, że Thomson w ogóle nie zamierza schodzić ze stanowiska.

Kiedy śluza zatrzasnęła się z hukiem, główny mechanik powoli usiadł na krześle. Chwilę później zajazgotał brzęczyk alarmowy, sygnalizujący pojawienie się płomieni w sterburtowej gondoli silnika elektrycznego. Thomson pospiesznie uderzył kilka klawiszy i w zagrożonej sekcji ogień został zduszony strumieniem sprężonego azotu z butli.

Nigdy nie należy schodzić z wachty, kiedy sytuacja wymaga ciągłego nadzoru, pomyślał, zwłaszcza jeśli się przeszło szkołę Carla Thomsona. Błyszcząca wskazówka logu pokazywała prędkość pięćdziesięciu jeden węzłów. Główny mechanik uśmiechnął się i musnął palcami gałkę dźwigni regulatora mocy turbin.

–Pięknie, staruszek – mruknął. – Wreszcie wiem, na co naprawdę cię stać.

Paź zero jeden leciał wzdłuż burty „Cunninghama”, desperacko rozcinającego oceaniczną toń w ucieczce przed śmiertelnością torpedą. Fala wypiętrzająca się spod ostrej niczym brzytwa dziobnicy sięgała wysokości pokładu na silnie zanurzonej rufie, za którą tworzyła się prawdziwa kipiela, a nad nią wisiała mgiełka wyrzuconych w górę kropel wody. Dokładnie co siódma fala zderzała się twardo z burtami na dziobie, czemu towarzyszył głośny huk i fontanny tryskającej piany.

Vince Arkady i Greg Grestovitch pomyśleli jednocześnie, że „Księżę” jeszcze nigdy nie wyglądał tak pięknie i że warto na zawsze utrwalić w pamięci te ostatnie chwile niszczyciela przed eksplozją torpedy.

–Kurs zbieżny! – zameldował Foster piskliwym głosem, mimo że usilnie starał się trzymać nerwy na wodzy.

Na ekranie Alfa symbole okrętu i torpedy zetknęły się ze sobą.

–Włączyć alarm kolizyjny!

Ciszę wypełniło zawrodozenie modulowanego dźwięku syreny. Wszyscy chwycili się kurczowo poręczy, oczekując na silny wstrząs. Tylko Christine Rendino wciąż stała z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, z tajemniczym uśmiechem spoglądając na ekran taktyczny.

–Kurs nadal zbieżny!

Amanda kątem oka złowiła na monitorze wizyjnym znajomą sylwetkę. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że powrócił Paź zero jeden. Niemal odruchowo sięgnęła do pulpitu i pokręciła gałką regulacji ustawienia obiektywu kamery, mając cichą nadzieję, że na zbliżeniu uda jej się rozpoznać twarz kochanego człowieka za sterami śmigłowca.

–Zmiana widma sonicznego! Odbieramy zmianę częstotliwości!

Nawet teraz, gdy opadał już topór kata, z jej pamięci wcale nie wypłynęły urywane wspomnienia z całego życia.

–Rozdzielenie kursów! Torpeda zwalnia! Zostaje w tyle!... Skończyło jej się paliwo, kapitanie! Już nam nie zagraża!

–Wszystkie maszyny pól naprzód!

Amanda ledwie zdołała wydobyć głos ze ściśniętego gardła. Zwróciła jednak uwagę, że niemal natychmiast przycichło wycie turbin.

Zamknęła oczy i odliczyła powoli do dziesięciu, zanim ponownie sięgnęła do przełącznika mikrofonu.

–Uwaga, cała załoga! Mieliśmy mały kłopot, ale już po wszystkim. Wracać na stanowiska. Kontynuujemy polowanie na łódź podwodną.

Wszyscy w centrum informacyjnym głośno odetchnęli z ulgą. Parę sekund później znów zaszumiały klimatyzatory, obwieszczając jednoznacznie powrót do stanu normalnego. Rendino dopiero teraz osunęła się na krzesło stojące między fotelem kapitańskim a stanowiskiem kierowania uzbrojeniem. Nawet nie westchnęła, tylko z głośnym melodramatycznym sykiem wypuściła wstrzymywany dotąd oddech.

Dix Beltrain popatrzył na nią z ukosa i wskazując kciukiem asa wywiadu, rzekł z uśmiechem:

–Któregoś dnia, pani kapitan, ta ślicznotka będzie musiała się jednak pomylić.

–Żebyś wiedział – fuknęła Chris z udawanym oburzeniem. – Ale na razie możesz się cieszyć, że ten dzień jeszcze nie nadszedł.

Rozdział 33

Morze Wschodniochińskie, 37 mil na zachód od wyspy Karne Shima

19 sierpnia 2006, godz. 13.10 czasu lokalnego

Kapitan łodzi podwodnej oparł się ciężko łokciami o reling przy stanowisku peryskopowym i powiódł wściekłym spojrzeniem po oficerach wachty znajdujących się w wypełnionej czerwonym półmrokiem sterówce. Wszyscy jednak czekali w pełnym skupieniu na swoich stanowiskach, zgodnie z regulaminem Ludowej Armii Wyzwoleńczej.

Wiedział już dobrze, gdzie popełnił błąd. Storpedowanie i zatopienie fregaty nacjonalistów było częścią realizowanego planu. Zgodnie z rozkazami zajął dogodną pozycję pod gromadami rozbitków, żeby poczekać na pierwszy okręt, który przyjdzie Tajwańczykom z pomocą. Przede wszystkim chodziło o wyrządzenie dużych szkód przeciwnikom legalnych komunistycznych władz chińskich.

Ale niespodziewanie na sygnał SOS odpowiedział niszczyciel amerykański. W dodatku nie była to byle jaka jednostka, lecz jeden z najnowszych okrętów widm, o których krążyło ostatnio tyle plotek.

Powinien był wówczas wziąć pod uwagę możliwości przeciwnika, odpalić torpedy i natychmiast uciekać. On jednak pozostał w ukryciu pod rozbitkami, licząc na to, że Amerykanie, z typową dla kultury zachodniej nonszalancją, zlekceważą śmiertelne zagrożenie, mając głównie na uwadze pomoc dla poszkodowanych. Sądził wówczas, że zdąży uciec, kiedy już obie torpedy osiągną cel.

Nie doczekał się jednak eksplozji. Co gorsza, szum silników uciekającego przed torpedami niszczyciela umilkł nagle i nastąpiła grobowa cisza. Nie ulegało wątpliwości, że Amerykanie przeszli na napęd elektryczny, gdyż sonary wyłapywały jedynie ledwie uchwytny, nierozpoznawalny szmer, dolatujący w dodatku z samej granicy zasięgu hydrofonów. Właśnie te szmery kojarzyły mu się z miękkimi stąpnięciami wilczych łap na ośnieżonym terenie. Było jasne, że niszczyciel zawrócił i przystąpił do systematycznego polowania na ich łódź.

–Tchórzliwy sukinsyn! – wycedził Beltrain, oddzielnie akcentując każdą sylabę. – Cały czas trzyma się pod powierzchnią, ukryty pod rozbitkami w tratwach ratunkowych.

–Nie tyle tchórzliwy, ile nadzwyczaj przewidujący, Dix. Doskonale wie, że tam nie możemy go dopaść, nie poświęcając jednocześnie życia wielu ludzi. – Amanda uśmiechnęła się smutno, odgarniając z czoła zlepiony potem kosmyk włosów. – Ciekawa jestem, czy kiedykolwiek miał w ręku książkę Monsarrata.

–Jaką książkę, kapitanie?

–Nicholasa Monsarrata. To brytyjski autor, który podczas drugiej wojny światowej służył w Marynarce Królewskiej. W jednej ze swoich książek, zatytułowanej „Okrutne morze”, opisał rozterki kapitana angielskiej korwety w sytuacji podobnej do naszej. Tamten tak samo namierzył niemieckiego U-bota przyczajonego pod ludźmi pływającymi w wodzie i musiał dokonać wyboru: albo odpalić torpedy, zatopić hitlerowską łódź, lecz jednocześnie zabić iluś rozbitków, albo też ocalić im życie, ale tym samym pozwolić Niemcom uciec czyli narazić brytyjską marynarkę na dalsze straty w ludziach i okrętach.

Beltrain odwrócił głowę, popatrzył na ekran taktyczny, po czym fuknął z pogardą i zapytał:

–I jaką podjął decyzję?

–Mimo wszystko postanowił odpalić torpedy, Dix. Ale na szczęście dla nas, od tamtych czasów technika poszła do przodu. Mamy trochę więcej możliwości do wyboru.

–Kontakt powierzchniowy na kursie dwa cztery zero! To może być torpeda!

Kapitan łodzi podwodnej pospiesznie obrócił peryskop i popatrzył w kierunku wskazanym przez operatora sonaru. Czyżby Amerykanie zdecydowali się poświęcić tajwańskich rozbitków? – przemknęło mu przez myśl.

–Włączył się układ soniczny systemu naprowadzania torpedy!

A więc jednak! – pomyślał kapitan. Trudno było zakładać, że specjalista od nasłuchu mógł się pomylić.

–Torpeda złapała namiar! Idzie prosto na nas!

–Cała naprzód! Ciasny skręt w prawo, na kurs trzy jeden zero! Pięć stopni zanurzenia! Schodzimy na dwieście metrów!

Na ucieczkę było już za późno. Amerykanie musieli odpalić raketę, której bojową część stanowiła przeznaczona specjalnie do zwalczania celów podwodnych torpeda mark pięćdziesiąt, powszechnie zwana barracudą. A więc najgorsza ze wszystkiego, z czym powinni się liczyć. Zaczął się śmiertelny pojedynek, wykluczający możliwość poddania, toteż należało rozegrać go do końca.

Gdyby torpeda spadła do morza nieco dalej, szybka łódź klasy Han mogłaby jeszcze nabrać szybkości i podjąć ucieczkę. Mieliby do dyspozycji całą gamę środków: gwałtowne zwroty to na jedną, to na drugą burtę, powodujące tworzenie się za

okrętem wirów będących namiastką akustycznych celów pozornych, ostre zanurzenia, podczas których termiczny ślad łodzi powinien zaginać wśród licznych termoklin, a później gwałtowne wynurzenie, dające szansę umknięcia ze stożka penetrowanego przez czujniki urządzeń naprowadzających – mogliby zastosować wszelkiego typu manewry, jakie opisuje się w podręcznikach kierowania jednostkami podwodnymi.

Co prawda zwinnej barracudzie trudno było uciec. Tymczasem ich łódź nie dysponowała żadnymi środkami technicznymi służącymi do zmylenia systemów naprowadzających, a w tej sytuacji nie dysponowała też odpowiednią mocą, by uciec nadciągającej torpedzie.

W sterówce zapanowała napięta atmosfera, wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, co ich czeka. Ultradźwiękowe impulsy urządzeń naprowadzających torpedy odbijały się od wielkiego kadłuba łodzi, przez co zabójcza broń utrzymywała stały zamiar na cel. A przenikliwe, prawie wykraczające poza zakres słyszalności piski sonaru przybierały na sile. Dla oficerów w sterówce były niczym tykanie zegara odmierzającego ostatnie minuty ich życia.

Po paru sekundach stały się wyraźnie szybsze, w tle pojawił się złowieszczy szum silnika napędowego torpedy. W mrocznych pomieszczeniach łodzi marynarze zaczęli w duchu zanosić modlitwy o spokój, którego nie było im dane zaznać w życiu doczesnym.

Szum narastał, wydawał się wręcz ogłuszający. Niespodziewanie nastąpił głuchy łoskot i zapadła cisza.

Nie było huku eksplozji i silnego wstrząsu. Nie rozległ się jęk rozzieranego metalu. Do wnętrza okrętu nie wdarła się woda. Wyłączył się silnik torpedy i ta, obijając się z grzechotem o poszycie łodzi, opadła w głębiny. Oficerowie w sterówce zaczęli wymieniać zdumione spojrzenia, jakby nie dowierzali, że jeszcze żyją.

–Nieuzbrojona torpeda znakomicie spełniła swoje zadanie, pani kapitan – zameldował Beltrain. – Chyba i ja będę musiał przeczytać tę książkę Monsarrata.

–Zajrzyj kiedyś do mojej kajuty, to ci ją pożyczę, Dix. Gdzie są teraz czerwoni?

–Na kierunku względnym trzy cztery zero, po bakburcie, w odległości dwunastu mil. Skręcają w stronę kierunku trzy pięć zero. Zanurzenie: sto dwadzieścia metrów. Prędkość: dwadzieścia sześć węzłów.

–Wystarczająco daleko od rozbitków na tratwach?

–Jakieś sześć mil na północ od miejsca katastrofy, kapitanie. Możemy bezpiecznie rozpocząć atak.

–Doskonale. – Amanda przełączyła się na radio i powiedziała do mikrofonu: – Szara dama do obu Paziów. Zabijcie łobuza.

–Dobra, Gus. Słyszałeś rozkaz. Zaraz im damy popalić. Nadciąga kawaleria!

–Tak jest, poruczniku. Mamy stabilny, pewny zamiar. Wszystkie dane, łącznie z najdogodniejszym miejscem zrzutu torpedy, znajdzie pan przed sobą.

Minęli właśnie granicę plamy rozlanej ropy i znaleźli się z powrotem nad błękitną oceaniczną tonią. Kiedy tylko Komańcz z pochylonym ku falom dziobem skręcił na północ, po wewnętrznej stronie przyciemnionej przedniej szyby kabiny pojawiły się widmowe luminescencyjne symbole naprowadzania oraz linie wytyczające kierunek do celu. Zgodnie z zapowiedzią Gusa rozjaśniły się dane liczbowe miejsca zrzutu barracudy. W oddali nad horyzontem zamigotały promienie słoneczne odbite od kadłuba Pazia zero dwa, tak samo jak oni kierującego się według wskazań przyrządów nawigacyjnych nad cel.

–Zero dwa, tu zero jeden. Widzę cię na południe od nas. Zwiększmy dystans i zaskoczmy tego sukinsyna z dwóch stron równocześnie.

–Zrozumiałam, zero jeden. Wykonuję.

–Zaprogramuj czujniki naprowadzające na pełne spektrum. Ustaw głębokość rażenia na dwieście pięćdziesiąt i zrzuć torpedę z odległości dwóch mil.

–Zrozumiałam, zero jeden.

–Mam tylko jedną barracudę, Nancy, więc w razie konieczności będziesz musiała zrzucić drugą sama. Po ataku odejdę na wschód. Ty idź dalej na północ, a potem zawróć i spróbuj złapać ponowny kontakt.

–Rozkaz.

–Wszystko gotowe, Gus? – zapytał Vince, zerkając przez ramię na kolegę.

–Tak jest. Ryba uzbrojona. Sprawdzam zabezpieczenia głowicy na czas zrzutu.

Niewysokie fale przesuwają się dwadzieścia metrów pod brzuchem maszyny. Symbol określający punkt zrzutu powoli zsuwał się po szybie ku dziobowi śmigłowca. Arkady z uwagą wsłuchiwał się w dolatujące przez radio komendy Nancy Delany. Głos miała nieco spięty, ale była raczej opanowana. On jednak doskonale wiedział, że młodsza koleżanka po raz pierwszy stanęła przed koniecznością zadania śmiertelnego ciosu przeciwnikowi.

–Zbliżamy się do punktu zrzutu... Trzy, dwa, jeden... Poszła!

Widoczny w oddali helikopter skoczył ku górze i wykręcił na północ.

–Zero dwa jest wolny. Teraz nasza kolej... Trzy, dwa, jeden... Poszła!

Rozwinął się spadochron. Barracuda miękko poszybowała ku falom. Słońce po raz ostatni zabłysło na jej wysmukłej obudowie i torpeda zniknęła pod wodą.

–Oba pociski spadły prawidłowo i złapały namiar – lakonicznie oznajmił przez interfon Grestovitch, zanim jeszcze śmigłowiec wyszedł z ciasnego skrętu.

Zapadło milczenie. Han znalazł się w pułapce między dwiema pędzącymi ku niemu barracudami. W którąkolwiek stronę teraz by skręcił, i tak musiał płynąć na spotkanie z własnym przeznaczeniem. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

Gus przezornie ściszył wzmacniacz sonaru do minimum i zaczął wyglądać przez przednią szybę ponad ramieniem pilota.

Na powierzchni oceanu powstał nagle ciemniejszy krąg, pojawiła się nad nim mgiełka kropelek wyrzuconych w powietrze przez falę uderzeniową. Chwilę później w tym samym miejscu strzelił ku niebu gejzer spienionej wody.

W słuchawkach rozległ się entuzjastyczny okrzyk Vince'a:

–Pięknie, maleńka! Przygwoździliśmy tego łobuza!

Dla pewności Gus pośpiesznie przełączył się na odczyty sonaru.

Zwielokrotnione echo powtarzało jeszcze huk niedawnej eksplozji, ale oprócz tego boje soniczne wyławały już coraz wyraźniejsze odgłosy przemieszczania się wielkiego obiektu. Na pierwszy plan wybijało się głośnie bulgotanie sprężonego powietrza w zbiornikach balastowych trafionego okrętu, przypominające przedśmiertny jęk konającego podwodnego drapieźnika.

–Potwierdzam trafienie, poruczniku! Torpeda w celu! Okręt się wynurza!

–Mowa! – Arkady na sekundę zdjął dłonie ze sterów i w geście zwycięstwa uniósł na wysokość ramion zaciśnięte pięści. – Szara dama, tu zero jeden! Cel trafiony! Wyływa na powierzchnię!

–Zrozumiałam, zero jeden! – Radio przekazało rozlegające się w tle triumfalne okrzyki. – Zostań na stanowisku i melduj o wynikach obserwacji. My płyniemy po rozbitków ze storpedowanej fregaty. Dobra robota, oba Pазie!

Arkady skwitował to szerokim uśmiechem. Poczul się tak, jakby dostąpił łaski ucałowania dłoni samej królowej.

Tymczasem na powierzchni oceanu tworzył się rozległy krąg spienionej wody, która wirowała coraz szybciej, wypiętrzała się ku górze, aż wreszcie z głębin wyłonił się zaostrowany ciemnoszary dziób łodzi.

–Właśnie wyskoczył na powierzchnię! – meldował Vince przez radio, jednocześnie podprowadzając śmigłowiec bliżej chińskiego okrętu. – Dostał w przednią część kadłuba. Ma zniszczone dziobowe wyrzutnie, urwany jeden ze stateczników... Wynurza się kioski, ale Han nie trzyma poziomu. Załoga powinna uciekać jak najszybciej... Obraca się dziobem w dół! Idzie do dna! Jezu! Gus, nakieruj na niego kamerę!

Ciężar wody wdzierającej się do środka przez rozbite wyrzutnie torped szybko wziął górę nad siłą wyporu powietrza rozprężającego się w zbiornikach balastowych. Znaczemu przesunięciu uległ przez to środek ciężkości łodzi, która przechylała się stopniowo, aż przekroczyła dopuszczalny kąt awaryjnego zanurzenia.

Masywny kioski najpierw dźwignął się do pionu, ale wraz z wynurzeniem pokładu rufowego dziobowy zniknął pod wodą. W powietrzu ukazały się szerokie tylne stabilizatory, które majestatycznie powędrowały ku niebu. Wielka śruba o szablkształtnych łopatkach z brązu wciąż obracała się powoli.

Widok był przerażający i urzekający zarazem. Arkady niemal wbrew swej woli zaczął krążyć śmigłowcem wokół wypiętrżającego się z wody wraka. Kiedy zakończył kolejne okrążenie i znaleźli się na wprost usytuowanego prawie całkiem poziomo kiosku, zauważył jakiś ruch. Ze środka okrętu wydobył się wąski strumień pary.

Tuż nad powierzchnią fal odskoczyła kłapa rufowego włazu i w śluzie zamajaczyła sylwetka człowieka w musztardowożółtej kamizelce ratunkowej. W kłębach pary przemieszanej z dymem marynarz podpełznął do krawędzi burty niczym zaspiany owad, obrócił się przez ramię, wpadł do wody i z wyraźnym trudem zaczął płynąć, oddalając się od tonącej łodzi.

W śluzie coś się jeszcze poruszyło, po chwili wyłoniła się głowa drugiego marynarza.

–Szybciej! – mruknął pod nosem Vince. – Ruszaj się!

Ale ten już nie zdążył się wydostać z wraka. Kłapa włazu opadła pod fale i woda wdarła się do środka, porywając rozbitka – runęła niczym tłok hydrauliczny, na zawsze odcinając pozostałej przy życiu załodze dostęp do światła dziennego i spychając ludzi w wieczny mrok.

–Już po wszystkim, poruczniku – odezwał się Gus.

Ogon łodzi podwodnej z wolna zniknął w oceanie. Pocieszać się można było tylko

tym, że tonący w pionie okręt powinien szybko zanurkować w stronę dna, przez co uwięzieni wewnątrz ludzie musieli ponieść szybką śmierć.

Na powierzchni pozostał tylko krąg spienionej wody oraz żółtawa plama kamizelki ratunkowej jedyne go rozbitka.

–Szara dama, tu zero jeden. Han zatonął. Powtarzam, łódź czerwonych poszła na dno. Mamy w wodzie samotnego rozbitka. Krążę ponad miejscem katastrofy.

–Zero jeden, tu Szara dama – odparła szybko Amanda. – Zrzuć świecę dymną i zostań przy rozbitku, dopóki nie dotrze tam szalupa z „Księcia”. Chciałabym porozmawiać z tym człowiekiem.

Rozdział 34

36 mil na zachód od wyspy Karne Shima

19 sierpnia 2006, godz. 14.04 czasu lokalnego

Na pokładzie „Cunninghama” trwała jeszcze akcja ratunkowa. Zaledwie połowa tratw stłoczonych przy burcie okrętu była pusta.

Wszystkie trzy dźwigi służące do załadunku pocisków raketowych wykorzystywano do podnoszenia na pokład rannych układanych na noszach lotnictwa ratunkowego.

Na pokładzie dziobowym zorganizowano punkty pierwszej pomocy. Sanitariusze rozmawiali kolejno ze wszystkimi rozbitekami, wstępnie oddzielając lżej i ciężiej rannych od tych, którzy byli tylko ogłuszeni i zdezorientowani. Pierwszych kierowano do stanowiska Docca Goldena, pozostałym aplikowano środki uspokajające i odsyłano ich pod pokład.

Tajwańskich marynarzy prowadzono w pierwszej kolejności pod prysznic, gdzie gorącą wodą i benzyną zmywano z nich plamy cuchnącej ropy i smarów, po czym wydawano im zapasowe mundury. W mesie czekał na nich posiłek i gorąca kawa – a przede wszystkim spokój, pozwalający ludziom oswoić się ze świadomością, że nadal żyją.

Zdecydowanie miało w tym dopomóc jeszcze coś, czego nie szczędziła im załoga „Księcia”: przyjacielskie uściski dłoni, poklepywanie po ramionach i słowa otuchy, których znaczenie musiało być dla wszystkich jasne, nawet jeśli w ogóle nie znali angielskiego. Nie trzeba było mówić, że gdyby wydarzenia potoczyły się nieco inaczej, oni wszyscy mogli do tej pory pływać w oceanie, czekając na ratunek.

–Musimy jak najszybciej sprowadzić śmigłowiec do hangaru, panie poruczniku! – wrzasnął dowódca obsługi lądowiska, przekrzykując terkot wirnika. – Z siódmej floty wysłano po rozbiteków helikoptery ratunkowe! Zaraz tu będą!

–Rozumiem, szefie! Zabierajcie go!

Arkady zeskoczył na pokład i powiódł wzrokiem po marynarzach z sekcji ochrony radiologicznej, którzy wodzili czujnikami Geigera wzdłuż kadłuba Komańcza, sprawdzając, czy nie osiadły na nim jakieś radioaktywne cząstki wyrzucone w powietrze wraz z parą wodną ze storpedowanej chińskiej łodzi.

Wreszcie dowódca kompanii chemicznej dał mu na migi znać, że wszystko w porządku, co Vince przyjął z głęboką ulgą.

Odwrócił się do maszyny, wszedł z powrotem na stopień i zajrzawszy do tylnej części kabiny, zawołał:

–Panie Grestovitch! Gratuluję zakończenia naszej misji sukcesem!

Obaj unieśli w górę otwarte dłonie i uderzyli się nimi jak koszykarze fetujący zdobycie kolejnych punktów.

–Jeszcze jeden krok na drodze do pomyślnego zakończenia służby, poruczniku.

–Nadal nie zamierzasz przedłużyć kontraktu?

–Chyba musiałbym na łeb upaść! – rzucił z oburzeniem Gus.

Arkady zaśmiał się i zeskoczył z powrotem na pokład. Przy barierce oddzielającej drugie lądowisko stała już porucznik Delany. Za duży kombinezon i obszerna kamizelka ratunkowa sprawiały, że drobna i szczupła Nancy zdawała się ginąć wewnątrz regulaminowego ubioru.

Vince ruszył w jej kierunku. Już z daleka zauważył, że ta małomówna, jakby wiecznie pogrążona w zadumie brunetka sprawia wrażenie jeszcze bardziej ponurej niż zazwyczaj. W pełni to rozumiał. Co prawda Delany uczestniczyła wraz z nim w kampanii argentyńskiej i widziała wiele rozdzierających serce scen, lecz nigdy dotąd nie była zmuszona własnoręcznie zadać przeciwnikowi śmiertelnego ciosu.

–Gratuluję, Nancy. Możesz sobie wreszcie wymalować sylwetkę łodzi podwodnej przy drzwiach kabiny.

Popatrzyła na niego rozszerzonymi oczyma.

–Ja, poruczniku? Przecież oboje równocześnie zrzuciliśmy torpedy.

–To prawda, lecz zdążyłem się dobrze przyjrzeć trafionej łodzi, kiedy wyskoczyła na powierzchnię. To twoja torpeda szła od dziobu po sterburcie, a właśnie w części dziobowej widziałem największą wyrwę. Moim zdaniem to twoja torpeda zatopiła okręt i tak zamierzam to opisać w raporcie. A więc witam w podręcznikach historii, poruczniku.

–W podręcznikach?

–Wraz ze swoim celowniczym jesteście pierwszą w historii załogą, która zatopiła atomową łódź podwodną. Nie mam pojęcia, jakiego rodzaju uroczystość powinno się zorganizować z tej okazji, nie wątpię jednak, że po zakończeniu operacji usłyszycie należne wam fanfary. Macie to jak w banku.

Nancy przeciągnęła dłonią po przygniecionych od hełmu włosach i z zakłopotaniem spuściła wzrok.

–Dziękuję, poruczniku – bąknęła cicho. – Sama nie wiem, jak powinnam teraz zareagować, czy się cieszyć, czy porzygać z wrażenia.

–Każda z tych reakcji zostanie ci wybaczona. – Arkady położył dłoń na ramieniu młodszej koleżanki i dodał cicho: – Idź do swojej kabiny i odpocznij. Pozostało jeszcze paru łobuzów, z którymi będziemy musieli się rozprawić.

–Tak jest.

Ze śluzy w rufowej ścianie nadbudówki wyszła Garrett w towarzystwie Kena Hiro i Christine Rendino.

Cała trójka ruszyła energicznym krokiem w ich kierunku. Vince odruchowo wyprężył się na baczność. W pierwszym odruchu chciał podbiec i chwycić Amandę w objęcia, lecz musiał się zadowolić jedynie regulaminowym salutem i sztywnym skinieniem głowy.

–Poruczniku Arkady, poruczniku Delany. Doskonała robota. Gratuluję wam.

–Dziękujemy, kapitanie – odparł Vince. – Jak się miewa rozbitek z tej łodzi podwodnej?

–Ledwie żyje, nie wiem, czy zdołamy cokolwiek z niego wyciągnąć. Arkady, chodź z nami.

Zawrócili we czworo w stronę dziobu, zbiegli po schodkach na niższy pokład i wyszli z za rogu nadbudówki na otwartą przestrzeń.

Prowizoryczną izolatkę zorganizowano u stóp masywnej dziobowej wieżyczki działa, wokół której spora część pokładu była odgradzona jaskrawożółtą taśmą ze złowieszczymi czerwonymi symbolami zagrożenia radiacyjnego.

Pośrodku tej strefy leżał na noszach opatulony kocami chiński rozbitek. Pochylał się nad nim człowiek w jednorazowym foliowym kombinezonie ochronnym.

Na widok zbliżającej się Amandy wyszedł z odgradzonej strefy i dał znać marynarzom z sekcji chemicznej, aby splukali go silnym strumieniem morskiej wody.

Parę sekund później Doc Golden błyskawicznie wyswobodził się do pasa z kombinezonu i ściągnął plastikowe rękawiczki.

–Czy on jeszcze żyje, Doc? – zapytała Garrett.

–To zależy wyłącznie od przyjętej definicji życia, kapitanie – odparł posępnym tonem Golden. – Jego serce będzie jeszcze biło przez jakiś czas, a płuca wciągały powietrze. Z pewnością będzie też odczuwał ból. Ale pod każdym innym względem można uznać, że ten człowiek jest już martwy.

–Został napromieniowany?

–Łagodnie rzecz biorąc. – Lekarz uwolnił się wreszcie od stroju ochronnego i podszedł bliżej. – Wygląda na to, że w chwili ataku znajdował się w maszynowni, gdzie nastąpiło poważne uszkodzenie systemu chłodzenia reaktora. Miał przypięty na piersi starego typu dozomierz z materiałem światłoczułym. Kiedy go zdjąłem, okienko było zaczernione od końca do końca. Nie umiem ocenić, ile rentgenów promieniowania ten człowiek pochłonął, nie mam jednak żadnych wątpliwości, iż mówimy o dawce wielokrotnie przekraczającej dopuszczalną. – Golden schylił się, podniósł foliowy kombinezon, zwinął go pospiesznie i wsunął do grubego czarnego worka na śmieci. – Proszę zrozumieć, kapitanie, że on przez dłuższy czas oddychał silnie promieniotwórczą parą wodną.

Amanda niepewnie zrobiła krok do przodu.

–Co z naszą ekipą ratowniczą? Nie została wtórnie napromieniowana od niego?

Doc pokręcił głową.

–Na pewno byli narażeni na wtórną radiację, ale to nic groźnego. Zresztą od początku zarządziłem ostrą procedurę skażenia radiologicznego. Zarówno śmigłowiec jak i ludzi zmyliśmy na pokładzie strumieniem morskiej wody, zaraz potem na wszelki wypadek odesłałem załogę pod prysznic. A co się tyczy rozbitka, to co najmniej przez pół godziny pływał w oceanie, przez co zapewnił sobie najlepszą dekontaminację dostępną w tych warunkach.

–Czy możemy z nim porozmawiać? – spytała rzeczowo Christine Rendino.

–Owszem. Sprawdziłem go dokładnie licznikiem Geigera, nie ma na sobie żadnych aktywnych źródeł promieniowania gamma. Nie należy jednak lekceważyć źródeł alfa i beta pochodzących ze wszystkich napromieniowanych tkanek. Dlatego radziłbym nie podchodzić zbyt blisko i maksymalnie ograniczyć czas pobytu w strefie.

–Byłeś w stanie choć trochę mu pomóc, Doc? – zaciekała się Garrett.

–Zrobiłem mu transfuzję krwi i zaaplikowałem surowicę, to powinno spowolnić rozkład czerwonych krwinek. Ponadto dałem mu maksymalną dawkę morfiny, żeby ulżyć jego cierpieniom.

–Czy można by zrobić coś więcej na pokładzie „Enterprise”?

–Owszem. Tam na pewno mają większy zapas morfiny.

Golden zasalutował i odszedł w kierunku grupy czekających na niego sanitariuszy.

Rentino i Ken Hiro zanurkowali pod żółtą taśmą i stanęli jakiś metr od leżącego rozbitka.

Chris wyjęła z kieszeni dyktafon.

Amanda i Arkady pozostali na zewnątrz odgradzonej strefy, instynktownie przywarli do siebie ramionami.

Mogli się najwyżej przyglądać tej próbie przesłuchania chińskiego marynarza.

–Jak pani chce to rozegrać, poruczniku? – zapytał posępnym tonem Hiro.

–Zacznijmy od najprostszych pytań. – Chris włączyła dyktafon. – Proszę mu powiedzieć, że został uratowany, wyjaśnić, gdzie się znajduje, i obiecać, że zrobimy wszystko, aby mu pomóc. A potem proszę go zapytać o stopień i nazwisko.

–Dobrze.

Komandor zaczął powoli cedzić chińskie sylaby, jakby się obawiał, że sens jego słów może umknąć konającemu człowiekowi. Tamten jednak bardzo powoli obrócił głowę w ich kierunku i spod przymrużonych powiek spojrzął na dwoje amerykańskich oficerów.

Spod sinych plam oparzeń na jego twarzy wyzierała śmiertelna bladość. Spustoszenia wywołane w organizmie marynarza przez silną dawkę promieniowania musiały być ogromne.

Włoskowate naczynia krwionośne prawdopodobnie już nie działały wskutek postępującego rozkładu krwinek. Każda komórka jego ciała została niejako zabita oddzielnie przez strumień ciężkich cząstek, na który ów człowiek został mimo woli wystawiony.

Musiał sobie doskonale zdawać sprawę z tego, że umiera. I chociaż znalazł się twarzą w twarz ze zniechęconymi Amerykanami, to jednak dało się wyczuć, iż cieszy go bliska obecność innych ludzi.

–Proszę go zapytać o nazwisko, komandorze – powtórzyła z naciskiem Rentino. – Niech mu pan obieca, że powiadomimy jego rodzinę.

Hiro starannie wysylabizował pytanie i tym razem uzyskali odpowiedź. Chińczyk ledwie słyszalnym szeptem przekazał parę słów, na dźwięk których komandor

zmarszczył brwi i z zakłopotaniem przestąpił z nogi na nogę.

–Co powiedział?

–Że rodzina została już powiadomiona o jego śmierci.

Rozdział 35

Okręt flagowy siódmej floty, 41 mil na wschód od wyspy Miyako Shima

19 sierpnia 2006, godz. 14.04 czasu lokalnego

W centrum dowodzenia lotniskowca „Enterprise” komandor Nolan Walker uniósł rozpromieniony wzrok znad arkusza nadesłanego meldunku.

–Jest ostateczne potwierdzenie zatopienia chińskiego okrętu przez „Cunninghama”, panie admirale. Była to łódź atomowa klasy Han. Sfilmowano moment zatonięcia wraka z silnie uszkodzonym pancierzem na dziobie. Mamy dowód nie pozostawiający żadnych wątpliwości!

Jedyną odpowiedzią był wydany przez Tallmana głośny pomruk zadowolenia.

–Ma pan zastrzeżenia, admirale?

–Nie, skądże. Myślę tylko, że nie jest to jakiś szczególny powód do dumy.

–Sądzę, że unieszkodliwienie jednej łodzi spośród trzech tworzących konwój, przy tym zaledwie w ciągu doby od chwili rozpoczęcia poszukiwań, to bardzo dobry rezultat, admirale.

–Nie przeczę. Załoga „Księcia” odwaliła kawał dobrej roboty. Martwi mnie jednak, że złapaliśmy jedynie drobną płótkę wystawioną nam na przynętę. Herszt bandy wciąż pozostaje w ukryciu. Dopiero gdy pozbędziemy się i jego, będziemy mogli wydać huczne i sownie zakrapiane alkoholem przyjęcie. – Tallman odwrócił się do wielkiego ekranu przedstawiającego sytuację strategiczną, który zainstalowano zamiast tradycyjnego stołu mapowego. – Powiadom naczelne dowództwo o tym drobnym sukcesie, a potem zastanowimy się wspólnie, co robić dalej.

Rozdział 36

65 mil na zachód od wyspy Karne Shima

19 sierpnia 2006, godz. 19.21 czasu lokalnego

Kapitan tajwańskiej fregaty jako ostatni z rozbitków postawił stopę na pokładzie „Cunninghama”. Nie odniósł poważniejszych obrażeń, liczne zadrapania i siniaki powinny się zagoić w ciągu paru dni. Był jednak do tego stopnia załamany, że powrót do równowagi psychicznej mogła mu zapewnić tylko długotrwała kuracja. Jeszcze tego ranka Amanda oceniłaby zapewne, że Chińczyk w przybliżeniu jest jej równy wiekiem. Teraz zaś wyglądał i poruszał się niczym schorowany starzec.

–Jeszcze raz bardzo dziękuję, kapitanie Garrett – wycedził po angielsku – za uratowanie mojej załogi oraz gościnność, z jaką nas przyjęliście na swoim okręcie. A także za pomszczenie mojej storpedowanej fregaty.

–Bardzo się cieszę, że mogliśmy wam pomóc, kapitanie Kuo – odparła Amanda, ściskając na pożegnanie dłoń Chińczyka. – Mam nadzieję, że któregoś dnia, gdy nastaną spokojniejsze czasy, będziemy się mogli spotkać w innych okolicznościach.

–Jeśli tylko doczekamy spokojniejszych czasów.

Wyprężył się na baczność, zasalutował energicznie, po czym odwrócił się i ruszył w stronę oczekującego śmigłowca. Kilka minut później maszyna wystartowała i szybko zniknęła na niebie rozświetlonym przez zachodzące słońce.

Amanda odprowadziła wzrokiem helikopter i bez pośpiechu zawróciła do otwartej służby.

W centrum informacyjnym nie czuło się już niedawnego bitewnego napięcia. Zmieniła się wachta i teraz przy pulpitych, jak zwykle w dość swobodnych pozach, siedzieli już inni oficerowie. Tylko Dix Beltrain tkwił jeszcze na swoim stanowisku. Chrupał suchary, wykradzione zapewne z żelaznych racji alarmowych, i spoglądał z uwagą to na mapę taktyczną widniejącą na ekranie Alfa, to na dokładniejszą mapę tej części Pacyfiku wyświetloną na ekranie nawigacyjnym.

–Jaką mamy sytuację, panie Beltrain?

Dix pospiesznie przełknął kęs suchara, a jego resztkę odłożył do otwartej paczki.

–Idziemy obecnie kursem dwa dziewięć zero, kapitanie, z prędkością ośmiu węzłów. Przekazaliśmy dowodzenie na mostek. Kontynuujemy poszukiwania łodzi podwodnych w wyznaczonym kwadracie. Nie meldowano o żadnych kontaktach, nie zauważono niczego podejrzanego.

–No to spójrzmy na mapę.

Amanda pochyliła się nad oficerem taktycznym, który zaczął szybko wskazywać symbole na ekranie Alfa i objaśniać ich pozycje na znajdującym się przed nim poziomym ekranie nawigacyjnym.

–Dowództwo siódmej floty przyjęło, że zatopiona przez nas łódź osłaniała większą jednostkę rakietową, a zatem drugi okręt eskorty powinien się znajdować gdzieś w pobliżu. Grupa naszych niszczycieli z lotniskowcem „Enterprise” skierowała się na zachód, weszła na Morze Wschodniochińskie między łańcuchem wysp Ryukyu i po wyznaczeniu od południa nowej granicy poszukiwań, skręciła na północ, w naszą stronę. Jest teraz jakieś trzydzieści pięć mil stąd na południe.

–A co to za jednostki na północy?

–Japońskie okręty ochrony wybrzeża. Ich okręt flagowy to krążownik „Shirain”, mający na pokładzie eskadrę śmigłowców. Oni także przeszli na tę stronę archipelagu i skręcili wzdłuż rowu Ryukyu na południe. Dzieli nas od nich około pięćdziesięciu mil. – Beltrain wskazał szereg innych jaśniejących symboli, które na ekranie taktycznym układały się w szeroki łuk. – Tutaj, od wschodu, wszystkie głębsze przejścia zostały zablokowane przez łodzie podwodne. Tu jest „Takashio”... tutaj „Ashville”... tu „Jefferson City”. Płytszych przesmyków pilnują Oriony. Czerwoni zostali uwięzieni jak w sadzawce, nie dadzą rady się wymknąć.

–Na jakie wsparcie możemy teraz liczyć?

–Dowództwo floty pozostaje w ciągłej łączności z dwoma Vikingami bez przerwy patrolującymi ten obszar, a i my możemy się z nimi skontaktować w dowolnym momencie.

–Wpadli na jakiś trop?

–Cicho jak w grobie.

Amanda pokiwała głową.

–Rozumiem, Dix. Gdzie, według ciebie, mogły się ukryć pozostałe łodzie?

–Moim zdaniem czerwoni mają dwie możliwości, pani kapitan. Albo zanurzyli się głębiej, wyłączyli silniki i siedzą na jakiejś termoklinie, licząc na to, że przejdziemy nad nimi, niczego nie zauważywszy. Albo też zawrócili w kierunku chińskiego wybrzeża.

Garrett odczuwała narastające zmęczenie, które dawało o sobie znać szczególnie teraz, gdy opadło napięcie stoczonej niedawno bitwy. Właśnie z tego powodu poświęciła parę dodatkowych sekund na dogłębne rozpatrzenie sytuacji oraz podjęcie decyzji.

–Jeśli przyczaili się gdzieś w głębinach – powiedziała w końcu – zostawimy ich lepiej przystosowanym do poszukiwań łodziom podwodnym. Oprzemy się na założeniu, że jednak zawrócili na zachód. – Przez chwilę szacowała odległości na ekranie. – Przyjmijmy, że od zorganizowania zasadzki na tajwańską fregatę płyną z maksymalną prędkością, jaką mogą im zapewnić ciche silniki elektryczne. Ile to jest? Sześć węzłów?

–Lepiej przyjmijmy osiem, pani kapitan.

–Dobra, niech będzie osiem. W takim razie oba okręty powinny się znajdować jakies

sześćdziesiąt mil na zachód od nas. Jak stoimy z paliwem?

Beltrain uderzył w kilka klawiszy i przywołał na ekran aktualne dane.

–Mamy zbiorniki wypełnione w sześćdziesięciu czterech procentach.

–Wystarczy. Skręcimy na kurs dwa siedem zero i aż do północy popłyniemy z prędkością trzydziestu węzłów. Potem zwolnimy i podejmiemy intensywne poszukiwania. Jeśli dopisze nam szczęście, zaskoczmy łobuzów od tyłu i wtedy zamienimy im tę sadzawkę w zakratowaną celę.

–Brzmi obiecująco, kapitanie.

–Też tak uważam. Skontaktuj się w moim imieniu z dowództwem na „Enterprise” i przedstaw ten plan. Jeśli uzyska on aprobatę, wydaj odpowiednie polecenia sternikowi.

–A co z naszymi śmigłowcami, kapitanie? Jak chce je pani wykorzystać?

Amanda zamyśliła się na krótko.

–Niech stoją na lądowisku. Dopóki pozostajemy pod osłoną siódmej floty, nasze załogi mogą trochę odpocząć. Zarządź pięciominutową gotowość dla jednej maszyny i piętnastominutową dla drugiej. Aha, jeszcze jedno, Dix. Jak wydasz już wszystkie rozkazy, przekaz swoje obowiązki oficerowi wachtowemu. Ty także powinieneś się przespać i zjeść coś gorącego. Nie chciałabym, żeby najlepszy oficer taktyczny zawiódł mnie w krytycznym momencie.

–W porządku, mamusku... Bardzo przepraszam, pani kapitan.

Tylko szeroki uśmiech Beltraina uchronił go przed ostrzejszą reprimendą. Amanda również się uśmiechnęła i odparła:

–Na drugi raz pilnuj się lepiej, młodzieńcze.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła do rufowego wyjścia z centrum oraz schodków prowadzących na dolny pokład.

Przez całe popołudnie trwała w stanie, który na własny użytek nazywała „Warunkami Zebra”. Starannie tłumiała w sobie wszelkie doznania, pragnąc zachować klarowność umysłu. Ale teraz jakby otwarły się zatrzaśnięte drzwi pamięci i do jej świadomości dotarły wtórne fale przerażenia, desperacji i paniki.

Na szczęście były to doznania silnie stłumione, niejako widmowe, przelatujące przez swoisty ekran wspomnień, na którym samorzutnie odtwarzały się zarejestrowane

obrazy z niedawnej bitwy. Mimo że narastające zmęczenie dodatkowo je wyostrzało, Amanda wiedziała doskonale, że wszelkie nieprzyjemne odczucia szybko przeminą, pozostawiając najwyżej parę kolejnych blizn na niewzruszonej z pozoru psychice doświadczonego oficera marynarki.

Na razie jednak musiała się pogodzić z dokuczliwym ściskaniem w dołku i powracającymi falami zimnych potów, jakie towarzyszyły ogólnemu wrażeniu stąpania po krawędzi bezdennej otchłani.

Zagryzła zęby i przyspieszyła, jakby tym sposobem mogła pokonać przenikające ją dreszcze. Nie miała szans błyskawicznie się pozbierać, kiedy w dole zadudniły czyjeś szybkie kroki i rozległy się stłumione głosy marynarzy.

Zeskoczyła ze schodów i skręciła w korytarz prowadzący do kabin oficerskich. Hołdowała powszechnie znanej maksymie, iż żaden dowódca nie powinien okazywać swych ludzkich słabostek przed tymi, którym wydaje rozkazy.

Ale i od tej reguły istnieją wyjątki, pomyślała.

Niemal wbrew swej woli ruszyła w stronę kabiny Arkady'ego. Z jednej strony przeklinała siebie w duchu za to, co właśnie jej przyszło do głowy, z drugiej zaś ogromnie ucieszyła ją perspektywa potajemnej schadzki.

Cicho zastukała do drzwi.

–Wejść! – doleciało ze środka stanowcze polecenie pilota.

Vince był jeszcze w mundurze, leżał rozciągnięty na koi. Na jej widok poderwał się błyskawicznie i w dwóch susach stanął przed nią.

–Co się stało, dziecino? – zapytał cicho z troską w głosie, gdyż dotąd Amanda bardzo rzadko zaglądała do jego kabiny.

Podeszła bliżej i objęła go w pasie. Wtuliła policzek w ramię Arkady'ego i wsłuchiwała się w bicie jego serca, szukając afirmacji życia.

–Omal dziś nie straciłam okrętu, Vince – szepnęła. – Omal go nie straciłam.

–Ale w końcu nic się nie stało, kochana.

Objął ją mocniej i przytulił, jak gdyby pragnął odgradzić ją od całego świata.

Żadne z nich nie mogło wiedzieć, że w korytarzu pojawił się jeszcze ktoś. Podkradł się na palcach do drzwi, przystanął, przez chwilę nasłuchiwał, wreszcie odszedł powoli.

Rozdział 37

Morze Wschodniochińskie

20 sierpnia 2006, godz. 6.00 czasu lokalnego

–Kapitanie, wszyscy czekają na pokładzie rufowym.

–Dobrze, już idę.

Amanda odłożyła słuchawkę na widełki, wstała zza biurka i poprawiła czarną marynarską wiatrówkę oraz kapitańską czapkę z daszkiem, którą tak rzadko miała okazję nosić. Po raz ostatni zerknęła na otwartą Biblię i wyszła na korytarz.

Przygaszone kolory poranka zniknęły już bez śladu, ustępując miejsca zbieletemu bezchmurnemu błękitowi tropików. Jedynym urozmaiceniem nieco ciemniejszej, niemal całkiem gładkiej powierzchni oceanu była wąska smuga spienionej wody pozostającej za rufą „Cunninghama”.

Na pokładzie czekało na nią dwanaście osób: Arkady, Christine, Doc Golden, dowódca sekcji sanitarnej Bonnie Robinson i główny mechanik Thomson, a oprócz nich siedmiu żołnierzy uzbrojonych w karabinki M-16, tworzących namiastkę kompanii honorowej.

Bliżej rufy przy relingu ustawiono prowizoryczny pomost, na którym spoczywały nosze ze zwłokami owiniętymi białym prześcieradłem i przykrytymi krwistoczerwoną flagą komunistycznych Chin. Co prawda nie było jej w podstawowym wyposażeniu okrętu marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, lecz organizatorzy pogrzebu naprędce uszyli ją z resztek tkanin.

Ciało rozbitka z łodzi podwodnej nadal oddzielała jaskrawożółta taśma ostrzegająca przed skażeniem, teraz jednak zyskała podwójne znaczenie – po śmierci oddzielała martwego Chińczyka od honorowej eskorty Amerykanów podobnie, jak za życia dzieliła ich przepaść ideologiczna oraz kulturowa.

Kiedy Amanda podeszła do oczekującej w skupieniu grupy, Thomson zsalutował jej i powiedział cicho:

–Dzień dobry, pani kapitan.

–Wszystko gotowe, szefie?

–Tak jest.

–No to zaczynajmy.

Thomson skinął głową, odwrócił się do marynarzy i wydał komendę:

–Baczność! Prezentuj broń!

Tamci regulaminowo szczęknęli kolbami karabinków o sprzączki pasów i unieśli łokcie do poziomu. Twarze mieli zwrócone prosto przed siebie, lecz Amanda czuła na sobie ich zaciekawione spojrzenia. W takich chwilach każdy musiał pomyśleć o kruchości ludzkiego życia oraz czekającej go nieuchronnie śmierci i próbował znaleźć odpowiedzi na te same, odwieczne pytania o sens życia. Ona zaś chyba nigdy przedtem nie czuła się bardziej „drugą po Bogu”.

–Nie znaleźliśmy tego człowieka – zaczęła po chwili milczenia. – Nie wiemy, w co wierzył, czym się kierował w życiu. Nie zdążyliśmy nawet poznać jego nazwiska. Wiemy tylko, że był marynarzem, tak jak my wszyscy, że podobnie jak my wiernie służył swojej ojczyźnie i że z pewnością miał nadzieję któregoś dnia powrócić do tych, którzy go kochają, bo taka nadzieja i nam towarzyszy. I chociaż nasze kraje wciąż pozostają w stanie wojny, to z tym człowiekiem nie różnią nas już żadne kwestie sporne. Wobec Boga zawarliśmy pokój i teraz życzymy mu wszystkiego najlepszego na tę ostatnią, największą podróż jego życia... Maszyny stop!

–Maszyny stop! – powtórzył Thomson do mikrofonu.

Po chwili ucichł jednostajny szum silników niszczyciela.

–Do salwy!

Żołnierze zajęli regulaminowe pozycje, unieśli karabinki i zaparli kolby o ramiona, kierując lufy ku niebu. Na rozkaz głównego mechanika trzykrotnie oddali salwy, którym towarzyszył głośny brzęk wyrzucanych łusek o pokład okrętu.

Nie czekając na komendę, Thomson i Arkady wystąpili z szeregu, defiladowym krokiem podeszli do odgradzonego sektora, zanurkowali pod złowieszczą taśmą i zajęli pozycje po obu stronach podestu. Chwilę później unieśli jego koniec i zwłoki zsunęły się do oceanu. Wpadły do wody z pluskiem, który dla marynarzy jest bodaj najbardziej zniechęcającym odgłosem.

–Spocznij! Rozejść się!

Skromna uroczystość dobiegła końca. Garrett zawróciła, kierując się do swojej kajuty, kiedy niespodziewanie z umieszczonego w ścianie nadbudówki głośnika popłynęło wezwanie:

–Kapitan proszony jest o kontakt z centrum informacyjnym.

Thomson bez słowa zdjął z głowy słuchawki z mikrofonem i podał je Amandzie.

–Słucham, tu kapitan. Co się stało?

–Mówi Dix Beltrain, kapitanie. Przyszło mi do głowy, że trzeba panią powiadomić o tym niezwłocznie. Odebraliśmy właśnie wiadomość z „Enterprise”. Druga chińska łódź osłony także została unieszkodliwiona.

Rozdział 38

35 mil na południowy zachód od wyspy Yaku Jima w północnej części archipelagu Ryukyu

20 sierpnia 2006, godz. 4.27 czasu lokalnego

Kapitan Hikaru Ichijo wypadł ze swojej kabiny i popędził na mostek, jeszcze zanim z głośników interfonu rozległo się nagłające wezwanie. Obudził go stuk włączania obwodów indukcyjnych głównych generatorów. Teraz zaś silniki wysokoprężne umilkły na dobre i jego okręt, łódź podwodna „Harado” wchodząca w skład Japońskich Sił Obrony Wybrzeża, napędzana tylko silnikami elektrycznymi szła pod ostrym kątem w głąb oceanu.

–Pierwszy oficer! Meldować! – huknął, będąc jeszcze w służbie.

Zastępujący go porucznik Hayao Kakizaki aż podskoczył na miejscu przy stanowisku peryskopowym.

–Złapaliśmy pasywny kontakt sonarowy, kapitanie. To łódź podwodna na kierunku względnym zero pięć zero po sterburcie, w odległości około dwudziestu pięciu tysięcy metrów. Zarządziłem odpowiednią procedurę.

–Jaki jest nasz status?

–Po uzyskaniu potwierdzenia kontaktu rozkazałem przestawić okręt na napęd elektryczny, schować chrapy, złożyć maszt antenowy i zgodnie z pańskimi wcześniejszymi rozkazami podjąć natychmiastowe zanurzenie na głębokość stu metrów – młody oficer wyrzucił wszystko jednym tchem.

Ichijo mruknął z aprobatą i skinął głową.

–Bardzo dobrze, Hayao. Teraz wyrównaj łódź do poziomu. Zobaczymy, kogo tam mamy.

Właśnie takie zadanie przydzielono „Harado”. Wraz z kilkoma innymi japońskimi łodziami patrolowała wszystkie dogodne przejścia w północnej części archipelagu Ryukyu, odcinając chińskim jednostkom drogę na północny Pacyfik. Teraz wyglądało na to, że zorganizowanie tej wielkiej akcji było w pełni umotywowane.

Dowódca precyzyjnie przeszedł wąskim przejściem obok stanowiska peryskopowego, okrążył stół mapowy i stanął przed pulpitem urządzeń nasłuchowych. Sięgnął po słuchawki, starannie ułożył je sobie na głowie i obejrzał się na trójwymiarowy holograficzny obraz sytuacji taktycznej wyświetlony po szklaną osłoną.

Na wschód od nich widniał zarysowany jaskrawoniebieskimi liniami skalisty masyw Aichi Jimy. Brzeg tej wyspy – niedawno powstałej we wciąż zmieniającym się wulkanicznym archipelagu – tworzył prawie pionową ścianę bazaltu, sięgającą od dna oceanu, leżącego na głębokości ponad sześciuset metrów, aż dwieście metrów ponad jego powierzchnię. Na zachód od ich pozycji błyszczała zielona plamka, która oznaczała rybacki kuter śpieszący wczesnym rankiem na bogate łowiska. Na południu płonął żółtawy ogień nie zidentyfikowanego obiektu. Komputer zaznaczył przerywaną linią jego kurs, a w okienku obok umieścił podstawowe dane. Kurs: zero jeden zero stopni; prędkość: dwanaście węzłów; zanurzenie: osiemdziesiąt metrów.

Na oczach kapitana żółta plamka zmieniła się w jaskrawoczerwoną, oznaczającą wrogi okręt.

–Sonar, tu kapitan. Zidentyfikowaliście namierzoną łódź?

–Tak jest, kapitanie. Szybkość obrotów wału i odgłosy turbin wskazują jednoznacznie, że to jednośrubowy okręt podwodny o napędzie atomowym. Widmo soniczne zgadza się niemal dokładnie z parametrami z biblioteki komputerowej. Wszystko wskazuje na to, że mamy przed sobą komunistyczną chińską łódź podwodną klasy Han.

–No to mamy go, Hayao. Ogłoś alarm bojowy. Cisza na pokładzie.

Wszystkie przedziały niewielkiego okrętu klasy Yuushio wypełnił cichy gwizd elektronicznej sygnalizacji alarmowej. Światło lamp pod sufitem zaczęło jednostajnie pulsować, ponaglając załogę do zajęcia stanowisk.

–Sekcja torpedowa. Meldować o stanie wyrzutni.

–We wszystkich wyrzutniach załadowane standardowe ładunki, kapitanie. W trzech pierwszych torpedy GRX-3 o podwójnym systemie naprowadzania, w czwartej zestaw celów pozornych.

–Świetnie. Maszynownia.

–Zgłasza się maszynownia.

–Ile mamy mocy w akumulatorach?

–Nie zdążyliśmy ich jeszcze w pełni naładować. W tej chwili pozostało siedemdziesiąt trzy procent całkowitej pojemności.

–To powinno wystarczyć.

Porucznik Kakizaki stanął u jego boku i zameldował:

–Okręt w pełnej gotowości bojowej, kapitanie. Wyrównaliśmy do poziomu na głębokości stu metrów. Idziemy kursem jeden osiem zero z prędkością sześciu węzłów.

Ichijo skinął głową i z powrotem zapatrzył się na trójwymiarowy wyświetlacz niczym łasica przyczajona na brzegu stawu. Jego łódź była wolniejsza od chińskiego Hana, ale ponieważ obie jednostki płynęły dokładnie na wprost siebie, w niedługim czasie musiały się znaleźć w odległości umożliwiającej oddanie celnego strzału.

Wziąwszy pod uwagę szybkość atomowego okrętu, jego słabe sonary zapewne nie zdołały namierzyć „Harado”, nawet gdy ten płynął jeszcze z włączonym silnikiem wysokoprężnym. Rysowała się więc bardzo dogodna sytuacja taktyczna, w której nie powinno być większych kłopotów z zajęciem pozycji za rufą Hana. Ale kapitan Ichijo rozważał w myślach bardziej przebiegłe rozwiązanie.

–Sonar, nie złapaliście jeszcze kontaktu z drugim celem?

–Nie, kapitanie. Nadal mamy tylko ten jeden zamiar... Chwileczkę. Spada szybkość obrotów śruby i maleje natężenie szumu... Cel zwalnia, kapitanie.

Ichijo pokiwał głową. Należało się tego spodziewać, Chińczycy wykorzystywali tradycyjną metodę skoków. Przez jakiś czas płynęli szybciej, żeby następnie zwolnić i umożliwić sonarowi wychwycenie ewentualnych zagrożeń w danym rejonie.

Za późno, przyjaciele, pomyślał. Teraz, gdy „Harado” został przełączony na napęd elektryczny, poruszał się prawie bezszelestnie, jak cień przemykający ponad dnem oceanu.

–Hayao, gotów jestem się założyć, że ci chłopcy tylko trasują przejście dla cięższej i silniej uzbrojonej jednostki strategicznej.

Młody porucznik energicznie przytaknął ruchem głowy.

–To wydaje się logiczne, panie kapitanie. – Postukał palcem w południowy skraj trójwymiarowego ekranu. – Ta druga łódź zapewne czeka gdzieś tutaj, przyczajona w głębinach. Kiedy okręt szturmowy sprawdzi teren, prawdopodobnie szybko do niego dołączy.

–Też tak uważam. A jeśli utrzymamy ten kurs i obecną szybkość, powinna wyskoczyć z kryjówki prosto na nas.

Ojciec Ichijo przeżył bombardowanie Nagasaki i po wojnie długo umierał straszliwą śmiercią, znosząc nieopisane cierpienia. Z tego też powodu perspektywa unieszkodliwienia groźnej atomowej łodzi pełnej balistycznych rakiet z głowicami jądrowymi wydawała się kapitanowi szczególnie kusząca.

–Czy nie musimy wypuścić boi radiowej i przekazać do dowództwa komunikatu o kontakcie? – zapytał Kakizaki.

Ichijo zamyślił się ze zmarszczonymi brwiami. Rzeczywiście powinni jak najszybciej złożyć raport, ale on się obawiał, że odgłosy wypuszczania boi mogą przyciągnąć uwagę przeciwników.

–Jeszcze nie teraz, ale każ zaprogramować boję i przygotować wyrzutnię.

–Rozkaz, kapitanie.

Oba okręty podobne do morskich upiorów zbliżyły się do siebie na odległość półtorej mili. Różniło je tylko to, że starsze i bardziej wysłużone maszyny Hana wytwarzały na tyle dużo hałasu, iż „Harado” bez trudu mógł śledzić ruchy rywala za pomocą sonaru. Na japońskiej łodzi trwała całkowita cisza. Jeśli ludzie musieli się porozumiewać, czynili to szeptem, dominowało jednak pełne napięcia milczenie. Działały jedynie układy niezbędne w tej sytuacji, nawet klimatyzację wyłączono, pozostawiając tylko otwarte do maksimum pochłaniacze dwutlenku węgla.

We wszystkich przedziałach, wobec braku odprowadzania na zewnątrz ciepła wytwarzanego przez ludzkie ciała i urządzenia elektryczne, temperatura zaczęła szybko rosnąć. Zamknięcie nawiewników pozbawiło także załogę jakiegokolwiek ruchu powietrza, stwarzającego namiastkę przebywania na otwartej przestrzeni. Wielu marynarzom zaczynała się dawać we znaki klaustrofobia, doskonale znana wszystkim służącym w jednostkach podwodnych.

–Sonar. Macie jakiś nowy kontakt?

–Nie, kapitanie.

Ichijo i Kakizaki wymienili znaczące, zdziwione spojrzenia.

–Być może okręt rakietowy czeka na umówiony sygnał od sondującej drogę łodzi szturmowej – mruknął po chwili porucznik.

–Przy odległościach, jakie wchodzi w rachubę, przekazanie takiego sygnału wiązałoby się z koniecznością uruchomienia aktywnego sonaru. Wątpię, czy podejmowałiby tak duże ryzyko. Moim zdaniem działają według jakiegoś ustalonego wcześniej schematu wykonywania kolejnych skoków. Przede wszystkim powinni unikać możliwości wykrycia.

–Ostatnie wskazania naszego batytermografu świadczą o istnieniu łagodnej termokliny na głębokości stu pięćdziesięciu metrów. Może okręt rakietowy kryje się w jej cieniu i płynie bliżej dna?

–Niewykluczone. To warto sprawdzić. Każ zejść jeszcze pięćdziesiąt metrów niżej.

Upłynęło następne pół godziny oczekiwania. Ichijo z napięciem obserwował ekran taktyczny, ale nic na nim nie ulegało zmianie, poza tym, że teraz odległość między dwiema łodziami zaczęła się systematycznie powiększać.

Słabł także soniczny sygnał oddalającego się Hana, toteż wkrótce „Harado” mogła utracić z nim kontakt i zaprzepaścić szansę skutecznego odpalenia torped w kierunku przeciwnika. W dodatku chiński okręt zaczął powoli skręcać w stronę stanowiącej potencjalną kryjówkę bazaltowej ściany Aichi Jimy. Nadal jednak nie było nawet śladu łodzi raketowej, która zgodnie z założeniami powinna iść jego śladem.

–Sonar, wciąż nie łapiecie kontaktu?

–Nie, przed dziobem niczego nie ma.

Niech szlag trafi wszelkie schematy postępowania i skończonych głupców, którzy święcie w nie wierzą, pomyślał Ichijo.

–Nie możemy dłużej czekać, Hayao. Robimy zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Maszyny dwie trzecie naprzód.

–Ruszamy w pościg za Hanem?

–Nie mamy innego wyjścia, jeśli nie chcemy stracić kontaktu. Zbrojmistrz, zalać wszystkie wyrzutnie i przygotować się do otwarcia luków. Odpalimy torpedy salwą.

–Tak jest.

Pokład pod ich stopami zaczął delikatnie wibrować. „Harado” ruszał w pogoń za oddalającym się przeciwnikiem.

–Otworzyć luki wyrzutni. Przygotować zdalne sterowanie torped pierwszej i drugiej. Sprawdzić sonarowe odczyty kierunku i odległości od celu. Podać parametry naprowadzania torped.

–Jaką zaprogramować szybkość, kapitanie?

–Maksymalną. Wolę przeprowadzić błyskawiczny atak z zaskoczenia.

–Mostek, tu sonar. Odbieramy zmianą szybkości obrotów śruby i szumu silników. Cel przyspiesza.

–Zbrojmistrz! Co z tymi parametrami naprowadzania?!

–Mostek, cel rusza całą naprzód! Odbieramy też przesunięcie widma sonicznego.

Cel schodzi z dotychczasowego kursu!

–Namierzył nas – szepnął z przejęciem Kakizaki. – Jakimś sposobem łobuzy wyczuły naszą obecność!

–Są parametry naprowadzania torped! – zameldował szybko ze swego stanowiska oficer wachtowy. – Klapy luków otwarte. Wszystkie wyrzutnie gotowe do odpalenia.

Za późno! Za długo zwlekaliśmy! – przemknęło przez myśl Ichijo, który jak urzeczony wpatrywał się w ekran taktyczny. Pozwolił chińskiej łodzi za bardzo zbliżyć się do Aichi Jimy i teraz tamta wyraźnie skręcała na wschód, obierając kurs prosto na bazaltową ścianę. W tej sytuacji, gdyby nawet rozwinęli maksymalną prędkość siedemdziesięciu węzłów, ich torpedy nie zdołałyby pokonać dziesięciu mil dzielących oba okręty do czasu, gdy chińska łódź wykręci tuż przy skalistym brzegu i zniknie za jego krawędzią niczym samolot pikujący w dolinę za górską granią.

A ukrywszy się przed sonarami „Harado” za bazaltową skałą, komunistyczny okręt mógł ruszyć pełną mocą silników w głąb otwartego oceanu albo też zawrócić, przyczać się gdzieś w pobliżu i poczekać na dogodną chwilę do odpalenia własnych torped.

Ichijo doskonale zdawał sobie sprawę, że w trakcie pościgu jego łódź byłaby w stanie dotrzymać kroku chińskiej jednostce. Ale gdyby doszło do bezpośredniej wymiany ciosów na otwartym morzu, znacznie silniejszy atomowy napęd Hana zapewniłby mu dużo większą sterowność i łatwość wykonywania manewrów, a te mogłyby decydować o ostatecznym wyniku starcia.

–Hayao, wyrzuć boję radionadajnika. Przynajmniej wyślemy raport o kontakcie.

–Rozkaz, kapitanie – odparł stłumionym głosem Kakizaki.

Widoczny na trójwymiarowym obrazie pod kopułą punkt reprezentujący chińską jednostkę coraz bardziej się zbliżał do skalnego klifu. Han utrzymywał stałe zanurzenie i wciąż przyspieszał, płynął już z szybkością dwudziestu węzłów. Rozgoryczenie japońskiego kapitana ustąpiło nagle miejsca bezgranicznemu zdumieniu.

–Sonar, czy cel uruchomił aktywne urządzenia nasłuchowe?

–Nie, kapitanie. Kontakt jest wciąż pasywny. Nie emituje żadnych ultradźwięków.

Ichijo w pierwszej chwili pomyślał, że chiński kapitan musi mieć nerwy ze stali, skoro odważa się płynąć z taką prędkością wprost na skalny klif. Wiedział dobrze, iż łodzie podwodne tej klasy wyposażono w repliki starego francuskiego bezwładnościowego systemu nawigacji, który przecież nie był zbyt dokładny. Z

wyłączonym sonarem tamci musieli płynąć niemalże na ślepo.

–Jak ten łobuz nawiguje?! – wykrzyknął równie zdumiony Kakizaki, odwracając się od pulpitu łączności.

–Nie mam pojęcia, Hayao – mruknął Ichijo, spoglądając wręcz z fascynacją, jak błyszczący punkt na ekranie zaczyna się stapiać z jaskrawymi liniami skał.

–Musiałby chyba uruchomić wyrzutnie dziobowe, żeby teraz wykręcić.

–Jeśli w ogóle dostrzega taką konieczność. Sonar, przełącz odbierane sygnały na głośniki – rzucił kapitan pospiesznie do mikrofonu i ściągnął z głowy słuchawki.

Cały mostek wypełnił charakterystyczny szum, na tle którego wybijało się miarowe dudnienie obracającej się śruby. Wszyscy pełniący wachtę oficerowie unieśli głowy znad pulpitów i zaczęli nasłuchiwać. Przez parę sekund nic się nie działo, lecz nagle doleciał głośny łoskot, jaki towarzyszył uderzeniu okrętu o skałę.

Huk zderzenia przetoczył się zwielokrotnionym echem wśród oceanicznej toni, po czym zastąpił go głośny bulgot uciekającego powietrza i kolejne, cichsze grzmotnięcia oznaczające, że chiński okręt zsuwa się po nierównej powierzchni bazaltu. Kapitan Ichijo i jego załoga wymieniali bezgranicznie zdumione spojrzenia, przysłuchując się odgłosom opadania uszkodzonej i rozhermetyzowanej atomowej łodzi podwodnej na dno oceanu.

Rozdział 39

Morze Wschodniochińskie

20 sierpnia 2006, godz. 7.15 czasu lokalnego

–Tak to wyglądało, kapitanie – podsumował porucznik Beltrain. – Druga łódź klasy Han przestała stanowić zagrożenie. Zaoszczędziliśmy sobie nawet torpedy, spychając łobuzów na skały podczas ucieczki przed okrętem japońskim. A więc pozostał nam już tylko jeden obiekt.

Amanda w zamyśleniu pokiwała głową. Wraz z grupą oficerów stała przed mapą taktyczną widniejącą na ekranie głównego monitora w centrum informacyjnym. Dix niemal jednym tchem zaznajamiał ich z wydarzeniami, które rozegrały się dalej na północy.

–Wszystko jasne – odezwała się Rendino. – Zapewne chciał się przedostać na otwarte morze, omijając z bliska klif Yaku Jimy. Być może łudził się nadzieją, że głębsze przejścia w japońskim archipelagu nie będą tak dokładnie strzeżone jak w innych miejscach. Sprytnie kombinował, tyle że się przeliczył. – Uniosła głowę znad ekranu i popatrzyła na zasępione oblicze Amandy. – Nie wydaje się pani szczególnie zachwycona takim obrotem spraw, szefowo. Czyżby liczyła pani na to, że zbierze całą koronę klejnotów w tej operacji?

–Nie o to chodzi... Kryje się za tym coś dziwnego.

–A co tu może być dziwnego, kapitanie? – zdziwił się Arkady, robiąc równie marsową minę.

–Spójrzcie sami. – Amanda sięgnęła po linijkę i zaczęła pokazywać na ekranie. – Tutaj zatonał drugi Han, ponad trzysta mil od miejsca naszego starcia. Od początku zakładaliśmy, że obie łodzie szturmowe stanowią eskortę okrętu raketowego klasy Sia i płyną razem w konwoju. Wydawało się to całkiem naturalne, że szybsze i zwrotniejsze Hany będą osłaniały główną siłę uderzeniową Chińczyków. Gdyby tak było naprawdę, to czy ta druga łódź, prawdopodobnie wciąż eskortująca okręt raketowy, mogła pokonać trzysta mil w ciągu około szesnastu godzin, jakie upłynęły od zatopienia przez nas pierwszej?

Ken Hiro wzruszył ramionami.

–Trzysta mil? Dla łodzi podwodnej nie powinno to przedstawiać większych trudności.

–Nieprawda – odparł stanowczo Vince. – Chyba rozumiem, do czego zmierza pani

kapitan. Pokonanie tej odległości nie stanowiłoby problemu, gdyby okręty mogły iść z normalną prędkością rejsową. One jednak musiały utrzymywać całkowitą ciszę, a więc zapewne szły powoli na silnikach elektrycznych i jeszcze kluczyły, żeby wykorzystać osłonę, jaką stwarzają termokliny. W dodatku powinny szerokim łukiem ominąć to zgrupowanie japońskich okrętów na północy. A zatem nawet łódź klasy Han nie mogłaby pokonać tak znacznej odległości, nie przyciągając zarazem niczyjej uwagi.

–Właśnie to miałam na myśli – potwierdziła Amanda. – Dix, czy w raporcie Japończyków jest jakakolwiek wzmianka o potwierdzonym kontakcie z łodzią klasy Sia w rejonie Yaku Jimmy?

–Nie, mimo że jednostki biorące udział w poszukiwaniach zostały natychmiast zgrupowane w tamtym sektorze.

Garrett w zamyśleniu pokiwała głową.

–Gotowa jestem się założyć, że nie złapią tam namiaru ostatniej łodzi. Od chwili rozpoczęcia operacji zakładaliśmy, że czerwoni będą działali razem i poruszali się konwojem. Tymczasem było to błędne założenie. Okręty rozdzieliły się zaraz po wyjściu z delty Jangcy. Każdy z nich realizował całkiem odrębne zadanie. – Umilkła na chwilę, przygryzłszy wargi, po czym dodała ciszej: – Ciekawa jestem, jaki jeszcze błąd popełniliśmy w założeniach.

Rozdział 40

Morze Wschodniochińskie

20 sierpnia 2006, godz. 18.00 czasu lokalnego

„Utrzymuję prędkość rejsową i stan pełnej gotowości bojowej. Kontynuuję poszukiwania łodzi podwodnej. Zgodnie z rozkazami o godz. 12.00 rozszerzyłam strefę poszukiwań. Dotąd nie uchwyciłam żadnego kontaktu.

Dowódca, kapitan Garrett.”

Rozdział 41

Morze Wschodniochińskie

21 sierpnia 2006, godz. 14.00 czasu lokalnego

W mesie nie było nikogo poza Christine Rendino, która w skupieniu wsłuchiwała się w zarejestrowane odgłosy. Dominowały wśród nich dźwięczne metaliczne pobrzękiwania na tle jednostajnego głośniego szumu, co mogło się skojarzyć z odgłosem lawiny zgniatającej dużą składnicę złomu. Nieco cichszy był nasilony bulgot i rozbrzmiewające od czasu do czasu głuche łaskoty, podobne do słyszanych z oddali wystrzałów artyleryjskich. Amanda przystanęła w wejściu. W pierwszej chwili nie rozpoznała tej dziwnej kakofonii, ale charakter dolatujących dźwięków sprawił, że przeszył ją dreszcz.

Chris odtwarzała zapis w tutejszej aparaturze stereofonicznej. Siedziała po turecku na dywanie, dokładnie w połowie odległości między kolumnami. Tkwiła ze wzrokiem utkwionym w dali, nie zdając sobie nawet sprawy, że ktoś otworzył drzwi mesy.

Arkady, który towarzyszył Amandzie, podkradł się na palcach i stanął tuż za plecami przygarbionej blondynki.

–Co to? Festiwal przebojów heavymetalowych?

–Blisko, ale niezupełnie – odparła Chris, wyłączając odtwarzanie. Postukała palcem w obudowę wieży i wyjaśniła: – To zapis z naszej sieci sonicznej, zarejestrowany na „Księżcu”. Słyszeliście odgłosy tonięcia storpedowanej wcześniej łodzi klasy Han.

–Jasne – mruknęła Amanda, zrozumiawszy, dlaczego od progu przeszył ją dreszcz zgrozy.

–A to – ciągnęła Christine, sięgając do drugiej kieszeni odtwarzacza płyt

kompaktowych – zapis, jaki otrzymaliśmy z sekcji wywiadowczej siódmej floty. To kopia nagrania wykonanego na pokładzie japońskiej łodzi podwodnej, która znajdowała się najbliżej miejsca wypadku drugiego Hana. Przysuńcie sobie krzesła. Chciałabym, żebyście ze mną jeszcze raz przesłuchali oba te nagrania.

Pierwszy fragment zapisu trwał około pięciu minut i obejmował okres od maksymalnego wynurzenia storpedowanej łodzi do głuchego, stłumionego uderzenia wraka o muliste dno oceanu.

–Dobra. A teraz prześledzimy zatonięcie drugiego okrętu. Przygotujcie się na pewne dodatkowe odgłosy, gdyż uszkodzony okręt podczas opadania obijał się o wystające krawędzie skał. Spróbujcie jednak nie zwracać na nie szczególnej uwagi.

Przez następne pięć minut z głośników dolatywała podobna kakofonia.

–Wystarczy. Złapaliście różnicę?

Amanda i Vince wymienili zdziwione spojrzenia.

–Skończ z zagadkami, siostrzyczko – odezwał się Arkady. – Przyznaję, że nigdy nie miałem dobrego słuchu. Naprawdę jest w tych nagraniach jakaś różnica?

–Jest, tylko nie zwróciliście na nią uwagi. Powtórzę odpowiedni fragment.

Przeprogramowała odtwarzacz i ponownie z głośników popłynęły przerażające odgłosy: łoskot i jęk rozdzieranego metalu, głośny bulgot powietrza i przytłumione głuche łoskoty.

–Chodzi o te detonacje – odparła szybko Amanda. – W drugim nagraniu w ogóle nie występują.

–Strzał w dziesiątkę!

–Co to za odgłosy?

–Implozje poszczególnych sekcji oddzielonych grodziami, kiedy ciśnienie wody zgniatało kolejne części okrętu.

Garrett siłą powstrzymała kolejny dreszcz grozy, przeklinając siebie w duchu za zbyt bujną wyobraźnię. Kiedy jeszcze pełniła służbę w Morskim Centrum Badawczo-Rozwojowym imienia Davida Taylora, widziała zdjęcia zatopionego i zmiążdżonego okrętu podwodnego wykonane ze zdalnie sterowanej miniaturowej sondy oceanicznej. Stąd też wiedziała, że w mrocznych głębinach prawa fizyki płatają dziwne figle. Ludzie uwięzieni pod pancierzem otoczonym kilometrami sześciennymi wody umierali w płomieniach.

Kiedy pod wpływem ogromnego zewnętrznego ciśnienia pęka stalowe poszycie, a woda wdziera się do wypełnionych powietrzem przestrzeni, powstaje coś w rodzaju atmosferycznej fali uderzeniowej, a szybkie rozprężenie powietrza powoduje jego znaczne rozgrzanie. Przez ułamek sekundy, nim woda pochłonie daną sekcję, jej wnętrze ogarnia fala spopielającego wszystko żaru.

–Na pewno dam wam powód do radości z ujawnienia mojej bezgranicznej ignorancji, ale zapytam: co z tego wynika? – mruknął Arkady.

–To, że druga łódź, która roztrzaskała się o skały, nie miała pozamykanych grodzi wodoszczelnych – odparła w zamyśleniu Amanda. – Płynęła w zwykłym trybie rejsowym.

–Otóż to! – Christine z ponurą miną przytaknęła ruchem głowy. – Mieli otwarte grodzie. Kiedy walnęli dziobem o skałę i rozdarli poszycie, w ciągu sekundy wszystkie sekcje zalała woda.

–Chyba nie wypada się powtarzać. – Arkady westchnął ciężko, wstał z krzesła i podszedł do pojemnika z gorącą kawą.

–Zastanów się tylko – powiedziała nieco zniecierpliwiona Amanda. – Kapitan japońskiej łodzi podwodnej, która od pewnego czasu posuwała się śladem Chińczyków, napisał w raporcie, że według niego okręt atomowy skręcił w stronę Aichi Jimmy i przyspieszył, żeby ukryć się za skałami i uniemożliwić atak torpedowy.

–Zaraz, chwileczkę... – Arkady zastygł bez ruchu z kubeczkim podstawionym pod kranik. – Gdyby faktycznie uciekali przed ścigającymi ich Japończykami, płynęliby w stanie pełnej gotowości bojowej.

–Właśnie. A gdyby wcześniej ogłoszono alarm torpedowy, wszystkie wodoszczelne grodzie musiałyby być zamknięte na głucho. – Chris po raz kolejny postukała palcem w obudowę odtwarzacza. – Oto mamy kolejny błąd w założeniach, o którym nasza kapitan mówiła wczoraj rano. Wszyscy są przekonani, że kapitan chińskiej łodzi źle obliczył manewr, ponieważ chciał jak najszybciej uciec z zagrożonej strefy. Tymczasem zdarzył się zwykły wypadek. Chińczycy w ogóle nie mieli pojęcia, że ktoś za nimi płynie. Po prostu chcieli wyjść na otwarte morze i już uradowani pomyślnym przejściem przez strzeżony archipelag wpakowali się na skały.

–Niech to diabli... – mruknął Vince. – Masz rację. Niezły z ciebie detektyw, siostrzyczko.

–Dzięki – rzuciła od niechcienia Chris, bez przerwy wpatrując się jak urzeczona w odtwarzacz płyt.

–Coś jeszcze?

–Nie jestem pewna. Otóż... wiem, że takie wypadki się zdarzają, ale załoga tego okrętu powinna być wybrana spośród najlepszych. Teoretycznie zatonięła sama śmietanka marynarki wojennej czerwonych. Co więcej, ta doborowa załoga beztrako wpakowała okręt na skały podczas najważniejszej misji, jaką władze z Pekinu kiedykolwiek wyznaczyły marynarce. Dlatego nie dziwcie się, że coś mi tu jeszcze nie gra. Chyba jeszcze coś przeoczyliśmy.

W mesie zapadła grobowa cisza. Ani dowódca sekcji wywiadowczej, ani pilot, nie zwrócili uwagi, że Amanda Lee Garrett ledwie zauważalnie pokiwała głową do swoich myśli i z takim samym najwyższym zainteresowaniem jak Rendino zaczęła spoglądać na aparaturę stereofoniczną.

Rozdział 42

Morze Wschodniochinskie

21 sierpnia 2006, godz. 18.05 czasu lokalnego

„Zakończyliśmy uzupełnianie zapasów z USS»Sacramento«. Kontynuujemy operację tropienia łodzi podwodnej. Pozostajemy w pełnej gotowości bojowej. Nadal brak kontaktu.

Dowódca, kapitan Garrett.”

Rozdział 43

Morze Wschodniochińskie

22 sierpnia 2006, godz. 9.19 czasu lokalnego

–Paź zero jeden, tu Yancy pięć dziewięć brawo. Mamy go! Jest w potrzasku!

W oddali myśliwiec S-3 Viking obrócił się w powietrzu niczym atakujący jastrząb i zanurkował przed dziobem Komańcza.

Zmuszony do poderwania maszyny porucznik Vince Arkady szybko rzucił przez ramię:

–Pływak do wody!

–Boja hydrofoniczna zrzucona – zameldował Gus Grestovitch, wystukując instrukcje na klawiaturze.

–Ustawiłeś odbiornik na łączności taktycznej?

–Tak jest. Przechwytyjemy dane z sieci nasłuchowej rozstawionej przez Yancy pięć dziewięć. Zrzucili dwie boje pasywne, ich mikrofony złapały kontakt. To samotny obiekt podwodny na głębokości dwustu metrów. Kurs: sto dziewięćdziesiąt stopni. Prędkość: około szesnastu węzłów. Namiar na cel: kierunek względny zero cztery pięć.

–Jest potwierdzenie identyfikacji obiektu?

–To na pewno łódź podwodna napędzana pojedynczą siedmiopłatową śrubą. Nie wyłapujemy jednak szumu silnika, nie da się więc przeprowadzić identyfikacji na podstawie bazy danych. Okręt porusza się prawie bezszelestnie, poruczniku... tak

cicho, że ledwie mogę go namierzyć.

Arkady zmarszczył brwi tak mocno, że aż poczuł na czole ucisk hełmu.

–Coś mi tu nie pasuje. To nie może być chińska łódź, skoro płynie z taką prędkością. – Sięgnął do przełącznika radiostacji. – Yancy pięć dziewięć, czy udało wam się zidentyfikować obiekt?

–Nie, zero jeden! – odparł podniecony pilot. – Ale to na pewno łódź czerwonych. Otrzymaliśmy z dowództwa floty potwierdzenie, że nie może być żadnych naszych jednostek w tym rejonie. Czekam z otwartym przedziałem bojowym, ryba gotowa do zrzucenia.

Chłopak palił się do walki, najwyraźniej chciał sobie namalować pierwszy znaczek na kadłubie.

–Zaczekaj, Yancy pięć dziewięć. Coś mi się nie zgadza. Nasz cel nie mógłby płynąć tak cicho. Koniecznie musimy mieć potwierdzenie identyfikacji, nim zrzucimy torpedy.

–Identyfikacja nie budzi wątpliwości, zero jeden – odezwał się celowniczy z Vikinga. – Na pewno kryją się pod termokliną. Mamy pewny, stabilny zamiar do strzału. Przystępujemy do ataku!

–Gus, sprawdzałeś działanie batytermografu przed startem z „Księcia”?

–Oczywiście. Według ostatniego odczytu nie było pod nami żadnej termokliny do głębokości trzystu metrów.

–Dawaj drugą boję! Pełen zakres! Zanurzenie dwieście pięćdziesiąt metrów!

–Boja zrzucona, poruczniku!

–Yancy pięć dziewięć, tu Paż zero jeden. Radzę poskromić zapędy, dopóki nie zidentyfikujemy łobuza. Coś tu nie gra!

–Zero jeden, obiekt zbliża się do granicy skanowanego rejonu. Jeśli nie przystąpimy natychmiast do akcji, stracimy zamiar naprowadzający! Zrzucamy torpedę!

Promienie słońca odbiły się od poszycia odrzutowca, który wszedł w ciasny zakręt.

–Poruczniku, jeszcze raz sprawdziłem w pełnym zakresie – zameldował Grestovitch. – Batytermograf nie wykazuje żadnych termoklin. Nie ma najmniejszych zmian w widmie sonicznym namierzonego obiektu.

–Dość tego! Gus, włącz sonar aktywny! Pełna moc! Tryb naprowadzający!

–Rozkaz!

–I przejmij od Yancy pięć dziewięć sterowanie jego siecią! Tamte boje także przełącz na aktywne! Wszystkie!

–Tak jest!

W jednej chwili kabinę wypełniły dźwięki wyławiane spod powierzchni morza.

Odczyty kilkunastu aktywnych sonarów nałożyły się na siebie, przez co zasięgiem ich ultradźwiękowych skanerów został objęty rejon prawie stu kilometrów kwadratowych.

Można było odnieść wrażenie, że nagle wszyscy mieszkańcy tutejszych głębin wpadli w panikę.

–Paż zero jeden! – wrzasnął celowniczy z Vikinga. – Co wyprawiacie, do jasnej cholery?!

–Ratujemy wasze dupska, Yancy. Bez odbioru!

–Obiekt przyspiesza – zameldował Gus. – Mam zmianę widma, wchodzi w skręt... Zanurza się! Boje pasywne wychwyciły szum silnika! Komputer na podstawie odgłosów identyfikuje cel jako łódź klasy Blok 2 Akula. To okręt Rosyjskiej Floty Pacyficznej. Powtarzam, to Rosjanie!

–Skurwysyny – doleciał przez radio spięty szept pilota Vikinga.

–Opanuj się, Yancy. Radzę nie zapominać, że nie jesteśmy jedynymi dzieciakami w tej piaskownicy.

–Tracimy namiar obiektu pod termokliną, poruczniku – powiedział spokojnie Grestovitch. – Zbierają się stąd. Chyba ich wystraszyliśmy.

–Nie tylko ich, stary.

Arkady zamknął na moment oczy i odetchnął głęboko, poczuwszy ogromną ulgę.

Rozdział 44

Morze Wschodniochińskie

22 sierpnia 2006, godz. 18.00 czasu lokalnego

„Kontynuujemy operację tropienia łodzi podwodnej. Jesteśmy w drodze do nowego sektora poszukiwań. Pozostajemy w pełnej gotowości bojowej. Nadal brak kontaktu.

Dowódca, kapitan Garrett.”

Rozdział 45

Morze Wschodniochińskie

23 sierpnia 2006, godz. 0.49 czasu lokalnego

Ślad był ledwie zauważalny, miał postać nieznacznego zgrubienia jednego z pików w widmie sonicznym wychwytywanym przez urządzenia okrętu. Podczas odtwarzania zapisu dawał się słyszeć prawie nieuchwytny tajemniczy szmer, tonący pośród innych odgłosów dolatujących z głębin oceanu. Po raz nie wiadomo który porucznik Foster zadawał sobie pytanie, czy nie ulega omamom i w ten sposób nie robi z siebie idioty.

„Cunningham” już od dwóch godzin podążał tropem ulotnego kontaktu, a od godziny Foster nawet nie wstawał od głównej konsoli w Alejce sonarowej. Jeszcze raz pochylił się nad klawiaturą i wybrał z menu programu obsługi urządzeń hydrofonicznych polecenie: identyfikacja obiektu.

Na ekranie znów pojawił się napis:

**** IDENTYFIKACJA NIEMOŻLIWA. DANE NIEWYSTARCZAJĄCE DO ANALIZY****

–Cholera!

–Spokojnie, poruczniku. Jak to się zwykle w takich wypadkach mawia: po cichutku, pomalutku...

Przez ostatnią godzinę także kapitan Garrett nie odstępowała na krok od jego stanowiska. Obserwowała go w milczeniu, nie zważając na to, że traci cenne chwile odpoczynku.

–Coś się zmieniło? – zapytała prawie szeptem.

–Nie. Obiekt wciąż się kryje w przypowierzchniowej strefie, gdzieś między kursem zero dziewięć pięć a jeden zero zero. Nawet nie mogę podać dokładniejszego namiaru, komputer wciąż nie potrafi wyodrębnić odgłosu z szumu tła.

–Odległość do celu też się nie zmienia?

–Nie. Może to być obiekt, który tuż przed naszym dziobem idzie po cichu, albo równie dobrze stara terkocząca łajba na granicy zasięgu hydrofonów. Nie sposób tego ocenić.

–No cóż, zbliżamy się do rejonu pozostającego pod obserwacją Oriona. Pozostaniemy na obecnym kursie, dopóki sprawa się nie wyjaśni.

Foster tylko przytaknął ruchem głowy, gdyż nagle coś go ścisnęło za gardło. Przełknął ślinę i zebrawszy się na odwagę, popatrzył na ledwie widoczną w półmroku Amandę.

–Przepraszam, kapitanie, ale jestem coraz bardziej przekonany, że zapędziliśmy się w ślepy zaułek – powiedział.

–Naprawdę?

–Tak, proszę pani. Obiekt pozostaje w przypowierzchniowej strefie i nie wychytujemy żadnych zmian w widmie, więc albo stoi w miejscu, albo płynie bardzo powoli. Kontakt jest niepewny, ginie w tle. Dotąd nie zdołałem wyodrębnić z niego żadnych odgłosów mechanicznych, które umożliwiłyby chociażby określenie szybkości obrotowej śruby. – Dowódca sekcji jeszcze raz przełknął ślinę i dodał: – Bardzo mi przykro, lecz dochodzę do wniosku, że dałem się zwieść naturalnym dźwiękom, wydawanym na przykład przez stado delfinów bądź coś podobnego.

Amanda pokiwała głową.

–Zgadza się, to mogą być odgłosy naturalne. Zwłaszcza odczyty z ostatnich trzydziestu minut wydają się potwierdzać ten wniosek. Lecz wołałabym mieć co do tego pewność. A pan?

–Ja również, pani kapitan.

–W takim razie płynmy dalej, dopóki się nie upewnimy. – Zdumiony Foster poczuł na swoim ramieniu lekki uścisk jej palców. – Zresztą i tak na razie nie mamy nic lepszego do roboty.

Rozdział 46

Główna linia obrony wojsk tajwańskich w prowincji Fucien, Chiny

23 sierpnia 2006, godz. 11.37 czasu lokalnego

Na grubej, osmalonej lufie granatnika mapats wymalowano dwanaście pierścieni oznaczających trafienia. Ale była to już ostatnia sztuka cięższej broni, jaka pozostała w plutonie. Młody porucznik coraz bardziej ugiął się pod przytłaczającym go brzemieniem. Czuł się tak stary, jak ziemia pod stopami – ziemia, w którą najpierw wsiąkły nadzieje oraz marzenia żołnierzy, a później pochłonęła trzy czwarte jego oddziału.

Wzdłuż linii okopanego batalionu po raz kolejny przeleciał okrzyk:

–Gotuj się!

Strudzeni żołnierze zajmowali stanowiska w okopach i bunkrach, przyciskając policzki do kolb karabinów. Szczękały odciągane zamki. Znowu narastało napięcie.

Jego załoga ociężale rozstawiła się po bokach ukrytego w wykopie łazika z umocowaną na ramie wyrzutnią. Porucznik przywarł brzuchem do ziemi w przedniej części wykopu i uniósł do oczu poobijaną lornetkę.

–Nie strzelać bez rozkazu! – podawano od jednego stanowiska do drugiego. – Czekać! Wypatrywać żółtych chorągwi!

Może wreszcie zaatakują, przemknęło porucznikowi przez myśl, może dzisiaj w końcu ruszą do natarcia. Od rana na całej długości frontu dochodziło do wymiany ognia, lecz komuniści nadal nie przypuszczali spodziewanego szturm na przyczółek desantowy.

A przez ostatnią godzinę wszędzie panował dziwny spokój.

–Panie poruczniku, widzę dym, na godzinie drugiej – zameldował ochryłym głosem celowniczy.

Dowódca obrócił lornetkę we wskazanym kierunku. Po przeciwnej stronie rozmięklej błotnistej grobli unosił się w niebo wąski słup żółtawego dymu.

Po chwili obok wykwitł drugi, nieco bliżej trzeci. Bez wątplenia były to pióropusze granatów dymnych.

–Nie strzelać!

Powtarzano wzdłuż linii stanowczą komendę, która miała pohamować bojowe zapędy żołnierzy wymęczonych przez ostatnie tygodnie walk.

Na krętej drodze wiodącej w stronę ich pozycji pojawili się wreszcie ludzie. Żołnierze Frontu Demokratycznego, tak samo zmęczeni jak oni, byli tylko po części ubrani w mundury chińskiej armii, większość miała na sobie ubrania cywilne. W rękach trzymali gotowe do strzału karabiny lub granatniki. Wszyscy jednak nosili na czołach żółte opaski, niewątpliwy znak wyróżniający.

W niczym nie przypominali armii odmieniającej bieg historii.

Porucznik przez pewien czas obserwował zbliżającą się kolumnę. Wreszcie, pchnięty jakimś instynktem, poderwał się z ziemi, wyskoczył z okopu i pobiegł rebeliantom na spotkanie.

Na czele kolumny szedł oficer chyba równy mu wiekiem, chociaż podkrążone i zaczerwienione oczy oraz osmalona twarz w znacznym stopniu utrudniały jakąkolwiek ocenę. Niemniej na kołnierzyku munduru także nosił gwiazdki porucznika.

–Długo kazaliście na siebie czekać – odezwał się gardłowo Tajwańczyk.

Zasepiony przybysz skinął głową.

–Mieliśmy ciężką przeprawę.

Zaraz jednak obaj rzucili się sobie w ramiona.

Wśród rosnącego gwaru kolejni żołnierze nacjonalistycznej armii zaczęli wybiegać z okopów na powitanie swoich sprzymierzeńców.

Nieopodal znajdowała się jeszcze trzecia armia, a raczej tylko jej niedobitki. Mimo desperackich wysiłków Ludowej Armii Wyzwoleńczej nie udało się przeszkodzić w połączeniu sił tajwańskich z oddziałami Zjednoczonego Frontu Demokratycznego. Zdiesiątkowane dywizje wycofywały się na północ, w kierunku rzeki Wenczou, stanowiącej najdogodniejszą linię obrony.

Nawet w trakcie tego odwrotu komunistyczna armia się wykrwawiała, gdyż raz po raz spadały na nią ciosy tajwańskiego lotnictwa. Z nieba całkowicie zniknęły samoloty oznakowane czerwoną gwiazdą, a ocalałe jednostki przeciwlotnicze nie miały już amunicji.

W dodatku bez przerwy zachodził jeszcze inny, mniej rzucający się w oczy proces.

Liczebność wycofujących się kolumn wciąż topniała. Żołnierze, czy to pojedynczo,

czy w małych grupkach, albo szukali sobie jakichś kryjówek, żeby tam doczekać nadejścia wyzwolenczych oddziałów demokratycznych, albo ciskali broń do rowu i ruszali w drogę powrotną do swych domów. Tych, którym się nie poszczęściło i zostali schwytani przez żandarmerię czy też uzbrojonych milicjantów, rozstrzeliwano na miejscu. Ale takich było niewielu. Oficerowie, żandarmi i milicjanci także nie mieli już serca do dalszej walki.

Machina propagandowa Partii Komunistycznej zachrypniętym głosem ryczała o „nowym wielkim pochodzie” na północ, gdzie ludowa rewolucja musi się odrodzić, żeby odzyskać utracone ziemie. Lecz tylko nieliczni jeszcze tego słuchali. Żadna propaganda nie mogła przynieść rezultatów, skoro nawet tworzący ją ludzie utracili wiarę w głoszone idee.

Z głośnika aparatu bezpośredniej łączności satelitarnej popłynął głos Lane Ashley:

–Słyszałeś ostatnie nowiny, Harry?

–O połączeniu się wojsk demokratów z oddziałami tajwańskimi? Owszem. Takie wieści tu docierają.

Mimo działającego w apartamencie klimatyzatora przepocona koszula Harrisona Van Lyndena lepiła mu się do pleców. Z trudem wyławiał sens z dostarczonego niedawno dalekopisem raportu sytuacyjnego; odczuwał tak silne zmęczenie, że nie potrafił nawet zebrać myśli.

–Nie, chodzi mi o wyspę Hajnan. Wygląda na to, że i tam zdarzenia wymykają się spod kontroli.

Sekretarz stanu zaklął pod nosem i cisnął wydruk na stojący przed nim stolik do kawy.

–Nic mi na ten temat nie wiadomo. Co tam się znów stało?

–Zbuntował się cały garnizon czerwonych. Starsza kadra oficerska zginęła lub siedzi w areszcie, władzę przejął komitet złożony z pułkowników i kapitanów. Postanowili przejść na stronę rebeliantów. Komuniści stracili kolejny ważny okręg wojskowy.

–Niech to diabli, Lane. Wcale nie jestem pewien, czy powinniśmy się z tego cieszyć.

–Masz rację – przyznała posępnym głosem Ashley. – Czerwoni za szybko tracą władzę. Pamiętaj, że według naszych ostatnich prognoz mieli wytrwać jeszcze od ośmiu do dziesięciu miesięcy? Otóż najnowsze analizy dają im najwyżej sześć do ośmiu. Moim zdaniem to dla nich i tak zbyt optymistyczna ocena.

–Myślisz, że nie wytrzymają aż tak długo?

–Najwyżej tyle, ile trzeba połączonym armiom na uzupełnienie zapasów, przegrupowanie i wyruszenie dalej na północ. Nie sądzę, żeby czerwoni zdołali jeszcze stworzyć jakąś solidniejszą linię obrony.

–No to pozostały im tylko bomby. – Van Lynden wyrztał przez okno hotelu na pogrążoną w ciemnościach Zatokę Manilską. Doskwierał mu nie tylko kwaśny odór własnego potu, lecz także pogłębione przemęczeniem wrażenie bezsilności. Poczut się nagle staro. – Lane, masz coś nowego w sprawie balistycznej atomowej łodzi podwodnej czerwonych? Udało się ją namierzyć?

–Nie. Wszystkie nasze jednostki wojskowe w rejonie zachodniego Pacyfiku i centrale wywiadowcze postawiły sobie za cel jej odnalezienie. Ale dotąd nie ma żadnych rezultatów.

Van Lynden przeciągnął dłonią po twarzy i pomyślał z żalem, że brak mu nawet sił, aby zejść do hotelowego baru na drinka.

–Organizujemy w tajemnicy ewakuację pracowników ambasady i innych obywateli amerykańskich z Filipin. Gdyby miał tutaj dotrzeć radioaktywny opad, niewiele byśmy zdołali osiągnąć w pośpiechu. Jak sądzisz, kiedy komuniści mogą się zdecydować na odpalenie rakiet z głowicami jądrowymi?

–Jeśli mam być szczerą, to chyba ktoś właśnie bierze ostatni głęboki oddech przed naciśnięciem guzika.

Rozdział 47

Morze Filipińskie, 55 mil na północny zachód od wyspy Daito Jima

23 sierpnia 2006, godz. 23.30 czasu lokalnego

–Proszę – powiedział Arkady, kładąc wydruk na biurku Amandy. – Jeśli tak dalej pójdzie, pojutrze skończą nam się boje hydrofoniczne.

–Nie mamy żadnego zapasu?

–Nie, już teraz półki w magazynie świecą pustkami. Jeśli chcesz zachować jakąkolwiek rezerwę, muszę powiadomić Pazia zero dwa, żeby natychmiast zakończył rozstawianie sieci. Trzeba jak najszybciej uzupełnić zapasy.

–Nie mam pojęcia, skąd moglibyśmy je teraz otrzymać – odparła Amanda. – Cała siódma flota jest w takiej samej sytuacji jak my. Eskadry Orionów rozrzucają boje na lewo i prawo. Podobno płyną jakieś dostawy sprzętu ze Stanów, ale minie trochę czasu zanim je ujrzymy.

–No to jesteście załatwieni. – Arkady odchylił się do tyłu na krześle, aż oparcie stuknęło o grodzie. – Jeśli zostaną nam tylko głębinowe sonary aktywne i typowy sprzęt zamontowany w śmigłowcach, prawie całkowicie utracimy zdolność wykrywania łodzi podwodnych.

–Trzeba będzie zacząć trochę oszczędzać, chociażby dostosowując gęstość sieci hydrofonicznej do wielkości zagrożenia w danym sektorze. Wiem, że ograniczenie zasięgu sieci nasłuchowej może mieć fatalne skutki, wolałabym jednak zachować istniejący jeszcze zapas boi do czasu, aż będą naprawdę potrzebne.

–Nie mamy innego wyjścia. Trzeba zacząć oszczędzać.

Amanda obrzuciła pogardliwym spojrzeniem papiery rozrzucone na biurku, uniosła ręce nad głowę i przeciągnęła się szeroko.

–Prawdę mówiąc, nawet nie wierzę, abyśmy namierzyli tę łódź gdzieś w tym rejonie.

Kolejna noc na pokładzie niszczyciela przebiegała spokojnie, co tym bardziej skłaniało do podobnego wniosku. Vince i Amanda byli sami w kapitańskiej kajucie. Już od obiadu wyraźnie mieli się ku sobie, a konieczność omówienia bieżących spraw stała się zarazem pretekstem do spędzenia czasu we dwoje.

–Jak sądzisz, dokąd Chińczycy mogli popłynąć?

–Gdybym znała odpowiedź na to pytanie, już byśmy tam na nich czekali. A ponieważ

jej nie znam, wciąż kręcimy się w kółko, mnie zaś robi się już niedobrze od ciągłego roztrząsania różnych możliwości. – Ułożyła dłonie na brzegu biurka i oparła na nich głowę. – Proszę mnie już nie dręczyć, poruczniku – mruknęła.

–Czym miałybyś ochotę się zająć?

–Umów się ze mną na randkę – zaproponowała, obserwując go spod półprzymkniętych powiek.

–Dokąd chcesz się wybrać?

–Powiedzmy, że... zawinęliśmy do bazy Everett, o tej porze roku.

–Proszę bardzo. – Pilot w zamyśleniu splótł palce za głową i wbił wzrok w sufit kabiny. – Pani kapitan, czy zechciałaby pani zjeść ze mną kolację dziś wieczorem?

–Z przyjemnością. W co powinnam się ubrać?

–Zastanówmy się... w tę zieloną welwetową sukienkę, która według ciebie jest zdecydowanie za krótka, i złote sandały. Tylko nie przesadzaj z biżuterią, chyba wystarczy dopasowana kolorystycznie aksamitka pod szyją. Uzupełnieniem takiego stroju mogą być tylko nylonowe pończochy z podwiązkami. Rajstopy byłyby zbyt plebejskie.

–Pończochy i podwiązki? Niczego więcej nie powinnam mieć pod spodem?

Arkady spojrzał na nią z ukosa.

–Zaskakujesz mnie... W każdym razie pojedziemy do centrum Seattle. Serwują tam najlepsze morskie potrawy na świecie. Na dzisiejszy wieczór wybrałbym... stary zajazd „Edgewater”. Nie jest to żaden elegancki lokal, ale ma swoją specyficzną atmosferę. Podają tam wspaniałego rieslinga Saint Michelle. Później proponowałbym alaskańską sałatkę z krewetek, pieczonego łososia z szalwią, ryżowy pilaw, a na deser po kawałku sernika.

–Doskonale. Co potem?

–Decyzja należy do ciebie. W centrum można znaleźć rozrywek pod dostatkiem.

–Nie poszlibyśmy potańczyć?

–Jasne. Co tylko sobie zażyczysz.

–Stare romantyczne przeboje, przetykane kawałkami dobrego jazzu.

–Jazzu? Niech pomyślę...

Amanda uśmiechnęła się i odwróciła do stojącego w rogu biurka przenośnego odtwarzacza płyt kompaktowych. Zanim Vince zdążył cokolwiek zaproponować, wsunęła do kieszeni płytę z zestawem spokojnych aranżacji jazzowych.

–Już wiem – oznajmił po chwili. – Dobry jazz w Seattle znaleźlibyśmy w którymś z klubów przy Pioneer Square. Najlepsze mieszczą się w piwnicach i zaułkach, trzeba wiedzieć, jak do nich trafić.

–Brzmi nieźle... Przypomina mi się nasza pierwsza noc w Honolulu.

–W Seattle przy tańcu także moglibyśmy uraczyć się brandy, żeby poprawić nastroje.

–Dobrze, to mi się podoba. Moim zdaniem wpół do dziewiątej będzie w sam raz.

–W sam raz na co?

–Na zrobienie ci niespodzianki – wyjaśniła Amanda uwodzicielskim szeptem. – Po trzecim drinku będę już nieco wstawiona i gdy przytulisz mnie w tańcu w ciemnym kącie sali, powiem ci na ucho, że pod sukienką jestem gołą.

–Ach, tak... – Arkady przełknął ślinę, gdyż niespodziewanie zaschło mu w gardle. – Później moglibyśmy się wybrać na mały spacer, pooglądać neony i zaczerpnąć nieco powietrza. A następnie pojechalibyśmy samochodem w świetle księżyca.

–Dokąd?

–Nad cieśninę Deception Pass.

–Czy to nie za daleko?

–O tej porze ulice będą puste, bez przeszkód dotrzemy na miejsce. Zaparkujemy pod obserwatorium, przy wjeździe na ten stary wielki most nad przesmykiem. Będziemy mogli rozmawiać i słuchać muzyki aż do świtu.

–Zgodziłabym się, gdyby nie te piekielnie niewygodne siedzenia w pańskim samochodzie, panie poruczniku. Kiedy ostatnim razem wybraliśmy się na podobną eskapadę, później długo miałam na lewym udzie siniaka od dźwigni hamulca ręcznego.

–Przygotuję dla ciebie specjalną poduszkę na siedzenie. Poza tym nie przerywaj, bo dopiero zaczyna być ciekawie. No więc tuż przed świtem wyjdziemy na sam środek mostu i będziemy obserwować wschód słońca oraz falę przyływu wdzierającą się do przesmyku.

–Tak... – powiedziała rozmarzonym głosem Amanda. – To naprawdę byłoby przyjemne. Nie zapominaj jednak, że nie będę miała niczego pod sukienką. Mogłabym zmarznąć.

–Oho, widzę, że cię wciągnęło. No to spróbujmy pofantazjować dalej.

–Chętnie. Co masz na myśli?

Arkady sięgnął przez wąskie biurko, ujął jej dłoń, uniósł do ust i zaczął delikatnie całować.

–Na myśli mam letniskowe miasteczko na zachód od miasta, blisko Oak Harbor. Jest tam spokojny, nieco staroświecki motelik, ale pokoje są przytulne i można zamówić do łóżka całkiem niezłe śniadanie.

Coraz silniejszy dreszcz podniecenia kazał Amandzie natychmiast wrócić do rzeczywistości.

–Chyba wystarczy, Vince – powiedziała, uwalniając dłoń.

–Dopiero przechodziłem do tego, co najlepsze!

Uśmiechnęła się boleśnie.

–Wiem. Zdaję sobie sprawę z bogactwa twojej wyobraźni, kochany. To jedna z tych rzeczy, które mnie najbardziej w tobie pociągają. Wydaje mi się jednak, że aż za bardzo rozbudziliśmy swoje zmysły, jak na jeden dzień.

–Tchórz.

–Nieprawda! – syknęła, wysuwając się zza biurka. – Musimy nadal pozostać rozsądnymi, poważnymi, dorosłymi ludźmi. Dlatego trzeba skończyć z fantazjami, dopóki jeszcze nie zaczęliśmy zdrapywać paznokciami farby ze ścian.

–Niech ci będzie. – Arkady westchnął ciężko i powrócił z krzesłem do normalnej pozycji przy biurku. – Mogę skorzystać z twojego interfonu? Chciałbym przekazać do centrum informacyjnego, żeby nakazali Paziowi zero dwa przerwać rozstawianie sieci nasłuchowej.

–Proszę bardzo. Ja idę pod prysznic i kładę się spać. – Stała jeszcze w przejściu do części sypialnej kajuty i dodała: – Dobranoc, Vince... i bardzo dziękuję za nadzwyczaj przyjemną nocną wycieczkę po mieście.

–Cała przyjemność po mojej stronie, kochana. Miłych snów.

Amanda nie musiała nawet zapalać światła, niebieskawa poświata rozgwieżdżonego

nieba, która wpadała przez świetlik w suficie, wystarczała jej do tego, żeby się rozebrać. Zza zasłonki doleciał głos rozmawiającego przez interfon pilota.

Jego brzmienie zawsze napawało ją spokojem, a przede wszystkim przywodziło na myśl tego inteligentnego, opiekuńczego kochanka. Gdy zsunęła bawełniane majtki do kostek, na krótko odżyły w jej wspomnieniach wrażenia z niedawnej fikcyjnej randki i musiała zebrać całą siłę woli, żeby nie zrezygnować z narzuconych sobie rygorystycznych norm postępowania.

Nie kuś mnie, szatanie, nakazała sobie stanowczo w myślach. I ty także, Arkady, dodała po chwili.

Weszła do maleńkiej kabiny kąpielowej i stanęła pod prysznicem. Odkręciła kurki i zanurzyła twarz w strumieniu ciepłej, odpędzającej zmęczenie wody.

Rzadko wykorzystywała kapitański przywilej korzystania bez ograniczeń z dobrodziejstw prysznicza. Czuła, że powinna dać dobry przykład, dostosowując się do regulaminowych trzech minut kąpeli, co było podyktowane koniecznością oszczędzania wody. Czasami jednak, na przykład tego wieczoru, odczuwała przemożną chęć uwolnienia się od dokuczliwych norm.

Ciepła woda jak zawsze szybko wyzwoliła ją od napięć minionego dnia. Garrett pochylała głowę i zamknęła oczy, wystawiając plecy na ukłucia strumyków prysznicza.

Nagle zasłonka się odsunęła. Obok Amandy stanął jeszcze ktoś, również nagi. Poczula jego twarz tuż przy swojej.

Jej zaskoczenie wręcz nie miało granic. Musiało minąć parę sekund, zanim rozpoznała muskularne męskie ramiona i odwzajemniła pocałunek. W jednej chwili ogarnęło ją tak gwałtowne pożądanie, że odebrała je jak silny cios w brzuch.

–Do diabła, Vince! – wyrzuciła z siebie z wściekłością. – Co ty wyrabiasz?

–Dbam o higienę osobistą. – Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu i odgarnął kosmyk mokrych włosów z czoła.

–Ustaliliśmy, że ograniczymy się do formalnych służbowych kontaktów na okręcie!

–Owszem, ale wydaje mi się, że właśnie powinniśmy zmienić te ustalenia. – Zaczął muskać wargami jej szyję, pochylając się coraz niżej.

–Przestań!

Próbowała się prześliznąć obok niego, ale to tylko pogorszyło sytuację... albo ją poprawiło. Ich skóra pod strumieniami wody stała się śliska i słodka. Prawie

nieświadomie Amanda zaczęła odwzajemniać pieśczęty Arkady'ego palcami i językiem. Wkrótce kolana zaczęły jej drżeć do tego stopnia, iż nabrała obaw, że się przewróci.

–Dobrze, poddaję się, poddaję, ty wariacie! – wyszeptała. – A teraz pozwól mi zakręcić prysznic, zanim wszystko dookoła zamoknie. Zastanówmy się lepiej, jak to zrobimy.

Temu, co się między nimi działo, towarzyszyła wyjątkowa atmosfera spożywania zakazanego owocu. Wycierając się, szeptali i chichotali niczym para nastolatków, ściągająca z siebie ubrania na tylnym siedzeniu samochodu. Vince dwa razy musiał sprawdzać, czy drzwi kajuty są zamknięte na zasuwkę, wreszcie zgasił światło w części służbowej. Amanda w tym czasie układała pościel.

Koja w ogóle się nie nadawała dla dwóch osób. Amanda wymyśliła jednak, że gdy ściągnie piankowy materac na podłogę i złożoną pościelą zapełni szczeliny między nim a ścianami, będą mieli wystarczająco dużo miejsca.

To przejaw głupoty, powtarzała w myślach, przykład bezmyślnego i ryzykownego naruszenia dyscypliny. Ale gdy się już położyła, rozrzuciwszy mokre włosy na poduszce, i zasłuchała w nastrojową muzykę płynącą z włączonego wciąż odtwarzacza, stwierdziła, że chyba niczego bardziej teraz nie pragnie.

Kiedy zaś Vince położył się przy niej, pomyślała, że tej nocy nie będzie miejsca na subtelności, jakiegokolwiek żarty czy pogaduszki. Zbyt długo oboje czekali na tę chwilę, by teraz marnować czas.

Znacznie później, gdy opadły miłosne uniesienia, uspokoily się przyspieszone oddechy i puls wrócił do normy, ułożyli się w spływającej z góry widmowej poświacie gwieździstego nieba. Milczeli jednak, jakby żadne z nich nie chciało zakłócać słowami nastroju intymności.

–Przepraszam – wyszeptała w końcu smutno Amanda – lecz nie możesz tu zostać na noc.

–Wiem, kochanie, ale nie wygonisz mnie chyba już teraz.

–Nie, jeszcze nie.

Nastrój zburzył im brzęczyk interfonu, który zabrzmiał prawie jak huk granatu.

Przy wtórze stłumionych przekleństw i jęków próbowali równocześnie zerwać się z posłania. Dopiero po kilku sekundach desperackich prób Amanda zdołała uklęknąć i sięgnęła po przenośny aparat leżący przy koi.

–Słucham – rzuciła o wiele bardziej opryskliwym tonem, niż zamierzała.

–Pani kapitan? Tu porucznik Beltrain z centrum informacyjnego. Nadeszły ostatnie wiadomości z okrętu flagowego dotyczące przebiegu rekonesansu. Prosiła pani, żeby ją natychmiast zawiadomić po odebraniu komunikatu.

–Oczywiście, Dix. Słucham.

–Poszukiwania we wszystkich sektorach nie przyniosły rezultatu, nie uchwycono żadnego pewnego kontaktu. Podobny meldunek nadszedł z dowództwa międzynarodowych sił rejonu Pacyfiku. Wszelkie zaangażowane instytucje wywiadowcze donoszą o braku zmian w istniejącej sytuacji. Ani śladu po tych łobuzach, pani kapitan.

–Przysły nowe rozkazy z dowództwa floty?

–Mamy pozostać na obecnym kursie do jutra, do szóstej rano. Wtedy otrzymamy przydział kolejnego sektora poszukiwań.

–Dobrze. Wiecie, co robić. Powiadomcie mnie, gdyby zaszło coś niezwykłego.

Amanda powoli odłożyła aparat na miejsce.

–Mam nadzieję, że było to coś naprawdę ważnego – mruknął Vince.

–Raczej nie. Sytuacja pozostaje bez zmian. Nadal niczego nie mamy, absolutnie niczego. Ta cholerna chińska łódź została chyba wprowadzona przez kosmitów.

Amanda położyła się z powrotem, wyciągnęła na brzuchu i przywarła ramieniem do Arkady'ego. Mimo trwającego na okręcie alarmu bojowego i ograniczającej ich służbowej zależności, zdolali dla siebie wykraść tyle czasu, ile tylko było można. Niespodziewany meldunek Dixy zniszczył jednak nastrój jak cegła rzucona w sklepową witrynę. Mogli jeszcze przez jakiś czas pobyć razem, a przytulny półmrok stwarzał dobre warunki do rozmowy.

–Gdybyś był kapitanem chińskiej łodzi podwodnej i musiał uciekać, dokąd byś ją skierował? – zapytała.

Arkady'emu zajęło dobrą chwilę przestawienie się ze sfery erotyki na zagadnienia natury profesjonalnej. Uderzyło go, że prowadzenie rozmowy na wojskowe tematy strategiczne z piękną nagą kobietą także zawiera w sobie sporą dozę pikanterii.

–Już wiem – odparł w końcu, odwracając się do niej. – Gdybym był kapitanem czerwonych, po wyjściu z Szanghaju ruszyłbym pełną mocą na otwarte morze. Popłynąłbym prosto na wschód, aż do wysokości Formozy, a potem skręcił na

południe, na Morze Filipińskie. Zawierzyłbym, że ślepy traf i duża prędkość rejsowa dadzą mi przewagę nad ścigającymi, dopóki nie dotrę do wybrzeży Nowej Gwinei. Jest tam mnóstwo dogodnych przybrzeżnych głębin, w których urządzenia soniczne nie spisują się najlepiej. Silne prądy i przyboje robią dużo szumu, dokładają się do tego trzaski intensywnych ruchów sejsmicznych.

–Rozumiem. – Pokiwała głową, aż jej włosy połaskotały go w ramię. – A co później?

–Popłynąłbym dalej na wschód, przez archipelag Bismarcka i wzdłuż łańcucha wysp Salomona, aż do Nowych Hebrydów. Stamtąd miałbym już otwartą drogę na zachodni Pacyfik. No a tam jest pod dostatkiem różnych miejsc, gdzie można zgubić pogoń.

–Nic z tego. – Amanda zaprzeczyła ruchem głowy. – Gdybyś przystąpił do realizacji tego planu i nawet zdołał się przedostać na środek Pacyfiku, napotkałbyś mnóstwo kłopotów. Chińskie okręty nie są przystosowane do dalekich rejsów, bo takich w ogóle nie bierze się pod uwagę w ich wojennej doktrynie. Wyczerpałbyś zapasy żywności, a reaktor na pewno zacząłby szwankować. W dodatku zrodziłaby się groźba buntu załogi i zapewne utknąłbyś na otwartym morzu, najdalej na wysokości Tahiti.

–Masz rację, kochanie. Więc dokąd, w takim razie, mogli popłynąć?

–Zapomniałeś też, że głównym celem rejsu nie jest ucieczka przed pościgiem. Kapitan otrzymał rozkaz zaatakowania Tajwanu i południowych prowincji objętych rebelią. A zatem musi pozostawać w rejonie ograniczonym zasięgiem rakiet balistycznych.

–To znaczy?

–Pociski klasy Ciu Lang 2 mają zasięg około dwóch tysięcy mil. Musiałbyś więc pozostać na obszarze ograniczonym półkolistym hakiem sięgającym od Władywostoku na północy, przez Mariany na wschodzie, po Singapur na południu. Biorąc pod uwagę, że cele potencjalnego ataku znajdują się w głębi lądu, jeszcze bardziej zacieśniłabym ten obszar. Powiedzmy od Pusanu w Korei przez Parece Vela do Sajgonu. Założę się, że nasz obiekt pozostaje w tym rejonie.

–A więc w grę wchodzi Morza Wschodniochińskie, Południowochińskie oraz zachodnia część Filipińskiego. – Arkady zamyślił się na chwilę. – Wolałbym jednak, żebyś w tym zakładzie nie stawiała swojej ślicznej główki, moja droga, bo chyba byś przegrała. Przeszukaliśmy te akweny wzdłuż i w poprzek, niemalże precedziliśmy je przez sito. Tej łodzi tam nie ma.

–Musi być! – Amanda wyciągnęła spod ściany poduszkę, zrolowała ją w gruby walek i oparła na nim brodę. – Inny obszar po prostu nie wchodzi w grę.

–Wiesz, kochanie, że chińskie łodzie atomowe wydają takie odgłosy, jak... jak chińskie łodzie atomowe. Musieliby chyba leżeć na dnie, bo w przeciwnym razie, gdyby tylko znajdowali się w przeszukiwanym rejonie, na pewno byśmy ich usłyszeli i zatopili tak samo, jak to zrobiliśmy z dwoma okrętami szturmowymi.

Amanda po raz kolejny energicznie pokręciła głową.

–Zatopiliśmy tylko jeden z nich, Vince. Drugi albo w akcie samobójczym skierował się na skały, albo poszedł na dno wskutek przekroczenia przez kapitana dopuszczalnych poziomów głupoty. Zresztą oba te wypadki również powinniśmy brać pod uwagę podczas rozpatrywania dalszych możliwości. – Wyraźnie poirytowana przekręciła się na plecy. – Mam wrażenie, jakbyśmy próbowali ułożyć cholernie skomplikowanego puzzla. Coś mi mówi, że gdyby tylko spojrzeć na całą sprawę pod innym kątem, wszystko stałoby się jasne.

–Niewykluczone, kochanie. Tak czy siak, ta przeklęta łódź musiała dokądś popłynąć.

–Oczywiście...

Amanda urwała nagle. Vince poczuł, że raz i drugi poruszyła się nerwowo. Po chwili gwałtownie usiadła w ciemnościach.

–Nie – dodała szeptem. – Wcale nie musiała.

Rozdział 48

Morze Filipińskie

24 sierpnia 2006, godz. 4.04 czasu lokalnego

Paź zero jeden leciał nisko nad niewidocznymi w ciemnościach grzbietami fal. Niemal dokładnie odtwarzali poprzedni lot na okręt flagowy siódmej floty, chociaż tym razem to Garrett stanowczo domagała się rozmowy z admirałem Tallmanem. A w dodatku na pokładzie Komańcza znajdował się trzeci pasażer.

–Byłoby o wiele ciekawiej siedzieć tu u boku mężczyzny – mruknęła Christine Rendino. Nawet szeroki fotel w tylnej części kabiny śmigłowca okazał się za wąski dla dwóch osób, toteż tkwiły obie tak ściśnięte, że ledwie mogły zaczerpnąć oddechu.

Amanda nie była jednak w nastroju do żartów.

–Na pewno będzie pani umiała przedstawić rzeczowe argumenty, poruczniku?

Rendino błyskawicznie spoważniała.

–Niczego nie mogę zagwarantować, szefowo. Doskonale wiem, czego mam szukać, i sądzę, że sekcja wywiadowcza dostarczy wszystkiego, co tylko będzie nam potrzebne w trakcie operacji. Trudno jednak cokolwiek obiecywać. Wolałabym mieć trochę więcej czasu na przejrzenie danych, nim zaczniesz pani naciskać starego.

–Niestety, to raczej niemożliwe. Arkady, jak daleko jeszcze do okrętu flagowego?

–Idziemy pełną szybkością – odparł siedzący za sterami pilot. – Powinniśmy usiąść na pokładzie lotniskowca za jakieś dwadzieścia minut.

–Stawia nas pani w bardzo niezręcznej sytuacji, kapitanie – powiedział admirał Tallman.

Wraz z szefem sztabu floty przyjął ich w sali odpraw. Vince, który na krok nie odstępował Amandy, pozostał przy wejściu, gotów w każdej chwili na jej rozkaz włączyć się do rozmowy. Christine zaraz po wylądowaniu popędziła do sekcji wywiadowczej i teraz z pewnością zasypywała swoich kolegów po fachu nie kończącymi się żądaniami. Pozostawało mieć nadzieję, że w odpowiednim czasie i ona będzie mogła przedstawić pewne informacje.

–Zdaję sobie z tego sprawę, panie admirale – odparła Garrett. – Ale do uczynienia tego odstępstwa od regulaminu skłoniły mnie nadzwyczajne okoliczności. Sądzę, że

szczegóły mojej propozycji będą najlepszym usprawiedliwieniem. Otóż wydaje mi się, że wiem, gdzie się ukryła łódź klasy Sia.

–Co takiego? – Komandor Walker uniósł się nieco z krzesła, jakby chciał wstać, ale się rozmyślił. – Uchwyciła pani kontakt i nas o tym nie powiadomiła?!

Amanda zaprzeczyła ruchem głowy.

–Myli się pan, komandorze. Nie uchwyciliśmy żadnego kontaktu. Nikt go nie złapał. Przez cały tydzień szereg specjalistycznych jednostek rozstawiał na morzu dziesiątki najnowocześniejszych boi nasłuchowych, lecz żadnej z nich nie udało się wyłowić choćby jednego podejrzanego odgłosu.

–Nie mogę się z tym zgodzić, kapitanie – przerwał jej Tallman. – Ostatecznie namierzyliśmy oba Hany.

–Tak, to prawda. Odnaleźliśmy obie łodzie szturmowe czerwonych, ale wciąż nie natrafiliśmy nawet na ślad większej i teoretycznie łatwiejszej do wykrycia jednostki. Przyczyna jest prosta. Jej tu nie ma. W ogóle nie wypłynęła na otwarte morze.

–Tego już za wiele! – wybuchnął Walker. – Czy mam przypomnieć, że to właśnie pani zidentyfikowała ten okręt wychodzący z Szanghaju?!

–Spokojnie, komandorze! – poskromił go stanowczo Tallman. – Proszę mówić dalej. Więc gdzie, pani zdaniem, podziła się ta łódź?

Garrett poprosiła o wyświetlenie na wielkim ekranie wpuszczonego w stół mapowy monitora mapy wschodniego wybrzeża Chin.

–Rzeczywiście, widzieliśmy, jak cały konwój wychodził z Szanghaju. Błędnie jednak zakładaliśmy, że wszystkie trzy okręty popłynęły w stronę otwartego morza. – Wskazała wybrany punkt na mapie. – Sia nadal musi być gdzieś tutaj. Prawdopodobnie leży na dnie w delcie Jangcy.

Walker nie wymówił ani słowa. Tallman obrzucił go wyzywającym spojrzeniem spod nachmurzonych brwi.

–Ma pani na to jakieś dowody, kapitanie? – zapytał cicho.

–Nie mam, ale za takim wnioskiem przemawia wiele logicznych argumentów. Dowódca mojej sekcji wywiadowczej już się zajmuje poszukiwaniem właściwych danych, mam więc nadzieję, że wkrótce będę również mogła przedstawić dowody.

Naczelny dowódca siódmej floty w zamyśleniu pokiwał głową.

–Dobrze, w takim razie wysłuchajmy tych argumentów.

Amanda milczała przez chwilę, porządkując myśli, po czym zaczęła:

–Od początku robiliśmy podstawowy błąd w założeniach dotyczących zamierzeń komunistów. Przyjmowaliśmy, że oni muszą się posługiwać tymi samymi kryteriami logiki.

–Do czego pani zmierza? – przerwał jej Tallman.

–Jakie było nasze wstępne założenie co do zamiarów czerwonych?

–Że będą się starali przebić na otwarty Pacyfik.

–Nie inaczej, ponieważ tak właśnie postąpiłby w ich sytuacji kapitan naszej łodzi. Ale Chińczycy myślą odmiennie. Tworzymy flotę oceaniczną, i jeśli mówimy o morskiej operacji, za jej teren przyjmujemy z założenia otwarte wody. Natomiast Chińczycy dysponują wyłącznie flotą przybrzeżną! Nawet nie potrafią myśleć w innych kategoriach. Wynika to z uwarunkowań historycznych, przyjętej doktryny wojennej i światopoglądu. Dla nich wysłanie dużej i bardzo ważnej jednostki na otwarte morze byłoby taką samą głupotą, jak dla nas skierowanie lotniskowca w górę Missisipi.

–Niemniej obie łodzie szturmowe popłynęły jednak w kierunku Pacyfiku.

–Bo wzięły na siebie rolę przynęty, admirale. Poświęcono je, żeby odwrócić naszą uwagę od okolic Szanghaju. Od początku tej operacji Chińczycy stosowali prostą i skuteczną taktykę wprowadzania nas w błąd.

–Wierzy pani, że zdobyli się aż na tak wielkie poświęcenie? – mruknął Tallman. – W końcu mówimy o dwóch szturmowych Hanach, bez wątplenia zaliczających się do najcenniejszych jednostek z tego, czym jeszcze dysponuje komunistyczna marynarka chińska.

–Gra toczy się o najwyższą stawkę, panie admirale, a wszystkie strony konfliktu wyłożyły już karty na stół. Kiedy próbowaliśmy przesłuchać rozbitka z zatopionej łodzi, dowiedzieliśmy się tylko tego, że wysłano ich na morze z misją noszącą z założenia charakter samobójczy. Później drugi Han zatonął w tajemniczych okolicznościach. – Amanda odwróciła się od stołu i w podnieceniu zrobiła kilka kroków w głąb sali. – Teraz mamy już niemal całkowitą pewność, że do wypadku doszło na skutek poważnego błędu w nawigacji. Powstało pytanie, jakim sposobem doborowa załoga łodzi popełniła tak elementarny błąd i skierowała okręt na bazaltowy klif Yaku Jimy. Odpowiedź jest prosta. Chińczycy nawet nie wiedzieli, że w tym miejscu wyłoniła się z morza wyspa! Nie dysponowali uaktualnionymi mapami tego rejonu, ponieważ znajduje się on daleko poza obszarem działania chińskiej marynarki! – Wróciła do stołu i pochyliła się nad ekranem. – Poszukiwany przez nas

okręt to ostatni as w rękawie przywódców z Pekinu. Nie wierzę, aby narażali go na wykrycie przez nas na otwartym morzu. Dlatego wnioskuję, że Sia pozostała w okolicach Szanghaju.

–Czyli gdzie? – zapytał ostrym tonem Walker. – Bóg jeden wie, jak dokładnie przeczesałmy te wody, a przecież nie natknęliśmy się nawet na ślad jednostki przypominającej atomową łódź podwodną uzbrojoną w rakiety balistyczne!

–Jak już powiedziałam, prawdopodobnie okręt leży na dnie w delcie Jangcy. Sprawdziłam, że jest tam co najmniej kilka głębszych miejsc, w których Sia mogłaby się ukryć. W dodatku rzeka jest bardzo zanieczyszczona, a więc łódź mogłaby spoczywać nawet dosyć płytko i uniknąć wykrycia.

–Mimo wszystko powinniśmy namierzyć wyraźny ślad termiczny z układu chłodzącego reaktora.

–Jeśli nie pracuje w obiegu zamkniętym – odparła spokojnie Amanda. – Proszę pamiętać, że jeśli łódź spoczywa w mulistym dnie, nie musi intensywnie wykorzystywać reaktora. Wystarczy, że raz na kilka dni wysuną chrapy, żeby odświeżyć powietrze, i podładują akumulatory, uruchamiając na krótko zwykły silnik wysokoprężny.

Tallman zmarszczył brwi.

–Pani wywód jest całkiem sensowny, kapitanie, lecz wolałbym mieć na to niezbite dowody.

–Oto one, panie admirale.

Na dźwięk drugiego kobiecego głosu wszyscy popatrzyli w kierunku śluzy. W przejściu stała na baczność Christine. Garrett pospiesznie przywołała ją ruchem ręki.

–Admirale Tallman, przedstawiam dowódcę mojej sekcji wywiadowczej, porucznik Rendino. Mam nadzieję, że faktycznie przynosi żądane przez pana dowody.

–Tak, pani kapitan. Bez trudu znalazłam konieczne informacje, trzeba tylko było wiedzieć, czego szukać. – Christine przeniosła wzrok na Tallmana. – Jeśli pan pozwoli, admirale, przedstawię pewien materiał, który przygotowałam w tutejszej sekcji wywiadowczej.

–Czekamy, poruczniku.

–Dziękuję, panie admirale. – Christine sięgnęła po pilota sterującego pracą wmontowanego w stół komputera mapowego. – Mam nadzieję, że to pana zainteresuje.

Tallman przyzwalająco skinął głową.

–Kapitan Garrett z pewnością omówiła już nasze podejrzenia co do lokalizacji kryjówki łodzi czerwonych – zaczęła Christine. – Cała delta prowadzącej wiele zanieczyszczeń Jangcy jest silnie zamulona. Wysokie gradienty temperatur i bardzo mała przejrzystość wody zapewniają doskonałą kryjówkę przed kamerami i skanerami samolotów oraz satelitów rozpoznawczych. Stąd też musieliśmy szukać drugorzędnych przejawów obecności łodzi podwodnej.

Christine wyświetliła na monitorze mapę z zaznaczonymi szlakami morskimi wiodącymi przez deltę do portu w Szanghaju.

–Zaczęłam poszukiwania od potencjalnie najdogodniejszych kryjówek. Moją uwagę przyciągnęła ta głębina na wschód od ujścia do delty rzeki Huangpu. – Rendino pokręciła kulką trackballa, zaznaczyła wybrany obszar i przywołała na ekran powiększony wycinek mapy. – Nawet podczas odpływu maksymalna głębokość wynosi tam dwadzieścia dwa metry, a to w zupełności wystarczy, żeby leżący na dnie okręt klasy Sia pozostawał przez nikogo niezauważony. Sprawdziłam, czy nie zaobserwowano w tym rejonie czegoś niezwykłego, i odkryłam, że nieco ponad miesiąc temu na obu brzegach rzeki rozlokowano trzy baterie dział przeciwlotniczych. Dwie stoją tutaj, w pobliżu Waigaociao, trzecia tu, na wyspie Czongjang Sza. Ponadto na obu nabrzeżach portu rybackiego w Waigaociao zorganizowano dalsze stanowiska lekkiej artylerii przeciwlotniczej, także raketowej. – Christine powiodła uważnym spojrzeniem po twarzach słuchaczy. – Waigaociao to małe rybackie miasteczko, właściwie przedmieście Szanghaju. Podejrzewam, że w tamtejszym porcie nigdy nie cumowała żadna ważniejsza jednostka oprócz flotylii kutrów. Można by sądzić, że czerwoni zorganizowali tak silną obronę tylko po to, aby strzec dostaw świeżych kałamarnic.

–To wszystko, Chris? – zapytała cicho Amanda.

–Skądże, to dopiero początek.

–Co jeszcze znalazłaś?

Rendino włączyła główny monitor sali odpraw i sięgnęła po drugiego pilota. Po chwili na ekranie ukazało się pierwsze zdjęcie.

–Zanim jeszcze wystartowaliśmy z „Księcia”, skontaktowałam się z sekcją wywiadowczą floty i poprosiłam o sprawdzenie, czy nie ma w archiwum jakiegoś materiału fotograficznego dotyczącego portu w Waigaociao. Dowiedziałam się z przyjemnością, że jest zdjęcie satelitarne wysokiej rozdzielczości, tyle że nikt do tej pory nawet nie pomyślał o jego przeanalizowaniu. Nic dziwnego, nie było przecież żadnych powodów do zainteresowania się prowincjonalnym miasteczkiem. Ja jednak

znalazłam na fotografii wiele interesujących rzeczy. – Christine podeszła do ekranu i zaczęła pokazywać wybrane miejsca. – Tutaj, na zachodnim nabrzeżu, z pozoru nie dzieje się nic niezwykłego. Trwa zwykła rybacka krzątania. Zastanawia jedynie obecność aż tylu żołnierzy i uzbrojonych milicjantów. Za to tu, na nabrzeżu wschodnim, aż się od nich roi.

Na fotografii satelitarnej bez trudu dał się wyróżnić prowizoryczny punkt kontrolny, usytuowany przed wjazdem na portowe nabrzeże. Był obsadzony przez trzech żołnierzy w hełmach i komandoskich panterkach, uzbrojonych w pistolety maszynowe typu 56.

–Zidentyfikowaliśmy ich jako piechotę morską, a więc chiński odpowiednik naszych marines, doborową jednostkę armii komunistycznej – wyjaśniła Christine, przywołując na ekran inny obraz. – To zdjęcie wykonane pod ostrym kątem z samolotu lecącego na niskim pułapie obejmuje część zabudowań na końcu nabrzeża od strony morza. W zaznaczonym kółku widać grupę obiektów wyglądających na kilka pojazdów opancerzonych, zamaskowanych w ten sposób, by nie można ich było dostrzec z góry. Te dwa największe wozy to prawdopodobnie ruchome centra dowodzenia i łączności. Przejdźmy teraz do spraw najciekawszych.

Wszyscy z natężoną uwagą słuchali objaśnień Rendino. Trzecie zdjęcie ukazało w zbliżeniu obetonowaną keję, zawaloną stertami mocno zniszczonych sieci i sprzętu rybackiego, na której stały gromady rozebranych do pasa Chińczyków.

–Jak widać, mimo ustawienia licznych stanowisk obrony przeciwlotniczej, w porcie widać nasiloną działalność miejscowych rybaków. Nie ulega wątpliwości, że chodzi przede wszystkim o zamaskowanie obecności wojska. Proszę jednak spojrzeć tu, na dół, w sam róg...

Wzrok zebranych podążył za wskazującym palcem Christine. Po samej krawędzi nabrzeża biegła para solidnych czarnych kabli, z których jeden był dwukrotnie grubszy od drugiego, zakrytych częściowo przez zwalone na kupę sieci i sprzęt rybacki.

–Tych kabli nie było tam dwa miesiące wcześniej. Sądzymy, że pierwszy z nich to przewód telefoniczny, drugi zaś jest zapewne magistralą zasilającą. Proszę zwrócić uwagę, że oba kable mają bardzo grubą izolację, w rodzaju tych, których używa się podczas prac pod wodą. Wychodzą z budynku stojącego na końcu nabrzeża i prowadzą...

Na kolejnym zdjęciu widać było wyraźnie, że czarne kable znikają pod powierzchnią Jangcy.

–...do wody. Myliła się pani co do jednego, kapitanie – Christine zwróciła się do

swego dowódcy. – Wcale nie muszą uruchamiać silnika wysokoprężnego. Podłączyli się do lądowej sieci zasilania chyba najdłuższym przedłużaczem świata.

–Niech mnie diabli – skwitował pod nosem Tallman.

–Ale to jeszcze wcale nie jest oczywiste – wycedził komandor Walker. – Przyznaję, że zdjęcia wydają się potwierdzać przedstawioną teorię, musimy jednak zdobyć niezaprzeczalny dowód.

–Oto i on, komandorze. Kiedy szefa waszej sekcji wywiadowczej zainteresowały nasze obserwacje, zażądał od centrali Krajowej Agencji Bezpieczeństwa wszelkich dostępnych danych na temat omawianego obszaru. A ponieważ nasza operacja ma status absolutnego pierwszeństwa, natychmiast otrzymaliśmy zestaw odczytów przekazanych ze specjalistycznego satelity skanującego rejon Szanghaju. Nie wątpię, że zdjęcie, które za chwilę pokażę, w naszych archiwach wyląduje wśród materiałów najściślej tajnych. – Christine przywołała na ekran kolejny obraz. – Oto widok gęstości emisji elektromagnetycznej w okolicy portu w Waigaociao. Tylko proszę mnie nie pytać, jakimi metodami da się wykonać tak czułe pomiary z orbity okołozemskiej. Mogłabym to wyjaśnić, ale potem, jak to się mówi, musiałabym was natychmiast zabić.

Zdjęcie przypominało abstrakcyjne malowidło, na czarnym tle ciągnęły się zbitki poplątanych wielokolorowych linii, z których część łączyły między sobą jeszcze jaskrawsze poprzeczki. Na pierwszy rzut oka przypominało to niezwykle złożony schemat elektryczny.

–Jasność każdej linii jest wprost proporcjonalna do natężenia emisji promieniowania elektromagnetycznego wokół przewodów sieci energetycznej w omawianym rejonie – ciągnęła Christine. – Zaraz nałożę na to zdjęcie schematyczny zarys linii brzegowej i nabrzeży portu, byśmy zyskali punkty odniesienia.

Pospiesznie przebiegła palcami po klawiaturze komputera, programując zapowiedziane nałożenie.

–Wyeliminujmy teraz niektóre źródła promieniowania, na przykład układy zapłonowe kutrów i samochodów oraz miejskie linie telefoniczne i zasilające. Otrzymamy następujący obraz.

Na pierwszy plan wybiły się dwie jaskrawe linie, które biegły wzdłuż krawędzi nabrzeża, a dalej rozdzielały się i znikały w nurcie rzeki.

–Pasywne pomiary natężenia emisji wokół tych przewodów potwierdzają, że jeden z nich jest kablem telefonicznym, a drugi linią wysokiego napięcia. Ślady emisji stopniowo giną w głębszej wodzie, a na drugim brzegu nie wylania się żadna linia o podobnej charakterystyce. – Christine wyprostowała się dumnie i odwróciła twarzą

do słuchaczy. – Jasne jak słońce, że oba kable muszą prowadzić do czegoś znajdującego się pod wodą.

Amanda postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

–Czerwoni doskonale wiedzą, że nie mają z nami szans na otwartym morzu, panie admirale. Znacznie ustępują nam pod względem technicznym. Ukrycie łodzi podwodnej w delcie Jangcy nie tylko chroni ją przed wykryciem, ale także zapewnia osłonę ze strony licznych jednostek obrony Szanghaju. Ponadto, jak widzieliśmy, Chińczycy zapewnili sobie stałą i pewną łączność między dowództwem marynarki a załogą okrętu. Wszystko układa się w logiczną i spójną całość.

Tallman przez jakiś czas trwał w milczeniu, wbiwszy nieruchome spojrzenie w blat stołu. W sali zapadła martwa cisza, wszyscy czekali na reakcję dowódcy floty. W końcu admirał popatrzył na Walkera i zapytał:

–Co o tym sądzisz?

–Wnioski kapitan Garrett są bardzo mocno uzasadnione. – W głosie sztabowca pojawiła się nie spotykana dotąd ciepła nuta uznania dla dowódcy „Cunninghama”.

–Ja również zostałem przekonany. Sądzę, że faktycznie odnaleźliśmy kryjówkę Sia.

–Rodzi się zatem pytanie – ciągnął Walker – jak powinniśmy teraz postąpić.

–Otrzymaliśmy jednoznaczne rozkazy, chłopcze. Mamy odnaleźć łódź, podjąć atak i zatopić ją za wszelką cenę. Przyjmujemy, że już ją namierzyliśmy. Pozostaje więc wykonać dwa kolejne elementy zadania. – Tallman powiódł wzrokiem po trojgu oficerów z „Cunninghama”. – W pierwszej chwili przychodzi mi na myśl, że powinniśmy ściągnąć oddział FOK. Niech płetwonurkowie sprawdzą, dokąd prowadzą te kable. Poruczniku Rendino, jak rozległa jest ta głębina, o której mówimy?

–Zajmuje około dziesięciu kilometrów kwadratowych. Proszę jednak wziąć pod uwagę, że występuje tam silny prąd, a widoczność pod wodą jest ograniczona niemal do zera. Dla płetwonurków to nadzwyczaj niebezpieczny obszar, nie mówiąc już o bardzo silnej obronie portu.

–Z jeszcze jedną rzeczą trzeba się liczyć, panie admirale – dodała Amanda. – Kiedy tylko czerwoni zważą, że namierzyliśmy ich bezcenny okręt, mogą wydać rozkaz natychmiastowego odpalenia rakiet. Musimy więc zorganizować szybką i zdecydowaną akcję. Należy unieszkodliwić okręt już podczas pierwszej próby, gdyż zapewne nie będziemy mieli okazji do przeprowadzenia drugiej.

Tallman przekrzywił głowę.

–Macie jakieś propozycje?

–Tak, panie admirale. – Vince Arkady zbliżył się do stołu. – Spenetrowanie tego małego zagłębienia byłoby dziecinnie proste dla pary niewykrywalnych przez radary śmigłowców. Mógłbym pokierować akcją dwóch moich Komanczów. Zlokalizowalibyśmy okręt za pomocą czujników anomalii magnetycznych, zidentyfikowali na podstawie odczytów boi hydrofonicznych, po czym spoza granicy zapór minowych zamykających wejście do delty zrzucilibyśmy zaprogramowane na konkretne spektrum soniczne torpedy samonaprowadzające. Wszystko powinno pójść jak po maśle.

–A czerwoni pozwolą wam tak po prostu harcować po całej okolicy?

–To zupełnie inna sprawa, panie admirale. Chris, jakie formacje zapewniają ochronę przeciwlotniczą portu?

–Najgroźniejsze są trzy baterie ciężkich dział, o których wspominałam. Strefy ich rażenia pokrywają się nawzajem w trójkącie między tym stanowiskiem, na zachód od portu, tym, wysuniętym na wschód, i trzecim, na wyspie po drugiej stronie rzeki. Każda bateria składa się z czterech dział kalibru stu milimetrów, wyposażonych w celowniki radarowe. Tych zapewne nie musielibyście się obawiać, ale nie zapominaj, że muszą mieć też zwykłe celowniki optyczne oraz reflektory przeciwlotnicze. Dodatkowo na końcu każdej kei stoją sprzężone działka kalibru pięćdziesiąt siedem milimetrów oraz wyrzutnie taktycznych rakiet przeciwlotniczych typu HN 5.

–Nie widzę najmniejszych szans, żeby przez taką osłonę przedarł się jakikolwiek helikopter – beznamiętnie powiedział Tallman.

–To prawda, panie admirale – przyznał Arkady. – Należałoby unieszkodliwić te baterie przez rozpoczęciem akcji. Nie zapominajmy też o eskadrach myśliwców patrolowych, artylerii obrony wybrzeża, rozrzuconych wokół Szanghaju stanowiskach obrony przeciwlotniczej i pływających po rzece kanonierkach.

–Wygląda na to, że trzeba będzie zorganizować akcję na wielką skalę.

–Zgadza się – wtrąciła Amanda. – Powodzenie operacji mogłoby zapewnić jedynie znaczne naruszenie spójności całej taktycznej struktury obronnej Szanghaju. A do tego celu musielibyśmy zaangażować co najmniej takie siły, jakie ruszyły z Kuwejtu na Bagdad, organizując przy tym szereg różnych akcji dywersyjnych i kamuflujących. Warto bowiem nie tylko związać walką jednostki obronne, ale także odciągnąć uwagę Chińczyków od głównego celu naszej operacji.

Tallman wyciągnął obie ręce w kierunku środka stołu i zapatrzył się na splecione palce, jak gdyby stanowiły najważniejszą rzecz na świecie. Trwał tak bez ruchu prawie przez minutę, zanim w końcu spytał:

–Czy ma pani pojęcie, kapitanie Garrett, jaką skalę działań zbrojnych pani proponuje?

–Tak, panie admirale – odparła cicho. – I muszę przyznać, iż bardzo się cieszę, że to nie ja będę podejmowała ostateczną decyzję w tej sprawie.

–Ja także nie, pani kapitan. Czy nie sprawi pani kłopotu, jeśli poproszę, aby jeszcze przez jakiś czas nie wracała pani na swój okręt?

–Mam pełne zaufanie do swego zastępcy.

–Doskonale. Chciałbym, żeby porucznik Rendino popracowała z moimi specami od rozpoznania. Może uda się znaleźć jakieś bardziej przekonujące dowody na to, że chiński okręt faktycznie leży na dnie rzeki. Natomiast pani wraz z porucznikiem Arkadym powinna się skontaktować z zespołem planistycznym floty. Odniosłem wrażenie, że zdążyliście już obmyślić niektóre szczegóły proponowanej operacji. Chciałbym jak najszybciej otrzymać formalny wniosek o jej zorganizowanie. Wraz z przygotowanym raportem sytuacyjnym wyślemy go do naczelnego dowództwa sił interwencyjnych. Może dopisze nam szczęście i dostaniemy z Waszyngtonu odpowiedź, żebyśmy się wypchali takimi propozycjami. – Popatrzył na Walkera. – Komandorze, niech się pan zajmie formalną organizacją wszystkich przygotowań.

–Rozkaz, admirale.

Tallman spojrzał Amandzie prosto w oczy.

–Ta operacja to pani dzieło, kapitanie. Jaki kryptonim chciałaby pani jej nadać?

–„Burzowy Smok”. – Lekkim uśmiechem skwitowała zdumienie malujące się na twarzy admirała, po czym wyjaśniła: – Czytałam ostatnio kilka chińskich książek o tematyce marynistycznej. Burzowy smok wywodzi się z prastarej mitologii. To potwór, który mieszka w przybrzeżnych wodach i przynosi tajfuny. Dawniej uważano go za zwiastuna śmierci i wszelkich zniszczeń, jakie mogą wywołać wzburzone fale.

Rozdział 49

Waszyngton

24 sierpnia 2006, godz. 19.21 czasu lokalnego

Kiedy Sam Hanson wszedł do Owального Gabinetu, Benton Childress stał oparty ramieniem o framugę okna i wyglądał na rozległy trawnik przed Białym Domem.

–Witaj, Sam – powiedział prezydent, nie odwracając głowy. – Pewnie dostałeś już ostatnie propozycje dotyczące chińskiego konfliktu?

–Chodzi o plany operacji „Burzowy Smok”? Tak, panie prezydencie, zapoznałem się z nimi. – Hanson nie podszedł do fotela, na którym zazwyczaj siadał, dziwne przecucie kazało mu się zatrzymać pośrodku gabinetu.

–Zajmujesz stanowisko doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Czekam więc na twoją radę.

–Nie umiem nic doradzić w tej sprawie, panie prezydencie.

Childress odwrócił się w jego kierunku.

–Dlaczego?

–Zarówno projekt całej operacji, jak też propozycje konkretnych działań, są dla mnie całkowicie jasne i klarowne. Nie potrafię nic do tego dodać, nie mam żadnych uwag, panie prezydencie. Co się zaś tyczy decyzji w sprawie przeprowadzenia takiej operacji... nie czuję się upoważniony do sugerowania czegokolwiek, panie prezydencie. Taka decyzja leży wyłącznie w pańskiej gestii.

–Masz rację, Sam. Ale chciałbym, żebyś przynajmniej dotrzymał mi towarzystwa w tej trudnej chwili. Więc nie stój tak, jakbyś połknął kij od szczotki. Siadaj.

Hanson pospiesznie zajął miejsce w fotelu. Childress podszedł do biurka i ociężale usiadł na krześle. Tuż przed nim, na środku bibularza, leżała samotna kartonowa teczka z szerokim czerwonym ukośnym paskiem, oznaczającym materiały ściśle tajne. Prezydent odsunął ją od siebie, jakby kłuła go w oczy.

–Czy kiedykolwiek rozważałeś możliwość kandydowania na urząd prezydencki?

–Nie przypominam sobie, by ktokolwiek mi to zaproponował.

Childress uśmiechnął się boleśnie i zdjął okulary.

–Cóż, gdybyś jednak musiał podejmować taką decyzję, pamiętaj, że chodzi o stanowisko, na którym człowieka się tylko przeklina, albo za to, że podjął jakąś decyzję, albo za to, że jej nie podjął. – Wyciągnął z kieszeni marynarki chusteczkę i zaczął powoli przecierać szkła. – Tak czy inaczej jest się przeklinanym, można jedynie wybrać, za co.

–Przynajmniej ma się możliwość wyboru.

–Marne pocieszenie – odparł Childress, wkładając okulary. – Jeśli nie zdecyduję się na zorganizowanie operacji „Burzowy Smok”, zostawię uchyloną furtkę dla groźby wybuchu pierwszej wojny nuklearnej w dziejach ludzkości. Mogą zginąć miliony, gigantyczne obszary naszej planety ulegną zniszczeniu. Następstwa byłyby odczuwalne przez wieki... Z drugiej strony, jeśli wydam rozkaz przeprowadzenia operacji, mogę jeszcze przyspieszyć ten sam bieg zdarzeń, któremu właśnie próbuję zapobiec. Tak czy inaczej, odpowiedzialność spadnie na Stany Zjednoczone... i na mnie osobiście.

Hanson nie potrafił w żaden sposób odpowiedzieć i na kilka długich minut w pokoju zapadła cisza. Wreszcie prezydent wyjął srebrne pióro i zaczął je obracać w palcach. Po chwili jednak rzucił je na biurko.

–Do diabła, przecież to nie wchodzi w zakres moich obowiązków! – rzucił z wściekłością. – Przysięgałem, że będę wiernie służył obywatelom Stanów Zjednoczonych, a nie Chin. To nie oni mnie wybrali! Dlaczego więc miałbym się teraz przejmować ich losem?!

Sam Hanson obsunął się nieco w fotelu i spojrzał Childressowi w oczy.

–Przed chwilą zapytał pan, czy kiedykolwiek proponowano mi kandydowanie na urząd prezydenta. Gdyby ktoś to zrobił, zapewne bym mu odpowiedział, żeby się wyniósł do diabła. Nie przejąłbym pańskich obowiązków za żadne skarby świata.

Childress zaśmiał się chrapliwie.

–Piękne dzięki, Sam.

Otworzył leżącą przed nim teczkę, ponownie sięgnął po pióro i szybkim ruchem podpisał przygotowany rozkaz podjęcia operacji.

–Poinformuj marszałka parlamentu, że chcę się jak najszybciej spotkać z konwentem seniorów Kongresu. Później zawiadom przewodniczącego połączonych szefostw sztabów, iż zaczynamy operację „Burzowy Smok”.

–Oczywiście, panie prezydencie.

–Jeśli mam pójść do piekła, Sam, to przynajmniej nie z tego powodu, że siedziałem na tyłku i przyglądałem się wszystkiemu beczynnje.

Rozdział 50

Świat

26 sierpnia 2006, godz. 0.01

Wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy. Rozkaz podjęcia operacji „Burzowy Smok” zainicjował rozmaite gorączkowe działania od wybrzeży Azji po gabinety Pentagonu.

Wstępny taktyczny schemat trzeba było uzupełnić o szczegółowe wytyczne konkretnych działań. Należało zebrać i poddać analizie dane dostarczone przez satelity szpiegowskie, samoloty rozpoznawcze, lądowe i morskie sieci nasłuchowe, wszelkiego typu urządzenia wywiadu elektronicznego i sygnałowego, jak również klasyczne siatki szpiegowskie.

Często rozlegały się wściekłe okrzyki w rodzaju: „Co to ma być?! Zapytajcie tych stukniętych sukinsynów w Langley, kto ma pierwszeństwo dostępu do informacji wywiadowczych, jeśli nie komitet połączonych szefostw sztabów?!”

Spisy obiektów wojskowych były uważnie przeglądane, weryfikowane, odsyłane do poprawienia i sprawdzane po raz kolejny...

„Dobra, panowie. W terenowej sieci energetycznej rejonu Szanghaju mamy sześć ważniejszych stacji transformatorowych. Które z nich powinniśmy zniszczyć, żeby pozbawić prądu całą wschodnią część okręgu?”

Krok po kroku plany strategiczne, operacyjne i taktyczne, stopniowo układały się w spójną całość. Wykreślano trajektorie pocisków raketowych i szlaki przelotów całych eskadr, a wszystko trzeba było rozplanować w czasie co do sekundy...

„Ten pomysł jest do kitu, komandorze. Nie może pan wyznaczyć trasy eskadry tomahawków nad gęsto zaludnioną dzielnicą. Zna pan wytyczne operacyjne. Musimy zminimalizować ryzyko ofiar wśród ludności cywilnej. Proszę to natychmiast zmienić”.

Warunki atmosferyczne, zaopatrzenie w paliwo, amunicję...

„Mamy załadować rakiety naprowadzane laserowo, czy standardowe z urządzeniami radarowymi?... Do diabła, poruczniku! Za trzy kwadransy musimy rozpocząć ładowanie amunicji na pokład transportowca!”

Poszczególne plany trzeba było doprowadzić do perfekcji. Następnie zaś uwzględnić warianty takich czy innych niepowodzeń. Co zrobić, jeśli winda

lotniskowca się popsuje po starcie zaledwie kilku maszyn? Jak postąpić w wypadku zmasowanego ataku komunistycznego lotnictwa na amerykańskie okręty? Jaki przyjąć rezerwowy harmonogram lotów, gdyby któraś maszyna się rozbiła podczas lądowania i platforma startowa została zablokowana na dłużej?

Co by się stało, gdyby...?

Twórcy planu operacji „Burzowy Smok” starali się za wszelką cenę przewidzieć każdą możliwą ewentualność, każdą niedogodność, która mogła mieć wpływ na ostateczny wynik misji.

Było to oczywiście niewykonalne.

I w trakcie tych pospiesznych przygotowań popełniono jeden mały, mający jednak olbrzymie znaczenie błąd. Przeoczony, czaił się jak bomba zegarowa w strukturze operacji i cierpliwie czekał na dogodny moment, by spowodować nieszczęście.

Rozdział 51

Morze Wschodniochińskie

26 sierpnia 2006, godz. 21.41 czasu lokalnego

W mesie oficerskiej była tylko Christine Rendino, która leżała wygodnie rozciągnięta na kanapie i czytała grubą książkę o krzykliwie pstrokatej okładce.

Amanda uśmiechnęła się szeroko, pomyślawszy, że towarzystwo przyjaciółki bardzo jej się teraz przyda.

–Dobre romansidło?

–Całkiem niezłe. Lady Morwena znalazła się właśnie w poważnych tarapatach, a lord Dalton, przystojny, lecz wciąż nieosiągalny obiekt jej westchnień, ruszył na wyprawę w celu zdławienia buntu Jakobitów. Tymczasem lady połączył żarliwy romans z lanem, nowym parobkiem w majątku, stąd jej zły wuj, baron Fitzhurbert, zaczął przekonywać miejscowych chłopów, że Morwena jest wilkołakiem.

–Wygląda na całkiem interesującą bajeczkę – mruknęła Amanda. – Chętnie bym to pożyczyła.

–Proszę bardzo. Najdalej pojutrze powinnam skończyć.

–To już lepiej zaczekam z tą lekturą do zakończenia operacji.

Christine odłożyła książkę i oparła się na łokciu.

–Są jakieś nowe wieści?

–Nic szczególnego. – Garret usiadła na skraju kanapy, przy nogach Christine. – Pozostaję w stałym kontakcie z zespołem planistycznym sztabu siódmej floty, ale jak dotąd wygląda na to, że dość wiernie trzymają się naszego schematu. W każdym razie nie mamy już żadnego wpływu na zapadające decyzje.

–Odzyskamy go, gdy rozpocznie się strzelanina.

–Zgadza się. – Amanda zsunęła buty, zamknęła oczy i odchyliła się na oparcie.

Christine spoglądała na nią przez chwilę, po czym starannie zaznaczyła miejsce w książce, zaginając róg strony, i rzuciła ją na stolik przy tapczanie.

Z powrotem przeniosła wzrok na swego dowódcę, a zarazem bliską przyjaciółkę.

–Szefowo, mogę zadać jedno pytanie?

–Jasne.

–Od kiedy łączy cię romans z Arkadym?

Garrett natychmiast otworzyła szeroko oczy. Poderwała się z miejsca i spojrzała z góry na Christine.

–A ty od jak dawna o tym wiesz? – zapytała cicho.

–Jeśli mam być szczerą, aż dotąd jedynie się tego domyślałam.

–Cholera!

–Spokojnie. – Rendino usiadła i wyciągnęła nogi daleko przed siebie. – Nie zamierzam tego rozgłaszać na lewo i prawo.

–Mam nadzieję – mruknęła Amanda, pocierając palcami skronie. – Wcześniej czy później nasz związek musiał wyjść na jaw. Kto jeszcze o tym wie?

–Chyba nikt. Wygląda mi na to, że stworzyliście całkiem zgrany łóżkowy duet, kapitanie. Nawet nie podejrzewałam, że stać cię na tak gorące uniesienia.

–Mówię poważnie, Chris. Bardzo rzuca się w oczy, że coś nas łączy?

–Ani trochę. Już mówiłam, że chyba nikt niczego nie zauważył. Gdyby nie to, że mam naturę szpicla, pewnie też niczego bym się nie domyśliła.

–Jak na to wpadłaś?

–Wyciągnęłam logiczne wnioski z paru drobnych spostrzeżeń – odparła, odchylając się z powrotem na oparcie kanapy. – A przede wszystkim dobrze wiem, że nie jesteś zakonnicą.

–Co chcesz przez to powiedzieć? – Amanda przysiadła bokiem na poręczy kanapy.

–Od czasu naszego powrotu do Pearl nie spotkałaś się z żadnym ze swoich dawnych, sympatycznych znajomych. A gdy wychodziłaś wieczorami, zachowywałaś się szalenie tajemniczo. To samo dotyczy Arkady’ego. Cieszy się reputacją kobieciarza, lecz nagle przestał się pokazywać na mieście w towarzystwie różnych piękności. – Wzruszyła ramionami. – Zresztą przyznam szczerze, że i mnie kusiło, aby nagiąć trochę sztywne zasady regulaminu i spróbować szczęścia z tym facetem. Ale on nawet na mnie nie spojrzał. Toteż w celu ratowania własnego zdrowia psychicznego wytłumaczyłam sobie, że albo jest gejem, albo wdał się w poważny związek z kimś naprawdę wyjątkowym.

–Co cię skłoniło do wniosku, że chodzi właśnie o mnie?

–Bo żaden inny związek nie byłby tak zabawny.

–Chris!

–Odkryłam zastanawiającą synchronizację. Byliście na tyle rozważni, żeby nigdy nie widywano was razem, lecz najpierw w Norfolk, a potem na Hawajach oboje dziwnym trafem znikaliście dokładnie w tym samym czasie. To mi dało do myślenia.

–Ale nie zauważyłaś niczego na pokładzie okrętu?

–Coś mi wpadło w oczy, lecz wyłącznie dlatego, że już zwracałam na was baczniejszą uwagę. Otóż oboje zbliżacie się do siebie od czasu do czasu, kiedy jesteście przekonani, że nikt tego nie widzi. Kilka razy pochwyciłam wasze ukradkowe spojrzenia, tak naelektryzowane, że niemal powietrze wokół was iskrzyło. Cholernie chciałabym się zmienić w małą muszkę i przysiąść na ścianie sypialni, kiedy w najbliższym porcie znów oboje wyjdziecie na przepustki.

–Chris, do cholery! Spróbuj jednak zachować powagę! – Amanda znowu wstała i zaczęła nerwowo chodzić tam i z powrotem. – Czy zdajesz sobie sprawę, jakie możemy mieć kłopoty, jeśli nasz związek wyjdzie na jaw?

–Teoretycznie bardzo paskudne adnotacje w aktach personalnych – odparła spokojnie Rendino, oparłszy policzek na dłoni. – Oboje dostalibyście co najmniej surowe nagany od naszego gromowładnego, a ty zapewne straciłabyś swój okręt. Mam rację?

–Nigdy nie powinnam była do tego dopuścić. Cała odpowiedzialność spoczywa na mnie. Nie znaczy to, że Vince jest bez winy, ale to ja powinnam zachować tyle silnej woli, żeby się wycofać już na samym początku. Zabrakło mi jednak odwagi.

–Moja bardzo wielka wina... – Christine rozrzuciła szeroko ramiona na oparciu kanapy. – Wydaje ci się, że jesteście jedyną parą, która uprawia ten sport na pokładzie okrętu? Nie domyślasz się, po co w czwartej wentylatorowni zgromadzono materace do ćwiczeń gimnastycznych? Czyżbyś nie wiedziała, co oznacza ręcznik powieszony od zewnątrz na klamce drzwi do damskich pryszniców? Mężczyźni plus kobiety równa się seks. Zawsze tak było, więc nie masz się czym gryźć!

–Łatwo ci mówić, Chris! Nie jestem szeregowym członkiem załogi. Pełnię funkcję kapitana tego okrętu.

–I stąd ma wynikać, że powinnaś przestać być człowiekiem? Wiesz, co ci powiem?

–Tak, wiem! Służba na tym okręcie byłaby znacznie lżejsza, gdybym faktycznie

stłumiła w sobie wszelkie ludzkie odruchy.

Garrett usiadła na kanapie obok przyjaciółki. Przez pewien czas trwało napięte milczenie. Wreszcie Christine westchnęła głośno i położyła dłoń na ramieniu Amandy.

–Nie przejmuj się. Możesz mi podać choć jeden przykład sytuacji, w której twoje uczucia do Arkady’ego wpłynęły na podejmowaną decyzję? Czy skłoniły cię do zmiany rozkazów bądź w jakikolwiek sposób odbiły się na bezpieczeństwie załogi okrętu lub zakłóciły przebieg wykonywanej operacji? Tylko szczerze.

Amanda uśmiechnęła się krzywo.

–Chyba do niczego takiego jeszcze nie doszło. Muszę jednak przyznać, że parę razy toczyłam ze sobą mniejsze czy większe boje.

–To normalne. Powiedz mi teraz, czy nie czułaś się ostatnio pewniej z tego powodu, że miałaś obok siebie kogoś, na czym ramieniu mogłaś oprzeć głowę?

–Często.

Christine ponownie wzruszyła ramionami.

–No to jesteśmy w domu. Natura nie znosi próżni, a ty przez dłuższy czas miałaś w sobie pustkę. Przez to, że ją zapełniłaś, wcale nie stałaś się słabsza, a wręcz przeciwnie.

Amanda zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu.

–Pewnie masz rację, Chris. Chciałabym tylko wiedzieć, dokąd mnie to wszystko zaprowadzi.

–Za jakiś czas sama się o tym przekonasz.

Rozdział 52

Dowództwo siódmej floty, 200 mil na wschód od wejścia do delty Jangcy

28 sierpnia 2006, godz. 0.10 czasu lokalnego

–Dowódca wkracza na pokład!

Komendę, która padła przez megafony lotniskowca, niemal całkowicie zagłuszyło jęklive zawodzenie silników turbośmigłowych.

Samolot wielozadaniowy VC-22 Osprey – z gondolami obróconymi do pionu, przez co wielkie śmigła pełniły rolę wirników maszyny pionowego startu powoli osiadał na lądowisku dla śmigłowców w dziobowej części „Enterprise”. Dotknął kołami pokładu i zakołysał się lekko. Zanim komandor Nolan Walker zdążył do niego podbiec, odchyliła się pokrywa przedziału ogonowego i jedyny pasażer lekko zeskokczył na pokład.

–Admirale MacIntyre! – zawołał Walker, przekrzykując ryk silników. – Nazywam się komandor Walker i jestem szefem sztabu admirała Tallmana. W jego imieniu witam pana na okręcie flagowym siódmej floty. Admirał przeprasza, że nie zdążył zorganizować powitania z należnym ceremoniałem, ale wszyscy jesteśmy pochłonięci lokalizowaniem celów ataku.

–Nie ma o czym mówić, komandorze! – krzyknął MacIntyre, ściągnął hełm i oddał go któremuś z członków załogi samolotu. Włożywszy zamiast niego admiralską czapkę, dodał: – Nie zwracajmy sobie teraz głowy regulaminami.

W miarę jak silniki Ospreya stopniowo cichły, na pierwszy plan zaczęły się wybijać odgłosy trwającej na lotniskowcu gorączkowej krzątaniny: krzyżujące się komendy, głośnie buczenie wind towarowych, którymi wywożono na górny pokład myśliwce, jak też szum wiatru i fal rozcinanych dziobem idącego pełną mocą okrętu.

Przygotowane do startu stały szeregiem groźne F/A-22 „Morskie drapieżniki” z podwieszonymi pod skrzydłami pociskami raketowymi. Kręcili się wokół nich zarówno piloci, jak i technicy obsługi, w wielu otwartych przedziałach maszyn paliły się czerwone lampki. Myśliwce starannie ustawiano tak, by za pomocą katapuły błyskawicznie wyrzucić w powietrze eskadrę za eskadrą, niczym serie pocisków z szybkostrzelnego działka.

–Admirał czeka na pana w sali odpraw pilotów.

–Doskonale, komandorze. Niech pan prowadzi.

–Witamy na pokładzie, Eddie Mac. – Tallman energicznie potrząsnął dłonią admirała, prawie miażdżąc mu palce w uścisku. – Cieszę się, że dołączyłeś do nas tuż przed rozpoczęciem przedstawienia.

–No cóż, powinno się wykorzystywać przywileje dowódcy samodzielnej formacji i osobiście nadzorować działania podległych jednostek, zwłaszcza gdy podejmujemy tak gigantyczną operację. Mam tylko nadzieję, że nie będziecie musieli przeklinać wałęsającego się po pokładzie obserwatora.

MacIntyre specjalnie zaakcentował ostatnie słowo, chcąc jednoznacznie określić rolę, jaką sam sobie narzucił. Siły NAVSPEC-u miały stanowić trzon operacji „Burzowy Smok”, a najważniejsze zadanie spoczywało na załodze „Cunninghama”. Lecz tylko dzięki jednostkom siódmej floty można było myśleć o jego wykonaniu. W tej części rozgrywki karty rozdawał Jake Tallman. Szkoda było czasu na jakiegokolwiek personalne przepychanki.

Tallman z uznaniem skinął głową.

–W niczym nie będziesz przeszkadzał. Chciałbyś trochę odpocząć, zanim przystąpimy do omawiania najistotniejszych spraw?

–Nie, jestem gotów. Zaczynamy.

Tallman poprowadził do centrum kontroli lotów, które zajmowało wysuniętą półkolistą część od strony rufowej zwalistej nadbudówki lotniskowca. Panujący tu półmrok rozjaśniał jedynie blask monitorów kontrolnych oraz poświata rozgwieżdżonego nieba, wpadająca przez panoramiczne okna wychodzące na główny pokład lądowiskowy „Enterprise”.

Kiedy wkraczali do środka, zadygotały szyby w oknach – startował właśnie śmigłowiec SH-60 „Morski jastrząb”. Wzniósł się w mroczne niebo z zapalonymi światłami nawigacyjnymi i po chwili odleciał na północny zachód.

–Dla nas operacja „Burzowy Smok” już się rozpoczęła – powiedział Tallman. – Załoga, która przed chwilą wystartowała, będzie pełniła funkcję jednostki poszukiwawczo-ratowniczej. Wyładuje sprzęt na pokładzie „Cunninghama”, a po rozpoczęciu nalotów na Szanghaj zajmie wyznaczoną pozycję w strefie przybrzeżnej.

–Gdzie teraz jest „Księżę”?

–Zbliży się do ujścia Jangcy. – Tallman ruchem głowy wskazał mapę taktyczną wyświetloną na jednym z ekranów. – Zgodnie z rozkazami jeszcze przez godzinę powinien iść pod pełną osłoną kamuflażową, a za dwie przystąpić do uderzenia.

–Rozumiem.

MacIntyre podszedł do monitora i popatrzył na mały kwadratowy symbol jaśniejący na wprost szerokiego ujścia wielkiej rzeki, przypominającego kształtem rozwartą paszczę smoka.

–Mogę stąd wysłać wiadomość do kapitan Garrett?

–Oczywiście. Nolan, zorganizuj połączenie.

Szef sztabu rzekł coś po cichu do radiooperatora siedzącego przed konsolą łączności.

–Proszę bardzo, admirale. Może pan dyktować.

–Dziękuję, komandorze.

MacIntyre zamyślił się na chwilę, przypominając sobie ostatnią rozmowę z Amandą, po czym rzekł:

–Od naczelnego dowódcy SPECNAV-u. Do komandor A.L. Garrett, kapitana USS „Cunningham”. Powodzenia na pierwszej linii frontu.

Rozdział 53

Okręt USS „Cunningham”, DDG-79,

14 mil na wschód od wejścia do delty Jangcy

28 sierpnia 2006, godz. 1.31 czasu lokalnego

–Wychwytniesz jakieś zmiany, Dix? – zapytała Amanda.

–Nie. Spośród ośmiu stacji radarowych, które powinniśmy unieszkodliwić w pierwszym ataku raketowym, w chwili obecnej działa tylko pięć. Mamy już ich namiary naprowadzające. Pozycje trzech pozostałych ustaliliśmy na podstawie odczytów GPU. Dwie z nich to samobieżne punkty naprowadzania pocisków raketowych typu Silkworm, ale według namiarów z ostatniego przejścia Darkstara nad tym rejonem pozostają na tych samych stanowiskach, na których ostatnio je obserwowano.

–To wystarczy. – Amanda w zamyśleniu pokiwała głową. – Czerwoni tym razem przygotowali się na nasze powitanie.

–Na to wygląda, pani kapitan. Można by pomyśleć, że specjalnie im zależy na odstraszeniu nieproszonych gości.

Amanda i oficer taktyczny wpatrywali się z uwagą w punkty jaśniejące na wielkim sytuacyjnym ekranie Alfa. Komuniści chyba wszystkie garnizony szanghajskiego okręgu wojskowego podporządkowali działaniom silnie wzmocnionej struktury radarowej ochrony wybrzeża, zrezygnowawszy z dotychczasowej taktyki odwracania uwagi od tego, co się dzieje w mieście. Wiązki radarów naprowadzających przeczesywały zarówno niebo, jak i powierzchnię morza w poszukiwaniu choćby jednej nieprzyjacielskiej jednostki.

Obecnie najważniejszym zadaniem „Cunninghama” było oślepienie tychże elektronicznych oczu Chińczyków. Okręt pozostawał na samej granicy zasięgu radarów, załoga tylko czekała na rozkaz rozpoczęcia ataku.

–Nie musimy się liczyć z żadnymi innymi obiektami w tym rejonie?

–Namierzyłem dwa okręty trzymające się zewnętrznej granicy zapory minowej. To chyba stara kanonierka i stawiacz min. Już zaprogramowałem urządzenia naprowadzające harpoonów na ich pozycje. Zrobimy ciach i po wszystkim! – Dix obrazowo przeciągnął kciukiem po gardle.

–Bardzo dobrze.

Amanda w myślach po raz kolejny sprawdziła listę czynności przygotowawczych, szybko jednak doszła do wniosku, że niczego nie przeoczyła.

–Będę dowodzić operacją z mostku. Tutaj, w centrum, dowodzenie obejmie komandor Hiro. Skoncentruj się na głównych celach ataku, Dix. Musimy zapewnić bezpieczeństwo naszym śmigłowcom, by umożliwić im odnalezienie łodzi podwodnej i zrzuć torped. W sprawach szczegółowych pozostawiam ci wolną rękę. Ufam, że podejmiesz właściwe decyzje.

Beltrain uśmiechnął się i sztywno skinął głową.

–Jasne, pani kapitan. Już ja się zatroszczę o tych łobuzów.

Amanda również skwitowała to uśmiechem.

–Tak trzymać, Dix.

Wstała z kapitańskiego fotela i po raz ostatni omiotła spojrzeniem tonącą w półmroku główną salę Bojowego Centrum Informacyjnego. Zielonkawa poświata monitorów padała na twarze skupionych ludzi pełniących wachtę na poszczególnych stanowiskach. Porozumiewali się prawie szeptem, panowała napięta atmosfera. Jeśli nawet odczuwali zdenerwowanie, strach czy nawet przerażenie, świetnie panowali nad emocjami, ukrywając je głęboko pod grubą warstwą wyszkolonych odruchów i samodyscypliny, świadczącej o wysokim stopniu profesjonalizmu. Miała przed sobą doborową załogę marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych i w takich chwilach odczuwała bezgraniczną dumę, że przypadło jej w udziale dowodzenie tak zgranym zespołem.

Wszyscy byli zajęci, toteż nikt nie zwrócił uwagi, że kapitan zaszalutowała im z szacunkiem, zanim wyszła z centrum.

Oświetlone czerwonymi żarówkami korytarze były niemal całkiem wyludnione. „Księżę” płynął w pełnej gotowości bojowej i cała załoga tkwiła na swoich stanowiskach, zapewne odliczając upływające minuty do rozpoczęcia akcji.

–Pani kapitan!

Amanda odwróciła się na pięcie. W jej stronę biegł Arkady. W lotniczym skafandrze wydawał się jeszcze potężniej zbudowany niż w rzeczywistości. Pod pachą trzymał hełm. Alarmowe oświetlenie nadawało jego skórze czerwony odcień i tworzyło wokół głowy płomienistą aureolę.

–Zakończyliśmy tankowanie śmigłowca ratowniczego z „Enterprise”, zdążył już wystartować – zameldował. – My także jesteśmy gotowi do startu.

Można było odnieść wrażenie, iż nie łączy ich nic poza czysto służbową zależnością.

–Dziękuję, poruczniku. Pomyślnych łowów. Proszę na siebie uważać.

–Wzajemnie, pani kapitan.

Odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem w kierunku przejścia do hangaru. Amanda poszła w swoją stronę, zaciskając pięści, by opanować drżenie rąk. Tłumaczyła sobie, że świadomie wybrała takie życie, wiedziała jednak, iż niewiele tego typu rozstań będzie jeszcze w stanie znieść.

W przejściu na mostek zatrzymała się przy stojaku ze sprzętem. Szybko włożyła obszytą piankowymi pływakami kamizelkę kuloodporną i zdjęła z półki szary bojowy hełm z błyszczącymi komandorskimi gwiazdkami tuż nad przednią krawędzią. Pospiesznie zgarnęła włosy z tyłu głowy i ułożyła je pod hełmem. Przekroczyła wewnętrzną śluzę, witana regulaminową komendą:

–Kapitan na mostku!

Cztery pokłady niżej, jakieś pięćdziesiąt metrów w kierunku rufy, w otwartym luku nad matowym kadłubem stojącego już na platformie windy towarowej Pazia zero jeden migotały gwiazdy.

Drugi śmigłowiec także był przygotowany do startu, obsługa czekała tylko na rozkaz przeholowania go na platformę, gdy ten pierwszy zostanie wydźwignięty na lądowisko. Zakończono pełną kontrolę przedstartową. Po dwukrotnym sprawdzeniu wszelkich układów maszyn, technicy obserwowali je z końca hangaru, także czekając na rozkaz do startu.

Okazało się, że w ich towarzystwie czekał ktoś jeszcze. Christine Rendino stała w niedbalej pozie, oparta ramieniem o grodzień, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, lecz na jej twarzy malował się niezwykle dla niej wyraz grobowej powagi.

–Cześć, siostrzyczko. Przyszłaś mnie pożegnać?

–Owszem – mruknęła. – Muszę ci coś powiedzieć.

–Na przykład co?

–Na przykład to, żebyś nie szarżował! Cholernie dużo od ciebie zależy, a znajdziesz się w samym środku tego kotła. Gdyby zrobiło się za gorąco albo sprawy przybrały niepomyślny dla ciebie obrót, zawracaj! Nie zgrywaj bohatera i nie naginaj planu akcji do swoich potrzeb. Po prostu daj Chińczykom odczuć, że kończysz zabawę, i zwiewaj gdzie pieprz rośnie.

–O rety! Nie miałem nawet pojęcia, że aż tak cię obchodzi mój los! – Arkady uśmiechnął się szeroko.

Christine zadarła głowę i spojrzała mu w oczy.

–To nie są żarty, chłoptasiu! – syknęła złowieszczo. – Musisz teraz myśleć o tym, że warto żyć dla drugiej osoby! Nie wolno ci już zachowywać się po szczeniacku! Słyszysz?

Pilot, zaskoczony pasją wyczuwalną w jej głosie, aż cofnął się o krok.

–Ona ci nie może tego powiedzieć – dodała Rendino łagodniejszym tonem, odrywając się od stalowej grodzi – ale ja mogę. Jasne?

Arkady dopiero teraz zrozumiał, o co jej chodzi.

–Masz rację, siostrzyczko – odparł pojednawczo.

Nie powiedziała już nic, tylko uniosła pięść z wyprostowanym kciukiem. Pilot odpowiedział takim samym gestem, jakby przypięczętowywał zawarty przed chwilą pakt, po czym ruszył do swojego śmigłowca.

Gus był już na swoim stanowisku, kontrolował działanie urządzeń naprowadzających.

–Dzień dobry, panie Grestovitch – rzucił Arkady, przeciskając się na swój fotel. – Wszystko gotowe do naszej schadzki w blasku księżyca nad brzegami prastarej Jangcy?

–Nie byłoby żadnej schadzki, gdyby to ode mnie zależało.

–Popuść wodze wyobraźni, synu. – Vince z trzaskiem zapiął sprzączki pasów bezpieczeństwa. – Możemy po raz ostatni przejrzeć listę inwentarza.

–Zbiorniki paliwa, magazynki flar i celów pozornych pełne. Odbiornik i wyrzutnia boi sonaru głębinowego SQR/A1 w zasobniku pod lewym skrzydłem, czujnik anomalii magnetycznych pod prawym. W przedziale uzbrojenia dwie rakiety hellfire i dwie wyrzutnie pocisków hydra z siedmioma ładunkami każda.

Tej nocy czekało ich podwójne zadanie. Załogi obu Komanczów z „Księcia” miały przede wszystkim wytropić i zniszczyć chiński okręt, lecz gdyby któryś z myśliwców został zestrzelony nad Szanghajem, musieli też zapewnić osłonę maszynie poszukiwawczo-ratowniczej.

–Kontrolki wszystkich systemów uzbrojenia świecą na zielono. Tu masz parametry

taktyczne.

Vince podał przez ramię dyskietkę z zapisem. Grestovitch szybko wsunął ją do stacji komputera i skopiował do programu dane liczbowe. Zajaśniały ekrany, po chwili wyświetliły się na nich linie schematycznej mapy rejonu operacji i wytyczony kurs przelotu.

–Wszystko załadowane.

–Przyjąłem.

Arkady wyrztał przez boczną szybę, a zauważywszy wyczekujące spojrzenie technika obsługującego windę, wymownie wskazał kciukiem ku górze.

–Jedziemy! – oznajmił przez interfon.

Zahuczały siłowniki hydrauliczne, platforma z wolna wyniosła Pazia zero jeden na poziom głównego pokładu. Kiedy tylko zniknęły pod nią czerwone światła alarmowe hangaru, Grestovitch odniósł wrażenie, że odizolowany od całego świata helikopter zanurza się w mrok nocy.

–Gotów do przedstartowej kontroli urządzeń, poruczniku... Poruczniku? Wszystko w porządku?

Vince pogrążył się w zadumie, czekając, aż winda wyniesie ich na górę.

–Tak, oczywiście, Gus. Nic mi nie jest. Przyszło mi nagle do głowy, że życie zawsze znajdzie sposób na to, aby ci wszystko skomplikować.

–Tego nie musi mi pan mówić...

Zegar pokładowy, którego wskazania były widoczne w rogu każdego ekranu, został przestawiony na odmierzenie sekund. Na głównym ekranie taktycznym obok jego odczytów widniała kolumna liczb, określających czas pozostały do rozpoczęcia poszczególnych etapów operacji „Burzowy Smok”. Amanda wbiła spojrzenie w pierwszą liczbę od góry, już jednocyfrową, zmniejszającą się z sekundy na sekundę.

Od strony rufowego lądowiska doleciał cichy jęk rozrusznika, który zaraz ustąpił miejsca przybierającemu na sile terkotowi wirnika śmigłowca. Na ekranie wyświetliło się zero i pierwsza pozycja z kolumny liczb zniknęła.

–Paź zero jeden startuje – bezbarwnym głosem zameldował przez interfon kontroler ruchu.

Amanda wyszła na pomost i odprowadziła wzrokiem ledwie widoczny na tle gwiazd

czarny cień, który z łoskotem przemknął ponad burzą i po paru sekundach wtopił się w mrok nocy. Za pięć minut jego śladem miał podążać Paź zero dwa.

–Radio, tu kapitan – odezwała się do mikrofonu. – Powiadomcie okręt flagowy, że nasze śmigłowce wystartowały zgodnie z planem i przechodzimy do następnej fazy operacji.

Pospiesznie wróciła na mostek i nakazała oficerowi wachtowemu:

–Ster prawo na burt, kurs dwa siedem zero. Ruszamy prosto w kierunku chińskiego wybrzeża.

Rozdział 54

Dowództwo siódmej floty

28 sierpnia 2006, godz. 1.20 czasu lokalnego

MacIntyre i Tallman od niechcienia popijali z kubków kawę, na którą żaden z nich nie miał właściwie ochoty. Obaj szybko odwrócili głowy w kierunku wchodzącego do kajuty szefa sztabu.

–Nadszedł meldunek z „Cunninghama”. Helikoptery są już w powietrzu, okręt ruszył na wyznaczoną pozycję ataku. Dowódca naszych eskadr uderzeniowych także zameldował o sformowaniu pierwszej linii natarcia. Do odpalenia rakiet pozostało dwie i pół minuty. Wszystko przygotowane, załogi czekają tylko na rozkaz do ataku.

–Są jakieś nowiny z Waszyngtonu?

–Nie, panie admirale. Utrzymujemy stałą łączność z komitetem połączonych szefostw sztabów i naczelnym dowództwem. Brak nowych rozkazów dotyczących operacji.

Tallman przez chwilę wpatrywał się z napięciem w resztkę kawy w swoim kubeczku. Wreszcie rzekł:

–Dobrze. W takim razie przełącz dowódcy lotnictwa, że przystępujemy do ataku zgodnie z harmonogramem. – Szybko odstawił kubek na skraj biurka i mruknął: – Chodź, Eddie Mac, wyjdziemy na pokład i obejrzymy to przedstawienie. Zapewne będzie na co popatrzeć.

Lotniskowiec wcześniej skręcił na wschód i płynął teraz pod osłoną śmigłowców, gdyż myśliwce osłonowe zostały włączone do eskadr mających przeprowadzić natarcie z powietrza. Po jego sterburcie szło kilka ciężkich krążowników klas Spruance i Ticonderoga, rakiety na wyrzutniach pocisków taktycznych leżały niemal poziomo, pod małymi kątami mierząc w cele znajdujące się daleko poza linią horyzontu. Lada chwila z ich dyszy miały wystrzelić strumienie ognia, a z otwartych silosów wyskoczyć w powietrze gromady pocisków pionowego startu.

Pod pokładami, w centrach kierowania uzbrojeniem, przez obwody cicho szumiących komputerów przelatywały szeregi danych liczbowych. Trwały ostatnie kontrole systemów startowych rakiet, odliczano upływające sekundy.

Kiedy odliczanie doszło do zera, komendy „Ognia!”, jakie rozległy się z interfonów okrętów, były już czystą formalnością. Zawyły syreny ostrzegawcze, z dyszy wylotowych pocisków bluznęły strugi płomieni. Pierwsza gromada cruisów wzbila się

w mrok nocy i skierowała w stronę lądu, znacząc swoje szlaki jaskrawymi snopami ognia. Tuż za nimi poleciały następne rakiety, a towarzyszący ich odpalaniu huk złął się w przeciągły ryk, odbity echem od fal oceanu.

Skondensowane gazy wylotowe rakiet utworzyły nad wodą gęstniejącą mgłę, którą rozświetlały oślepiające błyski. Mogło się wydawać, że po morzu rozcinanym jaskrawymi odblaskami słońca sunie eskadra widmowych okrętów.

Ostrzał raketowy trwał prawie przez pięć minut. Był to rzeczywiście spektakl ujmujący swym straszliwym pięknem, jakie na zawsze pozostaje w pamięci uczestników morskich bitew. Wszyscy członkowie załóg niepełniących w tym momencie wachty wylegli na pokłady, aby spod przymrużonych powiek sycić oczy tym niezapomnianym widowiskiem.

Wreszcie ostatnia rakietka zniknęła w oddali. Jeszcze przez jakiś czas spadały do morza rozrzucone szczątki silników nośnych, a echo przeciągłego huku powracało słabnącymi odbiciami.

Teraz z kolei na pokładzie lotniskowca wszczął się ruch. Pierwsza grupa myśliwców F/A-22 była już gotowa do katapultowania, a nasilające się wycie silników nabierających szybkości przypominało dudniące w uszach zawrozcenie setek odkurzaczy pracujących pełną mocą.

Pływający gigant zaczął ociężale skręcać pod wiatr.

–Admirale, kapitan Kitterage prosi o zgodę na start pierwszej eskadry.

–Proszę mu przekazać, że może wypuszczać myśliwce według własnego uznania.

Oslona kabiny „Księżycowego psa 505” zamknęła się z trzaskiem, odcinając załogę od gryzącego w oczy dymu, który unosił się smugami nad pokładem lotniskowca.

–Gotowa?! – zawołał przez ramię Kret – Graves.

–Gotowa – odparła lakonicznie Pyza – Zellerman z tylnej części kabiny.

Zgodnie ze znakami obsługi lądowiska samolot podkołował do drugiej katapulty. Pod dziobem „Morskiego drapieźnika” dwóch techników błyskawicznie zamocowało linki odciążu katapulty do uchwytów na dźwigarze przedniego koła.

Jednocześnie trwało sprawdzanie, czy wszystkie blokady zostały usunięte, a skrzydła myśliwca bombardującego są prawidłowo zamocowane w pozycji rozpostartej. Inna grupa obsługi kontrolowała prowadzoną przez Gravesa weryfikację działania usterzenia, a więc klap, sterów poziomych i pionowych, lotek oraz hamulców aerodynamicznych. Wreszcie Kret dał im z kabiny znak, że wszystko

jest w porządku. Maszyna była gotowa do startu.

Ustawiono we właściwych pozycjach płyty odchylające strumienie gazów wylotowych. Kabinę myśliwca przeszły drżenie, spowodowane rosnącą siłą naciągu mechanizmu katapulty. Graves zapalił światła lądowania, sygnalizując tym samym kontrolerowi gotowość do startu, po czym pchnął obie dźwignie gazu do czwartego zębka zapadki.

Zadziałały dopalacze, z dyszy wylotowych strzeliły oślepiająco białe płomienie. Wycie silników stało się odczuwalne niemal jak fizyczny ból.

Kret zaczerpnął głęboko powietrza i zsunął się w głąb fotela. Musiał wykonać prawidłowo nocny start z lotniskowca, zapewne jedno z najtrudniejszych zadań, jakie występują w lotnictwie morskim. Manewr ten zawiera w sobie tylko jeden pozytywny element – krótkotrwałość. Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, jak powinno, załoga samolotu ginie błyskawicznie, najwyżej w ciągu trzech sekund.

Dowódca drużyny obsługi w charakterystyczny sposób zakręcił rękami młynka, sygnalizując swoim podwładnym, że maszyna za chwilę zostanie wyrzucona w powietrze. Po chwili przyklęknął na jedno kolano i energicznie wyciągnął przed siebie zaciśniętą pięść.

Naciąg katapulty został zwolniony. Ważący trzydzieści ton ładunek, złożony z samolotu, pełnego uzbrojenia oraz załogi, pomknął po pięćdziesięciometrowym torze prosto w mrok.

Bombowiec typu Stealth wyskoczył poza krawędź pokładu i zakołysał się ciężko, balansując na samej granicy minimalnej szybkości lotu. Graves musiał błyskawicznie wykonać szereg niezbędnych czynności.

Przede wszystkim należało jak najszybciej odzyskać orientację i przestawić się na korzystanie wyłącznie ze wskazań elektronicznego wyświetlacza na przedniej szybie maszyny, umożliwiającego nawigację w ciemnościach. Trzeba było też wsunąć podwozie samolotu i zaczep ogonowy. Dziób „Księżycowego psa 505” powinien bez przerwy pozostawać nad linią sztucznego horyzontu, a jego skrzydła dokładnie w poziomie. Wszystko to Graves musiał ogarnąć zaledwie podczas kilku przyspieszonych uderzeń serca, jeszcze zanim żołądek wrócił mu na miejsce po gwałtownym przeciążeniu w chwili startu. Na szczęście można było w tym czasie całkiem zapomnieć o oddychaniu.

W którymś momencie tej najdłuższej sekundy w życiu pilota „Morski drapieжник” przeobraził się z lecącego siłą inercji pocisku w maszynę o własnym napędzie.

Kret pospiesznie dokończył procedurę startową: sprawdził, czy podwozie zablokowało się w pozycji schowanej, a klapy zrównały z powierzchnią płatów

nośnych. Oślepiający blask płomieni dopalacza zniknął z wstecznego lusterka, gdy ściągnął dźwignie gazu i zmniejszył moc silników. Teraz wzrok mógł się już oswajać z ciemnościami nocy, rozjaśnianymi jedynie blaskiem gwiazd oraz słabnącymi w dole iskrami świateł pokładowych lotniskowca.

Kiedy wreszcie Graves wprowadził samolot na kurs, prowadzący do odległego wybrzeża Chin, ciszę w kabinie zakłóciły dwa głośnie westchnienia ulgi.

–Wiesz co? – powiedziała chyba po raz setny Pyza. – Kurewsko nie cierpię tego momentu.

Rozdział 55

Delta Jangcy

28 sierpnia 2006, godz. 1.30 czasu lokalnego

–Mostek, tu sekcja kamuflażowa.

–Zgłasza się mostek.

–Podchodzimy do strefy zasięgu radarów, kapitanie. Za kilka minut czerwoni ujrzą nasze echo na swoich ekranach.

–Dziękuję, panie McKelsie. W tej operacji nie ma to większego znaczenia.

Za panoramiczną szybą mostka chińskie wybrzeże przypominało pas nieprzeniknionej czerni między obsydianową powierzchnią morza a rozgwieżdżonym niebem. Dziób „Cunninghama” był niczym ostrze sztyletu wymierzonego w serce ukrytej w mroku bestii.

W słuchawkach rozległ się głos Dixy Beltraina:

–Pani kapitan, nadszedł komunikat z dowództwa floty, że akcja przebiega dotąd zgodnie z planem. Wszystkie pociski raketowe zostały już odpalone w stronę lądu i są w drodze do celów.

–Jaki jest status naszego uzbrojenia?

–Silniki wszystkich rakiety wygrzane, pokrywy silosów otwarte, systemy naprowadzające zaprogramowane. Trwa odliczanie czasu do odpalenia. Zostało czterdzieści jeden sekund.

–Co z Paziami?

–Porucznik Arkady meldował, że obie maszyny czekają w punkcie wyjścia, gotowe do rozpoczęcia akcji. Czekamy na pani rozkaz odpalenia rakiet, kapitanie.

–Odpalajcie zgodnie z harmonogramem, panie Beltrain.

–Rozkaz. Mechanizmy wyrzutni gotowe... Pięć... cztery... trzy... dwa...

Zaterkotały brzęczyki ostrzegawcze na całym okręcie. Pierwsza grupa pocisków raketowych uniosła się z wolna ku niebu. Wszyscy pełniący wachtę na mostku odwrócili głowy, oślepieni jęzorami ogni buchających z dyszy wylotowych.

Niewykrywalne przez radary cruisy przeszły do lotu poziomego na wysokości zaledwie dwudziestu metrów ponad grzebieniami fal, kiedy to z kanciastych kadłubów wysunęły się skrzydła i stateczniki o ostrych jak żyłki krawędziach natarcia.

Była to broń przeznaczona do rażenia celów naziemnych i odznaczała się zasięgiem prawie dwóch tysięcy kilometrów. W warunkach prowadzonej operacji wyznaczone cele znajdowały się nieporównywalnie blisko, niemalże jak gruba zwierzyna dla myśliwego uzbrojonego w sztucer i stojącego w drugim końcu pokoju. W ten sposób zapewniano sobie wysokie prawdopodobieństwo trafienia pocisku prosto w dany obiekt.

Pierwszy alarm przeciwrakietowy na lądzie ogłosiły strzegące plaży patrole, które zauważyły świetliste smugi pocisków startujących z „Cunninghama”. W ciągu dwudziestu czterech sekund naliczono dwanaście odpalonych rakiet. Drugi meldunek nadszedł piętnaście sekund później, gdy owe pociski przemknęły nad plażą.

Obsługa nadbrzeżnych stacji radarowych nie miała najmniejszych szans ucieczki. Słabutkie echa nadlatujących cruisów pojawiły się na ekranach radarów zaledwie parę sekund przed trafieniem. W przeciwieństwie do rakiet systemu HARM, które były naprowadzane wychwyconą wiązką radarową, te kierowały się na zaprogramowane wstępnie pozycje celów, określając swoje położenie na podstawie impulsów radiowych z globalnej satelitarnej sieci ustalania współrzędnych geograficznych.

I w zaprogramowanej również odległości od celu rakiety ostro wzniosły się ku górze, po czym w locie koszącym runęły na obiekty. Samobieżne stacje radarowe stały w umocnionych stanowiskach, czy to w okopach osłoniętych workami z piaskiem, czy nawet w betonowych bunkrach. Ale eksplozje półtonowych przeciwpancernych głowic bojowych cruisów rozsiały śmierć i zniszczenie w promieniu wielu metrów.

Cała obsługa tych stacji zginęła.

Jedynie w głębi lądu niektórzy operatorzy chińskiej sieci radarowej zdali sobie sprawę z tego, co się dzieje, gdy znaczniki nadbrzeżnych placówek zaczęły jeden po drugim znikać z ekranów taktycznych łączności. Wykrzykując ostrzeżenia, rzucali się do ucieczki z pomieszczeń kontrolnych i w panice szukali kryjówek w najbliższym otoczeniu bądź też biegli do schronów przeciwlotniczych. Ale przeżyli tylko nieliczni.

Celem trzeciej części wystrzelonych rakiet nie były stacje radarowe. Urządzenia naprowadzające pocisków, mknących tuż obok siebie nad południowym brzegiem szerokiego ujścia Jangcy, przeczesywały teren w dole mikrosekundowymi impulsami

laserowymi, poszukując grupy obiektów zgodnej z zaprogramowanym przestrzennym układem strukturalnym.

W końcu odnalazły zabudowania na nabrzeżu portu w Waigaociao, pełniące rolę stacji zasilania i centrali łączności z ukrytą na dnie rzeki atomową łodzią podwodną. Jedna po drugiej rakiety zaczęły wychodzić z szyku i kierować się w stronę indywidualnych celów.

Seria potężnych detonacji rozświetliła cały obszar portu. Zacumowane kutry rybackie zostały roztrzaskane jak kruche łupiny. Chwilę później wśród kłębow dymu zapłonął oślepiający łuk elektryczny. Urwała się łączność między punktem dowodzenia a nuklearnym asem ukrytym w rękawie komunistów.

Niedaleko brzegu, na wprost samego centrum rozpętanej burzy, Paź zero jeden wisiał nisko ponad falami. Drugi śmigłowiec z „Cunninghama” trzymał się kilkadziesiąt metrów od niego. W kabinie Komańcza Arkady liczył na głos rozblyski wybuchów.

–Dziesięć... jedenaście... dwanaście! To już wszystkie!

Brzęczyk urządzenia ostrzegającego przed zagrożeniami zamilkł nagle, kiedy zgasła ostatnia wiązka radaru naprowadzającego.

Na północny zachód od wyczekujących helikopterów następne eksplozje rozjaśniły powierzchnię morza, gdy rakiety odpalone z „Księcia” trafiły w chińskie okręty trzymające straż tuż przed czołem zapory minowej u wejścia do delty.

–Szara dama, tu zero jeden. Statki patrolowe zatopione, mamy wolną drogę. Ruszamy zgodnie z harmonogramem. Zero dwa, gotuj się!

Arkady opuścił przed szybę hełmu ekran noktowizora, dzięki czemu pole jego widzenia zmieniło się z czerni nocy usianej srebrzystym blaskiem gwiazd w krajobraz wypełniony różnymi odcieniami nieco połyskliwej zieleni. Wskazania przyrządów pokładowych oraz parametry nawigacyjne, dotąd jaśniejące luminescencyjnym blaskiem na przedniej szybie maszyny, teraz wyświetliły się automatycznie tuż przed jego oczami. Wyróżniała się wśród nich jaskrawa linia wytyczonego kursu. Zmieniwszy nieco kąt nachylenia płatów wirnika, Vince skierował śmigłowiec wzdłuż toru prowadzącego w głąb szerokiego ujścia Jangcy.

Przede wszystkim musieli utrzymać helikoptery dokładnie na wyznaczonym kursie podejścia do celu, gdyż istniało niebezpieczeństwo, że staną się celem rakiet odpalonych z macierzystego okrętu. Salwa z „Cunninghama” jedynie zapoczątkowała długotrwały i zmasowany ostrzał wybranych obiektów i zaledwie oba Komańcze zbliżyły się do pierwszych linii obrony przeciwlotniczej Szanghaju, znad horyzontu na wybrane obiekty wokół miasta spadła druga gromada, licząca ponad sześćdziesiąt

pocisków raketowych.

Stosowano klasyczną taktykę ześrodkowanego ognia zaporowego, te same cele atakowano jednocześnie za pomocą różnych rodzajów broni. Tory pocisków odpalanych salwami rozgałęziały się promieniście na kształt wachlarza, zdającego się całkowicie pokrywać rozległy Szanghaj. Leczące przodem tomahawki początkowo ominęły miasto, szybko jednak zawróciły, by uderzyć na wyznaczone obiekty od strony lądu.

Urządzenia naprowadzające raket zaprogramowano tak, by w ściśle wyznaczonym czasie pociski eksplodowały w promieniu jednego metra od punktu o określonych współrzędnych. Przede wszystkim chodziło o wyrządzenie jak największych szkód w rozbudowanej strukturze obronnej miasta.

Baterie ciężkich dział przeciwlotniczych osłaniające kryjówkę atomowej łodzi podwodnej zostały zniszczone w równych, dwudziestopięciosekundowych odstępach. Trzeba było uwzględnić takie interwały czasowe, ponieważ armaty stały blisko siebie i zachodziło niebezpieczeństwo, że resztki zlikwidowanego już stanowiska mogą zakłócić działanie urządzeń naprowadzających raket zmierzających do następnej baterii.

Każde z wielkich dział kalibru 100 mm, najpierw zrzucone ze swego łoża falą uderzeniową eksplozji półtonowej główicy, która wybuchła trzy metry nad ziemią, wylatywało w powietrze na skutek detonacji własnych, naszykowanych do strzału pocisków.

W głównej centrali telefonicznej, znajdującej się w samym centrum miasta, technicy z nocnej zmiany zareagowali histerycznymi wrzaskami na widok sześciometrowego wysmukłego pocisku, który z ogłuszającym wyciem silnika turboodrzutowego wpadł przez okno na trzecim piętrze, przebił się przez trzy regały styczników i ugrzązł w tylnej ścianie budynku. Odporny na wstrząsy mechanizm zegarowy detonatora odmierzył zaprogramowane trzy minuty, stwarzające ludziom możliwość ucieczki. Eksplozja, która potem nastąpiła, miała taką moc, że stary ceglany budynek rozsypał się niczym domek z kart.

W bazie lotniczej na zachód od miasta eskadra dyżurujących myśliwców typu F-7M stała przy końcu pasa startowego z silnikami pracującymi na wolnych obrotach. Alarm ogłoszono w chwili odpalenia z okrętów pierwszych raket i teraz piloci w pośpiechu zajmowali miejsca w kabinach. Nie doczekali się jednak na rozkaz startu.

Dowódca eskadry złowił kątem oka odbicie księżycowego blasku w jakimś obiekcie ponad bunkrem dowodzenia. Ułamek sekundy później ze wszystkich szczelin obserwacyjnych buchnęły długie jęzory ognia. Drugi pocisk trafił w wieżę kontroli lotów, zmieniając ją w gigantyczną pochodnię.

Zrozumiawszy błyskawicznie, że baza stała się celem ataku, pilot pchnął dźwignię gazu, włączając dopalacze. Nie trzeba mu było mówić, że lepiej spróbować wzbić się w powietrze niż zginąć na lotnisku. W upiornym blasku szalejących płomieni skierował maszynę na początek pasa startowego.

Zdołał rozpędzić samolot do prędkości stu węzłów, kiedy zauważył nadlatującą z przeciwka rakietę.

Cruise mknął na wysokości dwudziestu metrów, dokładnie ponad linią wyznaczającą środek pasa startowego. Na jego dziobie zatańczyły rozbłyski, gdy specjalna głowica rozdzieliła się na szereg ładunków burzących, które spadły na ziemię. Niemal równocześnie przed myśliwcem nastąpiła seria niezbyt silnych eksplozji rozdzierających gładką asfaltową nawierzchnię.

Przerażony pilot ściągnął drążek na siebie, lecz myśliwiec poruszał się jeszcze za wolno; żeby skoczyć w powietrze. Koło podwozia wpadło w ciągle dymiący lej, samolot zarył dziobem w ziemię, przekoziółkował i stanął w ogniu. Jeden po drugim trzy inne myśliwce, których piloci ruszyli szybko za dowódcą, tak samo eksplodowały na zniszczonym pasie startowym, pozostawiając na całej jego długości płonące szczątki.

Przebieg ataku raketowego nie był całkowicie zgodny z planem. Jeden z tomahawków na skutek awarii systemu naprowadzającego poleciał dalej na zachód, w kierunku granicy z Mongolią. Inny, trafiony przypadkowo pociskiem z działka przeciwlotniczego, zboczył z toru i trafił w przeludniony blok mieszkalny. W trzecim, którego celem była baza kutrów pościgowych nad rzeką Huangpu, zepsuł się żyroskop i rakieta zaryła się w mulistą płyciznę przy brzegu Jangcy.

Niespodziewanie zaterkotały ciężkie karabiny maszynowe na dziobie kutra pięćset szesnaście.

–Wstrzymać ogień! – wrzasnął z mostka porucznik Żu Szan. – Oszczędzać amunicję!

Niedoświadczony strzelec obejrzał się na niego, rozbłysk niedalekiej eksplozji wyłowił z mroku przerażenie malujące się na twarzy chłopaka. Szan nie mógł go nawet winić za tę reakcję, sam odczuwał narastające przerażenie, które zaćmiewało zdrowy rozsądek i nakazywało podjęcie natychmiast jakichkolwiek przeciwdziałań.

Można było odnieść wrażenie, że w Szanghaju wybuchło naraz tysiąc pożarów. Baterie przeciwlotnicze, zapewne pozbawione łączności z dowództwem obrony miasta, na ślepo wypluwały w niebo serie ciągnących za sobą różowe i zielone smugi pocisków. Nawet z tej odległej przystani widać było dokładnie kilka większych skupisk ognia szalejącego w mieście, a gęstniejące z każdą chwilą kłęby dymu co

kilka sekund rozświeślały kolejne eksplozje.

–Są jakieś wiadomości z dowództwa floty?! – zapytał radiooperatora, przekrzykując huk wystrzałów.

–Nie, towarzyszu poruczniku! – odkrzyknął tamten. – Dowództwo floty w ogóle nie odpowiada! Nie mogę też nawiązać łączności z dowództwem obrony wybrzeża!

Szan obejrzał się na Hunga, który stał oparty plecami o podstawę masztu radarowego i ze znudzoną miną palił papierosa.

–Co o tym myślicie, bosmanie?

Hung wyjął niedopałek z ust, cisnął go daleko za burtę i odparł:

–Chyba Jankesi się na nas wściekli. Nacjoniści nie byliby zdolni narobić takiego piekła.

–Zdaje się, że masz rację, Hung.

Nad ich głowami przybierało na sile wycie kolejnych silników odrzutowych. Ogluszający huk zmienił nagle częstotliwość, kiedy niewidoczne w mroku rakiety przeszły ponad kutrem. Pióropusze potężnych eksplozji wykwitły tym razem na terenie pobliskiej stoczni Hudong. W powietrzu groźnie zaświstały rozżarzone do czerwoności odłamki, aż cała świeża załoga kutra torpedowego rzuciła się plackiem na pokład. Łodzią wstrząsnął grzmot fali uderzeniowej.

–Chce pan wysłać łącznika do dowództwa floty, poruczniku? – zapytał flegmatycznie Hung.

Szan zastanawiał się tylko przez chwilę. Energicznie pokręcił głową.

–Niech szlag trafi dowództwo! Wynosimy się stąd natychmiast. Uruchomić maszyny, przygotować się do zrzucenia cum. Przekażcie reszcie eskadry, że ma płynąć za nami. Spróbujemy szczęścia na środku rzeki.

–Rozkaz, poruczniku! – odkrzyknął wyraźnie zadowolony Hung.

Na teren stoczni spadły kolejne rakiety, już całą powierzchnię szerokiej Huangpu rozjaśniały krwiste łuny pożarów, gdy kuter pięćset szesnaście zawracał w górę rzeki. Szan zyskał przeświadczenie, że bosman się nie myli i za tym zmasowanym atakiem stoją Amerykanie. Ale jednocześnie tknęło go przecucie, że owo bombardowanie musi mieć coś wspólnego z tajemniczym, widmowym okrętem, który prawdopodobnie wrócił i teraz czeka na nich gdzieś na skraju tej przerażającej pożogi. A przecież mieli ze sobą rachunki do wyrównania.

Rozdział 56

Na pokładzie Pazia zero jeden, nad deltą Jangcy

28 sierpnia 2006, godz. 1.40 czasu lokalnego

Oba Komańcze przemykały pod przypominającą sklepienie katedry łuną licznych pożarów. Wysoko nad nimi przelatywały ze świstem pociski artylerii przeciwlotniczej, wystrzelwane ze stanowisk na obu brzegach wielkiej rzeki.

Długie ślady kreślone na niebie przez pociski smugowe bez trudu pozwalały zidentyfikować rodzaj używanej broni. Lekkie szybkostrzelne ZSU-23 wyrzucały w mrok całe pióropusze drobnych iskierek, starsze jednolufowe działka kalibru 37 mm malowały szerokie, niemal majestatyczne pasy, natomiast jaskrawe podwójne linie znaczyły ślady pocisków z groźnych sprzężonych działek kalibru 57 mm.

Z tych najcięższych dział, półautomatycznych kalibru 85 i 100 mm, w ogóle nie wystrzeliwano pocisków smugowych. O tym, że i one prowadzą ostrzał, świadczyły jedynie słabe rozbłyski w pewnych miejscach na ziemi, którym odpowiadały jasne eksplozje ładunków wyrzuconych na osiem kilometrów w powietrze. Trzykrotnie Arkady dostrzegł nawet ognisty ślad pnącego się ku górze przeciwlotniczego pocisku raketowego.

Na szczęście ani jeden z kawałków śmiercionośnego żelastwa nie został wystrzelony w ich kierunku. Sprawdzała się taktyka Amandy. W powstałym chaosie nikt nie zwrócił uwagi na dwa śmigłowce poruszające się na samej granicy ognistego piekła.

–Według wskazań GPU podchodzimy do drugiego punktu zwrotnego trasy, poruczniku.

–Dzięki, Gus. Widzę. Skręcam w lewo na kurs dwa dziewięć zero.

–Jesteśmy w wyznaczonym torze. Zero dwa idzie za nami.

Arkady powstrzymał się siłą woli, by w odpowiedzi odruchowo nie skinąć głową. Ekran wyświetlacza w szybie hełmu miał sprzężony z czołowym skanerem termolokacyjnym, toteż każdy ruch jego głowy pociągał za sobą analogiczny ruch kamery podczerwonej umieszczonej pod dziobem helikoptera. Elektroniczne „oczy” ukazywały mu otoczenie w postaci plam, oznaczających mijane źródła promieniowania cieplnego – zimniejsze obiekty widział jako ciemne, cieplejsze świeciły mniej czy bardziej jasno; ogień pożarów razily oślepiającą bielą.

W zasięgu skanera termolokacyjnego znajdowało się kilka takich jaskrawych plam,

Vince wypatrywał jednak dwóch, które powinny jaśnieć obok siebie na przeciwległym brzegu rzeki.

–Już je widzę, Gus. Podchodzimy do nabrzeży portu. Wygląda na to, że rakiety narobiły tam niezłego bałaganu.

–Nie zamierzam z tego powodu wylewać łez, poruczniku. Mijamy właśnie granicę rejonu poszukiwań. Dalej mamy działać według własnego uznania.

–Przyjąłem. – Przełączył się na radio. – Paż zero dwa, tu zero jeden. Jesteśmy na miejscu. Włącz detektor anomalii magnetycznych.

–Zrozumiałam, zero jeden. Rozpoczynam pomiary.

Idący przodem Komańcz zwolnił nagle i pochylił się w skręcie ku środkowi koryta rzeki. Arkady został nieco z tyłu i podniósł maszynę na wysokość dwudziestu metrów.

–Wysięgnik do przodu, Gus. Zaczynamy polowanie.

–Rozkaz, poruczniku. Detektor włączony.

Każdy większy obiekt z metalu, taki jak samochód czy statek, a nawet bogatsze złoża rud żelaza, wywołuje niewielkie miejscowe zaburzenie ziemskiego pola elektromagnetycznego. Z bliska można je wykryć choćby na podstawie odchylenia igły kompasu. Przy większych odległościach konieczne jest zastosowanie czułych detektorów anomalii magnetycznych. Mimo niewielkiej precyzji tych urządzeń są one niezastąpione do tropienia łodzi podwodnych w płytkich, przybrzeżnych wodach. Ale ich największą wadą jest to, że w trakcie pomiarów śmigłowiec musi przez dłuższy czas lecieć powoli i nisko, po linii prostej.

–Oto co znaczy wystawić się jak kaczka na odstrzał – mruknął Arkady.

–Słucham, poruczniku?

–Nic takiego, Gus. Skup się na pomiarach.

Jak dotąd nic nie wskazywało, że zostali zauważeni. Vince nawet nie zadawał sobie trudu zwracania uwagi na odczyty urządzenia wykrywającego radarowe wiązki naprowadzające. Wiedział jednak dobrze, że jeśli nie odnajdą okrętu przed zakończeniem ostrzału, ktoś z ziemi na pewno zwróci uwagę na terkot wirników kołujących nad rzeką śmigłowców. A gdyby do tego doszło, sprawy mogły dla nich przybrać nieciekawą obrót.

Na zewnątrz zapory minowej ognie bitwy były widoczne tylko jako niewyraźna łuna

na niebie, a nieustający huk wybuchów zlewał się w głuchy odgłos, przypominający odległe grzmoty nadciągającej burzy. „Cunningham” powoli pływał w kółko, w oczekiwaniu na znak do rozpoczęcia kolejnej fazy operacji.

–Kapitanie!

Amanda, która od pewnego czasu nie ruszała się z pomostu, spojrzała przez ramię.

–O co chodzi, Stewart?

–Nadszedł meldunek z centrum informacyjnego – oznajmił cicho stojący w drzwiach oficer wachtowy. – Oba Pазie dotarły w pobliże portu i rozpoczęły poszukiwania.

–Doskonale.

Za przykładem Amandy Stewart popatrzył w kierunku południowo-zachodnim.

–Myśli pani, że naprawdę zdołamy unieszkodliwić tę łódź?

–Gdybym tak nie myślała, nawet nie zaczynałabym układać planów operacji.

Uniosła przeciwdeszczową pokrywę z zainstalowanej tu końcówki interfonu i zapytała o harmonogram działań.

–Wszystko idzie zgodnie z planem. Rakiety zapewne już w komplecie dotarły do celu. Lada moment do akcji powinno wkroczyć lotnictwo.

–Ta kobieta doprowadzi mnie do szału, Pyzo. No i proszę, cali i zdrowi nad markerem Golf! Czekam na potwierdzenie pozycji taktycznej.

–Jest potwierdzenie, trzymamy się wyznaczonego toru. Skręcaj na kurs dwa dziewięć zero. Wchodzimy na kierunek podejścia do celu. Coś mi się wydaje, Krecie, że to nie będzie nawet przejażdżka, ale wycieczka krajoznawcza.

–Bardzo dziękuję za słowa otuchy, poruczniku Zellerman.

Gęsty mrok pod brzuchem „Księżycowego psa 505” ledwie zauważalnie zmienił odcień, kiedy samolot znalazł się nad stałym lądem i skręcił na północny zachód. Podobnie jak wcześniej pociski rakietowe, teraz eskadry myśliwców szły indywidualnymi trasami, by dotrzeć nad cele z różnych stron. W precyzyjnie wyznaczonych momentach miały się pojawić nad wybranymi obiektami w okolicach Szanghaju, co powinno zmylić chińską obronę przeciwlotniczą i uniemożliwić jej prowadzenie skutecznego ognia.

–Naprawdę uważam, Krecie, że już dawno trzeba było powiedzieć jej wprost, by na zawsze zniknęła z twojego życia.

Wcale im nie przeszkadzało, że co chwila rwie się wątek prowadzonej między nimi rozmowy. Oboje traktowali ją przede wszystkim jako sposób na opanowanie nerwów i rozładowanie napięcia, które narastało w miarę zbliżania się do celu.

–Masz rację, ale w rzeczywistości nie mogę się uwolnić od lęku, że ona potraktuje to serio i faktycznie odejdzie. Wiem, że już teraz przygotowuje sobie odpowiedni grunt na taką okoliczność, ale... Co się dzieje wokół nas?

–Droga powrotna wolna. Systemy ostrzegawcze nie sygnalizują żadnych zagrożeń. Z rzadka urządzenia wychwytyją jakieś wiązki naprowadzające, lecz nie zostaliśmy dotąd namierzeni. Chyba cała obrona Szanghaju leży w gruzach.

–Tym lepiej. Sprawdziłaś odczyty GPU?

–Są zgrane i nie wykazują żadnych anomalii. Naprawdę nie musisz się o nie martwić, Krecie.

–Mam nadzieję. Podchodzimy do markera Hotel. Jak stoimy z czasem?

–Według planu.

–Dobra, Pyzo. Trzymaj się. Marker Hotel... Trzy... dwa... jeden... Wchodzę na kurs zero jeden zero.

Skręcili ostro na północ, widoczne przez osłonę kabiny konstelacje na niebie obróciły się nagle. Spiczasty dziób wielkiego myśliwca bombardującego mierzył teraz w skupisko zasnutych kłębam dymu ognisk pożarów, przypominających z oddali światła naprowadzania na cel.

–Jesteśmy na kursie zero jeden zero, w samym środku korytarza podejścia.

–Potwierdzam wejście w korytarz. Odległość do celu: trzydzieści cztery mile. Nie masz wyboru, Krecie, albo zrezygnujesz z dalszej służby, albo powiesz żonie wprost, że bez względu na konsekwencje zostajesz w marynarce.

–Jasne.

Graves ułożył sobie wygodniej na ramionach uprzęży spadochronu i zagłębił się w fotelu pilota.

Zbliżali się do skupiska pożarów trawiących miasto.

–Nie marudź przy tym detektorze przez całą noc, Gus. W końcu łódź atomowa musi gdzieś tu leżeć na dnie.

–Wśród setek innych stert podobnego złomu, jaki zatonął od czasów dynastii Ming.

Całe koryto tej cholernej rzeki przypomina jedno wielkie wysypisko śmieci!

–Spróbuj namierzyć coś, co nie jest jeszcze kupą złomu, człowieku.

Gus Grestovitch, siedzący w tyle kabiny Pazia zero jeden znów musiał uprawiać tak nie lubianą przez siebie czarną magię. Aż do bólu wpatrywał oczy w zielonkawą linię tańczącą po ekranie oscyloskopu. Już parę razy powstrzymywał się w ostatniej chwili przed triumfalnym ogłoszeniem uchwyconego kontaktu. Zawsze jednak wyłapywał jakiś element, który skłaniał go do wniosku, że nie tego szukają. Detektor wskazywał kolejne anomalie, a instynkt wciąż nakazywał Gusowi milczenie.

W końcu to właśnie instynkt był tym jedynym prawdziwie ludzkim czynnikiem, jaki się jeszcze liczył wobec coraz bardziej zaawansowanej techniki. Pod tym względem miał jeszcze długo przeważać nad najdoskonalszymi nawet urządzeniami. I z tego też powodu człowiek miał zawsze pozostać czynnym uczestnikiem, a nie tylko biernym obserwatorem wymyślonej przez siebie rozgrywki zwanej wojną.

Teraz znów na poziomej linii oscyloskopu pojawił się szeroki garb. Był niemal dokładnie taki sam, jak dziesiątki innych, które wcześniej przykuwały jego uwagę... Tyle tylko, że tym razem Grestovitchowi żołądek skoczył do gardła.

–Mam go! Złapałem kontakt! Stabilny i pewny! Namierzyliśmy obiekt!

–Zatrzymuję maszynę! – Komańcz zawisł w powietrzu jak posłuszny ogier po ściągnięciu cugli. – Co to za kontakt, Gus?

–Duży obiekt, poruczniku. To powinna być ta łódź. Znajduje się dokładnie pod nami.

–Sprawdź to – rozkazał Arkady. – Mamy coraz mniej czasu.

–Tak jest.

Gus pospiesznie sięgnął do klawiatury, przełączył wskazania detektora anomalii na drugi ekran, natomiast na główny przywołał odczyty pokładowego sonaru.

–Włączyłem sonar. Jestem gotów do spuszczenia głowicy hydrolokacyjnej.

–Zrozumiałem. Pozostaję w miejscu. Według mapy głębokość wynosi tu czterdzieści metrów. Opuść głowicę na trzydzieści.

–Robi się... Poszła!

Z zasobnika pod lewym stabilizatorem śmigłowca zaczęła się opuszczać ku ziemi głowica sonaru, podwieszona na cienkiej lince z kevlaru, wokół której był spiralnie okręcony kabel sterujący. Urządzenie plusnęło o taflę wody i poczęło się zanurzać na

zaprogramowaną głębokość.

Grestovitch ustawił głośność na maksimum, wyprostował się w fotelu i przycisnął słuchawki do uszu, pragnąc wyłować nawet najdrobniejszy szmer, jaki mikrofony wychwycą z nurtów Jangcy. Zaraz jednak omal nie roztrzaskał sobie głowy o sufit kabiny, gdy poraziła go ogłuszająca kakofonia dźwięków. Szybko ściszył wzmacniacz i zasłuchał się w liczne odgłosy.

Od razu rozpoznał stłumione warkoty licznych pomp i silników elektrycznych oraz rozmaite metaliczne pobrzękiwania. Wyławiał nawet nieartykułowany, lecz niepozostawiający wątpliwości gwar ludzkich głosów.

–No i co, Gus? To te łobuzy?

–Jak nic, poruczniku! Nasza głowica chyba opadła wprost na kadłub tego sukinsyna!

–Szara dama, zlokalizowaliśmy obiekt! Mamy stabilny namiar i potwierdzoną identyfikację!

Okrzyk pilota, który rozległ się z głośników, zelektryzował centrum informacyjne.

–Mostek, tu centrum informacyjne – rzekł pośpiesznie Hiro do mikrofonu. – Paź zero jeden właśnie...

–Słyszeliśmy meldunek, Ken – przerwała mu Amanda. – Przystępujcie do ataku.

–Rozkaz, pani kapitan. Uwaga, wszystkie sekcje, wychodzimy z trybu kamuflażowego. Obsługa systemu Aegis, uruchomić nadajniki radarowe. Panie Beltrain, do dzieła.

–Tak jest.

Nadeszło oczekiwane pięć minut Dix'a i podległych mu ludzi. Wielokrotnie ćwiczyli tego typu atak na symulatorach. Nastął wreszcie czas wykorzystania nabytych umiejętności w praktyce.

–Obsługa wyrzutni V-ROC i SLAM, przygotować się do odpalenia! Rozpocząć programowanie głowic V-ROC! – Beltrain pośpiesznie przełączył się na kanał łączności radiowej. – Pazi zero jeden i zero dwa... Vince, tu Dix. Przystępujemy do ustalania namiarów. Potrzebny nam do tego twój IFF.

–Przyjąłem, Dix. Czekam na impuls radarowy dużej mocy... Trzy... dwa... jeden...

Na komputerową mapę rejonu ujścia Jangcy, widniejącą przez cały czas na

monitorze Alfa, nałożyły się odczyty przeprowadzonego impulsowego skanu radarowego. Dość daleko w górze południowego ramienia rzeki zajaśniał punkt reprezentujący pozycję śmigłowca wiszącego nad ukrytą łodzią – efekt zadziałania automatycznego transpondera identyfikacyjnego, który w odpowiedzi na silny sygnał radarowy wysłał drogą radiową charakterystyczny ciąg impulsów, co pozwoliło komputerowi z przechwyconych odbić natychmiast wyłowić echo helikoptera.

–Jest namiar! – zameldował szybko technik obsługujący system Aegis.

Zautomatyzowane układy „Księcia” ustaliły dokładną pozycję celu. Teraz wystarczyło jedynie zaprogramować jego współrzędne w układach naprowadzających pocisków i zadać śmiertelny cios.

–Dobra! Obsługa V-ROC, sprawdzić dane liczbowe namiaru w systemach naprowadzania.

–Dane sprawdzone, poruczniku. Ptaszki czekają na grzędzie.

–Zintegrować współrzędne naprowadzania i czekać na rozkaz odpalenia... Vince, wynoście się stamtąd!

Dwadzieścia kilometrów dalej na zachód Arkady wychylił się z fotela i krzyknął przez ramię:

–Słyszałeś, Gus?! Wciągaj głowicę!

–Już jedzie w górę. Coś mi się wydaje, że te łobuzy zamierzają wyleźć z kryjówki.

–Nie pozwolimy im na to. Paż zero dwa, słyszałaś komunikat?

–Słyszałam, zero jeden.

–Zwijaj sprzęt i zwijaj na wschód. Natychmiast!

–Przyjęłam.

Śmigłowiec aż się zakołysał, gdy ciężka głowica sonaru z impetem wylądowała w zasobniku pod stabilizatorem.

–Głowica wciągnięta, poruczniku.

–W porządku.

Arkady wprawnym ruchem sterami obrócił w miejscu maszynę dziobem ku wschodowi i nabierając prędkości, ruszył w kierunku ujścia rzeki. Kilka sekund później Paż zero dwa pomknął jego śladem, uciekając ze strefy ostrzału.

–Szara dama, tu Paź zero jeden. Elvis zszedł ze sceny. Możecie przystępować do demontażu.

–V-ROC! Ognia!

W jednosekundowych odstępach z silosów rakiet pionowego startu na dziobie „Cunninghama” wyskoczyły cztery rakiety ze specjalistycznymi głowicami do zwalczania łodzi podwodnych i ciągnąc za sobą smugi pomarańczowych płomieni, skierowały się po szerokich łukach w stronę odległego celu.

W ciągu ostatnich lat zasadniczo zmieniły się metody zwalczania okrętów podwodnych. Wcześniej amerykańskie strategie w tym zakresie dostosowywano wyłącznie do potrzeb unieszkodliwiania rosyjskich gigantów atomowych przecinających głębiny oceanów. Teraz jednak położono większy nacisk na działania w strefie przybrzeżnej.

Coraz więcej krajów trzeciego świata zaczęło się uzbrajać w nowoczesne okręty podwodne napędzane silnikami wysokoprężnymi, chcąc sobie zapewnić prosty sposób zdobycia przewagi na morzu. A owe „ruchome pola minowe”, bezgłośnie i świetnie wyposażone, pod wieloma względami stanowiły przeciwieństwo ociężałych łodzi o napędzie atomowym.

Specjalnie do zwalczania tego typu okrętów na płytkich wodach zmodernizowano pociski raketowe typu V-ROC. Wcześniej jako głowice rakiet stosowano zwykle torpedy mark 50, natomiast oznaczona literą L odmiana pocisków V-ROC przenosiła całe zestawy miniaturowych bomb głębinowych o konstrukcji wzorowanej na budowie min stykowych, pospolicie zwanych „Jeżami”, pochodzących z okresu drugiej wojny światowej.

Silniki raketowe wyniosły odpalone z „Cunninghama” pociski na wierzchołki parabolicznych trajektorii. Podczas dalszego ich opadania włączyły się laserowe czujniki zbliżeniowe, które mierzyły odległość głowicy od powierzchni wody. Po osiągnięciu zaprogramowanego dystansu eksplodowały niewielkie ładunki, przez co każda z głowic rozdzieliła się na dziesięć niezależnych bomb głębinowych. A więc w sumie cztery rakiety rzuciły wokół celu czterdzieści identycznych bomb, tworząc tym samym gęstą sieć mogącą zniszczyć nawet największy okręt podwodny na świecie.

Na wschód od rejonu ataku, w bezpiecznej odległości, oba śmigłowce ponownie zawisły w powietrzu, żeby ocenić skuteczność przeprowadzonego polowania.

Na ekranie noktowizora Arkady ujrzał najpierw drobne fontanny wody towarzyszące opadaniu bomb w stronę celu. Aż wstrzymał oddech, czekając na skutki ich powolnego zatapiania. Wiedział doskonale, że magnetyczne zapalniki zadziałają tylko

w wypadku zetknięcia się z metalowym poszyciem łodzi.

Nagle sfalowana lekko powierzchnia rzeki w dwóch miejscach wybrzuszyła się wyraźnie.

–W celu! Gus, opuść z powrotem głowicę sonaru. Przekonamy się, czy ładunki zdołały wybić choć jedną dziurę w burtach łodzi. Szara dama! Szara dama! Zarejestrowaliśmy dwie eksplozje! Dwie bomby dotarły do celu! Spróbujemy potwierdzić skuteczność ataku!

–Zrozumiałam, zero jeden – rozległ się w słuchawkach spokojny głos Amandy. Kapitan nadzwyczaj skutecznie panowała nad wszelkimi emocjami. – Zostań na posterunku. Jeżeli pociski uszkodziły cel, na pewno będzie próbował wypłynąć na powierzchnię.

–Poruczniku, wychwytyję odgłosy poruszania się dużej masy w rejonie ostrzału! – pospiesznie zameldował Grestovitch. – Okręt opróżnia komory balastowe!

–Szara dama! Dostali! Właśnie wypływają!

Z nurtu rzeki wyłonił się nagle kiosk łodzi podwodnej, pokryty grubą warstwą mułu od długotrwałego leżenia na dnie. Olbrzymia Sia wynurzała się z wody niczym straszliwy prehistoryczny potwór.

–Są, wypłynęli! Szara dama, potwierdzam kontakt wzrokowy z obiektem! To poszukiwana przez nas łódź atomowa! Powtarzam, zidentyfikowaliśmy cel!

Na mostku „Cunninghama” radość z pierwszego trafienia wyrażano znacznie bardziej powściągliwie. Ktoś lekko uderzył pięścią o krawędź stołu mapowego, ktoś inny cicho gwizdnął przez zęby.

Amanda pochyliła się nisko w kapitańskim fotelu i przysunęła sobie mikrofon do ust.

–Zero jeden, melduj o ewentualnych uszkodzeniach obiektu.

–Łódź wypłynęła na powierzchnię, sprawia wrażenie w pełni stabilnej. Jeśli odniosła jakieś uszkodzenia, to raczej niegroźne.

–Rozumiem. Bez odbioru, zero jeden.

A więc osaczyliśmy bestię i zadaliśmy jej parę drobnych ran, pomyślała. Teraz trzeba ją przeszyć harpunem.

–Oficer taktyczny.

–Zgłaszam się.

–Dokończ dzieła, Dix. Wiesz, co trzeba zrobić. Tylko nie waż mi się chybić w takiej chwili!

–Głowice odbezpieczone! Wszystkie systemy gotowe do odpalenia!

Beltrain pochylił się nad stanowiskiem operatora wyrzutni.

–Tylko nie zmarnuj strzału. Steruj ręcznie lotem pocisku aż do samego końca.

–Rozkaz, poruczniku.

–I pamiętaj, masz trafić przed kioskiem! Celuj w część dziobową przed kioskiem. Jeśli wyczujesz, że nie dasz rady precyzyjnie naprowadzić rakiety, zepchnij ją w bok z toru lotu.

–Tak, wiem, panie poruczniku – odparł tamten na tyle znudzonym głosem, na ile starszy mat sekcji ogniowej mógł sobie pozwolić wobec swego dowódcy.

–No to odpalaj.

W całym arsenale „inteligentnego” uzbrojenia dostępnego na początku dwudziestego pierwszego wieku pociski typu SLAM bez wątpienia należały do „najmądrzejszych” – głównie dlatego, że przez całą drogę do celu mogły być prowadzone przez człowieka.

Unowocześniony harpoon, który został wyrzucony w powietrze z silosu raket pionowego startu, automatycznie wypuścił stateczniki i szybko ruszył śladem wystrzelonych wcześniej pocisków.

Po osiągnięciu przez niego szczytu trajektorii, uaktywniła się umieszczona na dziobie rakiety kamera podczerwona, dzięki której na monitorze w centrum informacyjnym niszczyciela pojawił się perspektywiczny widok z powietrza całej rozległej delty Jangcy.

Starszy mat szybko przejął kontrolę nad dalszym lotem rakiety, zaciskając palce na joysticku dołączonym do komputera sterującego, który generował nieustający ciąg impulsów radiowych. Zadanie wcale nie było trudne, z grubsza przypominało manewrowanie modelem zdalnie sterowanego samolotu.

Jedyna różnica polegała na tym, że ów obiekt niósł ćwierć tony materiałów wybuchowych i poruszał się z prędkością kuli rewolwerowej.

Dodatkowym utrudnieniem dla celowniczego była konieczność nadzwyczaj

precyzyjnego naprowadzenia rakiety na cel. Pocisk musiał trafić dokładnie w poszycie kadłuba tuż pod kioskiem – wystarczająco daleko od dziobu, aby od razu zniszczyć pomieszczenia sterowania wyrzutniami i zatopić okręt, ale nie za blisko znajdujących się zaraz za kioskiem silosów rakiet balistycznych, żeby przypadkiem któreś z nich nie uszkodzić.

Gdyby rakieta trafiła w uzbrojony pocisk typu Ciu Lang, w najlepszym wypadku doszłoby do eksplozji jądrowej o ograniczonej mocy, ale w najgorszym mógł wystąpić jedynie wyciek silnie radioaktywnego plutonu, który skaziłby cały rejon ujścia rzeki na pięćdziesiąt tysięcy lat.

Przyszłość jednego z największych miast portowych świata znalazła się w rękach dwudziestoletniego Amerykanina z Mead w stanie Kansas.

W przecięciu nitek celownika na monitorze systemu naprowadzania cel ukazał się najpierw w postaci małego ciemnego ołówka pływającego w bladozielonym strumyku, potem urósł do wielkości cygara, zabawki kąpielowej, aż wreszcie, w ciągu paru szybkich uderzeń serca, przybrał kształt groźnego okrętu. Starszy mat przy pomocy joysticka pewnie nakierował pocisk na ten jeden, dokładnie wymierzony punkt tuż przed kioskiem.

Ekran zamigotał nagle, zamiast klarownego obrazu wypełniła go mozaika zakłóceń.

Nie dało się dostrzec nadlatującej rakiety typu SLAM, napęd turboodrzutowy nie zostawiał długich jęzorów płomieni za dyszami wylotowymi.

Nieoczekiwanie u nasady mostku łodzi woda silnie się spiętrzyła, wypychając w powietrze obło zakończony dziób okrętu. Prawie jak na zwolnionym filmie cały kiosk oderwał się od kadłuba, wokół utworzonej wyrwy strzeliły oślepiające ognie łuków elektrycznych. Masywny kadłub ciężko opadł z powrotem w fale i zakołysał się majestatycznie, jak zrzucony do wody olbrzymi pień. Szybko jednak zanurzył się i poszedł na dno – legł w swoim płytkim, rzeczonym grobowcu, kiedy wody prastarej Jangcy wdarły się przez liczne pęknięcia w poszyciu.

Z głośników na mostku doleciał głośny okrzyk Arkady'ego:

–W celu! Wspaniały strzał! Łódź poszła na dno! Raz, dwa, i już jej nie ma!

Garrett bezwiednie stuknęła otwartą dłonią o brzeg stołu mapowego. Uruchamiany głosem interfon przeniósł z centrum informacyjnego czyjs krótki donośny okrzyk radości.

Amanda odchyliła głowę do tyłu i na krótko zacisnęła powieki, w myślach dziękując za taki obrót rzeczy. Szybko się jednak opanowała i sięgnęła do przełącznika radiostacji.

–Przyjęłam, Pазie. Cel zatopiony. Wycofajcie się z tamtego rejonu i wracajcie na okręt. Powtarzam: wycofajcie się i wracajcie.

–Zrozumiałem. Wykonuję.

Garrett przełączyła się ponownie na interfon.

–Radio, wysłać na okręt flagowy meldunek...

–Admirale, odebraliśmy z „Cunninghama” następujący meldunek: „Smok burzowy zabity. Operacja zakończona pomyślnie. Wycofujemy się z rejonu ataku”.

W głównej sali odpraw lotniskowca „Enterprise” rozległy się tłumione pomruki zadowolenia, ktoś klasnął w dłonie. Admirał Tallman w geście zwycięstwa wysoko uniósł zaciśniętą pięść.

–Gratulacje, Jake. – MacIntyre poklepał dowódcę floty po ramieniu.

–Nie sądźmy dnia przed zachodem słońca, Eddie Mac. Zaczekajmy na powrót wszystkich naszych załóg. – Odwrócił się w kierunku dowódcy lotnictwa. – Komandorze, jak przebiega lotnicze uderzenie osłonowe?

–Ostatnie maszyny powinny się już znajdować nad celami.

–Świetnie. To znaczy, że mniej więcej za dwie minuty będziemy mogli się stąd zbierać.

Pyza Zellerman wpatrywała się w ekran monitora jak wróżka w kryształową kulę, mimo że zdawała sobie sprawę, iż przed „Księżycowym psem 505” leciało jedenaście bliźniaczych załóg, które powinny były już skutecznie skopać ten ogródek w dole.

Ich cel stanowiła stocznia Hudong, w której odremontowano łódź atomową klasy Sia i dwa okręty szturmowe eskorty. Co zrozumiałe, trzeba było zbombardować całą stocznię – nie tylko po to, by odciągnąć uwagę Chińczyków od wydarzeń rozgrywających się parę kilometrów dalej w górę Jangcy, lecz także w celu zniszczenia najważniejszych instalacji, by już nigdy więcej nie wyszły z niej w morze jednostki z wyrzutniami atomowych pocisków balistycznych.

Pyza wpatrywała się w obraz przekazywany przez czołowy skaner termolokacyjny „Morskiego drapieźnika”, odnosiła jednak takie wrażenie, jakby zbliżali się do celu w świetle dnia, gdyż na terenie stoczni szalało kilkanaście wielkich pożarów.

Olbrzymie dźwigi, magazyny i hale montażowe były już zbombardowane i stały w ogniu. Śluzy głównego suchego doku zostały roztrzaskane i ten unosił się na wodzie, z wolna tonąc. Remontowana w nim konwencjonalna łódź podwodna klasy Romeo

leżała na boku, wyrzucona dziobem na pobliskie nabrzeże. Płonąca ropa z roztrzaskanych zbiorników okrętu wyciekała ognistą strugą do nurtu Huangpu. Zajmowały się od niej bale umocnień, które płonęły niczym świeczki na urodzinowym torcie.

Także wewnątrz olbrzymiego doku pływającego szalały płomienie, pożar w wielu miejscach przegryzał się już przez blaszane przykrycie, a z otwartych wrót buchały do połowy szerokości rzeki wielkie jężory ognia.

Wyglądało na to, że w doku magazynowano paliwo do pocisków raketowych. Stąd zaś można było wnioskować, że prowadzono prace remontowe w kolejnym atomowym okręcie podwodnym. Pyza wyraziła w duchu nadzieję, że przed przystąpieniem do naprawy opróżniono łódź z balistycznych rakiet z głowicami jądrowymi.

Z zamyślenia wyrwał ją nagle spokojny, całkowicie opanowany, niemalże lekko znudzony głos Kreta:

–W porządku, Pyzo. Mamy dziesięć mil do celu, cztery mile do punktu zrzutu. Kąt schodzenia: zero koma dziewięć. Czekam na potwierdzenie.

–Potwierdzam. Jesteśmy na torze podejścia.

–Sprawdziłaś odczyty GPU?

–Dwa razy. Urządzenia naprowadzające zaprogramowane, ładunki odbezpieczone. Interwielometr ustawiony na zero koma pięć.

–No to wszystko gra, Pyzo. Dwie mile do zrzutu. Włącz układy wyrzutni!

Zellerman wprowadziła z klawiatury kod dostępu do mechanizmów sterujących uzbrojeniem i uruchomiła systemy naprowadzania na cel. Szybko podniosła osłonę zabezpieczającą i zacisnęła palce na joysticku, oparłszy kciuk na przycisku spustowym.

–Układy włączone.

W kabinie zapadło milczenie. Z zewnątrz dolatywało jedynie monotonne zawodzenie turbodrzutowych silników myśliwca bombardującego. Wokół rozgrywał się mrozący krew w żyłach pokaz sztucznych ogni. Pod brzuchem maszyny ciemność rozcinały jaskrawe tory pocisków smugowych, w górze zaś rozbłyski eksplodujących ładunków przeciwlotniczych tańczyły między chmurami jak migoczące światła na choince.

Lecący na wysokości pięciu tysięcy metrów samolot zgrabnie prześlizgiwał się

między tymi dwiema groźnymi strefami. Nie mógł go osiągnąć ogień lżejszych karabinów, a zarazem na tym pułapie nie działały skutecznie laserowe urządzenia naprowadzające cięższych dział.

Myśliwiec bombardujący leciał z południa na północ dokładnie ponad centrum Szanghaju. Pod jego prawym skrzydłem wiła się wstążka rzeki Huangpu. Pożary trawiące stocznię Hudong znajdowały się na godzinie pierwszej. Graves nie musiał jednak naprowadzać maszyny bezpośrednio na cel, gdyż w odpowiednim momencie urządzenia naprowadzające bomb miały wziąć na siebie rolę wytrawnego celowniczego.

Po chwili „Księżycowym psem 505” dwukrotnie szarpnęło. Zamigotały lampki kontrolne na panelu sterowania uzbrojeniem.

–Bomby poszły – cicho zameldowała Pyza.

Ładunki zrzucone przez lotnictwo morskie określano trudnym do rozszyfrowania akronimem JDAM/CSV, oznaczającym pociski rażenia bezpośredniego z kamuflażem antyradarowym. Bomby były pokryte tym samym materiałem pochłaniającym promieniowanie radarowe, co poszycie samolotu. Teraz, zwolnione z uchwytów wyrzutni, rozpoczęły swój krótki samodzielny żywot.

Z ich kadłubów wysunęły się stateczniki i deltoidalne skrzydła, a sterowane odczytami GPU urządzenia naprowadzające zaczęły regulować położenie płatów sterowych. Ten sam system satelitarny, pozwalający dokładnie ustalić współrzędne geograficzne dowolnego miejsca na ziemi, który prowadził jak po nitce samoloty pasażerskie, a podróżnikom zagubionym w pustkowiach umożliwiał powrót do domu, teraz nakierowywał dwa jednotonowe ładunki na zaprogramowane miejsca. Były to punkty rozmieszczone w odległości dwudziestu metrów od obu skrzydeł budynku administracyjnego stoczni, dokładnie w połowie ich długości, na poziomie drugiego piętra.

„Księżycowy pies 505” mijał właśnie rejon bombardowania, toteż Pyza obróciła nieco obiektyw czołowego skanera termolokacyjnego, żeby nie tracić z oczu celu. Włączyła też zapis, by utrwalić zniszczenia spowodowane przez ich bomby. Odliczała szeptem:

–Trzy... dwa... jeden...

Drugie piętro południowego skrzydła budynku załała nagle olbrzymia struga ognia. Zanim jeszcze górne piętra zdążyły się zwalić na ziemię, podobna eksplozja nastąpiła kilkadziesiąt metrów dalej.

Całkiem nieźle, oceniła w myślach Zellerman. Chyba mogło być lepiej, ale i tak nieźle.

–Oba ładunki w celu – zameldowała przez interfon. – Dobra robota. Prosto w grządkę ogórków.

–Przyjąłem. Wynosimy się stąd.

Kret pchnął drążek w prawo, zwiększając jednocześnie nacisk stopy na prawy orczyk. „Księżycowy pies 505” pochylił się łagodnie na skrzydło i skręcił na wschód. Chwilę później Graves pchnął do przodu obie dźwignie gazu i zwiększył szybkość maszyny. Wywołane chwilowym przeciążeniem oraz zwiększeniem ciągu wycie silników przybrało na sile, myśliwiec zaczął się szybko zbliżać do bariery dźwięku.

Pod prawym skrzydłem zniknęły ostatnie odblaski pożarów w szerokiej wstędze Jangcy. Już za parę sekund mieli przelecieć nad linią brzegową i znaleźć się z powrotem nad oceanem.

Amerykańscy piloci wojskowi nazywają to „złapaniem blondyny”. Strzał nie był nawet wymierzony w „Księżycowego psa 505”. Pocisk kalibru 100 mm wystrzelono na ślepo ze stanowiska oddalonego o osiem kilometrów. Uszkodzony zapalnik ciśnieniowy nie zadziałał, pocisk osiągnął szczyt trajektorii i opadał już ku ziemi, gdy napotkał na swej drodze myśliwca.

Jego czujnik zbliżeniowy zaledwie musnął krawędź lewego steru wysokości „Morskiego drapieźnika”.

Na szczęście wybuch oślepił Gravesa tylko na parę sekund. Pilot szybko odzyskał orientację i stwierdził, że świat wokół nich oszalał. Gwałtowne zmiany siły ciężkości świadczyły wyraźnie, że maszyna spada korkociągiem. W panice ściągnął na siebie stery, próbując zapanować nad samolotem, ale natychmiast się przekonał, że nie ma wpływu na położenie żadnego z elementów usterzenia.

Kilka działających jeszcze systemów kontrolnych sygnalizowało uszkodzenia, na pulpicie migotały czerwone lampki. Całą kabinę wypełniał pomarańczowy blask płomieni. Z zewnątrz dolatywały głośnie trzaski i skrzypienia nadwerężonych części nośnych. Nie ulegało wątpliwości, że czas służby tej maszyny w lotnictwie morskim dobiegł właśnie końca.

–Katapultuj się! – wrzasnął. – Słyszysz?! Skaczemy!

Z trudem pokonując narastające przeciążenie, sięgnął do umieszczonej nad głową dźwigni odrzucającej osłonę i odpalającej katapultę. Ułożył palce na uchwycie, starając się jednocześnie przywrzeć plecami do oparcia fotela i złączyć kolana. Po chwili energicznie szarpnął dźwignię do dołu.

Odskoczyła osłona i do kabiny z głośnym wyciem wdarł się chlastający po twarzy pęd powietrza mający siłę huraganu. Przez ten huk ledwie dotarł do jego uszu

wystrzał katapulty drugiego fotela. Bardziej wyczuwalna była fala żaru z silników rakietowych, jaka go omiotła. Chwilę później i jego fotel został wyrzucony na zewnątrz. Tym razem Kret na dobre stracił przytomność.

Bliżej ujścia rzeki, już prawie nad zaporą minową, Arkady zamarł za sterami, gdy w słuchawkach rozległo się znajome, przerażające popiskiwanie. Wysoki, przenikliwy ton brzęczyka specjalnie był tak dobrany, żeby zagłuszyć wszelkie inne dźwięki.

Sygnał namiernika awaryjnego zestrzelonej amerykańskiej załogi faktycznie rozbrzmiewał jak zwiastun nieszczęścia.

–Szara dama, tu zero jeden! – zawołał do mikrofonu, przekrzykując natrętny elektroniczny pisk. – Odbieram sygnał awaryjnego namiernika. Też go wyłapujecie?

–Tak, odbieramy – odpowiedziała z Kruczego gniazda Christine Rendino. – Dostrajam właśnie odbiornik triangulacyjny... Już mam. Nadajnik znajduje się na zachód od was, w górze Jangcy.

–Możesz potwierdzić, że to sygnał awaryjny naszej załogi? Naprawdę straciliśmy jeden z myśliwców?

–Chwileczkę, zero jeden. Zaraz to sprawdzę.

Na mostku Amanda słuchała tej wymiany zdań w pełnym napięcia milczeniu. Teraz postanowiła włączyć się do rozmowy.

–Centrum, spróbujcie odnaleźć w zapisie moment zamilknięcia transpondera zestrzelonego samolotu. Radio, przekaż na okręt flagowy meldunek, że prawdopodobnie jeden z naszych myśliwców został trafiony.

–Admirale, nadszedł meldunek z „Cunninghama”, że „Księżycowy pies 505” został chyba zestrzelony.

–Niech to szlag! – syknął Tallman. – Kiedy miał wrócić ten samolot?

–Powinni teraz przelatywać nad linią brzegową – odpowiedział dowódca sił powietrznych lotniskowca.

–Spróbujcie się jeszcze z nimi skontaktować – rozkazał Tallman. – Powiadomcie też załogę samolotu zwiadowczego, żeby postarała się odnaleźć sygnał transpondera radarowego myśliwca. Przede wszystkim chcę wiedzieć, czy jest on jeszcze w powietrzu!

–Panie admirale – odezwał się łącznościowiec, unosząc wzrok znad konsoli. – Mamy już potwierdzenie z hummera, że wychwycili dwa sygnały awaryjnych

radionamierników na tej samej pozycji, którą podał w meldunku „Cunningham”, natomiast skan radarowy wywołał impuls urządzenia identyfikacyjnego. Na pewno chodzi o „Księżycowego psa 505”.

–Sprawa jasna – mruknął dowódca. – Straciliśmy jedną maszynę.

–A niech to jasny szlag!

MacIntyre mógł tylko biernie obserwować te chwile wściekłości i frustracji dowódcy floty. Znał jednak dobrze ów koszmar, prześladowający wszystkich oficerów wyższego szczebla od czasów wojny koreańskiej. Teraz także załoga zestrzelonego samolotu znalazła się na terytorium wroga. Ich przeciwnicy zawsze domagali się na arenie międzynarodowej, by Stany Zjednoczone ściśle przestrzegały wszelkich konwencji, podczas gdy sami czuli się upoważnieni do traktowania amerykańskich jeńców według własnego upodobania.

Wstał z krzesła i podszedł do stołu mapowego.

–Czy mamy już namiary źródeł owych sygnałów awaryjnych? – zapytał.

–Chyba tak, panie admirale – odparł dowódca sił powietrznych, stając u jego boku.
– „Książę” powinien bez trudu wykonać pomiary triangulacyjne.

–Rozumiem. Jake, spójrz na to.

–O co chodzi, Eddie Mac? – zapytał Tallman, odwracając się do ekranu.

–Wcale nie wygląda to tak źle, jak mogłoby się wydawać. Przyjrzyj się mapie sytuacyjnej. Położenie źródeł sygnałów awaryjnych sugeruje, że załoga katapultowała się nad Jangcy. Prawdopodobnie wylądowała w wodzie. Sądzę, że nie powinno być większych kłopotów z wyciągnięciem jej stamtąd.

–Łatwo czy nie, musimy ratować ludzi. I to jak najszybciej!

Pierwszą rzeczą, jaką dotarła do świadomości Gravesa, była niezwykła cisza, którą zakłócał tylko cichy szum, przypominający szelest wiatru w koronach drzew. Dopiero później poczuł dotkliwy ból przeszywający lewe ramię.

Właśnie ten ból kazał mu natychmiast otworzyć oczy. Kret zorientował się szybko, że wisi w uprząży spadochronu pod rozpostartą czaszą. To, co wziął za szum liści, było odgłosem wiatru uderzającego w napięte linki. Zapomniał szybko o bólu. Mógł władać ręką i nie czuł ściekającej po skórze krwi, doszedł więc do wniosku, że najwyżej zwichnął sobie ramię podczas katapultowania.

Jego myśli powędrowały ku Pyzie. Wykręcił się w uprząży i rozejrzał dookoła,

powtarzając w duchu jakąś ułożoną naprędce modlitwę. Niczego tak nie pragnął w tej chwili, jak widoku drugiego rozpostartego spadochronu na tle mrocznego nieba.

Zauważył go szybko. Pyza kołysała się w uprzęży ponad nim, nieco z prawej strony. Była lżejsza od niego, a więc opadała wolniej. Pod nimi otwierała się czarna otchłań, tylko w oddali jaśniały ognie pożaru czy też paliły się jakieś światła. Mieli więc trochę szczęścia w nieszczęściu, Graves był bowiem przekonany, że nie powinni oczekiwać niczego dobrego ze strony miejscowej ludności.

Pospiesznie skontrolował swój sprzęt ratunkowy, mając nadzieję, że nie ucierpiał szczególnie podczas katapultowania. Przede wszystkim sprawdził, czy jest na miejscu awaryjny namiernik radiowy. Na jego obudowie świeciła już dioda, a więc namiernik uruchomił się automatycznie na skutek wstrząsu odpalenia ładunku katapulty. Był także pojemnik z żelazną racją żywnościową i środkami opatrunkowymi oraz tratwa pneumatyczna – cały ten zestaw kołysał się na linie trzy metry pod nim.

Sięgnął do sygnalizatora podczerwonego wszytego w kamizelkę ratunkową i jednym ruchem przełamał szklaną fiolkę znajdującą się w miękkiej plastikowej obudowie. Zainicjowana reakcja chemiczna wytwarzała dosyć energii cieplnej, żeby sygnalizator był widoczny na ekranach skanerów termolokacyjnych przez kilka godzin.

Zwisająca linka poluzowała się nagle. W całkowitych ciemnościach Kret źle ocenił szybkość opadania i gdy jego stopy gwałtownie zanurzyły się w wodzie, zaskoczony aż zaklął pod nosem.

Nurt zamknął się nad nim, lecz kamizelka szybko napełniła się powietrzem i wyniosła pilota na powierzchnię. Parskając i prychając, oczyścił usta ze słonawej, cuchnącej wody. Szarpnął uchwyt zamka, uwalniając się z uprzęży spadochronu, po czym błyskawicznie ściągnął z głowy hełm. Kilka metrów od niego właśnie osiadała na falach druga nylonowa czasza.

–Pyzo! Hej, Pyzo! – zawołał, ale nie było odpowiedzi.

Krzywiąc się z bólu i walcząc ze ściągającym go pod wodę sprzętem, próbował kilkoma wymachami ramion podплыnąć do Zellerman, lecz dystans między nimi ani trochę się nie zmniejszył. W przyływie desperacji dobył noża i odciął linkę mocującą do jego szelek sprzęt ratunkowy. W takiej sytuacji wołał go poświęcić, doszedłszy do wniosku, że jeśli w najbliższym czasie nie zostaną wyciągnięci przez swoich kolegów, i tak skończą w chińskim obozie jenieckim.

W końcu zdołał zacisnąć palce na linkach spadochronu i przyciągnął Zellerman do siebie. Unosiła się na wodzie nieruchomo, była nieprzytomna albo martwa. Graves gorączkowo uwolnił ją z uprzęży spadochronu, zdjął hełm i przytknął palce do szyi.

Po chwili wyczuł słaby puls. Wyciągnął z kieszeni sygnalizator świetlny i przyświecając sobie nim jak latarką, popatrzył na twarz Pyzy. Z jej nosa i rozciętej skóry na brodzie ciekła krew, ale najważniejsze było to, że Zellerman jeszcze żyła.

Przerzucił sobie jej rękę przez szyję, ułożył się na plecach i przytuliwszy do siebie nieprzytomną koleżankę, dał się ponieść leniwemu prądowi rzeki.

–Wszystko będzie dobrze, Pyzo – mruknął gardłowo, próbując w ciemnościach wypatrzeć coś wokół siebie. – Na pewno po nas przylecą.

–Uwaga, wszystkie jednostki biorące udział w operacji, tu okręt flagowy. Jeden z „Księżycowych psów” został zestrzelony. Załoga znalazła się w wodach delty Jangcy. Podejmujemy akcję ratunkową. Powtarzam, podejmujemy akcję ratunkową. Jednostki poszukiwawczo-ratownicze mają przystąpić do realizacji planu operacyjnego Alfa pięć. Panda trzy trzy, natychmiast udać się w rejon zestrzelenia. Oba Pазie dopomogą w poszukiwaniach i zapewnią osłonę. „Cunningham”, pozostać na obecnej pozycji i w miarę potrzeby udzielić niezbędnego wsparcia. Potwierdzić przyjęcie nowych rozkazów.

–Panda trzy trzy do okrętu flagowego. Schodzę z posterunku i ruszam na pozycję namiernika awaryjnego.

–„Cunningham” do okrętu flagowego. Płyniemy na dogodną pozycję w rejonie poszukiwań.

Amanda wychyliła się z kapitańskiego fotela i popatrzyła na stojącego z tyłu oficera wachtowego.

–Panie Freeman, niech pan przeprowadzi okręt na wysokość ujścia kanału Beikao Hangdo. Proszę zająć posterunek pięćset metrów od czoła zapory minowej, którą wcześniej mapowaliśmy na podstawie odczytów GPU.

–Rozkaz, pani kapitan.

–Centrum informacyjne, otrzymaliśmy zadanie wsparcia operacji poszukiwawczej i ratunkowej w wejściu do delty. Zachowajcie czujność. Będziemy jedyną jednostką osłaniającą naszych ludzi.

Amanda pomyślała, że w takiej chwili szczególnie istotne jest opanowanie. W głębi ducha bowiem miała straszną ochotę cisnąć hełmem o pokład mostka i na głos złożyć Bogu, że do tego dopuścił.

–Przynajmniej umilkły te cholerne działka przeciwlotnicze – mruknął Grestovitch z tylnego fotela w kabinie Pазia zero jeden.

–I to mnie właśnie martwi, Gus.

–Dlaczego, poruczniku?

–Lotem błyskawicy rozejdzie się teraz wieść, że nalot dobiegł końca, a gdy minie zaskoczenie, natychmiast odtworzona zostanie łączność i kontrolę przejmą punkty dowodzenia. Tylko patrzeć, jak łobuzy zaczną się rozglądać po całej okolicy i zastanawiać, co my tu jeszcze robimy.

–To prawda.

Śmigłowiec posuwał się wolno w górę rzeki tą samą trasą, co poprzednio. Tym razem jednak poszukiwali zgoła odmiennego obiektu.

–Gus, przejmij kontrolę nad czołowym skanerem termolokacyjnym, ja się skupię na noktowizorze. I zwracaj uwagę, czy nie pojawi się w pobliżu żadna wroga jednostka.

–Rozkaz. Chce pan mieć uzbrojenie w pełnej gotowości?

–Jak najbardziej. Pokrywy przedziałów otwarte, silniki rakiet wygrzane. Osłabimy trochę naszą zasłonę kamuflażową, lecz wolę być przygotowany na każdą ewentualność.

Na kanale łączności taktycznej wciąż rozbrzmiewał nieprzyjemny pisk namiernika awaryjnego, toteż Arkady przełączył się na częstotliwość zapasową.

–Szara dama, tu zero jeden. Prześlijcie mi właściwe namiary na cel.

–Zero jeden, lecisz w dobrym kierunku – prawie natychmiast odpowiedział Ken Hiro.

– Powinieneś ich mieć przed sobą, w promieniu kilkudziesięciu metrów.

–Zrozumiałem.

Vince przełączył się na awaryjny kanał łączności.

–„Księżycowy pies pięćset pięć”, słyszysz mnie? Odbiór! Tu Paź zero jeden. Odezwiście się do mnie! Gdzie jesteście?

Zaledwie zwolnił przycisk nadajnika, w jego słuchawkach rozległa się natychmiastowa odpowiedź:

–Paź zero jeden, tu „Księżycowy pies pięćset pięć” – wychrypiał ktoś, ze świstem nabierając powietrza.

–„Księżycowy pies”, gdzie jesteście? – zapytał Arkady.

–Spadliśmy do rzeki, dryfujemy jakieś sto pięćdziesiąt metrów od brzegu. Muszę holować moją operatorkę urządzeń pokładowych, jest nieprzytomna. Ja chyba zwichnąłem sobie ramię, ledwie mogę ruszać lewą ręką.

–Czy widzisz gdzieś w pobliżu wrogie jednostki?

–W zasięgu wzroku pusto.

–Co w ogóle widzisz? Możesz mi wymienić jakieś punkty orientacyjne?

–Widzę coś jak... dwie płonące szopy na nabrzeżu. Mniej więcej kilometr w górę rzeki.

–Rozumiem. To z pewnością port rybacki zniszczony rakietami „Księcia”. – Arkady popatrzył przez szybę na wspomniane płonące zabudowania. Znajdowały się całkiem blisko.

–„Księżycowy pies”, czy słyszysz mój rotor?

–Tak, słyszę cię w dole rzeki. Mam flary i sygnalizator impulsowy. Chcesz, żebym go włączył?

–Nie, nie rób tego. Nie oświetlaj swojej pozycji, dopóki nie zostaniesz do tego zmuszony. Przełamałeś sygnalizator podczerwony?

–Tak.

–To powinno wystarczyć. Za parę sekund namierzemy was termolokatorem.

Arkady zatrzymał śmigłowiec w powietrzu.

–Gus, przeczesz okolicę skanerem. Szukaj przed dziobem. Powinieneś wychwycić aktywne źródło ciepła.

–Rozkaz... Mam ich! Dwa aktywne źródła w niewielkiej odległości.

–W porządku!

–Nieco dalej na brzegu widzę wrogi pojazd.

Tymczasem Panda trzy trzy znajdowała się jeszcze pięć mil od brzegu. Śmigłowiec SH-60 leciał tuż ponad falami, trzymając się poniżej horyzontu radarowego. Po chwili skręcił na zachód i pełną szybkością ruszył w górę delty Jangcy.

Była to maszyna specjalnie przystosowana do zadań poszukiwawczo-ratowniczych. Pozbawiono ją zasobnika ze sprzętem do poszukiwań podwodnych, aktywnego

sonaru zanurzeniowego, jak również wyrzutni pocisków rakietowych. Zamiast tego miała dodatkowe zbiorniki na paliwo i wyciągarkę na obrotowym ramieniu dźwigu, a ciężki karabin maszynowy kalibru 12,7 mm zamontowano tuż przy drzwiach przedziału bagażowego. W skład załogi wchodziło dwóch pływonurków, strzelec i pielęgniarz.

–Panda trzy trzy, tu Paż zero jeden.

–Słucham cię, zero jeden.

–Namierzyliśmy „Księżycowego psa”. Załoga pływa w południowym korycie rzeki, około kilometra na wschód od portu Weigaociao. Znajdujemy się nad nią. Na razie dookoła panuje spokój, ale to nie będzie trwać wiecznie. Pospieszcie się.

–Już do was lecimy, zero jeden – odpowiedział pilot Pandy. – Zostań na miejscu. Będziemy przy was za jakieś osiem minut.

Pilot śmigłowca ratunkowego pchnął jeszcze dalej dźwignie gazu, dobywając całej mocy z obu silników turbodrzutowych. Zaliczał się do tej grupy lotników, którzy z pogardą myśleli o kolegach latających na tradycyjnych helikopterach wirnikowych. Ale teraz, w sytuacji awaryjnej, zapomniał o wszelkich zadawnionych animozjach. W tego typu akcjach nie miały żadnego znaczenia różnice poglądów.

–Szef lotnictwa melduje, że nad zestrzeloną załogą są już nasze śmigłowce, panie admirale – rzekł cicho komandor Walker. – Na razie wokół nich panuje spokój. Helikopter ratowniczy już podchodzi do tamtego rejonu.

–Więc jak dotąd nie ma się czym martwić, Jake – skomentował MacIntyre, krzyżując ręce na piersi i opierając się o stół mapowy.

Tallman wydał z siebie nieartykułowany pomruk.

–Może masz rację, Eddie Mac. Ale pamiętaj, że nawet o jeden drobny sukces jest trudno, za to nieszczęścia chodzą parami.

Nie wiadomo, z jakiego powodu albatros jest uważany przez marynarzy za zły znak. Ten, który się właśnie znalazł w pobliżu, o tysiące mil na zachód od zwykłego szlaku wędrówek z bieguna północnego na południowy, został zepchnięty z trasy przelotu przez gwałtowny letni sztorm. Bezgłośnie rozcinał mrok nocy, szybując na skrzydłach o rozpiętości trzech metrów, i trwał w charakterystycznym dla siebie letargu, zapewniającym mu odpoczynek w trakcie wielomiesięcznej powietrznej odysei.

Olbrzymi morski ptak był tak odrętwiały, że nie zauważył zbliżającego się innego „ptaka”, jeszcze szybciej lecącego w ciemnościach.

Nic nie zwiastowało nieszczęścia. Nagle z mroku wyłonił się wielki biały obiekt, huk zderzenia wstrząsnął maszyną.

–Co jest, do cholery?! – wrzasnął drugi pilot Pandy, zaciskając palce na drążkach.

–Nie mam pojęcia, Danny! Chyba coś nam wpadło w śmigło! – krzyknął dowódca.

Całym helikopterem wstrząsały silne wibracje, nie dało się nawet odczytać wskazań przyrządów pokładowych.

–Rotor uszkodzony!

–Naprawdę? Jasna cholera! Przekaż na okręt flagowy, że musimy się wycofać z tego rejonu! I powiadom „Cunninghama”, że będziemy lądować w trybie awaryjnym!

–Kapitanie, w wodzie są nasi ludzie!

–Wiem, lecz najdalej za dwie minuty do nich dołączymy, jeśli zaraz gdzieś nie wylądujemy!

Drugi pilot zwrócił uwagę, że przednia szyba jest czymś umazana. Otworzył boczne okno, przetarł szybę rękawicą, po czym obejrzał ją dokładnie przy blasku przyrządów w tablicy rozdzielczej. Bez wątpienia były to ślady krwi, do której przykleił się mały kawałek białego pióra.

–Jasny gwint! Wpakowaliśmy się na mewę!

Ludziom przebywającym w wodzie coraz bardziej dawał się we znaki chłód. Z powodu panujących upałów ani Kret, ani Pyza przed rozpoczęciem operacji nawet nie pomyśleli o włożeniu izolowanych skafandrów termicznych, teraz jednak musieli tego żałować.

W dodatku niespodziewanie po wodzie zaczęły się nieść odgłosy z brzegu. Kilkakrotnie doleciał do nich warkot ciężarówek, w oddali zamigotały światła reflektorów. Raz, gdy na chwilę odleciały kołujące helikoptery, do uszu Gravesa dotarł nawet gwar ludzkich głosów.

Ponownie sięgnął do kieszeni na piersi po krótkofalówkę.

–Paż zero jeden, tu pięćset pięć. Miejscowi zaczynają się trochę denerwować.

–Widzimy ich. O nic się nie martwcie. Pozostajemy w pobliżu.

–Zrozumiałem, zero jeden. Gdzie jest ten śmigłowiec ratowniczy?

–No cóż, nie będę ukrywać, że pojawiły się drobne kłopoty.

Przemarźniętego Gravesa przeszył dreszcz grozy. Jeden z jego najlepszych przyjaciół także powiadomił kiedyś beztrąsko o „drobnych kłopotach”, a pół minuty później zginął w tragicznej katastrofie.

W górze rzeki zapalił się nagle silny reflektor kierunkowy, snop niebieskawego światła rozciął ciemność niczym ostrze sztyletu.

–Cholera! – Arkady gwałtownie uniósł przed oczu ekran noktowizora.

–Poruczniku! Na brzegu pojawiła się ciężarówka ze szperaczem!

–Widzę!

Śmigłowiec skoczył w kierunku źródła światła jak rozzłoszczony szerszeń.

–Uruchom wyrzutnie Hydra! Uzbrój cztery pociski odłamkowe!

–Hydra gotowa!

Snop reflektora wyłowił pędzący ku niemu helikopter, całą kabinę zalał oślepiający blask, przyćmiewając wskazania przyrządów wyświetlane na przedniej szybie maszyny. Arkady znów uniósł rękę do hełmu i tym razem opuścił filtr przeciwsłoneczny. Ani trochę nie zwalniając, pospiesznie odpalił rakiety.

Pociski typu Hydra, służące do zwalczania celów naziemnych, uzbrojone były w głowice odłamkowe M255. Gdy osiągnęły krytyczne przyspieszenie, każda z głowic rozdzieliła się na pięćset osiemdziesiąt pięć niezależnych drobnych ładunków. W sumie na wojskową ciężarówkę runęła lawina ponad dwóch tysięcy niewielkich pocisków. Samochód i reflektor zostały całkowicie zniszczone, zginęli wszyscy żołnierze w promieniu pięćdziesięciu metrów.

Tylko doświadczenie Vince’a pozwoliło mu bez kłopotów zawrócić śmigłowiec w zupełnych ciemnościach i skierować z powrotem ku nurtowi rzeki.

–Zasrane szczęście, Gus. Wygląda na to, że dziś stracimy po kilka nadgodzin.

–Nie ma na to rady, poruczniku.

Amanda obserwowała na ekranie monitora, jak uszkodzony śmigłowiec ratowniczy siada ciężko na rufowym pokładzie „Księcia”.

–Kontrola lotów, tu mostek. Ściągnijcie jak najszybciej tę maszynę do hangaru. Chcę mieć wolne lądowisko!

–Rozkaz, kapitanie.

Sytuacja komplikowała się z minuty na minutę. Garrett bez przerwy trzymała rękę na skraju pulpitu łączności i przełączała się wciąż między różnymi kanałami a interfonem, usiłując nadal panować nad biegiem zdarzeń.

–Wzywam Szarą damę! Szara dama, tu zero jeden! Słyszysz mnie? – rozległy się gniewne okrzyki Arkady’ego.

–Słucham, zero jeden.

–Kiedy się wreszcie doczekamy na ten śmigłowiec ratowniczy?

–Według dowództwa floty nie wcześniej niż za półtorej do dwóch godzin.

–No to jesteście załatwieni. Nie wytrzymamy aż tyle. Czerwoni coś zwąchali, już musiałem rozwalić ich patrol na brzegu rzeki. Wiedzą, że tu jesteście, i lada moment pewnie nas zaatakują.

–Dacie radę odciągnąć ich od rozbitków?

–Tylko tak długo, na ile starczy nam amunicji. O cholera! Zero dwa, zwiewaj stamtąd! Jesteś pod ostrzałem!... Szara dama, rozłączam się. Przez jakiś czas będę zajęty!

–Zrozumiałam, zero jeden.

Amanda w zamyśleniu wyciągnęła wtyczkę swoich słuchawek z gniazdka w konsoli łączności. Potrzebowała do namysłu kilku sekund spokoju, z dala od narastającego rozgardiaszu.

Mimowolnie huknęła pięścią o poręcz fotela. Zerwała się na nogi i w dwóch susach podbiegła do centralnego stołu mapowego. Błyskawicznie zaczęła przełączać na ekranie mapy ukazujące szlaki wodne prowadzące w głąb delty i rozmieszczenie ładunków w zaporze minowej.

–Jak, do jasnej cholery, mogło do tego dojść?! – wycedził admirał Tallman.

–Według planów operacyjnych śmigłowce z „Cunninghama” miały przejąć zadania helikoptera ratowniczego w razie jego awarii bądź zniszczenia – wyjaśnił cicho szef sztabu. – Autorzy tej części planu widocznie nie wiedzieli, że w skład sekcji lotniczej niszczyciela wchodzi wyłącznie maszyny rozpoznawczo-bojowe.

–Ile czasu zajmie przygotowanie drugiego helikoptera ratowniczego?

–Najwyżej pięć minut. Wydałem już odpowiednie rozkazy.

–A co z myśliwcami osłonowymi?

–Samoloty są na windach.

–Admirale! – przerwał im jeden z radiooperatorów. – Kolejny meldunek z Pazia zero jeden. Chińczycy rozpoczęli ich ostrzał z brzegów rzeki.

–Niech to wszystko szlag trafi! Przekażcie zero jeden, że wysyłamy wsparcie!

Tallman zaczął nerwowo krążyć po całej sali, chcąc w ten sposób rozładować rosnące napięcie. MacIntyre odprowadził go wzrokiem pełnym współczucia. Doskonale wiedział, że chyba nie ma gorszej sytuacji dla żadnego dowódcy wojskowego, niż świadomość gruntu usuwającego się spod stóp i poczucie utraty kontroli nad wydarzeniami, które mogą wkrótce doprowadzić do krwawej jatki.

–Uspokój się, Jake – powiedział cicho. – Masz pod swoją komendą świetnych fachowców, już oni uporają się z kłopotami.

–To prawda, panie admirale – dodał Walker. – Musimy zachować zimną krew, bo pochopne działania tylko przysporzą dalszych trudności. Przede wszystkim należy dążyć do zminimalizowania ryzyka dalszych strat w ludziach.

Tallman burknął coś niezrozumiale w odpowiedzi, spoglądając w mrok za szybą.

–Admirale! – ponownie odezwał się łącznościowiec. – Meldunek z „Cunninghama”. „Jestem na pozycji u wejścia w głąb delty Jangcy. Proszę o zgodę skierowania okrętu w górę rzeki w celu wzięcia rozbitków na pokład”.

–Mój Boże! – jęknął Walker. – Co tej kobiecie strzeliło do głowy?!

–To nie wszystko, proszę pana – dodał łącznościowiec niepewnym głosem. „Ewangelia według świętego Mateusza, rozdział osiemnasty, werset dwunasty”.

–Co to ma być, do diabła?! – wykrztusił Walker.

–Już wyjaśniam – wtrącił cicho MacIntyre. – „Jak wam się zdaje? Jeśli kto posiada sto owiec i zabłąka się jedna z nich, czy nie zostawi dziewięćdziesięciu dziewięciu na górach i nie pójdzie szukać tej, która się zabłąkała?”

Kiedy podniósł głowę, napotkał utkwione w sobie nieruchome spojrzenie Tallmana.

–Do czego zmierzasz, Eddie Mac?

–To twoje przedstawienie, Jake. Ja jestem tylko biernym obserwatorem.

–Wspaniale! A może byś się jednak podzielił ze mną swoimi spostrzeżeniami?! Myślisz, że ona faktycznie potrafi wprowadzić okręt w głąb delty i wyciągnąć z wody moich ludzi?

MacIntyre zawahał się na moment, rozważając, czy warto rezygnować z roli obserwatora.

–Nie wiem, czy zdoła wyciągnąć twoich ludzi – odparł w końcu. – Pewne jest to, że jeśli w ogóle istnieje możliwość skierowania niszczyciela w górę rzeki, Garrett z pewnością tego dokona. Gdybym więc miał podejmować decyzję w tej sprawie, pozwoliłbym jej działać.

–Admirale! – wybuchnął Walker. – Jeżeli wyśle pan „Cunninghama” w górę rzeki, narazi pan okręt o wartości wielu miliardów dolarów i dwustu członków jego załogi na olbrzymie niebezpieczeństwo! Do tej pory straciliśmy tylko jeden samolot z dwuosobową załogą. Jeśli stracimy „Cunninghama” w trakcie panicznej akcji ratunkowej, powiększymy te straty dokładnie sto razy. Tak ogromne ryzyko w ogóle nie może być brane pod uwagę, admirale. To byłoby nielogiczne.

Tallman w zamyśleniu pokręcił głową.

–Masz rację, Nolan. Nie ma w tym ani krzty logiki. Ale tu nie chodzi o logikę, chłopcze, lecz o nasze zobowiązania wobec zestrzelonej załogi. W końcu ona także nie widziała ani krzty logiki w tym, by wypełniać moje rozkazy i dla jakichś wyższych celów narażać życie podczas akcji bojowej. Dlatego i ja teraz nie mogę sobie pozwolić na luksus przestrzegania kryteriów logiki i zrezygnować z prób wyciągnięcia tych ludzi z terytorium wroga. Przekażcie na „Cunninghama” wiadomość: „Kontynuować akcję ratowniczą. Macie zgodę na wpłynięcie w górę Jangcy”.

–Uwaga, wszystkie sekcje! – Przekazywany przez interfon głos Amandy zabrzmiał tak złowieszczo, że cała wachta w centrum informacyjnym mimowolnie obróciła głowy w kierunku głośników pod sufitem. – Sytuacja jest następująca. W wodach Jangcy dryfuje dwuosobowa załoga zestrzelonego samolotu. Helikopter ratowniczy uległ awarii, a rozbitkowie mają znikome szanse doczekania na przyłot następnego. Popłyniemy im na ratunek w górę rzeki. To... niełatwe zadanie, ale przecież potrafimy zadbać o własne bezpieczeństwo. Życzę wam i sobie powodzenia.

–O kurczę... – bąknął pod nosem Dix.

–Jaki jest status SQQ-32, panie Beltrain? – zapytał spokojnym tonem Ken Hiro.

–System, uruchomiony i sprawdzony, komandorze. Gotów do użycia.

W rogu ekranu Alfa pojawiło się okno z odczytami sonicznego wykrywacza min. Na razie przed dziobem okrętu nie było żadnych obiektów. Ale tuż przy granicy monitorowanego obszaru majaczyły groźne cienie min strzegących wejścia do delty.

–Sekcja kamuflażowa – ponownie zabrzmiał opanowany, spokojny głos Amandy.

–Zgłaszam się.

–Proszę uruchomić zraszacze, panie McKelsie. Musimy wyeliminować możliwość wykrycia nas przez termolokatory czerwonych.

–Tak jest.

–Doskonale. Możemy ruszać.

–Na razie silniki pracują małą naprzód, panie Hiro – zameldował z mostku sternik. – Prędkość: pięć węzłów.

Widoczne na ekranie echa min zaczęły powoli przesuwać się ku rufie, wreszcie zniknęły z pola widzenia. Okręt zagłębiał się w wąski szlak prowadzący przez zaporę minową.

–Oficer wachtowy – rzekł Hiro do mikrofonu. – Proszę ustawić aparaturę na odczyty GPU w odstępach półminutowych i stale uaktualniać dane przesyłane do Nawikomu. Chciałbym móc bez trudu odnaleźć drogę powrotną, gdybyśmy utracili boczny sonar kierunkowy.

–Rozkaz, komandorze – odparł oficer wachtowy spiętym głosem.

Christine Rendino wyszła z Kruczego gniazda i stanęła przy stanowisku Beltraina, wbijając wzrok w ekran sonaru.

–Jasne jak słońce... – mruknęła. – Nie znoszę, kiedy ona podejmuje takie akcje.

–Boisz się?

Christine przytaknęła ruchem głowy.

–Ale to jeszcze pestka. Chyba znacznie gorsze jest poczucie zniewolenia. Ja za żadne skarby świata nie zdecydowałabym się na coś podobnego.

–Mnie też by raczej zabrakło odwagi.

Płonący na nabrzeżu budynek i dwa samochody bardziej przeszkadzały w pilotowaniu śmigłowców niż stanowiły punkt orientacyjny. Oba Pазie z wolna przesuwały się nad nurtem rzeki, osłaniając dryfujących rozbitków z „Księżycowego psa 505”.

Vince po raz setny analizował w pamięci wykaz dostępnego uzbrojenia. Wciąż miał pod skrzydłami pociski typu Hellfire, ale pozostało mu tylko pięć rakiet hydra. Przeczucie podpowiadało mu, że między chatami rybackiego miasteczka i w okolicznych zaroślach kręci się coraz więcej żołnierzy i uzbrojonych milicjantów. Jak

dotąd oba Pазie dały im srogą lekcję możliwości bojowych Komanczów, lecz na nieszczęście Chińczycy mogli sobie wybrać o wiele łatwiejszy cel.

–Zero jeden, znów ostrzeliwują nas z brzegu.

–Przyjąłem, pięćset pięć. Trzymajcie nisko głowy, zaraz spróbujemy ich uciszyć. Zero dwa, nakieruj ogień na brzeg. Wybierz najlepsze cele i poślij im po jednej hydrze.

–Zrozumiałam, zero jeden. Wykonuję.

Tylko oszczędzaj proch, szeryfie, dodał w myślach Arkady, bo nadciąga kolejna gromada zbirów.

Naprowadził obiektyw termolokatora na pas trzciny porastających mulisty brzeg Jangcy. Już od pewnego czasu rejestrował nasiloną aktywność w tamtej okolicy, a nie miał podstaw, by przypuszczać, iż żeruje tam stado bobrów. Rakieta pomknęła w stronę brzegu, chwilę później zwarta ściana trzciny została zrównana z ziemią, jak gdyby podcięta gigantyczną kosą. Pociski rozrzucone w promieniu wielu metrów wzbily w powietrze fontanny wody przemieszanej z mułem.

–Co ty na to, kolego?

–Mam nadzieję, zero jeden, że przypomnieliście tym łotrom o istnieniu sprawiedliwości boskiej. Dzięki.

Jego rozmówca odpowiadał takim tonem, jakby został uwięziony w najodleglejszym zakątku ziemi, z dala od wszystkich ludzi. Arkady świetnie wiedział, jak istotne jest dla rozbitka podtrzymywanie rozmowy, ale musiał też pamiętać o zachowaniu koniecznej dyscypliny w łączności krótkofalowej.

–Jak tam twoja operatorka, pięćset pięć?

–Jeszcze oddycha, zero jeden. Chyba wciąż czeka na nas pomiędzy bytem a nicością.

–Miło mi to słyszeć.

–Ale mam też mniej pocieszającą wiadomość, zero jeden. Zdaje się, że znosi nas bliżej brzegu.

Arkady zaklął pod nosem.

–Trzymaj się, Księżycowy psie. Zaraz sprawdzę, dlaczego musicie tak długo czekać na taksówkę. – Przełączył się na kanał łączności taktycznej. – Szara dama, tu zero

jeden. Musimy znać dokładny czas przybycia pomocy. Tutaj się robi coraz bardziej nieciekawie.

–Nie przyleci helikopter ratowniczy – oznajmiła Garrett beznamiętnym tonem. – Płyniemy w górę rzeki i sami wyłowimy rozbitków. Mijamy właśnie zaporę minową. Jeśli nic nas nie zatrzyma, dotrzemy do was mniej więcej za trzy kwadranse. Musicie wytrzymać do tego czasu.

–Zrozumiałem. – Zdumiony Vince nie potrafił wydusić z siebie ani jednego słowa więcej.

–Idziemy kursem trzy zero zero, kapitanie – zameldował sternik. – Korytarz w dalszym ciągu skręca na północ.

–Widzę – powiedziała Amanda, spoglądając ponad jego ramieniem na ekran monitora nawigacyjnego. – Czerwoni specjalnie tak ustawili korytarz, żeby utrudnić przejście. Przygotujcie się do nagłego zwrotu. I uwaga na płycizny. Gdy wyjdziemy na drugim końcu, z pewnością zacznie nam brakować wody pod kilem.

–Tak jest, kapitanie.

Nawet chiński okręt prowadzony przez pilota i płynący z włączonym wykrywaczem min miałby tu trudności z manewrowaniem. Nie wspominając już o tym, że chińskie jednostki nie musiały się niepokoić możliwością ostrzału.

Wycieraczki z cichym szumem zgarniały kropelki wody z przedniej szyby mostka, podobnie jak wtedy, gdy „Cunningham” poprzednio zjawił się w tym rejonie. Tyle że teraz mgła spowijająca okręt była dziełem pracujących zraszaczy. Urządzenia ciśnieniowe bez przerwy rozpylały wodę na górny pokład i wokół nadbudówki niszczyciela, dostosowując ciepłość okrętu do temperatury otoczenia.

–Sekcja kamuflażowa.

–Zgłasza się sekcja kamuflażowa.

–Nie ma w okolicy żadnych kierunkowych źródeł promieniowania radarowego, panie McKelsie?

–Nie, chyba unieszkodliwiliśmy wszystkie tutejsze stacje, kapitanie. Nikt nie próbuje nas zlokalizować.

–Przyjęłam.

McKelsie jednak się mylił. „Cunningham” dopiero zaczął się zagłębiać w południową część delty, gdzie na brzegu rzeki czyhało całe mnóstwo wrogich oczu, które z

uwagą wpatrywały się w mrok nocy, wypatrując pierwszych objawów nadciągających nieprzyjacielskich sił.

Tylko nie patrzcie na nas, upraszała je w myślach Amanda. Jesteśmy zwyczajnym cieniem na powierzchni wody.

I zostali zauważeni właśnie dlatego, że byli cieniem na wodzie. Okrętu nie wykrył żaden radar, jego przejścia nie zarejestrował termolokator. Sylwetkę niszczyciela wypatrzył wartownik czuwający w bunkrze na południowym brzegu Jangcy, który od zakończenia ostrzału Szanghaju wbijał wzrok w ciemność przed sobą.

Jedynym elementem odcinającym się od monotonnej czerni był samotny ognek pożaru szalejącego daleko na północnym zachodzie. Wcześniej wartownik dostrzegł tam kilka jaskrawych rozbłysków i domyślił się, że stacja radarowa na wyspie Ciuduan Sza także została zbombardowana, a jej ruiny wciąż się paliły.

Bez większego zainteresowania obserwował ów pożar, gdyż poza nim dookoła bunkra rozciągały się tylko nieprzeniknione ciemności. Dlatego też natychmiast zauważył, kiedy iskierka zniknęła. Musiało zasłonić ją coś, co płynęło po Jangcy, gdyż parę sekund później odległy pożar znów stał się widoczny. Wartownik sięgnął po słuchawkę telefonu i w pośpiechu zameldował o zaobserwowanym zjawisku.

Nieco dalej w górę rzeki na zamaskowanych stanowiskach uniosły się w niebo lufy dział. Z cichym jękiem siłowników hydraulicznych nakierowały się na wskazany odcinek delty.

–Mostek! – z głośnika interfonu doleciał lekko zachrypnięty głos Kena Hiro. – Korytarz ostro skręca w lewo!

–Widzimy, Ken! – Amanda znów stanęła obok stanowiska sterowego. – Ster lewo na burt, kurs dwa sześć... Nie, lepiej dwa sześć pięć. Tylko nie za gwałtownie!

–Jest ster lewo na burt, kurs dwa sześć pięć, kapitanie!

–Dobra, łagodnym łukiem... dwa siedem pięć... dwa siedem zero... Za szybko! Uwaga! Wychodzisz z korytarza!

Garrett błyskawicznie sięgnęła do dźwigni regulacji mocy i szarpnięciem na krótko zwiększyła obroty silnika elektrycznego w bakburtowej gondoli. Przerazająco powoli rufa „Księcia” odsunęła się od skrajnej miny na zakręcie korytarza, który na szczęście był utworzony w niezbyt gęsto porozmieszczanych ładunkach. Zarówno kapitan, jak i obaj marynarze pełniący wachtę przy stanowisku sterowym, głośno odetchnęli z ulgą. Dla dodania im otuchy Amanda ojcowskim gestem poklepała obu po ramionach.

–Centrum informacyjne, tu mostek. Minęliśmy zakręt korytarza i wróciliśmy na środek toru żeglownego. Daleko do końca zapory minowej?

–Trudno powiedzieć – odparła Christine Rendino. – To nadzwyczaj rozległa zaporą. Chińczycy musieli tu powtykać tysiące min.

–A my musimy uważać na każdą z osobna – skwitowała pod nosem Amanda.

Nagle musiała zapomnieć o zagrożeniach związanych z minami.

Z oddali doleciał huk. Kilka sekund później w powietrzu zaczął narastać wibrujący świst, który wkrótce stał się tak głośny, jak odgłos przelatującego przez stację pociągu pospiesznego. Ucięła go seria stłumionych trzasków i noc rozświetliły oślepiająco białe ognie.

Ktoś na mostku zaklął cicho, porażony nienaturalnym światłem. Tymczasem przed dziobem niszczyciela, kołysząc się w powietrzu, opadały powoli cztery jaskrawe flary podobne do wielkich płonących meteorytów.

–Mostek, tu centrum informacyjne! Wszystkie noktowizory szlag trafił! Co się tam dzieje, kapitanie?!

–To flary, Ken – rzuciła Amanda ze złością do mikrofonu. – Ktoś odpalił w naszym kierunku rakiety świetlne. Zostaliśmy zauważeni, to nie ulega wątpliwości. Poruczniku Beltrain, czy możemy zwiększyć prędkość bez uszczerbku dla pracy sonaru trasującego zaporę minową?

–Nie, pani kapitan. Jeśli przyspieszymy, szum silników spowoduje znaczne zakłócenia obrazu skanowanego przez hydrolokator.

–Rozumiem. Ogłaszam alarm dla obsługi wyrzutni pocisków SLAM i dział pokładowych. Przygotować się do otwarcia ognia. Przyjmiemy tę bitwę.

Działa batalionu obrony wybrzeża były stare, wyprodukowane przed pięćdziesięcioma laty w Związku Radzieckim. Utrzymywano je jednak w jak najlepszym stanie, a dobrze wyszkoleni artylerzyści bardzo długo czekali na taką sposobność. Padła głośna komenda, hydrauliczne podajniki wprowadziły do komór kolejne ładunki rakiet świetlnych kalibru 152 mm. Szczęknęły zamki, lufy dział ponownie naprowadzono na cel.

Kanonierzy odskoczyli, zasłaniając uszy rękami. Uruchomiono mechanizmy spustowe i w niebo wyleciały następne flary.

Z licznych betonowych umocnień na szczytach okolicznych wzgórz bez przerwy obserwowano żeglowne szlaki prowadzące w głąb delty. Teraz, w blasku rakiet,

żołnierze dokładnie wyregulowali szkła polowych lornet i wychycili w obiektywach odległościomierzy niezwykłą, podobną kształtem do płetwy rekina wieżę radarową okrętu posuwającego się z wolna korytarzem w zaporze minowej. Pospiesznie przekazali telefonicznie celowniczym baterii dane dotyczące kierunku i odległości do celu.

W centrum informacyjnym nie było słycać gwizdu nadlatujących pocisków, lecz na ekranach pojawiły się nagle gejzery wyrzuconej w górę wody, a całym niszczycielem wstrząsnęły fale uderzeniowe eksplozji.

–Poruczniku Rendino, jakich dział używają tutejsze baterie obrony wybrzeża? – zapytał Ken Hiro.

–Batalion dysponuje czterema sprzężonymi armatami, co daje łącznie osiem luf kalibru sto pięćdziesiąt dwa milimetry – wyjaśniła szybko Christine, cytując z pamięci dane wywiadowcze. – Działa są rozstawione za betonowymi umocnieniami na południowym brzegu rzeki.

–Strzelają salwami po cztery pociski, może więc nie wszystkie armaty są sprawne.

–Nie, panie komandorze – wtrącił Beltrain. – Prowadzą ostrzał naprzemienny, oszczędzając armaty. Cztery flary w zupełności wystarczą, żeby nas oświetlić. McKelsie, czy zostaliśmy namierzeni?

–Nie! – rzucił głośno dowódca sekcji kamuflażowej ze swego stanowiska w bocznym pomieszczeniu. – Nie wychytujemy żadnych radarowych wiązek naprowadzających. Chyba w ogóle nie próbują nas namierzyć za pomocą jakichkolwiek urządzeń.

–Rany boskie – mruknął Dix. – Chcą nas unicestwić tymi antykami.

–Jakimi antykami?! – zapytał ostro dowodzący w centrum Hiro.

–Klasycznymi pociskami z armat wyposażonych jedynie w celowniki optyczne! Przecież to zabytki z czasów drugiej wojny światowej! Ale w tej sytuacji neutralizują wszelką przewagę, jaką stwarza nam osłona antyradarowa i urządzenia kamuflujące. Będziemy musieli walczyć jak równy z równym, komandorze.

–Jak w podobnych okolicznościach zachowywali się żołnierze podczas tamtej wojny?

–Zwiewali, gdzie pieprz rośnie!

Ken Hiro popatrzył na okienko sonaru w rogu ekranu Alfa i jaśniejące w nim złowieszcze plamy min otaczających okręt ze wszystkich stron.

–Mam nadzieję, że w dzisiejszych czasach znajdzie się jeszcze jakiś inny sposób – powiedział.

Z kabiny śmigłowca doskonale były widoczne rozbłyski flar nad wschodnim horyzontem.

–Do diabła, Gus! Co tam się dzieje?

–Nie wiem, poruczniku. Ale przed chwilą włączył się nadajnik radarowy systemu Aegis na „Księżcu”.

–Aha, widzę. Mam już dane identyfikacyjne na wyświetlaczu.

A to oznacza kłopoty, poważne kłopoty! – przemknęło mu przez myśl. Chińczycy musieli namierzyć „Cunninghama”, bo tylko w takiej sytuacji Amanda zdecydowałaby się na zdjęcie osłony kamuflażowej. Diabli by to wszystko wzięli! Lada chwila dookoła mogło się rozpętać piekło!

Sięgał już do przełącznika radiostacji, zamierzając się połączyć z „Księżcem”, kiedy zmroził go okrzyk Grestovitcha:

–Kontakt nawodny, poruczniku! Coś płynie rzeką w naszym kierunku. Prędkość dwadzieścia węzłów. Odległość piętnaście tysięcy metrów, ale wciąż maleje. Urządzenia ostrzegawcze wyłapują pojedynczą wiązkę radarową z typowego łysielca.

–Niech to szlag! Księżycowy psie, mamy drobny kłopot. Musimy się oddalić na jakiś czas, ale wrócimy. Trzymajcie się!

–Donikąd się nie wybieramy.

–Przyjąłem. Paź zero dwa, tu zero jeden. Zejdź z posterunku i osłaniaj mnie. Przygotuj do odpalenia rakiety hellfire. W naszą stronę płynie kanonierka.

Graves, utrzymywany na powierzchni przez kamizelkę ratunkową, wsłuchał się w cichnący w oddali terkot wirników. Na plan pierwszy wysunęły się teraz inne odgłosy, huk pojedynczych wystrzałów artyleryjskich, ledwie słyszalne zawodzenie syren alarmowych w odległym mieście.

Ale w najbliższym otoczeniu dryfujących rozbitków zapanowała cisza, maćona jedynie chlupotem drobnych fal i lekko chrapliwym szmerem oddechu nieprzytomnej Pyzy.

Zapewne wskutek coraz silniejszej hipotermii w jego umyśle zapanowały nieskładne myśli dotyczące kłopotów małżeńskich, niedawnych dramatycznych wydarzeń i niepewnej przyszłości.

Boże! Czy na całym świecie pozostała jeszcze jakaś żywa dusza? – pomyślał.

Nagle serce podeszło mu do gardła, gdy coś miękkiego obilo się o jego ramię.

Graves szarpnął się w bok, ciągnąc za sobą Pyzę. Kątem oka złowił jakiś duży mroczny kształt unoszący się na wodzie.

Niemal odruchowo wyciągnął szybko z kieszeni sygnalizator optyczny, osłonił reflektor dłonią i przepuszczając między palcami wąziutki promyk światła, nakierował go na tajemniczy obiekt.

Nie tylko ich los cisnął w mętne wody rzeki. Nurt przygnał w tę stronę zwłoki umundurowanego chińskiego marynarza, który miał zmasakrowaną połowę twarzy – z drugiej szkliste oko wpatrywało się nieruchomo w nocny mrok. Kret pospieszenie wyłączył sygnalizator i odprowadził spojrzeniem dryfujące ciało. Kiedy pomyślał, że ich także prąd unosi w tym samym kierunku, przeszył go silny dreszcz. Jeszcze mocniej przytulił do siebie nieprzytomną kobietę.

Kuter pięćset szesnaście w otoczeniu trzech bliźniaczych jednostek kołysał się w płytkiej zatoczce, tuż poniżej ujścia Huangpu do głównego koryta Jangcy. W dole rzeki toczyła się jakaś bitwa, na nocnym niebie wykwiwały ognie rakiet Świetlnych, powietrze rozcinał huk armatnich wystrzałów. Jakiś czas temu bliżej nich zaterkotały karabiny na brzegu rzeki, później zabłysły ognie odpalanych rakiet i znów zapanował spokój.

Porucznik Żu Szan postanowił czekać dalej, chociaż nie miał przed sobą żadnego konkretnego celu. Intuicja podpowiadała mu jednak, że coś się tu wkrótce wydarzy.

–Radiooperator, nawiązaliście wreszcie kontakt z dowództwem floty okręgu szanghajskiego?

–Nikt się nie zgłasza na żadnym kanale marynarki, towarzyszu poruczniku. Przechwyciłem jedynie komunikat radiooperatora kanonierki patrolu rzecznoego. Prosił o informacje i rozkazy, tak samo jak my.

–Oho, to pewnie ta kanonierka – rzucił bosman Hung, który stał oparty o bakburtową wyrzutnię torped, po czym wskazał ręką na północ.

Z ciemności wyłonił się grzbiet spienionej fali poprzedzającej długi mroczny cień łodzi. Patrol trzymał się środka koryta, pełną mocą silnika płynął w dół rzeki.

–Chyba idą w rejon tej strzelaniny na skraju zapory minowej – zauważył cicho bosman, po czym obejrzał się w stronę mostka. – Czy nie powinniśmy popłynąć za nimi, poruczniku?

–Nie – odparł zdecydowanie Szan. – Jeszcze zaczekamy.

Pierwsza salwa okazała się za krótka, pociski spadły po sterburcie, dość daleko przed dziobem „Cunninghama”. Druga była za długa, trafiła w wodę po bakburcie, bliżej rufy. Amanda błyskawicznie pojęła, że wcześniej czy później artylerzyści muszą się wstrzelać w cel, a pociski zaczną spadać wprost na pokład niszczyciela.

Mogła tylko dziękować Bogu, że Chińczycy nie przygotowali wcześniej namiarów do ostrzału przejścia w zaporze minowej. Widocznie nawet nie przyszło im do głowy, że ktokolwiek podejmie takie ryzyko i będzie próbował szlakiem wodnym przedostać się do szanghajskiej twierdzy.

–Centrum, kiedy wreszcie dotrzemy do końca korytarza?

–Już niedługo, kapitanie – odparła Christine. – Pozostało najwyżej kilkaset metrów.

Na niebie zajaśniały kolejne flary wystrzelone przez baterię czerwonych. Ich blask padł na skupione twarze ludzi pełniących wachtę na mostku, coraz wyraźniej malowało się na nich przerażenie. Za wszelką cenę trzeba było jak najszybciej wyprowadzić okręt z tej pułapki.

–Sternik, oba silniki pół naprzód. Prędkość dziesięć węzłów.

–Rozkaz, kapitanie. Przyspieszam do dziesięciu węzłów.

–Seksja kamuflażowa, wyrzucić pełen zestaw celów pozornych.

–Przyjąłem. Odpalamy pełen zestaw.

Z wyrzutni na dziobie i w przedniej części nadbudówki wyleciały w niebo granaty maskujące, parę sekund później ich ogniste fajerwerki przyćmiły światło gwiazd. W tej sytuacji cele pozorne nie mogły wypełnić swego podstawowego zadania, gdyż w okolicy nie było żadnych instalacji emitujących radarowe wiązki naprowadzające, których działanie należałoby zakłócić skrawkami metalowej folii. Ale granaty ponadto wyrzucały chmury różnych gazów pochłaniających takie czy inne promieniowanie, toteż Amandą kierowała płocha nadzieja, że właśnie one utrudnią celowniczym prowadzenie skutecznego ognia, przynajmniej przez kilka potrzebnych im jeszcze sekund.

Z głośnika interfonu doleciał nagle okrzyk Beltraina:

–Zatrzymać okręt, kapitanie!

Było to tak nieoczekiwane, że Amanda przez chwilę nie potrafiła zebrać myśli. Zanim jednak zdążyła wydać jakąkolwiek komendę, rozległ się drugi, jeszcze bardziej

histeryczny okrzyk:

–Na miłość boską! Mina przed dziobem!

–Wszystkie maszyny, cała wstecz!

Prawdopodobnie dla każdego innego okrętu byłoby już za późno na jakiś manewr. „Księża” uratował jednak zintegrowany zespół regulacji mocy silników. W celu umożliwienia nagłych zwrotów w warunkach bojowych niszczyciel został wyposażony w układy elektryczne, pozwalające niemal natychmiast uzyskać pełną moc turbogeneratorów rolls royce’a. Poza tym szybkość obrotową śrub ustawiało się poprzez bezpośrednią regulację obrotów silników elektrycznych. Tak więc okręt niemal w każdej chwili dysponował pełną mocą wszystkich maszyn.

Przeniesienie napędu zapewniała sterowana elektrycznie przekładnia, dzięki której „Księżę” mógł płynąć rufą do przodu prawie z taką samą prędkością, jak w przeciwnym kierunku. Toteż oficer wachtowy błyskawicznie ściągnął w dół drążek ustawienia przekładni, włączając wsteczny bieg, drugą ręką zaś szybko popchnął dźwignie regulacji mocy silników elektrycznych.

Obie śruby natychmiast zawirowały w przeciwną stronę, woda pod rufą „Cunninghama” zakotłowała się wściekle. Okręt stanął w miejscu, siłą rozpędu nie pokonawszy nawet drogi równej połowie jego długości.

–Wszystkie maszyny stop! Sternik, włączyć automatyczne utrzymywanie pozycji tylko na pompach. Trzeba zapobiec dryfowaniu. Dix, co się dzieje? Schodzimy ze środka korytarza?

–Nie, kapitanie. Natknęliśmy się na wartownika. – Głos Beltraina zabrzmiał złowieszczo jak odgłos dzwonu pogrzebowego. – Leży na samym środku przejścia.

–Jesteś pewien, Dix?

–Rozdzielczość naszego sonaru bocznego nie pozwala na jednoznaczne zidentyfikowanie obiektu. Równie dobrze może to być wielki stary bojler. Niemniej pośrodku szlaku leży na dnie coś, co wielkością i kształtem przypomina minę ciśnieniową. Przyznam zresztą, że można się jej było tu spodziewać.

Amanda poczuła nagły przyływ rozpacz.

Zapora minowa u wejścia do delty przypominała wysoki, gładki mur, w którym pozostawiono jednak furtkę, umożliwiającą przedostanie się na drugą stronę. Lecz żeby nie udostępniać tego przejścia wszystkim, zablokowano je odpowiednikiem bramy zamykanej na klucz. Leżąca na dnie mina, pospolicie zwana wartownikiem, była uzbrojona w zapalnik ciśnieniowy, powodujący eksplozję ładunku na skutek

zmiany ciśnienia wody spowodowanej obecnością przepływającego okrętu. Zazwyczaj tego rodzaju miny łączono kablem z posterunkiem na lądzie, skąd można było wyłączać i włączać sterowany elektrycznie zapalnik ciśnieniowy. W ten sposób furtkę w murze otwierano i zamykano w zależności od potrzeb.

Chińczycy nigdzie indziej nie stosowali podobnych „inteligentnych” min do obrony wybrzeża.

To zmyliło Amandę, która zyskała przeświadczenie, że tutaj również nie natknie się na nie. Była jednak w błędzie i na oślep wprowadziła okręt w pułapkę bez wyjścia.

–Zero dwa, przygotuj wyrzutnie.

–Mam uzbrojone obie rakiety hellfire i dwie hydry – zameldowała Nancy Delany.

–Ja odpowiednio dwie i cztery. To trochę mało. Nie strzelaj pochopnie, oszczędzaj amunicję.

–Zrozumiałam.

Oba Komańcze od pomocy zatoczyły szeroki hak nad rzeką, by zaatakować nadpływającą kanonierkę od tyłu, zanim znajdzie się w pobliżu dryfujących rozbitków.

–Gus, włącz celowniki laserowe i daj obraz skanera termolokacyjnego na główny monitor.

–Rozkaz, poruczniku.

Arkady uniósł przed oczu osłonę przeciwsłoneczną i popatrzył na ekran wmontowany w tablicę przyrządów. Po ciemnej wstędze rzeki płynął kuter, widoczny jak na fotograficznym negatywie. Pozostawiał za sobą dwie wyraźne smugi, cieplejszej wody oraz wiszących w powietrzu spalin.

–Ma trzy sprzężone działka automatyczne, na dziobie, rufie i śródokręciu – mruknął do siebie Vince. – Mały, jednopokładowy kuter z wolno stojącym masztem antenowym.

–Wygląda na typową starą kanonierkę klasy Szanghaj.

–Mylisz się, Gus. Jest większy, znacznie większy. To kuter klasy Hainan. Dwukrotnie większy od Szanghaju, dwa razy silniej uzbrojony i czterokrotnie trudniejszy do zniszczenia.

–Czy nie powinniśmy zwrócić się o pomoc „Księcia”, poruczniku?

–Szara dama i tak ma ręce pełne roboty. Zresztą nie wypada trzymać się jej fartuszka. Zero dwa, skręcaj za mną! Strzelaj według uznania! Celuj w sterówkę i stanowiska działek pokładowych!

Amanda ze wszystkich sił starała się zachować opanowanie. W żadnym wypadku nie mogła dopuścić, aby w jej głosie pojawił się choćby cień lęku bądź niezdecydowania.

–Sternik, wszystkie maszyny mała wstecz.

–Są wszystkie maszyny mała wstecz, kapitanie.

Sama zwracała baczną uwagę na ton odpowiedzi sternika, jak farmaceuta odważający niebezpieczne składniki lekarstwa. Dobrze wiedziała, że nawet lekkie drżenie głosu może świadczyć o panice będącej potencjalną przyczyną groźnej katastrofy.

–Przy tej prędkości trudno będzie uzyskać reakcje na położenie steru, trzymaj więc okręt pośrodku korytarza poprzez regulację mocy silników. Oficer wachtowy, kontrolować działanie pomp. W razie konieczności użyć strumieni wyrzucanej wody do utrzymania okrętu w przejściu przez zaporę.

–Rozkaz, kapitanie.

–Zrozumiałem.

Obaj byli całkowicie opanowani. Nikt jeszcze nie dawał się ponieść histerii.

Ponownie huknęły działa. Pociski wpadły do wody znacznie bliżej burty, aż zabrzęczały blachy poszycia.

Tym również należało się jak najszybciej zająć.

–Oficer taktyczny, rozpocząć ostrzał nabrzeżnych baterii. Otworzyć ogień z dział pokładowych, przygotować pociski typu SLAM. Sekcja kamuflażowa, postawić zasłonę dymną.

–Rozkaz, kapitanie. System Aegis odczytuje już namiary na pozycje stanowisk artyleryjskich nieprzyjaciela.

Pokład lekko zadygotał pod nogami, kiedy zaczęła się obracać dziobowa wieżyczka dział kalibru 76 mm.

–Ken, chcę wycofać okręt tyłem, trzymając się środka korytarza. Nie sądzę, byśmy mieli dość miejsca na wykonanie zwrotu.

–A co później?

–To zależy. Oficer taktyczny, czy da się zdetonować wartownika za pomocą zdalnie sterowanej torpedy?

–Nigdy nie słyszałem, by ktoś tego próbował.

–Do cholery, nie obchodzi mnie, czy ktoś to robił, czy nie. Pytam, czy jest to możliwe.

Zanim Beltrain zdążył odpowiedzieć, rozległ się huk dziobowych sprzężonych działek typu Oto Melara. W niebo wyleciały jednocześnie trzy pociski.

–Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałyby to być niemożliwe.

–Z jakiej odległości chciałbyś odpalić torpedę?

–Chciałbym mieć jakieś tysiąc metrów.

–Ile?!

–Niech będzie trzysta pięćdziesiąt.

Z wyrzutni dziobowej wyskoczył pocisk typu SLAM. Wysmukła rakietka pięciometrowej długości zostawiła za sobą długie jęzory ognia, rozświetlając kłęby dymu, jakie spowijały „Cunninghama”.

–W porządku, Dix, przygotuj torpedę. Oficer wachtowy, cofnąć okręt o trzysta pięćdziesiąt metrów według odczytów GPU.

„Książę”, uwięziony w samym środku wywołanej przez siebie bitewnej nawałnicy, zaczął się powoli cofać.

Arkady skupił się bez reszty na zielonych smugach widocznych na ekranie termolokatora. Pędzące z wyciem turbin śmigłowce przekroczyły szybkość trzystu kilometrów na godzinę, podchodząc od sterburty do kutra na rzece.

Nagle za osłoną kabiny pojawiły się jaskrawe linie pocisków smugowych, złowieszcze strużki śmiercionośnego światła tryskające z ziemi w stronę dwóch pikujących helikopterów. Komunistyczna armia była z pewnością technicznie zacofana, lecz nie na tyle, by kutry patrolowe nie były wyposażone w celowniki noktowizyjne.

Atak z powietrza wcale nie musiał być wykonany z bliskiej odległości. Naprowadzane laserowo pociski hellfire miały zasięg dwudziestu kilometrów, można więc było je odpalić z dystansu, bez narażania się na trafienie przez pociski z

chińskich działek.

Kłopot polegał jednak na tym, że rakiety zostały zaprojektowane do rażenia takich obiektów, jak czołgi, a więc o masie nie przekraczającej pięćdziesięciu ton, śmigłowce zaś szarżowały na czterystutonowy kuter. Tak więc samo trafienie w kanonierkę nie wystarczało. W celu jej zatopienia trzeba było precyzyjnie nakierować pocisk w odpowiednie miejsce.

Nitki celownika jaśniejące na ekranie z wolna przesuwały się po rosnącej w oczach sylwetce chińskiej kanonierki. Grestovitch nakładał już na ten obraz połyskliwy punkt laserowego promienia.

–Traf w sterówkę... traf w sterówkę... traf w sterówkę... – mrucał pod nosem Arkady.

Nitki celownika znalazły się u podstawy nadbudówki kutra.

–Namiar... W celu... Rakieta odbezpieczona!

–Odpalam! – Vince wdusił klawisz nadajnika. – Tu zero jeden... Poszła!

Nacisnął spust, wbijając spojrzenie w tablicę przyrządów, by nie oślepiły go płomienie z dyszy wylotowych pocisku.

Niemal natychmiast ściągnął drążki na siebie i położył maszynę w zakręt, zwalniając jednocześnie ładunek maskujący ślad termiczny za helikopterem. Wsłuchał się w komendy wykrzykiwane przez Delany, lecz gdy tylko koleżanka obwieściła odpalenie rakiety, zaraz rozległ się jej piskliwy okrzyk:

–Trafili nas! Zero jeden, oberwaliśmy!

–Cholera!

Arkady wyprowadził śmigłowiec ze skrętu i osiem metrów nad powierzchnią wody skierował go na północ. W panice rozejrzał się na boki.

–Gus, spróbuj namierzyć zero dwa. Widziałeś nad kutrem jakąś eksplozję?

–Skądże! Nie było żadnego wybuchu! W ogóle nic nie widzę dookoła!

–Zero dwa, zero dwa, odezwij się! Nancy, co z wami?

–Nadal jestem w powietrzu, zero jeden – nadeszła ledwie słyszalna odpowiedź. – Trafili nas, dostaliśmy jednym pociskiem z działka pokładowego. Mam dym w kabinie i sygnalizację licznych uszkodzeń. Nic nie działa poza sterami i regulacją obrotów silnika. Komputer pokładowy oszalał. Wygląda na to, że pocisk trafił w komorę z

elektronicznymi układami nawigacyjnymi.

–Dasz radę utrzymać się w powietrzu?

–Panuję nad sterami, silnik nie został uszkodzony. Kabinę mam wciąż hermetyczną. Ale nie działają urządzenia gaśnicze, straciłam również termolokator. Pozostał mi jedynie noktowizor hełmu.

–Wycofaj się, Nancy! Nic tu już nie zdołasz. „Księżę” jest pod ostrzałem, więc leć na okręt flagowy floty. Paliwa powinno ci wystarczyć na przelot do najbardziej wysuniętego krążownika raketowego. Gdybyś musiała wodować, postaraj się usiąść jak najdalej od brzegu. Ratownicy wyciągną was z wody.

–Zero jeden, a może...

–Rób, co powiedziałem, zero dwa, i oszczędź mi przynajmniej jednego kłopotu. Do pioruna, Nancy! Już cię tu nie ma!

–Wycofuję się, zero jeden. Pozostało mi się tylko cieszyć, że moja rakietka doszła do celu.

–No właśnie. To i tak bardzo wiele, Nancy.

Arkady ponownie zawrócił śmigłowiec.

–No to w pojedynkę wracamy na front, stary. Przekonajmy się, jakie szkody wyrządziła rakietka Nancy.

–Nasz pocisk również doszedł do celu, poruczniku.

Obraz na ekranie termolokatora zakołysał się raz i drugi, wreszcie Vince zdołał nakierować obiektyw na chińską kanonierkę. Na śródokręciu i rufie strzelały w górę płomienie. Rufowe działko leżało zrzucone z podstawy, maszt antenowy był złamany. Ale sześćdziesięciometrowy kuter nadal płynął w dół rzeki, znajdował się już nie dalej niż o milę od dryfujących w wodzie rozbitków.

–Musimy ich do reszty zniechęcić, Gus.

–Też tak uważam. Jak chce pan tego dokonać, poruczniku?

–Jeszcze raz spróbuję trafić w sterówkę. Ale tym razem pójdę tuż za pociskiem i przez wybitą dziurę wpakuję im do środka ostatnie cztery hydry.

–O kurczę!

–Po wybuchu rakietki nie zdołają się pozbierać na tyle szybko, żeby z bliska

otworzyć do nas ogień. Przygotuj pociski. Ruszamy!

Komańcz mknął w ciemnościach nad nurtem rzeki, połyskującej pod brzuchem maszyny niczym roztopiona smoła. Dziobowe działko kutra znów zaczęło wypluwać pociski smugowe. Z początku przelatowały wysoko nad kabiną śmigłowca, stopniowo jednak przybliżały się groźnie.

–Namierzaj!

–Jest namiar... W celu!

–Odpalam!

Arkady wcisnął spust. Śmigłowcem szarpnęło, lecz przed dziobem nie pojawiła się ognista smuga.

–Cholera, Gus, to niewypał! Jeszcze raz szykuj wyrzutnią! – krzyczał Vince, raz za razem naciskając spust.

–To nie błąd wyrzutni! Rakieta poszła! Nie zaskoczył jej silnik! – Głos Grestovitcha zaczął przybierać histeryczne tony. – Niech pan zejdzie z kursu, poruczniku! Nic więcej nie zdziałamy!

–To się jeszcze okaże!

Arkady zaczął wykonywać szybkie gwałtowne ruchy sterami, przez co wprowadził maszynę w istny płas. To kładł ją na któryś bok, to znów podrywał do góry bądź kierował dziobem ku wodzie, markował wejście w zakręt, wciąż pędząc w stronę kutra. Pozostały mu już tylko cztery odłamkowe hydry, typowe pociski przeciwpiechotne, nie nadające się jednak do ostrzału opancerzonego kutra. Większych szkód mogły narobić tylko w tym wypadku, gdyby eksplodowały pod blachami poszycia.

Nagle i oni zostali trafieni.

Oślepił ich błysk światła, rozległ się taki huk, jakby z boku w helikopter walnęła rozpędzona ciężarówka. Szybę z prawej strony kabiny rozcięła gęsta pajęczyna pęknięć. Śmigłowiec jednak leciał dalej, wciąż reagował na stery. Arkady wyczuł tylko pewną ociężałość maszyny, ale nie miał już czasu, by sobie tym zawracać głowę.

Zarys kutra wypełniał już cały ekran monitora. Widać było nawet sylwetki ludzi skaczących za burtę, przerażonych bliskością helikoptera pikującego z wyciem silników. Nie zwracając nawet uwagi na wskazania celownika, Arkady odpalił cztery rakiety naraz. Spostrzegł jeszcze, że ogniste smugi mkną wprost ku sterówce kanonierki, po czym gwałtownie ściągnął drążki, kierując dziób Komańcza do góry.

Rakiety eksplodowały w maszynowni kutra. Ropa, będąca paliwem silników wysokoprężnych, nie jest substancją szczególnie łatwopalną. Wystarczy jednak podziurawić zbiorniki i przewody ciśnieniowe, przez co uzyska się zawiesinę drobniutkich kropelek w powietrzu, po czym zetknąć ów aerozol z silnie rozgrzаныmi fragmentami ładunków odłamkowych, a z pewnością dojdzie do samozapłonu.

Olbrzymi kawał pokładu na śródokręciu kutra wyleciał w powietrze, nocny mrok rozjaśnił gigantyczny słup ognia.

–O to chodziło! Żyjemy!

–Trzymam pana za słowo, poruczniku.

Arkady szybko zwolnił i zawrócił w stronę ujścia Jangcy. Wychyliwszy się z fotela, rozejrzał po kabinie, próbując oszacować zniszczenia.

–Dostaliśmy gdzieś od spodu. Widzisz jakieś poważniejsze uszkodzenia?

–Urwał się zasobnik pod brzuchem i mamy chyba podziurawioną osłonę prawego przedziału uzbrojenia.

–Damy sobie z tym radę, Gus. Wytrzymamy. Ważne, że przyrządy działają normalnie.

–Mam nadzieję, że nie będziemy już musieli powtarzać takiej szarży, poruczniku.

–Na pewno, stary. Zresztą nie mamy z czym. Zostaliśmy bez rakiet.

Na kanale łączności krótkofalowej rozległ się cichy trzask.

–Paż zero jeden, tu „Księżycowy pies”. Słyszysz mnie?

–Słyszę, pięćset pięć. Jesteśmy niedaleko. Musieliśmy się rozprawić z kutrem patrolowym czerwonych.

–Rozumiem, zero jeden. Dzięki za opiekę, chłopcy, ale tutaj znów się robi gorąco.

–Co się dzieje, pięćset pięć?

–Ostrzeliwują nas z brzegu. Są dość daleko, ale chyba dobrze byłoby dać im małą nauczkę.

Vince ugryzł się język, żeby nie zakląć na głos.

–Zrozumiałem, pięćset pięć. Już do was lecimy.

Obaj z Grestovitchem zapatrzyli się w ciemność za szybą, próbując szybko opanować rozdygotane nerwy i ponownie skupić się na akcji ratunkowej. Żaden z nich nie zauważył cienkiej połyskliwej strużki na bocznej osłonie kabiny. Powietrze wyrzucane spod płatów wirnika zdmuchiwało drobny wyciek w bok od śmigłowca, a lampka kontrolna, sygnalizująca spadek ciśnienia oleju, miała się zapalić dopiero za kilka minut.

Rakiety „Cunninghama” spadły na jego prześladowców z zaciekłością wygłodniałej pantery. Radar systemu SPY-2A namierzył punkt, z którego wystrzelivano pociski, a komputer sterowania uzbrojeniem systemu Aegis bezbłędnie nakierował na chiński batalion obrony wybrzeża śmiertelne pociski typu SLAM.

Już pierwsza odpalona rakietą trafiła bezpośrednio w słabo osłonięte stanowisko artyleryjskie. Eksplozja ćwierćtonowej głowicy zmiotła sprzężone działa z betonowej podstawy, a szczątki ludzi rozrzuciła w promieniu wielu metrów. Ułamek sekundy później nastąpiła detonacja amunicji zgromadzonej pod ścianą bunkra dowodzenia, wskutek czego betonowa konstrukcja wyleciała w powietrze, a w miejscu niedawnego stanowiska powstał olbrzymi dymiący krater.

Na pozostałe baterie spadły pociski z dział pokładowych „Księcia”. Nie mogły one wyrządzić aż tak wielkich szkód w umocnieniach stanowisk artyleryjskich, były jednak wyposażone w zapalniki zbliżeniowe i eksplodowały w powietrzu, zasypując okopy gradem szrapneli.

Wielu żołnierzy zginęło, lecz ci, którzy uszli z życiem, musieli dalej prowadzić ostrzał. Chylili niżej głowy, kryli się w okopach, ale w rytm wykrzykiwanych rozkazów powtarzali wyuczone czynności: wprowadzić pocisk do komory, zatrzaskać zamek, wycelować i wystrzelić.

–Według odczytów GPU cofnęliśmy się o trzysta pięćdziesiąt metrów... – Sternik urwał i wtulił głowę w ramiona, słysząc narastający świst pocisków.

Rozległ się huk eksplozji. Fontanny wody wytrysnęły jeszcze bliżej burty. Nie ulegało wątpliwości, że któraś z najbliższych salw może zmieść górny pokład „Cunninghama”.

–Jakie rozkazy, kapitanie? – dokończył.

–Maszyny stop. Utrzymać tę pozycję. Włączyć pompy.

–Jest maszyny stop. Automat utrzymywania pozycji na pompach uruchomiony.

Amanda wsunęła palce pod brzeg hełmu i docisnęła słuchawkę do ucha.

–Dix, torpeda gotowa?

–Wyrzutnia w stanie gotowości, ładunek odbezpieczony. Cel namierzony, zapalnik zbliżeniowy ustawiony. Jestem gotów do odpalenia. Nie ręczę jednak za skutek, pani kapitan.

–Nikt cię o to nie pytał. Odpalaj!

–Rozkaz!

Z otworu wyrzutni na śródokręciu wyskoczyła barracuda. Ciągnąc za sobą cieniutki kabel zdalnego sterowania, wpadła do wody tuż przy burcie niszczyciela.

Niespodziewanie kilkadziesiąt metrów dalej wytrysnął nagle gejzer wody. „Księciem” silnie zakołysało.

–Co się stało, Dix?

–Straciliśmy torpedę, kapitanie. Poszła zbyt szerokim łukiem i trafiła w którąś minę.

–Powtórzyć namiary i odpalić torpedę z drugiej wyrzutni! Natychmiast!

–Rozkaz! Odpalam drugą!

Tym razem świst nadlatujących pocisków był słyszalny tylko przez moment. Trzy fontanny wody wytrysnęły po lewej stronie statku, a jedna po prawej.

–Kapitanie! – zawołał oficer wachtowy. – Wstrzelali się!

–Widzę! Zachować spokój!

Amanda w duchu panicznie odliczała sekundy, modląc się zarazem, by druga torpeda nie napotkała na swej drodze żadnych przeszkód i zgodnie z planem pomknęła w mętne głębiny. Wreszcie, w oślepiającym blasku kolejnych flar, na środku korytarza, dokładnie na wprost dziobnicy „Cunninghama”, wypiętrzyła się olbrzymia masa brunatnej wody, wyrzuconej w górę impetem eksplozji.

–Trafiła! – Amanda aż wyskoczyła z kapitańskiego fotela. – Dix, czy na pewno zniszczyliśmy wartownika?

–Tak, kapitanie. Torpeda doszła do celu.

–Nie widać już miny na ekranie? Na pewno mamy wolną drogę?

–Trudno jeszcze powiedzieć, kapitanie. Woda została silnie zmaćcona. Nawet sonar nie przekazuje klarownego obrazu.

–Dix, musimy jak najszybciej popłynąć dalej...

Amanda nigdy nie umiałaaby wyjaśnić, dlaczego zachowała się w ten sposób. Być może jakimś szóstym zmysłem wyczuła zbliżającą się eksplozję. W każdym razie błyskawicznie zakryła dłońmi twarz i pochyliła się nisko w fotelu. Chwilą później przednią szybę mostka ogarnęło kłębowisko płomieni.

–Chyba wyczuli, że nie muszą się nas już obawiać, poruczniku – Zauważył Gus z tylnego stanowiska w kabinie śmigłowca. – Do nas także strzelają.

–Widzę.

Podczas ostatniego nawrotu Arkady poczuł, że dwie kule uderzyły w kadłub maszyny. Na początku markowane rajdy szturmowe w stronę brzegu przynosiły spodziewane efekty, ale Chińczycy szybko się przekonali, że helikopter nie przedstawia dla nich specjalnego zagrożenia. Oddalając się po raz kolejny w głąb delty, Vince sięgnął do przełącznika radia.

–„Księżycowy pies”, co u was?

–Niezbyt dobrze, zero jeden. Wciąż jesteśmy pod ostrzałem. W dodatku ta płonąca kanonierka dryfuje prosto na nas, a w blasku ognia będziemy widoczni jak na dłoni.

Arkady spojrzął na płonący wrak, unoszony z prądem rzeki.

–Przepraszam, pięćset pięć. Sądziłem, że jednak lepiej będzie się rozprawić z tym patrolem.

–Tak, rozumiem. Ale teraz chyba musicie wymyślić coś innego, chłopaki.

–Zaraz coś wykombinujemy.

Arkady przełączył się na interfon.

–Przychodzi ci coś do głowy?

–Tylko jedno, poruczniku.

–Co takiego?

–Powinniśmy wreszcie wezwać na pomoc „Księcia”.

–Zdaje się, że masz rację.

Przełączając radiostację na kanał łączności taktycznej, Arkady popatrzył w dół rzeki, gdzie wciąż trwał intensywny ostrzał artyleryjski. Właśnie w tej chwili zauważył w głębi delty silny rozbłysk światła, przypominający błyskawicę. To musiała być eksplozja dużego ładunku.

–Szara dama, tu Paź zero jeden. Czy mnie słyszysz?

W słuchawkach panowała jednak głucha cisza.

–Szara dama, tu Paź zero jeden. Słyszycie mnie?

Poczuł w sercu nagłe ukłucie strachu.

–Szara dama, tu zero jeden. Słyszycie mnie?... Amanda, odezwij się, do cholery!

Nie było jednak żadnej odpowiedzi.

Garrett wyprostowała się powoli. W powietrzu wisiał duszący odór prochu, dym drapał w gardle. Pomimo głośnego dzwonienia w uszach złowila dolatujące gdzieś z tyłu, spod grodzi, ciche pojękiwania rannych ludzi.

Wcale tak bardzo nie ucierpiał! – nakazała sobie stanowczo w myślach. – Musisz ratować okręt! Ruszaj się!

Spostrzegła, że leży na pokładzie, za fotelem kapitańskim. Zaciśnęła palce na jego poręczy i dźwignęła się na nogi. Sam mostek specjalnie nie ucierpiał, zniknęła tylko przednia szyba. W znacznie gorszym stanie były rozmieszczone wzdłuż grodzi stanowiska, monitory potrzaskane, całe panele pozrywane z ram.

Chwiejnym krokiem podeszła do pulpitu nawigacyjnego i wyjrzała na pokład dziobowy. Mieli wyjątkowe szczęście.

Gdyby chiński pocisk spadł kilka metrów bliżej dziobu, trafiłby w trzeci silos rakiet pionowego startu i zmagazynowane tuż obok samonaprowadzające pociski bliskiego zasięgu. Gdyby uderzył parę metrów bliżej rufy, eksplodowałby na mostku. Gdyby zaś spadł bliżej jednej czy drugiej burty, mógłby wysadzić w powietrze jeden z magazynów amunicji do działek oto melara.

Uderzył jednak prosto w dziobową wieżyczkę działową. Całe jej poszycie zostało kompletnie zniszczone. Sprzężone działka wciąż stały na obrotowej podstawie, ale przypominały teraz jakąś abstrakcyjną rzeźbę. Dokoła wały się pogieęte blachy osłon, przez otwarty luk widać było płomienie szalejące pod pokładem.

–Kontrola zniszczeń, tu mostek... Kontrola zniszczeń!

Interfon nie działał. Amanda jednym ruchem ściągnęła z głowy hełm i słuchawki z mikrofonem, po czym zdjęła z półki awaryjny radiotelefon.

–Centrum informacyjne, tu mostek!

–Jakie zniszczenia na mostku?

–Są ranni, wezwijcie sanitariuszy. Pocisk trafił w dziobową wieżyczkę działową. Trzeba tam wysłać drużynę ratowniczą. Zatopcie oba dziobowe magazyny amunicji do działek. Powtarzam, zatopcie oba dziobowe magazyny amunicji.

–Zrozumiałem. Chce pani przenieść stanowisko dowodzenia do centrum?

–Nie, jeszcze nie. Dajcie do telefonu porucznika Beltraina.

Amanda zawróciła do podwyższenia sterowego. Dopiero teraz zauważyła, że dolatujące z głębi mostka jęki wydobywają się z gardła rozciągniętego na pokładzie oficera wachtowego. Zalany krwią sternik wciąż siedział na swoim posterunku, nie dawał jednak znaków życia. Garrett bezceremonialnie ściągnęła go z fotela, odholowała parę kroków do tyłu i ułożyła na pokładzie obok jęczącego oficera, starając się nie patrzeć na ich twarze.

Zajmując miejsce na podwyższeniu, zwróciła uwagę, że całe ręce ma zakrwawione. Nie miała jednak pojęcia, czyja to krew. Żaden z monitorów nie działał, lecz gdy wcisnęła przycisk resetowania, kilka z nich się rozjaśniło. Co najważniejsze, miała połączenie z komputerem Nawikom i na ekranie nawigacyjnym widniał schemat przejścia przez zaporę minową, które „Książę” miał jeszcze do pokonania. Na szczęście wybuch nie zepchnął okrętu ze środka korytarza.

Ponownie sięgnęła po radiotelefon.

–Oficer taktyczny. Czy mamy wolną drogę?

–Wciąż nie mam wyraźnego obrazu na ekranie sonaru kierunkowego, kapitanie. Nie potrafię tego ocenić.

–No to zaraz będziesz potrafił.

Amanda pośpiesznie sięgnęła do dźwigni gazu i pchnęła je od siebie.

Wyraźnie poczuła, że okręt ruszył do przodu. Błyszcząca wskazówka na skali logu powoli przesunęła się w prawo.

Szybko ściągnęła obie dźwignie do pozycji neutralnej. Nie mogła dłużej czekać na wyklarowanie się odczytów sonaru, chciała skrócić ten czas poprzez zmniejszenie dystansu między hydrolokatorem a zarejestrowaną wcześniej pozycją miny ciśnieniowej. Miała zresztą dokładnie wytyczony kurs, którym powinna płynąć. Starannie ułożyła palce we wgłębieniach dźwigni regulacji położenia steru.

Doleciało zawodzenie pocisków kolejnej salwy armatniej, stopniowo przeradzało się w ogłuszający świst. Teraz, gdy mostek został pozbawiony szyb, ów odgłos wydawał się wielokrotnie głośniejszy, jak dźwięk trąb anielskich... Pociski spadły jednak za

rufą okrętu.

Chwilowe uruchomienie silników zarazem wyprowadziło „Księcia” z pozycji, w którą chińscy artylerzyści zdążyli się już wstrzelać. Minęli Scyllę, teraz trzeba było przejść Charybdę. „Cunningham” nieuchronnie zbliżał się do uruchamianej z ładu miny. Amanda beznamiętnie obserwowała, jak na ekranie taktycznym oba symbole zlewają się ze sobą. Teraz już nie dałoby się zapobiec eksplozji. Wzięła głębszy oddech... Ale nic się nie stało. Symbole na ekranie ponownie się rozdzieliły. Okręt przeszedł nad zaminowanym wyjściem z korytarza i znalazł się po drugiej stronie zapory.

Kolejna salwa pocisków wylądowała jeszcze dalej za rufą. Nagle Amanda uświadomiła sobie, że wokół niej na mostku pojawili się inni ludzie. Sanitariusze oglądali rannych, marynarze z drugiej wachty zajmowali stanowiska. Nowy sternik w milczeniu stanął nad nią.

Poczuła także bryzę wpadającą przez wybitą szybę. Orzeźwiający wiatr rozwiewał słodkawy zapach krwi i gryzący odór prochu.

–Skieruj okręt prosto w górę rzeki głównym szlakiem żeglownym – powiedziała. – Czeka tam na nas kilka osób.

Wrogi okręt umknął z pola ostrzału i znalazł się poza zasięgiem dział batalionu obrony wybrzeża. Wojskowi, którzy zaplanowali rozmieszczenie baterii, nawet nie przypuszczali, że jakakolwiek jednostka zdoła się wedrzeć tak daleko w głąb delty. Artylerzyści byli jednak cierpliwi. Pozbierali swoich zabitych kolegów, odesłali na tyły rannych i zaczęli się przygotowywać do następnej rundy. Wiedzieli bowiem dobrze, iż nieprzyjacielski okręt będzie musiał wracać tą samą drogą.

–Nolan, do diabła, dlaczego opóźnia się wspierające uderzenie lotnictwa?

–Trzeba wprowadzić nowe parametry taktyczne do modułów nawigacyjnych i celowniczych, admirale. Stanowiska obrony wybrzeża wcześniej w ogóle nie były brane pod uwagę jako potencjalne cele. Nie podejrzewaliśmy nawet, że jeden z naszych okrętów będzie musiał się przedzierać w górę rzeki.

–Admirale! – zawołał łącznościowiec. – Z „Cunninghama” nadszedł meldunek o zniszczeniach.

–Jakie straty? – zapytał Tallman, podchodząc do stanowiska łączności.

–Zostaliśmy trafieni pociskiem armatnim – odczytywał technik na bieżąco. Zniszczona przednia wieżyczka działowa... Są ranni... Okręt wciąż sprawny... Pokonaliśmy zaporę minową... Płyniemy dalej po rozbitków.

–Potwierdź przyjęcie meldunku.

Tallman rozejrzał się wokół siebie, jakby szukał czegoś, w co mógłby z całej siły huknąć pięścią.

–Spokojnie, Jake – uprzedził go MacIntyre, który stał oparty ramieniem o grodzie.

–Sytuacja wymyka nam się spod kontroli, Eddie Mac. Tylko patrzeć, jak wszystko weźmie w łeb i stracimy tam wszystkich ludzi... A to wyłącznie moja wina.

–W każdej operacji może nastąpić niespodziewany zwrot. Właśnie wtedy trzeba zaufać ludziom, których posyła się do akcji, licząc na to, że zdołają wszystko naprawić. Nie trać zaufania do Amandy Garrett, Jake. Ta kobieta naprawdę wie, co robi.

–Nie musisz mi tego tłumaczyć. Nie straciłem zaufania i ufam, że go nie stracę... o ile nie stracę też kapitan Garrett.

Szyby w oknach sali odpraw zabrzęczały, z górnego pokładu doleciał stłumiony huk. Pierwszy myśliwiec typu F/A-18 Super Hornet wyskoczył z naciągu katapulty i wlokąc za sobą dwie strugi niebieskawych płomieni strzelających z dyszy wylotowych, szybko wzbił się w mroczne niebo.

–Rozpoczęło się uderzenie wspierające – zameldował dowódca sił powietrznych.

Tallman z wolna pokręcił głową.

–Późno. Zdecydowanie za późno. Zanim myśliwce dotrą w rejon walk, może już być po wszystkim. Nie wiadomo tylko, z jakim wynikiem.

Graves po raz kolejny usłyszał dolatujący z brzegu terkot karabinów maszynowych i plusk pocisków wpadających do wody. Oswoił się już z tymi odgłosami. Pogodził się też z tym, że w blasku płonącej kanonierki chińscy żołnierze mogli teraz dokładniej wycelować.

Prąd znosił ich nieubłaganie bliżej brzegu. Graves próbował odpłynąć nieco dalej na środek nurtu, ale ze zwichniętym barkiem i bezwładną Zellerman niewiele mógł zdziałać. W przypiływie desperacji znów sięgnął po krótkofalówkę.

–Zero jeden, znosi nas coraz bliżej brzegu! Znów do nas strzelają! Możesz coś na to zaradzić?

Przez kilka sekund panowało milczenie, wreszcie pilot śmigłowca odparł grobowym tonem:

–Nie mogę, pięćset pięć. Nie mam już amunicji.

Skończyła się amunicja! To brzmiało jak żalosne epitafium.

–Zero jeden, kiedy może nadejść jakaś pomoc?

–Nie wiem, pięćset pięć. Straciłem kontakt z okrętem. Nie mamy też łączności z dowództwem floty. Zostaliśmy tu osamotnieni.

No to nie będę już musiał sobie łamać głowy, czy pozostać w służbie w marynarce, pomyślał Graves. Z ociąganiem wdusił jeszcze raz przycisk nadawania.

–To chyba już koniec, zero jeden. Lepiej stąd zwiewajcie.

–Trzymaj się jeszcze, pięćset pięć. Coś wykombinujemy.

–Daj spokój, zero jeden! Nie bądź głupi! Nic nie możesz już dla nas zrobić! Wcześniej czy później osiągną nas kule. Nie ma sensu, byś dalej kołował nad nami. Spójrz prawdzie w oczy!

–Powiedziałem, że coś wymyślimy! – odpowiedział stanowczo pilot. – Skoro ja się nie poddałem, do cholery, tobie tym bardziej nie wolno tego robić. Trzymajcie się!

Graves miał ochotę roześmiać się w głos. Nigdy nie sądził, że kiedykolwiek trzeba mu będzie tłumaczyć, iż musi pozostać przy życiu. Zaraz jednak spowaźniał, gdy jakaś zabłąkana kula chlupnęła tak blisko, że woda prysnęła mu w oczy. Kurczowo uchwycił się jeszcze płonnej nadziei, że pilot śmigłowca rzeczywiście zdoła coś wymyślić.

–Pięćset pięć, jesteś tam jeszcze?

–Jestem.

–To już nie potrwa długo. Zabieram was stamtąd. Natychmiast.

–Byłem przekonany, że nie możesz nikogo podjąć z wody?

–Ja nie, ale mamy na pokładzie hydrolokator zanurzeniowy. Opuszczę głowicę, żebyś mógł się jej chwycić, a potem przeciągnę was na środek nurtu. Dzięki temu znajdziecie się przynajmniej poza zasięgiem karabinów. Jasne?

–Nie będę się kłócił.

–W porządku! Trzymaj się. Schodzimy do was.

Terkot helikoptera zaczął przybierać na sile. Graves popatrzył w górę rzeki i dostrzegł kontur rozeźlonego owada na tle buchających z kanonierki płomieni. Dwadzieścia metrów pod brzuchem śmigłowca kołysała się na linie opuszczona

głowica sonaru.

–Słyszysz, Pyzo? – wyszeptał. – To może być nasze wybawienie.

–W porządku, stary – popłynął z głośnika krótkofalówki głos pilota. – W ostatniej fazie będziesz mnie musiał naprowadzać, ponieważ stracę cię z oczu pod helikopterem.

–Rozumiem, zero jeden. Podlec jeszcze bliżej.

Huk wirnika stawał się ogłuszający, tłumił wszystkie inne odgłosy. Ale Graves dostrzegął, że wokół nich wykwita coraz więcej drobnych gejzerów od padających gęsto kul karabinowych. Chińczycy najwyraźniej przeczuwali, że zdobycz chce im się wymknąć. Ciemne niebo rozjaśnił tor pocisku smugowego większego kalibru, który nie był wymierzony w rozbitków, lecz w nadlatujący helikopter.

Powietrze wyrzucane spod rotora zmarszczyło powierzchnię rzeki. Głowica sonaru chlupnęła w wodę jakieś osiem metrów dalej i zaczęła błyskawicznie sunąć w kierunku Gravesa.

Uderzyło go nagle, że musi ją chwycić zdrową ręką! Pospiesznie wsunął lewą dłoń między rzemień kamizelki ratunkowej Pyzy. Nie zważając na ból w zwichniętym ramieniu, obserwował spod przymrużonych powiek zbliżający się sonar. W odpowiedniej chwili rzucił się w bok i wyciągnął daleko rękę. Aż krzyknął z bólu, gdy ostre szarpnięcie wywołało falę bólu w wybitym barku, a cienka linka głowicy omal nie amputowała mu palców.

Z brzegu wystrzelono granat, który spadł do rzeki i eksplodował jakieś dwadzieścia metrów od nich. Fala uderzeniowa napała na brzuch i uda Gravesa z taką siłą, jakby został silnie kopnięty w krocze. Obróciło nim w wodzie. Wynurzył się szybko, odkasłał i spostrzegł z rozpaczą, że prowizoryczna uprząż ratunkowa jest już poza jego zasięgiem. Szybko sięgnął po krótkofalówkę.

–Z powrotem! – krzyknął. – Wracajcie!

Paź zero jeden przeleciał jeszcze kilka metrów, na chwilę zawisł w jednym miejscu, wreszcie zaczął powoli cofać się tyłem w kierunku dryfującego Gravesa.

Któryś z pocisków musiał rozszarpać brzeg jego kamizelki ratunkowej, gdyż Kret poczuł na szyi ostre pieczenie. Ale nie zwracał na to uwagi. Nadchodziła wyczekiwana chwila. Gdyby i tym razem nie zdołał chwycić linki, prawdopodobnie podpisałby tym samym wyrok śmierci na siebie i Pyzę. Ponownie szarpnął się w bok i kurczowo zacisnął palce na mocowaniu głowicy sonaru.

Przyciągnął kobietę do siebie i objął ją mocniej, nie wypuszczając z drugiej ręki

zbawionego uchwytu. Raz za razem przeszywały go fale ostrego bólu w zwichniętym ramieniu, ale tylko zagryzł zęby.

–Ruszajcie! Już! Do przodu!

Helikopter obniżył nieco lot i skręcił ku środkowi nurtu. Sunął powoli, najwyżej z szybkością pięciu węzłów, a mimo to ciągnięty w wodzie Graves miał wrażenie, że jest wleczony po bruku. Ból w wybitym barku stał się nie do zniesienia, przed oczyma zaczęły mu wirować ciemne plamy. Ale pilot nie wypuszczał linki z dłoni, gdyż wiedział dobrze, iż jest to jedyna nić łącząca go jeszcze z życiem.

–Wciąż tam są, Gus?

–Nic nie widzę, poruczniku.

Arkady wbijał wzrok we wskazania przyrządów, usiłując prowadzić maszynę powoli, bez większych wstrząsów. Zdawał sobie sprawę, że linka mocująca głowicę sonaru jest owym przysłowiowym włoskiem, na którym zawisło życie dwojga rozbitków.

Na plastikowej osłonie kabiny strzelił snop iskier od rykoszetującej kuli. Dało się wyczuć, że również w inne części helikoptera coraz częściej trafiają niezbyt groźne, a mimo to mogące narobić szkód pociski karabinowe. Wzmocnione poszycie Komańcza powinno wytrzymać taki ostrzał, ale w niektórych miejscach było cieńsze i mniej odporne na przebicie.

Na domiar złego, nagle włączył się brzęczyk ostrzegawczy.

–Gus, nie mogę spuścić oka ze sterów. Sprawdź, co się stało.

–Sygnalizacja niesprawności silnika! Niskie ciśnienie oleju! Mamy wyciek!

–Upewnij się.

–Wzrosła temperatura w głównej przekładni! Cholera! Olej ścieka po bocznej osłonie kabiny! Poruczniku, to coś poważniejszego! Powinniśmy lądować. Przy tym obciążeniu rotor wytrzyma nie dłużej niż dziesięć minut.

Arkady nadal w skupieniu pilotował maszynę. Doszedł do wniosku, że pozostało mu już tylko jedno wyjście. Bał się tego, odczuwał narastające przerażenie na myśl, że znów nikt nie odpowie na jego wołanie.

–Szara dama, tu Paź zero jeden. Słyszysz mnie?

–Zero jeden, tu Szara dama. Słyszę cię wyraźnie.

To był jej głos! Arkady błyskawicznie odzyskał wiarę w przyszłość. Miał ochotę

skakać z radości.

–Szara dama, gdzie jesteś?

–Mieliśmy trochę kłopotów przy wyjściu z zapory minowej, zero jeden, ale już po wszystkim. Idziemy w górę rzeki. Jaka jest u was sytuacja?

–Lepsza niż dwie minuty temu. Przeciagam rozbitków do głównego nurtu rzeki na lince sonaru zanurzeniowego. Skończyła mi się amunicja i mam kłopoty z silnikiem. Trzeba tę załogę jak najszybciej wyciągnąć z wody.

–Dotrzemy do was za dziesięć minut – odpowiedziała Amanda zmęczonym głosem, na którego brzmienie serce Vince zaczęło od razu szybciej bić.

–Tyle powinniśmy wytrzymać.

–Poruczniku, niech pan na to spojrzysz.

Żu Szan zanurkował w niskie wejście do sterówki i pochylił się nad stanowiskiem radarowym. Utkwił spojrzenie w jaskrawozielonym promieniu przesuwającym się bez przerwy po kolistym ekranie.

–To jednostka pływająca, towarzyszu poruczniku. Właśnie pojawiła się u wylotu kanału Hangdau. Duży obiekt, płynie w górę rzeki z prędkością osiemnastu węzłów. Szacunkowa odległość około ośmiu mil.

–Towarzyszu poruczniku! – odezwał się radiooperator wciśnięty w drugi kąt ciasnej sterówki. – Stopniowo powraca łączność na niektórych kanałach taktycznych. Przed minutą przechwyciłem meldunek batalionu obrony wybrzeża, zgodnie z którym jakiś wrogi okręt przedostał się przez zaporę minową i płynie w górę rzeki.

Szan nie odpowiedział. Wyjął ze schowka noktowizor, podszedł do przedniej szyby mostku, zaparł się łokciami o reling i nakierował lornetkę w dół rzeki. Widoczna jeszcze przed paroma minutami płonąca kanonierka zniknęła, widocznie długa agonია kutra dobiegła końca i wrak poszedł na dno.

Niebo nad ujściem delty nadal rozjaśniały wystrzeliwane sporadycznie flary artyleryjskie. Właśnie zapłonęła następna i w jej blasku Szan dostrzegł ciemną sylwetkę nieprzyjacielskiej jednostki. Długi, wysmukły okręt odznaczał się charakterystycznymi kształtami, w dodatku nad pokładem górował znany mu już maszt, przypominający w zarysie płetwę rekina.

–Radio – odezwał się Szan całkowicie spokojnym i opanowanym tonem, znamionującym wytrawnego dowódcę eskadry patrolowej. – Połącz się z tym batalionem artylerii. Przekaż, aby nadal wystrzeliwali rakiety świetlne. Chciałbym

dokładnie widzieć cel, kiedy przystąpimy do ataku. Bosman Hung! – zawołał. – Daj wszystkim kutrom sygnał do uruchomienia silników!

–Seksja kamuflażowa, w jakim stanie są urządzenia maskujące?

Okazało się, że interfon jednak działa, a końcówka na prawym pomoście mostka nie jest uszkodzona, toteż Amanda postanowiła chwilowo stamtąd dowodzić niszczycielem.

–Nie da się uruchomić pełnej zasłony, kapitanie. Generator faradayowski działa, ale mamy zwarcie w obwodzie sterowania zraszaczami i nie możemy go zlokalizować. Poza tym nieźle ucierpiała powłoka antyradarowa na pokładzie dziobowym i przednim poszyciu nadbudówki.

–Mniejsza z tym, Chińczycy i tak już wiedzą, że tu jesteśmy. Spróbujcie naprawić zraszacze, panie McKelsie.

„Cunningham” był już daleko poza zasięgiem nadbrzeżnej artylerii i posuwał się w całkowitych ciemnościach. Ciszę przerywał tylko od czasu do czasu cichy brzęk narzędzi i stłumione głosy ludzi, którzy na pokładzie dziobowym oraz w tylnej części mostka pospiesznie usuwali zniszczone elementy i dokonywali prowizorycznych napraw. Nie ustawał natomiast szum turbin i plusk rozcinanej dziobem niszczyciela wody. Amanda odnosiła wrażenie, że z dali dobiega już charakterystyczny terkot kołującego śmigłowca.

–Poruczniku! Zapaliła się lampka awaryjna głównej przekładni! Ciśnienie oleju spadło prawie do zera!

Arkady przyjął to w milczeniu.

–Pięćset pięć, jesteś tam jeszcze? – rzucił do mikrofonu.

–Tak, jestem, zero jeden. – Głos pilota mówiącego przez krótkofalówkę był ledwie słyszalny z powodu wzmocnionego, dudniącego huku rotora.

–Jesteśmy prawie na miejscu, pięćset pięć. Wytrzymaj jeszcze trochę. Zaraz będzie tu nasz okręt. – Wyłączył nadawanie, a przełączając radio na inny kanał, mruknął pod nosem: – A przynajmniej taką mam nadzieję. – Ponownie wcisnął klawisz nadawania. – Szara dama, tu zero jeden.

–Słucham, zero jeden – odezwała się chyba lekko zaniepokojona Garrett. Widzę cię już na horyzoncie. Przygotowuję się do podjęcia rozbitków.

–Zrozumiałem, Szara damo. Przygotujcie też obsługę na ewentualność lądowania awaryjnego.

–Masz jakieś kłopoty z maszyną, zero jeden? – zapytała szybko.

–Jeszcze nie.

Dotkliwy ból zelżał nieco, gdy holujący ich śmigłowiec zawisł nieruchomo w powietrzu. Graves przyciągnął do siebie głowicę sonaru i kilkakrotnie zaczerpnął głęboko powietrza. Zważając na to, by utrzymać głowę Pyzy nad powierzchnią, sam parę razy zakrztusił się wodą. Ale tutaj przynajmniej nikt do nich nie strzelał.

–Hej, pięćset pięć! – zawołał z wyraźną radością w głosie pilot helikoptera. – Chcesz zobaczyć piękny widok? To popatrz w dół rzeki.

Minęło jednak parę sekund, zanim Graves zdołał odzyskać orientację. Kiedy wreszcie ustalił, w którą stronę płynie rzeka, natychmiast zauważył spienione grzbiety odkosów pod stewą okrętu i wysunięty daleko do przodu dziób niszczyciela, stopniowo przesłaniający kolejne gwiazdy na niebie.

Kret nie mógł o tym wiedzieć, że właśnie w tym momencie dostarcza znakomitego tematu do kolejnego arcydzieła szanowanego marynisty, emerytowanego admirała marynarki wojennej, Wilsona Garretta. Obraz zatytułowany „Odnalezienie rozbitków” miał ukazywać ludzi dryfujących w wodzie, zawieszony nad nimi śmigłowiec patrolowy oraz wyłaniający się z mroków nocy dziób spieszącego na ratunek okrętu.

–Sekcja kamuflażowa, czy radar SPY-2A nie wykrywa przed nami żadnych wrogich jednostek? – zapytał Ken Hiro, siedzący w kapitańskim fotelu przed głównym pulpitem centrum informacyjnego.

–Nie, komandorze. Trzy czołowe radary naprowadzające nie działają, widocznie maszt został uszkodzony. Próbuję penetrować obszar przed dziobem przez nakładanie skrajnych stref obrazów z radarów rufowych, lecz niewiele z tego wynika.

–Drużyny ratownicze meldowały o poważnych uszkodzeniach w przedniej części nadbudówki, panie komandorze – wtrącił ze swego stanowiska operator sekcji łączności. – Chyba rzeczywiście maszt radarowy nieźle oberwał.

Hiro zmarszczył brwi. „Książę” poruszał się więc prawie na ślepo, co gorsza nie mógł przeczesać wiązkami radarowymi obszaru w górze Jangcy, a przecież z tamtej właśnie strony mogło się pojawić największe zagrożenie.

–Rozpocząć obserwację wizualną terenu przed nami za pośrednictwem kamer zamontowanych na szczycie masztu. Zwracać szczególną uwagę na sektor pozostający poza zasięgiem radarów – rozkazał, po czym zwrócił się do operatorki systemu Aegis: – Czy można coś na to zaradzić?

–Owszem. – Kobieta obróciła się szybko na krześle w jego stronę. – Można

sprzęgnąć układy naprowadzające z odczytami radaru nawigacyjnego, trzeba tylko nałożyć na niego parametry taktyczne. Urządzenia nawigacyjne są sprawne, zapewnią więc pomiary odległości i współrzędne namiarowe, nie będzie natomiast automatycznego naprowadzania pocisków raketowych. Ale w każdym razie zyskamy obraz radarowy rejonu przed dziobem okrętu.

–Doskonale, proszę wykonać. I to jak najszybciej.

Nie było większych trudności. Na ekranie Alfa, na którym wciąż świeciła komputerowa mapa taktyczna, stopniowo zaczęły się pojawiać symbole odpowiadające echom wychwytywanym przez radar nawigacyjny.

–Obiekty pływające! – zawołała operatorka systemu Aegis. – Cztery jednostki na kursie dwa siedem zero, w odległości dziesięciu tysięcy metrów! Płyną z prędkością trzydziestu ośmiu węzłów! Idą w naszym kierunku!

–Zdjąć namiary! – rozkazał Hiro, wyprostowując się w fotelu. – Rozpoznanie, co to za jednostki?

–U nas nic nie działa! – zawołał McKelsie z głębi swojej sekcji. – Dane rozpoznawcze czerpaliśmy ze skanów radaru naprowadzającego.

–Sekcja wywiadowcza?

–Ja też mam jakieś cholerne zwanie! – z wnętrza Kruczego gniazda doleciały odgłosy walenia pięścią w obudowę aparatury. – No, pracuj, ty sukinsynu! – warknęła Rendino. – Oho, już jest. Wyłapuję cztery wiązki radarów typu łysielec... Sądząc po prędkości i wykonywanych ostro manewrach, są to cztery kutry torpedowe klasy Huczuan.

–Przyjąłem. Mostek, mamy kłopoty!...

Huk fal o burty ucichł szybko, gdy tylko kuter pięćset szesnaście przeszedł na napęd hydrołatawy. Porucznik Żu Szan, jak zwykle w takich momentach, poczuł dreszcz podniecenia. Był przekonany, że tej nocy owo uczucie nie przygaśnie nawet na chwilę.

Cała załoga była na stanowiskach. Hung kucał przy bakburtowej wyrzutni torped, trzymając dłoń na dźwigni spustowej.

Ponad rytmiczny huk pracujących pełną mocą silników wybijał się nerwowy łopot flagi na maszcie. Ruszali do ataku na nieprzyjaciela. Zbliżał się czas walki, na którą Szan tak długo czekał.

–...Mamy kłopoty! Cztery nieprzyjacielskie kutry torpedowe na kursie dwa siedem

zero, w górze rzeki. Idą prosto na nas. Najwyraźniej szykują się do ataku!

Amanda przywołała obraz taktyczny na ekranie najbliższego monitora.

–Widzę je – powiedziała, przyciskając ramieniem ciężki radiotelefon do głowy.

–Kapitanie, tu oficer taktyczny. Nie mamy pełnej kontroli do naprowadzania pocisków w sektorze dziobowym. Proponuję, aby obrócić okręt, żeby można było wykorzystać w pełni sprawne systemy rufowe.

–Zgoda, panie Beltrain. Zaraz wydam komendy. Proszę zdjąć namiary celów, kiedy tylko stanie się to możliwe, lecz na razie nie otwierać ognia. – Odchyliła się do tyłu i krzyknęła: – Sternik! Maszyny mała naprzód. Ster prawo na burt, na kurs trzy pięć zero.

Okręt zaczął się powoli obracać. Amanda pospiesznie zdjęła ze stojaka w przejściu lornetkę noktowizyjną, włączyła ją i uniosła do oczu.

Zaledwie sto metrów przed dziobem wisiał w powietrzu Paź zero jeden. Dokładnie pod nim widać było dryfujących w wodzie rozbitków, załogę zestrzelonego myśliwca. Dalej, pośrodku koryta rzeki, wylaniał się w szklach szereg ledwie jaśniejących punkcików, będących termicznym obrazem strumieni ogrzanej wody, pozostających za rufami pędzących w tę stronę kutrów pościgowych.

Porucznik Żu Szan przycisnął czoło do piankowej wyściółki celownika wyrzutni torped i wyregulował ostrość. Baterie obrony wybrzeża wciąż oświetlały rejon ujścia rzeki flarami, a w ich blasku nieprzyjacielski okręt był już doskonale widoczny.

Właśnie odwracał się do nich bokiem, stwarzając okazję do oddania precyzyjnego strzału. Obrzuciwszy szybkim spojrzeniem wysmukłą sylwetkę niszczyciela o jednej przysadzistej nadbudówce, maleńkiej wieżyczce działowej na rufie i niezwykłym, jakby aerodynamicznym maszcie radarowym, Szan pozbył się resztek wątpliwości. To musiał być amerykański okręt niewykrywalny przez radary. W dodatku Szan miał dziwne przeczucie, że jest to ten sam niszczyciel, który staranował jego poprzedni kuter, zabijając niemal całą załogę, i zdziesiątkował eskadrę łodzi patrolowych. Poczul się więc tak, jakby opatrność zesłała mu okazję do wymierzenia sprawiedliwości.

–Przygotować torpedy do odpalenia!

Na mostku „Cunninghama” Amanda Lee Garrett także poczuła dotyk ręki przeznaczenia. Czerwoni przystępowali do klasycznego frontalnego szturmu, jakby żywcem wyjętego z podręczników historii marynarki wojennej. Czula się niemal tak, jakby zyskała okazję oglądania na własne oczy ostatniej wielkiej szarży kawalerii w Omdurmanie czy też bezpośredniej wymiany ciosów między pancernikami w

cieśninie San Bernardino. Oto stała się świadkiem odwracania kolejnej karty w dziejach wojen.

Oderwała się od tych rozważań, szacując zagrożenie dla jej okrętu.

–Kapitanie, tu oficer taktyczny. Mamy już namiary kutrów torpedowych. Harpoony czekają z wygrzаныmi silnikami, gotowe do odpalenia.

–Ognia!

Huk odpalanych rakiet wstrząsnął sterburtowym pomostem. Amanda zamknęła oczy i zakryła dłońmi uszy, ale nie cofnęła się, pozwalając, by uderzyło ją w twarz gorące powietrze wypełnione jaskrawym blaskiem płomieni startujących pocisków.

Żu Szan spojrział w oczy nadciągającej śmierci. Dobrze wiedział, co oznaczają cztery podobne do komet obiekty, które wyskoczyły z dziobowych wyrzutni rakietowych amerykańskiego niszczyciela. Jak zafascynowany patrzył na długie jęzory ognia, które zmieniły barwę z żółtej na niebieskawą, gdy pociski przeszły z napędu rakietowego na odrzutowy.

Pozostało mu zaledwie parę sekund, a przecież koniecznie musiał wykonać jeszcze jedną czynność.

Pierwsza rakietą trafiła w najbardziej na północ wysunięty kuter eskadry. Naprowadzany radarowo pocisk uderzył w burtę i eksplodował niczym wydmuszka napełniona nitrogliceryną i trafiona kulą z pistoletu. Łódź pościgowa zniknęła we wnętrzu gigantycznej kuli ognia.

Druga eksplozja zmiotła kolejny kuter, zaraz nastąpiła trzecia... Przez pokład łodzi pięćset szesnaście przetaczały się fale uderzeniowe.

–Odpalaj!

Niezawodny Hung pospiesznie szarpnął do dołu dźwignię spustową. Cicho fuknął ładunek odpalający wyrzutni i długa, połyskliwa torpeda typu 53 wyskoczyła obok lewej burty. Przez chwilę wisiała jeszcze w powietrzu, po czym zanurkowała w wodę niczym ryba latająca, która zawsze musi powrócić do swego naturalnego środowiska. Ale był to już ostatni widok, jaki Żu Szan zdążył zarejestrować, nim pochłonął go oślepiający rozbłysk, po którym zapadły wieczne ciemności.

Na ekranie Alfa w centrum informacyjnym zamrugał i zniknął ostatni jaskrawy symbol, lecz niemal natychmiast w tym samym miejscu pojawił się inny, oznaczający nieprzyjacielską torpedę.

–Ryba w wodzie! – wrzasnął Foster z Alejki sonarowej. – Mamy aktywną radarową

wiązkę naprowadzającą torpedy! Wzięła nas na cel!

–Panie Beltrain! – warknął Hiro. – Przygotować torpedę mark pięćdziesiąt w trybie przechwytywania. Opóźnienie minimalne. Odpalić jak najszybciej! – Wyszarpnął gwałtownie radiotelefon z podstawki. – Kapitanie! Czerwoni zdążyli odpalić torpedę! Wzięła nas na cel! Szykujemy ładunek mark pięćdziesiąt w trybie przechwytywania!

–Wykonać! Odpalać według uznania!

Przede wszystkim Garrett musiała chronić okręt i jego załogę, lecz coraz bliższy warkot śmigłowca wciąż kierował jej myśli ku akcji ratunkowej.

–O Boże! Radio! Łącz z zero jeden! Natychmiast!

–Arkady! Wyciągnij ich z wody! Błyskawicznie!

Vince domyślił się od razu, kogo powinien wyciągnąć z wody, a ton głosu Amandy sugerował, że dzieje się coś złego. Pospiesznie przełączył kanały łączności.

–Pięćset pięć! Nie puszczaj głowicy sonaru! Na miłość boską, trzymaj z całych sił!

Pchnął obie dźwignienki gazu i delikatnie ściągnął drążek do siebie. Mimo braku oleju w przekładni śmigłowca posłusznie zaczął się wznosić. Po zwolnionych reakcjach na ruchy sterów można było wyczuć, że na końcu linki sonaru wisi dodatkowy ciężar. Mimo wszystko pilot nie wypuścił uchwytu głowicy z rąk.

–Poruczniku! – krzyknął przerażony Gus. – Ta cholerna przekładnia zaraz się rozsypie na kawałki!

–Niech spróbuje!

Coś się działo. Graves widział dobrze, jak wystrzelone z „Cunninghama” rakiety zniszczyły chińskie kutry, później zaś poczuł, że jakiś inny obiekt przemyka obok niego pod wodą w tym samym kierunku. Impet przepływającego pocisku pociągnął go nieco w bok, a potem w wodzie rozeszły się wyraźne wibracje śruby napędowej.

Niemal w tej samej chwili doleciał okrzyk z głośnika krótkofalówki. Graves poczuł, że linka wyslizguje mu się z ręki, a głowica sonaru wędruje ku powierzchni. Bez namysłu uwolnił drugą dłoń z rzemieni kamizelki ratunkowej i kurczowo oplótł ramiona wokół nieprzytomnej Pyzy i wynurzającej się już głowicy. Helikopter szarpnął i wyciągnął ich z rzeki. Zwiększony ciężar ociekającej wodą koleżanki sprawił, że ból w wybitym barku znowu stał się nie do zniesienia. Kret mimowolnie głośno wrzasnął i zacisnął powieki, bojąc się, że może stracić przytomność.

–Torpeda szuka celu! – zameldowała techniczka ze stanowiska sterowania

uzbrojeniem.

Dix Beltrain przytaknął ruchem głowy, ponad jej ramieniem wbijając wzrok w ekran kontrolny. Przechwycenie wrogiej torpedy wcale nie należało do łatwych zadań.

W normalnych okolicznościach rozbudowany system hydrolokacyjny „Księcia” powinien wykryć zbliżający się pocisk, a komputer sterujący obliczyć właściwe namiary, po czym automatycznie skierować barracudę w stronę nadciągającego zagrożenia. Elektroniczny bank danych pozwoliłby szybko zidentyfikować wrogą torpedę, a to z kolei umożliwiłoby właściwe ustawienie zapalnika zbliżeniowego w zależności od jej rodzaju.

Lecz niezależnie od tego, czy przechwytywanie prowadzono by automatycznie, czy tak jak teraz, trochę na ślepo, należało oczekiwać takiego efektu, jakby przy burcie okrętu zderzyły się dwie ciężarówki wypełnione materiałami wybuchowymi.

–Trzymajcie się mocno! Wstrząs będzie silny!

Z pomostu sterburtowego podwójna eksplozja wyglądała tak, jak gdyby na dnie Jangcy ktoś strzelił równocześnie tysiącem fleszy, a niebieskawy rozbłysk wypchnął ku górze gigantyczną masę wody. Chwilę później w nurcie utworzył się wielki krater, ale było tu zbyt płytko, by w górę strzelił gejzer. Wybuch, który nastąpił blisko powierzchni, wyrzucił tylko na wiele metrów dookoła chmurę drobniutkich kropelek. Dopiero później z głębi krateru doleciał głuchy, wibrujący huk.

Amanda kurczowo zacisnęła palce na relingu, gdyż „Księżę” niemal runął bokiem w otwartą czeluść.

–Wszystkie maszyny stop! Włączyć automatyczne utrzymywanie pozycji! – wrzasnęła w głąb mostka. – Utrzymajcie okręt pośrodku koryta!

Gdy niszczyciel zakołysał się równie silnie w drugą stronę, szybko uniosła do oczu lornetkę noktowizyjną. Jeszcze za głośno dzwoniło jej w uszach, by po odgłosie wirnika odnaleźć śmigłowiec na tle mrocznego nieba. Lecz już po kilku sekundach ujrzała go w szklach.

Od razu zauważyła duży ciemny kształt wiszący na linie pod brzuchem maszyny, cztery dyndające w powietrzu nogi nie zostawiały żadnych wątpliwości. A więc jednak się udało! Arkady zdążył wyciągnąć rozbitków z rzeki przed eksplozją torpedy. Wciąż istniała szansa na uratowanie ludzi.

Głośno odetchnęła z ulgą. Lecz już po chwili serce znów podeszło jej do gardła, gdyż śmigłowiec wyraźnie zachwiał się w powietrzu, a z górnej części przedziału silnikowego strzeliły snopy iskier.

–Poruczniku! Przekładnia się rozsypuje!

Arkady nawet nie próbował odpowiadać. Miał wrażenie, że pisk brzęczyka ostrzegawczego stał się nawet głośniejszy od łoskotu wirnika. Według żargonu pilotów śmigłowców Komańcz stopniowo „wymykał się spod boskiej opieki”. Rozpoczął się właśnie pierwszy etap katastrofalnej awarii głównych układów przeniesienia napędu, a jej efekt mógł być tak samo groźny, jak nieuważne skierowanie maszyny wprost na pionową skalną ścianę.

On zaś musiał teraz nie tylko myśleć o drugim członku załogi, lecz także o wyciągniętych z wody rozbitkach, którzy wisieli na końcu linki pod śmigłowcem.

Zgodnie z regułami sztuki powinien czym prędzej posadzić helikopter, ale w tej sytuacji rozbitkowie znaleźliby się pod maszyną. Toteż niewiele się namyślając, Arkady zrobił to, czego w żadnym wypadku nie powinien był czynić. Jeszcze bardziej pchnął dźwignie gazu, prawie do oporu, dając całą moc silnika przez topiące się już chyba koła przekładni na wirnik.

Coraz silniej trzęsący się śmigłowiec skręcił w stronę „Cunninghama”.

–Gus, przygotuj się do odzepienia całego zasobnika z sonarem!

Nie miał czasu, żeby łagodnie opuścić ludzi na pokład. Nie wiedział nawet, czy go wystarczy, żeby dolecieć do okrętu.

Podniósł maszynę na tyle, by wiszący w dole rozbitkowie prześliznęli się ponad relingiem.

Kątem oka złowił sylwetkę człowieka obserwującego tę akcję ze sterburtowego pomostu nadbudówki. Zawiesił helikopter nad pokładem dziobowym i wrzasnął:

–Gus, odczep ich!

Poczuł, jak uwolniony od dodatkowego ciężaru helikopter uniósł się nieco wyżej.

Dopiero teraz Vince skojarzył, że zasobnik z wyciągarką musi ważyć dość dużo. Boże, nie pozwól, aby to żelastwo spadło ludziom na głowy, pomyślał, ściągając drążek w bok.

Sterowność Komańcza uległa wyraźnej poprawie, ale wyjąca przekładnia dosłownie rozsypywała się na części. Na tablicy przyrządów zapalały się następne lampki awaryjne.

Nie chcąc dłużej kusić losu, Arkady zakręcił helikopterem jak bąkiem i szerokim łukiem skierował go na lądowisko rufowe.

–Trzymaj się, Gus! – krzyknął. – To nie będzie miękkie lądowanie!

Wychodząc z drugiego obrotu, usiłował ślizgiem sprowadzić maszynę ku wielkiej literze H znaczącej środek lądowiska śmigłowców, na którego krańcach migotały światła pozycyjne. W tej samej chwili od zewnątrz na osłonach kabiny zatańczył blask płomieni, rozległa się seria głośnych zgrzytów. Technicy obsługi na pokładzie rozbiegli się we wszystkie strony. Vince'a poraziła nagle myśl: podwozie!

–A, do diabła z tym – mruknął.

Pospiesznie ściągnął dźwignie gazu do zera i wyłączył zapłon. Paź zero jeden runął w dół.

Helikopter wylądował twardo na brzuchu i przewrócił się na bok. Łopatkami wirnika zadudniły o pokład, pourywały się, a ich kawałki powylały wysoko w powietrze. Podskakując agonicznie, jak wyrzucona z wody ryba, wrak śmigłowca przesunął się jeszcze kilka metrów w stronę burty.

Zaledwie znieruchomiał, otoczyli go technicy obsługi. Próbowali od zewnątrz otworzyć drzwi kabiny. Arkady szybko odpiął pasy i zaczął im pomagać od środka, ale zamek nie chciał ustąpić. We wnętrzu pojawił się gęstniejący dym. Ktoś kilka razy huknął łomem w powyginane blachy, ale i to nie przyniosło rezultatu.

Niewiele się namyślając, Vince wskoczył na poręcz fotela pilota i z całej siły naparł plecami na boczną część osłony kabiny. Chyba przerażenie dodało mu sił, ponieważ chwilę później tworzywo pękło z głośnym trzaskiem, on zaś poleciał głową w dół.

Zanim zdążył się pozbierać i stanąć na nogach, przez wyrwę do wnętrza kabiny technicy opróżnili kilka dużych gaśnic. Wspólnymi siłami otwarto też drzwi tylnego przedziału, Arkady mógł więc dołączyć do ludzi wyciągających z wraka Grestovitcha. Dopiero gdy Gus o własnych siłach stanął u jego boku, pilot pozwolił sobie na luksus zaczerpnięcia głębszego oddechu.

Odwrócił się twarzą do nadbudówki oraz kamery wycelowanej w lądowisko. Domyślał się, że co najmniej jedna osoba uważnie obserwowała awaryjne lądowanie. Dlatego szybko uniósł ręce nad głowę i klasnął w dłonie, pragnąc okazać swoją radość.

Na pokładzie dziobowym Graves powoli uniósł głowę. Obejrzał się szybko na Pyzę, która wciąż oddychała miarowo. Z jej ust wydobył się cichy jęk.

W śluzie nadbudówki pojawili się sanitariusze. Kret odruchowo dźwignął się na łokciu i dopiero po paru sekundach dotarło do niego, że ból w wybitym barku znacznie osłabł. Widocznie wysiłek związany z utrzymaniem się na lince pod śmigłowcem czy też późniejsze uderzenie o pokład niszczyciela sprawiło, że

zwichnięty staw nastawił się samoistnie. Przez jakiś czas ruszał delikatnie ramieniem, spoglądając z niedowierzaniem na swoją rękę, po czym mruknął:

–A niech mnie gęś kopnie!

Następnie, już po raz trzeci tej nocy, Graves stracił przytomność.

Amanda rzeczywiście obserwowała na ekranie monitora widok przekazywany przez kamerę podczerwoną z lądowiska rufowego. Liczyło się dla niej głównie to, że Arkady wrócił cały i zdrowy. Dopiero później przełączyła się na inny obraz, który przedstawiał drużynę sanitarną znoszącą rozbitków pod pokład. Operacja nie dobiegła jeszcze końca, ale w każdym razie ludzie znajdowali się już pod jej opieką na „Księżu”.

Garrett mimowolnie przygryzła rozdygotane wargi i ukradkiem otarła z policzka łzy.

–Oficer wachtowy, proszę obrócić okręt w miejscu tylko na pompach, ustawić go dziobem na kurs jeden zero zero i odczytać z pamięci komputera nawigacyjnego parametry trasy powrotnej.

„Cunningham” powoli obrócił się wokół własnej osi, jego spiczasty dziób wymierzył w stronę otwartego morza, jakby niszczyciel również pragnął wyrwać się z powrotem na wolność.

Niespodziewanie południowy brzeg Jangcy rozjaśniły błyski eksplozji, po wodzie od strony ujścia delty rozniósł się huk.

–Centrum informacyjne, coś się dzieje w dole rzeki. Wiecie coś na ten temat?

–Oczywiście, szefowo. Wiemy, a jakże! – odpowiedziała z radością w głosie Christine Rendino. – Nadszedł komunikat z okrętu flagowego. Dostaliśmy wsparcie z powietrza, samoloty zbombardowały stanowiska artyleryjskie! Wszystkie baterie zostały zniszczone. Mamy wolną drogę!

–To ruszajmy natychmiast. Oficer wachtowy, wszystkie maszyny mała naprzód! Wynosimy się stąd!

–Panie admirale, meldunek z „Cunninghama”! Przeszli przez zaporę minową i oddalają się od chińskiego wybrzeża. Nie ma strat w ludziach. Akcja zakończona pomyślnie. Możemy to uznać za finał operacji „Burzowy Smok”.

–Wspaniale! – Tallman i tym razem uderzył pięścią o brzeg stołu mapowego. – O to chodziło!

W sali odpraw zapanowała nagle swobodna atmosfera. Rozległy się wiwaty i oklaski, wszyscy ściskali sobie dłonie lub rzucali się w ramiona.

MacIntyre uśmiechnął się szeroko.

–Widzisz, Jake? Mówiłem ci, że ona potrafi tego dokonać.

–Miałeś rację, Eddie Mac! A niech to! Żałuję, że mój syn się już ożenił. Dobrze byłoby mieć taką synową!

–Też nie miałbym nic przeciwko temu.

–Admirale MacIntyre. – Nolan Walker podszedł do niego z arkuszem wydruku. – Druga wiadomość z „Cunninghama” jest adresowana do pana. Kapitan Garrett do dowódcy SPECNAV-u.

–Dziękuję, komandorze. – MacIntyre zwrócił uwagę, że nawet Walker jest wyjątkowo uśmiechnięty.

Odsunął się od grodzi i pochylając papier w stronę światła lampy pod sufitem, odczytał:

„Wszystkie owieczki wróciły do stada”.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, po czym starannie złożył kartkę i wsunął ją do kieszonki na piersi.

Rozdział 57

Morze Wschodniochińskie

28 sierpnia 2006, godz. 5.34 czasu lokalnego

Rezerwowa załoga śmigłowca ratowniczego otrzymała jeszcze ważne zadanie przetransportowania rannych z „Cunninghama”. Rufowe lądowisko było wciąż zajęte przez wrak Pazia zero jeden, toteż cztery najciężej ranne osoby na noszach wywindowano na pokład helikoptera wciągarką.

Doc Golden osobiście nadzorował załadunek swoich pacjentów do śmigłowca. Kiedy po raz ostatni opuszczono go na pokład, dał znać kontrolerowi, że wszystko jest gotowe do startu. Ten szybko przekazał sygnał pilotowi i ciężki SH-60, chyląc dziób ku falom, leciał majestatycznie, powoli wzbijając się na tle jaśniejącego z wolna nieba.

Golden westchnął ciężko, gdyż odlot śmigłowca ratowniczego wcale nie uwolnił go od wszystkich kłopotów. Podniósł z pokładu swoją torbę lekarską i ruszył w kierunku śluzy, obrzuciwszy pobieżnym spojrzeniem drużynę awaryjną, która zajmowała się usuwaniem wraka z lądowiska.

Na zniszczonym mostku Ken Hiro osunął się ciężko na kapitański fotel. Tutaj także wszystko stopniowo wracało do normy. Elektrycy wymieniali rozbite monitory i podzespoły systemów. Ale nic oprócz prowizorycznych napraw nie dało się zrobić na morzu. Nie ulegało wątpliwości, że „Książę” będzie musiał na dłużej zawinąć do stoczni remontowej przed wyjściem w następny rejs.

–Wszyscy ciężej ranni zostali odtransportowani, komandorze – zameldował Golden.

–A co z rozbitkami, doktorze? Nie widziałem ich wśród tych czworga.

–Będą musieli zostać z nami jeszcze przez jakiś czas. Naczelnny lekarz z okrętu flagowego zgodził się ze mną, że skoro ich stan jest zadowalający, nie zachodzi konieczność hospitalizacji. Zresztą po dramatycznych przejściach wciąganie do śmigłowca na tych rozchybotanych noszach na pewno by im się nie spodobało. – Potarł palcami zaczerwienione oczy. – Zanim dojdą do siebie, lądowisko zostanie już uprzątnięte i zorganizujemy im transport na macierzysty okręt.

Pierwszy oficer skinął głową.

–W porządku.

–Skoro już mowa o śmigłowcach, to co się dzieje z Paziem zero dwa?

–Bezpiecznie wylądował na pokładzie „Antietama”. Krążownik czeka na nas niedaleko. Załoga porucznik Delany powinna do nas dołączyć mniej więcej w porze lunchu.

–Miło mi to słyszeć, komandorze. Cieszy mnie szczególnie perspektywa spotkania z krążownikiem na morzu. – Golden przystanął za fotelem kapitańskim i zapatrzył się na jaśniejący horyzont. – Chyba wszystkim nam doskwiera już poczucie osamotnienia.

–Nie jesteśmy jednak osamotnieni, doktorze. „Antietam” obserwuje nas na monitorach systemu Aegis, a dokładnie nad nami, na wysokości dziesięciu tysięcy metrów, krąży eskadra superhornetów, wykonujących misję osłonową. Naprawdę nie ma się już czym martwić, doktorze.

–Nie jestem pewien. Nie wie pan, gdzie mógłbym znaleźć kapitana?

–W mesie oficerskiej.

–Dziękuję.

Było ich tam troje: Rendino, jak zawsze spięta, wręcz emanująca wrogością niczym pies strzegący domu pod nieobecność gospodarzy, dowódca sekcji lotniczej, który z zamkniętymi oczyma leżał wyciągnięty na kanapie, oraz kapitan Garrett. Siedziała sztywno na krześle obok ciśniętego na podłogę kombinezonu lotniczego i trzymała w dłoni kubek zimnej już herbaty.

Golden zbliżył się energicznym krokiem i przyklęknął obok niej. Bez słowa wyjął z torby tampon oraz butelkę ze środkiem odkażającym i zaczął delikatnie przemywać zadrapania oraz skaleczenia na twarzy i rękach Amandy. Można było odnieść wrażenie, że nawet tego nie zauważyła. Dopiero gdy zapiekła ją któraś rana od alkoholu zawartego w płynie, odsunęła głowę i popatrzyła ze zdziwieniem na Goldena.

–Nic mi nie jest, doktorze – mruknęła. – Proszę się zająć resztą załogi...

–Spokojnie, kapitanie. Wszystkich rannych już opatrzyłem, została tylko pani. Cztery osoby w najcięższym stanie śmigłowiec zabrał na okręt flagowy. Proszę więc nie protestować i umożliwić mi wykonywanie obowiązków.

Biernie poddała się dalszym zabiegom. Przez kilka minut panowało milczenie, wreszcie Amanda zapytała:

–Ilu mamy rannych?

–Dziesięcioro. Wszyscy pełnili wachtę albo na mostku, albo w przedziale bojowym

wieżyczki dziobowej. Cztery osoby dość mocno ucierpiały, ich stan jest poważny, ale życiu raczej nie zagraża niebezpieczeństwo.

Garrett przyjęła to lekkim skinieniem głowy i ponownie zapadła w stan dziwnego odrętwienia.

–Doktorze, nie sądzi pan, że naszej kapitan przydałyby się jakieś łagodne środki nasenne? – zapytał Arkady, który uważnie wpatrywał się w siedzącą naprzeciw niego kobietę o kasztanowych włosach.

–To chyba niezły pomysł – odparł Golden, zaklejając plastrem większe skaleczenie na rękę Amandy.

–Nie chcę żadnych pigułek... poruczniku – zaproponowała. – Nic mi nie jest. Jeszcze przez jakiś czas muszę zachować jasność myśli. Naprawdę czuję się dobrze.

–Jak pani sobie życzy – odparł Golden. – Gdyby jednak zechciała pani wysłuchać opinii specjalisty, dowiedziałyby się, iż dalsze przebywanie w stanie ciągłego napięcia i stresu grozi tym, że w którymś momencie pani po prostu straci przytomność.

–Doktorze, wielokrotnie już bywałam w podobnych sytuacjach. Naprawdę wiem, na co mnie stać. Muszę jeszcze dopilnować paru spraw... Mamy zabitych, doktorze?

–Jest jedna ofiara z sekcji artyleryjskiej.

–Kto taki?

–Marynarz Langdon. Był nowy w załodze, dołączył w Pearl Harbor.

–Nawet nie zdążyłam z nim porozmawiać – rzekła cicho.

Golden skończył swoją pracę i zaczął zbierać środki opatrunkowe.

–To zaledwie drobne skaleczenia i zadrapania, pani kapitan. Nic poważnego. Ale faktycznie radzę trochę odpocząć.

–Odpocznę, doktorze. Tylko...

W jej głosie pojawiły się piskliwe, niemal histeryczne tony. Wszyscy popatrzyli na Amandę z zaniepokojeniem. Arkady szybko usiadł na kanapie, a Christine zbliżyła się o dwa kroki. Tymczasem Garrett potrząsnęła głową i powiodła wokół siebie zdumionym wzrokiem.

–Nie mogłam zostawić tych ludzi na pastwę losu! – powiedziała błagalnym tonem. – Naraziłam okręt na niebezpieczeństwo. Przeze mnie ludzie odnieśli rany. Jeden

marynarz zginął. Ale naprawdę nie mogłam zostawić rozbitków ich własnemu losowi... Zdaje się, że zaczynam pleść bez sensu...

–Wręcz przeciwnie – odparł cicho Golden. – Sądzę, że oficerowie Rendino i Arkady również doskonale to rozumieją, podobnie jak reszta załogi. – Nerwowo przestąpił z nogi na nogę, zastanawiając się nad czymś, jak gdyby w myślach dobierał zestaw leków dla pacjentki. Po chwili ciągnął: – Pani kapitan, nie jestem wojskowym w pełnym rozumieniu tego słowa. Nie mógłbym przejąć pani obowiązków ani podejmować decyzji, które pani podejmuje. Zresztą, jeśli mam być szczery, nawet nie chciałbym tego spróbować. Ale jestem lekarzem i mam trochę rozeznania w kwestiach dotyczących moralności. Minionej nocy straciła pani jednego marynarza, lecz uratowała życie dwojga rozbitków. Wiem, że tego typu rachunki mogą budzić niesmak, ale w sumie bilans jest dodatni. I powinna pani pamiętać, kapitanie, że dopóki ów bilans pozostanie dodatni, ma pani powody do dumy.

Rozdział 58

USS „Cunningham”, szpital pokładowy

28 sierpnia 2006, godz. 6.01 czasu lokalnego

Graves ocknął się na górnej koi w ciasnej szpitalnej izolatce. Od silnej dawki środków przeciwbólowych szumiało mu w głowie, lecz dręczyła go świadomość, że koniecznie musi coś zrobić, a raczej coś powiedzieć.

–Pyza? Jesteś tu, Pyzo?

–Tak, jestem – doleciał słaby głos z zasłoniętej prześcieradłem koi znajdującej się pod spodem.

–Jak się czujesz?

–Jeśli tak bardzo chcesz wiedzieć, to ci powiem, że do dupy.

Graves powoli przeniósł ramię nad siatką zabezpieczającą krawędź koi, ściągnął nieco brzeg wiszącego poniżej prześcieradła i wyciągnął rękę. Po chwili wyczuł w palcach drobną kobiecą dłoń. Uścisnęli się serdecznie.

–Udało nam się, Pyzo.

–Owszem.

–Podjąłem decyzję.

–Jaką?

–Zostaję w służbie.

–Byłam tego pewna.

–Naprawdę? – Ogarniała go przemożna senność, z coraz większym trudem zbierał myśli. Uśmiechnął się błogo. – To jedyne sensowne wyjście, Pyzo... Gdybym odszedł ze służby, gdzie bym znalazł inną robotę, w której można aż do tego stopnia polegać na ludziach?

–Krecie...

–Słucham.

–Czy mógłbyś się wreszcie zamknąć, do cholery?

Rozdział 59

Hotel „Manila”

28 sierpnia 2006, godz. 18.18 czasu lokalnego

–To był akt brutalnej inwazji!

Rozbrzmiewający w słuchawkach spokojny głos tłumacza silnie kontrastował z gniewnymi wrzaskami pobladłego wicepremiera Czanga. Owa nie skrywana wściekłość była wielce znacząca, dlatego Van Lynden prawie nie spuszczał z oczu chińskiego polityka.

–Wolelibyśmy określenie „akcja prewencyjna”, panie premierze – wtrącił opanowanym tonem.

–Nie interesują nas pańskie sofistyczne popisy, panie sekretarzu. – huknął Czang. – Proszę używać takich słów, jakich pan chce. Dla mnie ważne jest to, że w obliczu całego świata przyznaje pan, iż Stany Zjednoczone przyłączyły się do agresji na Chińską Republikę Ludową!

Trwała sesja konferencji pokojowej, poszczególne delegacje zajmowały swoje miejsca przy ustawionych w wielki okrąg stołach. Ale tego dnia wszyscy jedynie się przysłuchiwali wymianie zdań między przedstawicielem Chin i reprezentacją USA.

–Przyznaję, że Stany Zjednoczone, działając z upoważnienia innych państw znad Pacyfiku, których delegacje biorą udział w tej konferencji, podjęły wysiłek zmierzający do ograniczenia niebezpieczeństwa nuklearnej zagłady, jaka dotknęłaby wszystkie zainteresowane kraje.

–Tocząca się wojna jest całkowicie wewnętrzną sprawą Chin!

–Jest pan w błędzie, panie premierze! – Van Lynden mimowolnie uderzył otwartą dłońią o przykryty obrusem blat stołu. – Użycie broni masowej zagłady, czy to chemicznej, biologicznej, czy nuklearnej, w dzisiejszych czasach nie może być traktowane jak wewnętrzna sprawa jednego tylko kraju. Wszyscy żyjemy na tej samej planecie!

–I pańskim zdaniem daje to prawo armii amerykańskiej do przeprowadzania brutalnych akcji wymierzonych przeciwko chińskiemu ludowi?!

Lucena Sagada nie odzywała się od dłuższego czasu, z uwagą obserwując zachowanie sekretarza stanu i wsłuchując się w jego słowa. Naprzeciwko niej, obok miejsca wicepremiera Czanga, generał Ho Czunwa wbijał nieruchome spojrzenie w

podłogę na środku sali.

–Moim zdaniem mieliśmy obowiązek chronić naszych sojuszników, którzy musieliby odczuć tragiczne skutki rozpętanego przez was piekła, panie premierze. A przecież żaden z tych krajów nie jest zaangażowany w chińską wojnę domową. I żaden z nich nie zamierzał ingerować w wasz wewnętrzny konflikt, dopóki nie pojawiła się groźba, że skutki wojny staną się odczuwalne daleko poza granicami Chin.

–Stany Zjednoczone będą musiały odpowiedzieć za ten akt agresji. Obiecuję to panu, panie sekretarzu.

Van Lynden pochylił się nad stołem.

–Panie premierze, władze mojego kraju są przekonane, że niebezpieczeństwo przerodzenia się wewnętrznego chińskiego konfliktu w groźną wojnę atomową zostało już zażegnane – odparł z całkowitym spokojem. – Zostałem upoważniony przez prezydenta, by zapewnić pana, że Stany Zjednoczone nie planują żadnych dalszych akcji zbrojnych przeciwko Chińskiej Republice Ludowej. Ale muszę też poinformować, iż amerykańskie siły zbrojne otrzymały rozkaz utrzymania w pełnej gotowości bojowej ponad trzystu myśliwców i odpowiedniej liczby pocisków raketowych na pozycjach umożliwiających szybkie dotarcie do wybranych celów strategicznych na terenie Chin. Jesteśmy także przygotowani do natychmiastowego rozpoczęcia całkowitej blokady morskiej portów Republiki Ludowej oraz podjęcia dostaw sprzętu wojskowego i amunicji dla połączonych sił nacjonalistów i Zjednoczonego Frontu Demokratycznego. Jeśli rząd Republiki Ludowej postanowi wciągnąć Stany Zjednoczone w trwający konflikt, dokona tego z własnego wyboru. Jestem jednak przekonany, panie premierze, iż naród chiński i tak wycierpiał już zbyt wiele. Dalsza eskalacja konfliktu przyniosłaby tylko jeszcze większe spustoszenia.

Przysadzisty Chińczyk nie odpowiedział. Po chwili zerwał się na nogi i energicznym krokiem ruszył w stronę wyjścia. Milczący generał Ho posłusznie skierował się za nim.

–Panie Czang! – Okrzyk Van Lyndena zabrzmiał jak wystrzał z pistoletu. Wicepremier znieruchomiał przy drzwiach. – Zostałem także upoważniony, by poinformować pana o jeszcze jednej sprawie. Otóż w wypadku, gdyby władze Republiki Ludowej rozważały ewentualność podjęcia jakichś innych... środków nadzwyczajnych, proszę pamiętać, że amerykańskie rakiety balistyczne są obecnie wycelowane w liczne obiekty wojskowe na terenie Chin. I pozostaną w niewymierzone, dopóki wojna domowa się nie zakończy... w taki czy inny sposób.

Dalsze obrady zostały odroczone. Minęła krytyczna sytuacja będąca powodem zwołania konferencji, do czego zresztą w znacznym stopniu przyczyniły się prowadzone rozmowy. Co prawda ich przebieg nie był w pełni zgodny z

oczekiwaniami Van Lyndena, niemniej efekty można było uznać za sukces, przynajmniej na tym etapie.

–Było mi niezwykle przyjemnie z panem współpracować – powiedziała Lucena Sagada, chowając do torebki zapisane kartki. – Bardzo wiele się nauczyłam. To dla mnie cenne doświadczenie.

–Czyżbyś podejrzewała, że negocjacje dobiegły końca?

–A jest inaczej?

–Dla nas to dopiero początek. Chodź, musimy porozmawiać z naszymi przyjaciółmi.

Wspólna delegacja nacjonalistów i demokratów wciąż siedziała przy stole konferencyjnym, minister Ho i profesor Ji półgłosem wymieniali jakieś uwagi. Na widok zbliżającego się Van Lyndena obaj uśmiechnęli się szeroko i wstali z miejsc.

–Panie sekretarzu – zaczął Ho – w imieniu narodu chińskiego chciałbym panu bardzo serdecznie podziękować. Jestem przekonany, że pewnego dnia będziemy mogli się panu szczerze odwdziaczyć.

–Niewykluczone – odparł Van Lynden, zatrzymując się naprzeciwko nich.

Profesor Ji, w którego oczach zabłyśły żywe skry, skłonił głowę i dodał:

–W tej sprawie mieliśmy wyjątkowe szczęście, naprawdę wyjątkowe.

–Doświadczenia jednak uczą, że szczęściu zazwyczaj trzeba dość intensywnie pomagać... A w tym wypadku była to szczególnie wydatna pomoc, prawda?

Na twarzach obu chińskich dyplomatów odmalowało się zdumienie.

–Do czego pan zmierza, panie sekretarzu? – zapytał cicho profesor Ji.

–Do tego, że konferencja dobiegła końca, dziennikarze się porozjeżdżali, możemy więc swobodnie zacząć uprawiać prawdziwą dyplomację. Krótko mówiąc, panowie, przestańmy sobie wreszcie mydlić oczy! Znamy całą prawdę!

–O jaką prawdę chodzi, panie sekretarzu? I dlaczego posługuje się pan liczbą mnogą?

To drugie pytanie z pewnością sprowokował wyraz skrajnego osłupienia widoczny na twarzy Luceny Sagady. Kobieta nie tylko nie rozumiała aluzji uczynionej przez Van Lyndena, ale w dodatku całkowicie ją zaskoczył jego ostry ton. Żywiła jednak nadzieję, że za chwilę i ona będzie mogła się przekonać, jak wygląda owa „prawdziwa dyplomacja”.

–Użyłem liczby mnogiej, gdyż mam na myśli delegacje wszystkich krajów uczestniczące w konferencji. Prawda zaś jest taka, że zastosowaliście nadzwyczaj chytry wybieg! Mówię o całej tej kryzysowej sytuacji, o groźbie wybuchu wojny jądrowej, która zmusiła nas do interwencji w Szanghaju. My tylko realizowaliśmy uknuty przez was plan.

–To bardzo poważny zarzut, panie sekretarzu – oświadczył Ho. – Co pana skłoniło do wyciągnięcia tak daleko idących wniosków?

–Pyta pan o dowody? – Van Lynden uśmiechnął się pobłaźliwie. – Dopiero zaczynamy je gromadzić. Na razie kierują mną jedynie przeczucia. Wiele do myślenia dały mi wasze działania. Na początku chyba powinienem wam pogratulować udanego zakończenia jednego z najwspanialszych rozdziałów tak zwanej realpolitik, jakie poznała historia dwudziestego wieku. Bo w rzeczywistości chińska rewolucja wcale się nie zakończyła w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku, prawda? Prawie przez pięćdziesiąt lat szykowaliście się do odzyskania władzy w Chinach. Z niezwykłym pietyzmem układaliście plany, uwzględniając najdrobniejsze szczegóły i przygotowując się na każdą ewentualność. Ale chyba jednego nie wzięliście pod uwagę. – Van Lynden przez chwilę mierzył swoich rozmówców wzrokiem mangusty obserwującej kobrę, po czym zakończył: – Nie przewidzieliście możliwości wybuchu wojny atomowej. Co zamierzaliście zrobić z arsenałem nuklearnym zgromadzonym przez komunistów?

–Myli się pan, tę kwestię również uwzględniliśmy w naszych planach. – odparł Ho, próbując zachować resztki profesjonalnej godności. – Liczyliśmy na skuteczne działanie odstrasżające naszego własnego arsenału.

–Nieprawda. Doskonale pan wie, że tych kilka rakiet, jakie udało się wam wyprodukować, w najmniejszym stopniu nie odstraszyłoby zdesperowanych polityków z Pekinu. Musieliście być tego w pełni świadomi! Ostatecznie komuniści myślą według tych samych kryteriów, co wy! To wasi rodacy, wychowani na tych samych wzorcach kulturowych! Doszliście do wniosku, że wasz arsenał nuklearny jest tylko na tyle duży, by stworzyć gwarancje, że jakkolwiek wymiana uderzeń atomowych może doprowadzić do konfliktu nuklearnego na skalę całego kraju, ten zaś musiałby oznaczać kataklizm dla szeregu państw leżących nad Pacyfikiem. Dlatego postanowiliście wykazać, że taka groźba jest całkowicie realna, a tym samym zmusić Stany Zjednoczone i waszych sąsiadów znad Pacyfiku do zorganizowania zbrojnej interwencji. – Van Lynden oparł się pięściami o stół i dodał, z naciskiem cedząc słowa: – Wciągnęliście nas w swoją rozgrywkę. Cała ta kryzysowa sytuacja została przez was ukartowana. Naszymi rękoma pozbawiliście komunistów resztek arsenału jądrowego, gdyż była to najpoważniejsza przeszkoda na drodze do odzyskania władzy w Chinach.

Profesor Ji uśmiechnął się pobłaźliwie, jak wykładowca do faworyzowanego

studenta.

–Proszę lepiej uznać, panie sekretarzu, iż tylko pomogliśmy wam dokonać właściwego wyboru. Czerwony smok umiera. Wkrótce Chiny znowu będą wolne. Czy to nie wystarczający powód do zadowolenia?

–Owszem, wystarczający. – Van Lynden wyprostował się szybko. – Nie zmienia to jednak faktu, że wciągnęliśmy nas wszystkich do swoich rozgrywek. Działaliście w myśl powiedzenia, że cel uświęca środki, jakby była to jedna z naczelnych zasad tradycyjnej chińskiej filozofii.

–Można to i tak oceniać. Najważniejsze, że wszystko skończyło się dobrze.

Harrison Van Lynden zachichotał gardłowo, aż Sagadę przeszył dreszcz.

–Tym razem to pan się myli, profesorze. Będziemy jeszcze razem współpracować w wielu różnych dziedzinach przez bardzo długi czas.

–Jak mam to rozumieć? – zapytał podniesionym tonem tajwański minister Duan Sing Ho.

–W waszym kraju, panie Ho, pielęgnuje się bardzo stare obyczaje. Jeżeli ktoś uratuje życie drugiemu człowiekowi, wówczas przejmuje na siebie odpowiedzialność za jego dalsze poczynania. Chyba nie muszę tłumaczyć, że właśnie uratowaliśmy „wam życie, toteż czujemy się zobowiązani do dalszej opieki”. – Van Lynden znów pochylił się nisko nad stołem i lekko postukując palcami w obrus wyjaśnił cichym, lecz brzmiącym złowieszczo głosem: – Już niedługo będą musiały zapaść niezwykle ważne decyzje związane z kształtem porewolucyjnych Chin. Trzeba będzie wybrać władze, sformułować konstytucję, ustalić granice. Zamierzamy czynnie uczestniczyć w tych wszystkich działaniach. Mówię nie tylko o Stanach Zjednoczonych, lecz także Japonii, Korei, Filipinach, o wszystkich krajach, które odczułyby tragiczne skutki niepowodzenia waszego przebiegłego planu. Skoro sami wciągnęliśmy nas w swoje rozgrywki, nie wycofamy się, dopóki całe to przedstawienie nie dobiegnie końca! A więc serdecznie gratuluję skutecznego wcielenia w życie swoich planów, panowie.

–Dobry wieczór, przyjacielu.

–Dobry wieczór, generale – odparł Van Lynden, siadając na betonowym obmurowaniu obok oficera Ludowej Armii Wyzwoleńczej.

Fontanna za ich plecami głośno szumiała, a nad Zatoką Manilską pojawiły się pierwsze gwiazdy. Rozejrzawszy się uważnie dookoła Van Lynden stwierdził ze zdumieniem, że nigdzie w pobliżu nie kręcą się zasępieni chińscy ochroniarze. Ho sprawiał wrażenie markotnego, może nawet zrezygnowanego, ale zarazem unosiła się wokół niego atmosfera głębokiego spokoju.

–Chce pan usłyszeć coś zabawnego? – zapytał cicho generał.

–Słucham.

–W gruncie rzeczy jestem wam wdzięczny, że zaatakowaliście mój kraj.

–To dość niezwykle oświadczenie.

–Może i tak, ale dzisiejszej nocy położę się do łóżka ze świadomością, że Chiny wciąż będą istniały, kiedy nazajutrz wstanę. Być może już wkrótce nie będą to moje Chiny, ale będą. Gdyby podjęte przez mój rząd działania rozwinęły się na pełną skalę... Nie wiadomo, co by pozostało z mojej ojczyzny.

–Ja tego też nie wiem, generale – odparł Van Lynden, poluzował krawat i rozpiął guzik pod szyją. – Z moich doświadczeń wynika, że po obu stronach każdego konfliktu można zawsze znaleźć ludzi dobrej woli. Na przykład takich, jak pan.

Ho uśmiechnął się smutno.

–Chyba mnie pan przecenia, panie sekretarzu. Jak wielu innych, ja również mógłbym się stać zdesperowanym starcem, dysponującym bardzo groźnymi narzędziami do wyrażania własnej desperacji. Dla każdego żołnierza perspektywa pociągnięcia za sobą wrogów w otchłań porażki jest nadzwyczaj kusząca. Dlatego dobrze się stało, że taka ewentualność została całkowicie wyeliminowana. My będziemy musieli umrzeć w obronie Chińskiej Republiki Ludowej, ale nasza ojczyzna przetrwa.

–Jak już powiedziałem, kompromis zawsze jest możliwy – odparł z namysłem Van Lynden. – Zwróciłem uwagę, że dzisiaj przyszedł pan bez swojej ochrony. Ambasada Stanów Zjednoczonych znajduje się niedaleko, po drugiej stronie parku. Gwarantuję panu uzyskanie azylu politycznego. Nowe Chiny będą bardzo potrzebowały uczciwych ludzi i twardych przywódców.

–To zadanie dla nowej generacji Chińczyków. Ja należę do tej, która już odchodzi. Jeśli nawet ustrój Republiki Ludowej nie był najlepszym z możliwych, to jednak przysięgałem służyć jej wiernie do końca życia. I teraz przyjdzie mi umrzeć wraz z nią. Mam nadzieję, że stanie się to podczas bitwy, przegranej od samego początku. W najgorszym razie stanę przed plutonem egzekucyjnym jakiegoś trybunału. Jakkolwiek by było, dla każdego człowieka nadchodzi taki moment, kiedy jest już za późno na zmianę sprzymierzeńców, ponieważ dotychczasowi okazują się źli.

–Rozumiem.

Ho wstał ociężale.

–Będę bardzo miło wspominał te rozmowy z panem, panie sekretarzu.

**–Ja również, generale – odparł Van Lynden, także podnosząc się z obmurowania. –
Do widzenia.**

–Do widzenia.

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i rozeszli się w przeciwne strony.

Rozdział 60

Biały Dom, Waszyngton

29 sierpnia 2006, godz. 13.37 czasu lokalnego

–Jak się przedstawia sytuacja?

–Według ostatnich szacunków prawdopodobieństwo przerodzenia się wojny w Chinach w konflikt nuklearny zostało zmniejszone do około dziesięciu, piętnastu procent, panie prezydencie.

–Czyli nadal istnieje dziesięć do piętnastu procent groźby, że zginą miliony ludzi. To i tak dużo, choć zdecydowanie mniej niż poprzednio, Sam. Może wystarczy do tego, by po nocach nie męczyły mnie koszmary.

–Powinien pan zachować większy dystans. Jest pan naczelnym dowódcą sił zbrojnych, nie wolno podchodzić do tych obowiązków zbyt osobiście.

Childress parsknął pogardliwie.

–Jest to w równym stopniu dobra rada, jak i najwierutniejsza bzdura pod słońcem.

–Wiem, panie prezydencie. Ja też nigdy nie zdołałem jej w pełni zastosować.

Po zakończeniu południowej narady obaj mężczyźni zostali w Owalnym Gabinetcie, żeby w przyjacielskiej atmosferze wymienić garść uwag.

–Podejmowane są jeszcze jakieś działania? Czy coś wskazuje na to, że czerwoni zamierzają organizować wobec nas jakieś akcje odwetowe?

Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego pokręcił głową.

–Komuniści najwyraźniej mają ważniejsze sprawy na głowie. Wojska tajwańskie starannie wykorzystują to, że zniszczyliśmy sieć obrony powietrznej wokół Szanghaju, i regularnie bombardują miasto. Nie przypuszczam, by czerwoni chcieli w tej sytuacji robić sobie jeszcze jednego wroga.

–To dobra nowina.

–Ale na tym nie koniec. Według ostatnich prognoz nasza interwencja powinna skrócić chińską wojnę domową co najmniej o miesiąc. Bóg jeden wie, ilu ludziom w ten sposób uratowaliśmy życie. W końcu nie chodzi tu wyłącznie o zażegnanie groźby użycia broni jądrowej.

Childress w zamyśleniu pokiwał głową.

–Liczy się każda dobra wiadomość, Sam. Z pewnością mnóstwo ludzi będzie chciało wiedzieć, z jakich powodów naraziłem Stany Zjednoczone na tak olbrzymie niebezpieczeństwo.

–Odpowiedź jest jedna: nie można było podjąć innej decyzji.

–Nie jestem pewien, czy to wystarczy do uciszenia niektórych moich przeciwników, Sam.

–W takim razie proszę się odwołać do porównania z sytuacją w bloku mieszkalnym – mruknął Hanson, usadawiając się wygodniej w fotelu.

Childress spojrział na niego spod zmarszczonych brwi.

–W bloku mieszkalnym?

–Nie inaczej, panie prezydencie. Przed wiekami odrębne plemiona żyły w samotnych gospodarstwach rozrzuconych na olbrzymim terenie. Jeżeli któraś zagroda stanęła w ogniu, sąsiedzi widzieli tylko wielki słup dymu na horyzoncie. Można było udzielić pomocy, albo zachować obojętność, w zależności od sytuacji i własnego poczucia solidarności. Ale od tamtej pory świat się skurczył, żyjemy teraz jak rodziny we wspólnym bloku mieszkalnym. I jeśli któryś sukinsyn pali w łóżku, wszystkich nas to powinno obchodzić.

–Dobry żart. Za ile byłbyś gotów go odsprzedać, Sam?

–Może go pan dostać w prezencie.

Rozdział 61

45 mil na północny zachód od wyspy Amami Shima

30 sierpnia 2006, godz. 9.45 czasu lokalnego

Niewiele jest miejsc na okręcie wojennym, gdzie można się nacieszyć samotnością. Na pokładzie „Cunninghama” istniały dwa takie zaciszne kąciki – za kominami od strony rufy, na dachu nadbudówki rozciętej szeroką płetwą masztu radarowego. Jeżeli ktoś zaszywał się tam, by z dala od wszystkich popatrzeć na fale, według niepisanej tradycji pod żadnym pozorem nie wolno mu było przeszkadzać.

–Dzień dobry, pani kapitan – powiedział Arkady, przechylając się przez reling obok Amandy. Zerknął na nią badawczo z ukosa, czekając, aż ona skieruje rozmowę na właściwe tory.

–Dzień dobry, kochanie. – Garrett była w takim nastroju, że wolała mieć obok siebie kogoś bliskiego zamiast podległego oficera.

–Nad czym tak rozmyślasz, skarbie? – zapytał ciepło.

–Nad wszystkim. Przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Twoją, moją, naszą.

–To znaczy?

–Christine wie o nas, Arkady.

–I co z tego?

Zmarszczyła brwi.

–Nie martwi cię to?

–W tej kwestii rozmówiłem się już z panną Rendino. Dlatego uważam, że nie ma się czym martwić.

–Jeśli Christine odkryła prawdę, wcześniej czy później inni także się dowiedzą.

Arkady w zamyśleniu pokiwał głową. Wiatr targał wystające spod jego baseballowej czapki kosmyki czarnych włosów.

–Owszem, to całkiem prawdopodobne.

–Co wtedy zrobimy?

–Dobre pytanie. Podejrzewam, że któregoś dnia będziemy musieli znaleźć na nie odpowiedź.

Amanda zaśmiała się krótko.

–Któregoś dnia? Obawiam się, że przyjdzie nam stawić czoło wyzwaniom jeszcze dzisiaj.

–Do czego zmierzasz? – Tym razem to on popatrzył na nią uważnie, marszcząc brwi.

–Kiedy przyszedłeś, rozmyślałam nad tym, co mnie jeszcze czeka – odpowiedziała tajemniczo, spoglądając w dal, na smugi spienionej wody pozostającej za rufą „Księcia”. – Całe dotychczasowe życie podporządkowałam tylko jednemu celowi, objęcia dowództwa okrętu wykonującego samodzielne zadania. Osiągnęłam ten cel. Z zawodowego punktu widzenia osiągnęłam szczyt kariery. Ale nic nie trwa wiecznie. Zostało mi jeszcze półtora roku służby na pokładzie „Cunninghama”. Trzeba pomyśleć o tym, co dalej.

–Do diabła, dziecino. Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, i boję się, że sama nie wiesz, co mówisz. Na dobrą sprawę zaledwie rozpoczęłaś karierę.

Amanda pokręciła głową.

–Mylisz się. To wcale nie jest początek kariery. Minęły już te czasy, gdy ze stanowiska dowódcy niszczyciela można było awansować na dowódcę krążownika, potem pancernika. Teraz po zejściu z pokładu specjalistycznej jednostki w zasadzie od razu kończy się karierę. Mogę się tylko cieszyć, że mnie akurat przypadł „Książę”.

–Nie dramatyzuj. Gdy dostaniesz czwartą belkę, na pewno dadzą ci inny okręt.

–Tak, szkoleniowy bądź patrolowy, w najlepszym wypadku desantowy. Będę musiała zapomnieć o powrocie na jednostkę liniową. W lotnictwie jest inaczej, tam możesz tylko poszerzać swoje umiejętności. Na morzu nastąpiła era wąskich specjalizacji, dowódcą niszczyciela rakietowego zostaje się raz na zawsze. Dobrze wiem, że mam przed sobą jeszcze parę lat służby na okrętach liniowych. Ale następnym moim celem w zawodowej karierze może być na przykład stanowisko kontradmirała w dowództwie floty. Osiągnę je nie wcześniej niż po pięćdziesiątce, a i to przy założeniu, że przedtem dostanę awans do stopnia admirała. Będę więc musiała spędzić piętnaście lat na lądzie, czyli drugie tyle, co do tej pory. To dla mnie zbyt długo, Arkady.

–Co zatem zamierzasz? – spytał.

Zarówno ton jego głosu, jak i spojrzenie utkwione w jej twarzy, świadczyły wyraźnie, że coraz bardziej interesuje go obrót, jaki przybiera ta rozmowa.

–Doczekam końca służby na „Księżu”, potem może napiszę parę fachowych artykułów dotyczących taktyki dowodzenia niszczycielami rakietowymi. Na później nie mam skonkretyzowanych planów. Pewnie wezmę odprawę i odejdę z marynarki. Zamieszkać w przytulnym domku i zajmę się wychowywaniem dzieci, dopóki mój zegar biologiczny nie przestał jeszcze chodzić. Właśnie nad tym się zastanawiałam.

Pozostawiała Arkady’emu całkowitą swobodę wyboru, lecz zarazem przyglądała mu się uważnie, z nadzieją wyczekując jego reakcji.

On jednak się nie spieszył. Na kilka długich sekund zapatrzył się w horyzont, wreszcie rzekł:

–Chyba w tej chwili nie musisz podejmować żadnych decyzji. Zresztą oboje jesteście w podobnej sytuacji. Tak czy inaczej, mamy jeszcze trochę czasu. Wykorzystajmy go jak najlepiej.

Ta nieco wymijająca odpowiedź pozostawiała nadal otwartą furtkę. Amanda zapała się łokciami o reling, uśmiechnęła i lekko trąciła Arkady’ego ramieniem.

–Umów się ze mną na randkę, Vince.

–W porządku. Dokąd chcesz pojechać?

–Do Japonii. I tym razem będę cię trzymać za słowo. Zawiniemy tam w celu dokonania napraw.

–Japonia? – Pilot uśmiechnął się tajemniczo. – Tam czuję się jak we własnym domu. Niech pomyślę... Byłaś kiedykolwiek w prawdziwym, tradycyjnym japońskim onsarfi!

–A cóż to takiego?

–Kurort z gorącymi źródłami. Znam pewien pensjonat, który od paru wieków należy do tej samej rodziny i gdzie pielęgnuje się prastare tradycje. Pokoje są umeblowane w stylu ludowym, a więc śpi się na matach na podłodze, a kąpieli zażywa w dużych wspólnych basenach. W zasadzie obcokrajowcy nie mają tam wstępu, ale może mi się uda jakoś załatwić rezerwację.

–Brzmi nieźle. Właściwie... Zaczekaj chwilę. Duże wspólne baseny? Chyba nie mówisz o takim miejscu, gdzie całkiem obcy sobie ludzie, mężczyźni i kobiety... razem...

–Czyżby obleciał cię strach, kochana?

–Mam to potraktować jak wyzwanie, poruczniku?

Arkady miał rację. Trzeba było jak najlepiej wykorzystać czas, który im pozostał.

Rozdział 62

Nad Pacyfikiem

30 sierpnia 2006, godz. 19.10 czasu lokalnego

Transportowiec VP-3 Orion, przerobiony na maszynę patrolową lotnictwa morskiego, wykręcił ociążale na południowy wschód, mając śmigłami przejrzyste powietrze. Kierował się w stronę Hawajów i bazy w Pearl Harbor.

Admirał Elliot MacIntyre usadowił się nieco bokiem, usiłując znaleźć wygodną pozycję w niezłe już wysłużonym fotelu. Wreszcie dał za wygraną i skupił całą uwagę na dokumentach wyciągniętych z aktówki.

Przełożył kilka kartek, gdy jego wzrok padł na złożony arkusz wydruku komputerowego. Rozpostarł go i przebiegł spojrzeniem treść ostatniego meldunku, jaki Amanda Garrett nadesłała po zakończeniu szanghajskiej operacji:

„Wszystkie owieczki wróciły do stada”.

Amanda Garrett...

Po chwili admirał zgarnął dokumenty i zamknął aktówkę. Z arkuszem meldunku w dłoni zsunął się niżej na fotelu i w zamyśleniu wyjrzał przez maleńki iluminator na morze ozłoczone promieniami zachodzącego słońca.

Słownik

Aegis – System, będący połączeniem wszechstronnego komputerowego programu kierowania bronią z rozbudowanym zespołem radarów kierunkowych, dający okrętowi wojennemu możliwość penetrowania powierzchni morza i przestrzeni powietrznej w promieniu dwustu pięćdziesięciu mil.

Ulepszony radar typu SPY-2A, stosowany na niszczycielach rakietowych klasy „Cunninghama”, dysponuje większym zasięgiem i umożliwia dokładniejsze naprowadzanie pocisków w porównaniu ze stosowanymi obecnie urządzeniami, przy czym jest prostszy w obsłudze.

AEW (Airborne early warning; powietrzny system wczesnego ostrzegania) – Doktryna zakładająca montowanie w samolotach radarów dużej mocy, umożliwiających zwiększenie strefy namiaru. Pierwszym przykładem zastosowania tej techniki był samolot wczesnego ostrzegania boeing AWACS... Podczas operacji „Burzowy Smok” zarówno tajwańskie siły powietrzne jak i amerykańska marynarka wojenna wykorzystują także starą, lecz doskonale wypełniającą swoją rolę odmianę

turbośmigłowego samolotu AEW typu Grumman E-2 Hawkeye, natomiast śmigłowce Sea Comanche z „Cunninghama” używają specjalnych podwieszanych modeli brytyjskiego radaru Clearwater.

ASW (Anti-submarine warfare; zwalczanie okrętów podwodnych) – delikatna i złożona sztuka zwalczania łodzi podwodnych.

Barracuda – Mark 50 Barracuda to amerykańska torpeda nowej generacji przeznaczona do zwalczania łodzi podwodnych. Niewielki, rozwijający duże prędkości pocisk, który wykorzystuje różne typy urządzeń naprowadzających, zazwyczaj odpalany z typowych wyrzutni torped, jest także przystosowany do zrzucania z powietrza i może stanowić część bojową rakiet pionowego startu. Prowadzono wiele doświadczeń, mających na celu dostosowanie tych pocisków do potrzeb przechwytywania i unieszkodliwiania wrogich torped w rozmaitych systemach obrony przeciwtorpedowej.

Black Hole System – System łączący kilka różnych technik ograniczania emisji promieniowania cieplnego przez okręty wojenne i samoloty.

W niszczycielach klasy „Cunninghama” układy wentylacyjne są tak zaprojektowane, by gazy wylotowe silników mieszały się z powietrzem o temperaturze otoczenia, co pozwala zredukować termiczne echo spalin. Ponadto cały system wydechowy wraz z kominami jest chłodzony morską wodą, dzięki czemu ogranicza się emisję ciepłą okrętu i zabezpiecza go przed trafieniem pociskami z termolokacyjnymi urządzeniami naprowadzającymi.

Ching-Kuo – Skonstruowany w tajwańskim Centrum Rozwoju Przemysłu Lotniczego pierwszy myśliwiec szturmowy, jaki znalazł się w wyposażeniu armii tego kraju. Lekka dwusilnikowa maszyna obrony powietrznej, przystosowana także do zwalczania celów nawodnych, jest wzorowana na amerykańskim samolocie F-5.

Cold Fire Launching System – System pionowego startu, w którym pociski są wyrzucane z silosów za pomocą sprężonego powietrza, a zapłon silników rakietowych następuje w powietrzu.

Zastosowany w niszczycielach klasy „Cunninghama” w celu zabezpieczenia przed płomieniami silników warstwy pochłaniającej promieniowanie radarowe, którą został pokryty cały okręt.

ECM (Electronic countermeasures; elektroniczne środki antynamiarowe) Cele pozorne oraz urządzenia zakłócające, mające za zadanie zniekształcenie i osłabienie sygnałów odbieranych przez systemy naprowadzające.

Elint (Electronic intelligence; wywiad elektroniczny) – Gromadzenie wiadomości o charakterze militarnym (lokalizacja celów, typy stosowanych systemów, siła

nieprzyjaciela itp.) uzyskiwanych poprzez analizę emisji promieniowania nadajników radarowych i innych urządzeń elektronicznych.

EMCON (Emission control; kontrola emisji) – Stan operacyjny, w którym okręt wojenny lub samolot zachowuje całkowitą ciszę radiową i radarową, przez co jest niewykrywalny dla systemów Sigintu (rozpoznania środkami łączności).

ESSM (Enhanced sea sparrow missile; unowocześniony pocisk typu Sea Sparrow) – Następca rakiety Sea Sparrow używanej współcześnie przez wojska NATO. Naprowadzany radarowo pocisk średniego zasięgu, typu woda-powietrze, odpalany bądź z własnej specjalnej wyrzutni, bądź z czterokomorowej instalacji w wyrzutni typu Mark 41 lub 42 VLS.

F/A-18E Super Hornet – Wzmocniona i ulepszona wersja używanego obecnie samolotu F/A-18, model C. Wielozadaniowa maszyna przyszłej generacji, sprawdzająca się zarówno w roli myśliwca, jak i bombowca.

F/A-22 Sea Raptor – Amerykańskie lotnictwo morskie stanie w najbliższej przyszłości przed dwoma zadaniami: zastąpienia wysłużonego myśliwca osłonowego F-14 Tomcat nowym typem oraz skonstruowania niewykrywalnego dla radarów myśliwca szturmowego mogącego startować z pokładu lotniskowca. Jednym z proponowanych rozwiązań jest dostosowanie do potrzeb marynarki wojennej myśliwca bombardującego Lockheed F-22 Lightning II.

–Fenestron – Dosłownie „śmigło w ogonie”. Nowoczesne rozwiązanie technologiczne w konstrukcji śmigłowców, w którym konwencjonalne śmigło ogonowe zastępuje się wirnikiem umieszczonym w tunelu statecznika pionowego, co pozwala na zmniejszenie hałasu, wibracji oraz przekroju radarowego.

GPU (Global positioning unit; globalny system określania położenia) – Element systemu nawigacyjnego, wykorzystujący impulsy radiowe emitowane przez sieć satelitów rozmieszczonych na orbicie okołoziemskiej. Proste, małe i zapewniające wysoką dokładność urządzenie, znajdujące dosłownie setki różnorodnych zastosowań, zarówno do potrzeb cywilnych, jak i wojskowych. Zostało rozpowszechnione do tego stopnia, iż poważnie rozważa się możliwość montowania GPU w kolbach wszystkich karabinów używanych przez siły zbrojne Stanów Zjednoczonych.

Han – Nazwa pierwszej i jak dotąd jedynej klasy atomowych łodzi podwodnych produkowanych w komunistycznych Chinach.

Hellfire – Amerykański, mocny i celny raketowy pocisk przeciwpancerny, naprowadzany laserowo. Wciąż niezastąpiony do zwalczania celów pływających małej i średniej wielkości, stąd też używany w marynarce wojennej przez eskadry

Śmigłowców typu LAMPS.

Hsiung Feng (Truteń) – Konwencjonalny tajwański pocisk do zwalczania celów pływających, zrzucający z powietrza lub odpalany z okrętu, będący kopią doskonałej izraelskiej rakiety Gabriel ASM.

Krucze gniazdo – Używana powszechnie przez załogi okrętów nazwa zespołu urządzeń wywiadowczych. Z racji swoich właściwości antyradarowych niszczyciele klasy „Cunninghama” są szczególnie przydatne do prowadzenia misji wywiadowczych określanych wspólnym mianem „Raven”, podczas których pełnią rolę wspólnego stanowiska gromadzącego informacje Sigintu (rozpoznania środkami łączności) oraz Elintu (wywiadu elektronicznego).

LAMPS (Light airborne multi-purpose system; lekka wielozadaniowa maszyna latająca) – Rodzina wielozadaniowych śmigłowców startujących z lądowisk pokładowych jednostek marynarki wojennej. Pierwotnie przeznaczone głównie do zwalczania łodzi podwodnych, wykonują obecnie wiele różnych drugoplanowych zadań, takich jak poszukiwanie i likwidowanie celów pływających, loty rozpoznawcze oraz transport ludzi i sprzętu.

Oto Melara Super Rapid – Superszybkie, chłodzone wodą działo automatyczne kalibru 76 mm produkowane przez włoską korporację Oto Melara. Dwufunkcyjna broń obronna o wyjątkowo dużym nasileniu ognia, używana do wiązania walką zarówno jednostek pływających, jak i lotniczych, przystosowana do wykorzystywania bardzo szerokiej gamy różnych rodzajów amunicji. Popularna i wydajna, stanowi podstawę uzbrojenia w działa niszczycieli klasy „Cunninghama”.

RAM (Radar absorbent material; materiały radioabsorpcyjne) – Rodzaj tworzyw kompozytowych stosowanych do antyradarowego maskowania okrętów i samolotów typu Stealth, które odznaczają się właściwościami pochłaniania padającego na nie promieniowania radarowego i przetwarzania go wewnątrz swojej struktury w energię ciepłą.

RBOC (Rapid blooming overhead chaff; błyskawicznie rozszerzająca się zasłona powietrzna) – Element maskowania okrętów przed pociskami samonaprowadzającymi. Wywodzi się od ładunków chroniących okręty przed raketami naprowadzanymi radarowo poprzez maskowanie ich zasłoną z pasków folii metalowej. W ostatnich latach granaty odpalane z wyrzutni zostały wzbogacone we flary i mieszaniny gazów o szerokim spektrum pochłanianego promieniowania, co zapewnia także osłonę przed pociskami naprowadzanymi laserowo i termolokacyjnie.

SCM (Stealth cruise missile; niewykrywalny radarowo pocisk raketowy) Następca odpalanego z jednostek pływających pocisku tomahawk. Skomplikowana broń uderzeniowa dalekiego zasięgu, której konstrukcja zapewnia niską wykrywalność

przez radary. Broń wielofunkcyjna, nadająca się do zwalczania celów pływających oraz naziemnych.

SAH-66 Sea Comanche LAMPS – Śmigłowiec SAH-66 Comanche został zaprojektowany jako maszyna rozpoznawczo-osłonowa o konstrukcji zapewniającej niską wykrywalność przez radary. SAH-66 Sea Comanche to odmiana stworzona dla lotnictwa morskiego, której właściwości antyradarowe zostały dopasowane do analogicznych właściwości niszczycieli klasy „Cunninghama”. Przeznaczony do zwalczania łodzi podwodnych i operacji poszukiwawczych oraz zwiadowczych, Sea Comanche ma zamontowany w części dziobowej silny radar APG 65 i może zostać wyposażony w kilka rodzajów podwieszanych czujników, takich jak sonar głębinowy, detektor anomalii magnetycznych czy lotniczy system wczesnego ostrzegania typu Shearwater. Ponadto helikopter SAH-66 może być uzbrojony w szereg różnych torped, pocisków raketowych, bomb głębinowych oraz działek pokładowych.

Sea SLAM – Odmiana przeciwpancernego pocisku harpoon, przeznaczona do zwalczania celów naziemnych. Wykorzystuje termolokacyjny elektrooptyczny system naprowadzania skonstruowany dla pocisków ziemia-powietrze typu Maverick. Odpalany z morza, służy głównie do wykonywania precyzyjnych uderzeń na obiekty naziemne.

Sia – Podobnie jak większość mocarstw nuklearnych, komunistyczne Chiny dysponują trzema rodzajami środków przenoszenia broni jądrowej: samolotami bombowymi i pociskami raketowymi, które mogą być odpalane z lądu lub morza. Do środków przenoszenia ostatniego typu należą atomowe łodzie podwodne klasy Sia. Wzorowana na prototypie amerykańskiego okrętu Polaris SSBN, łódź Sia była pierwotnie uzbrojona w 12 rakiet typu Ciu Lang I na paliwo stałe. Jej późniejsza odmiana, o nazwie Blok II Sia, została dostosowana do przenoszenia 16 rakiet Ciu Lang II, o znacznie zwiększonym zasięgu.

Sigint (Signal intelligence; rozpoznanie środkami łączności) – Gromadzenie wiadomości o charakterze militarnym, zdobywanych poprzez przechwytywanie i rozszyfrowywanie komunikatów przekazywanych drogą radiową, telefoniczną oraz telegraficzną.

Standard HARM (Homing anti-radiation missile; pocisk samonaprowadzający się na źródło promieniowania) – Odmiana rakiety ziemia-powietrze typu Standard. HARM jest przeznaczony do wyszukiwania i niszczenia lądowych oraz morskich nadajników radiowych i radarowych, sam naprowadza się na źródło emisji. Jest ponadto wyposażony w elektroniczną pamięć namiaru, dzięki czemu może trafić w cel nawet w wypadku nagłego zaniku emitowanej wiązki.

Tomahawk – Istniejący obecnie i wypróbowany w boju pocisk dalekiego zasięgu do zwalczania celów naziemnych i pływających. Napędzany silnikiem turboodrzutowym,

może być odpalany z okrętów, łodzi podwodnych i samolotów. Konstrukcja tomahawka jest wciąż ulepszana i unowocześniana, przez co rakieta pozostanie w wyposażeniu wojsk jeszcze przez wiele lat.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-20

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/